

Jilliane Hoffman

ODWET

NA CELOWNIKU

*Intryga zaskakująca nawet dla Grishama.
Koszmar, który przeraziłby Harrisa.
Bohaterka, jakiej może pozazdrościć Cornwell.*

Świat Książki

Spis treści

TYTUŁOWA

- CZEŚĆ I

. 1 .

. 2 .

. 3 .

. 4 .

. 5 .

. 6 .

. 7 .

. 8 .

. 9 .

. 10 .

. 11 .

. 12 .

. 13 .

. 14 .

- CZEŚĆ II

. 15 .

. 16 .

. 17 .

. 18 .

. 19 .

. 20 .

. 21 .

. 22 .
. 23 .
. 24 .
. 25 .
. 26 .
. 27 .
. 28 .
. 29 .
. 30 .
. 31 .
. 32 .
. 33 .
. 34 .
. 35 .
. 36 .
. 37 .
. 38 .
. 39 .
. 40 .
. 41 .
. 42 .
. 43 .
. 44 .
. 45 .
. 46 .
. 47 .
. 48 .
. 49 .
. 50 .

. 51 .
. 52 .
. 53 .
. 54 .
. 55 .
. 56 .
. 57 .
. 58 .
. 59 .
. 60 .
. 61 .
. 62 .
. 63 .
. 64 .

● CZEŚĆ III

. 65 .
. 66 .
. 67 .
. 68 .
. 69 .
. 70 .
. 71 .
. 72 .
. 73 .
. 74 .
. 75 .
. 76 .
. 77 .

. 78 .
. 79 .
. 80 .
. 81 .
. 82 .
. 83 .
. 84 .
. 85 .
. 86 .
. 87 .
. 88 .
. 89 .
. 90 .
. 91 .
. 92 .
. 93 .
. 94 .
. 95 .
. 96 .
. 97 .
. 98 .
. 99 .

- EPILOG
- TYŁOWA

JILLIANE HOFFMAN

Odwet

Tytuł oryginału: *Retribution*

Cykl: Odwet (tom: 1) | Seria: Na Celowniku

Tłumaczenie: *Andrzej Leszczyński*

 Świat Książki

2005

CZEŚĆ I



. 1 .

Czerwiec 1988 NOWY JORK

Chloe Larson jak zwykle uwijała się w gorączkowym pośpiechu. Zostało jej tylko dziesięć minut, żeby zdążyć na przedstawienie *Ducha w operze* – najgłośniejszą obecnie inscenizację na Broadwayu, na którą bilety były zarezerwowane na rok z góry – a musiała przebrać się w coś stosownego, poprawić makijaż i zdążyć na pociąg odchodzący o 18.52 z Bayside, stacji oddalonej o trzy minuty jazdy samochodem od jej mieszkania. Zatem naprawdę miała tylko siedem minut. Energicznie przeglądała ubrania w zapchanej szafie, w której miała zrobić porządek jeszcze zimą, i szybko zdecydowała się na czarną spódnicę z krepy i pasujący do niej żakiet oraz jedwabną różową bluzkę. Z jednym butem w ręku, mamrocząc pod nosem imię Michaela, zaczęła błyskawicznie przekopywać stertę na dnie szafy, aż w końcu znalazła drugi czarny skórzany pantofel do pary.

Pobiegła do łazienki, wkładając je po drodze. To nie powinno się odbywać w ten sposób, powtarzała w myślach, rozpuszczając długie blond włosy. Zaczęła je rozczesywać palcami jednej ręki, drugą jednocześnie myjąc zęby. Powinna być wypoczęta i zadbana, lekko podniecona, wolna od wszelkich zmartwień, gdy trafiła się wreszcie okazja, by odpędzić od siebie dręczące myśli, a nie miotać się jak w ukropie, niewyspana, niemal bez reszty pochłonięta tematami zajęć i wykładów w grupie tak samo zaganianych ludzi, z niedającymi jej spokoju myślami o zbliżającym się terminie egzaminu kwalifikacyjnego do nowojorskiej stanowej palestry. Wypluła płyn do płukania ust, spryskała się perfumami Chanel No. 5 i pognała do wyjścia.

Zostały jej cztery minuty. Następny pociąg był o 19.22 i gdyby musiała nim jechać, z pewnością nie zdążyłaby na początek przedstawienia. W wyobraźni już widziała przystojnego Michaela stojącego przed wejściem do Majestic Theater, z różą w ręku i pudełeczkiem w kieszeni, ze znużoną miną spoglądającego na zegarek.

To nie powinno się odbywać w ten sposób. Dużo wcześniej powinna być przygotowana.

Pobiegła przez podwórze do samochodu, pospiesznie zapinając kolczyki, które w ostatniej chwili zgarnęła z nocnego stolika w sypialni. Czuła na sobie taksujące spojrzenie dziwnego, żyjącego jak pustelnik sąsiada z pierwszego piętra, który, zapewne jak co dzień, obserwował ją z okna saloniku. Zawsze przyglądał się, jak biegnie przez podwórze, aby wyruszyć w kolejną podróż do wiecznie zagonionego świata i rzucić się w nurt życia. Odepchnęła od siebie nieprzyjemne uczucie przypominające zimny dreszcz na plecach i wskoczyła za kierownicę. Nie miała czasu, żeby zaprzętać sobie głowę Marvinem. Musiała się też uwolnić od myśli o czekającym ją egzaminie, kolokwiach i zajęciach w grupach dyskusyjnych. Powinna się skupić wyłącznie na swojej odpowiedzi na to jedno pytanie stawiające kres wszelkim innym, które Michael z pewnością chciał jej dzisiaj zadać.

Trzy minuty. Tylko trzy minuty! – powtarzała w duchu, próbując zarazem ubłagać światła na skrzyżowaniu. Już na żółtym z rozpędem skręciła w Northern Boulevard.

Donośny gwizd pociągu spadł na nią z góry, gdy biegła schodami na peron, przeskakując po dwa stopnie naraz. Drzwi zamknęły się tuż za jej plecami, toteż z wdzięcznością pomachała ręką uprzejmemu konduktorowi, który na nią zaczekał. Poszła w głąb wagonu, ciężko klapnęła na siedzenie obite grubym czerwonym skajem i wzięła głębszy oddech, zadyszana po

szybkim biegu przez parking i po schodach. Pociąg ruszył ze stacji, skręcając w stronę Manhattanu. Zdążyła w ostatniej chwili.

Teraz się uspokój i opanuj nerwy, Chloe, nakazała sobie w myślach, spoglądając przez okno na zabudowania Queens zatopione w szarawym świetle gasnącego dnia. Zaczynał się dla niej ten szczególny, zupełnie wyjątkowy wieczór. Co do tego nie miała żadnych wątpliwości.

. 2 .

Czerwiec 1988 NOWY JORK

Wiatr przybierał na sile, iglaki tworzące gęstą kępę, w której się ukrywał, coraz mocniej chwiały się pod jego naporem. Na zachodzie niebo rozjaśniła błyskawica, białe i czerwone zygzaki wyładowań podświetliły wspaniały zarys drapaczy chmur na Manhattanie. Bez dwóch zdań niedługo zacznie padać. Skulony przy ziemi, aż zagryzł zęby i mimo zeszywniałego karku wtulił głowę w ramiona, gdy doleciał go huk grzmotu. Czy natura nie mogłaby być choć trochę łaskawsza? Czemu zesłała jeszcze burzę, kiedy musi czekać, aż ta suka w końcu wróci do domu?

W gąszczu krzewów otaczających blok mieszkalny nie miał czym oddychać, a stojące powietrze było tak rozgrzane, iż odnosił wrażenie, że pod elastyczną maską klauna, pod którą ukrył twarz, skóra niemalże się wytapia i ścieka kroplami. Odór gnijących liści i wilgotnej ziemi tłumił zapach iglaków, dlatego starał się oddychać wyłącznie ustami. Coś łąziło mu za uchem i usiłował odegnąć od siebie wizje obłążącego go robactwa, wciskającego się w rękawy i za wysokie cholewy kaloszy. Jakby na pocieszenie muskał dłonią w rękawicze ząbkowane ostrze myśliwskiego noża.

Na podwórku nie było żywej duszy. Panowała kompletna cisza mącona jedynie szumem wiatru w koronach wyniosłych dębów oraz jednostajnym szumem i huczeniem kilkunastu klimatyzatorów wiszących mu nad głową za oknami mieszkań. Zwarty gęsty żywopłot ciągnął się od tej strony prawie na całej długości budynku, miał więc pewność, że nie widać go za nim nawet z

okien najwyższego piętra. Gruba warstwa butwiejących liści i suchej trawy zaszeleściła cicho pod jego ciężarem, gdy dźwignął się z ziemi i zaczął ostrożnie przekradać w kierunku okien jej mieszkania na parterze.

Zostawiła żaluzje otwarte. Światło ulicznej latarni sączące się przez zarośla iglaków wpadało do sypialni jak gdyby pocięte na plastry. W mieszkaniu było ciemno, panował spokój. Łóżko zostało nieposłane, drzwi szafy szeroko otwarte. Na jej spodzie stało szeregami obuwie, szpilki, sandały i kapcie. Górę bieliźniarki przy telewizorze zajmowała bogata kolekcja pluszowych miśków, ich błyszczące szkliste ślepka zdawały się wpatrywać w niego w słabej bursztynowej poświacie z ulicy. Na wyświetlaczu elektronicznego budzika czerwone cyfry wskazywały godzinę 12.33 w nocy.

Dobrze wiedział, gdzie szukać. Skierował łakomy wzrok na bieliźniarkę i z zachwytu aż oblizwał spierzchnięte wargi. W wysuniętej szufladzie leżały porozrzucane różnobarwne staniki i koronkowe majteczki do kompletu.

Sięgnął ręką do kroku i poczuł, jak szybko powiększa się i twardnieje jego członek. Pospiesznie przeniósł wzrok na fotel na biegunach, na którego oparciu leżała rzucona biała koronkowa nocna koszula. Zamknął oczy i zaczął energicznie przesuwać dłonią po spodniach, przypominając sobie, jak ona wyglądała w tej koszuli poprzedniej nocy. Jej pełne jędrne cycki, doskonale widoczne pod prześwitującą tkaniną, podskakiwały w górę i w dół, gdy ujeżdżała swojego chłopaka. Głowę z rozkoszy odrzuciła do tyłu, a kształtne pełne wargi były szeroko rozchylone. Niegrzeczna dziewczynka, robiła to przy otwartych żaluzjach. Bardzo niegrzeczna. Coraz szybciej poruszał ręką. Wyobrażał sobie, jakby wyglądały jej długie nogi w ciemnych nylonowych pończochach i czarnych szpilkach stojących z brzegu w szafie. Niemalże czuł, jak jego palce oplatają te szpilki i unoszą jej nogi wyżej,

coraz wyżej, potem rozchylają je tak szeroko, aż z jej gardła wyrywa się okrzyk – początkowo strachu, później rozkoszy. Długie blond włosy rozsypane na poduszce wokół głowy, między rękoma przywiązanymi do poręczy łóżka. Tuż przed sobą miał koronkowy krok ślicznych różowych majteczek, a pod nim gęstą blond kępkę. Cudownie! W wyobraźni aż jęknął głośno z zachwytu, z sykiem wypuszczając powietrze przez zaciśnięte zęby i wargi rozchylone w lubieżnym uśmiechu. Przerwał przed osiągnięciem orgazmu i szybko otworzył oczy. Drzwi sypialni były otwarte na oścież, w głębi mieszkania zalegał nieprzenikniony mrok. Ostrożnie wycofał się do swojej kryjówki w kępie iglaków. Pot ściekał mu po twarzy, lateksowa maska niezdolnie lepiła się do skóry. Wraz z hukiem kolejnego grzmotu poczuł, jak jego członek szybko się kurczy.

Powinna już dawno wrócić do domu. W środowe wieczory wracała dotąd najpóźniej za kwadrans jedenasta. Tylko dziś, akurat właśnie dzisiaj się spóźniała. Z całej siły przygryzł dolną wargę w tym samym miejscu, które rozciął sobie jakąś godzinę temu, i znów poczuł na języku słonawy metaliczny posmak krwi. Ledwie się powstrzymywał, żeby nie zacząć wrzeszczeć na cały głos.

Przeklęta pieprzona suka! Sprawiała mu tak olbrzymi zawód. Był taki podekscytowany, taki przejęty, gdy odliczał upływające minuty. Za kwadrans jedenasta miała predefilować obok niego, zaledwie parę kroków od tej kryjówki, ubrana w obcisły strój gimnastyczny. Później powinno się zapalić światło w oknach mieszkania, do którego chciał się podkraść. I tym razem powinna zostawić otwarte żaluzje, dzięki czemu mógłby patrzeć, jak ściąga przez głowę przepoconą bawełnianą bluzkę i wyslizguje się z elastycznych spodenek. Mógłby podziwiać, jak szykuje się do łóżka. Szykuje się dla niego!

Jak wstydlivy młodzik przed pierwszą randką szeptem ćwiczył w zaroślach buńczuczne odzywki: Jak daleko chcesz się dzisiaj posunąć, moja droga? Do pierwszej bazy? Do drugiej? A może wolałabyś okrążyć całe pole? Ale ekscytujące oczekiwanie minęło dawno temu i teraz, dwie godziny później, kulił się w gąszczu jak włóczęga, którego od stóp do głowy oblało robactwo, pewnie już składało mu jajeczka w uszach. Nic nie zostało z tamtego niecierpliwego wyczekiwania, które dodawało mu sił i podsycalo wyobraźnię. Rozczarowanie stopniowo przeradzało się w złość wzbierającą z minuty na minutę. Znów z całej siły zagryzł zęby, z sykiem wypuszczając powietrze. Nie, do diabła, nie był już ani trochę podekscytowany, ani trochę przejęty. Był co najmniej rozdrażniony.

Wydawało mu się, że minęła następna godzina takiego oczekiwania w ciemnościach i nerwowego przygryzania wargi, choć w rzeczywistości upłynęło zaledwie kilkanaście minut. Kiedy niebo rozjaśniła kolejna błyskawica i zadudnił głośniejszy od poprzednich grzmot, doszedł do wniosku, że najwyższa pora się stąd zbierać. Niechętnie ściągnął z głowy maskę, podniósł torbę ze sprzętem i wyszedł z krzaków. Wiedział, że będzie miał jeszcze niejedną okazję.

W tej samej chwili na mrocznej ulicy pojawiły się światła reflektorów. Pospiesznie zawrócił na betonowej alejce i z powrotem dał nura w zarośla. Srebrne sportowe bmw zahamowało z impetem i zatrzymało się przy krawężniku przed budynkiem, nie dalej niż dziesięć metrów od niego.

Sekundy przeciągały się niemiłosiernie, w końcu jednak otworzyły się prawe drzwi auta i wyłoniły się zza nich długie wspaniałe nogi z drobnymi kształtnymi stopami w czarnych skórzanych pantofelkach na obcasie. Od razu rozpoznał, że to ona, i natychmiast ogarnął go niewytłumaczalny błogi spokój.

Cóż za zrządzenie losu!

Klaun wcisnął się głębiej w gąszcz iglaków, żeby dalej cierpliwie czekać.

. 3 .

Times Square i ulica Czterdziesta Druga nadal tonęły w blasku migających neonów, chociaż było już po dwunastej powszedniej nocy w środku tygodnia. Chloe Larson nerwowo ogryzała paznokcie, spoglądając w okno bmw mknącego przez wyludniony Manhattan w kierunku ulicy Trzydziestej Czwartej i śródmiejskiego tunelu.

Wiedziała, że nie powinna wychodzić tego wieczoru. Ciche zrędlawe drugie ja podpowiadało jej to przez cały dzień, ale go nie słuchała, i mimo że do egzaminu kwalifikacyjnego do palestry pozostały niecałe cztery tygodnie, zrezygnowała z intensywnej nauki i postanowiła spędzić go romantycznie. Zapowiadał się cudownie, tyle że w efekcie wcale nie był taki romantyczny i teraz oprócz wyrzutów sumienia ogarniał ją narastający strach, wręcz panika przed budzącym grozę egzaminem. Tymczasem Michael nadal opowiadał o swoim dniu w prawniczym piekle, całkowicie lekceważąc jej nastrój, nawet nie zwracając uwagi, że go nie słucha. Jeśli nawet cokolwiek spostrzegł, najwyraźniej ani trochę się tym nie przejmował.

Michael Decker był jej chłopakiem, potencjalnym narzeczonym, a zarazem wysoko ocenianym adwokatem procesowym będącym na najlepszej drodze do zostania wspólnikiem w firmie White, Hughey & Lombard, bardzo prestiżowej kancelarii z Wall Street. Poznali się przed dwoma laty, kiedy Chloe podczas praktyki zawodowej została jego asystentką w Wydziale Powództwa Handlowego. Szybko się przekonała, że nie znosi odmowy, gdy oczekuje odpowiedzi twierdzącej na swoje pytanie. Już pierwszego dnia pracy nakrzyczał na nią, że powinna uważniej zapoznać się z przepisami dotyczącymi konkretnej sprawy, a nazajutrz całował ją gorąco i żarliwie w

sali fotopowielacza. Był przystojny i błyskotliwy, roztaczał wokół siebie dziwną romantyczną aurę, której Chloe nie umiała wyjaśnić, ale i nie mogła też zignorować. Nawet gdy znalazła sobie inną pracę, romans nadal rozkwitał i tego wieczoru nadeszła druga rocznica ich pierwszej prawdziwej randki.

Przez ostatnie dwa tygodnie prosiła go, wręcz błagała, żeby zechciał odłożyć świętowanie tej rocznicy na miesiąc, gdy będzie już po egzaminie. Ale nie bacząc na nic, zadzwonił po południu i zaskoczył ją, mówiąc, że zdobył dwa bilety na dzisiejsze przedstawienie *Ducha w operze*. Doskonale znał słabostki wszystkich w swoim otoczeniu, a jeśli było inaczej, czynił starania, by szybko je poznać. Dlatego gdy Chloe w pierwszej chwili odmówiła, natychmiast skoncentrował się na wzbudzeniu w niej poczucia winy, wykorzystując ów niezwykle irlandzko-katolicki namiernik ukryty gdzieś w głębi jej świadomości. Ostatnio prawie wcale się nie widujemy, Chloe. Ciągle tylko zakuwasz. Zaslugujemy na to, żeby spędzać więcej czasu razem. Oboje tego potrzebujemy, skarbie. W każdym razie ja bardzo. I tak dalej, i tak dalej. W końcu powiedział, że musiał niemal wykraść te bilety klientowi, który znalazł się w potrzebie, toteż zmiękła, z ociąganiem zgodziła się przyjechać do miasta i pójść z nim do teatru. Odwołała swój udział na wieczornych zajęciach w Queens, po ostatnich ćwiczeniach pojechała prosto do domu, przebrała się w pośpiechu i wyruszyła na Manhattan, przez cały czas próbując zagłuszyć w myślach głos swojego drugiego ja, które niespodziewanie zaczęło na nią krzyczeć.

Po fakcie musiała przyznać, że ani trochę jej nie zaskoczyło, kiedy dziesięć minut po odsłonięciu kurtyny starszy woźny z uprzejmą miną wręczył jej karteczkę z wiadomością, że Michael utknął na jakimś pozaplanowym zebraniu i się spóźni. Powinna była od razu wyjść, a jednak tego nie zrobiła. Dlatego teraz przyglądała się w ponurym nastroju, jak za

oknem sportowego bmw światła tunelu pod East River zlewają się w niewyraźną żółtą smugę.

Michael pojawił się z różą w ręku tuż przed końcem przedstawienia i zaczął typową dla siebie litanie wymówek, zanim nawet zyskała sposobność, żeby go huknąć po łbie. Po milionach przeprosin udało mu się tak nakierować jej poczucie winy, że zgodziła się na wspólną kolację, i zanim się zorientowała, już ją prowadził przez ulicę do restauracji Carmine's. Zachodziła w głowę, co się stało z jej godnością osobistą. W takich chwilach nienawidziła swojego irlandzko-katolickiego namiernika. Takie wypadki kierowane poczuciem winy traktowała jak pielgrzymki.

Gdyby skończyło się na samej kolacji, nie byłoby jeszcze tak źle. Ale przy marsali z cielęciną i butelce cristalu zadał jej decydujący cios tego wieczoru. Ledwie zaczęła się rozluźniać, cieszyć z wybornego szampana i romantycznej atmosfery, gdy wyciągnął z kieszeni małe pudełeczko. Już na pierwszy rzut oka zrozumiała, że nie jest wystarczająco małe.

– Wszystkiego najlepszego z okazji naszej drugiej rocznicy. – Uśmiechnął się ciepło, ujmująco, podczas gdy w jego seksownych piwnych oczach odbił się roztańczony blask świec. Do ich stolika natychmiast zbliżył się skrzypek, jak rekin wietrzący łatwą zdobycz. – Kocham cię, skarbie.

Jak widać, za mało, żeby się ze mną ożenić, przemknęło jej przez głowę, gdy spoglądała na paczuszkę zapakowaną w srebrny papier i przewiazaną wielką białą kokardą, bojąc się ją otworzyć. Prawdę mówiąc, bała się zobaczyć, czego tam nie ma.

– No, śmiało. Otwórz.

Ponownie napełnił kieliszki szampanem, uśmiechając się coraz chytrzej. Najwyraźniej sądził, że alkohol i pierwsza lepsza błyskotka pozwolą mu się uwolnić z tej budy, do której czuł się zapędzony z powodu spóźnienia. Nawet

nie miał pojęcia, jak daleko w tej chwili jest od domu i jak bardzo potrzebuje mapy oraz dobrego sprzętu biwakowego, by móc do niego wrócić. A może jednak się myliła? Może specjalnie zapakował prezent w większe pudełko, żeby ją oszukać?

Nie. W środku znajdował się delikatny złoty łańcuszek z wisiorkiem w kształcie dwóch splecionych serc połączonych brylancikiem. Był śliczny. Miał tylko jedną wadę: nie był okrągły i nie pasował na jej serdeczny palec. Złość i zawiedzione oczekiwania wypełniły jej oczy łzami. Nim się spostrzegła, Michael był już obok niej, odsuwał jej włosy z ramienia i zapinał łańcuszek na szyi. Czule pocałował ją w policzek, błędnie biorąc łzy za przejaw szczęścia. Ale też nie zwrócił na nie uwagi. Szepnął do ucha:

– Wspaniale na tobie wygląda.

Wrócił na swoje miejsce i zamówił tiramisu, które przybyło pięć minut później wraz z dodatkową świecą i trzema włoskimi pieśniarzami. Skrzypek, wietrząc coraz większy napiwek, skrył się za ich plecami i zaintonował pieśń, którą chórek natychmiast podchwycił po włosku: „Szczęśliwej rocznicy”. Jeszcze bardziej zaczęła żałować, że nie została w domu.

Nawet gdy skręcili już w Long Island Expressway w kierunku Queens, Michael wciąż nie zwracał uwagi na jej milczenie. Zaczęło kropić, niebo rozjaśniła błyskawica. W bocznym lusterku Chloe obserwowała, jak zarys wieżowców na Manhattanie stopniowo maleje i znika za zabudowaniami Lefrak City oraz Rego Park, aż w końcu niemal całkiem ginie jej z oczu. Po dwóch latach znajomości Michael świetnie wiedział, na czym jej zależy, a nie był to, bynajmniej, naszyjnik. Niech go szlag! Wobec zbliżających się egzaminów do palestry miała wystarczająco dużo innych stresów, ten kamyk do sercowego ogródka był jej potrzebny jak dziura w moście.

Kiedy dotarli do zjazdu na Clearview Expressway, doszła wreszcie do

wniosku, że jakakolwiek dyskusja na temat ich wspólnej przyszłości – a może raczej jej braku – będzie musiała poczekać do końca sesji egzaminacyjnej. W tej chwili najmniej były jej potrzebne rozterki dotyczące rozpadającego się związku. Nie mogła dopuścić do skumulowania czynników stresujących. Mimo to miała cichą nadzieję, że jej uparte milczenie przez całą podróż odniesie jakiś skutek.

– Zresztą, nie chodzi tylko o zeznania – ciągnął Michael, obojętny na wszystko. – Jeśli trzeba będzie biegać do sędziego po każdą duperele, jak choćby datę urodzenia czy numer ubezpieczenia społecznego, cała ta sprawa zginie pod stertą sankcji, o które zamierzam wystąpić.

Skręcił w Northern Boulevard i zatrzymał się na czerwonym świetle. O tej porze ulice były całkiem puste. Dopiero teraz cisza panująca w samochodzie przykuła jego uwagę, spojrzał więc uważnie na Chloe i zapytał:

– Dobrze się czujesz? Nie odezwałaś się nawet słowem od wyjścia z restauracji. Chyba nie złościsz się już na mnie za spóźnienie, prawda? Powiedziałem przecież, jak bardzo mi przykro. – Zacisnął mocniej palce na obciążonej skórą kierownicy, ewidentnie szykując się na kłótnię wiszącą w powietrzu. Dodał aroganckim, ostrzejszym tonem: – Sama wiesz, jak jest w takich kancelariach. Nie można po prostu wyjść o określonej porze. Do tego wszystko się sprowadza. Moja obecność była konieczna do ustalenia korzystnych warunków ugody.

W ciasnej przestrzeni auta milczenie stawało się przytłaczające. Zanim Chloe zdążyła odpowiedzieć, pospiesznie zmienił zarówno temat, jak i ton. Wychylił się z fotela i musnął palcem dwa splecione serca wiszące jej na szyi.

– Staralem się wybrać coś wyjątkowego – powiedział ledwie głośniejszym, zmysłowym szeptem. – Podoba ci się?

Nie, nic z tego. Nie wolno jej dać się w to wciągnąć. Na pewno nie dzisiaj. Odmawiam odpowiedzi, mecenasie, ponieważ mogłaby mi zaszkodzić.

– Po prostu się zamyśliłam. – Także musnęła palcem wisiorek i odparła: – Jest piękny.

Za żadne skarby nie mogła dać po sobie poznać, że jest niepoprawną romantyczką, wściekłą z tego powodu, że nie dostała pierścionka, którego się spodziewała, o czym zdążyła już poinformować wszystkie przyjaciółki, jak też bliższą i dalszą rodzinę. Mógł sobie interpretować jej nastrój tak, jak mu pasowało, i gryźć się z tego powodu przez kilka dni. Zapaliło się zielone światło i pojechali dalej w milczeniu.

– Już się domyślam, co cię gryzie. Wiem, o czym myślisz. – Teatralnie głośno westchnął, odchylił się na oparcie fotela i stuknął otwartą dłonią w kierownicę. – Przejmujesz się egzaminem do palestry, prawda? Jezu, Chloe, zakuwasz do niego prawie bez przerwy od dwóch miesięcy. Byłem dla ciebie bardzo wyrozumiały. Naprawdę. W końcu poprosiłem tylko o ten jeden wieczór... Tylko jeden. Miałem cholernie ciężki dzień, a teraz nawet kolacja z tobą upłynęła w napiętej atmosferze. Wyluzuj trochę, dobra? Naprawdę bardzo cię potrzebuję. – Sprawiał wrażenie znudzonego, że musi jej to powtarzać na okrągło. Znów miała ochotę zdzielić go po łbie. – Uwierzyć człowiekowi, który przechodził to samo wcześniej. Przestań się zadreć tym egzaminem. Masz najlepsze oceny na roku i już zaklepaną wspaniałą pracę. Wszystko będzie dobrze.

– Przykro mi, Michael, że moje towarzystwo podczas kolacji nie poprawiło ci humoru po wyczerpującym dniu. Naprawdę mi przykro – wycedziła lodowato, z jawną ironią. – Pozwól mi tylko zauważyć, że chyba cierpisz na chwilowy zanik pamięci. Już nie pamiętasz, że wczorajszy wieczór także spędziliśmy razem? Nie powiedziałabym, że cię zaniedbuję.

Pozwolę sobie również przypomnieć, że wcale nie chciałam dzisiaj świętować naszej rocznicy, o czym ci wyraźnie mówiłam, tyle że wolałam mnie nie słuchać. A skoro już mowa o wzajemnym uprzyjemnianiu sobie wieczoru, to zapewne byłabym w lepszym nastroju, gdybyś nie spóźnił się aż dwie godziny.

Wspaniale. Oprócz dokuczliwego poczucia winy i niestrawności spowodowanej ciężkim deserem zaczynała jeszcze odczuwać ból głowy. Pomasowała sobie skronie.

Michael zwolnił i zaczął się rozglądać za miejscem przy krawężniku przed domem.

– Mogę wysiąść tutaj – powiedziała ostro.

Spojrzał na nią zdumiony, zahamował gwałtownie, zjechał na bok i stanął.

– Co takiego? Nie chcesz, żebyśmy spędzili razem noc? Sprawiał wrażenie zaskoczonego i urażonego. To dobrze.

Przynajmniej miał okazję zasmakować tego samego.

– Jestem bardzo zmęczona, a ta rozmowa... no cóż, do niczego nie prowadzi. Toteż nie ma sensu jej ciągnąć. Poza tym, musiałam odwołać wieczorne ćwiczenia aerobiku, więc z samego rana przed zajęciami muszę wziąć dodatkową lekcję.

Znów zapadła cisza. Gdy odwrócił głowę i wyjrzał przez okno, sięgnęła po zakiet i torebkę.

– Jeszcze raz przepraszam za dzisiejszy wieczór, Chloe. Naprawdę mi przykro. Chciałem, żeby to był wyjątkowy wieczór, ale, jak widać, nic z tego nie wyszło. Wybacz. Przykro mi też, że tak bardzo się przejmujesz egzaminem. Rzeczywiście, nie powinienem był cię odrywać od nauki.

Mówił miękko i cicho, jakby faktycznie czegoś żałował. Owa taktyka „wrażliwego faceta” nieco ją zaskoczyła.

Pochylił się ku niej i delikatnie przeciągnął palcem po jej policzku i szyi. Siedziała ze spuszczoną głową, udając, że szuka kluczy w torebce, i usiłując ignorować jego dotyk. Po chwili wplótł palce we włosy z tyłu głowy, przyciągnął ją lekko do siebie i musnął wargami skórę pod uchem. Szepnął:

– Niepotrzebny ci aerobik. Sam popracuję nad twoją kondycją.

Już od tamtego pierwszego dnia w sali fotopowielacza umiał sprawić, że szybko miękła. I najczęściej nie potrafiła mu odmówić. Działał na nią jego ciepły słodkawy oddech i delikatny dotyk palców przesuwających się po karku. Zdrowy rozsądek nakazywał jej zapomnieć o tych bzdurach, ale serce rządziło się zupełnie innymi prawami. Z jakichś zwariowanych powodów kochała Michaela. Jednakże tego wieczoru... No właśnie, tego wieczoru do niczego nie mogło dojść. Nawet uległość ma swoje granice. Szybko otworzyła drzwi, wysiadła i głęboko zaczerpnęła chłodnego powietrza. Kiedy się pochyliła, mogła już powiedzieć spokojnie:

– Nie licz dzisiaj na nic, Michael. Też bym chciała spędzić z tobą noc, ale jest już prawie pierwsza. Marie przyjeżdża po mnie o ósmej czterdzieści pięć i nie mogę się znowu spóźnić.

Z impetem zatrzaskała drzwi. Zgasił silnik i także wysiadł.

– Świetnie. Już rozumiem. Postanowiłaś dać mi dzisiaj do wiwatu – mruknął posepnym głosem i tak samo energicznie zatrzaskał drzwi.

Popatrzyła na niego, odwróciła się na pięcie i z dumnie uniesioną głową ruszyła przez podwórko w stronę budynku.

– Jasna cholera – syknął i rzucił się biegiem. Zrównał się z nią i złapał ją za rękę. – Przestań, dobrze? Zrozum, czuję się sfrustrowany. Przyznaję, masz pełne prawo uważać, że jestem nieczuły jak głaz. – Spojrzał jej w oczy, wypatrując oznak, że może bezpiecznie mówić dalej. Bez wątpienia nadal widniały w nich błyski wściekłości, nie odwróciła jednak głowy, uznał to

więc za dobry znak. – Jak już powiedziałem, dałem plamę, ale miałem naprawdę cholernie ciężki dzień. Wiem, że zawiniłem. Przestań się wreszcie dąsać i wybacz mi – szepnął. – Nie kończmy tego wieczoru w taki sposób.

Znów położył jej dłoń na karku i pocałował ją czule. Wargi miał rzeczywiście słodkawe.

Po chwili odsunęła się i uniosła dłoń do ust.

– W porządku. Wybaczam ci. Ale to nie oznacza, że zgodzę się na wspólną noc – powiedziała spokojnie.

Bardzo chciała zostać sama, żeby wszystko przemyśleć, zastanowić się, czy ten związek w ogóle ma szansę wyjść poza sypialnię. W świetle ulicznych latarni wydłużone cienie zarośli pograżały chodnik w głębokim mroku. Wiatr przybierał na sile, gałęzie drzew i krzewów chwiały się mocno w jego porywach. Gdzieś w oddali zaszczekał pies. Po niebie przetoczył się grzmot.

Michael podniósł głowę.

– Chyba zaraz będzie padało – powiedział w zamyśleniu, nie wypuszczając z uścisku jej dłoni.

W milczeniu podeszli razem do wejścia. Na schodach uśmiechnął się smutno i mruknął:

– Cholera. A myślałem, że to niezawodny sposób. Męska wrażliwość powinna robić wrażenie na kobietach. Jeżeli facet nie wstydzi się płakać, to znaczy, że nie boi się okazywać uczuć.

Zachichotał, ewidentnie oczekując od niej w odpowiedz przynajmniej skromnego uśmiechu. Pogłaskał ją po dłoni, ostrożnie cmoknął w policzek i przesunął głowę, chcąc pocałować w usta. Stała z zamkniętymi oczami i lekko rozchylonymi wargami.

– Wyglądasz dziś tak kusząco, że chyba naprawdę będę płakał, jeśli nie

spędzimy tej nocy razem.

Kiedy nie uda ci się za pierwszym razem... spróbuj ponownie.

Delikatnie przesunął palcami po jej plecach w kierunku pośladka. Nawet się nie poruszyła.

– Wcale nie jest jeszcze za późno, żeby zmienić zdanie – rzekł, nie przestając wodzić dłonią po jej biodrach. – Mogę szybko przestawić samochód.

Jego dotyk był elektryzujący. Chloe zdołała się jednak odsunąć i otworzyła drzwi. Do diabła, musiała dać mu nauczkę i nawet rozbudzone libido nie zdoła jej przed tym powstrzymać.

– Dobranoc, Michael. Porozmawiamy jutro. Popatrzył na nią takim wzrokiem, jakby go kopnęła w brzuch. Albo gdzie indziej.

– Szczęśliwej rocznicy – powiedział cicho, gdy wślizgiwała się do środka.

Szklane drzwi zamknęły się samoczynnie z cichym trzaskiem.

Powoli ruszył z powrotem do samochodu, obracając w palcach kluczyki. Szlag by to trafił. Naprawdę spieprzył dzisiejszy wieczór. Dał płamę na całej linii. Przy drzwiach odwrócił się i spojrzał na budynek. Chloe stała w oknie swego mieszkania, pomachała mu na pożegnanie, jakby nic się nie stało. Ale widać było po jej minie, że nadal jest wściekła. Pospiesznie zamknęła żaluzje i zniknęła mu z oczu. Wsiadł za kierownicę, wykręcił i pojechał z powrotem w kierunku autostrady prowadzącej na Manhattan, zastanawiając się, jak wszystko naprawić. Przyszło mu do głowy, żeby z samego rana wysłać jej kwiaty. Tak, to był dobry pomysł. Wysokie czerwone róże z gorącymi przeprosinami i obowiązkowym: „Kocham cię”.

Powinny wyciągnąć go z psiej budy i znów otworzyć drogę do jej łóżka. Burza zbliżała się coraz szybciej. Kiedy skręcał w Clearview Expressway, zostawiając za sobą Bayside, po niebie przetoczył się kolejny grzmot.

. 4 .

Klaun spoglądał lubieżnym wzrokiem na jej ponętne nogi wysuwające się ze srebrnego bmw. Długie i pięknie opalone, pewnie pod kwarcówką w jakimś drogim solarium. Miała na sobie krótką i obcisłą – ach, jak obcisłą! – czarną spódniczkę i jedwabną różową bluzkę z koronkowym stanikiem odsłaniającym krągłości jej pełnych, bujnych piersi. Na ręku niosła czarny żakiet tworzący chyba komplet ze spódnicą. Różowy był jej ulubionym kolorem – i jego też – dlatego bardzo się ucieszył, że właśnie tak się ubrała na dzisiejszy wieczór. Mmm... w różu bardzo ci do twarzy! Na jego wargach powoli rozkwitł szeroki uśmiech. Przyszło mu na myśl, że może w końcu ten wieczór wcale nie będzie taki zły. Prawdę mówiąc, sprawy zaczynały przybierać bardzo korzystny obrót. Aż zasłonił dłonią usta, żeby się powstrzymać od radosnego chichotu.

Długie blond włosy spadały jej na kark kaskadą falistych loków. Doleciał go słodki, seksowny zapach perfum unoszący się w wilgotnym powietrzu. Od razu rozpoznał jej ulubioną markę, Chanel No. 5. Pot coraz intensywniejszymi strumieniami spływał mu po bokach i plecach.

Za długo jednak rozmawiała z tym gogusiowatym palantem, jej chłopakiem. Nie wyglądała na zadowoloną. Gadu, gadu, gadu... Zapomnieli, która godzina? Pora wracać do domu. Iść do łóżka! W zdenerwowaniu cicho zabębnił palcami o swoją czarną nylonową torbę – torbę pełną sztuczek.

Wreszcie trzasnęły drzwi. On jednak niespodziewanie także wysiadł i trzasnął drugimi drzwiami. W głębi ulicy zaszczekał pies. Klaun poczuł lekkie drżenie kolan. A jeśli te hałasy obudzą kogoś z sąsiedztwa?

Nikt jednak nie wyjrzał na ulicę. Goguś szybkim krokiem dogonił ją na

chodniku i złapał za rękę. Znow zamienili cicho parę zdań, których nie zdołał wyłowić. Potem on pocałował ją żarliwie w usta. Trzymając się za rękę, podeszli do wejścia. Głośno stukając obcasami o beton, przeszła tak blisko jego kryjówki, że gdyby wyciągnął rękę, mógłby chwycić ją za kostkę. Znowu obleciał go strach. Czyżby ten palant chciał z nią wejść do środka? To by zniweczyło cały plan. Przecież zabawiał się z nią do woli ubiegłego wieczoru, teraz była jego kolej!

Na progu pocałowali się jeszcze raz, po czym ona weszła sama na klatkę schodową. Oho, coś ci dzisiaj nie poszło, prawda, kutasie? Klaun zachichotał bezgłośnie.

Goguś zawrócił i ze spuszczoną głową ruszył z powrotem do samochodu, pobrzękując trzymanymi w dłoni kluczykami. Jak dobrze wychowany, grzeczny chłopczyk zczekał, aż zapalą się światła w jej oknach, a ona pomacha mu na pożegnanie, zanim stąd odjedzie.

Klaun skwitował to uśmiechem. Jakie to urocze. Gogusiowaty kutas odprowadza panienkę do domu i całuje ją na dobranoc. Karaluchy pod poduchy!... Potem czeka jeszcze na ulicy, by się upewnić, że wszystko jest w porządku, nic jej nie zagraża, nie czyha na nią żaden łajdak. Śmiechu warte!

Pięć minut później zapaliło się światło w sypialni, blask z okna padł na krzaki. Cofnął się bardziej w głąb. Tuż nad nim zahuczał włączony klimatyzator, parę kropli skondensowanej pary spod obudowy pociekło mu na głowę. Po iglakach przesunął się jej cień w smudze światła padającego z pokoju i chwilę potem żywoplot znow pogrzyżył się w mroku, gdy zamknęła żaluzje.

Jeszcze przez dwadzieścia minut po zgaśnięciu światel klaun tkwił w całkowitym bezruchu. Kolejne grzmoty rozlegały się coraz głośniejsze, coraz bliżej. W końcu zaczęło padać.

Z początku lekko, wiedział jednak, że deszcz szybko przybierze na sile. Porywy wiatru były coraz gwałtowniejsze, pod jego naporem iglaki bujały się na wszystkie strony w obłąkańczym tańcu przy mętym blasku ulicznych latarni. Burza zbliżała się szybko. Na szczęście ona w samą porę wróciła do domu.

Podniósł torbę, przekradł się za róg budynku i stanął pod oknem jej saloniku – tym z wyłamanym zamkiem. Dokładnie o 1.32 w nocy ściągnął z głowy maskę klauna. Pobieźnie otrzepał z piasku dzinsy, które nagle wydały mu się zbyt obcisłe, ostrożnie podniósł okno i wśliznął się do środka, uciekając przed ulewą.

. 5 .

Chloe popatrzyła przez okno, jak Michael powoli, ze spuszczoną głową wraca do samochodu. Od niechcienia pomachała mu ręką, po czym, kiedy tylko odpowiedział w ten sam sposób, szybko zamknęła żaluzje. Miało to być dla niego następne przesłanie.

Rozejrzała się po saloniku i ogarnęło ją nagłe poczucie osamotnienia w tym pustym, nieznośnie rozgrzanym mieszkaniu. Drobną satysfakcją z odniesionego zwycięstwa prysła równie szybko, jak się pojawiła. Na jej miejscu pojawił się żal, że mimo wszystko nie pozwoliła Michaelowi zostać na noc.

W końcu poranne zajęcia z aerobiku były jedynie wymówką. Kogo próbowała oszukać? Przecież nie zamierzała, bynajmniej, wstać o szóstej rano i jechać na gimnastykę. A skoro w ciągu najbliższych dwóch tygodni nie zamierzała stawiać otwarcie pytania: „Do czego naprawdę zmierza ten związek?”, to cóż by się stało złego, gdyby spędzili tę noc razem?

Po prostu byłaś wściekła, że na „Szczęśliwą Rocznicę” nie dostałaś tego, na czym ci zależało, dlatego uparłaś się, że i ty nie dasz mu tego, czego pragnie.

Bomba. Nawet schizofreniczna część jej świadomości była już przekonana, że postąpiła jak wściekła suka. Równocześnie zdawała sobie sprawę, że gdyby pozwoliła Michaelowi zostać na noc, prowadziłaby podobny wewnętrzny dialog koło trzeciej nad ranem, tyle że ze swoją miękką, uległą osobowością pozbawioną kręgosłupa. Była wykończona i przygnębiona, pomyślała więc, że parę tabletek tylenolu powinno stłumić bolesne łomotanie pulsu w skroniach.

W mieszkaniu było gorąco jak w piecu. Nie otwierała okien przez cały dzień, toteż wszystkie sprzęty na dotyk nadal były wyraźnie ciepłe. Pozbierała listy leżące w przedpokoju na podłodze i poszła z nimi do kuchni.

Zapaliła światło i ogarnęła szybkim spojrzeniem ciasną przestrzeń. Westchnęła głośno na widok bałaganu, piętrzących się w zlewie naczyń z wczorajszej kolacji i stojących wciąż na stole talerzy po śniadaniu, obsypanych ziarenkami i piórkami papużki. W klatce Pete zamrugął szybko, oślepiony jaskrawym blaskiem, po chwili spadł z drążka i z cichym stukiem wylądował na podłodze.

Pospiesznie zgarnęła talerze, ułożyła je na szczycie sterty w zlewie, spryskała zielonym płynem Palmolive i zaczęła polewać strumieniem wody z węża założonego na końcówkę kranu. Tymczasem Pete zdołał się pozbierać z podłogi, przefrunął z powrotem na żerdkę, zaskrzeczał na nią ze złością i przystąpił do czyszczenia skrzydełek, wyrzucając z klatki na stół zielone i białe piórka. Chloe zgrzytnęła zębami i szybko narzuciła na klatkę kuchenną ścierkę. Jeszcze raz obrzuciła spojrzeniem całą kuchnię i zgasiła światło, odnotowując w pamięci, żeby z samego rana zadzwonić po sprzątaczkę z firmy Merry Maids. Popiła dwie tabletki tylenolu kilkoma łykami miętowej mylanty przeciwko zgdze i poszła do sypialni, mając nadzieję, że klimatyzator zdążył już odświeżyć powietrze.

Rzuciła korespondencję na łóżko, ustawiła nawiew na maksimum, po czym zaczęła szukać w szufladzie bieliźniarki którejś ze swoich ulubionych różowych piżam, odsuwając na bok bogatą kolekcją drogiej koronkowej bielizny z salonu Victoria's Secret, którą Michael kupował jej w prezencie od dwóch lat. Znalazła je dopiero w dolnej szufladzie. Porozciągane i sprane bawełniaki nie wyglądały ani trochę seksownie. Miotane wiatrem gałęzie iglaków z głośnym szelestem przesunęły się po okiennej szybie, zakłócając

monotonny stukot deszczu o parapet. Prognozy pogody zapowiadały na dzisiejszą noc gwałtowną burzę. Stała przy oknie i przyglądała się przez chwilę, jak wichura przygina do ziemi czubki drzew, jakby to były źdźbła słomy. Wreszcie zamknęła żaluzje i włączyła telewizor, żeby mieć choć namiastkę towarzystwa. Bez zainteresowania popatrzyła na scenę ze starego odcinka *Rodziny Bradych*.

Rzuciła się na łóżko obok listów i wcisnęła klawisz odtwarzania automatycznej sekretarki. Rachunek, rachunek, reklamówka, „People”, następny rachunek... Tak bez końca. Generowany komputerowo kobiecy głos oznajmił: Nie masz żadnych nowych wiadomości głosowych w skrzynce odbiorczej.

Spojrzała ze zdziwieniem na aparat. Zabawne. Na wyświetlaczu świeciła na czerwono cyfra 3, sygnalizująca trzy zarejestrowane wiadomości. A przecież wykasowała skrzynkę odbiorczą przed wyjazdem do miasta. Wcisnęła klawisz ponownego odsłuchiwania nagranych komunikatów.

Masz trzy wiadomości głosowe w skrzynce odbiorczej.

Wiadomość pierwsza. Dzisiaj, dziewiętnasta dziewiętnaście.

Z głośnika doleciał lekko roztrzęsiony głos matki:

„Chloe, to ja, mama. Widocznie dziś wieczorem znów się uczysz do egzaminu”. Poczowała nieprzyjemny skurcz żołądka. „Zadzwoń do mnie, jak wrócisz. Musimy porozmawiać na temat naszego przyjazdu w przyszłym miesiącu. Uważamy razem z tatą, że powinniśmy zarezerwować pokój w hotelu, bo w twoim mieszkaniu jest tak ciasno. Dlatego chciałabym się dowiedzieć, które hotele na Manhattanie są dość przyjemne, ale niezbyt drogie i nie za bardzo oddalone od twojego domu. Zadzwoń, proszę”.

Jasne. Czapki z głów przed tym, kto znajdzie odpowiednie hotele w Nowym Jorku.

Wróciła do przeglądania poczty. Kolejny rachunek. Kiedy miała czas na kupowanie tych wszystkich rzeczy, za które teraz będzie musiała zapłacić?

Druk na kartę kredytową. Wspaniale, będzie mogła pracować na dalsze rachunki.

Wreszcie pod koniec pokaźnego stosiku znalazła kremową kopertę zaadresowaną charakterystycznym niedbałym pismem ojca. Uśmiechnęła się. Od czasu, gdy wyjechała z Kalifornii, żeby studiować prawo w Nowym Jorku, ojciec regularnie pisywał co najmniej raz w tygodniu i zawsze z radością witała ciepłe, zabawne listy od niego. Czasami zawierały po kilka kartek, kiedy indziej było to zaledwie parę słów, nieodmiennie jednak zaczynały się tymi samymi słowami: „Cześć, Żelko! Jak się miewa moja duża dziewczynka w wielkim mieście?” To przezwisko przyłgnęło do niej, gdy miała pięć lat i ze wszystkich słodyczy najbardziej lubiła żelki. I chociaż skończyła dwadzieścia cztery lata, dla ojca wciąż była tą samą słodką dziewczynką. Odłożyła list na później i zaczęła przeglądać najnowszy numer „People”.

Druga wiadomość. Dzisiaj, dwudziesta dziesięć.

Rozległ się głos Marie.

„Żałuj, Chloe, że wypięłaś się dziś na nas wszystkich. Mieliśmy ubaw po pachy. Poważnie. Ominęła cię zażarta dyskusja na temat orzeczeń wymierzonych przeciwko wieczności. Była zdecydowanie bardziej zabawna od *Ducha w operze*. Aha, nie zapomnij, że jutro są ćwiczenia z prawa federalnego, zatem przyjadę po ciebie kwadrans wcześniej, o wpół do dziewiątej. Nie zaśpij! Mhm... Może jednak powinnam się z tobą umówić na ósmą? Do zobaczenia”.

Cholera. Całkiem zapomniała o teście z federalnego. Miała kolejny powód, żeby się wściekać na Michaela.

Trzecia wiadomość. Dzisiaj, dwudziesta trzecia trzydzieści dwie.

Długa cisza. W tle dał się słyszeć stłumiony szelest jakby zgniatanej kartki papieru. W końcu spięty męski głos ze śpiewnym akcentem szepnął do słuchawki: „Chloe, Chloe, gdzie jesteś?”

I znów cisza. Jeszcze przez chwilę słychać było czyjś oddech i połączenie zostało przerwane.

To było coś niezwykłego. Popatrzyła z niedowierzaniem na automatyczną sekretarkę.

Koniec nagranych wiadomości.

To musiał być któryś chłopak z jej grupy. Czasami zajęcia przeciągały się do późnego wieczoru, więc zapewne Rob albo Jim postanowił zrobić jej kawał. Prawdopodobnie podejrzewali, że tuż przed północą jest już w domu i dobrze się bawi, podczas gdy oni wciąż siedzą na uczelni, dlatego wymyślili rodzaj zemsty, mając nadzieję, że zaskoczą ją tą wiadomością w intymnej sytuacji. Tak, zapewne o to właśnie chodziło. Szybko wcisnęła klawisz na obudowie urządzenia.

Wiadomości zostały skasowane.

Wsunęła się pod kołdrę i ułożyła wysoko poduszki, żeby przeczytać list od ojca. Była jedynaczką, toteż rodzice bardzo przeżywali jej wyjazd na Uniwersytet St. John's. Jeszcze większym ciosem musiała być dla nich wiadomość, że nie zamierza wracać do Kalifornii. Żadne z nich nie lubiło Nowego Jorku, niemalże brzydzili się samą myślą o mieszkaniu w tej metropolii. Byli bardzo przywiązani do niewielkiego miasteczka w północnej Kalifornii, w którym się wychowała. Perspektywa spędzenia życia w betonowym molochu wznoszącym się pięćdziesiąt pięter w górę, nie dalej niż dziesięć metrów od kogoś obcego mieszkającego w sąsiednim budynku, była im równie obca jak myśl o zamieszkaniu w igloo. Prawdę powiedziawszy,

gdyby musieli wybierać, pewnie woleliby igloo. Matka dzwoniła dwa albo trzy razy w tygodniu, po to tylko, by się upewnić, że Chloe nie została jeszcze napadnięta, zgwałcona, obrabowana czy okradziona w tym mieście, które dla nich było schronieniem dla trzech milionów bandytów, gwałcicieli, rabusiów i złodziei. Z tego samego powodu ojciec pisywał listy.

Położyła resztę korespondencji na stercie podręczników prawa piętrzącej się na nocnym stoliku i włożyła okulary. Podniosła list i zmarszczyła brwi.

Koperta została rozcięta czymś ostrym wzdłuż jednej krawędzi. W środku nic nie było.

. 6 .

Usiadła błyskawicznie, czując lodowate ukłucia na skórze. Ciarki przeszły jej po plecach i rękach. Od razu przyszedł jej na myśl Marvin. Lękliwie zerknęła na sufit i pospiesznie podciągnęła kołdrę, jakby obawiała się, że sąsiad może przenikać wzrokiem ściany.

Dziwak mieszkał dokładnie nad nią. Bezrobotny wyrzutek zajmował lokal na pierwszym piętrze, kiedy się tu wprowadzała przed kilkoma laty. Bardzo szybko przekonała się, że coś z nim jest nie tak. Wszyscy o tym wiedzieli. Każdego ranka obserwował podwórko z okna swojego saloniku. Zawsze stał tak samo, w rozpiętym szlafroku ze zwisającym po bokach paskiem, jakby chciał się wszystkim pochwalić lekko obwisłym, owłosionym brzuchem, traktując go jak wizytówkę tego, czego nie widać. Nalane policzki wiecznie okrywała szarawa szczecina zarostu, a zza szkieł czarnych plastikowych okularów spoglądały drobne oczka osadzone zdecydowanie za blisko siebie. I zawsze tak samo w jednym ręku trzymał czarną filiżankę z kawą, a drugą... Chloe wolała nie myśleć o tym, co robi drugą ręką. Na szczęście zasłaniał to parapet.

Wśród mieszkańców krążyły plotki, że Marvin jest niestabilny emocjonalnie, żyje z renty i do niedawna korzystał z pomocy matki staruszki. Sąsiedzi między sobą nazywali go Normanem i spekulowali, co się stało z jego matką, której nikt nie widywał od dłuższego czasu. Chloe przez lata uważała Marvina za niegroźnego dziwaka. Tylko z rzadka spotykała go w korytarzu bądź na schodach. Nigdy się nie uśmiechał, a mijając ją, wydawał z siebie nieartykułowane pomruki.

Ale przed dwoma miesiącami popełniła fatalny w skutkach błąd i

pomachała mu ręką, biegnąc przez podwórze do samochodu. Tego samego wieczoru czekał na nią przy schodach, trzymając w ręku list. Na jej widok uśmiechnął się krzywo, odsłaniając drobne pożółkłe zęby, i oddał list, mamrocząc, że listonosz musiał pomylić adres, po czym odszedł pospiesznie, żeby wrócić na swój szpiegowski posterunek w oknie saloniku.

Od tamtego czasu nierozgarnięty listonosz mylił adres co najmniej trzy razy, a w dodatku Marvin znalazł sobie nowe hobby i zaczął często podlewać kwiatki w holu przy schodach dokładnie w tym samym czasie, kiedy ona wracała z zajęć. Teraz ze zdwojoną siłą odczuwała na sobie jego wzrok, gdy codziennie rano szła przez podwórko, a ponadto zaczęła spotykać Marvina w holu przy schodach także późnymi wieczorami. Zwykle zabawnie kiwał głową na boki jak tandetna samochodowa maskotka i mierzył ją lubieżnym spojrzeniem. Chcąc uniknąć tych spotkań, często wchodziła do budynku od tyłu, wejściem znajdującym się przy pralni.

Dwa tygodnie temu zaczęła odbierać dziwne telefony. Rozmówca odkładał słuchawkę, kiedy tylko się odzywała. A gdy i ona odkładała słuchawkę, nad jej głową rozlegały się ciężkie kroki Marvina chodzącego po pokoju. Może więc i tego wieczoru zadzwonił, po czym nagrał wiadomość, zebrawszy się w końcu na odwagę, żeby powiedzieć choć dwa słowa.

Ale wczoraj zostawiła część swojego prania w suszarce i wróciła do mieszkania, bo zabrakło jej drobnych, a kiedy wracała po nie do pralni, natknęła się na schodach na Marvina znowu udającego, że podlewa kwiatki. Po przyniesieniu całej bielizny, spostrzegła ze zdumieniem, że brakuje dwóch par majtek.

Teraz w dodatku ktoś otworzył adresowaną do niej kopertę i zabrał list. Na samą myśl, że piętro wyżej Marvin go teraz czyta i międli w łapach jej majtki, leżąc w łóżku, poczuła mdłości. Postanowiła solennie, że zaraz po

egzaminie do palestry zacznie się rozglądać za innym mieszkaniem, chociaż w Nowym Jorku było o nie bardzo trudno. Nie chciała jednak dłużej mieszkać w sąsiedztwie świra. Gdyby sprawy potoczyły się trochę inaczej, mogłaby nawet brać pod uwagę możliwość przeniesienia się do Michaela, ale tak...

Znów rozboleła ją głową. Nie była jednak pewna, czy może wziąć drugą porcję tylenolu. Wstała z łóżka, przeszła przez salonik i po raz kolejny sprawdziła, czy drzwi wejściowe są dobrze zamknięte. Wyjrzała nawet przez wizjer, oczyma wyobraźni widząc Marvina kręcącego się po korytarzu z czarną filiżanką w jednej ręce i konewką do podlewania w drugiej. Ale nikogo nie zobaczyła, korytarz tonął w ciemności.

Jeszcze raz sprawdziła, czy obie zasuwki są zamknięte, a po namyśle zakleiła szczelinę na listy kawałkiem taśmy samoprzylepnej, żeby Marvin nie był w stanie odchylić palcami zapadki, by zajrzeć do mieszkania. Postanowiła, że nazajutrz zabije szczelinę gwoździami i kawałkiem deski, po czym zgłosi na pocztę, że od tej pory będzie osobiście odbierać korespondencję.

Pospiesznie wróciła do sypialni, wyraźnie chłodniejszej od reszty pomieszczeń. Zamykając za sobą drzwi, odruchowo zerknęła na sufit, jakby z obawy, że Marvin zaczął się z kolei bawić wiertarką. Nie zauważyła jednak żadnych dziur. Jeszcze przez parę minut gapiła się tępo w ekran telewizora, dopóki nie zelżało trochę bolesne łomotanie puls w skroniach. Za oknem strzeliła błyskawica, światła przygasły na moment. Zapowiadała się bardzo silna burza, mogła zupełnie pozbawić ludzi prądu na jakiś czas. Wreszcie wyłączyła telewizor, zgasiła światło, ułożyła się pod kołdrą i zasłuchała w monotonne bębnienie deszczu o szyby i pokrywę klimatyzatora. Na razie jeszcze nie padało za mocno, ale już niedługo mogło przyjść prawdziwe

urwanie chmury. To dobrze. Po ostatnich upalnych dniach powietrze w mieście niemal dopraszało się o zmianę.

Wycieńczona zarówno fizycznie, jak i psychicznie, szybko zapadła w głęboki sen. Była w połowie dziwnego i skomplikowanego snu dotyczącego egzaminu kwalifikacyjnego do palestry, gdy tuż nad nią rozległ się stłumiony, chrapliwy męski głos:

– Cześć, Żelko. Jak się miewa duża dziewczynka w wielkim mieście? Nie chce się trochę zabawić?

. 7 .

Bez najmniejszego kłopotu wśliznął się do salonu przez uchylone okno z wyłamany zamkiem. Na zewnątrz dopiero zaczynało padać, ale on był już całkiem przemoczony. Przy zamkniętych żaluzjach w pokoju panowały kompletne ciemności. Ale dla niego nie stanowiło to żadnej przeszkody, gdyż doskonale znał rozkład mieszkania. Z kuchni dolatywało głośnie tykanie zegara. Ostrożnie obszedł duży jadalny stół z ostrymi kantami obitymi metalową taśmą oraz niski stolik do kawy, ze szklanym blatem, na którym leżały rozrzucone gazety z trzech ostatnich dni.

Wcześniej bywał tu już wielokrotnie. Często przerzucał gazety, przeglądał czasopisma, wodził palcami po grzbietach podręczników prawa. Odsłuchiwał wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce, czytał e-maile w komputerze, przeglądał rachunki, stąd też wiedział, że masywny stół w saloniku pochodzi z firmy Pier One Imports i nie został jeszcze do końca spłacony. Wiedział, że nosi ubrania numer cztery, znał wszystkie jej sukienki, dotykał jedwabnych bluzek i obwąchiwał świeżo upraną bieliznę delikatnie pachnącą zmiękcaczem marki Tide and Snuggle. Próbował nawet jej pizzy, której niedojedzony kawałek leżał w lodówce – on także ten rodzaj lubił najbardziej, z kiełbasą, pieczoną wołowiną i podwójnym serem. Wiedział, że używa szamponu Pantene, mydła Dial i wspaniałych perfum Chanel No. 5. W łazience wykończonej na żółto i jasnozielono kilka razy rozbierał się do naga i nacierał całe ciało jej kremem marki Bath and Body Works, o kuszącym zapachu frezji, wyobrażając sobie, jak to będzie cudownie, kiedy w końcu poczuje dotyk jej palców na swoim członku. Później nie mył się przez kilka dni, pozwalając, żeby ten zapach pozostał na

skórze i stale mu o niej przypominał. Wiedział, że jej matka, Marlenę, nosiła panięńskie nazwisko Townsend. Znał adres redakcji małej lokalnej gazety, w której pracował ojciec. Naprawdę wiedział niemal wszystko o Chloe Joannie Larson.

Teraz, stojąc na środku saloniku, głęboko odetchnął powietrzem przesyconym jej zapachem. Przeciągnął dłonią po kanapie i musnął palcami leżące na niej poduszki. Podniósł rzucony na oparcie żakiet, który miała na sobie dzisiejszego wieczoru, uniósł go do twarzy i powąchał przez drobne dziurki w masce klauna. Wreszcie ruszył powoli do sypialni znajdującej się na drugim końcu małego przedpokoju.

Nagle w kuchni Pete zatrzepotał skrzydłami, aż głuchoe odgłosy uderzeń piórek o pręty klatki rozniosły się po całym mieszkaniu. Klaun zastygł bez ruchu i nastawił ucha w obawie, że ten hałas mógł ją zbudzić. Pod maską znów wystąpiły mu krople potu. Oddychał płytko i szybko, ale regularnie. Zaskoczenie było dla niego kluczowym elementem, cały plan wzięłby w łeb, gdyby teraz wstała z łóżka. Minutowa wskazówka taniego szarego zegara kuchennego z głośnym stukiem przeskakiwała co sekundę. Tykanie pomogło mu się skupić na odmierzaniu czasu. Pozostał bez ruchu na miejscu przez dziesięć minut, ale z sypialni nie doleciał nawet najlżejszy podejrzaný hałas.

Wyjrzał do przedpokoju i popatrzył na drzwi sypialni. Teraz, gdy nadszedł wreszcie ten moment, ledwie mógł nad sobą zapanować. Dobiegający z za nich jednostajny szum klimatyzatora nagle zmienił natężenie, gdy termoregulator zmniejszył obroty wiatraka. Zacisnął palce na gładkiej staroświeckiej gałce i znów zastygł bez ruchu na kilka długich sekund, rozkoszując się napięciem tej chwili, krążącym w jego żyłach niczym ładunek elektryczny.

Myślę, Bob, że wybiorę bramkę numer trzy!

Na jego wargach pod maską rozlał się powoli szeroki uśmiech. Szybko przekręcił gałkę, otworzył drzwi i wszedł na palcach do sypialni.

. 8 .

Nagły impuls strachu przeszył całe jej ciało. We śnie spóźniła się pięć minut na egzamin i wyklócała się właśnie z członkami komisji, by mimo to pozwolili jej zdawać. Jeszcze przez ułamek sekundy nie była w stanie otworzyć oczu, gdyż jej umysł za wszelką cenę próbował dopasować usłyszane właśnie słowa do sceny rozgrywającej się we śnie.

Chwilę później poczuła na twarzy zimny dotyk gumy i złowiła zapach talku z lateksowej rękawiczki, którą ktoś zasłonił jej usta. Nieznośny ciężar zwałił się nagle na piersi, aż zabrakło jej oddechu. Usiłowała krzyknąć, lecz z gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Usta wypełniło nagle coś gładkiego i miękkiego, wepchnęło się tak daleko, że ledwie zdołała pohamować odruch wymiotny. Oczy, teraz szeroko rozwarte z przerażenia, bezskutecznie usiłowały dostosować się do ciemności w pokoju. Błyskawicznie uniosła ręce do twarzy, ale natychmiast zostały odgięte dalej, nad głowę, i szybko przywiązane do metalowej ramy łóżka cienką linką. Następnie przyszła kolej na nogi, które także zostały unieruchomione, szeroko rozłożone i przywiązane do zewnętrznych prętów ramy.

To nie może się dziać naprawdę! To musi być jakiś senny koszmar. Błagam, Boże, pozwól mi się obudzić! Daj mi się natychmiast obudzić!

W ciągu niespełna czterdziestu sekund została całkowicie unieruchomiona. Dopiero teraz jej wzrok dostosował się do mroku, zaczęła więc wodzić oczami gwałtownie, chcąc zobaczyć napastnika.

Kucał przy nogach łóżka, dociskając supły na lince związanej wokół lewej kostki. Żołądek podszedł jej do gardła. Jego twarz i łysina połyskiwały upiorną bielą w czerwonym blasku wyświetlacza elektronicznego budzika.

Po bokach głowy miał gęste kępkę odstających jaskrawo purpurowych włosów. Kiedy wreszcie się wyprostował, ujrzała szeroki uśmiech na krwistoczerwonych wargach i kartoflowaty nos. To była twarz klauna, gumowa maska. W prawym ręku trzymał długi nóż.

Może zależy mu tylko na pieniądzach. Proszę, weź sobie telewizor, zabierz wieżę stereo. Moja torebka leży na stoliku w dużym pokoju.

Chciała mu to wykrzyzczyć prosto w twarz, ale z powodu knebla w ogóle nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

Obchodząc bez pośpiechu róg łóżka, teatralnym gestem przeciągnął palcem po ostrzu noża. Nawet na chwilę nie spuszczał jej z oczu, spoglądając przez małe czarne dziurki w masce. Czuła na sobie jego wzrok, wsłuchiwała się w przyspieszony oddech, łowiła kwaśny odór potu. Gwałtownie szarpnęła rękoma i nogami w desperackiej nadziei na uwolnienie się z więzów, ale nie zdołała nawet drgnąć. Osiągnęła tylko tyle, że sznury wbiły się mocniej w skórę poniżej kostek nóg i poczuła mrowienie w koniuszkach palców. Próbowwała wypluć knebel, żeby krzyknąć na całe gardło, lecz nie była w stanie poruszyć językiem. Ponownie przeszył ją dreszcz grozy z powodu swojej bezsilności wobec napastnika, który zatrzymał się w nogach łóżka z prawej strony.

Dotknął jej stopy i wolno przeciągnął palcem po łydce, kolanie i udzie, aż doszedł do skraju bluzy od piżamy. Chloe wzdrygnęła się pod jego dotykiem. Nie miała dokąd uciekać. Wsłuchiwała się w łomot serca, które coraz głośniejszy waliło jej w piersi.

Szum klimatyzatora jeszcze przycichł. Zza okna dolatywało jednostajne bębnienie deszczu o szyby i blaszaną obudowę urządzenia. Burza przybierała na sile. Huknął grom, niebo rozświetliła błyskawica, a jej blask, który przedarł się między listewkami żaluzji, na krótko wyłowił z mroku sylwetkę

bandyty. Dostrzegła również purpurowe kapki krzaczastych brwi i czerniejące półkole szerokiego uśmiechu lateksowej maski. Włosy jej się zjeżyły na karku.

Mężczyzna odwrócił się nagle i położył nóż na nocnym stoliku. Wyciągnął szufladę i wyjął dwie grube świece o zapachu kokosowym oraz pudełko zapalek. Przyglądała się, jak je zapala, jak rozchwiany blask płomyków wypełnia pokój, a w powietrzu rozchodzi się delikatny aromat. Przez kilka dobrych minut przyglądał się jej w milczeniu, mąconym jedynie szmerem jego oddechu wydobywającego się przez drobne otwory w masce. W świetle zapalonych świec na ścianie rysował się jego niewyraźny, rozdygotany cień.

– Witaj, Chloe.

Słowa, które z cichym świstem wydobyły się spod lateksowej maski, dziwnie kłóciły się z karykaturalnym, zastygłym wyrazem namalowanej twarzy. Odniosła wrażenie, że dostrzega wlepione w siebie, lodowatoniebieskie źrenice spoglądające zza czarnych otworów.

– Stęskniłem się za tobą. Już myślałem, że w ogóle nie pokażesz się dziś wieczorem. – Znów podniósł nóż ze stolika. – Czyżbyś zrezygnowała z dzisiejszego aerobiku, żeby spędzić ten wieczór ze swoim chłopakiem? No, no. Nieładnie.

Poczuła ciarki na skórze. Nie tylko znał jej imię, ale wiedział również, że opuściła zajęcia z aerobiku. Czyżby pracował na sali gimnastycznej? Gorączkowo usiłowała w myślach skojarzyć brzmienie jego głosu, głębokiego i gardłowego, choć obecnie tłumiała je maska klauna. Zdawało jej się, że wyławia lekkie seplenienie bądź ślad obcego akcentu, który starał się ukryć. Mógł być Brytyjczykiem?

Klęknął przy łóżku, pochylił się do jej ucha i delikatnie przeciągnął

palcami po policzku. Doleciała ją charakterystyczna woń lateksowej maski i delikatny zapach Quorum, takiej samej wody kolońskiej, którą kupiła Michaelowi na Gwiazdkę. W jego oddechu czuć było kawę.

– Chyba już wiesz, że powinnaś była pozwolić mu zostać na noc – szepnął tuż przy jej twarzy.

Za oknem znowu błysnęło, na krótko napełniając sypialnię jaskrawym blaskiem. Dostrzegła w nim połyskujące ostrze noża uniesionego do zadania ciosu i wymierzonego w jej brzuch. Zamarła z przerażenia.

Klaun zachichotał i wstał. Znów przeciągnął palcem po jej ciele, tym razem po rękę od dłoni do ramienia, a następnie w kierunku piersi okrytej cienką bawełnianą piżamą. Ostrze noża wędrowało w ślad za jego palcem, zawieszony kilkadziesiąt centymetrów w górze.

– Taka śliczna dziewczynka jak moja Chloe nigdy nie powinna zostawać sama. – Szybkim ruchem machnął nożem i odciął górny guzik piżamy. – Bo nigdy nie wiadomo, co się może przytrafić takiej dużej dziewczynce w wielkim mieście.

Odciął drugi guzik. Za oknem strzelił piorun towarzyszący kolejnej błyskawicy. Gdzieś w oddali zawył alarm jakiegoś samochodu.

– Ale o nic się nie martw, Żelko. Dobrze się zaopiekuję moją dużą dziewczynką. Zamierzam sprawić ci mnóstwo radości.

Odskoczył następny guzik.

Całym jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Matko Boska! Wie nawet, jak mnie nazywano w szkole!

Zaczerpnął głęboko powietrza i z głośnym szumem wypuścił je przez nos.

– Mmm... Chanel numer pięć. Uwielbiam je. Mam nadzieję, że spryskałaś się nimi specjalnie dla mnie. To mój ulubiony zapach.

Wiedział też, jakich używa perfum.

– Ciekawe, co dzisiaj włożyłaś, także specjalnie dla mnie?

Ostatni odcięty guzik stoczył się i spadł na podłogę. W zapadłej ciszy wydawało się, że jego stuk o dywan rozbrzmiał donośnym echem. Czubek noża wśliznął się pod poję pizamy i powoli, jakby delektując się tą chwilą, odsunął ją na bok. Następnie zawrócił, tak samo wolno przesunął się po jej nagim brzuchu tuż nad guzikiem spodni i zsunął na pościel drugą część góry od pizamy, obnażając obie piersi. Klaun spoglądał na nią z góry. Wyraźnie oddychał coraz szybciej.

W ten sam sposób przeciągnął nożem po jej piersiach, zataczając koła wokół nabrzmiąłych sutków, po czym skierował go ku szyi. Chloe czuła pod jego naciskiem każdy centymetr swego ciała, domyślała się, że po przejściu dość mocno dociśniętego ostrza pozostaje lekko zaczerwieniony ślad, wiedziała jednak, że nigdzie nie ma rozciętej skóry. Czubek zatrzymał się przy wisiorzku przedstawiającym dwa splecione serca, który teraz leżał w zagłębieniu szyi. Po krótkim wahaniu klaun wsunął nóż pod łańcuszek i zerwał go szarpnięciem. Wisiorek zsunął się na pościel. Znów znieruchomiał, wodząc spojrzeniem po jej ciele.

Dobry Boże! Błagam! Nie rób tego!

Nóż jakby ze złością pomknął w dół, przeciął pasek spodni od pizamy i z łatwością rozpruł nogawkę aż do końca. Chloe odruchowo szarpnęła obnażoną nogą, aż sznur zasupłany nad kostką wpił się głęboko w skórę. Klaun powiódł ostrzem noża z powrotem, od stopy przez łydkę i kolano, po czym zjechał nim na wewnętrzną stronę uda, tak samo dość mocno dociskając czubek, ale jeszcze nie rozcinając skóry. Następnie wrócił nim na górę, błyskawicznym ruchem rozciął gumkę majtek na biodrze i szarpnięciem zerwał z niej resztki różowej pizamy oraz bielizny.

– Wyglądasz tak apetycznie, że miałbym ochotę cię schrupać – mruknął

gardłowo, wodząc spojrzeniem po jej nagim ciele.

O Boże! Nie! Nie! To musi być koszmar! Zwykły koszmar senny!

Z jej wspomnień wypłynął głos ojca: „Uważaj tam na siebie, Chloe. Nowy Jork to wielkie miasto pełne bardzo różnych ludzi, z których nie wszyscy są mili i porządni”.

Jeszcze raz spróbowała wypchnąć językiem knebel. Serce waliło jej tak, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi. Szarpała rękoma to w jedną stronę, to w drugą, dopóki nie poczuła, że zdarła sobie skórę z nadgarstków do krwi.

Klaun w spokoju przyglądał się jej szamotaninie. Powoli odłożył nóż na nocny stolik i ściągnął przez głowę czarną bawełnianą koszulkę. Był opalony, nie miał owłosienia na piersi. Odznaczał się dobrze wyrobionymi muskularni i płaskim brzuchem. Rozpiął dżinsy i zdjął je bez pośpiechu, ściągając najpierw jedną nogawkę, potem drugą, złożył je starannie i powiesił na oparciu krzesła. Chloe zauważyła, że na lewym przedramieniu, tuż powyżej nadgarstka, ma brzydką, zygzakowatą bliznę, która natychmiast skojarzyła jej się ze znakiem drogowym ostrzegającym przed serią niebezpiecznych zakrętów.

– Masz szczęście, Chloe, że nie wróciłaś dzisiaj za późno – powiedział. – W ten sposób będziemy mogli spędzić razem jeszcze sporo czasu.

W końcu zdjął też majtki, odsłaniając nabrzmiąły członek.

Szczegóły. Zwracaj uwagę na wszelkie szczegóły. Zapamiętaj jego głos. Zapamiętaj ubrania. Wypatruj innych znaków na ciele, blizn, pieprzyków, tatuaży. To wszystko może być bardzo ważne.

– Och, byłbym zapomniał. Przyniosłem moją torbę ze sztuczkami. Nawet nie wiesz, jak dobrze się zabawimy. – Podniósł z podłogi czarną nylonową torbę podróżną, postawił ją na brzegu łóżka, rozpiął i wyciągnął ze środka coś, co przypominało poskręcany druciany wieszak na ubrania, butelkę z

czarnego szkła oraz kabel elektryczny. Rozejrzał się po sypialni. – Ale do tego będzie mi potrzebne gniazdko.

Myśli Chloe naraz pierzchły, w jej głowie niepodzielnie zapanował dziki, histeryczny wrzask. Zaczęła się szarpać jeszcze mocniej, podskakując na łóżku.

– Bądź grzeczną dziewczynką, Chloe, to pan klaun urządzi ci wspaniałą zabawę – wyszeptał chrapliwie.

Zwalił się na nią całym ciężarem i gwałcił ją wielokrotnie aż do świtu.

. 9 .

Pogwizdując cicho pod nosem, poszedł do łazienki, by nad wyszorowanym do połysku bielutkim zlewem umyć nóż. Popatrzył na dwie szczoteczki do zębów stojące w zielonym porcelanowym kubeczku na jednym brzegu umywalki i pachnący frezją krem do ciała na drugim. Woda spłynęła po ostrzu purpurowym strumieniem. Spoglądał jak urzeczony na zmieniający się powoli jej kolor, z czerwonego do jasnoróżowego, dopóki całkowicie nie zniknął.

Czuł się wzmocniony na duchu. Noc upłynęła bardzo przyjemnie, oboje bawili się doskonale. Nawet ona musiała to przyznać. Co prawda, zdarzyło się parę razy, że gdy wyciągnął zmięte jedwabne majtki spomiędzy jej pełnych, czerwonych warg, zamiast mu dziękować, zaczynała jęczeć jak zarzynana suka i błagać go, żeby przestał. To go złościło. Nawet bardzo. Ale gdy tylko wyciągał nóż i przystępował do następnej zabawy, narzekania szybko milkły. Prawdę mówiąc, prosiła go wtedy o więcej. Wkrótce jednak znów zaczynała jęczeć i dość szybko nudziło mu się wysłuchiwanie jej utyskiwań, więc z powrotem wtykał jej majtki do ust.

Wytarł nóż w elegancki gościnny ręcznik, jasnozielony obszywany białą lamówką, po czym ułożył go w torbie obok pozostałych, także już umytych przedmiotów. Był bez maski, toteż z przyjemnością ochlapał sobie twarz oraz kark zimną wodą i wytarł się tym samym ręcznikiem. Przejrzał się w lustrze, podziwiając swoje wspaniałe, prężne mięśnie. Umył zęby jej szczoteczką i przeciągnął po nich palcem, żeby sprawdzić, czy są dostatecznie czyste. W końcu włożył z powrotem maskę i poszedł do wypełnionej martwą ciszą sypialni.

Chloe leżała bez ruchu na przesiąkniętej krwią pościeli. Z zamkniętymi oczami wyglądała jak anioł. Wciąż nucąc pod nosem, włożył dżinsy, wciągnął bawełnianą koszulkę i przysiadł na brzegu łóżka, żeby starannie zasznurować robocze buty. Nadal miała usta zakneblowane majtkami, lecz teraz z jej gardła nie wydobywał się żaden dźwięk, przestała nawet pojękiwać. Przyszło mu na myśl, że właściwie brakuje mu tych odgłosów.

Zdmuchnął wypalone świece, schylił się nad łóżkiem i dotykając jej policzka lateksowymi wargami maski, jak do pocałunku, wysunął przez dziurkę czubek języka i po raz ostatni polizał jej miękką, delikatną, lekko słonawą skórę.

– Do widzenia, kochana Żelko. Moja piękna, prześliczna Chloe. Dobrze się z tobą bawiłem.

Na prześcieradle przy jej ramieniu leżał wisiołek z rozciętym łańcuszkiem. Wziął go i schował do kieszeni spodni.

– Będę miał coś na pamiątkę wspólnie spędzonych chwil. Posłał jej jeszcze całusa na odległość, wyszedł z sypialni i zamknął za sobą drzwi. Podniósł swoją torbę stojącą przy wejściu do łazienki i po raz ostatni zajrzał z przedpokoju do kuchni. Kiedy w salonie okrążał elegancki stół z firmy Pier One, jego wzrok padł na małą statuetkę z jadeitu przedstawiającą trzy mądre małpki, z których pierwsza łapkami zakrywała oczy, druga uszy, a trzecia usta: „Widzieć jak najmniej, słyszeć jak najmniej i mówić jak najmniej”. Wiedział, że to pamiątka z ostatniej podróży jej rodziców na Daleki Wschód. Obiło mu się kiedyś o uszy, że według tamtejszych legend małpki mają zapewnić ochronę swojemu posiadaczowi i zesłać mu szczęście. Na pewno nie dzisiaj – przemknęło mu przez głowę. Uśmiechnął się. Przy małpkach stało zdjęcie Chloe w towarzystwie jej gogusiowatego palanta przed wejściem do Empire State Building. Aż przystanął i musnął palcami ramkę,

chcąc w ten sposób lepiej utrwalić w pamięci tę niezwykłą noc.

Wreszcie cicho jak kot uchylił okno w saloniku i wyśliznął się na zewnątrz, pod osłonę gęstego żywopłotu z iglaków, wciąż mokrych po nocnej burzy, która minęła bez śladu. Niezauważony przez nikogo przemknął na ulicę i rażnym krokiem ruszył w kierunku pomarańczowego blasku rozlewającego się nad horyzontem między stłoczonymi zabudowaniami Nowego Jorku.

. 10 .

Marie Catherine Murphy, która stała przed drzwiami mieszkania IB, czuła przez skórą, że coś się stało. Była za dziesięć dziewiąta, coraz realniejsza stawała się groźba, że spóźni się na ćwiczenia z prawa federalnego, a Chloe wciąż nie otwierała. I choć Chloe także nierzadko się spóźniała na zajęcia, co tylko bardziej zacieśniało ich przyjaźń, to przecież zawsze do tej pory czekała, kiedy umawiały się wcześniej przez telefon. To prawda, że zdarzało jej się otwierać w pizanie i gorąco za to przeproszać, nieodmiennie jednak w kuchni czekały dwa wielkie kubki świeżo parzonej kawy oraz pudełko płatków śniadaniowych marki Stella D'oro. Jeździły razem na Wydział Prawa Uniwersytetu St. John's już od trzech lat i ani razu się nie zdarzyło, żeby Chloe nie odpowiedziała, kiedy były umówione, nawet jeśli Marie bardzo się spóźniła.

Pięć minut temu jakaś starsza kobieta wpuściła ją na klatkę i od tamtej pory Marie na dobrą sprawę uwiesiła się na dzwonku mieszkania Chloe. Wiedziała, że wczoraj wieczorem przyjaciółka wybrała się gdzieś razem z Michaeliem, toteż początkowo przyszło jej do głowy, że może zmieniła zdanie, pozwoliła mu zostać u siebie na noc i oboje zaspali. W takiej sytuacji wcale by się nie zdziwiła, że Michael nie chce jej otworzyć w samej bieliźnie. Jak zawsze liczyła na gorącą kawę, nie chciała jednak ingerować w intymną sytuację. Ale gdy po pięciu minutach nadal nikt nie otwierał, Marie poczuła złość. Próbowała zajrzeć do mieszkania przez szczelinę na listy, lecz odkryła ze zdumieniem, że jest zaklejona czymś od środka.

Wyszła przed dom i zapaliła papierosa. Kiedy spojrzała w górę, ujrzała dziwnego sąsiada Chloe, który przyglądał się jej jak zawsze, stojąc w oknie z

czarną filizanką w ręku. Na pewno nie był normalny, skoro sterczał tak dzień w dzień, na pół nagi, z tymi cudacznymi okularami na nosie i chytrym uśmiechem na wargach. Aż ciarki przeszły jej po grzbiecie. Zwróciła uwagę, że zarówno we frontowym saloniku Chloe, jak i w sypialni żaluzje są zamknięte. Na podwórku nie było jej samochodu, na ulicy nie stało też srebrne bmw Michaela.

Tylko bez paniki. Na pewno nic się nie stało.

Obeszła narożnik budynku i spojrzała na okno kuchni Chloe. Było zamknięte, ale zasłonki nie zostały zasunięte. Miała zaledwie sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, parapet znajdował się dobre dwadzieścia centymetrów nad jej głową. Westchnęła ciężko. Po południu musiała iść do pracy, toteż ubrała się od razu w wąską spódnicę i szpilki. Postawiła torebkę na ziemi, przeklinając się w duchu, że nie włożyła na poranne zajęcia spodni i pantofli na płaskim obcasie. Przydeptała niedopałek papierosa. Wdrapała się na ceglany murek odgradzający zejście do piwnicy i przesunęła się po nim ostrożnie w stronę okna. Stojąc na samej krawędzi, postawiła jedną stopę na pokrywie pojemnika na śmieci, wychyliła się w bok i zaciskając kurczowo palce na parapecie, żeby nie stracić równowagi, zajrzała w okno. Dostrzegła klatkę Pete'a stojącą na stole, zakrytą kuchenną ściereką. W zlewie po drugiej stronie piętrzyła się sterta brudnych naczyń. Przez otwarte na oścież drzwi widać było przedpokój i kawałek saloniku, na skraju szklanego stolika do kawy leżały porozrzucane gazety i czasopisma. Poczowała przyływ ulgi. W mieszkaniu wszystko wyglądało normalnie. Należało wnioskować, że Chloe po prostu nie wróciła na noc do domu.

Musiała zostać u Michaela i zapomniała do mnie zadzwonić. Pewnie już ją podrzucił na uczelnię i teraz siedzi nad kubkiem gorącej kawy i świeżymi pączkami, powtarzając materiał przed zbliżającym się egzaminem, a ja

sterczę tu, wystawiając tyłek na wiatr, i zaglądam przez okno do niesprząniętej kuchni jak pospolita włamywaczka.

Zachciało jej się śmiać. Coraz realniejsza była groźba, że sama się spóźni na zajęcia. Zaczęła już ostrożnie przenosić ciężar ciała na murek, kiedy zelektryzowało ją straszne podejrzenie: Jeśli Chloe nie wróciła na noc do domu, to kto zakrył ścierką klatkę Pete'a? Zawahała się na moment, przypomniawszy sobie dziwne ślady, jakie dostrzegła na podłodze w przedpokoju, u wejścia do kuchni. Niepokojące przeczucie kazało jej jeszcze raz zajrzeć przez okno. Złapała się z powrotem parapetu i ostrożnie stanęła obiema nogami na pojemniku, niemal przyklejając nos do szyby. Osłoniła oczy dłońmi i popatrzyła w głąb mieszkania.

Upłynęło kilka sekund, nim uświadomiła sobie, że ciemne plamy na podłodze to bez wątpienia ślady czyichś butów. A po kilku dalszych sekundach zrozumiała, że wyglądają tak, jakby były zrobione z rozdeptanej krwi.

Marie Catherine Murphy spadła z chwiejnego pojemnika, grzmotnęła o ziemię i zaczęła krzyczeć na cały głos.

. 11 .

– Mamy tętno – oznajmił obcy głos w nieprzeniknionych ciemnościach. – Puls jest słaby.

– Oddycha? – zapytał drugi głos.

– Bardzo płytko. Podłączyłem ją do tlenu. Jest w szoku.

– Matko Boska. Wszędzie pełno krwi. Skąd aż tyle? – dołączył trzeci głos.

– Tylko popatrz na te rany. Jest cała pocięta. Najsilniej krwawi chyba z pochwy. Prawdopodobnie ma krwotok wewnętrzny. Rety, ten psychol nieźle ją załatwił.

– Rozetnij te sznury, Mel.

– Spokojnie, chłopcy – wtrącił czwarty głos, basowy, donośny, mówiący z silnym nowojorskim akcentem. – To dowód rzeczowy. Nie dotykajcie ich. Bierzcie ostrożnie za sam koniec, w rękawiczkach. Technik z dochodzeniówki później je zabezpieczy.

Wyglądało na to, że w pokoju jest pełno ludzi.

– Jezu, nadgarstki ma poobcierane prawie do kości – syknął ktoś z odrazą przemieszana z lękiem.

Trzaskały policyjne krótkofalówki, przez szum elektrostatyki przedzierały się zniekształcone meldunki. Gdzieś z daleka doleciało szybko przybierające na sile wycie syreny. Pstrykały migawki aparatów fotograficznych.

– Ostrożnie, uważaj! – rzucił ze złością któryś głos. – Jeśli nie możesz sobie sam poradzić, Mel, to poproś o pomoc albo zostaw to komu innemu. Nie możemy tu niczego spieprzyć.

Na kilka sekund w pokoju zaległa cisza. Wreszcie znów odezwał się pierwszy głos:

– Podłącz kroplówkę i podaj jej morfinę. Na oko waży jakieś pięćdziesiąt, pięćdziesiąt dwa kilo. I zawiadom urazówkę w szpitalu Jamaica. Powiedz, że mamy dwudziestoczteroletnią białą kobietę z licznymi ranami ciętymi, prawdopodobnie z krwotokiem wewnętrznym, w szoku, zapewne ofiarę brutalnego gwałtu.

– W porządku. Przenieśmy ją ostrożnie. Na trzy. Raz, dwa, trzy...

Przez całe jej ciało przelewał się falami nieznośny, dotkliwy ból.

– Matko Boska. Biedna dziewczyna. Czy ktoś już wie, jak się nazywa?

– Jej przyjaciółka czeka przed domem. Mówi, że to Chloe Larson. Jest studentką prawa na Uniwersytecie St. John's.

Głosy stopniowo odpłynęły i ogarnęła ją bezkresna ciemność.

. 12 .

Chloe powoli otworzyła oczy. Oślepiło ją jaskrawe białe światło. Przez chwilę myślała, że umarła i znalazła się w niebie, wkrótce czekają spotkanie ze Stwórcą.

– Proszę podążać wzrokiem za światłem.

Promyk ołówkowej latarki przesunął się w bok. Poczowała intensywny odór środków dezynfekcyjnych i czyszczących. Zrozumiała, że znajduje się w szpitalu.

– Chloe? Chloe! – Młody lekarz w białym fartuchu znów poświecił jej latarką prosto w źrenice. – Cieszę się, że odzyskałaś przytomność. Jak się czujesz?

Przeczytała nazwisko na identyfikatorze: dr Lawrence Broder.

Ostatnie pytanie wydało jej się skrajnie głupie. Chciała odpowiedzieć, ale język miała zeszywniały, a gardło przesuszone. Wychrypiała tylko:

– Kiepsko.

Wszystko ją bolało. Popatrzyła na swoje ręce poowijane grubą warstwą białych bandaży, spod których wychodziły plastikowe rurki kroplówek. Najdotkliwsze pieczenie odczuwała w dole brzucha, skąd promieniował nieznośny, nasilający się jeszcze ból.

Michael siedział na krześle w kącie pokoju, pochylony, z łokciami na kolanach i brodą opartą na splecionych dłoniach. Wyglądał na zatroskanego. Poszarzałe niebo za oknem było poprzetykane pomarańczowo-czerwonymi smugami, widocznie słońce chyliło się ku zachodowi.

Przy drzwiach stał bez ruchu jeszcze jeden mężczyzna w zielonym szpitalnym stroju, zapewne także lekarz.

– Jesteś w szpitalu, Chloe. Doznałaś bardzo poważnego urazu... – Doktor Broder urwał i odwrócił głowę. Wszyscy trzej wymienili znaczące spojrzenia. – Czy wiesz, dlaczego się tu znalazłaś? Pamiętasz, co cię spotkało?

Łzy błyskawicznie napłynęły jej do oczu. Nie zdołała ich powstrzymać i pociekły po policzkach. Wolno pokiwała głową. W myślach znów ujrzała przed sobą maskę klauna.

– Ubiegłej nocy została pani napadnięta i wykorzystana seksualnie. Przyjaciółka znalazła panią dziś rano i karetka przywiozła panią tutaj, do szpitala Jamaica w Queens. – Urwał i nerwowo przestąpił z nogi na nogę, czuł się niepewnie. Zaraz podjął szybko: – Odniosła pani liczne obrażenia. Macica została poważnie uszkodzona, doszło do krwotoku wewnętrznego. Straciła pani bardzo dużo krwi. Niestety, w celu jego zahamowania obecny tu doktor Reubens musiał jak najszybciej dokonać zabiegu histerektomii. – Ruchem głowy wskazał chirurga w zielonym stroju, który tkwił bez ruchu przy drzwiach ze wzrokiem wbitym w ziemię, jakby nawet bał się jej spojrzeć w twarz. – Okazało się, że to najpoważniejszy uraz. Na szczęście złe wiadomości na tym się kończą. Liczne rozcięcia na całym ciele zostały opatrzone pod kontrolą chirurga plastycznego, żeby zostało po nich jak najmniej śladów. Pozostałe urazy nie zagrażają pani życiu. Zatem dobre wieści są takie, iż mamy nadzieję, że wszystkie rany ładnie się zagoją i szybko wróci pani do zdrowia.

To wcale nie są dobre wiadomości. A złych wcale nie koniec. Musicie to zrozumieć.

Rozejrzała się po twarzach trzech mężczyzn czekających w milczeniu. Michael także unikał jej wzroku, zerkał to na jednego lekarza, to na drugiego, to znów wzorem chirurga wbijał spojrzenie w podłogę.

– Histerektomia? – zapytała ledwie słyszalnym szeptem, mając wrażenie, że to słowo dodatkowo rani jej gardło. – To znaczy, że nie będę mogła mieć dzieci?

Doktor Broder znów przestąpił z nogi na nogę i zmarszczył brwi.

– Niestety. Obawiam się, że nie będzie pani zdolna donosić płodu – powiedział tonem sugerującym wyraźnie, że wolałby jak najszybciej zmienić temat.

Natychmiast podjął przerwane badanie, zapalił ołówkową latarkę i trzymając jak długopis, poświecił w źrenice.

– Histerektomia to dość poważny zabieg chirurgiczny, więc będziemy musieli zatrzymać panią w szpitalu co najmniej przez kilka dni. Rekonwalescencja po tego typu operacji trwa zazwyczaj od sześciu do ośmiu tygodni. Zaczniemy jutro rano od wstępnych ćwiczeń fizycznych i z każdym dniem będziemy je nasilali. Czy odczuwa pani ból w dole brzucha?

Chloe skrzywiła się i przytaknęła ruchem głowy.

Broder przywołał do siebie milczącego doktora Reubensa, po czym zaciągnął kotarę przy łóżku, zasłaniając widok Michaelowi, i zsunął z niej prześcieradło. Spostrzegła, że ma zabandażowany nie tylko cały brzuch, ale także piersi. Ledwie Reubens zaczął delikatnie obmacywać jej podbrzusze, przeszyły ją ukłucia piekącego bólu.

Po chwili doktor pokiwał głową, ale nie do niej, tylko do Brodera.

– Rana zabliznia się prawidłowo. Szwy trzymają – mruknął.

Broder odpowiedział skinieniem głowy i uśmiechnął się do niej.

– Każę pielęgniarce wstrzyknąć morfinę do pani kroplówki. To uśmierzy nieco ból. – Przykrył ją z powrotem prześcieradłem i znowu przestąpił nerwowo z nogi na nogę. – W korytarzu czekają oficerowie śledczy z dochodzeniówki, którzy chcieliby z panią porozmawiać. Czuje się pani na

siłach odpowiedzieć na ich pytania?

Chloe zawahała się, lecz kiwnęła głową.

– W takim razie zaraz ich przyślę.

Odsunął kotarę, wyraźnie zadowolony, że ma to już za sobą. Obaj lekarze szybko skierowali się do wyjścia. Broder otworzył drzwi, ale odwrócił się jeszcze i dodał:

– Przeszła pani prawdziwy koszmar, Chloe. Wszyscy jesteśmy tym poruszeni i życzymy pani jak najszybszego powrotu do zdrowia.

Uśmiechnął się jeszcze raz i wyszedł.

Ofiara brutalnego gwałtu. Po histerektomii. Nie będzie mogła mieć dzieci.

A więc ten koszmar wydarzył się naprawdę. Jeszcze nie docierało to do niej w pełni, odebrała zbyt dużo informacji w krótkim czasie, by od razu się z nimi oswoić. Z jej pamięci wypływały migawkowe, urywane obrazy: wykrzywiona w ironicznym uśmiechu maska klauna, nagie ciało mężczyzny, ząbkowana górna krawędź długiego noża. Wiedział o niej wszystko, jak zwraca się do niej ojciec i do której restauracji lubi chodzić. Wiedział nawet, że opuściła wieczorne zajęcia z aerobiku. Przyznał wprost, że stale ją obserwuje.

Nic się nie martw, Chloe. Zawsze będę w pobliżu. Będę cię obserwował i pilnował.

Zamknęła oczy, nie mogąc zapomnieć widoku noża. Jak żywe było wspomnienie dotkliwego bólu, kiedy po raz pierwszy zagłębił się w jej ciało.

Michael podszedł do łóżka i wziął ją za rękę.

– Wszystko będzie dobrze, Chloe. Jestem przy tobie – powiedział łagodnym tonem.

Ale gdy otworzyła oczy, spostrzegła, że nie patrzy na nią, tylko gdzieś ponad jej ramieniem, jakby jego uwagę przykuło coś na ścianie.

– Rozmawiałem z twoją mamą – dodał. – Rodzice są już w drodze. Powinni przyjechać wieczorem. – Głos uwiązał mu w gardle. Westchnął cicho. – Strasznie żałuję, że nie pozwoliłaś mi wczoraj zostać na noc. Gdybym tam był, gołymi rękami zabiłbym tego porąbańca. Mógłbym... – Urwał, przygryzł dolną wargę i powiódł wzrokiem po jej sylwetce rysującej się pod cienkim szpitalnym prześcieradłem. – Mój Boże, co on ci zrobił... pieprzony zboczeniec...

Umilkł na dobre, odruchowo zacisnął pięści i odwrócił się w stronę okna.

Strasznie żałuję, że nie pozwoliłaś mi wczoraj zostać na noc.

Rozległo się ciche pukanie, a zarazem potem drzwi uchyliły się powoli. Z korytarza doleciał wzmożony gwar głosów, musiała być pora odwiedzin. Do pokoju weszła niewysoka kobieta z kręconymi rudymi włosami ubrana w niemodną, czerwono-czarną garsonkę ze spodniami. Nie miała makijażu poza odrobiną kremu rozjaśniającego pod oczami maskującego duże ciemne worki. Z wyglądu mogła mieć trzydzieści pięć lat, choć ilość zmarszczek na twarzy znacznie ją postarzała. Za nią wszedł starszy mężczyzna w znoszonym granatowym garniturze, wyższy od niej o głowę. Był chyba tuż przed emeryturą, miał siwe, mocno przerzedzone włosy zaczesane z boku na rozległą łysinę. Zalatywało od niego dymem tytoniowym. Oboje sprawiali wrażenie przemęczonych. Wyglądali razem dość dziwnie, jak hot-dog z hamburgerem w jednej bułce.

– Witaj, Chloe. Jestem śledcza Amy Harrison ze specjalnego wydziału dochodzeniowego komendy okręgowej w Queens. A to mój kolega, detektyw Benny Sears. Wiem, że przeżywasz bardzo trudne chwile, ale musimy zadać ci kilka pytań na temat tego, co cię spotkało wczoraj wieczorem, dopóki masz te zdarzenia świeżo w pamięci.

Zmierzyła wzrokiem stojącego przy oknie Michaela. Na krótko zapadło

kłopotliwe milczenie.

Podszedł bliżej i wyciągnął do niej rękę.

– Mike Decker. Jestem przyjacielem Chloe.

Uścisnęła mu dłoń i skinęła głową, po czym zwróciła się do niej:

– Jeśli wolisz, Chloe, Mike może zostać przy tobie podczas naszej rozmowy. Ale musisz wyrazić takie życzenie.

– Oczywiście, że zostaję – odparł Michael dość ostro. Chloe potwierdziła ospałym ruchem.

Sears uśmiechnął się do niej, skinął głową Michaelowi, także uścisnął mu dłoń, pociągnął nosem, mlasnął, wreszcie wyjął z kieszeni notes i długopis. Kiedy Harrison przysunęła sobie krzesło i usiadła obok Chloe, stojący w nogach łóżka detektyw wydał się prawdziwym olbrzymem.

– Zacznijmy od podstawowego pytania – odezwała się Harrison. – Czy znasz człowieka, który cię napadł?

Chloe pokręciła głową.

– Napastnik był sam, czy może było ich więcej?

– Był sam – wycedziła powoli.

– Sądzisz, że będziesz umiała go rozpoznać, gdy go jeszcze kiedyś zobaczysz? Jeśli tak, sprowadzę policyjnego rysownika, który sporządzi portret pamięciowy...

Łzy znów mimo woli pociekły jej po twarzy. Pokręciła głową i odparła ledwie słyszalnym szeptem:

– Nie. Cały czas był w masce.

Michael fuknął przez nos i mruknął pod nosem:

– Pieprzony łajdak...

– Bardzo proszę, panie Decker... – ucięła ostro śledcza Harrison.

Sears patrzył na nią z obojętną miną.

– Co to była za maska?

– Gumowa, maska klauna. Ani razu nie widziałam jego twarzy.

– W porządku, Chloe – odezwała się znów łagodnym tonem Harrison. – Powiedz nam, co zapamiętałaś. Nie musisz się spieszyć.

Nie była już dłużej w stanie pohamować płaczu. Jej ciałem wstrząsnęły niedające się opanować spazmy, które szybko zaczęły przybierać na silne.

– Spałam już – wychlipała. – Przez sen usłyszałam czyjś głos, który nazwał mnie Żelką. Próbowałam się obudzić. Bardzo się starałam...

Uniosła ręce do twarzy i popatrzyła na grubo zabandażowane nadgarstki. Aż się wzdrygnęła na wspomnienie linki wrzynającej się w ciało.

– Ale złapał mnie za ręce i przywiązał do ramy łóżka. Nie mogłam... w ogóle nie mogłam się poruszyć. Nie mogłam oddychać, nie mogłam krzyczeć... Wepchnął mi coś do ust...

Musnęła palcami wargi, jakby wciąż czuła na nich dotyk gładkiego śliskiego knebla, który wciskał jej język do gardła. Miała wrażenie, że znów się dusi, nie może zaczerpnąć powietrza.

– Wepchnął mi coś do ust, a potem przywiązał ręce i nogi do ramy łóżka. W ogóle nie mogłam się poruszyć. Nie mogłam...

Popatrzyła z przerażeniem na Harrison i sięgnęła na oślep po dłoń Michaela, chcąc powstrzymać drżenie rąk. Ale on znów stał zwrócony twarzą do okna i mimowolnie zaciskał kurczowo pięści.

Strasznie żałuję, że nie pozwoliłaś mi wczoraj zostać na noc.

Śledcza obrzuciła spojrzeniem jego plecy i szybko położyła dłoń na jej ramieniu.

– Wiele ofiar gwałtów obwinia siebie za to, co się stało, Chloe. Musisz jednak wiedzieć, że ani trochę nie zawiniłaś. W żaden sposób nie mogłaś się przed tym uchronić. Nie miałaś żadnego wpływu na przebieg wydarzeń.

– Wszystko o mnie wiedział, nawet to, gdzie trzymam świece. Wyciągnął je z szuflady nocnego stolika, zapalił i... W ogóle nie mogłam się poruszyć!

– Czy mówił coś do ciebie, Chloe? Pamiętasz, co mówił?

– O mój Boże... Tak, tak, pamiętam. To było najgorsze... Ciągłe mówił tak, jakby mnie dobrze znał. – Wciąż nie mogła opanować spazmów. Ramiona jej dygotały. – Wiedział o mnie wszystko, absolutnie wszystko. Powiedział, że stale mnie obserwuje i zawsze będzie w pobliżu. Zawsze. Wiedział, że w ubiegłym roku byłam na wakacjach w Meksyku. Wiedział, że we wtorek wieczorem był u mnie Michael. Znał imię mojej matki, nazwę mojej ulubionej restauracji. Wiedział, że w środę opuściłam wieczorne zajęcia z aerobiku. Wiedział absolutnie wszystko!

Nagle ukłucie dotkliwego bólu w piersi przypomniało jej o jego przyczynie.

– Miał ze sobą nóż, którym rozciął mi piżamę, a potem... pociął mnie. Dokładnie czułam, jak rozcina nim skórę, ale nie mogłam się ruszyć. Później zwałił się na mnie całym ciężarem i... Michael, zrozum! Nie mogłam się ruszyć! Próbowałam, ale bez skutku! Nie mogłam go z siebie zrzucić!

Mimowolnie zaczęła krzyczeć, aż szybko zachrypła.

Harrison wzdychała głośno i głaszcząc ją po ramieniu, powtarzała, że nie wolno jej się winić za to, co się stało. Sears także wzdychał i kręcił głową. Wreszcie odwrócił kartkę w notesie.

Chloe, wciąż jeszcze wstrząsana spazmami, obejrzała się na Michaela, ale on stał nieruchomo zapatrzony w okno, z zaciśniętymi pięściami, odwrócony do niej tyłem.

. 13 .

Wypisano ją w końcu w deszczowy wtorek po południu, zaledwie po pięciu dniach od przywiezienia nieprzytomnej na oddział urazowy szpitala Jamaica. Rano po obchodzie doktor Broder wrócił do jej pokoju pełnego świeżych kwiatów i oznajmił z szerokim uśmiechem, że jej stan jest „wyśmienity” i po południu zostanie wypisana. Ta wiadomość ją przeraziła. Przez cały dzień trzęsła się ze strachu, a serce waliło jej tym mocniej, im bardziej zbliżała się pora wyjścia ze szpitala.

Matka posłuchała w końcu jej rady i zamiast przeglądać rubrykę lokalową w „New York Timesie”, skoncentrowała się na nekrologach. Już drugiego dnia znalazła jej w ten sposób kawalerkę na osiemnastym piętrze wieżowca w North Shore Towers, nad samym jeziorem Success na obrzeżu Queens, tuż przy granicy okręgu Nassau. Zajmowała ją dziewięćdziesięcioletnia wdowa mieszkająca samotnie z siedemnastoletnim kotem o imieniu Tibby, który na swoje nieszczęście przeżył właścicielkę. Za pomocą dwóch nowiutkich banknotów z podobizną Franklina Chloe mogła ją zająć od zaraz. Matka powiedziała, że to bardzo przyjemne mieszkanie jak na warunki Nowego Jorku.

Za żadne skarby nie chciała wracać do mieszkania IB przy Rocky Hill Road. Przenigdy. W ogóle nie chciała więcej widzieć na oczy Bayside. Poza papużką, Pete'em, nie chciała oglądać nawet żadnych swoich sprzętów, zwłaszcza z sypialni. Leżąc jeszcze w szpitalnym łóżku, kazała rodzicom wszystko sprzedać, spalić albo rozdać biednym, dla niej to bez znaczenia, ale nikomu, zwłaszcza Michaelowi oraz rodzicom, nie wolno przemieścić się bezpośrednio z jej poprzedniego mieszkania do nowego.

Zdawała sobie sprawę, że zdaniem Michaela popada w paranoję. Według niego pomysł, że gwałciciel będzie cierpliwie czekał i obserwował, a następnie ich śledził, by poznać jej nowy adres, był po prostu absurdalny. Nie miał nic przeciwko temu, żeby wyniosła się z Bayside, nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego nie chce zamieszkać razem z nim. Dlatego nie zamierzał rezygnować ze swojego apartamentu na Manhattanie.

– Chloe, czy ty w ogóle masz pojęcie, jak trudno w dzisiejszych czasach o własnościowe mieszkanie w centrum? – zapytał. – Szukałem przez półtora roku, zanim je znalazłem.

Czuła się wręcz poniżona, że musi mu wyjaśniać swoje stanowisko.

– Zrozum, Michael, że on wie o mnie absolutnie wszystko. Zresztą, nie tylko o mnie, ale i o tobie. Pewnie nieraz mnie śledził w drodze do twojego mieszkania, może nawet śledził ciebie. Niewykluczone, że to któryś z twoich sąsiadów, dzięki czemu z łatwością mnie śledził, gdy wychodziłam od ciebie. Więc jeśli nawet nie boisz się ryzyka i nie chcesz rezygnować ze swojego bezcennego „mieszkania własnościowego w centrum”, to ja jednak wolałabym go uniknąć. I już nigdy więcej moja noga tam nie postanie. Przenigdy. Aż nie chce mi się wierzyć, że nie potrafisz tego zrozumieć.

Rozmowa przemieniła się w ostrą wymianę zdań. Za ostrą. Ona zaczęła płakać, on głośno wzdychać. Wreszcie dla świętego spokoju obiecał, że „zobaczy, co da się zrobić”, nie powinna jednak liczyć na to, że już teraz przeniesie się do niej. Na koniec zaproponował, aby w takiej sytuacji natychmiast przystąpić do poszukiwań dla niej mieszkania z dala od Bayside. Wyszedł z pokoju, żeby zadzwonić, a gdy wrócił po dziesięciu minutach, oznajmił, że musi wracać do biura. Dwie godziny później goniec przyniósł kolejny bukiet kwiatów z lakoniczną notatką: „Z wyrazami miłości, Michael”. Potem jednak pracował przez cały weekend.

Tak więc to matka musiała się zająć szukaniem mieszkania i znalazła je w North Shore Towers. Na szczęście bardzo wysoko, aż na osiemnastym piętrze. Zapewniało samotnej kobiecie kompletny zestaw zabezpieczeń: wejścia strzegł portier, drzwi wejściowe były zamykane na dwie masywne zasuwki, nowoczesny alarm miał nawet podłączone czujniki ruchu, a do tego budynek był wyposażony w bardzo dobry domofon. Już w niedzielę rodzice przewieźli tam jej telewizor, kuchenny stół z krzesłami oraz klatkę z Pete'em. Resztę potrzebnych sprzętów kupili u Searsa. W poniedziałek na Rocky Hill Road zajechała wielka czerwona ciężarówka Armii Zbawienia i dwaj potężnie zbudowani mężczyźni wynieśli wszystko, co znaleźli za drzwiami mieszkania IB oznaczonymi resztkami żółtej policyjnej taśmy – z wdzięcznością zaopiekowali się pozostałościami dotychczasowego życiowego dorobku Chloe. Na podłodze w salonie zostało tylko wypisane przez nich pokwitowanie. Tak oto tego pochmurnego, deszczowego poniedziałkowego popołudnia na oczach kilku zdziwionych sąsiadów jej związku z Bayside zostały całkowicie zerwane. Ojciec tylko powtórzył, że sąsiad z pierwszego piętra, Marvin, serdecznie ją pozdrawia.

Oczywiście, rodzice próbowali ją namówić na powrót do Kalifornii, tłumacząc, że tam w dowolnym mieście będzie miała z pewnością lepiej niż tutaj. Ich zdaniem wszędzie na Zachodzie było lepiej niż w Nowym Jorku. Chloe poruszyła ten pomysł w rozmowie z Michaeliem, ale on szybko go odrzucił. Jego kariera, praca zawodowa, a w perspektywie ich małżeństwo i wspólne życie – wszystko wiązało się z Nowym Jorkiem. Mimo to okłamał jej rodziców i powiedział im, że wezmą pod rozwagę tę propozycję, ale najpierw Chloe musi zdać egzamin do palestry i podjąć pracę w firmie, z którą podpisała już umowę. Ona zaś wygłosiła porywającą mowę o tym, że nie pozwoli temu maniakowi seksualnemu doszczętnie zrujnować jej życia w

mieście, i tak dalej, i tak dalej. Bardzo żałowała, że nie mówi tego szczerze.

Bo w gruncie rzeczy nie miała nawet pojęcia, na czym jej naprawdę zależy. To, co jeszcze pięć dni temu wydawało jej się niezwykle istotne, teraz uważała po prostu za trywialne. Egzamin do palestry, ciekawa praca, wywiązanie się z umowy... Kiedy leżąc w szpitalnym łóżku, oglądała wiadomości telewizyjne, odnosiła wrażenie, że wszystko jest, jak było, jakby w ogóle nic się nie stało. Ludzie jak co dzień przedzierali się rano przez zakorkowane ulice, żeby zdążyć do pracy, i toczyli analogiczne zmagania po południu, chcąc jak najprędzej wrócić do domu. A reporterzy telewizyjni tak samo donosili o tych bojach, jakby należały one do najważniejszych wydarzeń.

Jeśli wybierają się państwo na wyspę, radzimy unikać Long Island Expressway z powodu robót drogowych oraz Grand Central Parkway ze względu na korki. Na premierze nowego głośnego filmu w Los Angeles pojawiło się wiele hollywoodzkich gwiazd, między innymi Tom Cruise. U brzegów Key West na Florydzie Straż Ochrony Wybrzeża zatrzymała kolejny kuter pełen kubańskich uchodźców. Trwa akcja pomocy dla głodujących dzieci z całego świata. Niestety, na najbliższy weekend meteorolodzy zapowiadają dalsze gwałtowne burze. Amatorzy żeglowania będą musieli przełożyć swoje plany o tydzień, gdyż na następny weekend powinien do nas dotrzeć rozległy pogodny wyż.

Aż miała ochotę krzyknąć na całe gardło.

Policjant, który przez pierwsze dwa dni czuwał przed drzwiami jej pokoju, został zdjęty z posterunku i, jak można się było domyślać, oddelegowany do ochrony innej ofiary brutalnego napadu. Detektyw Sears wyjaśnił, że

wycofano go, uznawszy, iż Chloe nie jest już „bezpośrednio zagrożona”. Nie oznaczało to jednak, że policja zrezygnowała z „aktywnego poszukiwania sprawcy napadu” i „sprawdzania wszelkich możliwych poszlak”. Niemniej już w poniedziałek nie zjawiała się śledcza Harrison, która dotąd zaglądała do niej codziennie, a tylko dzwoniła, żeby zapytać o stan jej zdrowia. Chloe podejrzewała, że i telefony od niej urwą się lada dzień, a dochodzenie zostanie zawieszona, gdyż trzeba się będzie zająć kolejną podobną sprawą.

W małej szpitalnej salce aż trudno było wytrzymać od zapachu licznych świeżych kwiatów, które przysyłali jej wszyscy przyjaciele, znajomi ze studiów i koledzy z pracy, lecz mimo to wciąż nie była w stanie wydusić z siebie choćby paru słów, gdy ktoś zadzwonił. Poza Marie i Michaeliem nie chciała nikogo widzieć. Wolała nie pokazywać się w bandażach, poraniona, żeby nikt ze znajomych nie musiał sobie łamać głowy, jak te dramatyczne przeżycia na nią wpłyną. Z nikim nie chciała rozmawiać o tym, co się zdarzyło, wolała też nie wdawać się w żadne luźne pogawędki. Zresztą uświadomiła sobie szybko, jak niewiele ma do powiedzenia. Bardzo chciała cofnąć się w czasie, żeby znowu być tamtą dawną beztroską Chloe, borykającą się ze zwykłymi problemami i codziennymi obowiązkami. Dobrze wiedziała jednak, że to niemożliwe. Chyba za to najbardziej nienawidziła klauna. Zabrał jej całe wcześniejsze życie, a ona nie miała pojęcia, jak je odzyskać.

Michael przebywał głównie w biurze, tylko w poniedziałek odwiedził ją w czasie przerwy na lunch. Zdawała sobie sprawę, że w szpitalu czuje się nieswojo. Widok bandaży, kroplówek, pigulek, lekarzy i pielęgniarek nasilał tylko jego poczucie bezradności. Wiedziała, że cały ten „incydent”, jak zwykło go nazywać, jedynie go rozdrażnia. Ale jednocześnie dziwnym sposobem przestało ją obchodzić, co on czuje. Ogarniało ją rozgoryczenie na samą

myśl, że jego życie ani trochę nie uległo zmianie, bo to wszystko przytrafiło się tylko jej, a przez co stosunki między nimi także nie mogły już być takie, jak dawniej.

Kiedy wreszcie nadszedł wtorek i mogła wracać do domu, czego, jak jej się zdawało, bardzo pragnęła, to od chwili przekazania przez doktora Brodera wiadomości o czekającym ją wypisie nie potrafiła zapanować nad przeszywającym ją dreszczem grozy. W dodatku Michael, który miał przyjechać, żeby pomóc jej w tej trudnej chwili, ugrzązł na całe popołudnie na jakimś ważnym przesłuchaniu. Dlatego to matka i Marie musiały ją wywieźć na wózku inwalidzkim przed budynek, gdzie czekał ojciec z wypożyczonym samochodem. Mogła chodzić o własnych siłach, ale w myśl szpitalnych przepisów musiała pozostać na wózku do czasu zajęcia miejsca w aucie.

Rozsunęły się drzwi windy i Marie wypchnęła ją do zatłoczonego, wypełnionego gwarem holu na parterze. Wszędzie było pełno ludzi. Starsi siedzieli na ławkach w poczekalni, przy stanowisku recepcyjnym czekali policjanci. Zatroskani rodzice próbowali uspokajać zapłakane dzieci, a po korytarzu kręcili się lekarze, pielęgniarki i salowe.

Chloe rozejrzała się błyskawicznie po twarzach ludzi, wypatrując swojego oprawcy. Część osób zwróciła na nią uwagę, lecz w ich spojrzeniach kryła się zwykła ciekawość. Mimo to dłużej zatrzymywała na nich wzrok, patrząc im w oczy, szacując sylwetki, oceniając sposób poruszania się. Pozostali byli pogrążeni w rozmowie, w lekturze gazety albo czekali jak w transie, ze wzrokiem utkwionym gdzieś w dal. Ich także obrzucała uważnym spojrzeniem. Serce jej waliło jak młotem, pobudzone zwiększoną dawką adrenaliny we krwi. Lecz na jej nieszczęście prawda przedstawiała się tak, że gwałcicielem mógł być każdy z patrzących teraz na nią mężczyzn. Nie znała

jego twarzy, widziała tylko gumową maskę klauna.

Już pierwszy krok podczas przesiadania się z wózka do samochodu sprawił, że całe jej ciało przeszył ostry ból promieniujący z podbrzusza. Korzystając z pomocy matki oraz Marie ostrożnie wsunęła się na tylne siedzenie, kurczowo ściskając w ręku torbę pełną przepisanych lekarstw. Popatrzyła przez mokrą od deszczu przednią szybę na rozległy parking. Czekala ich podróż zatłoczonym Northern Boulevard oraz wiecznie zakorkowaną Long Island Expressway. Po drodze trzeba będzie minąć setki obcych ludzi. A on mógł się czaić wszędzie.

– Wygodnie ci tam z tyłu, kochanie? Ciszka.

– Żelko? – powtórzył zaniepokojony ojciec, najwyraźniej oczekując odpowiedzi.

– Tak, tato. Możemy jechać. – Zamyśliła się na chwilę i dodała szybko: – Mam do ciebie prośbę. Nie nazywaj mnie tak nigdy więcej, dobrze?

Wyraźnie posmutniał. Z zasepioną miną skinął głową, przyglądając się, jak jego ukochana córka patrzy nieruchomo w bok. Powoli wyprowadził forda taurusa spod daszku osłaniającego główne wejście szpitala i pojechał przez parking w stronę wylotu na Atlantic Avenue. Przez całą drogę do swego nowego mieszkania na jeziorze Success Chloe patrzyła przez boczną szybę na niezliczone mijane samochody i tysiące przechodniów, od czasu do czasu zerkając na coraz bardziej oddalony, niknący w strugach deszczu gmach szpitala Jamaica.

. 14 .

Powtarzała sobie każdego ranka przed lustrem: Przetrwaj jakoś dzisiejszy dzień, a jutro na pewno będzie lepiej. Ale nazajutrz czuła się tylko gorzej. Tkwiący w niej lęk rozrastał się niczym złośliwy nowotwór, mimo że rany na ciele się zablizniały, a ślady po szwach stopniowo zanikały. Po nocach doskwierała jej bezsenność, w ciągu dnia ogłupiające przemęczenie.

Odpowiedzialny za kadry wiceprezes kancelarii Fitz & Martinelli, w której po zdaniu egzaminu miała rozpocząć błyskotliwą adwokacką karierę w sekcji zajmującej się sprawami błędów w sztuce lekarskiej, zadzwonił, żeby sprawdzić, jak się miewa i czy zgodnie z oczekiwaniami podejmie pracę we wrześniu, czy może potrzebuje więcej czasu na powrót do zdrowia.

– Czuję się dobrze – odparła. – Rany goją się prawidłowo. Do egzaminu przystąpię, jak planowałam, za trzy tygodnie. Bardzo dziękuję za okazaną mi troskę.

Mówiła to szczerze. Codziennie powtarzała to samo każdemu. Ale zaraz potem niespodziewanie ogarniał ją strach, niepohamowany, paraliżujący. Bił od niej na odległość i dławił jej oddech w gardle. Świat zaczynał wirować przed oczyma. W czasie podróży metrem poczuła nagle dotyk jedwabnego knebla na języku i ostrze noża rozcinające skórę. Nazajutrz w windzie doleciał ją jego szept i kwaśny odór potu przemieszany ze słodkawym kokosowym aromatem świec. Kiedy w samochodzie spojrzała we wsteczne lustro, zobaczyła odrażający uśmiech klauna. Bez żadnego ostrzeżenia jej świadomość cofała się w czasie do tamtej nocy. Za wszelką cenę usiłowała się trzymać planów i prowadzić takie życie, jak kiedyś. Ale z upływem dni, a potem tygodni, zaczęła dostrzegać coraz wyraźniejsze, choć jeszcze

mikroskopijne pęknięcia na swoim budowanym z trudem wizerunku i nabierała pewności, że szybko będą się poszerzać, powodując odpadanie coraz liczniejszych kawałków, aż w końcu cała fasada rozsypie się na tysiące okruchów.

Po dwóch tygodniach spędzonych w Nowym Jorku jej rodzice wreszcie się spakowali i odlecieli do Sacramento. Do końca zdołała zachować brawurową twarz pokerzysty, której magiczny urok spełnił swoje zadanie. Uściskali się serdecznie i ucałowali, gdy odprowadziła ich do windy. I po raz ostatni poprosili, by wróciła z nimi do Kalifornii.

Nic mi nie jest. Rany goją się dobrze i zgodnie z planami za dwa tygodnie przystąpię do egzaminu.

Energicznie pomachała ręką i jeszcze uśmiechnęła się szeroko, kiedy zasuwające się drzwi przesłaniały jej widok zapłakanej matki. Po czym wróciła biegiem do swego nowego mieszkania, zamknęła obie zasuwę, usiadła na podłodze w saloniku i płakała niemal histerycznie przez trzy godziny.

Podjęła przerwana naukę do egzaminu, ale we własnym zakresie. Zrezygnowała z uczestnictwa w zajęciach, gdyż zaciekawionych spojrzeń obcych ludzi bała się tak samo, jak pytań zatroskanych przyjaciół ze studiów. Prowadzący kurs przygotowawczy Barbri udostępnił jej nagrania wideo. Toteż całe dni spędzała na podłodze w saloniku, w otoczeniu podręczników, z notesem na kolanach, zapatrzona w ekran telewizora i zasłuchana w słowa wykładowcy, które nagle straciły dla niej wszelki sens. Po prostu nie potrafiła się skoncentrować. Szybko nabrała pewności, że nie zda.

Michael został z nią na noc w przeddzień egzaminu i o siódmej rano odwiózł do Jacob Javits Center na Manhattanie, gdzie zorganizowano test pisemny. Podpisała się na liście obejmującej trzy tysiące kandydatów, zajęła

wyznaczone miejsce i punktualnie o ósmej odebrała gruby formularz testu. W sali zapadła napięta cisza. Już pięć minut później Chloe podniosła głowę znad papierów i rozejrzała się dookoła, powiodła wzrokiem po twarzach nieznanym ludzi. Część w skupieniu rozwiązywała test, inni rozglądali się w poszukiwaniu pomocy. Ich spojrzenia sprawiły, że poczuła się jeszcze bardziej przerażona. Puls łomotał jej w skroniach, dosłownie oblewała się potem. Zrobiło jej się niedobrze. Podniosła rękę i jeden z członków komisji egzaminacyjnej odprowadził ją do łazienki. Biegiem wpadła do kabinki i zwymiotowała do sedesu. Potem ochlapała sobie twarz i kark zimną wodą, wyszła na korytarz i pomaszerowała prosto do wyjścia. Dwadzieścia sześć po ósmej złapała taksówkę i podając kierowcy adres, poprzysięgła sobie w duchu, że nigdy tam nie wróci.

Śledcza Harrison nie zadzwoniła już ani razu. Za to Chloe zaczęła wydzwaniać do niej codziennie i dopytywać się o postępy w dochodzeniu. Jednakże odpowiedź zawsze była taka sama:

– Mogę cię zapewnić, Chloe, że dokładnie sprawdzamy wszelkie poszlaki. Mamy nadzieję, że już wkrótce sprawca wyląduje w areszcie. Jesteśmy ci wdzięczni za współpracę i zainteresowanie.

Nabrała przekonania, że Harrison odczytuje tych parę słów z broszurki zatytułowanej *Metody uspokajania przez stróżów prawa natrętnych ofiar niewyjaśnionych przestępstw*. W miarę upływu dni i tygodni zyskała pewność, że jej sprawa jest na najlepszej drodze, by znaleźć się w archiwum dochodzeń zawieszonych. Dobrze wiedziała, że nawet gdyby znaleziono podejrzanego, wobec braku odcisków palców czy innych niezbitych dowodów jedynie jego przyznanie się albo czysty przypadek mogłyby przesądzić o winie. Mimo to wciąż wydzwaniała do Harrison, choćby tylko po to, by o sobie przypomnieć i dać do zrozumienia, że nie zrezygnuje tak

łatwo.

Po klęsce podczas egzaminu jej związek z Michaeliem zaczął się szybko rozpadać. Zdawała sobie sprawę, iż jest na nią wściekły, że poddała się bez walki i wyszła z sali. Od czasu „incydentu”, jak uparcie nazywał gwałt, nie sypiali ze sobą, nawet nie trzymali się za ręce, jakby dla obojga było to niezręczne. Wkrótce Michael ograniczył swoje wizyty wyłącznie do weekendów. Coraz bardziej go irytowało, że Chloe w ogóle nie chce wychodzić z mieszkania, choćby tylko na wspólną kolację. Chłodny dystans między nimi powiększał się z dnia na dzień i żadne z nich nie wiedziało, jak go pokonać. Chloe nie była nawet pewna, czy nadal go pragnie. Podejrzewała, że w głębi serca Michael obarcza ją winą za to, co się stało. Widziała to w jego oczach, gdy patrzył na nią i szybko odwracał głowę, nie mogąc wytrzymać jej spojrzenia. I choćby tylko z tego powodu nie potrafiła mu wybaczyć.

Strasznie żałuję, że nie pozwoliłaś mi wczoraj zostać na noc.

Wydawało jej się, że on także przeczuwa, iż wszystko między nimi skończone, a jedynie brak mu odwagi, by otwarcie to przyznać. Zapewne bał się lawiny wyrzutów sumienia, które by go dopadły, gdyby z nią teraz zerwał. Nieraz wyobrażała sobie tę ostatnią rozmowę, zastanawiała się, jak zareaguje, kiedy w końcu on powie, że już nie myśli o ślubie, ale pragnie, żeby nadal pozostali przyjaciółmi. Czy powinna to odebrać z ulgą, poczuciem winy, a może ze smutkiem albo złością? Tak więc do końca lata widywali się coraz rzadziej, ale żadne z nich się na to nie uskarżało.

W kancelarii Fitz & Martinelli zaproponowano jej pracę na stanowisku aplikanta pod warunkiem, że w lutym ponownie przystąpi do egzaminu. Zrezygnowała. Byłoby to kolejne miejsce, gdzie za jej plecami mówiono by o niej „ofiara gwałtu”, tyle że znacznie gorsze od uczelni, bo tu dodatkowo

nazywano by ją „ofiara gwałtu, która uciekła z egzaminu kwalifikacyjnego do palestry”.

Podczas badania kontrolnego trzy miesiące po operacji, ginekolog zaproponował jej wizytę u psychologa.

– Wszystkie ofiary gwałtów mają urazy niewidoczne gołym okiem. Konsultacja psychologiczna pomogłaby pani wyjść z tego.

Nic mi nie jest. Wszystko goi się prawidłowo. Tylko nie zdałam egzaminu w wyznaczonym terminie. Bardzo dziękuję za troskę.

Po wyjściu z gabinetu obiecała sobie nigdy tu nie wracać.

W październiku zgłosiła się do pracy nocnej operatorki telefonicznej rezerwacji miejsc w hotelu Marriott przy lotnisku La Guardia – dużym, wiecznie tętniącym życiem, zatrudniającym setki pracowników, gdzie nikt nawet nie mógł znać jej nazwiska. Pracowała w zacisznej centrali, z dala od ludzi i ich ciekawskich spojrzeń. Co prawda nie miało to nic wspólnego z rozpoczętą karierą prawniczą i z pewnością nie byłoby powodem do dumy dla jej rodziców, gdyby się o tym dowiedzieli. Michael z wyraźną odrazą odebrał ten „przejaw braku ambicji”. Dla niej zaś liczyło się głównie to, że mogła w pracy bezpiecznie przeczekać noc, zachowując jednocześnie anonimowość i unikając niepotrzebnych kontaktów z obcymi. A przede wszystkim mogła zarabiać na życie. Pracowała wyłącznie na nocnej zmianie, od dwudziestej trzeciej do siódmej rano.

Już w czwartym tygodniu pracy parę minut przed szóstą, a więc na godzinę przed zmianą, odebrała ten telefon.

– Marriott, La Guardia. Dział rezerwacji. Czym mogę służyć?

– Tak się nieszczęśliwie składa, że spóźniłem się na samolot, a następnym mam dopiero jutro rano. Potrzebny mi pokój. Macie wolne miejsca?

Zwróciła uwagę na rozbrzmiewającą w tle znaną kantatę Bacha.

– Zaraz sprawdzę. Czy jest pan członkiem klubu Marriotta?

– Niestety, nie.

– Chodzi o pokój jednoosobowy czy dwuosobowy?

– Pojedynczy.

– Dla palących czy niepalących?

– Poproszę dla niepalących.

– Będzie pan nocował sam?

– Tak, sam. Chyba że zechcesz mi towarzyszyć, Chloe.

Serce podeszło jej do gardła. Zerwała z głowy słuchawki, rzuciła je na podłogę i popatrzyła na nie takim wzrokiem, jakby przemieniły się w karalucha. Adele, kierowniczka zmiany, podeszła do niej szybko, przyciągając uwagę pozostałych pracowników. Z leżących na podłodze słuchawek dolatywały piskliwe nawoływania:

– Halo! Halo! Panienko! Jest tam ktoś?

– Wszystko w porządku? – zapytała Adele, wyciągając od niej rękę, lecz Chloe cofnęła się jak oparzona.

Naprawdę to słyszała, czy tylko jej się wydawało?

Pęknięcia na jej wizerunku gwałtownie się poszerzały, zygzakowate linie rozchodziły się we wszystkich kierunkach. Lada moment cała fasada mogła runąć. Jak urzeczona wpatrywała się w słuchawki, które kierowniczka podniosła z podłogi.

– Halo! Bardzo pana przepraszam. Mówi Adele Spates z działu rezerwacji. Czym mogę służyć?

Chloe zaczęła się powoli wycofywać. Złapała ze stolika torebkę i skoczyła do drzwi, zanim Adele skończyła przyjmować rezerwację. Wszystko wirowało jej przed oczami. Gwar głosów zlewał się w monotony hałas.

Taka śliczna dziewczynka jak moja Chloe nigdy nie powinna zostawać

sama. Wyglądasz tak apetycznie, że miałbym ochotę cię schrupać. Strasznie żałuję, że nie pozwoliłaś mi wczoraj zostać na noc. Mogę zapewnić, że dokładnie sprawdzamy wszelkie poszlaki.

Popędziła przez parking do swojego samochodu, jakby sam diabeł deptał jej po piętach. Zapomniała zabrać płaszcz, lecz nie zwracała uwagi na lodowate uderzenia jesiennego wiatru. Z piskiem opon wyjechała na Grand Central Parkway i z szybkością stu kilometrów na godzinę pognała do domu, niemal bez przerwy patrząc we wsteczne lusterko, jakby się obawiała, że za kierownicą następnego auta zobaczy mężczyznę w masce klauna, który będzie puszczał do niej oko albo mrugał światłami.

Zaparkowała wóz i popędziła do windy. Hol pokonała w paru susach, drzemiący strażnik nawet nie zdążył podnieść głowy. W mieszkaniu zamknęła drzwi na wszystkie zasuwki, zapaliła wszystkie światła i zresetowała system alarmowy.

Ogarnęło ją tak silne przerażenie, jakiego dotąd nie znała. Cała się trzęsała. Zaczęła biegać z pokoju do pokoju, zaglądać do wszystkich szaf i szafek, pod łóżko, za zasłonkę prysznicową. Z szuflady nocnego stolika wyciągnęła mały pistolet kalibru 5,6 milimetra, który ojciec kupił jej przed wyjazdem do Kalifornii. Sprawdziła raz i drugi, czy jest naładowany.

Wróciła do saloniku, gdzie czerwona dioda czujnika ruchu na obudowie alarmu migąca jednostajnie, ale główny wskaźnik systemu świecił na zielono.

Usiadła na kanapie z pistoletem na kolanach, zaciskając spocone dłonie na kolbie, nerwowo muskając palcem spust. Tibby, kot poprzedniej lokatorki, wcisnął jej się pod łokieć i prężąc grzbiet, mruzczał przymilnie. Niebawem słońce wychyliło się zza budynków i jego żółtawe promienie zaczęły się przesączać przez szparę między zaciągniętymi zasłonami. Zgodnie z prognozami wstawał piękny, słoneczny dzień. Chloe jednak tkwiła jak

sparaliżowana, gapiąc się na drzwi wejściowe.

Z trudem budowana fasada popękała ostatecznie do końca i opadła.
Roztrzaskała się na tysiące kawałków.

CZEŚĆ II



Wrzesień 2000

Ze wszystkich, niegdyś pięknych twarzy kierowały się w jego stronę puste, martwe spojrzenia. Spod powiek, wciąż umalowanych na jasnozielono lub fioletowo, i rzęs wciąż posklejanych czarnym tuszem, wyzierały pozbawione życia i jakiegokolwiek wyrazu szkliste oczy. Uszminekowane na czerwono wargi rozchyłały się, odsłaniając mroczne jamy ust. W oczach pozostał zastygły wyraz niepojętego przerażenia, a na ustach zamarł histeryczny krzyk.

Agent specjalny Dominick Falconetti siedział samotnie w urzędzonej na szaro sali konferencyjnej Wydziału do Zwalczenia Przeszłości stanu Floryda. Z brodą opartą na dłoniach, delikatnie masując palcami skronie, wpatrywał się w zestaw zdjęć rozwieszonych na przeciwległej ścianie. Prostokątny wiśniowy stół był założony policyjnymi raportami, oznaczonymi na zielono sprawozdaniami oficerów śledczych, wycinkami z gazet i protokołami z przesłuchań. W popielniczce dopalał się papieros, obok stał duży plastikowy kubek z kawą i pusta brązowa torba papierowa z Burger Kinga. Stojący w kącie telewizor odtwarzał zaśniewany obraz z przesłuchania zarejestrowanego na kasecie wideo. Blask jarzeniówek odbijał się w pięciu ponurych fotografiach rozłożonych przed nim na stole, przedstawiających nową dziewczynę, która miała dołączyć do zestawu na tablicy.

Rodziny wszystkich jedenastu zaginionych dziewcząt poproszono o jak najświeższe zdjęcia do celów identyfikacyjnych. Z legitymacyjnych, zrobionych podczas uroczystości rozdania matur bądź portretów wykonanych

w zakładach fotograficznych, spoglądały na niego żywe, uśmiechnięte twarze, tak drastycznie różne od pozostałych rozmieszczonych na brunatnej korkowej tablicy przez agentów, którzy wchodzili w skład specjalnej grupy dochodzeniowej nazywanej po prostu Ścianą. Od każdej rodziny dostawali trzy albo pięć, niekiedy nawet dziesięć różnych zdjęć. Dominick wiedział z siedemnastoletniego doświadczenia, iż żadna matka nie potrafi wybrać tylko jednego zdjęcia, które odzwierciedlałoby wszystkie jej wspomnienia o zaginionej córce i rzutowało na wizerunek, jaki pragnęłaby utrwalić w pamięci na zawsze. Nigdy nie umiał o to nawet poprosić. Dlatego sam musiał wybierać fotografie najbardziej pasujące do celów dochodzenia, a pozostałe odkładać do akt. Później zaś przypinał je na tablicy w porządku chronologicznym – w jednym rzędzie uśmiechnięte podobizny według daty zgłoszenia zaginięcia dziewczyny, a w drugim martwe i przerażające według daty odnalezienia zwłok.

W dolnym szeregu, kontrastowo różnym od zdjęć dostarczonych przez rodziny, znajdowało się obecnie dziewięć zrobionych przez policyjnych techników fotografii, ukazujących nagie i okaleczone zwłoki zaginionych dziewcząt. Poniżej, przyszpilone pinezkami o kolorowych łebkach, znajdowały się pięciozdjęciowe kolaże ukazujące miejsca zbrodni oraz zbliżenia z autopsji, przez co pełen zestaw zajmował już niemal całą długość siedmiometrowej tablicy. Stwarzał upiorną, mrozącą krew w żyłach retrospekcję tego, co zniknęło na zawsze. A między rzędami dawnych i obecnych fotografii wisiały wypełnione maszynowym pismem duże białe karty indeksowe zawierające dane personalne ofiar, ich wiek, krótki opis wyglądu zewnętrznego oraz daty i miejsca zaginięcia. Podobne karty na samym dole przedstawiały datę i miejsce znalezienia zwłok oraz przybliżony czas zgonu. Przyczyn śmierci nie trzeba było wyszczególniać. Umieszczone

wyżej fotografie świadczyły o nich aż nadto dobitnie.

Dominick pociągnął łyk już całkiem wystygłej kawy i ponownie, jak czynił to już setki razy, zapatrzył się na rozwieszane zdjęcia, porównując uśmiechy i spojrzenia pełne ufności z zastygłymi na twarzach wyrazami przerażenia. Na co aż tak strasznego mogły patrzeć w ostatnich chwilach swojego krótkiego życia, nim śmierć w końcu litościwie zgasiła ich świadomość?

Były bardzo młode, ledwo po dwudziestce, trzy nie zdążyły nawet dożyć tego wieku. Najstarsza z tej jedenastki właśnie skończyła dwadzieścia pięć lat, najmłodsza miała zaledwie osiemnaście. Na zdjęciach z górnego szeregu bądź uśmiechały się uroczo, bądź zalotnie wydymały wargi. Jednej złociste blond loki opadały na ramiona, druga miała platynowe kosmyki zebrane w luźny koński ogon, innej proste włosy w miodowym odcieniu spływały kaskadami na plecy. Wszystkie były jasnowłose i wszystkie za życia bardzo ładne, wręcz uderzająco piękne – do tego stopnia, że aż w sześciu wypadkach dostali portrety wykonane przez zawodowych fotografów.

W ciągu minionego półtora roku w upalne tropikalne wieczory jedenaście dziewcząt w Miami zniknęło bez śladu, a to z ocienionego palmami Ocean Drive lub Washington Avenue, a to z zatłoczonych popularnych nocnych klubów South Beach czy też z innych znanych miejsc, gdzie bogaci, sławni i piękni chodzili się bawić.

Po kilku tygodniach albo nawet miesiącach od zaginięcia nagie i okaleczone zwłoki dziewięciu spośród nich odnajdowano w różnych odludnych punktach okręgu Miami-Dade – rozrzuconych na dużej przestrzeni i w żaden sposób ze sobą niezwiązanych: w starej rafinerii cukru w Everglades, w porzuconej mecie handlarzy narkotyków w samym sercu Liberty City, w opuszczonym supermarkecie w Kendall. Zabójca nawet nie

próbował specjalnie ukrywać czy maskować zwłok, wręcz przeciwnie, porzucał je tam, gdzie musiały zostać szybko odnalezione. I nie ulegało wątpliwości, że śmierć każdej z ofiar była szczegółowo zaplanowana już w chwili jej zniknięcia, a brutalność, jaka jej towarzyszyła, oddziaływała nawet na najbardziej doświadczonych oficerów śledczych.

Pocięte zwłoki każdej z dziewcząt nosiły bowiem przerażające oznaki działania seryjnego mordercy, prawdopodobnie wybierającego swe ofiary całkiem przypadkowo, z powodów zrozumiałych wyłącznie dla jego chorego umysłu. W dodatku mordercy szczególnie bezczelnego, porywającego dziewczęta na oczach setek świadków, i zarazem na tyle bezwzględного, że nazwano go makabrycznym pseudonimem Kupidyna.

Otwierał zwłoki każdej kobiety, nieznanym narzędziem rozcinał je wzdłuż od gardła aż po dół brzucha i w poprzek tuż pod piersiami, po czym rozchyłał szeroko części rozplatanego mostka, łamiąc żebra, i wycinał ze środka serce, które zabierał. Nie odnaleziono go przy żadnych zwłokach pozostawionych z otwartą jamą pośrodku klatki piersiowej i czarnym, zakrwawionym miejscem po jego wycięciu. Wszystkie dziewczęta odnajdowano nagie, ułożone w obscenicznych pozycjach erotycznych. I wszystkie przed śmiercią były seksualnie wykorzystywane, waginalnie i analnie, z użyciem nieznanego narzędzia bądź różnych przedmiotów, niekiedy także po śmierci.

Obecnie w skład specjalnej grupy dochodzeniowej pracującej nad sprawą Kupidyna wchodziło dwunastu oficerów śledczych i detektywów, oddelegowanych w pełnym wymiarze godzin z czterech komend okręgowych, z Miami Beach, Miami-Dade, North Miami oraz miejskiej z Miami. Na polecenie gubernatora Busha stanowy Wydział do Zwalczania Przestępczości zajmujący się dochodzeniami w sprawach kryminalnych udostępnił grupie salę konferencyjną w swoim Regionalnym Centrum

Operacyjnym, zapewniając jej ponadto współpracę doświadczonych kryminologów, dostęp do koparki i faksu oraz pomoc sekretarską. Właśnie w tej sali przekształconej w tymczasowe centrum dowodzenia ustawiono korkową Ścianę. Początkowo była to jedna tablica o wymiarach metr na dwa metry. Ale po dziesięciu miesiącach trwania śledztwa, które objęło wówczas sześć zaginionych kobiet, z czego trzy odnaleziono martwe, wydział został zmuszony do zwiększenia pomocy i oddelegował do grupy swojego agenta specjalnego, Dominicka Falconettego. Jego pierwszą decyzją było powiększenie korkowej tablicy.

Dwa obskurne regały i metalowa szafka na akta zostały przesunięte w najdalszy kąt sali, żeby zrobić miejsce dla kserokopiarki, trzech komputerów oraz licznych kartonowych pudeł na akta, które obecnie piętrzyły się do połowy wysokości pomieszczenia. Duża gablota z plakietkami, odznaczeniami, dyplomami i zdjęciami, którą trzeba było zdjąć, żeby pomieścić dalsze korkowe tablice, leżała szybą do dołu na dwóch regałach z książkami. W kartonowych pudełach znajdowały się opracowane na zielono sprawozdania oficerów śledczych, setki policyjnych raportów, stenogramy z tysięcy przeprowadzonych rozmów i przesłuchań. Wszystkie te dokumenty dotyczyły ostatnich miesięcy, dni i minut życia każdej z zamordowanych dziewcząt. W innych pudełach znajdowały się sprawozdania na temat sytuacji finansowej ofiar, ich terminarze i pamiętniki, listy, albumy ze zdjęciami i wydrukowane emaile – niemal bez wyjątku dotyczące spraw osobistych i życia prywatnego, nieraz wzbogaconych o najbardziej intymne szczegóły – obecnie jednak zaliczone do materiału dowodowego i będące własnością stanu Floryda.

Dominick odnalazł pudełko z pinezkami na górnej półce regału, obok kolejnego, opróżnionego dawno temu plastikowego kubka po kawie. Bez

pośpiechu rozmieścił na tablicy pięć kolejnych fotografii zwłok, dla odmiany wybierając tylko pinezki z różowymi łebkami, a nad nimi przypiął następną kartę indeksową z wpisem: Marilyn Siban, lat 19.

Bez tych kart zestawienie pośmiertnych zdjęć z podobiznami żywych ofiar byłoby absolutnie niemożliwe. Twarze, dawniej oszałamiające urodą, były na nich zapuchnięte i posiniaczone; cera, niegdyś jedwabista, miała popielaty odcień albo, co gorsza, rozpływała się w poczerniałą maź; w miejscu uśmiechów odsłaniających równiutkie białe zęby teraz widać było kłębiące się robactwo i nabrzmiałe sine języki; blond loki i platynowe kosmyki były upstrzone brzydkimi plamami zakrzepłej krwi. W gorącym i wilgotnym klimacie Florydy rozkład zwłok postępował bardzo szybko, toteż w niektórych przypadkach identyfikacja była możliwa tylko dzięki ustaleniu zgodności ze stanem uzębienia w kartach stomatologicznych.

Dominick powiódł wzrokiem po całej Ścianie, jak zawsze wypatrując jakiejś analogii, która dotąd uchodziła jego uwagi. Nicolette Torrence, lat 23; Andrea Gallagher, lat 25; Hannah Cordova, lat 22; Krystal Pierce, lat 18; Cyndi Sorenson, lat 24; Janet Gleeder, lat 20; Trisha McAllister, lat 18; Lydia Bronton, lat 21; Marilyn Siban, lat 19. Z końca tablicy spoglądały na niego dwie inne uśmiechnięte twarze, pod którymi nie było jeszcze kart indeksowych. Morgan Weber, lat 21, widziano po raz ostatni w barze Clevelander w Miami Beach 20 maja 2000, natomiast Annę Prado, lat 24, w nocnym klubie Level w South Beach 1 września tegoż roku. One też zapewne zginęły, tyle że dotąd nie odnaleziono ich zwłok.

Zaciągnął się jeszcze papierosem i zdusił niedopałek w popielniczce. Przed kilkoma laty rzucił palenie, ale gdy miesiąc wcześniej w ciągu jednego tygodnia odnaleziono ciała Cyndi Sorenson i Lydii Bronton, znów zaczął sporadycznie palić. Wyjrzał przez jedyne niewielkie okno sali

konferencyjnej. Ogrodzenie z łańcucha, otaczające sąsiedni magazyn dowodów rzeczowych, w świetle latarni pustego parkingu przed budynkiem rzuciło na asfalt dziwny, zygzakowaty cień. Wszyscy pracownicy wydziału już dawno poszli do domu, na zewnątrz panowały kompletne ciemności. Odwrócił się i spojrzał na leżącą na stole grubą brązową teczkę kartonową, z której wcześniej powyciągał raporty policyjne i notatki. Była całkiem nowa. Na naklejce znajdował się napis: „Marilyn Sibon, ur. 16.04.1981, zagięła. 07.07.2000, znaleziona. 17.09.2000”.

Z powodu daleko posuniętego rozkładu zwłok patolog nie był nawet w stanie podać konkretnej daty jej śmierci. Szacował, że zginęła od dwóch do czterech tygodni wcześniej. Wynikało stąd, że Kupidyn musiał ją utrzymywać przy życiu co najmniej przez dwa tygodnie, nim ostatecznie pozwolił jej umrzeć. W prawym górnym rogu teczki znajdowała się zakreślona na czerwono liczba 44, oznaczająca, że do akt dołączono w sumie tyle właśnie fotografii z miejsca zbrodni oraz autopsji. Z tej liczby Dominick wybrał pięć, które właśnie przypiął na Ścianie.

Dwa dni wcześniej oficer z komendy okręgowej Miami-Dade, prowadzący zajęcia terenowe z oddziałem antyterrorystycznym, natknął się na zwłoki dziesięcioletniej porzucone w dawnym magazynie amunicji i pocisków rakietowych marynarki wojennej na zachód od Florida City, na obrzeżu bagien Everglades. Ledwie przystąpił do demonstracji wyważania kopniakiem zamkniętych drzwi, cały oddział owionął nieznośny fetor rozkładu. Najdalszy kąt pustej hali magazynowej został odgradzony naciągniętą linką nylonową, a porozwieszane na niej stare brudne koce i prześcieradła tworzyły prowizoryczny szałas o wymiarach dwa na dwa metry. Policjanci sądzili początkowo, że to schronienie bezdomnego albo szałas dzieciaków bawiących się na opuszczonym terenie wojskowym, a

źródłem fetoru jest zwierzęca padlina. Jednakże gdy zajrzeli pod szmaty, odkryli rozkładające się zwłoki pięknej początkującej fotomodelki.

Siedziała nago na gołej brudnej cementowej posadzce z głową opartą o starą zardzewiałą beczkę. Długie popielato-blond włosy zebrane w koński ogon były przyklejone taśmą samoprzylepną do krawędzi beczki, przez co siedziała w pozycji wyprostowanej z głową lekko odchyloną do tyłu. Usta i oczy były szeroko otwarte. Z przeważającej powierzchni ciała skóra zeschnięta w gorącym suchym powietrzu zdążyła się złuszczyć płatami, odsłaniając poczerniałe gnijące tkanki i mięśnie. Obie nogi były wyrwane ze stawów biodrowych i rozłożone nienaturalnie szeroko, a ręce skierowane ku dołowi, z obnażonymi już kośćmi palców splecionymi na wzgórku łonowym. I jak w wypadku wcześniejszych ofiar, Kupidyn pozostawił swój znak firmowy. Dziewczyna miała otwartą klatkę piersiową, rozcięty mostek, odchylony na boki, odsłaniał mroczną jamę. Sądząc po ilości krwi, która wsiąkła w cement pod zwłokami, oraz po ułożeniu rozprysków na porozwieszanych szmatach, należało przypuszczać, że dziewczyna została zamordowana w tym samym miejscu, gdzie ją odnaleziono. Bezpośrednią przyczyną śmierci była znaczna utrata krwi spowodowana rozcięciem aorty i usunięciem mięśnia sercowego. Patolog nie potrafił jednoznacznie określić, czy była przytomna w chwili, gdy zabójca ją rozcinał, ale rozkład plam krwi wokół ciała świadczył wyraźnie, że jeszcze żyła.

Dwa miesiące wcześniej, piątkowego wieczoru, zniknęła z zatłoczonego klubu Liquid w South Beach. Czwooro przyjaciół, z którymi wówczas przebywała, zeznało, że poszła do baru na drinka i nie wróciła. Podejrzewali, że spotkała znajomego i wyszła razem z nim, dlatego o jej zaginięciu powiadomili policję dopiero po dwóch dniach, kiedy nie pokazała się w lokalu, w którym dorabiała jako kelnerka. Fotografia przekazana przez jej

rodziców do akt pochodziła z ostatniej sesji zdjęciowej, a którą zorganizowano w ramach przygotowywanej kampanii reklamowej handlarza używanych samochodów z Keys, jaka miała miejsce zaledwie na dwa dni przed zniknięciem dziewczyny.

Technicy z dochodzeniówki przez następnych pięć dni mieli szczegółowo zbadać cały barak oraz jego otoczenie, lecz Dominick nie liczył, że coś znajdą. We wcześniejszych ośmiu wypadkach na miejscu zbrodni nie odnaleziono absolutnie niczego, żadnych odcisków palców, śladów butów, nasienia, włosów, nawet obcego DNA nienależącego do ofiary. Ostatnim razem do pomocy specjalistom z Miami przybyła nawet ekipa z Key West, która zajęła się badaniem okolicy w poszukiwaniu śladów opon i butów, niedopałków papierosów, resztek ubrań czy jakiegokolwiek rodzaju broni, także bez rezultatu.

Dawny kompleks wojskowy leżał na skraju mokradeł Everglades, dość daleko od głównych dróg, nie można więc było również liczyć na znalezienie naocznych świadków. Najbliższa stacja benzynowa znajdowała się w odległości ponad ośmiu kilometrów. Cały teren ogrodzono, co prawda, drucianą siatką i umieszczono gęsto tablice z napisem „Obcym wstęp wzbroniony”, ale bramę wjazdową przegradzała jedynie cienka barierka zamknięta na kłódkę, którą nawet parolatek zdołałby otworzyć.

Sytuacja była bardzo denerwująca. Przez osiem miesięcy pracy w zespole specjalnym nie był nawet o krok bliżej schwytania sprawcy. Albo sprawców. Tymczasem częstotliwość zabójstw wyraźnie rosła. Kolejne ofiary były traktowane coraz brutalniej, a morderca wciąż pozostawał niezwykle precyzyjny. Rozmowy prowadzone w miejscach, gdzie po raz ostatni widziano dziewczęta, pozwalały wnioskować, że stawał się coraz bardziej

bezczelny i pewny siebie. Jawnie drwił z policji. Jednak nie wszystkie ofiary zginęły tam, gdzie je znaleziono. Niektóre ewidentnie mordował gdzie indziej i dopiero potem porzucał zwłoki w wybranym odludnym miejscu. Dlaczego tylko niektóre? Nie ulegało wątpliwości, że bardzo starannie dobiera miejsca zostawienia zwłok. Po co? Czy kryła się za tym jakaś idea? Chciał coś przez to zasygnalizować? Zwłoki dwóch wcześniejszych ofiar, Nicolette Torrence i Hannah Cordovy, zostały odnalezione według szacunków specjalistów zaledwie kilka dni po zabójstwie. W obu wypadkach nie minął nawet tydzień od czasu zgłoszenia zaginięcia dziewcząt. Ale każdą następną ofiarę Kupidyn przetrzymywał coraz dłużej, jakby chciał się z nią dłużej pobawić. Między zgłoszeniem zaginięcia a odnalezieniem ofiary mijały długie miesiące.

Prasa żywo interesowała się zabójstwami. Na każdym miejscu odnalezienia zwłok rozgrywał się ten sam cyrk z natłokiem wozów reporterskich, jupiterów i mikrofonów. Duże agencje informacyjne z kraju i ze świata oddelegowały stałych wysłanników do Miami, by zapewnić sobie dopływ świeżych wiadomości o „fali brutalnych morderstw ośmieszających miejscową policję”. Wścibscy dziennikarze rozpychali się łokciami wokół czarnych plastikowych worków zawierających ludzkie szczątki, byle tylko zapewnić sobie pierwszeństwo, a macierzystej firmie wysoką oglądalność w czasie transmisji reportażu z miejsca kolejnej zbrodni Kupidyna. „Oddajemy wam głos, Matt i Katie!”

Dominick przeciągnął dłońmi po gęstych czarnych włosach i dopił ostatni łyk kawy. W ciągu ostatnich dwóch dni przespał najwyżej cztery godziny. Zacisnął palce na szczęce i w zamyśleniu poskubał krótką szpakowatą bródkę, którą zaczął ostatnio hodować. Niestety, coraz więcej było w niej siwych włosów. Miał trzydzieści dziewięć lat i choć nadal uważał, że jest

całkiem przystojny, to jednak psychicznie czuł się o wiele starszy.

Przyczyniała się do tego praca, a szczególnie ta sprawa. Wysysała resztki energii, niezależnie od tego, jak bardzo starał się od niej dystansować. W każdej młodej pięknej dziewczynie widział swoją córkę, narzeczoną, siostrę. Spoglądając na szkliste martwe oczy ofiar, wędrował myślami do swojej siostrzenicy, którą jeszcze niedawno huśtał na oponie zawieszanej na gałęzi drzewa przed domem na Long Island, a która obecnie, już jako kusząco zaokrąglona osiemnastolatka, wybierała się do college'u Cornella. Pracował nad zabójstwami od siedemnastu lat, przez pierwsze cztery w komendzie nowojorskiej, na Bronksie, a od trzynastu jako agent specjalny w sekcji zabójstw Wydziału do Zwalczania Przeszłości na Florydzie. I każdego roku obiecywał sobie, że będzie to ostatni rok tej pieskiej służby. Każdego roku przymierzał się do napisania wniosku o przeniesienie do sekcji oszustw, gdzie można było pracować w spokoju i codziennie wychodzić do domu o siedemnastej. Ale mijały kolejne lata, a on wciąż musiał patrzeć na trupy i niekiedy aż do trzeciej w nocy wypełniać nakazy rewizji. Z jakiegoś powodu nie umiał porzucić tego zajęcia, jakby nie widział dla siebie innego celu w życiu poza wyłapywaniem kolejnych morderców i szukaniem sprawiedliwości w imieniu kolejnych ofiar, choć, niestety, czasami nie było to możliwe.

Wiedział, że każdy zabójca w końcu musi się czymś zdradzić. Absolutnie każdy. Dotyczyło to również seryjnych morderców zostawiających swoje wizytówki na miejscu zbrodni. W swojej karierze pracował nad kilkoma sprawami seryjnych zabójców, między innymi Danny'ego Rollinga z Gainsville oraz Dusiciela z Miami. Z perspektywy czasu, gdy sprawdzało się informacje zebrane na miejscach kolejnych zbrodni słynnych seryjnych morderców, łatwo było rozpoznać przyczyny ich wpadek. Trzeba było tylko

wiedzieć, czego szukać. Dotyczyło to na równi spraw Syna Sama, Dusiciela z Bostonu, Johna Wayne'a Gacy'ego, jak i Teda Bundy'ego czy Jeffreya Dahmera.

Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać.

Dlatego z takim uporem wpatrywał się w Ścianę, usiłując znaleźć klucz do zagadki, który dotąd uchodził jego uwagi. Na przeciwległej ścianie sali wisiały lotnicze zdjęcia South Beach i okręgu Miami-Dade upstrzone czerwonymi i niebieskimi pinezkami. Te pierwsze znaczyły miejsca zaginięcia kolejnych ofiar, zgrupowane w rejonie znanym powszechnie jako SoBe. Za to niebieskie, oznaczające lokalizacje porzucenia zwłok, były rozsiane szeroko wokół Miami.

Dochodziła dziewiąta wieczorem. Dominick ociężale sięgnął po okulary i zaczął jeszcze raz czytać stenogram zeznań Shelly Hodges, przyjaciółki Marilyn Siban, jednej z ostatnich osób, które widziały ją żywą. „W lokalu było za dużo ludzi, żeby czekać, aż kelnerka przyniesie drinki. Marilyn powiedziała, że chyba rozpoznała przy głównym barze grupę znajomych, dlatego poszła sama po martini. Więcej jej nie widzieliśmy”.

Grupę znajomych. A więc nie chodziło o jedną osobę. Czyżby zabójca nie działał w pojedynkę? Seryjni mordercy zwykle nie miewają współników, zdarzają się jednak wyjątki, jak chociażby w sprawie Dusicieli z Hillside, dwóch niesławnych kalifornijskich kuzynów. Zatem gdyby założyć, że morderca nie był w barze sam, Marilyn musiała znać całe towarzystwo albo przynajmniej ufać mu na tyle, że odważyła się wyjść ze swoim oprawcą z lokalu. Potwierdzało to jedynie wcześniejszą hipotezę, że wszystkie ofiary musiały znać mordercę. Bo z jakiego innego powodu chciałyby dobrowolnie z nim iść, zostawiając przyjaciół w zatłoczonym barze?

Jeśli tak było w rzeczywistości, powinien istnieć jakiś krąg znajomych

łączący przynajmniej kilka ostatnich ofiar. Ale jak dotąd nic nie wskazywało na to, by którekolwiek z dziewcząt znały się nawzajem bądź też miały wspólnych znajomych. Ani nie pracowały w jednej firmie, ani nie wykonywały tego samego zawodu. Z pozoru absolutnie nic ich ze sobą nie łączyło. Nękaną tą jedną myślą, podniósł głowę i znów popatrzył na korkową tablicę ze zdjęciami.

Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać.

Pora wracać do domu. Nie miał nic pilnego do roboty. Prawdę mówiąc, w ogóle nie miał tu już nic do roboty. Zgarnął sprawozdania ze stołu i powkładał je do nowej kartonowej teczki, a następnie wyjął z magnetowidu kasetę wideo z zapisem miejsca odnalezienia zwłok Marilyn Sibon i wyłączył laptop. Właśnie wtedy zadzwonił telefon komórkowy.

– Falconetti.

– Mówi sierżant Lou Ribero z komendy miejskiej w Miami Beach. Mam chyba dla pana i całej pańskiej grupy dochodzeniowej dobre wiadomości. Wygląda na to, że złapaliśmy waszego Kupidyna. Przewoził właśnie zwłoki swojej kolejnej ofiary.

. 16 .

Z zapalonym kogutem na dachu szybko pojechał Dolphin Expressway na wschód, w kierunku Miami Beach, od czasu do czasu włączając także syrenę, żeby utorować sobie drogę na zatłoczonych mimo późnej pory ulicach. Jego zdaniem kierowcy z południowej Florydy byli najgorsi na świecie, gorsi nawet od nowojorczyków. Bili wszelkie rekordy. Albo przekraczali dozwoloną prędkość o trzydzieści kilometrów na godzinę, albo wlekli się w żółwym tempie. Nikt nie jeździł normalnie. A kiedy rajdowcy wpadali w grupę maruderów, rozlegał się pisk opon i trzask wgniatanych blach, a następnie czerwone światła stopu znaczyły kawalkadę aut zbijających się w wielokilometrowy zator.

Natknął się na taki korek tuż za zjazdem numer 395 na autostradzie MacArthura. W dali przed sobą widział już migające niebieskie i czerwone światła zbitych w wielką gromadę radiowozów. W tym miejscu autostrada prowadziła dwoma oddzielnymi mostami nad odnogą Zatoki Biscayne. Nie było co marzyć o przedostaniu się na jezdnię wiodącą w przeciwnym kierunku, mógł tam najwyżej dopłynąć. Przeklinając pod nosem kretyna z drogówki, który wybrał takie właśnie miejsce na zatrzymanie podejrzanego samochodu, wykręcił na prawe pobocze serwisowe i zaczął się mozolnie przeciskać obok aut blokujących przejazd na odcinku długości kilometra. Wyjątkowo rajdowcy i maruderzy utworzyli tu swoistą koalicję, wychylali się z okien bądź wysiadali i spoglądali ponad dachami wozów, usiłując wypatrzeć miejsce karambolu, który ich zdaniem musiał się przyczynić do powstania korka. Przejechawszy jeszcze kawałek, Dominick dostrzegł na sąsiednim moście skupisko od piętnastu do dwudziestu radiowozów oraz

blokujący przejazd w kierunku zachodnim policyjny helikopter stojący na środku autostrady. Patrole z drogówki zablokowały ruch w obu kierunkach. Ludzie stojący w pierwszych rzędach siedzieli na maskach i dachach aut, przyglądając się z zaciekawieniem niezwyklej scenie. Z tyłu co bardziej zniecierpliwieni naciskali klaksony.

Minąwszy policyjną blokadę, Dominick pognał do najbliższego zjazdu z mostu, przeciął skrzyżowanie i skręcił na estakadę prowadzącą z powrotem na zachód, ale nie zdołał nawet dostać się na górę, gdyż i ona była całkowicie zakorkowana. Musiał wezwać przez radio patrol z drogówki, który oczyścił mu wjazd na most.

Znalazłszy się znów na autostradzie, ruszył dalej, i tym razem przeciskając się poboczem serwisowym obok samochodów stojących w korku. Wreszcie minął kolejną blokadę i zatrzymał się na końcu długiego sznura radiowozów pochodzących bodaj ze wszystkich instytucji stojących na straży porządku publicznego w okręgu Miami-Dade. Policja usuwała właśnie blokadę. Dwa prawe pasy zostały wyłączane z ruchu i oznakowane migającymi światłami, a pryszczaty chłopak z drogówki, najwyżej dziewiętnastoletni, energicznymi ruchami kierował pierwsze pojazdy na ostatni, skrajny lewy pas ruchu.

Na przodzie stały wóz strażacki i karetka, której migające jaskrawo-białe światła krzyżowały się z rozbłyskami niebieskich kogutów aut policyjnych. Na poboczu zatrzymała się biała furgonetka z dużym czarnym napisem na boku: ZAKŁAD PATOLOGII SĄDOWEJ OKRĘGU MIAMI-DADE. Jako jedyna nie miała włączonych migaczy. Gdyby Dominick nie wiedział, co się tutaj stało, mógłby przysiąc, że doszło do gigantycznego karambolu z licznymi ofiarami w ludziach.

Ruszył energicznym krokiem wzdłuż szeregu policyjnych aut. Dopiero po pewnym czasie dostrzegł czarnego sportowego jaguara XJ8 stojącego tuż

przy betonowej barierze oddzielającej jezdnię i otoczonego ciasno dalszymi radiowozami.

Jasna cholera. Wszyscy już się tu zjechali, pewnie specjalnie po to, by zorganizować kolejny cyrk na użytek zachłannych mediów.

Ponad mostem górował jakby wyrastający wprost z zatoki wieżowiec redakcyjny „Miami Herald”. Okna dziesiątego piętra znajdowały się dokładnie na wysokości wiaduktu.

Wspaniale. Niektórzy fotoreporterzy nawet nie będą musieli wychodzić ze swoich ciepłych gabinetów, żeby zrobić zdjęcie na pierwszą stronę.

Popatrzył w tamtym kierunku. We wszystkich oknach widać było twarze zaciekawionych pracowników. Przez dobry teleobiektyw można było stamtąd uchwycić nawet powiększenie pryszcza na czubku jego nosa.

Jaguar stał pusty, z otwartym bagażnikiem. Jego zawartość była przykryta białą szpitalną płachtą lekko unoszącą się w podmuchach bryzy znad zatoki. Pięć metrów od czarnego auta stała gromadka różnie umundurowanych funkcjonariuszy pogrążonych w rozmowie, a jednocześnie zasłaniających gapiom widok wnętrza bagażnika. W powietrzu rozchodziły się trzaski policyjnych krótkofalówek, przecinały się płynące z eteru meldunki składane niezrozumiałym dla laika żargonem.

Po przeciwnej stronie mostu, na zachodzie, roztaczała się wspaniała nocna panorama Miami, w której uwagę przyciągał natłok świecących i mrugających neonów w odcieniach jaskrawego różu, połyskliwego błękitu i cytrynowej żółci, zdających się natrętnym blaskiem spowijać całe miasto. A na drugim jego końcu, od wschodu, błyszcząły w oddali światła wieżowców Miami Beach.

Tuż przed czarnym jaguarem stał wóz policyjny z komendy miejskiej w Miami Beach. Na jego tylnym siedzeniu, za drucianą siatką zabezpieczającą

funkcjonariuszy przed niebezpiecznymi pasażerami, Dominick dostrzegł ciemny zarys siedzącego samotnie człowieka.

Podszedł do gromadki stróżów prawa i pokazał odznakę.

– Czy ktoś z was wie, gdzie mógłbym znaleźć sierżanta Ribero z Miami Beach?

Kolejny nieopierzony dziewiętnastolatek w granatowym mundurze skinął szybko głową i wskazał inną, mniejszą grupkę stojącą przy otwartych drzwiach furgonetki z zakładu medycyny sądowej. Dominick obrzucił uważnym spojrzeniem trzech gliniarzy rozmawiających z dwoma facetami w czarnych garniturach, jako żywo przypominającymi bohaterów filmu *Blues Brothers*, brakowało im tylko ciemnych okularów. Słuchali uważnie relacji jednego z policjantów i robili notatki. Kiedy rozpoznał w nich agentów FBI, nieomal zgrzytnął z wściekłości zębami.

Gromadka stojąca przed jaguarem rozstąpiła się, robiąc mu przejście w kierunku otwartego bagażnika. W świetle lampki znajdującej się pod klapą zauważył z bliska pierwsze plamy krwi na grubym białym płótnie szpitalnego prześcieradła. Wyjął z kieszeni spodni gumowe rękawiczki i zaczął je wkładać, gdy czyjaś ciężka dłoń spoczęła na jego ramieniu.

– Mam nadzieję, kolego, że nie jadłeś jeszcze kolacji. To naprawdę kiepski widok.

Manny Alvarez, śledczy z wydziału zabójstw komendy miejskiej w Miami od roku pracujący w zespole specjalnym, wydmuchnął kłęb dymu z papierosa. Podwinięte do łokci rękawy białej koszuli odsłaniały błyszczące od potu, mocno owłosione przedramiona i liczne złote bransoletki na przegubach. Kołnierzyk co najmniej rozmiaru czterdzieści pięć był rozpięty pod szyją, a krawat w klubowych barwach drużyny Miami Dolphins, pomarańczowo-błękitny, z czarno-białą podobizną Dana Marino,

poluzowany do tego stopnia, że układał się na bok.

– Gdzieś ty był do tej pory, do cholery?! – zapytał.

– Utknąłem w tym zasranym korku. – Dominick pokręcił głową i rozejrzał się dookoła. – Jak widać, Manny, znów nikomu nie przyszło do głowy, żeby porządnie zabezpieczyć miejsce zbrodni. No i mamy cyrk na kółkach.

Alvarez, z racji swoich stu dziewięćdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu i stu czternastu kilogramów wagi zwany powszechnie Misiem, górował nad nim niczym wieża, Dominick miał bowiem „tylko” sto osiemdziesiąt centymetrów i ważył osiemdziesiąt sześć kilo. Misiek odznaczał się gęstymi czarnymi włosami nadzwyczaj bujnie pokrywającymi całe ciało, nie wyłączając górnych części palców. Oprócz grubych bujnych wąsów nosił też zawsze jednodniowy zarost, który u innego mężczyzny mógłby uchodzić za trzydniowy. Gęste kłaki wyłaziły mu też spod rozpiętego kołnierzyka koszuli. Powszechnie podejrzewano, że jest owłosiony cały, bez wyjątku. Zatem dla kontrastu golił sobie głowę do gołej skóry, czaszkę miał gładką jak gumowa piłka. Mimo to już na pierwszy rzut oka przypominał groźnego Kubańczyka, tyle że wymytego i zadbanego.

– A co ja mam powiedzieć? Jak zapraszają cię na przyjęcie, lepiej się zjawić na tyle wcześnie, żeby się załapać na kawałek tortu. Nawiasem mówiąc, pomachałeś już ręką naszym przyjaciołom z redakcji „Miami Herald”? – Ruchem głowy wskazał wznoszący się nieopodal wieżowiec i energicznie pomachał ramieniem w tamtym kierunku, jakby miał nadzieję, że jego zdjęcie znajdzie się na czołówce jutrzejszego wydania.

– Już dobrze. Nie błaznuj. Więc co się tu stało?

Alvarez zaciągnął się głęboko resztką marlboro, oparł łokcie o betonową barierkę mostu, zerknął na ciemne wody zatoki znajdujące się kilkanaście metrów niżej i zaczął:

– Jakiś kwadrans po ósmej Chavez, gorliwy młody krawężnik z Miami Beach, zwrócił uwagę na czarnego jaguara pędzącego aleją Waszyngtona w kierunku mostu MacArthura. Twierdzi, że kierowca jechał ponad sześćdziesiąt na godzinę na obszarze, gdzie obowiązuje ograniczenie do pięćdziesięciu. Ruszył więc za nim, a gdy się zbliżył, zauważył, że wóz ma rozbite tylne światło. Dlatego go zatrzymał. W samochodzie jechał tylko kierowca. Poprosił go o prawo jazdy, ubezpieczenie, dowód rejestracyjny. Mówi, że facet zachowywał śmiertelny spokój, ani się nie spocił, ani nawet nie skrzywił. Obejrzał prawo jazdy na nazwisko Bantling, William Bantling. Adres zamieszkania: LaGorce Avenue, przy samej plaży. Ruszył z dokumentami do radiowozu, żeby wypisać gościowi mandat, kiedy nagle doleciał go smród wydobywający się z bagażnika. Zawrócił więc i poprosił Bantlinga o jego otwarcie, ale facet odmówił. Chavez doszedł do wniosku, że coś tu nie gra. Bo niby dlaczego kierowca odmówił mu zgody na skontrolowanie zawartości bagażnika. Bez wahania wezwał przez radio wsparcie i kogoś z jednostki K-dziewięć. Tymczasem wyciągnął gościa zza kierownicy i zatrzymał do czasu przybycia kawalerii. Dwadzieścia minut później zjawił się tropiciel z psem i natychmiast podniósł alarm. Pies już z odległości dziesięciu metrów zaczął się wyrywać, warczeć i szczekać. Oczywiście doszli do wniosku, że wywęszył kokę, co nie? Wyciągnęli więc łom i wyważyli zamek bagażnika.

No i proszę! Co za niespodzianka! Facet przewoził zwłoki zabitej dziewczyny! W dodatku z rozplataną klatką piersiową i wyciętym sercem! Chłopcy wpadli w szal. Zaczęli na zmianę składać meldunki swoim przełożonym i zanim się kto obejrzał, zwały się tu patrole ze wszystkich agencji, jeden ważniejszy od drugiego. No i zrobił się cyrk. Wyobraź sobie, że wysłali nawet helikopter po mojego szefa. Dopiero przed chwilą odleciał.

Złapali go na jakiejś galowej imprezie dobroczynnej u gubernatora czy gdzieś tam. Jak tylko się dowiedział, o co chodzi, uznał, że musi to zobaczyć na własne oczy i kazał sobie postawić helikopter, żeby się nie tłuc samochodem z hotelu Biltmore dwadzieścia minut w jedną stronę. A przy okazji zabrał się z nim gubernator. Dlatego drogówka zablokowała obie jezdnie, żeby waźniaki mieli gdzie wylądować i mogli w spokoju dowlec tłuste dupska na miejsce zdarzenia, by później mieć o czym debatować nad stekami i pieczonymi ziemniaczkami. Sam sobie dośpiewaj, co cię ominęło.

Manny z kwaśną miną pokręcił głową i pstryknął niedopałek w kierunku aut sunących wolno skrajnym lewym pasem. Miał chyba nadzieję, że trafi w otwarte okno, a pet spadnie dokładnie między nogi i poparzy fiuta jakiemuś godnemu pogardy urzędasowi, żadnemu sensacji i widoku krwi.

Dominick ruchem głowy wskazał białą furgonetkę i zapytał:

– Co to za smutasy? Alvarez uśmiechnął się krzywo.

– Nie domyślasz się? Nasi dobrzy, wierni przyjaciele z FBI, którym zamarzyły się pochwały za rozwikłanie sprawy, nad którą nie przepracowali nawet godziny. – Uniósł oczy do nieba. – To Stevens i Carmedy. Przymilają się chłopcom z Miami Beach, żeby szczegółowo móc przedstawić wszystkie fakty na konferencji prasowej, którą na pewno zwołają z samego rana.

– Jak to możliwe, że znaleźli się tu przede mną? – Dominick skrzywił się i znów pokręcił głową. – Do diabła, Manny, mam wrażenie, że zostałem powiadomiony na szarym końcu.

– Szef rejonowego biura FBI z Florydy był na tym samym obiedzie u gubernatora. Zresztą, jeśli się nie mylę, jego chłopcy, zawsze gotowi, byli już w drodze, gdy dotarła do niego wiadomość. A reszta? Chyba sam rozumiesz, że każdy chciałby mieć swój udział w takim historycznym zdarzeniu.

Dominick głośno cmoknął. Regionalnym biurem FBI w Miami kierował

agent specjalny Mark Gracker. Miał z nim do czynienia już parokrotnie, jeszcze przed sprawą Kupidyna, w trakcie dochodzeń przeciwko zorganizowanym grupom przestępczym, kiedy to federalni przejmowali je w dogodnej dla siebie chwili, to znaczy już po zebraniu przez niego dowodów i zidentyfikowaniu podejrzanych. Wystarczyło, by choć wyszeptał nazwisko sprawcy w swoim gabinecie, a już agenci pukali do jego drzwi, i zaraz potem można było oglądać w telewizji, jak Gracker zakłada podejrzanemu kajdanki, jednocześnie udzielając wywiadu Julii Yarborough z Kanału Szóstego. Dziesięć dni po pierwszej takiej akcji Gracker został szefem regionalnego biura.

FBI zawsze próbowało się wkręcić do spraw, które na tyle dobrze rokowały, by w szybkim czasie uczynić z nich bohaterów. Od czasu afer Waco i Ruby Ridge nie miało dobrych opinii w prasie. Teraz też nie mógł za bardzo liczyć na to, że po prostu każe się Grackerowi odpieprzyć, ponieważ zwłoki Marilyn Sibon zostały odnaleziono na terenie należącym do władz federalnych, a więc jej sprawa formalnie podlegała jurysdykcji federalnej. Obejrzał się na otwarty bagażnik.

– Wiecie już, jak ta dziewczyna się nazywała?

– Tak. To Anna Prado, ta mała hostessa, która zniknęła z klubu Level. Jej zaginięcie zgłoszono zaledwie parę tygodni temu. Zwłoki są w całkiem niezłym stanie. Według mnie zginęła wczoraj, najdalej przedwczoraj. Aż serce się kroi na jej widok, chłopie. Taka była piękna.

Dominick wciągnął gumowe rękawiczki i ostrożnie uchylił róg prześcieradła. Po raz kolejny ujrzał wpatrzone w siebie szkliste, martwe oczy. Jasnobłękitne jak u małego dziecka.

– Nikt jej nie ruszał i nie dotykał?

– Nie. Tak została znaleziona. Federalni jedynie się przyjrzeni, nic poza

tym. Sam pilnowałem zwłok. „Tylko z daleka z łapami, chłopcy. Postarajcie się być mili dla szeregowych gliniarzy”. No i fotograf zdążył już zrobić zdjęcia. Skończył jakieś dziesięć minut temu.

Nagie zwłoki Anny Prado leżały na wznak z nogami ugiętymi w kolanach i podwiniętymi pod pośladki. Ręce miała związane nad głową nylonową linką. Długie platynowoblond włosy rozsypały się wokół głowy. Jej klatkę piersiową rozplątano dwoma równiutkimi nacięciami na krzyż. Brakowało serca. Pod ciałem zebrało się trochę krwi, ale nie było jej zbyt wiele. Świadczyło to wyraźnie, że została zabita gdzie indziej.

– Prawdopodobnie chciał ją porzucić w jakimś odludnym miejscu, najwyżej jeszcze trochę się pobawić ze zwłokami. Za parę miesięcy zostałyby z nich sam szkielet, w sam raz, żeby jakieś szczeniaki go odnalazły w czasie wakacji... Coś ci powiem, Dom, na wypadek, gdybyś sam jeszcze nie doszedł do tego. Mnóstwo jest pieprzonych pojebusów na tym świecie. – Wyprostował się i przypalił drugiego papierosa. Po chwili z uśmiechem wskazał auta sunące szeregiem po lewym pasie i dodał: – Jak choćby to robactwo, które bardzo chciałoby się zatrzymać i zajrzeć do bagażnika.

– Zwłoki rzeczywiście są całkiem świeże, Manny.

Dominick ostrożnie dźgnął palcem ramię dziewczyny. Było miękkie i elastyczne, tyle że bardzo zimne. Stężenie pośmiertne ustąpiło, ale niedawno. Pomyślał, że chyba nawet nie minęła doba od chwili śmierci. Zrobił krok do tyłu, pod jego butem coś zatrzeszczało. Schylił się i podniósł kawałek plastiku wyglądający jak odłamek osłony tylnych świateł jaguara. Szybko schował go do kieszeni i zapytał:

– Czym podważyli klapę bagażnika?

– Chyba łomem. Twierdzą, że po jego otwarciu klapy dotykał wyłącznie sierżant Piedmont. Technicy zajmą się zbieraniem odcisków palców, jak

tylko wóz zostanie odholowany na parking. Nie chciałem jednak, żeby go zabierali, dopóki nie obejrysz miejsca zbrodni.

– Kim jest ten Bantling? Był wcześniej notowany? – Dominick popatrzył w kierunku radiowozu, w którym siedział zatrzymany, ale w półmroku nie mógł dostrzec rysów jego twarzy.

– Nie. Już sprawdzaliśmy. Nic na niego nie ma. Dzwoniłem do Jannie, tej analityczki wyznaczonej do współpracy z naszym zespołem. Właśnie w tej chwili próbuje znaleźć na jego temat wszystko, co tylko się da, od czasu, gdy po raz pierwszy nafajdał w pieluchy, aż do ostatniego spuszczenia wody w kiblu. Jutro rano powinniśmy już coś wiedzieć.

– Czym się zajmuje? Skąd pochodzi? Nigdy wcześniej nie spotkałem się z tym nazwiskiem. Facet nie wypłynął do tej pory w żadnym naszym dochodzeniu, prawda?

– Zgadza się. Ma czterdzieści jeden lat i jest przedstawicielem handlowym firmy Tommy Tan Furniture Designs, zajmującej się projektowaniem wymyślnych mebli dla najbogatszej klienteli. Wiele podróżuje po Ameryce Południowej i wschodniej Azji. Twierdzi, że jechał właśnie na lotnisko, kiedy Chavez go zatrzymał. Jedno nie ulega wątpliwości: nie jest szczególnie rozmowny. W jego miejscu zamieszkania kręci się już cała armia wywiadowców, przeprowadza rozmowy z sąsiadami w oczekiwaniu na oficjalny nakaz rewizji. Jak dotąd, zbieramy typowe odpowiedzi w rodzaju: „Wydawał się bardzo miłym człowiekiem, ale od początku mi się zdawało, że jest w nim coś dziwnego”. Pewnie jutro ktoś z nich wystąpi w studiu Jeny’ego Springera i będzie udowadniał, że od dawna miał uzasadnione podejrzenia, tylko policyjni idioci go lekceważyli. Powiadomiłem biuro prokuratora stanowego, Masterson i Bowman już szykują wszystkie świstki. Mają je przedstawić do zatwierdzenia C.J. Townsend i razem z nią pojechać

do domu sędziego po podpis, a pewnie też na ciepłe mleko i herbatniki.

– Bantling powiedział cokolwiek?

– Nic. Ani słowa. W ogóle się nie odezwał od czasu, jak zabronił Chavezowi zaglądać do bagażnika. Wsadziliśmy go do wozu Lou Ribero z włączoną i ustawioną na maksimum krótkofalówką, ale nic nie słysząc, jakby starał się nawet nie oddychać głośniej. Kazałem wszystkim zostawić go w spokoju. Nasi przyjaciele z FBI nie próbowali go o nic wypytywać. Przynajmniej na razie, bo nie wątpię, że już go wciągnęli na swoją listę osób do przemaglowania.

– W porządku. Przekaż wóz technikom, a patolog niech się zajmie zwłokami. Tylko się upewnij, żeby zabezpieczył jej dłonie foliowymi workami, zanim ktokolwiek dotknie ciała.

Odwrócił się i skinął głową siedzącym na poboczu ludziom, którzy wyglądali tak, jakby chcieli się wtopić w otoczenie, chociaż w światłach reflektorów na ich granatowych kombinezonach wyraźnie odcinały się duże żółte fluorescencyjne napisy POLICJA albo ZAKŁAD MEDYCYNY SĄDOWEJ. Zaczęli ochoczo wstawać, byli gotowi rzucić się na bagażnik wozu niczym chmara termitów na kawałek świeżego drewna.

Ledwie zdążył się odwrócić w stronę gromadki policjantów, chcąc do nich podejść, gdy z góry spadł na niego snop jaskrawego światła z reflektora, a terkot śmigłowca zaczął szybko przybierać na sile.

– Hej, Manny, zechciej mi łaskawie powiedzieć, czy to twój spasiony szef schodzi do lądowania z drugą turą wycieczki?

Alvarez zadarł głowę i zmrużył oczy. Po chwili skrzywił się z niesmakiem i odparł:

– Obawiam się, że nie. To jest, mój przyjacielu, zespół elektryzujących wieści z wieczornego dziennika Kanału Siódmego. Wygląda na to, że

zdążyliśmy w samą porę i o jedenastej wystąpimy w telewizji. Lepiej uśmiechnij się szeroko.

– Cholera. Przybywają hordy najeźdźców. No, dobra, zabierajmy tego gościa do nas na rozmowę, zanim się zorientuje, że grozi mu kara śmierci i zacznie się domagać obecności adwokata i przedstawiciela Ruchu na rzecz Obrony Praw Obywatelskich. Na miejscu osobiście zajmę się chłopcami z FBI, ale już teraz trzeba dać im do zrozumienia, że to nasz podejrzany.

Dominick podszedł szybko do radiowozu, otworzył tylne drzwi i zajrzał do środka. Mężczyzna siedział nienaturalnie wyprostowany i gapił się prosto przed siebie. W słabym świetle lampki podsufitowej wyróżniały się jego podkrążone i zapuchnięte oczy oraz strużka krwi spływającej z rozcięcia na kości policzkowej. Ręce miał skute z tyłu kajdankami, a na karku mocno odcisnięte zaczerwienione ślady. Najwyraźniej musiał się potknąć w drodze do wozu patrolowego. Dominicka zawsze zdumiewało, jak niezdarni okazują się podejrzani w takich sytuacjach, zwłaszcza jeśli zatrzymywali ich policjanci z Miami Beach.

– Panie Bantling, jestem agent specjalny Dominick Falconetti ze stanowego Wydziału do Zwalczania Przestępczości. Muszę pana zabrać ze sobą i zadać kilka pytań.

William Bantling nadal wpatrywał się przed siebie nieruchomym wzrokiem z zastygłym, kamiennym wyrazem twarzy. Tylko raz mrugnął powiekami.

– Wiem, kim pan jest, agencie Falconetti – odrzekł. – I mogę zapewnić, że nie będziemy mieli o czym rozmawiać w pańskim biurze. Ani też gdziekolwiek indziej, jeśli chodzi o ścisłość. Powołuję się na prawo zachowania milczenia. Chcę rozmawiać tylko z moim adwokatem.

. 17 .

Marisol Alfonso niecierpliwie czekała na swoją szefową przed drzwiami windy na pierwszym piętrze w oddziale prokuratury stanowej na okręg Miami-Dade. Niska i pulchna, małymi kroczkami dreptała po korytarzu, trzymając w ręku różowy notatnik. Minęła dopiero 9.02, a więc oficjalnie była w pracy niewiele ponad godzinę, i choć w rzeczywistości przyjechała kwadrans po ósmej, to już nie mogła wytrzymać w sekretariacie. Dosłownie kipiała z wściekłości. Za mało jej płacili, żeby tak harowała.

Kiedy drzwi się rozsunęły, szybkim spojrzeniem obrzuciła pasażerów windy i z tyłu, za zbitą masą mundurów policyjnych, czarnych i szarych garniturów oraz twarzy w ciemnych okularach, dostrzegła w końcu tę, na którą czekała.

– Gdzieś ty była? – syknęła ze złością. – Telefony się urywają. Wiesz, że odebrałam co najmniej trzydzieści wiadomości od przyścia do biura?

Szeroko wymachując trzymanym w ręku notatnikiem, ruszyła za swoją ofiarą do wejścia, przy którym czuwał strażnik, i dalej korytarzem w głąb sekcji zabójstw aż do niewielkiego gabinetu, na którego drzwiach wisiała tabliczka z napisem MEC. C.J. TOWNSEND, ZASTĘPCA KIEROWNIKA SEKCJI. Dopiero tu odważyła się energiczniej zamachać notatnikiem nad głową i powiedzieć głośniej:

– I wszystkie te wiadomości są do ciebie!

Wiecznie zrządzająca sekretarka była akurat ostatnią osobą, którą C.J. pragnęła spotkać z samego rana, zaraz po wyjściu z windy, gdyż niweczyło to wszelkie jej nadzieje na miły dzień w pracy, zwłaszcza taki, jak dzisiaj. Postawiła teczkę na biurku, zdjęła ciemne okulary i obrzuciła surowym

spojrzeniem Marisol sterczącą z pięściami opartymi na biodrach, ubraną w jaskraworóżowy elastyczny sweterek i bluzkę w kwiaty, o dobre dwa numery za małą i z piętnaście centymetrów za krótką.

– Jeśli mnie pamięć nie myli, odbieranie telefonów i przyjmowanie wiadomości należy do twoich obowiązków służbowych.

– Ale nie w takiej ilości. Nie mogłam zrobić nic innego. Dlaczego mnie nie uprzedziłaś, co mam mówić dziennikarzom?

Gdyby nawet to zrobiła, efekt i tak byłby taki sam. Powstrzymując się od zgrzytania zębami, C.J. odparła z uśmiechem:

– Masz im odpowiadać: „Bez komentarza”. I sumiennie przyjmować wszystkie wiadomości. Oddzwonię, jeśli uznam to za konieczne, a na razie muszę się przygotować do przesłuchania wyznaczonego na dziesiątą. Dlatego zatroszcz się o to, by nikt mi nie przeszkadzał.

Zaczęła wyjmować papiery z teczki.

Marisol głośno cmoknęła, rzuciła różowy notatnik na biurko, odwróciła się na różowych szpilkach i energicznym krokiem wymaszerowała z gabinetu, mamrocząc coś pod nosem po hiszpańsku.

C.J. odprowadziła ją wzrokiem, podejrzewając, że przez najbliższe dwie godziny będzie krążyła po sąsiednich sekretariatach i roznosiła plotki na temat tego porannego zdarzenia, powtarzając, jaką to suką jest jej szefowa. Zamknęła drzwi i westchnęła. Miała straszną ochotę pozbyć się jej, załatwić przeniesienie do innej sekcji, na inne piętro, a jeszcze lepiej do Wydziału Przystępności Nieletnich na drugim końcu miasta. Nie było to jednak takie proste. Po dziesięciu latach pracy w biurze Marisol stała się jego nieodłącznym elementem. Pewnie trzeba by ją dostarczyć w wielkim różowym worku przed oblicze samego prokuratora stanowego, który wcześniej musiałby się zdobyć na odwagę, żeby dać jej wymówienie.

Zaczęła przeglądać wiadomości w notatniku. NBC, Kanał Szósty; WSVN, Kanał Siódmy; CBS, Kanał Drugi; „Today”; „Good Morning America”; „Telemundo”; „Miami Herald”; „New York Times”; „Chicago Tribune”; nawet londyński „Daily Mail”. Wszyscy ustawiali się w kolejce.

Wieści o aresztowaniu kogoś podejrzanego w sprawie. Kupidyna, które od najwcześniejszych godzin rannych rozchodziły się lotem błyskawicy, wywoływały gorączkowe podniecenie. Z okna swojego gabinetu już teraz mogła podziwiać prawdziwe obozowisko dziennikarskich nomadów, które powstawało u podnóża schodów gmachu sądu po drugiej stronie ulicy. Nie wątpiła, że anteny satelitarne na dachach furgonetek zapewniają stałą łączność z redakcjami w Nowym Jorku czy Los Angeles.

Już od roku na polecenie prokuratora stanowego nadzorowała śledztwo w sprawie Kupidyna prowadzone przez specjalny zespół dochodzeniowy. Odwiedzała miejsca zbrodni, uczestniczyła w kilku autopsjach, kontrolowała wszystkie nakazy, instruowała patologów, zapoznawała się z wynikami badań, policyjnymi raportami i stenogramami z przesłuchań świadków. Dlatego też czuła się współwinna fali ostrej krytyki, jakiej media im nie szczędziły wobec braku postępów w śledztwie. Teraz jednak niezachwiana wiara w skuteczność pracy oficerów śledczych miała jej przynieść nagrodę największą z możliwych: okazję do oskarżania jednego z najgroźniejszych seryjnych zabójców, jacy pojawili się w Miami. Poprzez ten przydział miała szansę na swoje pięć minut sławy w mediach, o jakich marzył z pewnością każdy prawnik.

W dziesięcioletniej karierze prokuratorskiej zajmowała się wieloma różnymi sprawami, od oskarżania rybaków za prowadzenie połowów cenionych homarów amerykańskich poza sezonem do potrójnego zabójstwa popełnionego przez gang siedemnastolatków. Występowała o rozmaite kary,

od grzywny, nadzoru kuratorskiego czy przymusowych prac społecznych aż po długoletnie wyroki więzienia i kary śmierci. Przed pięcioma laty zwróciła na siebie uwagę błyskotliwym przedstawieniem w sądzie doskonale przygotowanej sprawy i awansowała na stanowisko zastępcy kierownika sekcji zabójstw, niewielkiej wyspecjalizowanej komórki skupiającej dziesięciu najlepszych prokuratorów biura. Z jednej strony mieli tu mniej pracy niż cała reszta spośród dwustu czterdziestu prawników zatrudnionych w biurze, ale zajmowali się najgorszymi i najbardziej skomplikowanymi zbrodniami, w których bardzo trudno było udowodnić winę – głównie zabójstwami z premedytacją, bez wyjątku odrażającymi, trafiającymi na czołówki gazet. Wszystkim przez nią oskarżanym groziła kara śmierci, czy to na krześle elektrycznym, czy przez wstrzyknięcie trucizny. I większość ją dostała. Za kierowanie grupami przestępczymi, dzieciobójstwo, morderstwa na zlecenie bądź zabójstwo całej rodziny, kiedy mąż i ojciec wpadł we wściekłość po stracie pracy. Każda prowadzona przez nią sprawa z samej swojej natury stawała się w mediach sensacją, choć zdarzały się i takie, które nie trafiały na pierwsze strony, lecz były tylko kwitowane dwuakapitową notatką w dziale miejskim albo w ogóle przechodziły niezauważone, jeśli przyćmiły je bardziej burzliwe wydarzenia, jak na przykład relacje o skutkach przejścia huraganu czy też sensacyjna porażka drużyny Dolphins z zespołem Jets.

W ciągu pięciu lat przepracowanych w tej sekcji, C.J. nieraz widywała swoje nazwisko w gazetach. I za każdym razem przyjmowała to z niepokojem, stale odmawiała więc udzielania wywiadów. Starła się sumiennie wykonywać swoje obowiązki nie dla sławy czy poklasku, ale w imieniu ofiar, które nie mogły już zza grobu powiedzieć ani słowa na swą obronę, bądź ich bezimiennych przyjaciół i rodzin, nieuchronnie

pozostawianych samym sobie, gdy tylko przebrzmiewało echo wystrzałów i gasły jupitery kamer telewizyjnych. Czuła, że umożliwiła tym ludziom coś w rodzaju rehabilitacji, choćby chwilowego zasmakowania władzy w otchłani bezradności. Z tego punktu widzenia zainteresowanie mediów jeszcze bardziej ją drażniło. Teraz w dodatku stała się oczkiem uwagi nie tylko lokalnych reporterów, ale dziennikarzy z całego kraju i z zagranicy. Jak tylko Manny Alvarez zadzwonił do niej wieczorem do domu z wiadomością o aresztowanie podejrzanego w sprawie Kupidyna, naszyły ją obawy, że sama sobie nie poradzi z olbrzymim zainteresowaniem mediów. W końcu była to zapewne najgłośniejsza sprawa w jej prawniczej karierze.

Pół nocy zmitrężyła nad dokumentami dotyczącymi zajęcia i przeszukania domu Williama Ruperta Bantlinga w Miami Beach oraz jego dwóch samochodów. A przez drugie pół szykowała się już do swojego wystąpienia przed sądem podczas wstępnego przesłuchania podejrzanego, które wyznaczono na dziś, na dziesiątą rano. W czasie krótkiej przerwy między tymi zadaniami odwiedziła miejsce zatrzymania na moście MacArthura i wpadła do kostnicy, żeby obejrzeć zwłoki. Później jeszcze trzy razy musiała przez telefon wysłuchiwać kwaśnych uwag prokuratora stanowego, Jerry'ego Tiglera, któremu spać nie dawała świadomość, że choć uczestniczył w tym samym przyjęciu dobroczynnym co gubernator, komendant policji miejskiej i szef rejonowego biura FBI, to jednak nie został zaproszony razem z tamtymi ważniakami do udziału w krótkiej wycieczce śmigłowcem na autostradę. Domagał się, by ona ustaliła, czemu go pominięto. Wszystko to sprawiło, że nawet nie zmrużyła oka.

Zgodnie z przepisami Bantling musiał stanąć przed sądem w ciągu dwudziestu czterech godzin od chwili aresztowania, by w trakcie raczej formalnego pierwszego przesłuchania dowiedzieć się, że przyczyną jego

zatrzymania było dokonane z premedytacją morderstwo Anny Prado. Na ile było prawdopodobne, że to właśnie on popełnił zbrodnię, o którą go oskarżano? Zbezczeszczone zwłoki dziewczyny znalezione w bagażniku jego auta świadczyły same za siebie. W tym świetle wstępne przesłuchanie powinno być czystą formalnością. Zazwyczaj odbywało się za pośrednictwem telewizji przemysłowej – oskarżony stał przed kamerą w sali więzienia okręgowego i patrzył w monitor, na którego ekranie mógł widzieć wybuchowego z przepracowania sędziego, mającego na wokandzie dwieście spraw o wykroczenia i pięćdziesiąt o drobne przestępstwa, pozostającego za stołem prezydialnym swojej sali rozpraw.

Sędzia pospiesznie odczytywał formułę zatrzymania, wymieniał stawiane zarzuty i grożące za nie kary, wyznaczał wysokość kaucji bądź odmawiał do niej prawa, po czym wzywał następnego aresztanta z długiej kolejki oczekujących. I to wszystko. Czasami odbywało się to w takim tempie, że ludzie nie mieli nawet czasu uświadomić sobie, iż oto padło ich nazwisko. Zaledwie stawali na podwyższeniu przed kamerą i mrugali oślepieni jaskrawym blaskiem jupitera, kiedy już strażnicy ściągali ich stamtąd i prowadzili z powrotem do celi. Prokurator i obrońca z urzędu mieli obowiązek towarzyszyć sędziemu na sali rozpraw, lecz stanowili jedynie wystrój przesłuchania. Nie powoływano żadnych świadków i nie wysłuchiowano zeznań, posiedzenie ograniczało się do przedstawienia zatrzymanemu przyczyn aresztowania i podstaw do wysunięcia aktu oskarżenia. W końcu zawsze były jakieś podstawy.

Tym razem jednak miało to wyglądać inaczej. Zaplanowano, że aresztant zostanie przetransportowany pod strażą do budynku po drugiej stronie ulicy i o specjalnie wyznaczonej porze osobiście weźmie udział w specjalnym przesłuchaniu zorganizowanym w specjalnie wybranej sali rozpraw. Miał w

nim uczestniczyć nie tylko obrońca, prokurator i wyjątkowo niezbyt zaganiany sędzia, ale również dziennikarze i reporterzy, a przynajmniej ci szczęśliwcy spośród obozujących całą noc pod gmachem sądu, którym uda się zająć miejsce na widowni. Znacznie liczniejszą widownię przesłuchania miały stanowić miliony ludzi przed telewizorami, bo oprócz kilkunastu transmisji na żywo do kraju i za granicę, jego przebieg z pewnością zamierzano relacjonować we wszystkich dziennikach, zarówno popołudniowych, jak i wieczornych.

Dlatego C.J. podejrzewała, że tym razem wstępne przesłuchanie potrwa trochę dłużej niż dwie minuty.

Miał je poprowadzić sędzia Irving J. Katz, powszechnie znany z zamiłowania do wystąpień przed kamerami. Stary zrzęda prowadził rozprawy w Miami jeszcze na długo przedtem, zanim wybudowano gmach sądu, w którym mógłby dostać własną salę. Ku jego rozczarowaniu jakiś czas temu kolegium sędziowskie odsunęło go od prowadzenia rozpraw, wyznaczając za to na „króla wstępnych przesłuchań”, będących zwykle nudnym, rutynowym zajęciem. Niemniej, sprawa taka jak ta musiała przyprawiać nawet sędziego Katza o dreszcz emocji. C.J. spodziewała się, że przez pierwszych pięć minut posiedzenia będzie tylko w milczeniu mierzył Bantlinga wyzywającym spojrzeniem. No i zerkał w obiektywy kamer. Dopiero później poprosi, by przedstawiono mu dokumenty dotyczące zatrzymania, i zacznie bardzo wolno przytaczać zarzuty, cedząc słowo po słowie tonem pełnym pogardy. Zamiast krótko wyłożyć Bantlingowi podstawy prawne tego, co się stało wczoraj wieczorem, będzie chciał zapewne odczytać z akt formułę zatrzymania, którą bez dwóch zdań już teraz czytał po raz dziesiąty w swoim gabinecie, po czym na użytek reporterów wysoko uniesie brwi i przywołana swoje starcze pomarszczone oblicze wyraz skrajnego obrzydzenia i

zdumienia. Z pewnością zechce też wiedzieć, czy obwiniony przyznaje się do winy, chociaż nie było to konieczne na tym etapie, dopiero podczas odczytywania aktu oskarżenia gdzieś za trzy tygodnie. Wreszcie zakończy przedstawienie surową, dramatyczną mową, którą, zdaniem C.J., zechce uwieńczyć mniej więcej takimi słowami: „Modłę się, Williamie Rupercie Bantling, by nie miał pan na sumieniu tych potwornych, okrutnych, barbarzyńskich czynów, jakie się panu zarzuca. Niech Bóg się zlituje nad pańską duszą, jeśli jest inaczej, bo z pewnością będzie się pan smażył w piekle!”. Powód był prosty, zapewniłby w ten sposób gotowy nagłówek do jutrzejszego specjalnego dodatku do porannego wydania „Miami Herald”: SĘDZIA OBIECUJE KUPIDYNOWI, ŻE BĘDZIE SIĘ SMAŻYŁ W PIEKLE! Nie ulegało też wątpliwości, że podstawy zatrzymania uzna za całkowicie uzasadnione. Istniała spora szansa, że ona w ogóle nie będzie musiała się odzywać. Na wszelki wypadek wołała się jednak zapoznać z podstawowymi faktami, gdyż nie można było wykluczyć jakiejś dyskusji z obrońcą Bantlinga.

Nocny dyżur pełnił sędzia Rodriguez, który o piątej rano, jeszcze w szlafroku, podpisał wszystkie nakazy zajęcia i przeszukania domu Bantlinga oraz jego samochodów. Od tamtej chwili funkcjonariusze co najmniej czterech policyjnych agencji dosłownie przeświecali każdy centymetr kwadratowy życia zatrzymanego. Jednak zgodnie z ostatnim meldunkiem do wpół do dziewiątej nie znaleźli niczego istotnego, żadnego „dymiącego pistoletu”, ekspozycji wyciętych i zakonserwowanych ludzkich serc w ukrytym pokoju czy też notatki z hasłem w rodzaju: „Zrobiłem to, bo na nic innego nie zasłużyły”, przypiętej pod galerią zdjęć zamordowanych ofiar.

Sytuacja stawała się kłopotliwa, zwłaszcza że Bantling po aresztowaniu powołał się na swoje prawo zachowania milczenia i rozmowy jedynie z

adwokatem, po czym nie odezwał się więcej ani słowem. Do udowodnienia mu winy C.J. potrzebowała czegoś więcej poza zwłokami Anny Prado znalezionymi w bagażniku jego auta – czegoś, co pozwalałoby go powiązać z zabójstwami dziewięciu pozostałych dziewcząt.

A co gorsze, że rodziło się podejrzenie, iż William Bantling jest tylko naśladowcą, a prawdziwy Kupidyn siedzi w tej chwili przy kawie i świeżych rogalikach nad poranną gazetą i zaśmiewa się do łez.

. 18 .

C.J. po raz ostatni przejrzała policyjne raporty i oficjalny różowy formularz zatrzymania, po czym spojrzała na zegarek. Było wpół do dziesiątej. Zrobiła jeszcze naprędce kilka notatek, zdjęła z półki kodeks karny stanu Floryda, wrzuciła go razem z papierami do teczki i ruszyła do sądu. Zeszła schodami pożarowymi do tylnego wyjścia, obawiając się, że przed budynkiem, podobnie jak po drugiej stronie ulicy, czeka na nią gromada dziennikarzy. Następnie przekradła się przez parking pod gmachem sądu, ruchem ręki pozdrowiła strażnika czuwającego w budce i weszła do windy.

Zaledwie wysiadła na czwartym piętrze, przemknęło jej przez myśl, że będzie uczestniczyła w jeszcze większym cyrku, niż podejrzewała. W korytarzu, przed drzwiami sali 4-10, tłoczyły się ekipy telewizyjne i zastępy dziennikarzy. Rozstawiano jupitery, szykowano mikrofony, reporterki gorączkowo poprawiały makijaż.

Ruszyła w tamtą stronę ze wzrokiem utkwionym w ciężkich mahoniowych drzwiach i lekko pochyloną głową, jakby chciała ukryć twarz pod opadającymi ciemnoblond włosami. Nie sposób było się jednak ustrzec przed nagłym poruszeniem wśród przedstawicieli mediów. Zewsząd posypały się zadawane półgłosem pytania co młodszych i mniej doświadczonych: „To ona?“, „To ta prokurator?“, „To jest Townsend?“ Jednocześnie stare sądowe wygi skoczyły w jej kierunku, chcąc wykorzystać szansę, zanim inni zdążą choćby włączyć magnetofony.

– Panno Townsend, jakie dowody znaleziono w domu Williama Bantlinga?

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Czy pan Bantling znajdował się wcześniej na liście podejrzanych sporządzonej w waszym biurze?

– Bez komentarza.

– Oskarży go pani o dziewięć wcześniejszych zabójstw?

– Bez komentarza.

– Będzie się pani domagać kary śmierci?

Obrzuciła pryszczatego żółtodzioba pogardliwym spojrzeniem, chcąc dać do zrozumienia, że to głupie pytanie. Masywne drzwi zamknęły się za nią z głuchym stukiem.

Przemaszerowała przed stołem prezydialnym i zajęła miejsce z prawej strony, przy stole oskarżycieli. Jak można się było spodziewać, sędzia Katz wybrał na tę okazję najbardziej okazałą salę w gmachu. Miała dobre siedem metrów wysokości, a obszerny mahoniowy tron sędziowskiego majestatu stał co najmniej półtora metra nad podłogą i metr nad podwyższeniem dla świadków. Kandelabry z metalowymi kloszami, na których był wygrawerowany rok 1972, zwieszały się spod sufitu w kilku rzędach.

Widownia była już zapełniona, w większości przez reporterów. Na statywach stały naszykowane kamery. Pod ścianami czuwali policjanci z komendy miejskiej w Miami, a przy drzwiach umundurowani na zielono-biało strażnicy wydziału sprawiedliwości. Aż czterech z nich strzegło bocznego przejścia do poczekalni, do której po przesłuchaniu miał zostać odprowadzony aresztant. Czterech następnych czuwało przy drzwiach prowadzących do gabinetu sędziego. W pierwszym rzędzie widowni C.J. zauważyła kilku prokuratorów ze swojego biura. Skinęła im głową na powitanie.

Otworzyła teczkę i zerknęła na lewo. W odległości trzech metrów, przy stole obrony, zobaczyła znaną florydzką adwokatkę, Lourdes Rubio. A obok

niej, w eleganckim czarnym garniturze i szarym jedwabnym krawacie, z rękoma skutymi nowymi błyszczącymi kajdankami, siedział jej klient, William Rupert Bantling.

Z daleka było widać, że jego garnitur pochodzi z salonu Armaniego, krawat zaś od Versacego. Jasnoblond włosy miał zaczesane gładko do tyłu, a na nosie drogie włoskie okulary. Mimo dość mocnej opalenizny łatwo było dostrzec siniaka pod lewym okiem. Zapewne była to pamiątka po spotkaniu z gliniarzami z Miami Beach. Spoglądając tylko na jego profil, C.J. oceniła, że jest bardzo przystojny. Odznaczał się regularnymi rysami twarzy z niezbyt mocną linią szczęki. Wspaniale. Z taką prezencją nawet seryjny zabójca może się spodziewać, że już od jutra zaczną napływać do aresztu listy miłosne od zdesperowanych i zauroczonych jego wyglądem starych panien.

Nie uszło jej uwagi, że błyszczące kajdanki stykają się ze złotym roleksem, a w lewym uchu tkwił kolczyk z dużym brylantem. To wyjaśniało, co u jego boku robi Lourdes Rubio. Była bardzo dobrym obrońcą, ale też bardzo drogim. Masywny łańcuch łączył kajdanki z obręczami na nogach. Widać było, że naczelnik więzienia na użytek telewizji przygotował aresztanta najlepiej, jak tylko mógł, aż dziw, że nie wyposażył go dodatkowo w taką maskę, jaką nosił Hannibal Lecter, bohater *Milczenia owiec*. Odwrócił nagle głowę i z uśmiechem pochylił się do Lourdes. Miał idealnie równe, bielutkie zęby. Gdyby nie to podbite oko, robiłby piorunujące wrażenie na kobietach. Na pewno nie wyglądał na seryjnego zabójcę, ale powierzchowność bywała przecież myląca, jak choćby u Teda Bundy'ego. Pedofile często bywali dobrymi dziadkami, prezesami miejscowych klubów wzajemnej pomocy, a członkowie zarządów bogatych firm wymienianych na liście Fortune 500 okazywali się brutalami katującymi swoje żony. Nigdy nie należało sądzić po pozorach. Gdyby Bantling nie był przystojny, zapewne nie

mógłby z taką łatwością uprowadzać dziewcząt z nocnych lokali. Podświadomie wszyscy się spodziewali, że Kupidyn będzie odrażającym, oślizłym, cuchnącym trójjokim potworem z wielkim zakrwawionym nożem, w którym na pierwszy rzut rozpozna się mordercę. W każdym razie, złym do szpiku kości. Na pewno nie takim czarującym przystojniakiem w garniturze od Armaniego, uśmiechającym się uroczo, ze złotym roleksem na rękę, jeżdżącym nowiutkim sportowym jaguarem.

– Proszę wstać! – nakazał woźny, otwierając drzwi od zaplecza.

Sędzia Katz wmaszerował na salę energicznym krokiem. I już od progu rzucił pogardliwe spojrzenie w kierunku stołu obrony.

Wdrapał się po schodkach na podwyższenie i usiadł. Wyjął z kieszeni okulary i założył je na sam czubek nosa. Wciąż miał kwaśną minę pełną obrzydzenia.

– Sąd rozpoczyna obrady! – obwieścił woźny. – Przewodniczy sędzia Irving J. Katz! Proszę usiąść i zachować spokój!

Sędzia w milczeniu potoczył władczy wzrokiem po swoich dobrach. Na kilka minut zaległa napięta cisza przerywana jedynie od czasu do czasu szelestem przekładanych papierów bądź cichym pokasływaniem z widowni. Trwało to zdecydowanie za długo. Wreszcie Katz odchrząknął i zaczął:

– Przedmiotem rozprawy jest sprawa stanu Floryda przeciwko Williamowi Rupertowi Bantlingowi, akta numer F dwa tysiące kreska siedemnaście tysięcy czterysta dwadzieścia dziewięć. Reprezentanci obu stron zechcą się przedstawić do protokołu.

Zabrzmiało to strasznie formalistycznie. C.J. i Lourdes wstały równocześnie.

– C.J. Townsend wystąpi w imieniu stanu.

– Lourdes Rubio w imieniu zatrzymanego.

– Oskarżenie dotyczy morderstwa z premedytacją – podjął sędzia. – Został pan tu sprowadzony, panie Bantling, na pierwsze wstępne przesłuchanie, które zgodnie z kodeksem karnym stanu Floryda ma wyjaśnić, czy powód pańskiego zatrzymania może być podstawą do postawienia pana w stan oskarżenia. Jeśli tak, wróci pan do więzienia okręgu Dade bez możliwości zwolnienia za kaucją i będzie tam oczekiwał na rozprawę. Tyle tytułem wstępu. Poproszę teraz o przedstawienie mi formularza aresztowania, bym mógł się z nim zapoznać.

Zachowywał zwięzłość i rzeczowość, nie odchodząc od konkretów. Musiał wypaść doskonale w reportażu telewizyjnym. Każdego innego dnia wezwałby na salę od razu z dziesięciu aresztantów, żeby zaoszczędzić na czasie. Kiedy pochylił się nad papierami, w sali nasiliły się szepty, szumiały kamery, poskrzypywały ołówki sądowych rysowników.

– Proszę o ciszę! – zawołał woźny i znów zapadło milczenie.

Po pięciu minutach studiowania ze zmarszczonym czołem trzystronicowego formularza sędzia podniósł wreszcie głowę i oznajmił tonem pełnym zjadliwej pogardy:

– Zapoznałem się z przyczynami zatrzymania. I stwierdzam, że faktycznie mogą one być podstawą do oskarżenia aresztowanego Williama Ruperta Bantlinga o zamordowanie z premedytacją Anny Prado. W takim wypadku nie może być mowy o zwolnieniu za kaucją. Zatrzymany do czasu rozprawy pozostanie pod ścisłym nadzorem wymiaru sprawiedliwości. – Urwał na chwilę dla wywołania właściwego efektu i pochyliwszy się lekko w stronę stołu obrony, dodał: – Panie Bantling, sąd może jedynie wyrazić nadzieję...

Lourdes Rubio podniosła się szybko.

– Chciałabym coś powiedzieć, Wysoki Sądzie. Proszę wybaczyć, że przerywam, ale naszyły mnie obawy, że Wysoki Sąd zechce zakończyć na tym

wstępne przesłuchanie, nie wysłuchawszy argumentów rzecznika obrony. Mój klient jest wybitnym członkiem naszego społeczeństwa, Wysoki Sądzie. Nie popełnił dotąd żadnego przestępstwa, w ogóle nie był notowany. Mieszka w Miami od sześciu lat, zatem zdążył już zapuścić tu korzenie, ma własny dom i dochodową pracę. Gotów jest do czasu wyjaśnienia rozpatrywanej kwestii złożyć w sądzie swój paszport i poddać się rygorom aresztu domowego, z użyciem bransoletki z nadajnikiem radiowym pozwalającej na ciągłe monitorowanie miejsca jego pobytu, by jak najlepiej dopomóc mi w prowadzeniu obrony. Dlatego z całym szacunkiem zwracam się z prośbą, by Wysoki Sąd zechciał wziąć to pod uwagę i wyznaczyć mojemu klientowi stosowną kaucję.

C.J. uniosła się już, by oprotestować wniosek obrony, lecz zorientowała się szybko, że nie ma takiej potrzeby. Łysina sędziego Katza z wolna poczerwieniała, a jego przenikliwe spojrzenie przeszło Lourdes Rubio z taką mocą, że prawniczka znana z niewzruszonego spokoju zmarszczyła brwi.

– Pani klient jest podejrzany o dokonanie całej serii okrutnych, bestialskich morderstw. Jeździł po mieście samochodem, wożąc w bagażniku zbezczeszczone, okaleczone zwłoki kobiety. Nie jest turystą, który zapomniał o umiarze w kosztowaniu uroków nocnego życia w South Beach, panno Rubio. Nie obawiam się o to, że może uciec przed sprawiedliwością lecz o to, że będzie dalej zabijał. Jest szczególnie groźny dla społeczeństwa. Dlatego odmawiam mu wyjścia na wolność za kaucją. Równie dobrze będzie mógł pomagać w przygotowaniach z celi.

Jeszcze raz surowym wzrokiem zmierzył prawniczkę od stóp do głowy, jakby dopiero teraz zauważył, że jest kobietą. I po chwili dodał ciszej:

– Niewykluczone, że będzie mi pani jeszcze wdzięczna za tę decyzję, pani prokurator. – Pochylił się jeszcze bardziej nad stołem. – A zatem, panie

Bantling, dla pańskiego dobra mogę tylko wyrazić nadzieję, że nie jest pan winien tej okropnej zbrodni, o którą zostanie pan oskarżony. Bo jeśli jest pan winien...

Bantling poderwał się z miejsca tak gwałtownie, że odsunięte krzesło przechyliło się i huknęło o barierkę odgradzającą widownię. Z twarzą wykrzywioną wściekłością krzyknął do sędziego:

– Przecież to śmieszne! Nie zrobiłem nic złego, Wysoki Sądzie! Absolutnie nic! Nigdy wcześniej nie widziałem tej kobiety! To jakaś piramidalna bzdura!

C.J. popatrzyła w kierunku stołu obrony, czując się nieswojo. Tymczasem Bantling odwrócił się do Lourdes Rubio, złapał ją skutymi dłońmi za ramię i wrzasnął:

– Zrób coś! No zrób coś! Nie jestem niczemu winny! Nie pójdę do więzienia!

Odczuwając przemożną suchość w gardle, niezdolna do wykonania jakiegokolwiek ruchu, C.J. przyglądała się obojętnie, jak trzech więzienni strażnicy sadzają oskarżonego z powrotem na krzesło. Dostrzegła kątem oka, że sędzia sięga po swój młotek. Reporterzy zaczęli wstawać z miejsc, obracały się obiektywy kamer, by jak najlepiej zarejestrować tę scenę dla potrzeb telewizji. Ale ona niczego już nie słyszała, w uszach miała ciągle donośne, rozbrzmiewające echem okrzyki: „Zrób coś! Musisz coś zrobić!”

Wreszcie jej wzrok padł na rękę Bantlinga, wciąż zaciskającą się kurczowo na ramieniu Lourdes. Jednym spojrzeniem ogarnęła podniesiony ku górze rękaw marynarki, odsłaniający złotego roleksa, a powyżej brzydką zygzakowatą szramę na przedramieniu. Natychmiast rozpoznała ten głos. W jednej chwili uświadomiła sobie, kim naprawdę jest William Rupert Bantling. Spoglądając, jak strażnicy wloką go w stronę bocznego wyjścia z sali, wciąż

wrzeszczącego na Lourdes Rubio, żeby coś zrobiła, poczuła, że całe jej ciało ogarniają niekontrolowane dreszcze. Długo jeszcze gapiła się nieruchomym wzrokiem na zamknięte drzwi, nie słysząc, jak sędzia Katz zza stołu prezydialnego wywołuje jej nazwisko.

Wreszcie poczuła na ramionach mocne dłonie kogoś siedzącego w pierwszym rzędzie widowni. Obejrzała się szybko. Agent Dominick Falconetti delikatnie nią potrząsnął. Kiedy obrzuciła go zdumionym wzrokiem, zauważyła, że bezgłośnie powtarza jej inicjały. Nadal nic nie słyszała, miała wrażenie, że znalazła się pod szczelnym szklanym kloszem. W głowie jej się kręciło, jak gdyby miała lada moment stracić przytomność. Dopiero po dłuższej chwili stopniowo zaczęły do niej docierać głosy ludzi.

– C.J.? Dobrze się czujesz? Sędzia cię wywołuje.

Odgłosy to przybierały na sile, to znów cichły, jak morskie fale obmywające brzeg.

– Tak, nic mi nie jest. Wszystko w porządku – wymamrotała. – Jestem tylko trochę poruszona...

– Kiepsko wyglądasz – odparł Dominick.

Sędzia był już czerwony jak burak. Nieoczekiwane wydarzenia zniweczyły mu całe przedstawienie. Zrujnowały je doszczętnie.

– Panno Townsend, czy jest pani wreszcie gotowa znów bawić się w prokuratora? Bo sąd ma na dzisiaj dosyć niespodzianek!

– Tak, Wysoki Sądzie. Przepraszam – odparła, zwracając się twarzą do niego.

– Bardzo dziękuję. Pytałem, czy chce pani jeszcze coś dodać w imieniu stanu, czy możemy zakończyć dzisiejsze przesłuchanie.

– Nie, nie mam nic do dodania, Wysoki Sądzie – odpowiedziała głucho, ze wzrokiem utkwionym w puste krzesło obok Lourdes przy stole obrony.

Rubio patrzyła na nią z zaciekawieniem, podobnie jak woźny, strażnicy, protokółantka...

– Doskonale. W takim razie zamykam posiedzenie.

Sędzia Katz po raz ostatni powiódł wzrokiem po sali, wstał, zbiegł z podwyższenia i wyszedł bocznymi drzwiami, z trzaskiem zamykając je za sobą.

Gromadka dziennikarzy natychmiast zebrała się przy barierce, prosząc o komentarz i podtykając mikrofony C.J. Ta jednak zaczęła pospiesznie zgarniać papiery do teczki, jakby w ogóle ich nie słyszała. Odczuwała przemożną potrzebę wyjścia z sali, z budynku, jak najszybszego znalezienia się gdziekolwiek, byle nie tutaj. Miała ochotę uciekać, gdzie pieprz rośnie.

Szybko ruszyła korytarzem do windy, lecz wołała na nią nie czekać. Przepchnęła się więc przez tłum rozgadanych prawników i ich klientów, kręcących się przy tylnym wyjściu, i pognała na dół, przeskakując po dwa stopnie. Słyszała, jak Dominick Falconetti woła, żeby zaczekała, ale nie zważając na to, przebiegła przez główny hol i wypadła na ulicę skąpaną w jaskrawym słońcu.

Nie miała jednak dokąd uciekać. Jej koszmar zaczynał się od początku.

. 19 .

Ruszyła przez ulicę z powrotem do swojego gabinetu w gmachu Grahama. Na jej widok dziennikarze zaczęli się gromadzić wokół wejścia, ale z daleka dała im ręką znać, że nie ma nic do powiedzenia. Przecisnęła się między nimi i minawszy stanowisko ochrony, pobiegła schodami, znów po dwa stopnie naraz, na pierwsze piętro. Wpadła do łazienki, zerknęła pod drzwiami, czy nikogo nie ma w kabinkach, po czym rzuciła teczkę na podłogę i gwałtownie pożegnała się ze śniadaniem.

Oparłszy głowę o zimne kafelki w przyprawiającym o mdłości odcieniu różu, zamknęła na chwilę oczy, żeby opanować zawroty głowy. Podeszła do zlewu i zsunawszy okulary na czubek głowy, zaczęła ochlapywać twarz i kark zimną wodą, wreszcie zanurzyła w niej prawie całą głowę. Miała wrażenie, jakby na barki opadł jej nieznośny ciężar i tylko nadludzkim wysiłkiem mogła się jeszcze wyprostować. Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze ciągnącym się nad zlewami przez całą długość łazienki.

Ujrzała pobladłą twarz wręcz obcej, przerażonej kobiety. W jednej chwili postarzała się bardziej niż przez ostatnich dwanaście lat. Fryzura z prostymi blond włosami sięgającymi ramion i uczesanymi z przedziałkiem z boku wydała jej się niestosowna do tego wyglądu. Stale używała kasztanowego szamponu koloryzującego, żeby zamaskować ich miodowy ton i uzyskać szarawy odcień. Kiedy nie stosowała spinek albo nie związywała ich w koński ogon, grzywka ciągle opadała jej na oczy i musiała wiecznie zsuwać włosy za uszy. Był to tylko jeden z kilku nerwowych odruchów, jakie weszły jej w krew przez te lata. Drugim było palenie papierosów, często jeden za drugim.

Teraz też zsunęła włosy z czoła i pochyliła się nieco niżej nad zlewem, patrząc uważnie w swoje odbicie. Coraz wyraźniej rysowały się na czole głębokie zmarszczki, a kurze łapki w kącikach zielonych oczu przypominały rozchodzące się na boki spękania w polowie fajansowego talerza. Ciemniejsze półkola pod dolnymi powiekami, które stale maskowała kremem rozjaśniającym, stanowiły jawny dowód nękających ją wciąż koszmarów powodujących bezsenność. Zazwyczaj dodatkowo kryła podkrążone oczy za okularami w złotej drucianej oprawce. Jej pełne kształtne wargi zawsze układały się teraz w wyrazie całkowitej powagi, aż po bokach ust zaczynały się tworzyć głębokie pionowe zmarszczki. Śmiać jej się chciało, ilekroć kojarzyła, że niektórzy ludzie nazywają je świadectwem pogodnego usposobienia. W ogóle nie stosowała makijażu, nie licząc odrobiny cienia do powiek. Nie nosiła kolczyków, naszyjników, pierścionków ani bransoletek, w ogóle żadnej biżuterii. Jej szara garsonka była dość stylowa, ale klasyczna, zresztą wkładała ją tylko z okazji wizyt w sądzie, bo na co dzień chodziła w spodniach. Starła się jak najmniej zwracać na siebie uwagę, wyglądać na typową urzędniczkę, niczym niewyróżniającą się w tłumie. Nawet nowe nazwisko dobrała tak, by było zupełnie pospolite.

Od razu rozpoznała jego głos. Utkwił na stałe w jej pamięci. Nawet po upływie dwunastu długich lat nadal słyszała go każdej nocy w koszmarach sennyh; wciąż rozbrzmiewał jej w uszach spiętym, lekko chrapliwym szeptem; wiecznie powracały ze wspomnień te same słowa wypowiedane z lekkim brytyjskim akcentem.

Była absolutnie pewna, że sobie tego nie wymyśliła, nie powiązała zapamiętanego głosu z Williamem Bantlingiem na podstawie przypadkowego podobieństwa. Jego brzmienie wbiło jej się w umysł niczym ząbkowane ostrze myśliwskiego noża, wywołując tak przemożną panikę, że ledwie się

powstrzymała, by nie zacząć krzyczeć na całe gardło w sali rozpraw. Miała ochotę wskazać go palcem i wrzasnąć: „To on! To na pewno on! Niech mi ktoś pomoże! Zabierzcie go stąd!” Ale nie mogła podnieść ręki. W ogóle nie była w stanie się poruszyć. Niczym sparaliżowana obserwowała wydarzenia, jakby rozgrywały się na ekranie telewizora. W domu, oglądając telewizję i przyglądając się grze aktorów, mogłaby wykrzyknąć: „Zróbcie coś! Nie stójcie tak!” Chociaż i tak by jej nie usłyszeli, akcja potoczyłaby się swoimi torami i kolejna niczego się niespodziewająca, Bogu ducha winna dziewczyna padłaby ofiarą bandyty w masce hokejowego bramkarza, uzbrojonego w rzeźnicki nóż.

Kiedy usłyszała głos Bantlinga, włoski zjeżyły jej się na karku, a całe ciało pokryła gęsia skórka. Właśnie dzięki tej reakcji natychmiast zyskała pewność, że się nie myli. Minęło dwanaście lat, lecz w jej podświadomości tkwiło przeświadczenie, że jeszcze kiedyś usłyszy ten głos. Jakby tylko na to czekała. Brzydka zygzakowata blizna na jego przedramieniu jedynie utwierdziła ją w przekonaniu, że to on.

Nic jednak nie wskazywało na to, że ją rozpoznał. Po tym wszystkim, co zrobił, było wręcz śmieszne, że ledwie rzucił okiem w jej kierunku, jakby w ogóle nie zwrócił wcześniej uwagi na jej obecność w sali. Rzecz jasna, odmieniła swój wygląd, w niewielkim stopniu była podobna do tamtej studentki sprzed lat, przypominała niemalże jej niewyraźny cień. Tak samo rozmazywało się odbicie w lustrze, gdy do oczu napływały łzy. Niekiedy sama miała trudności z rozpoznaniem własnej twarzy.

Od tamtej koszmarnej nocy minęły lata, lecz czas nie zbliźnił wszystkich ran, a przede wszystkim nie zatarł wspomnień. Nadal dokładnie pamiętała każdą minutę i sekundę, każdy szczegół i każde słowo. Jakoś nie

zdołała poskładać z powrotem życia; wciąż istniały rzeczy, nad którymi nie potrafiła przejść do porządku dziennego, choćby nawet się starała, i od czasu do czasu zdarzały się dni, kiedy siłą woli zmuszała się do najprostszych rzeczy. Tamtej nocy całe jej wcześniejsze życie legło w gruzach, w jednej chwili utraciła poczucie bezpieczeństwa. I choć większość ran fizycznych się zagoiła, nie zniknął ustawiczny strach, który napawał ją obrzydzeniem. Nie potrafiła się zmusić, by na dobre odgraniczyć przeszłość i pójść dalej przez życie. Czuła się tak, jakby utknęła w strefie przejściowej, skąd nie mogła wrócić do dawnych obowiązków, a strach nie pozwalał rozpocząć życia na nowo. Najbardziej cierpiały na tym jej stosunki z innymi ludźmi. Wciąż tak samo czuła na barkach ten nieznośny ciężar, od którego przed laty nie zdołał uwolnić jej bardzo drogi nowojorski psychoterapeuta.

Po załamaniu nerwowym i dwuletniej intensywnej terapii uświadomiła sobie z całą mocą to, co powinna wiedzieć od dawna: że wszelka władza jest tylko złudzeniem. Owej nocy straciła wszelką kontrolę nad własnym życiem, a następnie strawiła długie lata na dochodzenie do wniosku, iż w rzeczywistości nigdy jej nie miała. Zaczęła postrzegać życie jak ciąg przypadkowych zdarzeń, co, jej zdaniem, całkowicie wyjaśniało, dlaczego niektórzy wpadają pod autobus, wracając z pogrzebu bliskiej osoby, a inni po raz drugi wygrywają milion w loterii. I kluczem do uniknięcia potrącenia przez autobus stało się dla niej unikanie spacerów po kiepsko oświetlonych ulicach.

Nie mogła zapomnieć, że Michael nazywał zdarzenia tamtej nocy „incydentem”. Dwulicowy drań w końcu wplątał się w związek ze swoją rudą kościstą sekretarką. Kiedy ona jeszcze leżała w szpitalu, obiecywał, że da jej tyle „miejsca i czasu do zaleczenia ran”, ile będzie potrzebowała, powtarzał, że będzie czekać choćby i do śmierci, byle tylko ona jakoś zdołała

z tego wyjść”. Okazało się jednak, że czekanie do śmierci zdecydowanie jest nie dla niego, bo już tydzień po rozstaniu widziała go w towarzystwie rudej anorektyczki w barze New York’s Tavern w Green. Pół roku później wzięli ślub. Od tamtej pory C.J. nie miała z nim kontaktu. Po paru latach natknęła się w „Wall Street Journal” na wzmiankę o ich rozwodzie, z której można było wnioskować, że ruda – wtedy już uderzająco ładna i zgrabna platynowa blondynka – zażądała w pozwie rozwodowym prawie całego ich majątku, podówczas całkiem okazałego.

Przez tych dwanaście lat najbardziej dokuczała jej niewiedza. W końcu nie znała napastnika, nie miała pojęcia, gdzie przebywa. To rodziło ciągły strach, który nawet na krótko jej nie opuszczał. Bezustannie się zastanawiała, czy przypadkiem w tym samym czasie nie jedzie razem z nią w jednym wagonie metra, nie siedzi w tej samej restauracji, nie załatwia czegoś w tym samym banku; wypatrywała go w pralni i w kolejce do kasy w sklepie; widziała go zarówno w swoim lekarzu, księgowym, jak i koledze z pracy.

Nic się nie martw, Chloe. Zawsze będę w pobliżu. Będę cię obserwował i pilnował.

W Nowym Jorku po prostu nie mogła uciec od takich myśli, toteż po dwóch latach się poddała. Zmieniła nazwisko, wybrała palestrę na Florydzie i przeprowadziła się do Miami. Złudna anonimowość pozwalała jej tu przynajmniej spać po nocach, jeśli tylko zdołała zmrużyć oko. Miała nadzieję, że prokuratorska kariera umożliwi jej odzyskanie choćby namiastki kontroli nad swoim życiem pełnym chaosu, bezsensu i szaleństwa, a jednocześnie stworzy okazję do walki o cień zadośćuczynienia dla innych, tak samo pozbawionych władzy nad życiem, najwyżej trzymających się jeszcze uparcie złudzeń.

Nadal powracały wspomnienia z tamtej nocy, ukazywały się w

sekwencyjnych ciągach oderwanych obrazów, jak gdyby wyławianych z mroku rozbłyskami silnego reflektora. Dopiero teraz zyskała świadomość tego, jak wygląda człowiek, który skrywał się pod maską. Co więcej, mogła do tej twarzy przypisać imię i nazwisko. Musiała jeszcze tylko zachować spokój, żeby wymyślić, co dalej robić. Czy nie powinna o wszystkim powiedzieć Jerry'emu Tiglerowi, prokuratorowi stanowemu? A może lepiej powiadomić śledczych prowadzących przed laty jej sprawę, Searsa i Harrison, zakładając, że pracują jeszcze w Nowym Jorku? Bo w Miami absolutnie nikt nie znał jej przeszłości, nie wiedział o „incydencie”, pomijając psychoterapeutę.

Zachowaj zimną krew i potraktuj to jak każdą inną sprawę kryminalną.

Wzięła kilka głębszych oddechów, wciąż patrząc na swoje odbicie w lustrze. Najpierw powinna zebrać wszelkie dostępne informacje o przeszłości Bantlinga i zapoznać się z obowiązującymi w Nowym Jorku przepisami dotyczącymi ekstradycji. Trzeba było też zdobyć kopię starych akt sprawy. Bantling miał zostać pod ścisłą strażą w areszcie do czasu przygotowania aktu oskarżenia, czyli co najmniej dwa tygodnie. Dopiero wtedy, podczas wstępnej rozprawy, sędzia powinien wysłuchać jego zeznań i ocenić materiał dowodowy, żeby uznać go za „wystarczający i dający podstawę do oskarżenia” zatrzymanego o popełnienie morderstwa z premedytacją. I jeśli uzna, że tak jest, z pewnością po raz kolejny odmówi oskarżonemu prawa do wyjścia za kaucją, co znaczy, że Bantling pozostanie w areszcie do właściwego procesu, który na pewno nie przebiegnie błyskawicznie. W każdym razie bez względu na wszystko miał jeszcze przez jakiś czas zostać za kratkami.

Należało zatem bez pośpiechu ułożyć logiczny plan działania. W żadnym wypadku nie wolno jej było sknocić tej sprawy. Gdyby nawet miała kiedyś

zostać oskarżona o ukrywanie faktów przed sądem czy utrudnianie dochodzenia, zawsze mogła się tłumaczyć, że nie była pewna, czy to ten sam człowiek...

Ktoś wszedł do łazienki i C.J. szybko włożyła z powrotem okulary. Jak na złość, była to Marisol w towarzystwie innej sekretarki. W jednym ręku trzymała połyskliwą różową kosmetyczkę, a w drugim duży pojemnik z lakierem w aerozolu do włosów.

– Cześć, Marisol – rzuciła C.J., poprawiając zakiet i schylając się po swoją teczkę. – Jak widać, już wróciłam z sądu, ale mam jeszcze masę roboty. Dlatego łącz tylko ważne rozmowy. Spławiaj zwłaszcza dziennikarzy. – Zwróciła uwagę, że mówi lekko roztrzęsionym głosem, toteż pospiesznie zgarnęła włosy za uszy i ruszyła do wyjścia. Z ręką na klamce odwróciła się i dodała: – Aha, zadzwoń do adwokata w sprawie Jamiego Tuckera i postaraj się przełożyć przesłuchania na inny termin. Teraz, gdy wynikła sprawa Bantlinga, będę potrzebowała co najmniej dwóch tygodni, żeby się do nich przygotować. Jeśli się nie mylę, były wstępnie zaplanowane na najbliższą środę.

Marisol zagapiła się na nią z rozdziawionymi ustami.

– Czy coś się stało?

– Nie. Wszystko w porządku. – Cofnęła się do pierwszej umywalki i machnęła ręką w geście mającym oznaczać: *Za kogo ty się uważasz, do jasnej cholery?!*

C.J. wyszła na korytarz i szybkim krokiem pomaszerowała do swojego gabinetu. Była dopiero jedenasta, a ona już czuła się wycieńczona. Postanowiła w pierwszej kolejności zadzwonić do Juana z sekcji dochodzeniowej biura prokuratora stanowego i dowiedzieć się jak najwięcej o Bantlingu, szczególnie o okresie jego pobytu w Nowym Jorku. Mogła

ponadto przeszukać policyjne bazy danych na temat tego człowieka albo, jeszcze lepiej, zapytać wieczorem Dominicka Falconettiego, czy takie przeszukiwanie dało jakiś efekt. Na pewno mogła w ten sposób poznać dotychczasowe adresy zamieszkania Bantlinga, miejsca pracy czy numery rejestracyjne samochodów przynajmniej z ostatnich dziesięciu lat. Była przekonana, że Dominick już to wszystko sprawdził, wystarczyło zatem w drodze powrotnej zajrzeć do siedziby specjalnego zespołu dochodzeniowego i zabrać wszelkie materiały. Zresztą miała ochotę wcześniej wrócić do domu, żeby poskładać myśli i w spokoju przeprowadzić niezbędne rozmowy telefoniczne z ludźmi z Nowego Jorku. Po krótkim namyśle postanowiła już teraz wyjść, musiała tylko zabrać torebkę oraz resztę materiałów ze sprawy Kupidyna, które leżały na jej biurku.

Jeszcze przed swoim gabinetem poczuła wyraźny zapach taniego żarcia z McDonalda i swąd dymu papierosowego. Drzwi były zamknięte, lecz zaledwie je otworzyła, dotarło do niej, że plan pospiesznej ewakuacji z biura spalił na panewce.

Przed jej biurkiem, tyłem do drzwi, siedzieli Dominick Falconetti i Manny Alvarez. U ich stóp na podłodze stało pudło z papierami.

Manny, niedbale oparty o kant biurka, w jednym ręku trzymając do połowy zjedzone burito, a w drugim kubek kawy z mlekiem, pochylał się nad „Miami Herald” rozrzuconym po całym blacie. Dominick rozmawiał przez telefon komórkowy. Obejrzeli się równocześnie, gdy otworzyła drzwi.

Alvarez wyprostował się na krześle, uśmiechnął szeroko i rzucił:

– Hej, pani prokurator! Jak leci? Martwiliśmy się o panią.

Dominick obrzucił C.J. uważnym spojrzeniem i rzekł do aparatu:

– Muszę kończyć. Prokurator właśnie wróciła z sądu. – Wyłączył telefon i z zatroskaną miną, patrząc jej prosto w oczy, powiedział: – Już myśleliśmy, że uciekasz przed nami, że w ogóle nie chcesz nas widzieć.

Manny wyciągnął w jej kierunku drugi styropianowy kubeczek z parującą kawą. Już sam jej zapach sprawił, że ścisnęło ją w gardle.

– Chce pani kawy z mlekiem? Wziąłem dla pani drugą porcję. I mam też pastelito z dżemem z guawy. – Pchnął po gazecie w stronę jej miejsca kubek z przykrywką oraz papierowe opakowanie z różowym emblematem kubańskiego baru szybkiej obsługi. Ugryzł wielki kęs swojego burito i dodał: – Aha, mam też świeże zdjęcia z autopsji zwłok Prado, ale poczekam z nimi, aż pani zje.

C. J. z hukiem postawiła ciężką teczkę na półce regału.

– Jak się tu dostaliście?

– Pani sekretarka, Marisol, pozwoliła nam zaczekać w gabinecie – odparł Manny, wycierając wąsy z żółtka jaja i tłuszczu ze smażonego bekonu. – Nawiasem mówiąc, pani mecenas, to bardzo apetyczna lalunia. Mogłaby nas pani zapoznać?

W jej oczach akcje Alvareza, którego dotąd bardzo ceniła pod względem zawodowym, od razu spadły o kilka punktów. Gdyby były notowane na giełdzie, z pewnością specjaliści natychmiast by je zamrozili. Obrzuciła oficera śledczego surowym spojrzeniem, ignorując jego pytanie.

– Co się właściwie stało na sali rozpraw? – zapytał Dominick, który z kolei starał się maskować głębokie zatroskanie. – Przestraszyłaś się go, czy jak?

– Pozwolę sobie zauważyć, że to kompletnie porąbany sukinsyn – wtrącił Manny. – Był chyba pewien, że sędzia wyznaczy mu kaucję i nie odeśle go do więzienia za to, że woził po mieście w bagażniku zwłoki zamordowanej dziewczyny. A tu nic z tego, *amigo*, możesz schować te dwie stówy, które ściskasz w garści. Wciąż jeszcze mam w uszach te jego wrzaski zawiedzionej panienki. – Wydał wargi i zawołał piskliwym głosem: – Nie! Nie pójdę do więzienia! Nie mogę! Na pewno nie ja! To jakaś pomyłka, panie sędzio! Wcale nie zamierzałem wycinać jej serca! Nóż sam wysliznął mi się z dłoni i wbił w jej pierś! – Ugryzł następny kęs burito i dokończył: – Już się nie mogę doczekać, aż pozna swoich nowych przyjaciół z więzienia stanowego, choćby takiego Bubbę. Dopiero będzie miał powód, żeby wyć na cały głos.

Dominick nadal jej się przyglądał, jakby w ogóle nie słyszał wypowiedzi kolegi.

– Pewnie, że to świr. Przyznam jednak, że nie spodziewałem się po nim takiej reakcji. – Falconetti wstał i podszedł bliżej, za wszelką cenę próbując zwrócić na siebie jej uwagę. – Ale ty bez wątpienia widziałas w swojej karierze jeszcze gorszych świrów, nie sądziłem więc, że odbierzesz to aż tak emocjonalnie.

Unikając jego wzroku, zapatrzyła się na bałagan na biurku. Mając nadzieję, że głos jej nie zawiedzie i nie zadrży, odparła:

– Rzeczywiście, na krótko wytrącił mnie z równowagi. Po prostu nie spodziewałam się, że nagle zacznie tak rozpaczliwie krzyczeć. – Ruszyła na swoje miejsce i pragnąc zmienić temat, zapytała: – Jakie macie wieści z porannej autopsji?

Spojrzała na gazetę zasłaniającą jej terminarz. Na pierwszej stronie „Miami Herald” zamieścił kolorowe miniaturki zdjęć wszystkich dziesięciu zamordowanych dziewcząt, celowo ustawione w jednym długim rzędzie. Poniżej znajdowało się duże, trochę niewyraźne zdjęcie czarnego sportowego jaguara otoczonego przez auta policyjne na autostradzie MacArthura. Z sąsiedniej fotografii uśmiechał się szeroko, rozebrany do pasa, przystojny Bill Bantling, pozujący z puszką piwa w ręku. Rzecz jasna, nie było to zdjęcie z akt policyjnych. Ponad tym swoistym kolażem czerniał wielki, krzykliwy tytuł: ARESZTOWANIE PODEJRZANEGO W SPRAWIE KUPIDYNA. OKALECZONE ZWŁOKI DZIESIĄTEJ OFIARY W BAGAŻNIKU AUTA. Tymczasem Manny traktował tę gazetę jak obrus do śniadania.

– Neilson ocenił, że Prado zmarła najwyżej czternaście, góra piętnaście godzin wcześniej, a prawdopodobnie niewiele ponad dziesięć. Jego zdaniem zwłoki leżały w bagażniku dość krótko. Bezpośrednią przyczyną śmierci było uszkodzenie aorty. Sądząc po ilości powietrza w płucach, doktor orzekł, że musiała zostać rozcięta, kiedy jeszcze żyła.

Joe Neilson był kierownikiem okręgowego zakładu medycyny sądowej i cieszył się wielkim szacunkiem prokuratorów z biura stanowego. Nie mogąc oderwać wzroku od rzędu fotografii pięknych, zamordowanych dziewcząt, C.J. westchnęła głośno i zapytała:

– Czy to ten sam facet, czy mamy do czynienia z naśladowcą?

Dominick usiadł. Zdjął pokrywę z kartonowego pudła, podniósł leżącą na

wierzchu grubą brązową teczkę i wyjął z niej kilka zdjęć z polaroida.

– Rozcięcia są identyczne. Najpierw pionowo przez środek mostka, zrobione jakimś bardzo ostrym narzędziem, zapewne skalpelem, a później poziomo tuż pod linią piersi. Tak samo podobne są cięcia aorty. Nie wierzę, żeby to zrobił naśladowca.

– Czy da się stwierdzić niezbitcie, że nacięcie dokonano jednym i tym samym narzędziem? – Zapatrzyła się na poszarzałe oblicze martwej Anny Prado na zdjęciu z polaroida. Platynowoblond włosy otaczały jej głowę na metalowym stole w prosektorium niczym aureola. Zbliżenia ukazywały równo na pół rozcięty mostek i ciemniejącą pod nim jamę otwartej klatki piersiowej, rozchylone na boki żebra oraz puste miejsce po wyciętym sercu. Jak w wypadku wcześniejszych ofiar wszystkie cięcia były proste, wykonane pewną ręką. Przez chwilę przypomniały się jej własne poszarpane rozcięcia skóry w wielu miejscach ciała, ale szybko odegnała od siebie przykre wspomnienia.

– Niewykluczone – odparł Manny. – Doktor jeszcze nie skończył sekcji, ale znalazł coś interesującego, pani mecenas. Wszystko wskazuje na to, że Prado miała we krwi jakiś narkotyk. Podobnie jak w przypadku Nicolette Torrence, tej, którą w październiku ubiegłego roku także odnaleźliśmy krótko po śmierci na strychu tej speluny przy Siedemdziesiątej Dziewiątej ulicy. Leżała tam zaledwie od kilku dni.

– Oceniając po ciężarze płuc, Neilson uznał, że prawdopodobnie była pod wpływem jakiegoś narkotyku. Ale pewność zyskamy dopiero po przeprowadzeniu badań toksykologicznych – wtrącił Dominick.

– Znalazł jakieś dowody na wykorzystanie seksualne? – zapytała C.J. – Owszem. Była wielokrotnie gwałcona przy użyciu jakiegoś tępego narzędzia, zarówno waginalnie, jak i analnie – odparł cicho Falconetti. Było jasne, że

właśnie okoliczności gwałtu najbardziej go niepokoją. – Jej macica i szyjka są poważnie uszkodzone. Neilson uważa, że gwałcień wykorzystywał kilka różnych narzędzi, o czym mogłyby świadczyć odmienne rozcięcia i stłuczenia ścianek macicy. Nie znalazł jednak śladu nasienia. Skrupulatnie gromadzi jednak próbki i fotografuje wszystko na wypadek, gdyby coś umknęło teraz jego uwagi i trzeba było później jeszcze raz przeprowadzać analizę.

– A co z jej paznokciami?

Wiele ofiar, walcząc o życie, drapało napastników, toteż pod paznokciami zwłok można było odnaleźć drobne fragmenty naskórka, a na ich podstawie wykonać analizę DNA, tej niezawodnej genetycznej mapy, która pozwalała śledczym niezbitie udowodnić winę podejrzanego, jeśli w pobranych od niego próbkach stwierdzano zgodność wyników badań.

– Nic. Przynajmniej wstępne oględziny niczego nie wykazały.

A więc w tej sprawie mieli podejrzanego, ale nie materiał, z którym można by porównać jego DNA.

– I tak przygotuję nakaz pobrania od Bantlinga próbek włosów i śliny. Na wszelki wypadek. Może tym razem popełnił jednak błąd. A może my coś przeoczyliśmy w badaniach wcześniejszych ofiar. – Wzruszyła ramionami i zsunęła włosy za uszy. – Wiadomość o możliwym użyciu narkotyków jest pomyślna. Może pozwoli znaleźć powiązania przynajmniej z jedną z zabitych poprzednio dziewcząt. Zadzwońię po południu do Neilsona i sprawdzę, czy podczas szczegółowej autopsji nie znalazł jeszcze czegoś ciekawego. – Po chwili zapytała mimowolnie podniesionym głosem: – Przeszukiwaliście już policyjne bazy danych? Nie ma nic o Bantlingu w centrum?

W Krajowym Centrum Informacji Kryminalnej gromadzono wszystkie dane dotyczące przestępców. Można się tam było dowiedzieć, czy podejrzany

nie ma kryminalnej przeszłości, czy nie był dotąd zatrzymany w którymkolwiek stanie.

– Nie – odparł Dominick. – Jak dotąd wszystko wskazuje, że jest zupełnie czysty.

– Chciałabym zdobyć o tym facecie maksymalnie dużo wiadomości. Jeśli zdążę, jeszcze dziś po południu poszukam jego nazwiska w bazach danych rejestracji samochodów. Trzeba też sprawdzić jego paszport i dowiedzieć się, dokąd podróżował.

– Poproszę Jannie o sprawdzenie tego wszystkiego. Jeśli się nie mylę, Manny już polecił jej, by skontaktowała się z Interpolem, bo może mają coś na niego w innych krajach. W końcu jest podobno cenionym dostawcą zabytkowych mebli do salonu Tommy’ego Tana. Bazę danych wydziałów ruchu drogowego już sprawdzaliśmy. Facet dość często zmieniał miejsce zamieszkania. Po południu prześlę ci kopię wydruku.

C.J. podniosła się szybko, chcąc dać do zrozumienia, że to koniec rozmowy.

– Mam jeszcze na dzisiaj sporo pracy, będę musiała też porozmawiać z kilkoma osobami. Zadzwonię do ciebie później, Dominicku. Może uda ci się do tego czasu jeszcze coś znaleźć.

Zmierzyła karcącym wzrokiem Alvareza, który wyciągnął papierosa z paczki marlboro. Sama miała straszną ochotę zapalić, lecz wolała z tym poczekać, aż zostanie sama.

– A ty nie pal więcej w moim gabinecie, Manny. Potem muszę za ciebie wysłuchiwać uwag.

Misiek zrobił zdziwioną minę, jak dziecko przyłapano z ręką w pudełku cukierków, tłumaczące, że wcale ich nie podkrada.

– Nie wiedzieliśmy, jak długo będziemy musieli czekać, pani prokurator –

mruknął. Zaraz dodał z błyskiem w oku: – Poza tym, na widok pani zgrabnej sekretarki serce zaczyna mi szybciej bić, robię się nerwowy, więc muszę się czymś uspokoić... – Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Radziłabym ci trzymać się od niej z daleka. Lepiej weź na celownik jakąś inną.

Okrążyła biurko, podeszła do drzwi i otworzyła je. Marisol stała w korytarzu, przed swoim stanowiskiem. Uśmiechnęła się na widok Manny’ego, po czym kokieteryjnie oblizwała wargi, jakby grała w reklamie szminki do ust. C.J. ledwie się powstrzymała, żeby natychmiast nie zatrzaskać drzwi z powrotem. Alvarez energicznym krokiem wyszedł z gabinetu.

Dominick cofnął się jednak i zamknął drzwi. Oparty ramieniem o framugę popatrzył na nią z głęboką troską malującą się w jego ciepłych, kasztanowych oczach. Musiał się kąpać przed wyjściem do sądu, gdyż przyjemnie pachniał dobrym, gatunkowym mydłem. Ale włosy miał w nieładzie, jakby nie zdążył ich nawet pobieżnie przyczesać.

– Co się z tobą dzieje? Na pewno wszystko w porządku?

– Tak, nic mi nie jest, Dom – odparła z nisko spuszczoną głową.

Bała się spojrzeć mu w oczy. Starła się robić wrażenie przemęczonej.

– W sądzie nie wyglądałaś najlepiej, a to do ciebie niepodobne, C.J. – Delikatnie położył dłoń na jej palcach spoczywających wciąż na klamce. Palce miał szorstkie, pokryte nagniotkami, ale ich dotyk był przyjemny, kojący. – Teraz też nie wyglądasz najlepiej.

W końcu odważyła się podnieść głowę. Musiała jednak zebrać w sobie wszystkie siły, żeby skłamać. Kilka sekund upłynęło w kłopotliwym milczeniu, zanim wydusiła:

– Naprawdę nic mi nie jest. Wszystko w porządku. Jestem po prostu

zmęczona. Krótko spałam dzisiejszej nocy. Musiałam przecież opracować nakazy do podpisu i przygotować się do przesłuchania. – Westchnęła teatralnie. – Jego wrzaski na sali rozpraw tylko wytrąciły mnie z równowagi. Nie spodziewałam się takiej reakcji.

Zbierało jej się na płacz, toteż pospiesznie przygryzła wewnętrzną stronę policzka, żeby powstrzymać łzy.

Przyglądał jej się uważnie, jakby wypatrywał oznak kłamstwa. Po chwili uniósł rękę i delikatnie musnął palcami jej twarz. Natychmiast spięła się wewnątrz. Najwyraźniej to wyczuł, gdyż szybko cofnął i opuścił rękę.

– Mam wrażenie, że jest coś, o czym nie chcesz mi powiedzieć – mruknął. Odwrócił się i będąc już na korytarzu, dodał przez ramię, nie odwracając głowy: – Prześlę ci ten wydruk z bazy danych rejestracji pojazdów jak tylko wrócę do biura po wizycie w domu Bantlinga.

Świetnie wyczuwała, jak bardzo jest zaniepokojony. Niemal tak samo, jak ona.

. 21 .

Biały piętrowy dom ze świeżo pomalowanymi na ciemno-zielono framugami i wielkim panoramicznym oknem saloniku od frontu stał nieco odsunięty od ulicy. Chodnik z czerwonej kostki prowadził do masywnych dwuskrzydłowych drzwi z ciemnego dębu. Dwumetrowej wysokości betonowy parkan z ozdobną furtką z kutych żelaznych prętów zasłaniał widok na gęsto zarośnięte tylne podwórko. Ponad nim wyłaniały się tylko czubki rozrośniętego cyprysa i dwóch strzelistych palm, mających co najmniej po sześć metrów wysokości. W sumie była to bardzo ładna posiadłość w spokojnej, mieszkalnej części przy „środkowej plaży”, mniej więcej w pół drogi między niedostępnym dla turystów North Miami Beach a modnym SoBe. Dopóki tego ranka koło ósmej nie zjawily się tu hordy dziennikarzy, przedstawiciele średniej klasy mieszkający przy LaGorce Avenue pewnie nawet nie zwracali większej uwagi na swego przystojnego, nienagannie ubranego sąsiada. Musieli o nim pomyśleć dopiero teraz, gdy stał się głównym podejrzanym w najgłośniejszej sprawie o zabójstwo od czasu, gdy na Ocean Drive w SoBe Andrew Cunananen zastrzelił słynnego projektanta mody, Giannię Versace.

Umundurowani policjanci kręcili się wokół domu jak mrówki wokół mrowiska. Na podjeździe stały dwie białe furgonetki ekip technicznych wydziału dochodzeniowego komendy okręgowej Miami-Dade. Dominick ruszył rażno starannie wysprzątany chodnikiem między gazonami z kwitnącą na fioletoworóżowo bugenwillą. Manny deptał mu po piętach. Wejścia do domu strzegł młody, najwyżej dwudziestodwuletni gliniarz z Miami Beach. Nerwowo przestępował z nogi na nogę, najwyraźniej świadom

tego, że każdy jego ruch jest uważnie śledzony przez telewidzów, do których przekaz na żywo docierał za pośrednictwem co najmniej kilkunastu kamer rozstawionych na chodniku tuż za żółtą policyjną taśmą rozciągniętą wzdłuż ulicy. Na pewno bezpośrednią transmisję prowadziły CNN, MSNBC oraz Fox News. Dominick machnął mu przed nosem swoją odznaką, w wyobraźni widząc przesuwający się napis, który w tej samej chwili musiał się pojawić u dołu ekranów na milionach odbiorników: OFICEROWIE ŚLED CZY Z ZESPOŁU SPECJALNEGO WK RACZAJĄ DO DOMU ZATRZYMANEGO W CELU POSZUKIWANIA LUDZKICH SZCZĄTKÓW ORAZ DOWODÓW ZBRODNI.

Technicy z dochodzeniówki kręcili się po wszystkich pokojach. Z pietyzmem badali każdy skrawek powierzchni i zbierali do analizy próbki nawet najbardziej pospolitych rzeczy, takich jak szampon do włosów czy kłaczki kurzu z kątów. W tak niezwyklej sprawie każdy drobiazg mógł się okazać nadzwyczaj ważnym dowodem, dlatego też do laboratorium miały trafić najróżniejsze przedmioty pochodzące z wszystkich pomieszczeń.

Błyskały flesze, gdy fotografowie utrwalali wygląd każdego pokoju pod wszelkimi możliwymi kątami. Na wszystkich płaskich powierzchniach, nawet tam, gdzie znalezienie odcisków palców było mało prawdopodobne, ciemniał czarny proszek. Odcięto już spory kawałek z leżącego w salonie drogiego dywanu, spod wyjętych do badania kilku listewek boazerii wyglądała goła ściana pomalowana na jasnobrązowo. W holu stały zrolowane i owinięte folią, przygotowane do zabrania chodniki sprzed drzwi wejściowych i spod schodów. Obok piętrzyły się przezroczyste plastikowe worki z zawartością kosza na śmieci i pojemnika z odkurzacza, ze zdjętymi z trzonków szczotkami do zamiatania i miotełkami od kurzu oraz z tacą z suszarki do naczyń. Później technicy mieli to wszystko przenieść do

furgonetek.

W kuchni mozolili się właśnie ze zdjęciem kolanka spod zlewu, który miał trafić do badania razem ze wszystkimi analogicznymi kolankami z całego domu. Detektywi z komendy w Miami Beach wyciągali z zamrażalnika lodówki i pakowali do toreb oszronione kostki zamrożonego mięsa. Na stole stała już naszykowana do zabrania cała podstawa z bogatym zestawem noży kuchennych o laserowo profilowanych ostrzach. Analitycy w laboratorium mieli w pierwszej kolejności sprawdzić, czy w osadach z odstojników nie ma śladów krwi bądź ludzkich tkanek, które na pewno by się tam znalazły, gdyby były na rękach kogoś, kto mył ręce nad zlewem. Mięso z lodówki trzeba było rozmrozić i zbadać pod mikroskopem, czy nie jest ludzkie. Natomiast ukształtowanie ostrzy noży należało porównać z rodzajami nacięć w ciele zabitej Anny Prado.

Wszystkie łóżka na piętrze odarto już z pościeli, którą także spakowano do badań. Z szaf powyjmowano wszystkie ścierki i ręczniki. W korytarzu pod ścianą stały wypełnione nimi wielkie czarne plastikowe worki. Ostry, drapiący w gardle odór luminolu wydobywał się zza zamkniętych drzwi sypialni gościnnej, gdzie technicy z zakładu medycyny sądowej rozpylali go po obitych kosztowną boazerią ścianach i wyłożonej lakierowanymi deskami podłódze w poszukiwaniu nawet najdrobniejszych śladów krwi. Substancja ta w zetknięciu z ludzką krwią fosforyzowała jaskrawożółto w świetle nadfioletowym, umożliwiając tym samym odkrycie nawet tych śladów, które zostały dokładnie starte oraz wyszorowane i nie były widoczne gołym okiem.

W drugiej sypialni gościnnej trwało właśnie czyszczenie dywanu specjalnym odkurzaczem, pozwalającym zebrać do stalowego zbiornika wszelkie nitki, włókna, pojedyncze włosy i kłaczki przędzy. Nie było już zasłonek w oknach, które także zostały spakowane do badań.

Dominick odnalazł detektywa Eddiego Bowmana i agenta specjalnego Chrisa Mastersona siedzących na podłodze w sypialni Bantlinga i przeglądających sterty kaset wideo znalezionych w dużym ozdobnym wiklinowym kuferku. Obaj pracowali w zespole specjalnym od samego początku, od chwili jego powołania. Wielki telewizor stojący na masywnej dębowej szafce grał bardzo głośno.

– Cześć, Eddie. Jak wam idzie? Znaleźliście już coś ciekawego?

Bowman podniósł głowę znad trzymany w ręku kaset.

– Cześć, Dom. Fulton próbował się z tobą skontaktować. Jest w szopie na dole.

– Już z nim rozmawiałem. Zaraz idę do niego.

Na ekranie telewizora szczodrze obdarzona przez naturę rudowłosa kobieta w szkolnym mundurku i koronkowych podwiązkach pochylała się nad leżącym na wznak nagim mężczyzną, którego twarz pozostawała poza kadrem. Dominick zwrócił uwagę, że jak na szkolny mundurek, zwłaszcza tego rozmiaru, jej strój był nadzwyczaj skąpy. Wyglądały spod niego wysoko zadarte gołe pośladki, które mężczyzna przy wtórze głośnych jęków kobiety okładał metalową packą. Trudno było ocenić, czy wydawane przez rudą odgłosy są wynikiem bólu, rozkoszy, czy też może jednego i drugiego równocześnie.

– Jak poszło w sądzie? – zapytał Eddie, w ogóle nie zwracając uwagi na odgłosy z telewizora.

– Dobrze. Sędzia uznał, że są podstawy do oskarżenia o morderstwo z premedytacją i odmówił wyznaczenia kaucji – mruknął Dominick, nie mogąc oderwać wzroku od ekranu telewizora.

Zerknął w głąb wiklinowego kuferka. Była tam co najmniej setka kaset wideo. Na wierzchu leżała jedna, oznaczona naklejką z napisem *Blond Lolita*

IV 99.

Manny dopiero teraz wszedł za nim do pokoju. Był zadyszany po pokonaniu schodów i krótkiego korytarza.

– Dlaczego ty zawsze traktujesz wszystko ze śmiertelną powagą, Dom, i nigdy nie dopowiesz do końca? – Oparł się o brzeg szafki, wziął parę głębszych oddechów i spoglądając na Bowmana, dodał: – Bantling dał niezłe przedstawienie. Zaczął piszczeć jak rozhisteryzowana siksa i wrzeszczeć na sędziego, że nie może iść do więzienia. On? Skądże znowu! – Zachichotał. – Buu! To jakaś pomyłka! Buu!

Upłynęło parę sekund, zanim Manny zwrócił uwagę na niezwykle sceny rozgrywające się na ekranie telewizora, w który wszyscy się wpatrywali.

– Bowman, co wy oglądacie, do cholery? – mruknął z odrazą w głosie.

– To ty jeszcze tak sapiesz, Miśku? – zapytał Eddie.

– Pieprz się. Muszę koniecznie zapalić, a nasz kochany Dommy nie pozwala palić na miejscu zbrodni. – Popatrzył na telewizor, skrzywił się i zwrócił do Eddiego: – Co to za świństwa? Chyba nie sfilmowałeś swojej żony, prawda, Bowman?

Eddie puścił mimo uszu tę złośliwość. Wskazując ekran, wyjaśnił:

– Nasz wspaniały pan Bantling oglądał to sobie dla rozrywki w zaciszu sypialni. Na pewno nie nagrał tego z telewizji publicznej. Jak widzisz, ma całe sterty podobnych amatorskich filmów wideo. Nie jestem pruderyjny, ale niektóre sceny z tego, co do tej pory widzieliśmy z Chrisem, każdego potrafiłyby ruszyć. Wygląda na to, że wszystkie ujęcia zostały nakręcone za zgodą filmowanych, ale nie dałbym za to głowy.

Centralne miejsce w sypialni zajmowało olbrzymie dębowe królewskie łoże z wielkim, obitym czekoladową skórą zagłówkiem. Teraz stało puste, bez pościeli i materaców. Poza nim jedyne umeblowanie stanowiła szafka z

telewizorem i wiklinowy kuferek.

Z głośnika telewizora doleciał głośny pisk. W przerwach między kolejnymi spazmami ruda rzucała pojedyncze hiszpańskie słowa.

– Hej, Manny. Co ona gada? – zaciekał się Dominick.

– „Przestań, proszę. Będę już grzeczna. Tylko przestań. Tak bardzo boli”.
To jakieś gówno dla popaprańców, Bowman.

– Przecież nie ja to nakręciłem. Tylko przeglądam znalezione kasety.

Leżący mężczyzna nie zwracał uwagi na krzyki kobiety.

Dalej okładał packą pośladki rudej, już nie tylko mocno zaczerwienione, ale i pocięte.

Wciąż spoglądając na ekran, Falconetti zapytał:

– Ile kaset zdążyliście obejrzeć?

– Tylko trzy. A w sumie jest ich ponad sto.

– Nie zauważyliście na nich którejs z dziewcząt ze Ściany?

– Nie. To byłoby za proste. Na niektórych są naklejki z datami, na innych tylko imiona, ale większość w ogóle nie jest podpisana. Poza tym, na dolnej półce pod telewizorem jest jeszcze spora kolekcja normalnych filmów. Jest ich też z pięćdziesiąt, może nawet więcej.

– Zabierzcie wszystkie. Niewykluczone, że wgrał na *Statek miłości* jakąś własną wersję. Trzeba będzie je przejrzeć. Może uda się zidentyfikować jakieś gwiazdy z tych amatorskich filmików. – Dobiegające z telewizora odgłosy uderzeń i piski przybierały na sile. Spoglądając na ekran, Dominick spytał: – Czy to nie Bantling z tą packą?

– Skąd mam wiedzieć? Prawie się nie odzywa. Na razie nie rozpoznałem na żadnym ujęciu pomieszczeń z tego domu. Od początku miałem takie podejrzenia, ale w końcu nie widziałem Bantlinga rozebranego.

– Co było na tych kasetach, które wcześniej obejrzelście?

– Takie samo gówno. Mocno sadystyczne, ale jak już powiedziałem, chyba kręcone z dobrowolnym udziałem ludzi. Trudno powiedzieć. Dziewczyny są przeważnie młode, ale z wyglądu pełnoletnie. Chociaż i to nie jest pewne. Możliwe, że na wszystkich filmach widać tego samego faceta, ale na żadnym ujęciu nie pokazał dotąd twarzy. Oczywiście, mamy nadzieję, że dopisze nam szczęście i na jakiejś kasecie zobaczymy zarejestrowane jego zabawy z którąś z zamordowanych dziewcząt.

– Sam jesteś popapwany, Bowman – mruknął Manny, odwracając się tyłem do telewizora i zerkając do szafy wnękowej. – Jeszcze tu nie zaglądaliście?

– Nie. Technicy na razie zrobili tylko zdjęcia, odkurzyli podłogę i pozbierali śmieci z kątów. Chris ma się zająć ciuchami i butami, jak skończymy inwentaryzować kasety. Sprawdzanie luminolem szafy i sypialni odłożono na wieczór.

– Widzę, że nasz psychol gustował w eleganckich ubrankach – zawołał Alvarez, niemal nurkując w szafie. – Tylko spójrzcie, garnitury od Armaniego i Hugo Bossa, koszule od Versacego. Co mnie podkusiło, żeby zostać gliniarzem? Też mógłbym projektować drogie meble i zgarniać grubą forszę.

– Bantling był tylko handlarzem pracującym dla projektanta mebli – sprostował Eddie. – Tylko handlarzem. Ciekawe, co byś powiedział, gdybyś zajrzał do szafy samego projektanta.

– Wspaniale. Od razu poczułem się dużo lepiej, Bowman. A więc powinienem być zostać handlarzem. Oni naprawdę zarabiają tyle forsy, czy nasz psychol jakoś dorabiał sobie na boku?

Dominick wszedł do łazienki sąsiadującej z sypialnią. Cała była we włoskich marmurach, którymi nie tylko wyłożono podłogę, ale i obudowano sedes, bidet i kabinę prysznicową. Drobnny czarny pył znajdował się

wszędzie, przez co jasnokawowy marmur sprawiał wrażenie straszliwie zabrudzonego. Odezwał się przez ramię:

– Jeśli wierzyć jego szefowi, Tommy’emu Tanowi, w ubiegłym roku zarobił na czysto sto siedemdziesiąt pięć tysięcy. Nie ma żony ani dzieci, więc może wydawać do woli.

– Powinieneś dodać, że nie ma też byłej żony. Bo to właśnie one wysysają najwięcej z dochodów faceta. – W tym zakresie Manny miał spore doświadczenie, był po trzech rozwodach. – Jezu. Jest tu co najmniej dziesięć garniturów, z których każdy kosztuje tyle, ile wynosi moja miesięczna pensja. I wszystkie takie eleganckie... – Wyjrzał z szafy i powiedział do kolegi: – Popatrz sam, Bowman. Koszule leżą poukładane w stosikach w zależności od koloru, a do każdej jest dopasowany inny krawat. Miał także świra na punkcie porządku.

– Zgadza się, Manny. Starannie dopasowywał krawaty do koszul, a w dodatku wybierał takie, na których nie ma postaci z kreskówek ani podobizn znanych piłkarzy. Nie wydaje ci się to podejrzane? – zapytał ironicznie Eddie, nie odwracając głowy od telewizora.

– Próbujesz mnie urazić? Nic z tego. Zresztą sam chciałeś pożyczyć ode mnie krawat z królikiem Bugsem. Wszyscy to słyszeli.

– Tylko na Halloween, palancie. To miał być żart. Chciałem się przebrać za Oscara z *Dziwnej pary*.

Dominick wyciągnął z kieszeni gumowe rękawiczki, włożył je i otworzył szafkę pod zlewem. W równiutkich rzędkach stały tam buteleczki z szamponem i odżywką do włosów, kostki mydła Dial, rolki papieru toaletowego. Z brzegu leżała suszarka. W sąsiedniej szafce ujrzał koszyk z grzebieniami i szczotkami do włosów, kolejne rolki papieru toaletowego, paczkę prezerwatyw.

– Hej, Eddie, Chris – zawołał. – Co do tej pory technicy robili w łazience? Wygląda na to, że jeszcze niczego stąd nie spakowali.

– Zebrali tylko odciski palców – odpowiedział Masterson. – Nic poza tym. Po spisaniu wszystkich kaset sam miałem się zająć szafą i łazienką. Fulton obiecał, że jak skończy w szopie, przyjdzie nam pomóc, ale dotąd się nie pojawił.

Manny po raz drugi wyjrzał z szafy.

– Obijacie się na całego. Gdy my odwalaliśmy kawał ciężkiej i nudnej roboty, żeby przygotować wszystko do przesłuchania w sądzie, wy siedzieliście tu sobie wygodnie i oglądaliście pornosy. Pozwólcie, że zadam proste pytanie. Obaj naraz musicie spisywać te kasety, czy może jeden mógłby się chwilowo zająć czymś innym, zamiast bezmyślnie gapić się w telewizor?

– Opuść sobie, Miśku. Dobra? – mruknął Bowman. – Między pornosami zrobiliśmy sobie przerwę na reklamę i przełączyliśmy się na wiadomości, dlatego wiemy, że byliście w sądzie najwyżej dwadzieścia minut. Podejrzewam, że później przez półtorej godziny siedziałeś w Piekło Barrel przy kawie ze śmietanką i próbowałeś zdobyć numer telefonu kandydatki na senorę Alvarez numer cztery.

– Dajcie spokój, dzieci. Przestańcie się kłócić – zawołał pojednawczo z łazienki Dominick.

Otworzył apteczkę i powiódł spojrzeniem po fiolkach advilu, tylenolu i motrinu, także ustawionych w równiutkich rzędach obok słoiczka z maścią VapoRub, tubki żelu przeciwbólowego i dużej butli mylanty przeciw nadkwasocie. Dwie pozostałe półki zajmowały pincety, pasta do zębów, płyn do ust, nić dentystyczna, krem i maszynki do golenia. Wszystko było starannie poustawiane nalepkami do przodu, jak na regale w sklepie. W

brązowym plastikowym koszyczku leżały dwie recepty, ale nie było na nich nic ciekawego. Pierwsza została wystawiona w lutym 1999 roku przez lekarza z Coral Gables na amoksycyklinę, popularny antybiotyk. Druga była na claritin, maść przeciw katarowi, od tego samego lekarza i pochodziła z czerwca 2000 roku.

Wyciągnął szufladę szafki pod zlewem. Taki sam brązowy koszyk z wacikami sąsiadował z ułożonymi jak do przeglądu tubkami kremu depilującego i nawilżającego. W głębi piętrzył się stosik małych czarnych ręczniczków do twarzy. Tknięty jakimś przeczuciem wyjął je ostrożnie. Pod spodem, na samym dnie szuflady, na jeszcze jednej receptce, leżała kolejna ciemna fiolka z lekiem. Była mniej więcej do połowy pełna.

– Strzał w dziesiątkę – mruknął pod nosem, obracając w palcach buteleczkę oraz wystawioną dla Williama Ruperta Bantlinga receptę na haldol.

Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, wyszła na palcach z windy do wykończonego na różowo-szaro holu gmachu Grahama, miejsca pracy dwustu czterdziestu prokuratorów. Zaczynała się przerwa na lunch i wszędzie było pełno ludzi. Przy drzwiach stała grupka pogrążonych w rozmowie innych zastępców prokuratora stanowego, którzy czekali na powrót przyjaciół i znajomych z sądu, żeby razem zjeść lunch. C.J. sztywno skinęła im głową i skrzyła do wyjścia na parking.

Miała nadzieję, że wygląda już normalnie, że ustąpiła ta uderzająca bladość, która pokryła jej policzki podczas rannego przesłuchania. Liczyła też, że jeśli będzie się zachowywała normalnie, to znaczy nie okazywała pośpiechu, zdenerwowania czy Bóg wie czego jeszcze, tę chwilę osłupienia ludzie złożą na karb niewyspania oraz stresu związanego z prowadzeniem sprawy Kupidyna i nie będą plotkować na jej temat, jak to prawnicy mają w zwyczaju. Na co dzień cały pięciopiętrowy gmach wręcz trząsł się od plotek, wieści o rozwodzie albo czyjejs ciąży rozchodziły się tak szybko, że często elektryzowały pracowników, jeszcze zanim delikwent otrzymał pozew od żony bądź kobieta odebrała wyniki testu ciążowego. C.J. głęboko wierzyła, że jedynie przenikliwy Dominick zauważył tego ranka jej przerażenie, że nie dla wszystkich było jeszcze oczywiste, iż jakiś wstrząs odcisnął wyraźne piętno na jej życiu. Przed wyjściem na skąpany w słońcu plac włożyła ciemne okulary. Wydawało jej się, że nie budzi żadnej sensacji. Kilka znajomych osób pozdrowiło ją w korytarzu uniesieniem ręki, ale zaraz szybko wróciło do przerwanej rozmowy.

Otworzyła swojego dzipa Cherokee, postawiła na prawym siedzeniu pudło

z papierami oraz torebkę, po czym zaczęła przetrząsać schowek pod deską rozdzielczą w poszukiwaniu paczki marlboro, którą zawsze trzymała w rezerwie za stertą bezużytecznych map samochodowych i paczką chusteczek higienicznych. Nigdy wcześniej nie miała aż tak przemożnej ochoty na papierosa. I nigdy aż tak bardzo go nie potrzebowała. To był zdecydowanie kiepski dzień na rzucanie palenia, choć gdy o piątej rano kończyła ostatniego papierosa z paczki, myślała zupełnie inaczej, powtarzając w duchu, że musi zerwać z tym paskudnym nawykiem.

Zwróciła uwagę, że płomyk zapalki gwałtownie chwieje się i dygocze. Ręce nadal jej się trzęsły. W końcu okruchy tytoniu zajęły się żarem, czubek papierosa zajarzył się na czerwono i wnętrze auta wypełnił znajomy, uspokajający zapach dymu. C.J. odchyliła się na oparcie fotela, powiodła wzrokiem po rozległym parkingu pod gmachem Grahama, po czym zamknęła oczy, zaciągnęła się głęboko i powoli wypuściła dym. Niemalże czuła, jak nikotyna przedostaje się z płuc do krwiobiegu, razem z nim dociera do mózgu i całego układu nerwowego, swoim magicznym działaniem rozluźniając nerwy od tyłu godzin napięte do granic wytrzymałości. Ludzie, którzy nigdy nie palili, właśnie tego uczucia za żadne skarby nie potrafili zrozumieć. Było ono bliskie jedynie nałogowcom – alkoholikom smakującym pierwszy tego dnia kieliszek whisky czy narkomanom, którzy po dłuższej przerwie zyskali wreszcie okazję, żeby znów dać sobie w żyłę. Mimo to ręce nadal jej się trzęsły, choć po raz pierwszy od rana spłynęło na nią uczucie błęgiego spokoju. Kiedy znów dmuchnęła dymem prosto w kierownicę, uświadomiła sobie z pełną mocą, że chyba nigdy nie zdoła rzucić palenia. Nigdy. Po chwili wyprowadziła wóz z parkingu i ruszyła w kierunku zachodniego wjazdu numer 836 na autostradę międzystanową I-95 prowadzącą do Fort Lauderdale.

Przypomniała sobie Dominicka, jego zmarszczone czoło i zatroskaną minę, gdy patrzył jej w oczy, stojąc w drzwiach gabinetu. Przypomniała sobie także dotyk jego palców, ostrożny, jak gdyby badawczy, oraz skrajne zaskoczenie, z jakim odebrał jej odruchową reakcję na to dotknięcie. I wreszcie jego ostatnie słowa:

Wydaje mi się, że jest coś, o czym nie chcesz mi powiedzieć.

Musiał odebrać to jak przejaw skrajnej rezerwy, chociaż wcale nie zamierzała mu jej okazywać. Sama nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Od chwili, gdy w sądzie rozpoznała Bantlinga, wciąż pozostawała w tak silnym szoku emocjonalnym, że w ogóle nie była w stanie skonkretyzować innych swoich uczuć. W takiej chwili nawet przejaw zwykłej troski Dominicka wydawał się nie do przyjęcia. Znow miała wrażenie, że czas zatrzymał się w miejscu. Podobnie było dwanaście lat wcześniej. Wiodła normalne, to nudne, to znow wspaniale ekscytujące życie z perspektywami na taką samą, raz nudną, raz ekscytującą przyszłość, aż tu nagle bach! – musiała w jednej chwili przewartościować swoje życiowe priorytety. Teraz Bantling po raz drugi obrabował ją ze wszystkiego. Ten krótki czas w sądzie, podobnie jak wtedy w sypialni, wystarczył, żeby przewrócić cały jej świat do góry nogami.

Jeszcze dzień wcześniej na pewno nie cofnęłaby ręki przed dotknięciem Dominicka. Może nawet przysunęłaby się trochę bliżej albo odwzajemniła jego gest. Przez kilka ostatnich miesięcy wspólnej pracy w specjalnym zespole dochodzeniowym nawiązała się między nimi bliższa więź, mogąca być zapowiedzią czegoś więcej. Urocze, delikatne napięcie towarzyszące ich spotkaniom zdawało się przybierać na intensywności, choć na tym etapie nie sposób było przesądzić ani gdzie, jak i w co się rozwinie, ani czy w ogóle coś z tego wyniknie. C.J. zwróciła uwagę, że ostatnio Falconetti dzwonił do niej

częściej, niż wymagałyby tego sprawy służbowe. Zwykle pytał o coś *pro forma*, po czym nawiązywał luźną rozmowę, czasem dotyczącą spraw osobistych. Czują, że mu się podoba, że między nimi stopniowo zaczyna coś iskrzyć. Sama kilkakrotnie zastanawiała się nad tym, co może z tego wyjść. Lecz jeśli do tej pory nie była jeszcze pewna jego uczuć w stosunku do siebie, teraz nie miała już wątpliwości. Jego zatroskana mina w sądzie oraz pytania zadawane pełnym niepokojem tonem i ten ciepły dotyk w jej gabinecie świadczyły same za siebie.

Jednakże zareagowała ostro i Dominick wyszedł. Po raz pierwszy dostrzegła w jego oczach cień bólu, ale też mieszaną zaskoczenia i zakłopotania, będącą ewidentnie wynikiem niewłaściwej interpretacji jej reakcji, braku zrozumienia tego, do czego naprawdę powinny zmierzać kontakty między nimi. Ta chwila minęła bezpowrotnie. Być może na zawsze. Tłumaczyła sobie, że w takiej chwili nie powinna zaprzętać sobie myśli Falconettim, ale nie potrafiła od tego uciec. Przypalając drugiego papierosa, postanowiła solennie na razie odłożyć tę sprawę na bok. Nie była to dobra pora na roztrząsanie ich wzajemnych relacji, zwłaszcza że w jej mniemaniu Dominick odznaczał się nadzwyczaj złożoną osobowością. Ale przecież był głęboko zaangażowany w sprawę aresztowania i postawienia przed sądem Williama Ruperta Bantlinga.

W ocienionej palmami alejce dojazdowej do osiedla, na którym mieszkała, niedbale machnęła ręką strażnikowi czytającemu książkę w klimatyzowanej budce. Ledwie zerknął w jej kierunku, odpowiedział równie zdawkowym gestem i otworzył bramę. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że osiedlowa ochrona na Florydzie przypomina tanie systemy alarmowe montowane powszechnie w popularnych autach, czyli inaczej to ujmując, jest bezużyteczna. Gdyby nawet miała na głowie kominiarkę, na fotelu obok

siebie torbę z wytrychami, a na tylnym siedzeniu gotowy do strzału obrzynek i mapę zatytułowaną *Droga do skarbów w domach do złupienia*, strażnik i tak odruchowo otworzyłby bramę.

Ustawiła wóz na zarezerwowanym dla siebie miejscu na parkingu przed Port Royale Towers i wjechała windą na dwunaste piętro. Tibby II powitał ją w drzwiach mieszkania serią pełnych wyrzutu miauknięć. Jak zwykle był głodny, chociaż pokryty puszystym białym futrem obwisły brzuch miał wiecznie poszarzały od szargania po zakurzonej podłodze.

– Rozumiem, Tibs. Zaczekaj jeszcze chwilę. Jak wpuścisz mnie do środka, dam ci zaraz coś do jedzenia.

Słowo „Jedzenie” działało na niego uspokajająco i żalosne miauczenie szybko umilkło. W typowy dla kotów sposób przyglądał się z lekkim zainteresowaniem, jak jego pani zamyka drzwi i włącza alarm, ale gdy tylko ruszyła do kuchni, natychmiast musiał się otrzeć o jej nogę, nie bacząc na to, że zostawia czarne i białe włoski ze swojej sierści na jej rajstopach. C.J. zostawiła pudło z papierami oraz torebkę na stole, po czym nasypała do jego czerwonej miseczki porcję suchej karmy Purina Cat Chow. Jej zapach od razu zbudził Lucy, dziesięcioletnią głuchą suczkę, basseta, która wygrzebała się ze swojej poduszki w sypialni i z grzechotem pazurków o terakotę weszła do kuchni, węsząc dookoła. Po chwili krótko pisnęła z radości i zawróciła do swojej miski stojącej obok miseczki Tibby’ego, do połowy jeszcze wypełnionej ciastowatą karmą dla psów. Cały świat przestał się dla nich nagle liczyć. Kolejną ważną decyzją w ich życiu miał się stać wybór miejsca na popołudniową drzemkę, w sypialni albo w saloniku.

C.J. nastawiła ekspres do kawy, wyjęła z torebki paczkę marlboro, którą kupiła po drodze, i poszła do gościnnej sypialni.

Na samym dnie na górnej półce w szafie, niewidoczne za rolkami papieru

do pakowania, ozdobnymi torebkami na prezenty, tasiemkami i innymi drobiazgami, stało szare kartonowe pudełko po butach. Zrzuciła leżące z brzegu rzeczy na kanapę i wyciągnęła je. W środku coś zastukało. Usiadła na podłodze, postawiła je przed sobą i wstrzymując oddech, zdjęła pokrywkę.

Nie zaglądała do niego od dziesięciu lat, toteż ze środka doleciał nieprzyjemny zapach stęchlizny. Wyciągnęła trzy cienkie teczki oraz wypchaną żółtą kopertę i wróciła z tym do kuchni. Nalała sobie kawy do filiżanki i razem z papierami oraz paczką papierosów wyniosła ją na niewielki, obudowany balkon, z którego rozciągał się widok na lazuruje wody odnogi Zatoki Biscayne.

Z rezerwą popatrzyła na pierwszą teczkę podpisaną jej charakterem pisma: RAPORTY POLICYJNE. W rogu była do niej przypięta wizytówka śledczej Amy Harrison z komendy nowojorskiej. C.J. przez chwilę gryzła koniec długopisu, zastanawiając się, co i jak ma jej powiedzieć. Przez chwilę żałowała, że nie przygotowała wcześniej scenariusza tej rozmowy. Wreszcie zapaliła papierosa i wybrała numer z wizytówki.

– Biuro śledcze komendy okręgu Queens.

W tle słychać było gwar podnieconych głosów, dzwonki telefonów, stłumione wycie syren.

– Czy mogę rozmawiać z detektyw Amy Harrison?

– Z kim?

– Detektyw Amy Harrison z sekcji gwałtów.

To słowo nadal z trudem przechodziło jej przez gardło, co było o tyle dziwne, że w dotychczasowej karierze co najmniej ze sto razy kontaktowała się z analogicznymi sekcjami policji z południowej Florydy.

– Chwileczkę.

Minęło dobre pół minuty, zanim w słuchawce rozległ się inny, chrapliwy

męski głos mówiący z bardzo silnym nowojorskim akcentem.

– Detektyw Sullivan, sekcja specjalna.

– Czy mogę rozmawiać z detektyw Amy Harrison?

– Z kim?

– Amy Harrison. Zajmowała się gwałtami w Bayside, bodajże w sekcji sto jedenastej.

– Nie ma tu żadnej Harrison. Kiedy to było?

Głęboki oddech. Powolny, żeby nie było słychać, westchnienia.

– Jakież dwanaście lat temu.

W słuchawce rozległo się ciche gwizdnięcie.

– Dwanaście? Matko Boska... Nie znam nikogo o tym nazwisku. Proszę chwilę poczekać.

Mimo zakrytego dłonią mikrofonu, doleciało ją zadane głośno pytanie: „Czy ktoś z was słyszał o detektyw Harrison, Amy Harrison? Podobno pracowała w naszej sekcji dwanaście lat temu”.

Odpowiedział mu inny męski głos: „Pamiętam ją. Złożyła rezygnację. Odeszła z naszego wydziału jakieś trzy, może cztery lata temu. Jeśli dobrze pamiętam, przeniosła się do policji stanowej w Michigan. A kto o nią pyta?”

Detektyw o chrapliwym głosie zaczął jej powtarzać tę wiadomość, ale mu przerwała:

– Tak, słyszałam. A może jest detektyw Benny Sears? Był jej partnerem.

– A Sears? Benny Sears – zawołał rozmówca. – Ktoś wie coś o Bennym Searsie?

„Jezu! – odpowiedział mu ten sam głos. – Benny nie żyje chyba już od siedmiu lat. Dostał zawału na wiadukcie Pięćdziesiątej Dziewiątej ulicy w godzinie szczytu. Komu nagle przypomniały się takie stare dzieje?”

– Słyszała pani? Detektyw Sears nie żyje od paru lat. Mogę jeszcze w

czymś pomóc?

Ona się przeniosła, on zmarł. Z dziwnych powodów tego nie przewidziała. Jej przedłużające się milczenie wywołało lekką irytację rozmówcy.

– Halo! Mogę pani jeszcze w czymś pomóc?

– Kto przejął prowadzone przez nich sprawy? Potrzebna mi pomoc w dotarciu do szczegółów... sprawy, którą tych dwoje prowadziło w roku osiemdziesiątym ósmym.

– Zna pani jej numer? Sprawca został aresztowany? Otworzyła teczkę i zaczęła pospiesznie przerzucać dokumenty w poszukiwaniu numeru sprawy.

– Numer powinnam gdzieś tu mieć. Proszę chwilę poczekać... Nikogo jednak nie aresztowano. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo... O, mam. To wygląda na numer...

– Nie było aresztowania? W takim razie musi się pani skontaktować z archiwum spraw zawieszonych. Zaraz panią przełączę. Chwileczkę...

W słuchawce zapadła głucha cisza.

– Biuro śledcze, detektyw Marry.

– Dzień dobry. Potrzebna mi pomoc w sprawie niewyjaśnionego napadu na tle seksualnym z roku osiemdziesiątego ósmego. Przełączono mnie do pana z sekcji specjalnej.

– Zawieszonymi sprawami gwałtów zajmuje się John McMillan, ale dziś go nie ma. Mam mu zostawić wiadomość czy woli pani zatelefonować jutro?

– Zadzwoń jutro.

Przerwała połączenie. Ta próba okazała się bezowocna. Wybrała inny numer.

– Biuro prokuratora okręgowego okręgu Queens.

– Proszę z działem ekstradycji.

Przez chwilę wsłuchiwała się w elektroniczną wersję znanego utworu

muzyki klasycznej.

– Michelle, wydział dochodzeniowy. Czym mogę służyć?

– Proszę z sekcją ekstradycji.

– Nasz wydział nie zajmuje się już ekstradycjami. A o co chodzi?

– Chcę rozmawiać z prawnikiem, który mógłby wystąpić o ekstradycję przestępcy poszukiwanego w Nowym Jorku.

– Wszystkimi ekstradycjami na wniosek naszego biura zajmuje się Bob Schurr. Obawiam się jednak, że w tej chwili nie ma go w gabinecie.

Czy ktoś, do cholery, jeszcze pracuje w tym mieście, które podobno nigdy nie śpi?!

– Rozumiem. Kiedy będę mogła się z nim skontaktować?

– Wyszedł na lunch, a później, jeśli się nie mylę, ma jakieś spotkanie. Prawdopodobnie wróci dopiero późnym popołudniem.

Podyktowała swoje nazwisko i domowy numer telefonu. Odłożyła słuchawkę i zapatrzyła się na wody zatoki. Słońce tańczyło na grzbietach drobnych fal, wywołując refleksy, które migotały niczym diamenty. Przyjemna lekka bryza ze wschodu sprawiała, że wiszące na balkonie dzwonki dźwięczały cicho. Nawet tego powszedniego dnia, w środowe popołudnie, na morzu było sporo jachtów, pasażerki w strojach bikini opalały się na ręcznikach, a dumni właściciele łodzi w samych kąpielówkach siedzieli przy sterze z puszkami piwa w ręku. Na większych jednostkach prawdziwe piękności leżały wysmarowane olejkami do opalania na leżakach iście królewskich rozmiarów. Na innych ludzie siedzieli na rufie z kieliszkami martini w rękach, podczas gdy kierowanie jachtem spoczywało w rękach stałej załogi. Tam szykowano jakieś posiłki, gdzie indziej trwało szorowanie pokładów. W powietrzu krzyżowały się stłumione śmiechy i okrzyki, gdy rozpryski większych fal zmoczyły opalających się albo

kołysanie przewróciło puszkę z piwem. C.J. patrzyła na bogatych tubylców cieszących się słońcem i schłodzonymi drinkami, na hałaśliwych turystów spalonych na ciemny brąz, ochoczo korzystających z wszelkich atrakcji, myśląc o tym, że nie obchodzi ich cały świat. I jak zwykle w takich wypadkach poczuła w sercu ukłucie zazdrości, które siłą woli musiała w sobie tłumić. Miała trzydzieści sześć lat i jeśli praca prokuratora cokolwiek ją nauczyła, to przede wszystkim tego, że nie wszystko w rzeczywistości jest takie, jak na to wygląda. Jak mawiał jej ojciec: „Trzeba przejść szmat drogi w czyichś butach, zanim się je kupi, Chloe, gdyż istnieje ryzyko, że nie będą pasowały”.

Powędrowała myślami ku swoim rodzicom, którzy nadal mieszkali w spokojnym miasteczku w północnej Kalifornii i wciąż tak samo martwili się o córkę, zdaną tylko na siebie w kolejnej bezwzględnej metropolii, pełnej obcych ludzi, a wśród nich także szaleńców. Co gorsza, musiała się teraz stykać na co dzień z najgorszymi szumowinami, zabójcami, gwałcicielami i pedofilami, próbując ze wszystkich sił wygrać z nimi w systemie, w którym wszyscy byli z góry przegrani. Bo gdy najbardziej przerażające sprawy w końcu do niej trafiały, nie można już było mówić o zwycięzcach. C.J. nie chciała słuchać ich rad i ostrzeżeń, tym trudniej więc było im znieść ustawiczną troskę o córkę, która jak głupiec o skłonnościach samobójczych wystawiała się na śmiertelne ryzyko. Tylko z jej punktu widzenia ta sytuacja była lepsza, ponieważ od czasu „incydentu” znacznie powiększył się dystans emocjonalny między nimi. Wystarczająco dokuczały jej własne bolesne wspomnienia, nie miała ochoty przejmować się dodatkowo zmartwieniami rodziców. To samo odnosiło się do wszystkich przyjaciół i znajomych z poprzedniego życia, choćby nawet łączyła ich kiedyś bliska zażyłość. Nawet z Marie nie rozmawiała od lat.

Dopiła kawę i otworzyła kartonową teczkę zatytułowaną RAPORTY POLICYJNE. Cienkie białe kartki samokopiujących formularzy były już pożółkłe na rogach, a maszynowe pismo lekko wyblakłe. Pierwszy raport pochodził z czwartku 30 czerwca 1988 roku, został spisany o godzinie 9.02. Natychmiast w jej pamięci odżyły wspomnienia tak świeże, jakby wydarzyło się to wczoraj, i łzy pociekły jej po twarzy. Starła je wierzchem dłoni i zaczęła czytać o tym, co zaszło dwanaście lat temu, w nocy, kiedy została brutalnie zgwałcona.

. 23 .

– Falconetti! Jesteś tam? Dom! – doleciało z głośniczka krótkofalówki.

Dominick spojrział na ekran wyświetlacza: „Agent specjalny James Fulton”.

– Tak, jestem, Jimbo. Słucham cię.

Jeszcze raz rozejrzył się po łazience za torebkami na dowody rzeczowe, po czym wychylił się do pokoju i zapytał:

– Chris, gdzie macie foliówki?

Masterson podał mu garść przezroczystych torebek z czerwonymi paskami zamykającymi oraz formularz ewidencjonowania dowodów rzeczowych. Falconetti wrócił do łazienki.

– Mamy tu coś bardzo ciekawego w szopie na tyłach domu. Gdzie jesteś?

Silny południowy akcent Jimmy’ego Fultona sprawiał, że specjalnie dla niego powinno się zmienić wymowę większości wyrazów występujących w słownikach języka angielskiego. Był starszym, doświadczonym śledczym pracującym w wydziale od dwudziestu sześciu lat, obecnie na stanowisku starszego agenta specjalnego w sekcji antynarkotykowej. Jego wieloletnie doświadczenie w prowadzeniu przeszukiwań i rozwiązywaniu spraw dotyczących brutalnych morderstw czyniło go nieocenionym współpracownikiem w zespole specjalnym.

– Na górze w sypialni Bantlinga. Też znalazłem coś ciekawego. W szufladzie pod zlewem była schowana pod ręcznikami cała fiolka haloperidolu sprzedawanego na recepty pod nazwą haldol.

– Haldol? Czy to nie jest przypadkiem środek uspokajający dla świrusów??

Dominick mógł sobie wyobrazić, jak Fulton w zamyśleniu skubie swoją gęstą szpakowatą brodę, nawet w półmroku szopy rozglądając się dookoła w ciemnych okularach, z którymi nigdy się nie rozstawał.

– Zgadza się, Jimbo. Nasz przyjaciel dostał ten lek na receptę wystawioną przez lekarza z Nowego Jorku.

Wrzucił fiolkę do torebki i przeciągnął palcami po czerwonym plastikowym pasku, zamykając ją szczelnie.

– Nieźle. Ale ja mam chyba coś lepszego.

– Czyżby? Co takiego.

Czarnym pisakiem zaznaczył nad zamknięciem u szczytu torebki swoje inicjały: DF.

– Zacznijmy po kolei. Wygląda na to, że nasi koledzy z FBI wpadli z przyjacielską wizytą. Kręcą się przed domem, ściskają ręce gapiom, całują dzieciaki i oczywiście dobrowolnie udzielają reporterom wywiadów na temat postępów prowadzonego przez nich dochodzenia.

Dominick ze złości aż zgrzytnął zębami.

– Chyba żartujesz? Proszę, Jimbo, powiedz, że to tylko głupi kawał.

– Niestety, nie, przyjacielu. Mimo szczyrych chęci nie mogę tego zrobić.

– Kto przyjechał?

– Niech no się przyjrzę. Nie wiem, czy dasz wiarę, ale temu chłopaczkowi z Miami Beach czuwającemu przy drzwiach wetknęli w garść swoje wizytówki. Na szczęście i tak nie wpuścił ich do środka, przystąpili więc do rozbijania obozowiska na frontowym trawniku. Przypomnij mi, jak będę rozmawiał z komendantem Jordanem, żebym poprosił o przyspieszony awans dla tego chłopaka.

Dominick cofnął się do sypialni i wyjrzał przez boczne okno. Jak można się było spodziewać, na wypielegnowanym frontowym trawniku przy

krzewie kwitnącej bugenwilli stali ci sami dwaj agenci, którzy wizytowali miejsce zatrzymania podejrzanego na autostradzie. Z dumnie zadartymi głowami spoglądali dookoła przez ciemne okulary, rozmawiali przez telefony komórkowe i robili jakieś notatki. Byli jak Mulder i Scully na tropie kolejnej zagadki. Oczyma wyobraźni znów ujrzał napis przesuwający się na dole telewizyjnych ekranów w trakcie nieustającej relacji MSNBC i CNN: Agenci FBI przejmują śledztwo od oficerów stanowego wydziału dochodzeniowego. Albo jeszcze lepiej: Służby federalne znów robią w konia miejscowych detektywów. Można było odnieść wrażenie, że już zdążyli zarezerwować dla siebie najlepsze miejsca przy krawężniku na ulicy, blokując wyjazd furgonetkom ekip technicznych.

– Sprawę mamy więc ułatwioną, Dom. Właśnie patrzę na te wizytówki i odczytuję z nich: agent Carl Stevens oraz agent Floyd Carmedy. Znasz ich?

– Tak, znam, Jimbo. Wczoraj wieczorem w trakcie aresztowania pojawili się na autostradzie. Zaraz zejść i pogadam z nimi, lecz jeśli mnie pamięć nie myli, nie widziałem federalnych na naszej liście uprawnionych do udziału w rewizji. Mogę sprawdzić jeszcze raz, ale jeśli nie ma ich na liście gości, na pewno tu nie wejdą. Chyba pogadamy z komendantem Jordanem, żeby mieć pewność, że jego ludzie będą trzymać tę hołotę na dystans.

– W porządku, Dom. Ty tu dowodzisz. I muszę przyznać, że bardzo mnie to cieszy, bo właśnie się dowiedziałem, że jest tu jeszcze jeden człowiek z biura, któremu wolałbym nie tłumaczyć, że nie jest mile widziany. Patrzę na trzecią wizytówkę i co widzę? Kierownik oddziału, agent specjalny Mark Gracker. Jak wyjrzysz przez okno, od razu go zauważysz przed domem. Właśnie zajmuje honorowe miejsce do wygłoszenia mowy.

Jasna cholera! Tego tylko brakowało! Dominick przeciągnął ręką po włosach i na chwilę zamknął oczy.

– W porządku, Jimbo, zajmę się federalnymi. Już schodzę. Muszę tylko wcześniej uprzedzić Blacka, że dziś po południu może nadejść niezapowiedziane tornado.

Black był ich szefem, kierownikiem Regionalnego Centrum Operacyjnego w Wydziale do Zwalczania Przeszeczności. Falconetti już nie mógł się doczekać, kiedy zyska okazję, żeby mu powiedzieć o nadciągającym konflikcie z FBI. Black miał bowiem tę zaletę, że tak samo jak on nie znoził federalnych, tylko otwarcie się do tego nie przyznawał z racji zajmowanego stanowiska. Publicznie wciąż zapewniał o ścisłej współpracy, ale gdy tylko dziennikarze wychodzili, z trzaskiem zamykał za nimi drzwi i półgłosem nakazywał Dominickowi zrobić wszystko, by federalnych odprawić z takim samym kwitkiem, z jakim oni sami bywali wielokrotnie odprawiani w różnych sprawach. Z pewnością Black już by awansował, gdyby Gracker nie wykraadał mu tak wielu spraw dotyczących przeszeczności zorganizowanej.

– Ale zanim się tym zajmiesz, Dom, mam jeszcze dla ciebie dobre wieści. Czyżbyś zapomniał, jak mówiłem, że znalazłem nawet coś lepszego niż ty?

– Naprawdę? Mam nadzieję, że to faktycznie dobre wieści, bo FBI definitywnie popsuło mi nastrój. Dalej, Jimbo. Popraw mi humor.

– Na pewno ci poprawię. Wygląda na to, że znaleźliśmy w szopie ślady krwi. Niewykluczone też, że mamy narzędzie zbrodni. I co ty na to?

. 24 .

Dominick kazał Chrisowi i Bowmanowi skończyć zabawę z kasetami i zająć się łazienką, zostawił Alvarezowi pieczę nad szafą z garniturami od Armaniego i pobiegł schodami na dół. Młody policjant z Miami Beach tkwił niewzruszenie na posterunku przed drzwiami. Wyglądał na wkurzonego.

Tak samo niewzruszenie naprzeciwko niego stali z notatnikami w rękach Stevens i Carmedy w czarnych garniturach, czarnych krawatach i równie czarnych okularach przeciwsłonecznych. Ten pierwszy ponadto przyciskał telefon komórkowy do ucha. Dominick nabrał podejrzeń, że robi to wyłącznie dla dodania sobie powagi w oczach przedstawicieli mediów stłoczonych na chodniku. Kiedyś współpracował ze Stevensem w specjalnej grupie dochodzeniowej powołanej w sprawie groźnego gangu i od tamtej pory nazywał go w myślach często używanym przez Manny'ego hiszpańskim określeniem *un maricon*, czyli po prostu pedziem. Jeśli rzeczywiście z kimś rozmawiał, to najprędzej z własną matką, która koniecznie chciała wiedzieć, co przygotować mu dzisiaj na obiad.

A na chodniku, przy całej kawalkadzie wielkich służbowych czarnych fordów taurusów tarasujących wylot podjazdu, stał szef rejonowego biura FBI, Mark Gracker. A obok niego, oczywiście, wysłannik terenowy Kanału Dziesiątego, Lyle McGregor. Gracker miał poważną, zasępioną minę, a Lyle wyglądał na podnieconego.

Falconetti doszedł do wniosku, że byłoby niegrzecznie przerywać mu wypowiedź dla telewizji i przed kamerami zażądać nakazu rewizji od sędziego federalnego, jeśli ma ochotę dołączyć do reszty dzieci bawiących się w piaskownicy. Dlatego czekając, aż Stevens skończy rozmawiać z

mama, podszedł najpierw do stojącego przy nim Muldera. Niczym lew wybierał na początek najłatwiejszą zdobycz.

– Cześć, Floyd. Ty jesteś Floyd Carmedy, prawda? Z FBI? Agent specjalny Dominick Falconetti z Wydziału do Zwalczania Przestępczości. – Wyciągając rękę na powitanie, dodał w myślach: Powiedzmy sobie jasno, kto tu nadzoruje czynności na miejscu zbrodni. Dlatego nie jesteś dla mnie żadnym agentem FBI, a tylko Carmedym. A raczej po prostu Floydem.

Carmedy uściśnął mu dłoń.

– Miło mi pana poznać, agencie Falconetti. To pan nadzoruje to przeszukanie?

– Zgadza się, Floyd, nie kto inny. Czym mogę wam służyć, chłopcy?

Kiedy zgasł jupiter przy kamerze, Gracker obejrzał się i zamrugał szybko, wciąż jeszcze oślepiiony. Jego uwagę przyciągnął technik dochodzeniówki, który właśnie wiózł na wózku do furgonetki wypchany czarny plastikowy worek z rzeczami zabieranymi do laboratorium. Chwilę później zauważył Dominicka przed domem. Zsunął ciemne okulary na czubek głowy i ruszył energicznym krokiem w jego kierunku, śmiesznie wymachując krótkimi nogami, gdyż obcasy grzęzły w miękkiej ziemi na trawniku.

Floyd zaczął coś mówić, ale gdy kątem oka dostrzegł Grackera, tylko kłapnął jadaczką i pospiesznie cofnął się dwa kroki, udostępniając odpowiednie miejsce do rozmowy swojemu szefowi.

Gracker, głośno posapując i wypinając pierś, choć czarna marynarka i tak opinała się na wydatnym brzuchu, a krawat zaklinowany między nią a koszulą niebezpiecznie naciągał się pod szyją, stanął między Carmedym i Dominikiem.

– Agencie Falconetti, próbowałem się z wami skontaktować przez cały dzień. Musimy mieć dostęp do miejsca zbrodni.

Mówił gardłowym basem, żeby dodać sobie powagi. Krótko i rzeczowo. Był dobre dziesięć centymetrów niższy od Dominicka, który zapatrzył się na czubek jego głowy, gdzie włosy wyraźnie rzedyły, a powstające szczurze gniazdko odsłaniało błyszczącą od potu gołą skórę.

Dominick zerknął w kierunku Lyle'a McGregora, myśląc: Czyżby Gracker próbował przez cały dzień skontaktować się z nim na użytek mediów, w nadziei, że zdąży się pokazać w wieczornych wiadomościach?

– Cześć, Mark. Dawno się nie widzieliśmy.

Kredowa twarz Grackera wyraźnie poczerwieniała, a jego pulchne wargi wydęły się jak u obrażonego dziecka. Falconetti doskonale wiedział, że szef biura federalnego nie znosi, gdy ktoś zwraca się do niego po imieniu. Podejrzewał, że nawet jego żona w sypialni ma obowiązek używać pełnego tytułu: agencie specjalny, dyrektorze biura regionalnego.

– To fakt, trochę zleciało, Dominicku. Chyba słyszałeś, że teraz kieruję regionalnym biurem FBI w Miami?

– Tak, ktoś mi wspominał. Gratuluję. Na pewno masz z tego powodu mnóstwo dodatkowej roboty.

– Owszem, nie mam czasu, żeby się nudzić. Tak więc biuro musi mieć dostęp do miejsca zbrodni, a ten pryszczaty gnojek z Miami Beach nie chce wpuścić moich ludzi do środka. – Gracker nerwowo przestąpił z nogi na nogę, ewidentnie czując się nieswojo w rozmowie z wyższym od siebie oficerem niższej rangi.

– No tak, to rzeczywiście kłopot. Musicie jednak wiedzieć, że działamy na podstawie nakazu wydanego przez władze stanowe, a według niego tylko przedstawiciele określonych agencji mogą brać udział w przeszukaniu. Obawiam się, że Federalne Biuro Śledcze nie zostało uwzględnione na tej liście. Zresztą nie będziemy potrzebowali waszej pomocy w tej sprawie.

Na wysuniętej jeszcze bardziej górnej wardze Grackera zabłyśły drobniutkie kropelki potu.

– Chyba wiesz, że zabójstwo Sibana podlega naszej jurysdykcji. Zwłoki znaleziono na gruntach należących do władz federalnych. Dlatego biuro pokieruje dochodzeniem.

– Wspaniale. Życzę powodzenia. Jednakże Bantling został zaaresztowany pod zarzutem zamordowania Prado – rzekł, kładąc taki nacisk na nazwisko ofiary, jakby tłumaczył pierwszoklasiście poprawną wymowę słowa. – I prowadzimy przeszukanie na podstawie nakazu rewizji wydanego właśnie w związku z tym zabójstwem. Jeśli znajdziemy coś, co pozwoli na połączenie podejrzanego z zabójstwem Sibana, osobiście was o tym powiadomię.

Gracker zrobił się czerwony jak burak. Gdzie podział się Lyle i jego kamerzysta w takiej chwili, kiedy byli najbardziej potrzebni?

– Czyżbyś chciał zobaczyć odrębny nakaz wystawiony przez sędziego federalnego?

– Obawiam się, że to konieczne. Dopiero kiedy go zobaczę, twoi agenci będą mogli wkroczyć do domu, gdy skończymy przeszukanie.

– W takim razie będę musiał skontaktować się w tej sprawie z dyrektorem Blackiem.

– Dyrektor już wie o zaistniałej sytuacji i kazał mi przeprosić w jego imieniu za wszelkie niedogodności, jakie może to spowodować w pracach biura. Zatem wybacz, ale muszę wracać do pracy.

Dominick odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem przez trawnik, nie chcąc się nawet oglądać na rozdrażnionego, kipiącego wściekłością Marka Grackera. Dostrzegł tylko kątem oka, że Scully i Mulder zerkają niepewnie na boki, desperacko próbując dalej trzymać fason na użytek kamer wymierzonych z chodnika w ich kierunku. Na ganku zatrzymał się na chwilę

przy młodym policjancie z Miami Beach i szepnął:

– Dobra robota.

– Skończony palant – bąknął chłopak.

Dominick nagle zmienił zdanie, odwrócił się i zawołał:

– Na razie, Mark. Jeszcze raz gratuluję awansu. Uchylił drzwi i wszedł do domu.

Przemierzył hol na parterze i wyszedł drzwiami balkonowymi na patio. Za basenem kąpielowym, w cieniu wyniosłych palm w najdalszym kącie tylnego podwórka, stała dziwna szopa obłożona arkuszami białej aluminiowej blachy, wyposażona w zakratowane okno. Z wyglądu bardziej przypominała skromny wolno stojący domek niż szopę, nawet spadzisty dach był zakończony ozdobnymi gontami, a w oknie wisiały czarne, szczelnie zaciągnięte zasłonki. Jimmy Fulton czekał na niego przy drzwiach.

– Jak Gracker przyjął nowiny?

– Nie najlepiej. Powiedziałbym, że nawet bardzo źle. Zostawiłem go przed domem pogrążonego w rozpacz.

W wyobraźni ujrzał dyrektora FBI z wściekłością obrzucającego swoich podwładnych obelgami w czasie drogi powrotnej luksusowym klimatyzowanym autem i uśmiechnął się szeroko. W ciągu tych trzech minut, jakie zajęło Dominickowi przejście przez dom na tylne podwórko, Gracker na pewno zdążył już zadzwonić do Blacka, domagając się jego głowy na srebrnej tacy. Oczywiście, wraz ze stanowczym żądaniem zaliczenia jego biura do agencji uprawnionych do udziału w przeszukaniu, bez czego nie mógł sobie nawet obejrzeć miejsca zbrodni. I zapewne spotkał się z odmową, co musiało być przyczyną jego wściekłości.

– Na pewno jeszcze da nam popalić, Jimbo. – Dominick westchnął głośno.

– Ale pamiętasz, co powiedział Clemenza do Ala Pacino w *Ojcu chrzestnym* „Takie rzeczy muszą się zdarzać raz na parę lat. Trzeba usuwać złą krew”. Na szczęście mamy Blacka za sobą. Powiedział mi: „Tylko nie nazywaj Grackera kutasem przy świadkach”.

– Niewątpliwie chce dla siebie zarezerwować ten zaszczyt.

– Pewnie kiedyś nie wytrzyma i to zrobi. – Dominick przeciągnął palcami po włosach. – Co tu macie ciekawego?

– Fotograf uwiecznia właśnie wnętrze szopy, więc musimy chwilę poczekać. Opowiem ci, co znaleźliśmy. Wygląda na to, że Bantling lubował się w zarzynaniu i oprawianiu zwierząt. Pod sufitem wiszą wypchane sowy i inne ptaki, z wysuniętymi szponami i tak dalej. Kiedy tam wszedłem po raz pierwszy, wydawało mi się przez chwilę, że są żywe. Dopiero gdy zdjąłem okulary i przyjrzałem się lepiej, pojąłem, że to wypchane zwierzęta. I do swojej ulubionej pracy ma tam blaszany stół na kółkach, taki jak w laboratorium szpitalnym. Stół jest wyszorowany do czysta, nie znaleźliśmy na nim żadnych odcisków palców. Dlatego z początku mieliśmy obawy, że w ogóle nie znajdziemy tam nic ciekawego.

Przed szopę wyszedł policyjny fotograf.

– Możecie już wejść, agencie Fulton – rzekł. – Naświetliłem cały film.

– Doskonale. Dzięki. – Jimbo skinął głową, odwrócił się do czekającego nieopodal technika z zakładu medycyny sądowej i rzekł: – Bobby, zaczekaj jeszcze chwilę ze zbieraniem tych próbek krwi. Chciałem najpierw pokazać agentowi Falconettiemu nasze znalezisko.

Weszli do środka. Powitały ich dwie wypchane sowy z wytrzeszczonymi paciorkowatymi ślepkami, zwisające spod belek sufitowych na ledwie widocznej żyłce. Między nimi wisiała lampa z jedną żarówką i stożkowatym blaszonym kloszem. Szopa była stosunkowo duża, miała jakieś pięć na trzy metry. Ściany wyłożono panelami, posadzka była z lanego betonu. Jak na szopę, panowała tu wyjątkowa czystość. Na podłodze nie było nawet odrobiny kurzu. Szpitalny blaszany stół na kółkach stał z boku, pod dłuższą ścianą. Powyżej przez całą długość pomieszczenia ciągnął się szereg białych

laminowanych szafek kuchennych. W kącie za nim stała wypchana piękna biała czapla z długą wygiętą szyją, żółtawą na szczycie, nieco zadartym łebkiem, czarnymi szklistymi ślepkami skierowanymi w stronę stołu i lekko uniesionymi skrzydłami, jakby zrywała się do lotu.

– Spójrz tutaj.

Jimbo klęknął przy stole. Na posadzce pod ścianą był zaznaczony kredą duży kwadrat. Pośrodku ciemniały trzy drobniutkie, czerwono-brunatne plamki zakrzepłej krwi. Kiedy Fulton skierował na nie promień latarki, delikatnie zabłysły w jaskrawym świetle.

– To jeszcze mokre ślady?

– Nie, ale na pewno świeże. Biorąc pod uwagę ich ułożenie i umiejscowienie, Bobby uznał, że to prawdopodobnie krew skapująca z ciała leżącego na stole.

Skierował światło latarki na ścianę pod szafkami, jakieś pół metra nad podłogą. Tu także znajdowały się drobniutkie brązowawe ślady krwi.

– Te zdają się to potwierdzać, są to chyba rozpryski kropel kapiących na podłogę. W każdym razie wstępne oględziny potwierdziły, że to ślady krwi.

– Tylko czy na pewno ludzkiej, Jimbo? – mruknął Dominick, nie mogąc zapomnieć o szklistych ślepkach majestatycznej wypchanej czapli.

– Będziemy niedługo wiedzieli. W laboratorium sprawdzą to w pierwszej kolejności. Teraz popatrz tutaj.

Wciąż klęcząc na betonowej posadzce, wskazał następny obszar zakreślony kredą przy końcu stołu, znacznie większy, mający z metr średnicy. Dominick powiódł wzrokiem za strumieniem światła z latarki i zauważył szerokie, rozmazane, brązowawe smugi.

– Wygląda na to, że ktoś próbował zmyć krew z podłogi.

– Zgadza się. Jak tylko skończymy zbierać próbki, przyjrzą im się

dokładniej chłopcy z luminolem. Może powiedzą nam, jak duża pierwotnie była ta plama krwi.

– Nie zapomnij, żeby szczególnie dokładnie zbadać kółka tego stołu. – Pochylił się niżej i przy świetle latarki popatrzył uważnie na najbliższe czarne kółko z lanej gumy. – Niewykluczone, że zostało na nich coś z podłogi.

– Tak, zaraz zdejmujemy je w całości.

– A co z narzędziem zbrodni, o którym wspominałeś?

– Byłbym zapomniał. Spójrz tutaj. – Fulton otworzył środkową szafkę nad stołem. Na dolnej półce stała duża prostokątna blaszana taca. Były na niej poukładane skalpele i nożyczki różnej wielkości i kształtu. – Ten idiota naprawdę mógłby nam zaoszczędzić czasu, przyznać się do winy i złożyć pełne zeznania. Jego przesłuchanie przed sądem może być bardzo zabawne.

W krótkofalówce Dominicka głośno zatrzeszczało.

– „Chłopcze, ach, mój chłopcze, głos kobzy wzywa z dala...” – zaintonował Manny, nieudolnie naśladowując irlandzki akcent z latynoskim brzmieniem.

Dominick dla zabawy nie odpowiadał przez jakiś czas, spoglądając z uśmiechem na kwaśne miny Jimbo i Bobby’ego. Alvarez musiał się jednak zorientować, że ma liczniejszą publiczność, gdyż szybko przerwał i warknął ze złością:

– Hej, Dom, jesteś tam?

– Tak, Miśku. Jestem z Jimmym Fultonem w szopie na tyłach. Co się stało? Spakowałeś już wszystkie ciuchy z szafy?

– Owszem. I pozwól, że powiem to oficjalnie: W moim następnym cholernym życiu chcę być projektantem mebli.

– Handlarzem projektanta mebli – doleciał stłumiony okrzyk Eddiego

Bowmana. – Jak w końcu dorosisz, to będziesz miał okazję zostać handlarzem projektanta mebli.

– Odwal się, Bowman. Dalej oglądaj swoją mamusię w telewizji. Musicie wiedzieć, że ten świrus ma najładniejsze ciuchy, jakie dotąd widziałem. Myślicie, że jak dostanie karę śmierci, będę mógł je zatrzymać?

– Pod warunkiem, że zrzucisz ze czterdzieści kilo i skurczysz się o jakieś piętnaście centymetrów. Będziesz musiał zapomnieć o swoich pastelitos, Miśku.

Dominick kucnął i zaczął się przyglądać, jak Bobby ostrożnie zeskrobuje z betonu zaschniętą brunatną substancję i umieszcza ją w wysokiej probówce.

– Ale jego krawaty mógłbym nosić już teraz. Szkoda byłoby zmarnować takie śliczne ciuchy. Jak ci poszło z *Blues Brothers* przed domem? Mogę się założyć, że ten pieprzony *maricón*, Stevens, wpadł we wściekłość.

– Nie było tak źle, Miśku. Tyle na razie musi ci wystarczyć. Całkiem nieźle.

– W każdym razie elegancko popakowałem wszystko, co było w szafie, która, nawiasem mówiąc, jest wielkości mojej sypialni. Ten cholerny czubek miał wszystko posegregowane i opisane. Był aż nazbyt porządny, jak na mój gust. Nie uwierzyłbyś, że w ogóle tak można. Na przykład na wieszaku z czarnym frakiem była nalepka: Fraki. Rozumiesz? W liczbie mnogiej: Fraki! Na kartonowym pudle było z kolei napisane: Zimowe swetry. Na innym: Buty zimowe. Może to wcale nie jego szukamy. Takimi pedantami z reguły bywają tylko geje. Co prawda, może być sfrustrowanym pedziem nienawidzącym wszystkich kobiet, bo przypominają mu matkę. Mielibyśmy motyw. To by zresztą wyjaśniało też jego problemy w kontaktach z ludźmi. Ale najlepsze było ostatnie pudło na dnie szafy. Trzymał w nim kostiumy na Halloween, oczywiście wyprane i starannie poskładane. Najwyraźniej lubił

się przebierać, bo ma tego gówna od cholery. Gumowe maski kosmitów, Batmana, Frankensteina, a do tego kowbojskie kapelusze i gejowskie skórzane spodnie ze ścinkami po bokach nogawek... No, wiesz, takimi, jakie się czasem doszywa na młodzieżowych dzinsach.

– Chodzi ci o frędzle?

– O, właśnie. No więc wyobraź sobie tego palanta przebranego w coś takiego na przyjęciu urodzinowym swojego dzieciaka. Bo miał w pudle także maskę klauna.

Dominick zapatrzył się na ślady krwi na posadzce pod stołem. Po chwili jego wzrok padł na żółtą łapę wypchanej czapli. Luminol rozpylony przez techników z dochodzeniówki powinien ukazać wszystkie miejsca zaplamione krwią. W swojej karierze widywał już całe pomieszczenia, włącznie z sufitami, upiornie fosforyzujące żółto w ciemnościach. Ciekawe, jak będzie wyglądało wnętrze tej niezwyklej szopy, kiedy zgaśnie światło i oświetli je promiennik ultrafioletu. Jaki koszmarny obraz ukaże się wtedy ich oczom?

– Tak czy inaczej, zabieraj wszystko do laboratorium, Miśku. Jeszcze nie wiadomo, które rzeczy w tej sprawie mogą się okazać istotne, a które nie.

Mimo że w dokumentach nie było zbyt wiele do czytania, strawiła dwie godziny nad policyjnymi raportami, sprawozdaniami szpitalnymi i wynikami badań laboratoryjnych. Mniej więcej w połowie musiała sobie zrobić przerwę i przejść się po mieszkaniu, zaparzyć świeżą kawę, poskładać wyprane rzeczy, poodkurzać meble – jednym słowem zrobić wszystko, żeby uwolnić się od ciężaru, jakim spadły na jej barki odżyłe wspomnienia. Nie mogła się nadziwić, że już po paru godzinach z trudem przypominała sobie, co jadła na lunch, doskonale jednak pamiętała każdą chwilę, każdy dźwięk czy zapach z tamtej nocy sprzed tylu lat. Kiedy zaś dotarła do zeznań byłego sąsiada, Marvina Wigforda, pobiegła do łazienki i po raz drugi tego dnia zwymiotowała. Powiedział bowiem, że Chloe swoimi strojami „prowokowała wszystkich mężczyzn z okolicy”, często „paradowała po podwórku” w czymś, czego „porządna dziewczyna studiująca na katolickim uniwersytecie nigdy by na siebie nie włożyła”. Na koniec orzekł, iż „nie ma się czemu dziwić, że coś takiego spotkało właśnie ją, skoro celowo swoim wyglądem i zachowaniem podniecała mężczyzn”. Natychmiast dopadły ją dręczące wyrzuty sumienia, z którymi walczyła tyle lat. Zdawała sobie sprawę, że ma przed sobą chaotyczne uwagi zdziwaczałego samotnika, lecz mimo to poczuła się zawstydzona i poniżona. Gdzieś w głębi duszy zawsze była przeświadczona, że ponosi odpowiedzialność za to, co się stało, jakby celowo ściągnęła to na siebie. Przez lata zaprzętała sobie głowę setkami rzeczy, które nie tylko mogła, ale wręcz powinna zrobić inaczej, a wówczas jej życie potoczyłoby się może innymi torami. I bardzo szybko się przekonała, że to właśnie jest najtrudniejszy element w terapii – uwolnienie się od poczucia

winy.

Po przymusowej wyprawie do łazienki wróciła na balkon i przez jakiś czas znów przyglądała się jachtom wracającym z głębi zatoki do przystani, popijając chyba już dziesiątą kawę tego dnia. Dochodziła godzina szczytu i w leżącym po drugiej stronie odnogi Pompano Beach ulice zapełniły się samochodami. W trakcie kilka razy zapiszczał jej przywoływacz, co przyjmowała z radością i skwapliwie wykorzystywała każdą okazję oderwania się od wspomnień i powrotu do rzeczywistości, natychmiast oddzwaniając do poszczególnych osób. Krótkie rozmowy telefoniczne pozwalały jej przynajmniej chwilowo zapomnieć o policyjnych raportach i zeznaniach świadków, jak też o ciągłym strachu, panice oraz nieopuszczającym jej ciągle poczuciu wstydu. Wyjątkowo nie złościła się nawet na Marisol, która wbrew zaleceniom podawała jej domowy numer różnym ludziom. W końcu krótko przed zachodem słońca wyprowadziła Lucy na spacer.

Dopiero po powrocie mogła poświęcić drugą godzinę, żeby dokończyć przeglądanie papierów, w tym także własnego zeznania, w którym z koszmarną drobiazgowością opisała każdą chwilę, jaką świadomie zarejestrowała w nocy 30 czerwca 1988 roku. Zaczęła od sprzeczki z Michaeliem, która przeniosła się z samochodu przed drzwi budynku, poprzez krótki sen zakończony smrodem gumowej rękawiczki zaciskającej jej usta, uczucie nieznośnego ciężaru napastnika na sobie i pierwsze ukłucie bólu, gdy jego członek wdarł się w nią brutalnie mimo jej bezskutecznych prób uwolnienia się z więzów. Szczegółowy opis kończył się litościwie, gdy w ostatnim przeblysku świadomości poczuła ostrze noża rozcinające delikatną tkankę jej piersi i zobaczyła szybko powiększające się plamy krwi na pościeli. Nawet teraz, siedząc na balkonie swojego mieszkania, mimowolnie

uniosła rękę do piersi, drugą dłoń równocześnie zaciskając na gardle, żeby odegnąć przerażenie ściskające jej krtań i tamujące oddech.

Wtedy zadzwonił telefon. Podbiegła i spojrzała na wyświetlacz, na którym widniał numer biura prokuratora okręgowego z Queens. Szybko otarła łzy z twarzy, podniosła słuchawkę i odezwała się najbardziej spokojnym tonem, na jaki w tym momencie było ją stać:

– Słucham.

– Czy rozmawiam z panną... – rozmówca zająknął się, najwyraźniej próbując odczytać z kartki niewyraźnie zapisane nazwisko – ...Toosoo?

– Townsend. Tak, to ja. O co chodzi?

– Proszę wybaczyć. Moja sekretarka nagryzmoła nazwisko, które wygląda jak Toosoo. Bardzo przepraszam. Mówi Bob Schurr, zastępca prokuratora okręgowego z Queens. Próbowaliśmy się pani ze mną wcześniej skontaktować. W czym mogę pomóc?

Gorączkowo usiłowała zebrać myśli.

– Ach, tak, panie Schurr. Dziękuję, że pan zadzwonił. Otóż... chciałabym się dowiedzieć, jak wygląda procedura ekstradycji przestępcy do stanu Nowy Jork.

Nawet ją samą zaskoczyło rzeczowe brzmienie własnego głosu. Górę wzięła prawnicza rutyna, jakby okropności opisane w raportach przydarzyły się komuś innemu. Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

– Jest pani prawnikiem?

– Tak. Przepraszam. Pracuję w biurze prokuratora stanowego w Miami.

– Aha. W porządku. O kogo chodzi i za co jest poszukiwany w naszym stanie?

– Obawiam się, że nie jest poszukiwany. Na razie mamy tylko podejrzenia, że zatrzymany może być sprawcą niewyjaśnionego napadu, do

którego doszło na waszym terenie.

– Niewyjaśnionego? Chce pani powiedzieć, że nie znalazł się w gronie podejrzanych i nie był u nas ścigany?

– Zdaje się, że nie. Dopiero w trakcie jego przesłuchania tutaj śledczy nabrali podejrzeń, że może być zamieszany w tamtą sprawę.

Czuła się tak, jakby wkraczała na ruchome piaski.

– Rozmawiała pani już z nowojorskimi detektywami, którzy prowadzili tę sprawę? Zgodzili się wystąpić o nakaz?

– Jeszcze nie. Dowiedziałam się tylko, że dochodzenie trafiło do archiwum spraw zawieszonych. Cały czas próbujemy się skontaktować z oficerami nadzorującymi te sprawy, by uzyskać od nich nakaz i wszystko, co jest potrzebne do aresztowania człowieka zatrzymanego na Florydzie.

– W pierwszym rzędzie byłby konieczny akt oskarżenia. Dopiero na tej podstawie można by wystawić nakaz aresztowania, który umożliwiłby wam zatrzymanie podejrzanego w areszcie na czas trwania procedury ekstradycyjnej. Ale do tego dość daleka droga. O jak starą sprawę chodzi?

C.J. przełknęła ślinę, czując narastający dziwny niepokój, kierujący jej myśli ku sprawom formalnym, o których jako prokurator nigdy nie powinna zapominać.

– Zdaje się, że sprzed ponad dziesięciu lat, ale musiałabym to sprawdzić w wydziale dochodzeniowym, bo nie mam przed sobą dokumentów.

Bob Schurr cicho gwizdnął przez zęby.

– Sprzed dziesięciu lat? Rety... W takim razie proszę mi jeszcze powiedzieć, że chodzi o zabójstwo, a natychmiast otrzyma pani ode mnie wszelką pomoc.

– Nie, tu nie chodzi o zabójstwo. – Ręce jej się pociły i ciarki chodziły po plecach na myśl, że będzie musiała odpowiedzieć na następne pytanie. –

Dlaczego dodał pan „rety”?

– O co dokładnie podejrzewacie tego faceta? Zakładając, rzecz jasna, że to facet.

Odchrząknęła i siłą się na spokojny ton, wyjaśniła:

– To sprawa napaści na tle seksualnym, brutalnego gwałtu i usiłowania zabójstwa.

– No to już pani wie, dlaczego dodałem „rety”. Nie macie szczęścia. Ekstradycja winnych napaści na terenie Nowego Jorku jest możliwa tylko przez pięć lat. Dotyczy to zresztą wszystkich przestępstw z wyjątkiem morderstw, które nie ulegają przedawnieniu. Jeżeli nie było aktu oskarżenia w ciągu pięciu lat od czasu popełnienia przestępstwa, nie możecie nawet tknąć tego gościa ze względu na przedawnienie. – Zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Przykro mi. Bardzo często się tak zdarza, zwłaszcza w sprawach o napaść na tle seksualnym. Nawet jeśli uda się zidentyfikować sprawcę na podstawie badań DNA, nie można go oskarżyć z powodu przedawnienia. Co więcej, analizy DNA dopiero od niedawna stosuje się na szerszą skalę i nawet jeśli są wykonywane, a brak podejrzanego, jest bardzo mało czasu na jego wykrycie. Zresztą nie jestem pewien, czy w tym przypadku takie badania były robione. Pytała pani o to śledczego zajmującego się sprawami zawieszonymi?

– Nie, ale zapytam. Mam nadzieję, że były robione – dodała ciszej, choć wiedziała doskonale, że w jej mieszkaniu nie znaleziono niczego, co mogłoby dostarczyć próbki do analizy DNA napastnika. Zdając sobie sprawę, że głos zaczyna ją zawodzić, rzuciła szybko: – Bardzo dziękuję za pomoc. Skontaktuję się z panem, gdybyśmy dowiedzieli się czegoś więcej.

– Czy może pani jeszcze powtórzyć swoje nazwisko?

Błyskawicznie odłożyła słuchawkę. Nie mogła w to uwierzyć. Prawa

ekstradycyjne miały ścisłe ograniczenia czasowe. Tępi ustawodawcy arbitralnie ustalili okres, w jakim można człowieka postawić przed sądem. Czy na pewno słusznie wyznaczono granicę, za którą nikt nie musiał się już obawiać, że odpowie za swoje przeszłe czyny? Czy było to w porządku wobec podejrzanego? Bo przecież pal diabli ofiary! Trzeba się troszczyć wyłącznie o prawa przestępcy do godziwej obrony przed sądem!

Dopiero po paru minutach zaczęły do niej docierać implikacje tego faktu. Bantlinga nie można już było oskarżyć o to, co jej zrobił. Nigdy. W żadnym wypadku. Mógł teraz choćby wdrapać się na szczyt Empire State Building i wykrzyknąć całemu światu prosto w twarz, czego dokonał, barwnie i z przerażającymi szczegółami opisać to, za co nie można go już było osądzić, a potem spokojnie zjechać windą na dół i pójść wolno między ludzi, bo nikt nie był w stanie nic zrobić w tej sprawie. Powinna była pamiętać o istnieniu takich ograniczeń, chociaż na Florydzie gwałty nie ulegały przedawnieniu i nawet nie przyszło jej do głowy, że gdzie indziej może być inaczej. Dlatego skupiła się wyłącznie na znalezieniu sposobu oskarżenia Bantlinga i wsadzenia go za kratki w Nowym Jorku, starając się zarazem odegnąć prześladujące ją demony przeszłości, żeby znów nie popaść w depresję. Dlatego nawet nie zadała sobie pytania, czy w ogóle możliwe jest aresztowanie. Jak każda ofiara przestępcy patrzyła na sprawę jednostronnie i z góry zakładała coś, co od strony formalnej było niemożliwe.

Odnosiła wrażenie, że cały jej świat znów się rozsypuje i będzie musiała na nowo podjąć desperacką próbę poskładania go w całość. Przede wszystkim musiała pozbierać myśli i odpędzić strach ściskający ją za serce.

Zaczęła nerwowo krążyć po mieszkaniu. Słońce szybko chyliło się ku zachodowi, robiło się coraz chłodniej. Nalała do filiżanki resztkę zimnej już kawy, ale po namyśle odstawiła ją i wyjęła z lodówki butelkę schłodzonego

chardonnay.

Napełniła kieliszek, upiła spory łyk i wróciła do telefonu. Doktor Chambers odebrał dopiero po czwartym sygnale.

– Słucham.

Samo brzmienie jego głosu podziało na nią kojąco.

– Dobrze podejrzewałam, że jeszcze pana zastanę mimo późnej pory. Co słychać, doktorze? Mówi C.J. Townsend.

Ogryzając paznokcieć kciuka, z lampką wina w drugiej ręce ruszyła boso przez pokój. Dopiero teraz zwróciła uwagę, że przez tyle czasu nie zdjęła nawet garsonki.

– Witaj, C.J. – odparł, wyraźnie zdumiony. – Musiałem skończyć jeszcze zaległą robotę papierkową. Ale zbierałem się już do wyjścia. W czym mogę ci pomóc?

Popatrzyła na przepływający na wprost jej balkonu duży jacht. Ludzie na pokładzie szykowali kolację, dolatywały stłumione dźwięki muzyki i czyjś donośny śmiech.

– Coś się wydarzyło i prawdopodobnie będę musiała się z panem spotkać.

Gregory Chambers szybko wyprostował się w swoim obitym skórą fotelu, słysząc napięcie i nutę desperacji w głosie swojej pacjentki. Zaniepokoił się o nią.

– Naturalnie, C.J. Żaden kłopot. Może być jutro?

– Jutro... Tak, świetnie. – Doleciał ją szelest przerzucanych kartek, chyba w terminarzu.

– Możesz przyjść na dziesiątą? Postaram się poprzesuwać inne spotkania.

W słuchawce rozległo się głośne westchnienie ulgi.

– Bardzo panu dziękuję. Tak, oczywiście. Jutro mi pasuje.

Doktor odchylił się z powrotem na oparcie fotela i zmarszczył brwi. Był coraz bardziej zaniepokojony, wyczuwając w jej głosie rozpacz.

– A może wolałabyś porozmawiać już teraz, C.J.? Mam trochę czasu.

– Nie, muszę najpierw pozbierać myśli, rozważyć kilka spraw. Ale jutro na pewno przyjadę. Jeszcze raz bardzo dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas.

– Możesz dzwonić o każdej porze. W takim razie do zobaczenia jutro. – Zawahał się na moment. – Pamiętaj, że możesz też zadzwonić przed wyznaczonym spotkaniem.

Nie odpowiedziała. Przerwała połączenie i rozejrzała się po pustym saloniku. Jacht odpłynął już przed balkonem i na zewnątrz panowała cisza, jeśli nie liczyć cichego szumu wiatru w koronach palm oraz plusku fal rozbijających się o nabrzeże. Tibby II otarł się o jej nogę i głośno zamiauczał. Dzień dobiegł końca, a więc dla niego nadeszła pora następnego posiłku.

Kiedy zadzwonił telefon, który wciąż trzymała w ręku, aż podskoczyła i

upuściła słuchawkę na podłogę. Nadal była roztrzęsiona.

Po drugim dzwonku spojrzała na wyświetlacz: Falconetti. Z ociąganiem podniosła słuchawkę i włączyła aparat.

– Halo.

– Cześć. To ja. Mam dla ciebie wydruk rejestracji samochodów.

Całkiem o tym zapomniała. Ostatnie wydarzenia sprawiły, że wyleciało jej to z głowy.

– Ach, tak. Dzięki... – mruknęła, próbując pospiesznie zebrać myśli i znowu zdobyć się na rzeczowy ton. – Ja... wpadnę z samego rana do centrali i go odbiorę. O której będziesz w pracy?

Podniosła ze stołu kieliszek z winem i znów zaczęła nerwowo krążyć po pokoju z kąta w kąt.

Mimo tych starań roztargnienie bądź zniechęcenie musiało być świetnie wyczuwalne w jej głosie.

– Nie zrozumiałaś. Mam ten wydruk przy sobie i jestem właśnie przed bramą twojego osiedla. Wpuść mnie.

Nie. Tylko nie dzisiaj. Nie miała odwagi spojrzeć mu w twarz. W ogóle nie chciała dzisiaj z nikim rozmawiać.

– Posłuchaj, Dominicku, to nie jest najlepsza pora. Przynajmniej dla mnie. Będzie lepiej, jak odbiorę go jutro z rana. – Jednym haustem opróżniła kieliszek. – Albo zostaw go w mojej skrzynce na listy. Numer tysiąc dwieście dwadzieścia dwa. Za jakiś czas go zabiorę.

Musiało to zabrzmieć co najmniej dziwacznie, ale nie przejmowała się tym. Niech myśli co chce, byle tylko sobie poszedł.

Przez dłuższą chwilę w słuchawce panowała cisza. C.J. wychyliła się na balkon po paczkę marlboro, już prawie pustą, kiedy nagle Dominick oznajmił stanowczo.

– Nic z tego. I tak wejdę. Więc lepiej sama mnie wpuść.

. 28 .

Minęły ze trzy minuty, zanim rozległ się dzwonek do drzwi, a zaraz po nim donośne pukanie. Wyrzała przez wizjer. Dominick stał oparty ramieniem o framugę i wbijał spojrzenie w ziemię. Wciąż miał na sobie tę samą koszulę i bawełniane spodnie, co w sądzie, lecz teraz podwinął rękawy, rozpiął kołnierzyk pod szyją i poluzował krawat. Błyszcząca służbowa odznaka zwisała na łańcuszku, a w kaburze przy pasie tkwił pistolet. C.J. wyłączyła alarm, odryglowała zasuwki i uchyliła drzwi do połowy szerokości.

Uśmiechnął się szeroko, choć było widać, że jest bardzo zmęczony. Trzymał w ręku parę kartek wydruku komputerowego spiętych w rogu spinaczem. Wyciągnął je w jej kierunku.

– Dzięki, że mi to podrzuciłeś, Dom – mruknęła, odbierając wydruk. – Nie musiałeś tego robić. Naprawdę odebrałabym go z samego rana.

Nie zaprosiła go do środka.

– Powiedziałaś, że chcesz go mieć jak najszybciej, dlatego sprężyłem się, żeby był gotowy jeszcze dzisiaj. Jeśli dobrze odczytałem zegarek, wyrobiłem się trzy godziny przed czasem. Jest dopiero dziewiąta.

– Jestem ci bardzo wdzięczna. A swoją drogą, skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam?

Zaniepokoiła się myślą, że tak łatwo ją odnalazł. Bardzo pilnowała, żeby nikt nie znał jej adresu. Pomagał jej w tym fakt, że adres zamieszkania był zastrzeżony we wszystkich dokumentach z racji tego, że była prokuratorem.

– Zapomniałaś, że jestem gliniarzem? Płacą nam za to, byśmy wiedzieli różne rzeczy. Prawdę mówiąc, zadzwoniłem do twojego biura i Marisol

podawała mi adres. Potem wystarczyło go tylko znaleźć w komputerze radiowozu na internetowym planie miasta.

Zanotowała sobie w myślach, żeby jutro od samego rana zmienić życie Marisol w prawdziwe piekło.

Na krótko zapadło niezręczne milczenie. Wreszcie Falconetti zapytał:

– Nie sądzisz, że mogłabyś mnie wpuścić do środka? Chciałem ci opowiedzieć o przeszukaniu. Chyba że jesteś bardzo zajęta... – Zerknął ponad jej ramieniem w głąb mieszkania.

Zareagowała szybko, chyba zdecydowanie za szybko:

– Nikogo nie ma, jestem sama. – Ugryzła się w język i dodała znacznie wolniej: – Po prostu... jestem zmęczona, boli mnie głowa i... – Podniosła głowę i zauważyła, że patrzy na nią badawczo, usiłując dociec prawdy. Zmusiła się do uśmiechu i rzuciła niby swobodnym tonem: – Tak, jasne. Przepraszam. Wejdz.

Otworzyła szerzej drzwi i wpuściła go do mieszkania. Przez chwilę stali naprzeciwko siebie w przedpokoju. W końcu C.J. odwróciła się i poszła do kuchni.

– Napijesz się wina czy jesteś ciągle na służbie? Stanął w progu.

– Mówiłaś, że boli cię głowa.

– Zgadza się – burknęła, zaglądając do lodówki. – Wino świetnie mi robi na ból głowy. Później człowiek po prostu nie pamięta, że coś mu dokuczało.

Zaśmiał się krótko.

– W takim razie z przyjemnością napiję się z tobą.

Rozejrzał się dookoła. Mieszkanie było przyjemne, utrzymane w ciepłych kolorach – kuchnia jasnożółta, w odcieniu wschodzącego słońca, z paskiem przedstawiającym egzotyczne owoce w pastelowych barwach, biegnącym dookoła na wysokości oparcia krzesła, a w saloniku na winnoczerwonych

ścianach wisiały ciekawe szkice. Trochę go to zaskoczyło. W kontaktach służbowych C.J. była zawsze bardzo poważna. W głębi duszy podejrzewał, że jej mieszkanie będzie sterylnie białe bądź w odcieniach szarości czy beżu, z całkiem gołymi ścianami.

– Podoba mi się tutaj. Jest tak jasno, radośnie.

– Dzięki. Lubię kolorowe pomieszczenia. Napawają mnie spokojem.

– Piękne mieszkanie. I co za widok.

Popatrzył na przeszklone drzwi prowadzące na niewielki balkon. Dolatywał stamtąd nieustający plusk fal w Zatoce Biscayne, w oddali widać było światła Pompano Beach na przeciwległym brzegu.

– Owszem, uwielbiam go. Mieszkam tu już od pięciu lat. Co prawda, miejsca nie jest zbyt wiele, są tylko dwie sypialnie. Ale jest nas tylko trójka, ja, Lucy i Tibby, więc nie narzekamy na ciasnotę.

– Kim są Lucy i Tibby?

– Tibby właśnie zostawia swoją białą sierść na nogawce twoich czarnych spodni.

Jak na zawołanie kot głośno i trochę żałośnie miauknął. Dominick schylił się, pogłaskał go po łebku i Tibby od razu zaczął mrużyć, jakby nigdy wcześniej nie zaznał podobnych pieszczot.

– A to jest Lucy, moje oczko w głowie... – Suczka zwabiona zapachami z otwartej lodówki ostrożnie weszła do kuchni, wyciągając pyszczek i węsząc w powietrzu. Kiedy C.J. wyciągnęła do niej rękę, podbiegła radośnie i przekrzywiła łebek, żeby ją podrapać za uchem. – Ma już przytępiony słuch, ale nam to nie przeszkadza. Prawda, skarbie? – Pochyliła się nad nią i Lucy, energicznie wymachując ogonem, zaskomlała cicho, jakby rozumiała każde słowo.

– Tak tu spokojnie. Zupełnie inaczej niż w Miami.

– Lubię spokój. Jak w każdym dużym mieście, w Miami jest za dużo czubków. Widuję się z nimi codziennie i nadzoruję ich od świtu do nocy. Dlatego nie muszę jeszcze z nimi mieszkać. Nie znaczy to, że Fort Lauderdale jest nadzwyczajną ostoją normalności, ale życie toczy się tu zdecydowanie wolniej. No i tu nie pracuję. A wiesz, czego, według powiedzenia, nie należy robić tam, gdzie się jada.

– Widzę, że jesteś zwolenniczką anonimowości.

– Zdecydowanie. W każdym razie warto w tym celu poświęcić trzydzieści pięć minut na dojazd do pracy.

– Ja już za bardzo zrosłem się z Miami. Mam je we krwi. Nie wyobrażam sobie, bym mógł mieszkać dalej niż o dwadzieścia minut drogi od dobrego kubańskiego baru przekąskowego.

– Do granicy między okręgami Broward i Dade jest stąd zaledwie piętnaście minut samochodem. Dania z czarnej fasoli i ryżu można zjeść także w Hollywood i Weston. Tyle że tam są pewnie droższe.

– To prawda. Pomyślę nad przeniesieniem się do bliźniaczego wydziału w Broward. Wtedy będę mógł pracować po cywilnemu, jeździć po okolicy nowym miniwanem i ścigać wagarowiczów.

– Przesadzasz. To jeszcze nie jest jakieś Straszne Nudnowo gdzieś w Iowa. A szkoda. Wiele dziwnych rzeczy dzieje się w pobliżu granicy okręgów, do tego z roku na rok coraz więcej.

– Tylko żartowałem. Tutejsza policja ma na pewno kupę własnych problemów. I nie wątpię, że z każdym rokiem coraz więcej. Nawet świrusy pozostające pod twoją opieką muszą coś jeść i mieć kawałek dachu nad głową z dala od rodzin, do których nakazem sądu nie wolno im się zbliżać, ale zarazem w promieniu osiemdziesięciu kilometrów od miejsca pracy swojego kuratora. – W zamyśleniu poskubał brodę. – Chyba zwyczajnie

podoba mi się w Miami. Przywykłem do tego miasta, a przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka. Zaliczam się do tych, którzy najbardziej cenią w życiu wygodę.

– Dobrze wiedzieć – odparła cicho w zamyśleniu.

Przez jakiś czas oboje milczeli, popijając wino. C.J. wyglądała na przemęczoną, wręcz wycieńczoną. Włosy miała zgarnięte do tyłu i zebrane w luźny koński ogon, ale pojedyncze kosmyki opadały po bokach, kontrastując z ładnie opaloną twarzą. Była bez okularów, co rzadko widywało się w pracy. Nawet bez makijażu wydawała mu się bardzo ładna. Odznaczała się urzekającą naturalną harmonią rysów, której brakowało wielu kobietom. Mimo to zawsze starała się ją ukryć. Prawdopodobnie wynikało to stąd, że wymiar sprawiedliwości był typowo męską domeną, zwłaszcza w stanach południowych, nawet w tak wielkiej metropolii jak Miami. Na każdym kroku spotykało się szowinistycznych sędziów, policjantów czy adwokatów. W czasie trzynastoletniej kariery w wydziale zwalczania przestępczości Dominick zetknął się z wieloma kobietami bezskutecznie próbującymi dochodzić swoich praw przed sądem, walczącymi o należny szacunek kolegów i przełożonych w pracy. Jednakże C.J. zawsze była traktowana poważnie. Przez wszystkich. Prawdopodobnie była najbardziej szanowanym prawnikiem w biurze prokuratora stanowego. Cieszyła się poważaniem nawet swojego stukniętego szefa, Tiglera. Dostrzegł wiszący na oparciu krzesła żakiet i dopiero wtedy zwrócił uwagę, że nie przebrała się jeszcze po powrocie do domu.

– Sądziłem, że dość wcześnie skończyłaś dzisiaj pracę.

– Tak było. Dlaczego pytasz?

– Bo nadal jesteś w garsonce.

– To prawda. Miałam trochę pilnych zajęć w domu, dlatego zapomniałam

się przebrać. – Postanowiła szybko zmienić temat. – Jak poszło przeszukanie?

Schyliła się i zerknęła pod stół. Falconetti jedną ręką czochrał po łebku Lucy, a drugą głaskał kota.

– Nieźle. Znaleźliśmy sporo interesujących rzeczy. Manny nie dzwonił, żeby ci o wszystkim opowiedzieć?

– Dał mi znać na przywoływacz, ale nie odebrał, gdy zadzwoniłam pod numer jego komórki. Zostawiłam mu wiadomość. Do tej pory nie oddzwonił, a minęły ze dwie godziny.

– Zwinęliśmy się jakieś trzy kwadransy temu. Przyjechałem prosto do ciebie. Wczesnym popołudniem znaleźliśmy ślady krwi w szopie na tyłach domu. Niewiele, tylko parę kropli, ale to wystarczyło. Wstępne wyniki dostaliśmy z laboratorium przed godziną. To ludzka krew. Po wykonaniu analizy DNA będzie można stwierdzić na pewno, czy to krew Prado, ale szczegółowe badania zajmą kilka tygodni. Niewykluczone też, że mamy narzędzie zbrodni. Bantling najwyraźniej lubował się w oprawianiu i wypychaniu zwierząt w tej szopie. Wiesz, jak to się fachowo nazywa?

– Preparowaniem okazów.

– O właśnie. Kilka wypchanych okazów wisi tam, podwieszonych na żyłce pod sufitem. Ale w szafce znaleźliśmy aż sześć różnych skalpeli. Na ostrzu jednego z nich były ślady krwi. Neilson ściągnie specjalistę od badań mikroskopowych, żeby sprawdził, czy ukształtowanie ostrza pasuje do nacięć na ciele dziewczyny, przynajmniej tych, które zachowały się w dobrym stanie. Jest spora szansa, że da się przeprowadzić taką analizę porównawczą.

C.J. przeszył dreszcz grozy. Jak na jeden dzień miała dość mocnych wrażeń, nie wiedziała, jak długo jeszcze wytrzyma tę rozmowę.

– Mnóstwo rzeczy spakowaliśmy i odesłaliśmy do laboratorium. Teraz

trzeba będzie poczekać na wyniki badań. Technicy spryskali luminolem cały dom, ale niczego nie znaleźli. Ani śladu krwi.

– A w tej szopie, o której wspominałeś?

– Tam wszystko rozbłysło, jakby do środka wpadła chmara światełek. Najwyraźniej próbował sprzątać, ale przeoczył kilka plamek krwi na posadzce i w dolnej części ściany. Niemniej rozmazane ślady były wszędzie, nawet na suficie. Ułożenie niektórych smug pozwala wnioskować, że zamordował Prado właśnie tam, kiedy leżała na szpitalnym metalowym stoliku na kółkach. Z rozciętej aorty krew tryska fontannami bardzo daleko. Powiadomiliśmy już Lesliego Bickinsa z wydziału w Tallahassee, specjalistę od takich śladów. Przyjedzie jutro, żeby je obejrzyć. Ale ponieważ Bantling w tej samej szopie zabijał i oprawiał zwierzęta, rodzi się zasadnicze pytanie, czy znalezione ślady to pozostałość krwi ludzkiej.

– Coś jeszcze?

– Owszem. W łazience znalazłem haloperidol wydany na receptę wystawioną dla Bantlinga przez lekarza z Nowego Jorku. To silny środek uspokajający, znany pod nazwą haldol. Stosuje się go w kuracjach schizofreników. Wynika stąd, że Bantling miał poważne problemy psychiczne. To by pasowało do jego portretu psychologicznego i tłumaczyło brutalność, z jaką traktował ofiary. W sypialni była poza tym masa kaset wideo z amatorskimi sadomasochistycznymi filmami porno. Są na nich utrwalone różne kobiety, niektóre bardzo młode, w wieku ofiar. Nie mieliśmy szansy obejrzyć wszystkich, bo w sumie jest ich ponad setka. Ale sądząc tylko po tytułach, większość bohaterek tych filmików to blondynki.

C.J. robiła się coraz bledsza.

– Dobrze się czujesz? Jezu, wyglądasz tak samo, jak rano w sądzie. – Dominick wyciągnął rękę przez stół i położył dłoń na jej palcach. Tak

kurczowo zaciskała w drugą rękę kieliszek z winem, że aż pobieleły jej knykcie, a w oczach miała taki sam wyraz przerażenia, jaki zaniepokoił go podczas spotkania w jej gabinecie. – Co się dzieje, C.J.? O co chodzi? Mogę ci jakoś pomóc?

– Nic mi nie jest. Po prostu mam przeczucie, że natknęłam się na coś strasznego. To wszystko. – Powiedziała to niemal odruchowo, bez przekonania. Musiała jak najszybciej zakończyć tę rozmowę, zanim pojawi się realna groźba, że w jego obecności rozklei się do reszty. Pospiesznie cofnęła rękę, wstała i ze wzrokiem wbitym w podłogę odwróciła się tyłem do stołu. – Dzięki, że przywiozłeś mi ten wydruk. Zaraz go przejrę – powiedziała głucho, nieswoim głosem. Położyła rękę na kartkach wydruku leżących na stole i zmusiła się, by spojrzeć Dominickowi w twarz. – Naprawdę jestem bardzo wdzięczna, że przyjechałeś taki kawał drogi. Nie musiałeś tego robić.

Wstał i ruszył za nią do wyjścia. Rozszerzonymi ze zdziwienia oczyma popatrzył na cztery różne zasuwki w drzwiach i zamontowany obok na ścianie skomplikowany system alarmowy. Od czego próbuje się tak panicznie odgrodzić, tutaj, na ogrodzonym i strzeżonym osiedlu w cichej i spokojnej dzielnicy Fort Lauderdale, gdzie największe hałasy pochodzą z jachtów i statków wycieczkowych pływających po zatoce?

Kiedy tylko zaczęła otwierać rygle, z kuchni natychmiast wybiegła suczka.

– Nie, Lucy. Zostajesz w domu. Przecież byliśmy już na wieczornym spacerze.

Podniosła głowę i spojrzała na Dominicka, który bez cienia wątpliwości dostrzegł w jej szmaragdowych oczach śmiertelne przerażenie.

– Jeszcze raz bardzo dziękuję, Dom – powiedziała cicho. – Pewnie

zobaczymy się jutro. Zadzwoń do mnie po rozmowie z Neilsonem. Może spotkamy się w laboratorium. I przepraszam, że byłam taka... niegościnna. Po prostu...

Pospiesznie zacisnął palce na jej dłoni spoczywającej na klamce. Stali tak blisko siebie, że C.J. czuła wyraźnie jego oddech na swoim policzku. Przyjemnie pachniało mu z ust mieszaniną aromatów chardonnay i miętowej gumy do żucia. Przyglądał jej się uważnie z wyrazem troski i niepokoju w oczach.

– Nic nie mów – szepnął. – Lepiej nic już więcej nie mów, bo wszystko zepsujesz.

Delikatnie musnął wargami jej policzek, raz i drugi, wreszcie odnalazł jej usta. Poczła na brodzie delikatne ukłucie zarostu. Ku własnemu zaskoczeniu, niemal odruchowo odwzajemniła ten pocałunek, jakby od dłuższego czasu na to czekała. Tak pragnęła poczuć jego wargi, ich ciepło i delikatny miętowy posmak.

I zaledwie go poczuła, przeszył ją dreszcz podniecenia.

Ostrożny, jak gdyby badawczy pocałunek Dominicka stopniowo stawał się coraz bardziej namiętny, lekko przesunął językiem po czubku jej języka. Jednocześnie przywarł do niej całym ciałem, przyciskając jej plecy do drzwi. Nawet przez ubranie wyczuła, że i on jest podniecony. Jeszcze przez chwilę ścisnął jej dłoń opartą na klamce, ale zaraz cofnął rękę, przeciągnął palcami po jej ramieniu, po czym przesunął je w dół po boku jedwabnej bluzki, a gdy dotarł do zaokrąglenia biodra, wsunął dłoń za plecy. Drugą rękę przyłożył do policzka i zaczął delikatnie wodzić po nim kciukiem. Zarazem całował z coraz większą pasją, śmielej wsuwał język w jej usta i mocniej tulił się do niej, aż odnosiła wrażenie, że czuje bicie jego serca.

Tym razem nie cofnęła się odruchowo. Co więcej, powoli objęła go za

szyję, zaczęła wodzić palcami po miękkich włosach na jego karku i ostrożnie przyciągać go do siebie. Później przesunęła dłońmi po ramionach, wyczuwając przez koszulę krągłość bicepsów. Dała się ponieść przemożnej fali podniecenia, której nie zaznała od tak dawna. Uległa jej bez cienia wewnętrznego sprzeciwu.

Ta myśl sprawiła, że mimowolnie łązy pociekły jej po twarzy. Musiał je poczuć, ponieważ szybko odsunął się i wyprostował. Natychmiast spuściła głowę, zawstydzona, że zobaczył ją w chwili słabości. Od razu pożałowała, że w ogóle do tego dopuściła. On jednak obiema dłońmi ujął jej twarz i delikatnie podniósł ku górze. W jego oczach znów pojawił się wyraz głębokiego zatroskania. Jakby czytając w jej myślach, szepnął:

– Nie skrzywdzę cię, C.J. Nie musisz się mnie obawiać. – Czule pocałował najpierw jeden, potem drugi mokry od łez policzek, po czym dodał: – I oboje się postaramy, żeby niczego nie robić na siłę. Nie musimy się spieszyć.

Znów ją pocałował, ale już delikatnie, nie tak żarliwie. I po raz pierwszy od bardzo dawna poczuła się całkiem bezpieczna w ramionach mężczyzny.

Z kubkiem gorącej kawy usiadła przy swoim biurku już o siódmej rano i zaczęła przeglądać papiery, których sporo nazbierało się tylko przez jedno popołudnie. Mimo czułego pocałunku, jaki odebrała na dobranoc, i tej nocy nie przespała bez sennego koszmaru, pełnego krwi i przemocy. Jego stały element, którym do tej pory był mężczyzna w masce klauna, zastąpił jednak przystojny i uśmiechnięty William Rupert Bantling. Tym razem w koszmarze to on śmiał się z niej, to jego ręka ze złotym roleksem na przegubie zadawała jej bolesne rany. Właściwie to nie była pewna, czy w ogóle się zdrzemnęła, czy też dokuczliwe obrazy wypełniające jej myśli były efektem nałożenia dręczących wspomnień i widoków z wczorajszego dnia. Co do jednego tylko nie miała wątpliwości – kiedy wreszcie otworzyła szeroko oczy, postanowiła nie robić drugi raz tego samego błędu i nie zamykać ich już do rana. O czwartej owinięta prześcieradłem wyszła na balkon, usiadła w foteliku i przyglądała się, jak słońce wstaje daleko na wschodzie, za Fort Lauderdale oraz Pompano Beach.

Gdy wieczorem Dominick wyszedł, próbowała na nowo zebrać myśli, ocenić realnie, co może, a czego jej nie wolno zrobić w sprawie Kupidyna. Powiedzieć Tiglerowi, że znalazła się w sytuacji konfliktowej, czy też po cichu, bez żadnych wyjaśnień, przekazać sprawę komuś innemu? Ale równocześnie chodziła jej po głowie trzecia ewentualność, według wszelkich przesłanek mało prawdopodobna – żeby nikomu nic nie mówić i dalej poprowadzić tę sprawę.

Gdyby wtajemniczyła swojego szefa, wówczas całe biuro prokuratora stanowego znalazłoby się w sytuacji konfliktowej, musieliby więc przekazać

nadzór nad dochodzeniem do sąsiedniego rejonu sądownictwa, gdzie zostałyby wyznaczony inny prokurator. Było to wielce niewskazane, gdyż chodziło o rozległą i skomplikowaną sprawę, do tego silnie powiązaną z Miami. Prawnicy z innych biur nie mieli wystarczająco dużo doświadczenia. W niektórych pracowało zaledwie trzech albo czterech prokuratorów, którzy nigdy na swym terenie nie mieli do czynienia z seryjnym zabójcą. Zresztą, wśród całej palestry z Florydy Miami było uważane za najgorsze bagno, gdzie mogą pracować tylko czarne owce, których nikt nie chce gdzie indziej, nawet jeśli w grę wchodzi jedynie tymczasowe oddelegowanie do jednej konkretnej sprawy.

Z drugiej strony, tylko ona znała wszelkie szczegóły dotychczasowych morderstw. Oglądała prawie wszystkie miejsca zbrodni, widziała każde zwłoki, rozmawiała z rodzicami zabitych dziewcząt, ich przyjaciółkami i narzeczonymi, w każdym wypadku osobiście konsultowała się ze specjalistą dokonującym sekcji zwłok i sama wypisywała wszystkie nakazy oraz wnioski do sądu. W pewnym sensie żyła tą przerażającą sprawą już od roku. Nikt nie wiedział o niej tyle, co ona. Wątpiła też, by ktokolwiek w krótkim czasie mógł się aż tyle dowiedzieć.

Konieczność pospiesznego zapoznawania się ze zgromadzonym materiałem przez nowego prokuratora musiałaby też mieć miejsce, gdyby po cichu w tajemnicy przekazała sprawę któremuś koledze z biura. W takim wypadku pojawiłby się dodatkowy kłopot związany z uzasadnieniem tej decyzji. Zrzeczenie się prowadzenia najgłośniejszej sprawy w jej karierze na pewno wzbudziłoby powszechną ciekawość. W końcu chyba wszyscy prokuratorzy marzyli o tym, żeby kiedyś trafiła im się taka sprawa. Z pewnością wzbudziłoby to więcej szumu, niżby sobie życzyła. To rozwiązanie absolutnie odpadało.

Mogła też prowadzić sprawę dalej, nikomu nic nie mówiąc. Przynajmniej do czasu, aż ustali ponad wszelką wątpliwość, że to właśnie Bantling napadł na nią w Nowym Jorku. Musiała być tego absolutnie pewna. W tym celu należało skontaktować się z McMillanem zarządzającym dochodzeniami zawieszonymi w Nowym Jorku. Na razie nie mogła wykluczyć, że jakimś zbiegiem okoliczności w ciągu minionych dziesięciu lat, od czasu, gdy przestała codziennie wydzwaniać do śledczych prowadzących dochodzenie, ktoś przeglądał dokumenty, może nawet przeprowadzono powtórne badania laboratoryjne pościeli, jej różowej piżamy czy majtek i znaleziono jednak ślady jego śliny, potu czy nasienia, które wcześniej umknęły uwagi techników. Może jakimś cudem zdołano ustalić DNA napastnika. Te wątpliwości trzeba było wyjaśnić.

Zależało jej na tym, żeby załatwić wszystko zgodnie z prawem, tylko nie potrafiła rozsądzić, co to oznacza. Wiedziała tylko, że musi postawić Bantlinga przed sądem. Westchnęła ciężko i popatrzyła z okna swego gabinetu na ulicę Trzynastą, gdzie uliczny sprzedawca już otwierał parasol nad wózkiem z hotdogami i napojami chłodzącymi, choć była dopiero dziewiąta rano. Nad sąsiednim stoiskiem parasol w biało-czerwone pasy był już rozpostarty, zwieszały się spod niego przyczepione na sznureczkach świeże owoce mango i papai, banany i brzoskwinie, a sprzedawca podrygiwał na chodniku w rytm latynoskich przebojów, które puszczał z magnetofonu kasetowego.

Siedząc na balkonie poprzedniego wieczoru, setki razy rozpatrywała wszelkie ewentualności. Oczywiście przeplatała je myślami o Dominicku. Ich romans zaczął się rozwijać chyba w najgorszej dla niej chwili. Nie chciała jednak z niego rezygnować. Na wspomnienie namiętnych pocałunków odruchowo musnęła palcami usta. Miała wrażenie, że wciąż czuje na nich

delikatnie miętowy posmak jego warg i dostrzega głęboką troskę w jego oczach. Nawet jeśli stali przy drzwiach nie dłużej niż pięć minut, to dotyk jego dłoni na plecach i ciepły oddech muskający policzek napełniły ją tak silnym poczuciem bezpieczeństwa, że aż sama nie mogła się temu nadziwić.

Od bardzo dawna nie była z żadnym mężczyzną. Ostatnim, z którym umawiała się przez kilka miesięcy z uporem godnym lepszej sprawy, był broker o imieniu Dave. Wydawał jej się dość zabawny i czuły, aż nagle przestał do niej dzwonić. Może tylko przypadkiem stało się to zaraz potem, jak po raz pierwszy poszli razem do łóżka. Kiedy próbowała się dowiedzieć, dlaczego tak nagle zerwał z nią wszelkie kontakty, odparł enigmatycznie, że jak na jego gust ona ma „zbyt dużo zahamowań”. Od tamtej pory minęło parę lat, w czasie których nie żałowała rozstania. Bliskie kontakty z mężczyznami napawały ją przerażeniem, nasuwały za dużo skojarzeń i przywoływały stare wspomnienia. Dlatego też tych parę następnych randek ograniczyła do kolacji, spaceru, najwyżej kilku pocałunków. Nie było to nic poważnego, a tym bardziej intymnego.

Dopiero poprzedniego wieczoru z Dominikiem pozwoliła sobie na coś więcej.

Co prawda, i tym razem skończyło się na pocałunkach, a Falconetti wyszedł, kiedy tylko go o to poprosiła. Później jednak nie mogła przestać myśleć o tym, co powiedział. Zabrzmiało to nadzwyczaj szczerze, a ona przecież bardzo pragnęła znów poczuć się tak bezpieczna, choćby tylko przez następne pięć minut. Niestety, Dominick był także zbyt zaangażowany w tę sprawę, żeby wyznać mu prawdę. A jak daleko mogła się rozwinąć znajomość bez powiedzenia mu o wszystkim? Ilu kłamstw i wykrętów wymagało zatajenie przed nim przeszłości? Zresztą, gdyby nawet zdobyła się na szczerść, czy w ogóle mogła mu zdradzić, co jej się kiedyś przydarzyło?

Czy zdołałaby wyjaśnić, skąd ma tyle blizn na całym ciele, gdyby przypadkiem zobaczył ją nago przy zapalonym świetle?

Stosik różowych kartek z wiadomościami, piętrzący się na biurku, był imponujący. Musiała obarczyć rzecznika prasowego biura zadaniem udzielania odpowiedzi na wszelkie pytania dziennikarzy z całego kraju. Na wierzchu leżała karteczka z wypisaną przez Marisol wielkimi literami uwagą: „TO JUŻ TRZECIA WIADOMOŚĆ! DLACZEGO W KOŃCU NIE ODDZWONISZ DO NIEGO?!”

W drewnianej skrzynce na brzegu biurka było także pełno świeżej korespondencji. Oprócz sprawy Kupidyna C.J. zajmowała się równocześnie dziesięcioma innymi morderstwami, z czego dwie sprawy miały stać się przedmiotem rozpraw sądowych w ciągu najbliższych dwóch miesięcy. W następnym tygodniu czekała ją bardzo ważna batalia w sprawie oddalenia wniosku obrony o wycofanie oskarżenia, a do tego musiała wziąć udział w paru przesłuchaniach i spotkać się z rodzinami kilku ofiar. Nie mogła tego wszystkiego rzucić tylko ze względu na nieoczekiwany zwrot w sprawie Kupidyna. Musiała pogodzić wszystkie obowiązki i miała nadzieję, że im podoła.

Zapatrzyła się na trzystronicowy formularz aresztowania Bantlinga. Było w nim wymienionych około dwudziestu pięciu osób, w większości policjantów. Przy każdym nazwisku oprócz nazwy macierzystego wydziału widniał numer odznaki służbowej. To byli świadkowie. Poczynając od gliniarza z drogówki, który pierwszy zatrzymał Bantlinga, poprzez ludzi z patrolu przybyłych na jego wezwanie, opiekuna psa tropiącego narkotyki, funkcjonariuszy, którzy włamali się do bagażnika auta i odnaleźli zwłoki Anny Prado, aż po śledczych ze specjalnej grupy dochodzeniowej, a wśród nich agenta specjalnego D. Falconettiego, numer FDLE 0277.

Od daty wypisanej na tym formularzu miała dwadzieścia jeden dni na wniesienie oficjalnego aktu oskarżenia Bantlinga o morderstwo z premedytacją, umożliwiające postawienie go przed sądem. W tym czasie jej obowiązkiem było przesłuchać wszystkich świadków, zgromadzić ich zeznania i przygotować sprawozdanie, które Martin Yars, główny zastępca Tiglera, musiał przedstawić komisji sędziowskiej. Tylko on z całego biura referował sprawy przed trybunałem. I to on powinien zażądać ukarania Bantlinga, prawdopodobnie tylko na podstawie zeznań Dominicka Falconettiego kierującego dochodzeniem w tej sprawie. Komisja sędziowska spotykała się wyłącznie w środy. Dzisiaj był już czwartek. W grę wchodziły zatem jedynie dwie najbliższe środy. Jeśli nie zdąży w tym terminie, musi co najmniej złożyć doniesienie o przestępstwie zawierające spisane pod przysięgą zarzuty, umożliwiające trybunałowi zarządzenie procesu o nieumyślne spowodowanie śmierci, co dawałoby jej kolejne trzy tygodnie na zmianę kwalifikacji prawnej czynu i wniesienie aktu oskarżenia o morderstwo z premedytacją. Tak czy inaczej, musiała dysponować kompletem złożonych pod przysięgą zeznań świadków, które pozwoliłyby na podtrzymanie wobec Bantlinga najcięższych zarzutów. I niezależnie od obranej drogi postępowania o dwudziestego jeden dniowy termin był na tym etapie nieprzekraczalny, nie miała więc zbyt dużo czasu.

Tik-tak, tik-tak, bez przerwy tykają zegary.

Dopiła jednym haustem resztę kawy i potarła palcami skronie, gdyż znów dokuczał jej ból głowy. Trzeba podjąć decyzję co do metod dalszego postępowania. A jeszcze wcześniej musi zdecydować, czy w ogóle powinna dalej prowadzić tę sprawę. Nie miała czasu, aby spokojnie przetrwać wszelkie za i przeciw przez kilka dni. Należy umówić się z wszystkimi policjantami wyszczególnionymi w formularzu i spisać ich zeznania, a tylko

ta część zajmie jej parę dni.

Spojrzała na zegarek, dochodziło wpół do dziesiątej. Wzięła torebkę, włożyła okulary przeciwsłoneczne i ruszyła do wyjścia. W sekretariacie przelotnie rzuciła okiem na nadaną Marisol, tego dnia ubraną od stóp do głowy w purpurową lycrę.

Postanowiła, że podejmie nieodwołalną decyzję po powrocie.

Niewielki piętrowy domek przy Almeria Road w Coral Gables, malowniczym przedmieściu Miami, był bardzo ładny. Utrzymany w starym kolonialnym stylu, musiał mieć sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt lat. Zbudowany na planie idealnego kwadratu, ściany pokryte stiukiem w kolorze ciemno-musztardowym i pomarańczowy dach z falistej dachówki. Na parapecie każdego okna stały skrzynki z terakoty pełne pięknych roślin kwitnących na biało, czerwono i żółto. Wypielegnowane rabaty kwiatowe ciągnęły się wzdłuż wyłożonego kostką chodnika prowadzącego do drzwi z ciemnego dębu ozdobionych żelaznymi okuciami. Ani trochę nie wyglądało to na prywatny gabinet psychoterapeuty. Na niewielkiej tabliczce zawieszanej przy drzwiach ponad terakotową skrzynką na listy widniało tylko nazwisko: DOKTOR GREGORY CHAMBERS.

C.J. weszła bez pukania. Poczekalnia, utrzymana w jasnych odcieniach żółci i błękitu, była wyłożona meksykańską terakotą. Sprawiała wrażenie przytulnej, uspokajającej. We wszystkich czterech kątach stały rozłożyste palmy w donicach, pod dwoma ścianami ciągnęły się głębokie, obite skórą fotele. Na ślicznym, może tylko trochę za dużym mahoniowym stoliku, leżały rozrzucone rozmaite czasopisma ilustrowane. Z głośnika pod sufitem płynęła cicho *Ave Maria* Franciszka Schuberta w wykonaniu Sary Brightman. Wszystko służyło jednemu celowi: bogaci klienci nie mogli się tu czuć zbyt podnieceni czy zdenerwowani przed spotkaniem z przemiłym doktorem.

Za jasnożółtą ścianą oddzielającą świat ludzi normalnych od tych, którzy potrzebują pomocy, siedziała sekretarka psychiatry, Estelle Rivero. Przez

małe okienko widać było tylko jej płomieniście kasztanowo-rude włosy, jak zwykle zebrane na czubku głowy w kok wysoki co najmniej na dziesięć centymetrów.

W poczekalni nikogo nie było. C.J. trąciła więc lekko dzwonek stojący przed okienkiem. Estelle szybko odsunęła szybkę i w szerokim uśmiechu rozchyliła wargi grubo umalowane krwistoczerwoną szminką.

– Dzień dobry, panno Townsend! Jak się pani dzisiaj czuje?

Sądzę, że personel biurowy nie powinien zadawać tego rodzaju pytań pod nieobecność lekarza.

– Doskonale, Estelle. A co u ciebie?

Rivero wstała zza biurka. Jej fryzura w całości mieściła się w okienku, ale usta i broda już nie, gdyż miała niewiele ponad sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu.

– Świetnie pani wygląda, panno Townsend. Widziałam panią wczoraj w wieczornym dzienniku telewizyjnym. To musi być bardzo chory człowiek, prawda? Co on zrobił tym biednym dziewczętom? – Pokręciła głową.

O wiele więcej, niż myślisz, Estelle. O wiele, wiele więcej.

– Tak, to bardzo bulwersująca sprawa.

C.J. nerwowo przestąpiła z nogi na nogę, stukając obcasami po terakocie. Estelle uniosła do twarzy pomarszczone dłonie z mającymi po pięć centymetrów długości i także pomalowanymi na krwistoczerwono paznokciami, po czym jeszcze raz teatralnie pokręciła głową. Na każdym palcu nosiła gruby złoty pierścionek.

– To po prostu straszne. Takie ładne dziewczęta. Śliczne. A on przecież wygląda całkiem normalnie, przystojny, porządny mężczyzna. Nie wolno nikogo oceniać po wyglądzie. – Pochyliła się bliżej i dodała półgłosem: – Mam nadzieję, że wsadzi go pani za kratki, panno Townsend, żeby nie mógł

już skrzywdzić żadnej kobiety.

Tam, gdzie się znajdzie, droga Estelle, kobiety nie będą się już musiały niczego obawiać z jego strony, może z wyjątkiem Lizzie Borden.

– Postaram się, Estelle. Czy doktor Chambers jest u siebie? Rivero nagle jakby się ocknęła.

– Och, tak, oczywiście. Czeka na panią. Proszę śmiało wchodzić.

Wcisnęła guzik, zabręczał elektryczny zamek i potrzebująca pomocy została wpuszczona do świata normalnych ludzi. Drzwi gabinetu Chambersa na końcu korytarza były otwarte, doktor siedział pochylony przy olbrzymim mahoniowym biurku. Słyszając stuk obcasów o podłogę, podniósł głowę i na jej widok uśmiechnął się serdecznie.

– C.J.! Miło cię widzieć. Wchodź, proszę.

Gabinet był pomalowany na jasno-błękitno, w odcieniu jajeczek drozda. Dwa wielkie owalne okna, sięgające niemal od podłogi do sufitu, były od góry ozdobione krótkimi zasłonkami z żółtym kwiatowym deseniem na niebieskim tle. Między drewnianymi listewkami żaluzji do środka przesączało się słońce, kładąc regularne jaskrawe pasy na drogim puszystym dywanie i wygodnych, obitych niebieską skórą fotelach z opuszczanymi oparciami.

– Dzień dobry, doktorze. Bardzo mi się podoba nowy wystrój pańskiego gabinetu. Zrobiło się tu jeszcze przyjemniej – powiedziała, stając w progu.

– Dziękuję. Zrobiliśmy remont już chyba trzy miesiące temu. Dość dawno cię tu nie było, C.J.

– To prawda. Miałam mnóstwo pracy.

Na krótko zapadło milczenie. Wreszcie Chambers wstał i wyszedł zza biurka.

– Proszę, wejdź śmiało – rzekł, zamykając za nią drzwi. – Siadaj.

Wskazał miejsce w fotelu, a sam usiadł w drugim, stojącym naprzeciwko, i lekko pochylony do przodu, z łokciami opartymi na kolanach, splótł przed sobą dłonie. Przyszło jej na myśl, że ta poza niezbyt zachęca do zwierzeń. Nie wiedziała, czy tak samo odnosi się do innych pacjentów, czy też traktuje ją w sposób szczególny ze względu na wieloletnią znajomość. Mimo to przy nim czuła zawsze do tej pory, że nie ma takich problemów na świecie, których nie dałoby się rozwiązać.

– Słyszałem, że aresztowano podejrzanego w sprawie Kupidyna. W ostatniej chwili zdążyłem wczoraj na końcówkę wiadomości o jedenastej wieczorem. Świetna robota, C.J.

– Dziękuję, ale przed nami jeszcze bardzo długa droga.

– Ten człowiek naprawdę popełnił tyle zbrodni? Rozsiadła się wygodniej i założyła nogę na nogę.

– Na to wygląda. Jeśli zwłoki Anny Prado w bagażniku jego auta nie są wystarczającym dowodem winy, to rzeczy, które wczoraj znaleziono w jego domu, nie zostawiają żadnych wątpliwości.

– Naprawdę? W takim razie wypada mi tylko życzyć powodzenia – rzekł, przyglądając jej się uważnie. – Doskonale rozumiem, że prowadzenie takiej sprawy musi być bardzo stresujące, przy tak olbrzymim zainteresowaniu mediów i w ogóle...

Znacząco zawiesił głos, powiedziawszy owo „w ogóle” z takim akcentem, jakby zadawał pytanie. Chciał w ten sposób przekazać jej inicjatywę.

Pokiwała głową, wbijając spojrzenie w ziemię. Upłynęło parę miesięcy od czasu, gdy po raz ostatni siedziała w tym fotelu. Uznała, że po tylu latach kuracji najwyższa pora sprawdzić, czy przynosi jakieś efekty, czy piskłę może już samodzielnie latać, czy poradzi sobie z codziennymi sprawami, czy zdoła uciec od wspomnień, które nieustannie chcą ją zepchnąć z powrotem

do punktu wyjścia. Mając świetną wymówkę w postaci braku czasu i nawału zajęć w biurze, najpierw zmieniła regularne dwutygodniowe wizyty w sporadyczne spotkania, a wreszcie na wiosnę całkiem z nich zrezygnowała. Dopiero teraz znów przekroczyła próg gabinetu, będąc w potrzebie.

– Czy ktoś z biura pomaga ci w prowadzeniu tego śledztwa? – spytał tonem zatroskanego ojca, przejmującego się, że córka za mało jada albo za krótko sypia.

– Nie, na razie pracuję sama, chyba że Jerry Tigler wyznaczy mi kogoś do pomocy.

– Kto prowadzi dochodzenie? Dom Falconetti?

– Tak. I Manny Alvarez z komendy miejskiej.

– Znam Manny’ego. To świetny fachowiec. Kilka lat temu współpracowałem z nim w sprawie poczwórnego zabójstwa w Liberty City. Agenta Falconettiego, jeśli się nie mylę, poznałem na konferencji poświęconej medycynie sądowej w Orlando w ubiegłym roku.

Czarne włosy Grega Chambersa były przyprószone lekko połyskliwą siwizną, która jednak wcale go nie postarzała, a tylko przyjemnie harmonizowała z łagodnymi niebieskimi oczyma i dodawała nieco uroku twarzy o dość pospolitych rysach. Nieubłagany upływ czasu zaznaczył się głębokimi zmarszczkami na czole i wokół oczu, lecz to również jedynie podkreślało jego dystyngowany wygląd. C.J. podejrzewała, że nawet lepiej wygląda koło pięćdziesiątki niż kiedyś, gdy był dwudziestoparolatkiem. Natychmiast skojarzyła własne zmarszczki, którym przyglądała się wczoraj w lustrze. Mężczyźni starzeli się znacznie ładniej niż kobiety. To nie było w porządku.

– Muszę przyznać, że bardzo mnie wczoraj zaniepokoiłaś, C.J. Od razu poznałem po twoim głosie, że stało się coś złego. O co chodzi?

Znów poruszyła się nerwowo na fotelu i zmieniła ułożenie nóg. Zasychało jej w gardle.

– No cóż, martwi mnie właśnie sprawa Kupidyna.

– Aha. I chcesz wysłuchać fachowej rady?

W ten sposób ujawnił się jej kolejny problem. Gregory Chambers był nie tylko od dziesięciu lat jej zaufanym psychoanalitykiem, ale także kolegą po fachu. Jako psychiatra ze specjalnością psychoanalizy kryminalnej regularnie współpracował z biurem prokuratora stanowego i wszelkimi wydziałami policji w sprawach dotyczących najbardziej brutalnych przestępstw. Przy wielu okazjach powoływała go na biegłego w sprawach skomplikowanych morderstw, zwykle będących efektem przemocy w rodzinie, kiedy należało wyjaśnić przysięgłym motywy zbrodni, wytłumaczyć, dlaczego ludzie uciekają się do ostateczności. Te same cechy, dla których łatwo było mu się zwierzać w czasie seansów psychoterapeutycznych, czyniły z niego doskonałego biegłego sądowego. Gregory Chambers, zawsze spokojny, uśmiechnięty i zrównoważony, mający olbrzymie kwalifikacje, potrafił w prostych słowach wyjaśniać najbardziej złożone kwestie: dorośli mężczyźni wykorzystują seksualnie małe dzieci, gdyż mają utajone skłonności pedofilskie; młodzi chłopcy strzelają z pistoletów maszynowych do swoich dziewczyn, ponieważ są psychopatami; matki mordują swoje dzieci, gdyż cierpią na psychozę dwubiegunową; nastolatki z zimną krwią zabijają swoich szkolnych kolegów na skutek zaburzeń osobowości.

Stawiane przez niego diagnozy zawsze były celne. Nie tylko policja, ale także lokalna społeczność ufała mu i darzyła go wielkim szacunkiem. Rzecz jasna, to w pełni tłumaczyło, dlaczego seans w jego stylowym gabinecie w Coral Gables kosztuje trzysta dolarów za godzinę. Ludzi bogatych stać na szaleństwo. C.J. korzystała u niego ze specjalnej zniżki dla przedstawicieli

wymiaru sprawiedliwości. Ale też nigdy nie powoływała Chambersa na świadka w prowadzonych przez siebie procesach, bała się bowiem konfliktu interesów. Korzystała natomiast z jego fachowej pomocy przy wyjaśnianiu etycznych zawiłości na różnych prawniczych konferencjach i seminariach, zasięgała też jego specjalistycznych porad podczas przygotowywania aktu oskarżenia w takiej czy innej sprawie. Tak więc na gruncie prywatnym byli kolegami po fachu i podczas tego typu spotkań mówili sobie po imieniu. Dzisiaj jednak był dla niej doktorem Chambersem.

– Nie. Nie przyszedłam tu, żeby wysłuchać opinii eksperta. Nie dzwoniłabym o dziewiątej wieczorem, gdyby tylko na tym mi zależało. – Uśmiechnęła się blado.

– Doceniam to, lecz nie wszyscy są tak wyrozumiali. Jack Lester zadzwonił kiedyś do mnie o pierwszej w nocy. – Uśmiechnął się z wyrozumiałością. – Powinnaś wiedzieć, że nigdy nie mam o to pretensji.

Jack Lester również był prokuratorem zajmującym się najpoważniejszymi przestępstwami. Nie lubiła go.

– Lester to nadęty, arogancki bufon. Powinieneś być od razu odłożyć słuchawkę. Ja bym tak zrobiła.

Zaśmiał się krótko.

– Będę o tym pamiętał na przyszłość, bo nie wątpię, że nadarzy się jeszcze kiedyś okazja. – Szybko spoważniał. – Jeśli zatem nie chodzi ci o fachową poradę, to... – Znacząco zawiesił głos.

Po raz kolejny poruszyła się nerwowo w fotelu. Miała wrażenie, że w jej głowie tyka zegar odmierzający sekundy milczenia. Po chwili odezwała się lekko chrapliwym, głośniejszym szeptem:

– Wiesz, dlaczego zaczęłam regularnie się z tobą spotykać, dlaczego zostałam... twoją pacjentką.

Pokiwał głową.

– Chodzi o twoje senne koszmary? Wróciły?

– Nie, obawiam się, że to coś gorszego niż tylko koszmary. – Desperacko rozejrzała się po gabinecie i przeciągnęła obiema dłońmi po włosach. Piekielnie chciało jej się palić.

Chambers zmarszczył brwi.

– A więc?

– Tym razem on naprawdę wrócił – powiedziała jeszcze ciszej, roztrzęsionym głosem. – Zjawił się w moim życiu. I jest prawdziwy. To William Bantling! Kupidyn! To on!

Doktor zmarszczył brwi, najwyraźniej nie rozumiejąc, o czym mówi.

Pokręciła głową, a powstrzymywane od dłuższego czasu łzy napłynęły jej do oczu.

– Naprawdę nie rozumiesz? To Kupidyn! To on mnie kiedyś zgwałcił! To on był tym mężczyzną w masce klauna!

. 31 .

Chambers wyprostował się gwałtownie i powoli wypuścił powietrze, gdyż na kilka sekund wstrzymał oddech.

– Skąd ta pewność, C.J.? – zapytał chłodnym, wyważonym tonem, szybko odzyskawszy zawodowe opanowanie.

– Poznałam w sądzie jego głos. Skojarzyłam go w jednej chwili, gdy tylko zaczął krzyczeć na sędziego Katza. – Bezskutecznie próbowała powstrzymać się od szlochu.

Doktor sięgnął po chusteczkę higieniczną i podał jej razem z całym pudełkiem.

– Proszę. Wytrzymaj oczy. – Usiadł z powrotem w fotelu, przyłożył dłoń do brody i spytał w zamyśleniu: – Jesteś tego pewna, C.J.?

– Tak. Absolutnie. Trudno wspominać ten głos przez dwanaście lat i nie rozpoznać, gdy tylko się go usłyszy. Poza tym widziałam bliznę na ręku.

– Tę powyżej nadgarstka?

– Owszem. Podwinął mu się rękaw koszuli, gdy na sali rozpraw zaczął szarpać za ramię Lourdes Rubio. – Zdobyła się na odwagę i spojrzała na niego przez łyżę. – To na pewno on. Nie mam żadnych wątpliwości. Nie wiem tylko, co powinnam teraz zrobić.

Chambers odchylił się na oparcie fotela i popadł w zamyślenie. Wykorzystała tę chwilę, żeby się uspokoić. Wreszcie powiedział:

– No cóż, jeśli to rzeczywiście on, to w pewnym sensie możesz się cieszyć. W końcu przynajmniej wiesz, kto cię napadł i gdzie się teraz znajduje. Uwolnisz się przynajmniej od części swoich obaw. Po tylu latach. Na pewno nie będzie łatwo udowodnić mu winy przed sądem w Nowym

Jorku...

– Proces w Nowym Jorku w ogóle nie wchodzi w rachubę – przerwała mu ostro.

– Daj spokój, C.J. Po tym wszystkim, co przeżywałaś przez dwanaście lat, nie chcesz teraz postawić tego człowieka w stan oskarżenia? Przecież nie masz się czego wstydzić. I nie musisz się już dłużej przed nim ukrywać. W swojej karierze udało ci się namówić do składania zeznań tylu opornych świadków, że powinnaś wiedzieć...

Energicznie pokręciła głową.

– Nie o to chodzi. Chętnie zeznawałabym przeciwko niemu. Naprawdę. Nie wahałabym się ani minuty. Ale proces jest wykluczony ze względu na ograniczenia formalne. Już od siedmiu lat nie można go zaskarżyć. Rozumiesz teraz? Nie można go postawić przed sądem za to, że mnie zgwałcił, pociął nożem i... o mało nie zamordował. – Skrzyżowała ręce na piersi, żeby ukryć pod pachami zaciśnięte pięści, i pochyliła się niżej, jakby instynktownie próbowała zasłonić brzuch. – Niezależnie od wszystkiego jest już za późno, żeby wnieść akt oskarżenia.

Chambers przez parę sekund siedział bez ruchu, znów wstrzymując oddech. Wreszcie powoli, z szumem wypuścił powietrze przez nos, gdyż usta miał zakryte dłonią.

– Jesteś tego pewna? Rozmawiałaś już z kimś z Nowego Jorku?

– Z pary śledczych, którzy prowadzili dochodzenie, jedno nie żyje, drugie jest na emeryturze. Sprawa trafiła do archiwum spraw zawieszonych. Nie było nawet nikogo podejrzanego, nikogo nie aresztowano.

– Więc skąd wiesz, że nic już się nie da zrobić?

– Rozmawiałam z prawnikiem zajmującym się ekstradycjami w biurze prokuratora okręgowego w Queens. Sama powinnam była pamiętać o

ograniczeniach czasowych odpowiedzialności karnej, ale nie skojarzyłam tego. Po prostu nie przyszło mi do głowy, że gdy w końcu go zidentyfikowałam i odnalazłam, nie będę mogła mu nic zrobić. Absolutnie nic.

Mimo woli znów zaczęła szlochać.

W gabinecie na dłużej zapadło milczenie. Chyba po raz pierwszy w ciągu tych dziesięciu lat, kiedy się znali, Chambers najwyraźniej nie wiedział, co powiedzieć. W końcu mruknął cicho:

– Jakoś wspólnie przez to przejdziemy, C.J. Wszystko będzie dobrze. Co zamierzasz teraz zrobić?

– Właśnie o to chodzi, że nie wiem. Chciałabym go usmażyć na krześle elektrycznym albo wysłać do komory śmierci. Nie tylko za to, co mi zrobił, ale również za tych jedenaście zabitych dziewcząt i pewnie wiele innych ofiar, które zostawił za sobą. Bardzo by mi zależało, żeby to właśnie ja doprowadziła do jego skazania. Czy to coś złego?

– Nie – odpowiedział cicho. – To absolutnie uzasadnione pragnienie.

– Gdybym mogła, odesłałabym go do Nowego Jorku, żeby na sali sądowej obwieścić całemu światu, jaki z niego pieprzony sukinsyn. Nie bałabym się stanąć przed nim, spojrzeć mu w oczy i powiedzieć: „Teraz ja cię załatwię, bydlaku! Teraz ja będę górą! Przywitaj się grzecznie ze swoimi kolesiami z celi, bo przez następnych dwadzieścia lat będziesz oglądał tylko ich tyłki!” – Popatrzyła na Chambersa błagalnym wzrokiem, szukając w jego oczach aprobaty. – Ale nie będę miała szans tego zrobić. Czekałam z utęsknieniem na tę okazję przez dwanaście długich lat. A on pozbawił mnie nawet tej możliwości. Nawet tej...

– No cóż, w końcu i tak stanie przed sądem. Za zabicie tylu dziewcząt grozi mu kara śmierci, prawda? Nie ma zbytnich szans, żeby uniknął

odpowiedzialności i wyszedł na wolność.

– Zgadza się, ale dla mnie to kolejny powód do zmartwień. Wiem, że nie powinnam dalej prowadzić tej sprawy, lecz jeśli wtajemniczę Tiglera, całe biuro znajdzie się w sytuacji konfliktowej i trzeba będzie ściągnąć jakiegoś żółtodzioba z Ocala, najwyżej trzy lata po dyplomie, bez żadnego doświadczenia w sprawach o zabójstwo. Ja zaś będę się mogła jedynie przyglądać z boku, jak on chrzani robotę i w efekcie Bantling zostaje uniewinniony.

Mogę cię zapewnić, Chloe, że dokładnie sprawdzamy wszelkie poszlaki. Mamy nadzieję, że już wkrótce sprawca wyląduje w areszcie. Jesteśmy ci wdzięczni za współpracę i zainteresowanie.

– Musi być jakieś wyjście. Może Tigler zdołałby przekazać sprawę do którejś prokuratury mającej doświadczenie, choćby do rejonu siedemnastego albo piętnastego?

Rejon siedemnasty sądownictwa obejmował sąsiedni okręg Broward, a piętnasty Palm Beach.

– Nie będzie miał nic do powiedzenia. Sprawa trafi do rozdzielnika i przejdzie w ręce kogoś zupełnie przypadkowego. Nie mogę do tego dopuścić. Dobrze wiesz, jak trudne są procesy seryjnych zabójców. Nie ma co liczyć na przyznanie się do winy, a nie dysponujemy niepodważalnymi zeznaniami obciążającymi. Poza tym, na razie Bantling jest oskarżony tylko o jedno morderstwo. Nie da się go powiązać z dziewięcioma wcześniejszymi zbrodniami. Łatwo byłoby popełnić kardynalny błąd.

– To rozumiem, ale przede wszystkim martwię się o ciebie. Nawet bardzo się martwię. Wiem, że jesteś silna psychicznie, zaliczasz się do najbardziej odpornych kobiet, jakie znam, ale nikt nie powinien skarżyć przed sądem swojego oprawcy, nawet jeśli odznacza się żelaznym charakterem i jest

niezłomnie przekonany o swojej racji. Mam wrażenie, że ty sama podświadomie nie chcesz prowadzić dalej tej sprawy.

– Może i tak, ale musiałabym znaleźć sensowne rozwiązanie. Takie, do którego miałabym zaufanie.

– Nie myślałaś o przekazaniu sprawy komuś innemu ze swojego biura? Na przykład Rose Harris? Jest bardzo dobra, zwłaszcza w przesłuchiwaniu świadków i analizach porównawczych DNA.

– Jak miałabym przekazać komuś sprawę, nie budząc powszechnego zainteresowania? Szczególnie na tym etapie? Odpada. Wszyscy wiedzą, jak bardzo mi na niej zależało. Do diabła, pracowałam nad nią przez rok! Sama oglądałam każde zakrwawione i pocięte zwłoki, spotykałam się z członkami rodzin pomordowanych, analizowałam zdjęcia z autopsji, zapoznawałam się szczegółowo z wynikami badań laboratoryjnych, sama wystawiałam wszelkie nakazy. Znam tę sprawę na wylot. Jak miałabym teraz uzasadnić kolegom z biura i dziennikarzom, że nie chcę jej dłużej prowadzić? Każdy, kto zna mnie choć trochę, wie, że nie zrezygnuję dobrowolnie, chyba że powali mnie jakaś śmiertelna choroba. Zresztą i wtedy pewnie bym nie zrezygnowała. Dlatego za wszelką cenę muszę powstrzymać lawinę pytań: dlaczego, jak do tego doszło i co się stało. Bo wścibscy dziennikarze natychmiast zaczną węszyć i najpewniej czegoś się dokopią. Jak tylko rozejdzie się wieść o gwałcie, rozpęta się burza na temat konfliktu interesów, a jej skutkiem będzie ten sam żółtodziób z Ocala skarżący mojego gwałciciela i mojego seryjnego zabójcę, ja zaś będę się mogła tylko bezsilnie przyglądać, jak knoci robotę, a Bantling wychodzi na wolność. A będę to oglądała w telewizji, we własnym mieszkaniu, bo wcześniej zostanę wydalona z palestry i nie będę już prokuratorem. Więc proszę mi powiedzieć, doktorze Chambers, jak powinnam to załatwić. Bo przekazać sprawę komuś innemu mogłabym

jedynie wtedy, gdybym miała pewność, że Bantling zostanie skazany i zapłaci za to, co zrobił. A przecież nikt, absolutnie nikt nie da mi takiej pewności. Dlatego wszelkie ewentualne błędy procesowe mogę brać wyłącznie na siebie. Tak samo jak odpowiedzialność za to, że nie zapadnie wyrok skazujący. Nikt inny.

– Dlaczego tak uważasz? – zapytał z namysłem, jakby nie bardzo wiedział, jak ma traktować jej twarde stanowisko. – Pozwól, że zapytam cię jeszcze raz: Co zamierzasz dalej robić?

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu.

Tik-tak, tik-tak, bez przerwy tykają zegary.

– Muszę złożyć akt oskarżenia w ciągu trzech tygodni – odparła, cedząc słowa, jak gdyby dopiero teraz przyszło jej to do głowy i postanowiła na próbę ujawnić mu swój plan, ciekawa jego opinii. – Albo przynajmniej oficjalne doniesienie o popełnieniu przestępstwa. Tak czy inaczej, muszę przesłuchać wszystkich świadków aresztowania, spisać ich zeznania, zebrać raporty policyjne, ocenić materiał dowodowy... – Urwała na krótko, po czym dodała jeszcze bardziej stanowczo: – Moim zdaniem, jest za późno na zmianę prowadzącego sprawę. Muszę ją doprowadzić do końca, przynajmniej do postawienia Bantlinga w stan oskarżenia. Potem, przed właściwym procesem, będę mogła wziąć kogoś do pomocy, na przykład Rose Harris. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli i nabiorę przekonania, że da sobie radę i doprowadzi do skazania, przekażę jej po cichu prowadzenie oskarżenia, zasłaniając się choćby jakąś tajemniczą chorobą. Ale najpierw musiałabym zyskać absolutną pewność, że niczego nie schrzani i poprowadzi rozprawę, jak należy.

– Ale w takim wypadku też nie unikniesz konfliktu interesów, wciągając do współpracy kogoś ze swojego biura.

– Bantling w sądzie był tak pochłonięty próbami ratowania własnego

tyłka, że nawet mnie nie rozpoznał. Może to zabrzmieć śmiesznie w kontekście tego, co mi zrobił, lecz zaszczycił mnie tylko przelotnym spojrzeniem. – Zamilkła na chwilę, po czym ciągnęła nieco ciszej: – Podejrzewam, że zgwałcił tyle kobiet, iż w końcu musiał stracić rachubę. Po prostu nie pamięta ich wszystkich. Zresztą, jeden Bóg wie, jak bardzo się zmieniłam przez te lata. – Uśmiechnęła się smutno i zsunęła włosy za uszy. – Nikt poza mną nie wie, co mi zrobił. I gdyby sprawa kiedyś wyszła na jaw, zawsze będę się mogła tłumaczyć, że wcale nie byłam pewna, że go rozpoznałam. A ponieważ nie można go już osądzić w Nowym Jorku, nikt mi nie zarzuci, że świadomie nie powiedziałam prawdy, bo przecież i tak nie ma już po co wracać do tamtej sprawy – podsumowała pewnym, stanowczym tonem.

– To nie jest zabawa, C.J. Pomijając oczywiste kwestie natury etycznej, czy jesteś całkowicie przekonana, że emocjonalnie sprostasz wyzwaniom, jakie stawia przed tobą skarżenie tego człowieka przed sądem? Czy zdołasz na trzeźwo wysłuchać jego zeznań o tym, jak traktował pomordowane dziewczęta? Doskonale pamiętając, co zrobił tobie? I gdy nawet odległe skojarzenie czy zdjęcie okaleczonych zwłok będzie ci przypominało każdą chwilę z tamtej tragicznej nocy?

Chambers pokręcił głową.

– Dobrze wiem, co zrobił tym dziewczętom. Widziałam to na własne oczy. Przyznaję, że nie będzie mi lekko. Nie wiem, czy sobie poradzę. Ale przynajmniej będę miała świadomość, że wszystko zostało załatwione, jak należy. I będę też dokładnie wiedziała, gdzie on jest w danej chwili.

– Chcesz narazić na szwank swoją pozycję, utrzymując twoją sprawę w tajemnicy przed sądem?

– Tylko ja wiem o jego istnieniu. Nikt mi nie udowodni, że naprawdę znalazłam się w sytuacji konfliktu interesów. W tym celu musiałabym

oficjalnie przyznać, że go rozpoznałam. A sumienie na pewno nie będzie mnie dręczyło, jeśli temu zaprzeczę. – Urwała na chwilę, gdyż nagle przyszło jej do głowy coś, co powinna była wcześniej wziąć pod uwagę. – Czy to stawia pana w niezręcznej sytuacji, doktorze? Czuje się pan w obowiązku gdzieś to zgłosić?

Jako lekarz był zobowiązany powiadomić policję, gdyby dowiedział się od któregoś pacjenta o zamiarze popełnienia przez niego przestępstwa. Cała reszta wyznań z sesji psychoterapeutycznej objęta była zawodową tajemnicą. Jej chęć zatajenia przed sądem konfliktu interesów była z pewnością naruszeniem kanonów etyki prawniczej, ale z pewnością nie wykroczeniem przeciwko obowiązującym przepisom prawa.

– Nie, C.J. W końcu nie zamierzasz dopuścić się żadnego przestępstwa. A wszystko, co zostało powiedziane w tym pokoju, pozostaje oczywiście naszą wspólną tajemnicą. Nie muszę jej przed nikim ujawniać. Osobiście jednak nie umiem ocenić, czy to dobry pomysł dla ciebie, zarówno pod względem terapeutycznym, jako mojej pacjentki, jak i zawodowym, jako szanowanego prokuratora.

Przez chwilę zastanawiała się nad jego słowami.

– Muszę za wszelką cenę odzyskać kontrolę nad własnym życiem, choćby w części, doktorze Chambers. Czy nie to wkładał mi pan z uporem do głowy?

– Owszem. To prawda.

– Więc mam wyśmienitą okazję. Teraz mogę wszystko kontrolować. Nie muszę polegać ani na przemęczonym śledczym z Nowego Jorku, ani na jakimś półgłówku z Ocala. I nie pozwolę, by kontrolował je klaun albo Kupidyn. – Wstała i podniosła torebkę, zbierając się do wyjścia. Po jej łzach nie było już śladu. Desperacja wyczuwalna w głosie ustąpiła miejsca wściekłości. Powtórzyła z naciskiem: – Ja mam teraz kontrolę. I ja mam

władzę. Tym razem nie dopuszczę, by ten sukinsyn znów mi ją odebrał.

Odwróciła się na pięcie i pewnie wyszła z eleganckiego, emanującego spokojem gabinetu. Po drodze bez słowa pomachała ręką na pożegnanie tkwiącej za biurkiem Estelle.

. 32 .

– Zakład medycyny sądowej.

– Agent Dominick Falconetti i detektyw Manny Alvarez do doktora Joego Neilsona. Byliśmy umówieni na wpół do drugiej.

– Oczywiście. Doktor Neilson czeka na panów w holu.

Podniósł się szlaban i Dominick skręcił z zatłoczonej ulicy Czternastej na parking przed dwupiętrowym budynkiem z czerwonej cegły. Powoli wykręcił na miejsce oznakowane TYLKO DLA POLICJI, dokładnie na wprost szklanych drzwi głównego wejścia i ustawił wóz tuż obok nowiutkiego czarnego karawanu.

Manny z ociąganiem otworzył drzwi i wysiadł. Był nadzwyczaj małomówny przez całą drogę. Kiedy zauważył, że Falconetti wciąż siedzi za kierownicą, wsunął głowę do środka i zapytał nerwowo:

– Co? Nie idziesz, Dom?

– Idę. Daj mi parę minut, Mišku. Spotkamy się w środku. Muszę dokądś zadzwonić. To nie potrwa długo.

Wyjął z kieszeni telefon komórkowy, lecz obejrzał się jeszcze na przyjaciela. Najwyraźniej czekał z wybraniem numeru, aż Alvarez oddali się od samochodu.

Manny spojrzał w kierunku budynku i skrzywił się z niechęcią. Nie cierpiał rozmów z patologami. To był jedyny element pracy detektywa, który wciąż, nawet po szesnastu latach i widoku niezliczonych zwłok, napawał go dreszczem. Nie robiły na nim wrażenia martwe ciała spoczywające na stołach w prosektorium, choćby nawet znajdowały się w stanie zaawansowanego rozkładu; nie wzdrygał się, patrząc na topielców, jakich niemal codziennie

odnajdywano w którymś z czterech tysięcy kanałów, stawów i jezior w okolicach Miami, mimo że niektóre ciała miały wyżarte oczy albo poodrywane niektóre części ciała; nie ulegał przerażeniu, jak wędkarze nad Miami River bądź amatorzy surfingu na otwartym Atlantyku, którym tuż przed nosem wypływały rozdęte trupy. Najwyżej ogarniała go złość na widok martwego dziecka, bo to zawsze mocno przeżywał. Dreszcz obrzydzenia przenikał go na samą myśl o autopsji, o tym wszystkim, czym zajmowali się pracujący tu ludzie.

Niestety, sekcje zwłok były nieodłącznym elementem jego pracy, jako prowadzący dochodzenia w sprawie zabójstw musiał w nich regularnie uczestniczyć. Prokurator bowiem chciał jednoznacznie wiedzieć, która z trzynastu kul w plecach ofiary przerwała rdzeń kręgowy i stała się bezpośrednią przyczyną śmierci, które pchnięcie nożem okazało się śmiertelne albo czy przypadkiem nie było to samobójstwo. Dlatego Manny często bywał obserwatorem sekcji zwłok i nic nie wskazywało na to, by ten stan rzeczy miał się szybko odmienić. Nie cierpiał samego aktu rozcinania zwłok i bezdusznej procedury dokonywania ich oględzin. Tak było od samego początku jego pracy w policji i upływ lat nie stępił tego odczucia. Brzydził się chłodziarką z szufladami rozmiarów człowieka, dotkliwym chłodem panującym w jaskrawo oświetlonych salach sekcyjnych wyłożonych białymi kafelkami, żelaznymi stolikami na kółkach, wagą do ważenia organów, brzękiem piły i szczękaniem kleszczy do rozchylania żeber, szorstką czarną nicią, którą byle jak zaszywano zwłoki po zakończeniu autopsji. Tutaj ludzkie ciała nie były traktowane jak zwłoki ofiar, lecz jak obiekty badań gromady pomyleńców lubujących się w ich rozcinaniu, którzy celowo wybrali taką specjalność, żeby każdego dnia móc się z pasją oddawać swojemu obrzydliwemu hobby. W zimnych salach prosektoryjnych nagie

ciała leżały na żelaznych stołach wystawione na widok publiczny, od studentów medycyny do policjantów i woźnych, gdy jakiś doktor uzbrojony w piłę elektryczną zajmował się rozcinaniem czaszki, żeby sprawdzić, co znajduje się pod nią i ile to waży. Nienawidził naukowej bezduszności tego procederu. Nic poza tym. I tylko z tego powodu uważał pracowników zakładu medycyny sądowej za bandę stukniętych maniaków. Bo kto normalny mógł się na co dzień zajmować otwieraniem zwłok i przerzucaniem ich wnętrza? Oczywiście zdawał sobie sprawę, że to samo można powiedzieć o zajęciu detektywa z wydziału zabójstw. On jednak nie potrafił się uwolnić od myśli, że pewnego dnia sam znajdzie się na takim żelaznym stole, nagi, sztywny i odarty z resztek ludzkiej godności, a tuż nad uchem zawarczy mu elektryczna piła, bo jakiś ciekawski czubek i gromada jego podopiecznych będą chcieli sprawdzić rozmiary jego członka albo zmierzyć, ile nosił sadła pod skórą.

Na szczęście tego dnia razem z Dominikiem mieli tylko rozmawiać z doktorem Neilsonem na temat pewnych szczegółów przeprowadzonej wczoraj sekcji zwłok Anny Prado. Mimo to perspektywa wejścia do budynku, a raczej świadomość tego, co dzieje się w podziemiach, nawet gdy oni będą w ciepłym gabinecie rozmawiać przy kawie i pączkach, przyprawiała go niemal o palpację. Jak zwykle powtarzał w duchu, że nie życzy sobie, by to właśnie Joe Neilson badał jego zwłoki, gdy w końcu dostanie tu zawału i padnie bez życia na sterylne białe kafelki podłogi.

Manny obejrzał się, ale przez otwarte drzwi samochodu Dominick posłał mu spojrzenie mówiące: „Lepiej nie próbuj mnie przechytryć, *amigo*”.

–Dostaję dreszczy na myśl o spotkaniu z Neilsonem. Wkurza mnie to.

Misiek rzeczywiście wyglądał na zdenerwowanego. Głęboko zaciągał się resztką marlboro.

– Zawsze dostajesz dreszczy, gdy tu przyjeżdżamy, Manny.

– To prawda... – Jeszcze raz zerknął na Falconettego, który wciąż trzymał przed sobą telefon, czekając cierpliwie, aż on zniknie za szeregiem strzelistych palm. – No, dobra. Już idę. Ale wiesz co? Zaczekam na ciebie przed wejściem. Na zewnątrz.

– Jak na wielkiego, groźnego gliniarza to niezły z ciebie tchórz, Miśku. W porządku. Zaczekaj przed drzwiami. Tylko daj mi parę minut spokoju.

Manny ruszył przed siebie energicznym krokiem i po chwili zniknął mu z oczu. Dominick ponownie wybrał służbowy numer C.J., mając nadzieję, że tym razem usłyszy jej głos, ale znowu włączyła się automatyczna sekretarka. Zostawił krótką wiadomość: „Cześć, mówi Dominick. Jestem z Mannym w Zakładzie Medycyny Sądowej. Wysłałem ci sygnał na przywoływacz, ale chyba nie wzięłaś go z domu. Wydawało mi się, że chcesz być obecna przy tej rozmowie z Neilsonem. Zadzwoń do mnie na komórkę, jak odbierzesz tę wiadomość. Numer trzy-zero-pięć-siedem-siedem-sześć-trzy-osiem-osiem-dwa”.

Jeszcze przez chwilę trzymał aparat w ręku, spoglądając przez szybę na niechlujnie ubranego starszego mężczyznę na przednim siedzeniu karawanu, który jadł kanapkę i popijał czymś z puszki zapakowanej w szarą torbę papierową. Raczej nie była to coca-cola, a biorąc pod uwagę jego zawód, można się było domyślać, że tanią kanapkę z tuńczykiem popija piwem.

Zdawał sobie sprawę, że jego niepokój jest bezpodstawny, lecz zaczynał się denerwować przedłużającym się milczeniem C.J. Z samego rana zostawił Marisol wiadomość o wyznaczonym na wpół do drugiej spotkaniu z Neilsonem, gdyż był pewien, że C.J. zjawi się rano w biurze. Kiedy jednak nie oddzwoniła, kilkakrotnie wysyłał jej sygnał na przywoływacz, lecz także bez rezultatu, co było do niej całkiem niepodobne. W każdym razie jeszcze

do wczoraj nigdy by się nie spodziewał po niej takiej reakcji. Ewidentnie coś dziwnego działo się z nią od czasu wstępnego przesłuchania Bantlinga przed sądem, mimo że stanowczo temu zaprzeczała. Nie wątpił, że widział w jej oczach przerażenie, kiedy nagle zbladła jak ściana i omal nie zemdląca, gdy sędzia Katz zwrócił się do niej. A i wieczorem, kiedy rozmowa zeszła na temat Bantlinga, znowu jej twarz przybrała nagle ziemisty kolor i ni stąd, ni zowąd poprosiła nagle, żeby już sobie poszedł. Nie był mu potrzebny uniwersytecki dyplom z psychologii, by zrozumieć, że C.J. Townsend, prokurator ciesząca się do tej pory opinią niezłomnej i walecznej, z jakiegoś powodu była śmiertelnie przerażona. Co mogło ją aż tak wystraszyć? I co wspólnego miało to z Williamem Rupertem Bantlingiem?

Wciąż nie potrafił dojść do ładu z mieszanymi uczuciami, jakie ogarnęły go po dniu wczorajszym. Kiedy najpierw w sądzie, a potem w jej kuchni zobaczył ją przerażoną i bezbronną, poczuł przemożne pragnienie zapewnienia jej bezpieczeństwa. Miał ochotę objąć ją i przytulić, by uwolnić od strachu. Było to dziwne, nawet bardzo dziwne uczucie. Całkiem mu obce. To prawda, że flirtowali ze sobą już od paru miesięcy, gdyż bardzo mu się podobała. Co więcej, darzył ją wielkim szacunkiem za hart ducha, niezależność, uparte trzymanie się litery prawa mającego więcej dziur niż przegniła podłoga. Zdawała się prokuratorskim ideałem dla wszystkich ofiar przemocy, wytrwale broniącym ich sprawy, gotowym fanatycznie walczyć o nią przed sądem, jakby stale musiała coś udowodniać nie tylko dwunastu przysięgłym, lecz głównie samej sobie. Z przyjemnością obserwował, jak żarliwie podsumowuje przedstawione dowody winy czy też w jakiejś złożonej, niezbyt oczywistej rozprawie podejmuje spór z najbardziej egoistycznym i narcystycznym adwokatem z Miami i wygrywa. Bardzo mu się to w niej podobało.

W ciągu paru ostatnich miesięcy, gdy zaczęli się częściej spotykać w centrali grupy specjalnej bądź w jej gabinecie, gdy częściej także rozmawiali przez telefon, uzmysłowił sobie, że mają ze sobą więcej wspólnego, niż wynikałoby z suchej służbowej relacji między prawnikiem a oficerem dochodzeniowym. Przed powołaniem specjalnej grupy dochodzeniowej tylko szanował ją na gruncie zawodowym. Ale dzięki sprawie Kupidyna polubił ją także od strony prywatnej, jako kobietę. Nie mógł temu zaprzeczyć. Częściej zastanawiał się teraz, czy nie zaprosić jej na obiad albo do kina, ale sprawa seryjnego zabójcy pochłaniała go bez reszty, pracował nad nią po szesnaście godzin dziennie przez siedem dni w tygodniu, dlatego nigdy nie miał na to czasu. Nie wykluczał jednak, że podświadomie nie chce znaleźć na to czasu z innych powodów. Może wynikało to z opinii policyjnego psychologa, który orzekł, że przez pięć lat po śmierci Natalie nie powinien nawiązywać bliższych znajomości z kobietami. Niemniej, wczoraj wieczorem odsunął od siebie te powody, niezależnie od tego, czy były uświadomione, czy nie, i całkowicie zdał się na instynkt, pukając do drzwi mieszkania C.J. A teraz zaczynał tego żałować. Obawiał się, że po prostu ją wystraszył tym namiętnym pocałunkiem.

Facet za kierownicą karawanu skończył kanapkę i uświadomiwszy sobie widocznie, że stojący po sąsiedzku na zarezerwowanym miejscu samochód, choć nieoznakowany, musi być wozem policyjnym, pośpiesznie upchnął gdzieś pod siedzeniem papierową torbę z puszką.

Dominick wysiadł i w zamyśleniu ruszył w stronę cementowych schodków prowadzących do wejścia. Przed drzwiami młoda kobieta, chyba recepcjonistka, paliła papierosa i rozmawiała z kolegą, co najmniej dwukrotnie od niej starszym byłym śledczym wydziału zabójstw z komendy okręgowej Miami-Dade, który dał się skusić na lepszą pensję i stałe godziny

pracy w zakładzie medycyny sądowej. Śmiali się i żartowali, toteż nie chcąc im przeszkadzać, przeszedł bez słowa. Rozejrzał się tylko, ale Manny'ego nie było nigdzie w pobliżu. Albo stchórzył i zaszył się gdzieś w krzakach otaczających podjazd dla wózków inwalidzkich, albo też został żywcem pożarty i wciągnięty do środka przez samego diabła, kierownika zakładu, Joego Neilsona. Jeszcze przez szklane drzwi zauważył, że słuszne było to drugie przypuszczenie.

Neilson musiał zaciągnąć Manny'ego w głąb poczekalni, na utrzymaną w stylistyce lat siedemdziesiątych turkusową sofę z kasztanowymi poduchami, z której ten nie miał jak uciec. Doktor był ubrany w zielony strój chirurgiczny, na głowie miał jasnozielony czepek z cienkiej bawełny. Tłumaczył coś z zapalem, szeroko wymachując rękoma przed nosem Alvareza. Po jego wyglądzie łatwo się było domyślić, że dopiero przed chwilą wyłonił się z prosektoryjnych otchłani w podziemiach i wkroczył do świata żywych. Na szczęście pamiętał, aby zdjąć gumowe rękawice, gdy uściśnął dłoń potężnie zbudowanego detektywa, który trwożliwie zerkał na niego z taką miną, jakby na gwałt potrzebował drugiego papierosa albo papierowej torby dla cierpiących na chorobę lokomocyjną.

Dominick wszedł do środka i z szerokim uśmiechem, z daleka wyciągając rękę na powitanie, natychmiast podjął akcję ratunkową.

– Witam, doktorze. Mam nadzieję, że nie czekał pan na mnie zbyt długo. Musiałem przeprowadzić pilną rozmowę telefoniczną.

Neilson wstał i ruszył w jego kierunku, uwalniając tym samym Manny'ego z niewoli na sofie, i energicznie uściśnął dłoń Falconettiemu.

– Nie, skądże znowu. Ledwie zdążyłem zapytać detektywa Alvareza o postępy w śledztwie. Powiedziałem mu też, że z niecierpliwością czekałem na to spotkanie, ponieważ odkryłem coś bardzo interesującego, co chcę wam

pokazać w sali na dole.

Jego bezgraniczny entuzjazm w stosunku do wykonywanej pracy był zapewne kolejną przyczyną zdenerwowania Manny'ego. Wysoki, bardzo chudy, żyłasty doktor z zapadniętymi oczami, zdaniem Dominicka, musiał w młodości cierpieć na nadpobudliwość ruchową, gdyż do tej pory nie mógł usiedzieć na miejscu. Jeśli nie jego ręce czy nogi, to przynajmniej głowa albo oczy musiały być w ciągłym ruchu. Gdy coś zmuszało go do pozostania dłużej w jednym miejscu, zaczynał nerwowo przestępować z nogi na nogę, szybko mrugać, marszczyć nos albo poruszać ustami. Odnosiło się wrażenie, że lada chwila jego głowa po prostu eksploduje.

– Świetnie. Chodzi o Prado czy którąś z wcześniejszych ofiar?

– Na razie zająłem się dokładniejszym badaniem zwłok Prado, ale już wyciągnąłem raporty z autopsji innych dziewcząt, bo moim zdaniem będę musiał powtórzyć przynajmniej szczegółowe oględziny, skoro już wiem, na co zwracać uwagę. Czy możemy zaczynać, panowie?

Jego brwi jak na komendę zaczęły podskakiwać w górę i w dół, a powieki trzepotały w szybkim rytmie. Minęła wyznaczona godzina i pociąg musiał natychmiast wyruszyć ze stacji.

Tymczasem Alvarez wyglądał coraz gorzej, robił się zielony.

– Wszystko w porządku, Manny? Dobrze się czujesz? Może wolisz poczekać tutaj? – zapytał Dominick.

– O tym w ogóle nie może być mowy! – wykrzyknął podekscytowany Neilson. – Proszę za mną, detektywie. W laboratorium na dole mam świeżo zaparzoną kawę. Postawi pana na nogi.

Odwrócił się i ruszył w stronę windy.

– Tak, już idę. Idę. Niech pan prowadzi – burknął zrezygnowany Alvarez.

Drzwi się rozsunęły i w trójkę wsiedli do windy obitej nierdzewną stalową

blachą, na tyle długiej, żeby zmieścił się w środku szpitalny stół na kółkach.

– Doktorze, pani prokurator z biura prokuratora stanowego chciała być obecna przy naszej rozmowie – zaczął Dominick. – Zostawiłem jej wiadomość...

– C.J. Townsend? – przerwał mu Neilson. – Dzwoniła do mnie jakieś pół godziny temu. Prosiła, byśmy na nią nie czekali. Nie będzie mogła przyjechać. Powiedziała, że spotka się ze mną jutro lub pojutrze. Zatrzymały ją jakieś sprawy w sądzie czy coś w tym rodzaju.

Doktor wcisnął guzik oznaczony literą B i drzwi zasunęły się z cichym szumem. Winda ruszyła na dół.

. 33 .

Zwłoki Anny Prado leżały na stole sekcyjnym. Oczy były zamknięte. Jej cera, która na portrecie wiszącym na Ścianie miała odcień jasno-kremowy, teraz była popielatoszara do tego stopnia, że ledwie dało się dostrzec drobniutkie piegi na nosie. Długie blond włosy leżały rozrzucone, tworząc półkolistą aureolę wokół głowy i ramion, lecz te kosmyki, które zsunęły się poza krawędzie stołu, miały końce posklejane czarną zakrzepłą krwią. Białe szorstkie prześcieradło szpitalne, którym była przykryta po szyję, zasłaniało rozległe rany klatki piersiowej.

– Kiedy zadzwoniliście wczoraj i powiedzieliście o haloperidolu znalezionym w domu podejrzanego, od razu wysłałem próbki do szczegółowych badań i dziś rano otrzymałem wyniki.

Neilson stanął z boku stołu i jak gdyby tylko przypadkiem musnął dłonią zwieszające się spod prześcieradła szczupłe palce dziewczyny. Dominick dopiero teraz zwrócił uwagę, że miała bardzo długie, lecz zaniedbane paznokcie. Tylko na niektórych pozostały jeszcze resztki zniszczonego różowego lakieru.

– Haloperidol to nadzwyczaj silny lek uspokajający, stosowany do zwalczania stanów delirycznych u pacjentów cierpiących na psychozę i schizofrenię. Dużo bardziej jest znany pod handlową nazwą haldol. To naprawdę bardzo silny środek. Szybko uspokaja i rozluźnia chorego, pozwalając kontrolować jego zwiady i urojenia. Działa skutecznie nawet na najbardziej agresywnych psychotyków. W szczególnych przypadkach można go wstrzyknąć domięśniowo, aby uzyskać natychmiastowy efekt. Podany w odpowiednio dużej dawce może doprowadzić do katatonii, utraty

przytomności, śpiączki, a nawet śmierci. Mam nadzieję, że rozumieją już panowie, do czego zmierzam. – Zamrugał szybko, przenosząc wzrok z jednego na drugiego. – Ale wadą haloperidolu jest to, że nie da się go wykryć podczas naszych rutynowych analiz toksykologicznych, wykonywanych przy każdej autopsji. Potrzebne jest specyficzne badanie, trzeba szukać konkretnie śladów haloperidolu, by je wykryć. Ponieważ zachodziło podejrzenie, że zarówno Nicolette Torrence, jak i Anna Prado, miały we krwi jakiś silny środek uspokajający, gdyż ich płuca były wyraźnie cięższe niż zazwyczaj, oprócz stosowanych powszechnie środków objętych standardowym badaniem, takich jak valium, darvocet czy hydrocodon, poprosiłem o rozszerzoną analizę i poszukanie śladów rohypnolu, ketaminy oraz kwasu gamma-hydroksybutyrowego, czyli GHB, znanego na ulicy jako „czapa”, „specjał K” albo „płynna ekstaza”. Niczego jednak nie znaleziono. Nie byliśmy w stanie zidentyfikować narkotyku, którym przed śmiercią musiały zostać odurzone. Ale po pańskim wczorajszym telefonie, agencie Falconetti, przyszło mi do głowy, że haloperidol doskonale by pasował do zaobserwowanych objawów. Bo przecież to bardzo silny lek uspokajający. Poleciłem błyskawicznie wykonać dodatkową analizę i... *voilà!*

Postukał palcem w blaszaną tabliczkę, na której był przypięty arkusz z wynikami badań laboratoryjnych.

– Strzał w dziesiątkę! To haloperidol! Wtedy postanowiłem jeszcze raz sprawdzić treść żołądkową panny Prado, obawiając się, że coś wcześniej przeoczyłem. Ale nie znalazłem niczego podejrzanego. Pomyślałem, że to jeszcze nic nie znaczy, gdyż okres półrozpadu haloperidolu w krwiobiegu wynosi około sześciu godzin, więc jeśli śmierć nastąpiła pod koniec tego sześciogodzinnego okresu od chwili podania leku, musiał zostać całkowicie wchłonięty z treści pokarmowej, ale we krwi i tkankach wciąż były obecne

jego ślady. Zacząłem już wymyślać różne teorie. Pozwólcie więc, panowie, że na moment odejdę od tematu, gdyż bardzo mnie ciekawi, czy moje przypuszczenia są zgodne z waszą wizją przebiegu zbrodni. Otóż przepisana dawka haloperidolu, którego fiołkę znaleźliście, wynosiła po dwie dwudziestomiligramowe tabletki dziennie. Muszę zauważyć, że to bardzo duża dawka, nawet dla potężnie zbudowanego mężczyzny, który do pewnego stopnia jest już uodporniony na ten środek. Dla kogoś, kto nie zażywał go wcześniej, a do tego ma dużo mniejszą masę ciała, jedna dwudziestomiligramowa tabletką w zupełności wystarczy do wprowadzenia w stan skrajnej ospałości. Jeśli sprawca podał taką dawkę ofierze, powiedzmy, w napoju albo zamiast pigułki ekstazy, w ciągu kwadransa dziewczyna stanie się odurzona, język zacznie się jej plątać, nogi uginać pod ciężarem ciała, a zaburzenia równowagi są takie jak u kogoś pod silnym wpływem alkoholu. Jednocześnie procesy myślowe ulegają spowolnieniu, przez co łatwo jej wmówić wiele rzeczy. Ale, jak już wcześniej wspomniałem, haloperidol może być też podany w zastrzyku. Wtedy jego działanie jest natychmiastowe. Poza tym łatwiej go stosować. Szczerze mówiąc, w przypadku pacjentów, którzy nie chcą zażywać leków doustnie, można stosować haloperidol domięśniowo w mniejszych dawkach podawanych w regularnych odstępach czasu. Jeden zastrzyk działa średnio od dwóch do czterech tygodni. To mnie skłoniło do ponownych dokładnych oględzin zwłok.

Neilson zrobił teatralną pauzę, żeby utrzymać słuchaczy w napięciu, po czym szybkim ruchem ściągnął prześcieradło zakrywające zwłoki Anny Prado, jakby był sztukmistrzem występującym na scenie. Manny aż nabrał podejrzeń, że zaraz rozlegnie się gromkie „Abrakadabra!” Spod prześcieradła nie wyskoczył jednak biały królik. Nagie okaleczone ciało dziewczyny leżało

wyciągnięte na lodowato zimnym szpitalnym stole. Z chytrym uśmieszkiem sprzedawcy używanych samochodów demonstrującego walory zachwalanego gruchota, doktor przekreślił zwłoki na bok i wskazał pośladki.

Nie ulegało wątpliwości, że Prado zmarła w pozycji na wznak, ponieważ krew zebrała się pod skórą obu pośladków, pod łopatkami, na łokciach i pod kolanami. Kiedy jej serce przestało bić i krążenie ustało, grawitacja zrobiła swoje, ściągając krew z naczynek włosowatych do najniższej położonych części ciała. Fachowcy nazywali to sinicą.

– Popatrzcie sami! – rzekł triumfalnie Neilson, podając im dużą lupę.

We wskazanym miejscu znajdowała się niewielka ranka, oderwany został fragment skóry. Pod nim widać było mikroskopijną czarną plamkę, prawie niewidoczną gołym okiem.

– Znalazłem dwa takie ślady po ukłuciu igłą. Nie zauważyłem ich wcześniej ze względu na silne zasinienie w tej części ciała. Poza tym nawet nie przyszło mi do głowy, żeby ich szukać. Jak widzicie, wyciąłem drobny fragment naskórka, żeby obejrzeć pod mikroskopem uszkodzenia naczyń krwionośnych w tym obszarze. Oba znalezione przeze mnie ślady są identyczne z tymi, które powstają po ukłuciu igłą strzykawki. Moim zdaniem są to właśnie ślady po wstrzyknięciu haloperidolu.

Manny widocznie nie był przekonany, że Neilson, postrzegany przez niego jako król wampirów, mógł się w jednej chwili przeistoczyć w Sherlocka Holmesa.

– Chwileczkę, doktorze – wtrącił. – Wszystkie dziewczęta były przed śmiercią torturowane z wykorzystaniem całej gamy różnych dziwnych narzędzi. Czy te ślady pochodzą od zwykłej igły, jaką ten czubek mógł nakłuwać ofiary, chcąc osiągnąć sadystyczną radość? Skąd może pan wiedzieć, że to ślady po zastrzykach?

Neilson zrobił obrażoną minę, jakby nie mógł się pogodzić, że Manny ma czelność podawać w wątpliwość jego hipotezę. Szybko jednak odzyskał zimną krew i z uśmiechem świadczącym o głębokim poczuciu wyższości, ignorując to pytanie, ciągnął dalej:

– Po odkryciu tych śladów zacząłem jeszcze dokładniej oglądać zwłoki i znalazłem coś jeszcze. – Ułożył zwłoki z powrotem na wznak i tym razem przekręcił ramię wewnętrzną stroną do góry, zarazem odsuwając je od boku. Całe ręce Prado były podrapane i posiniaczone, a szczególnie w przegubach, które prawdopodobnie miała obwiązane jakimś sznurkiem albo linką. Wskazał podobny, ledwie widoczny krwisty punkt po wewnętrznej stronie przedramienia. – Jak widzicie, tutaj znajduje się następny ślad po igle, ale nie jest to miejsce po zwykłym zastrzyku. Sprawca wkłuł się w żyłę, do której musiał podłączyć kroplówkę. Nie udało mu się to za pierwszym razem, gdyż żyła jest uszkodzona w kilku miejscach. Musiał zresztą próbować wielokrotnie, ponieważ znalazłem dwa inne miejsca z podobnymi uszkodzeniami, na drugiej ręce i nad kostką nogi.

– Kroplówka? – zdziwił się Dominick. – Po diabła miałyby to robić? Sądzi pan, że najpierw stosował zastrzyki z haldolu, a potem przestawił się na kroplówkę? Tylko po co? Dla mnie to nie ma większego sensu.

Przypomnieli mu się Dusieciele z Hillside, dwaj sadystyczni kuzyni z Kalifornii, którzy porywanym kobietom podawali dożylnie przez kroplówkę różne płyny czyszczące i inne środki gospodarstwa domowego, ciekawi ich oddziaływania na organizm człowieka.

– Nie. Oczywiście, że nie miałyby to żadnego sensu – odparł wyraźnie poirytowany Neilson. Chyba zaczął powoli tracić cierpliwość, gdyż coraz częściej nerwowo przytupywał i zgrzytał zębami. – Dlatego prowadziłem dalej badania, aż w końcu znalazłem coś jeszcze. Coś, czego na początku w

ogóle nie przyszło mi do głowy szukać, a co definitywnie wyjaśnia konieczność zastosowania kroplówki.

– Co takiego, do pioruna? – burknął opryskliwie Manny. Ewidentnie nie był przekonany, że jest to odpowiedni czas i miejsce na stosowanie tanich chwytów rodem z telewizyjnego talk-show.

Neilson kierował całą uwagę na Dominicka.

– Zarządziłem dalsze badania laboratoryjne i wykryłem jeszcze jeden narkotyk w jej krwi – odparł. – Chlorowodorek mivacurium.

– Mivacurium? A cóż to znowu? – spytał Falconetti.

– Występuje w handlu pod nazwą mivacron i można go stosować wyłącznie dożylnie. To środek powodujący rozluźnienie mięśni szkieletowych. Pierwotnie miał służyć jako lek znieczulający i rozluźniający w czasie operacji chirurgicznych. Ale już po przeprowadzeniu wstępnych testów na pacjentach w Afryce szybko się okazało, że choć faktycznie jest bardzo skuteczny w działaniu rozluźniającym, to, niestety, nie ma żadnego działania znieczulającego czy przeciwbólowego. Rzecz jasna, problem ten mógł zostać ujawniony dopiero po operacji i po ustaniu rozluźniającego działania na mięśnie szkieletowe, kiedy pacjenci w końcu odzyskiwali zdolność mówienia. Przynajmniej ci, którzy przeżyli zabieg, opowiadali później, że w jego trakcie z całą mocą odczuwali ból, i to przez cały czas trwania operacji.

– Tylko wcześniej nie mogli tego zasygnalizować... – uzupełnił Dominick, lecz szybko urwał, kiedy zaczęło do niego docierać, w jakim kierunku prowadzi ta rozmowa.

– Zgadza się. Język i mięśnie twarzy mieli sparaliżowane, więc w ogóle nie mogli mówić. – Neilson znowu zawiesił głos, by policjanci mogli pojąć wynikające z tego implikacje. Ale ich miny świadczyły wyraźnie, że już

osiągnął zamierzony efekt. Ostatecznie udało mu się wprowadzić w osłupienie nawet tak doświadczonych śledczych. Dodał więc niemal radosnym tonem: – Muszę przyznać, że schwytaliście prawdziwie genialnego sadystę!

– Może pan powiedzieć, jakie dawki tego środka stosował?

– Trudno dokładnie ocenić. Co do haloperidolu, jego poziom we krwi był stosunkowo niski. Wydaje mi się, że zależało mu tylko na tym, by była oszołomiona dość krótko. Natomiast dawka chlorowodoru mivacurium była moim zdaniem wystarczająca do tego, żeby ją całkowicie sparaliżować. Proszę jednak pamiętać, że mivacron w ogóle nie działa na świadomość człowieka, zatem dziewczyna musiała być cały czas przytomna, tyle że nie mogła się poruszyć. A ponieważ jest to lek o chwilowym działaniu i szybko uległa rozkładowi w organizmie, trzeba go podawać stale dożylnie. Równie szybko rozkłada się po śmierci człowieka, stąd można wnioskować, że ofiara pożegnała się z życiem, wciąż będąc podłączona do kroplówki. To by ponadto wyjaśniało, dlaczego ten ślad wygląda tak świeżo. Igła została wkłuta w żyłę na krótko przed śmiercią ofiary.

– Zatem to psychopata, prawdziwy psychopata, skoro po zastosowaniu haloperidolu... – zaczął Dominick, ale wściekłość nagle ścisnęła go za gardło. Obrzydzenie, jakie wywołała myśl o całej otoczce niezdrowej sensacji towarzyszącej takiej sprawie, odebrała mu mowę. Jakby sama śmierć młodych pięknych dziewcząt nie była dostateczną tragedią i budziła za mało dreszczy! Po krótkiej przerwie przedstawimy dalsze rewelacje! Proszę zostać z nami! Oderwał się od tych skojarzeń, żeby zapytać: – Co to może oznaczać, doktorze? Mamy do czynienia ze schizofrenikiem, z cierpiącym na depresję maniackalną czy z psychopatą? Co należy wnioskować z faktu, że przepisywano mu haldol?

– Nie jestem psychiatrą, agencie Falconetti. Nie umiem postawić w ciemno diagnozy. Haloperidol stosuje się w różnych stanach zaburzeń psychicznych.

– Jasna cholera. No to mamy perspektywę niepoczytalności – mruknął Manny.

Adwokaci niemal automatycznie występowali z wnioskiem o wycofanie oskarżenia ze względu na niepoczytalność klienta zawsze, gdy ten w przeszłości korzystał z pomocy psychiatrycznej, szczególnie w przypadkach schizofrenii paranoidalnej, depresji maniakalnej czy choćby dobrze udokumentowanych załamania psychicznych. Jeśli tylko istniała szansa udowodnienia, że oskarżony znajdował się w takim stanie, iż nie rozumiał natury popełnianych czynów, nie zdawał sobie sprawy z ich konsekwencji bądź nie potrafił odróżnić dobra od zła, zaczęli wywierać presję na prokuratora, by sam zastrzegł przed sędzią, że była to zbrodnia w stanie niepoczytalności, bo w przeciwnym razie mogą to orzec przysięgli. Nikomu na tym nie zależało, gdyż zamiast kary więzienia oskarżonemu groził najwyżej pobyt w zamkniętym ośrodku dla czubków. I nie mogło być mowy o jakimkolwiek wyroku, bo w takich wypadkach trudno było zakładać, że zamknie się go w szpitalu psychiatrycznym do końca życia. Gdyby odzyskał normalny stan psychiczny, w każdej chwili mógłby wyjść na wolność. Wyjście było dość proste. Mając trochę szczęścia i wystarczająco dużo pieniędzy na przekupienie psychiatrów orzekających dla sądu, nawet sprawca najcięższych przestępstw mógł liczyć na to, że po dziesięciu latach wracał spokojnie do swojego domku na zacisznych przedmieściach.

Tymczasem Dominick zaczął w myślach odtwarzać ostatnie minuty krótkiego życia pięknej Anny Prado. Nie mógł zapomnieć jej szeroko rozwartych z przerażenia oczu, gdy ujrzał ją po raz pierwszy w bagażniku

jaguara. Na zawsze zastygł w nich śmiertelny strach, jaki odczuwała tuż przed śmiercią. Teraz i on, wzorem Manny'ego, poczuł, że robi mu się niedobrze. Ze spuszczoną głową usiłował pozbierać myśli, ogarnąć szybko to, co wciąż wydawało mu się niepojęte, by wreszcie ująć w słowa scenariusz, który w wyobraźni odtwarzał jak najczarniejszy filmowy horror.

– Tak więc ten psychol podawał dziewczętom haldol, który przepisał mu lekarz. Wprowadzał je w stan odrętwienia, żeby bez przeszkód wyprowadzić z klubu na ulicę, na oczach setek świadków, z których połowa była pod tak silnym działaniem koki czy też alkoholu, że nawet by się nie zorientowała, iż podrywa ich seryjny morderca. Później przetrzymywał je przez pewien czas w jakimś miejscu, z dala od ludzi, i dalej szprycował tym świństwem, czy to w pigułkach, czy przez kroplówkę, używając sobie na nich do woli. Zabawiał się przez kilka dni albo nawet tygodni, stosował swoje sztuczki i gwałcił ofiary na setki różnych sposobów, po czym wyprowadzał je z narkotycznego odrętwienia, żeby przejść do wielkiego finału. Podłączał je do kroplówki i podawał dużą dawkę środka wywołującego całkowity paraliż wszystkich mięśni, ale niepowodującego utraty świadomości, żeby mogły odczuwać nieopisany ból, kiedy na żywca rozcinał im skalpelem klatkę piersiową, rozłupywał mostek, odchyłał żebra i wycinał serce.

– Jasna cholera! Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek w historii trafił się aż taki sadysta!

Neilson pokiwał głową i dodał:

– Znalazłem także ślady kleju akrylowego na powiekach, z których wiele rzęs było wyrwanych.

Na szczęście w jego głosie nie było już tego szokującego entuzjazmu, co pięć minut wcześniej, bo tym razem Dominick chyba już by się nie opanował i zdzielił go po łbie. Albo przynajmniej przytrzymał, żeby zrobił to Manny.

– Co to oznacza?

– Że prawdopodobnie przyklejał im powieki taśmą samoprzylepną.

– Żeby mogły widzieć wszystko, co będzie im robił? Jak będzie wyrywał im serce z piersi? Matko Przenajświętsza... – Falconetti energicznie potrząsnął głową, próbując się uwolnić od tej wizji. – Dzięki Bogu, że przyskrzyniliśmy tego wariata, Miśku.

Manny wbijał nieruchome spojrzenie w nagie, okaleczone zwłoki Anny Prado i rozmyślał, że przecież była czyjąś córką, siostrą, dziewczyną. Nieprzeciętna uroda mogła jej przynieść karierę zawodowej modelki. A teraz gruba czarna dratwa miała zaszyć klatkę piersiową rozciętą od krtani aż do pępka i połączyć brzegi poprzecznej rany pod piersiami, utworzyć wielki zygzakowaty czarny krzyż, żeby zamknąć tę czarną jamę, w której kiedyś biło serce.

– Nie cierpię tego pieprzonego prosektorium – wydukał niepewnym głosem.

Dahlia Street 134-05, m. 13, Flushing, okręg Queens, Nowy Jork.

Miała to wreszcie czarno na białym, na wydruku z bazy danych rejestracji pojazdów dostarczonym wczoraj przez Dominicka. Taki adres zamieszkania Williama Ruperta Bantlinga widniał na prawie jazdy wydanym w Nowym Jorku, ważnym od kwietnia 1987 roku do kwietnia roku 1989. Jeden przystanek autobusowy od St. John's, dziesięć minut jazdy samochodem Northern Boulevard do jej mieszkania przy Rocky Hill Road, zaledwie przecznicę od gmachu Bally'ego przy ulicy Main 135, gdzie miała podjąć pracę.

Odchyliła się na oparcie fotela i zaczerpnęła głęboko powietrza. Mimo że od samego początku, od chwili, gdy w sądzie usłyszała głos Bantlinga, była całkowicie przekonana, że go rozpoznała, ogarnęło ją teraz poczucie wielkiej ulgi, że się nie pomyliła. Miała przynajmniej pewność, że tym razem nie wariuje, że naprawdę słyszała ten głos i nie wymyśliła go sobie w przypiływie paranoi. Potwierdzał to otrzymany właśnie dowód.

Mieszkał w Nowym Jorku zaledwie parę kilometrów od niej, kilkaset metrów od sali, gdzie chodziła na zajęcia z aerobiku. W pamięci odżyły słowa, które z wyraźną rozkoszą wyszeptał jej wtedy do ucha:

Zawsze będę cię obserwował i pilnował, Chloe. Zawsze. Nie uwolnisz się ode mnie, bo zawsze cię odnajdę.

Teraz wiedziała, że nie były to przechwałki, ponieważ faktycznie mógł ją ciągle obserwować. I to nie tylko w sali gimnastycznej, ale zapewne również w metrze, może też w Peking House, jej ulubionej chińskiej restauracji we

Flushing, albo U Tony'ego, ulubionej pizzerii przy Bell Boulevard w Bayside. Mógł jej towarzyszyć niemal na każdym kroku, gdyż mieszkał w pobliżu, był tam przez cały czas. Wróciła pamięcią do swego poprzedniego życia sprzed dwunastu lat, próbując sobie przypomnieć, czy wtedy nie wpadła jej gdzieś w oko jego twarz. Nie pamiętała jej jednak.

Rozległo się stłumione pobrzękiwanie, potem głośny łomot w drzwi i zanim zdążyła się odezwać, Marisol jak burza wpadła do gabinetu. Metaliczne dzwonienie pochodziło od kilkunastu złotych bransoletek na jej ręku.

– Wzywała mnie pani?

– Proszę poustalać dokładne godziny przesłuchań w sprawie Kupidyna, które muszą się odbyć w przyszłym tygodniu.

Podowała jej kopię formularza aresztowania Bantlinga, na której przy każdym nazwisku świadka wpisała ołówkiem proponowany termin przesłuchania. Rozmowę z Dominickiem wyznaczyła na koniec tygodnia, mimo że to on prowadził dochodzenie i rutynowo powinien składać zeznania jako pierwszy. Po wizycie u doktora Chambersa podjęła dwie ważne decyzje. Pierwszą, że poprowadzi dalej sprawę, przykładając się do tego z całą zawodową odpowiedzialnością, i rozpocznie przygotowania do rozprawy. Drugą, że nie jest to najlepsza pora na rozwijanie bliższej znajomości z jakimkolwiek mężczyzną, zwłaszcza z agentem prowadzącym dochodzenie w tej właśnie sprawie, tym bardziej że dla niej oskarżony znaczy dużo więcej niż zwykły podsądny. Dlatego potrzebowała dystansu w stosunkach z Dominickiem, powrotu do czysto zawodowych kontaktów. Niezależnie od swoich uczuć do niego i nadziei, jakie mogła wiązać z tą znajomością, musiała zachować wszystko w tajemnicy, nie mogła wyjawić mu swojego sekretu. A związek oparty na oszustwie i kłamstwach był, jej zdaniem,

niczym domek z kart. Wcześniej czy później musiał runąć.

– Mamy bardzo mało czasu, Marisol, a trzeba przesłuchać wielu świadków – wyjaśniła łagodnym tonem, mając nadzieję, że zdoła zdobyć przynajmniej zrozumienie sekretarki. – W ciągu dwóch tygodni muszę przygotować akt oskarżenia dla komisji sędziowskiej. Pozapisywałam wstępnie daty i godziny przesłuchania każdego z funkcjonariuszy. Daj mi po trzy kwadranse na rozmowy z nimi i po trzy godziny na przesłuchanie Alvareza oraz Falconettiego.

Marisol z ociąganiem wzięła od niej formularz.

– W porządku. Poustalam terminy. Coś jeszcze? Jest już prawie wpół do piątej.

C.J. spojrzała na zegarek. Rzeczywiście, minęła szesnasta. Całkiem zapomniała, że mogło się palić i walić, a Marisol musiała wyjść z biura punktualnie o wpół do piątej.

– Owszem. Przez najbliższe dni będę też musiała zapoznać się z setkami raportów i wyników badań. Szczerze mówiąc, już dziś posiedzę tu pewnie do późnej nocy. Dlatego chcę, żebyś odwołała jutrzejsze spotkanie z rodziną ofiary w sprawie Wilkersona i wyznaczone na popołudnie wstępne przesłuchanie detektywów Munoz i Hogana w sprawie Valdona. Do rozprawy pozostały jeszcze dwa tygodnie, więc przesuń ich obu na piątek. Aha, i byłabym wdzięczna, gdybyś przez najbliższe dni nie łączyła mnie z nikim poza prokuratorem stanowym, chyba że wybuchnie pożar. Zapisuj tylko, kto dzwoni, i ewentualnie odbieraj wiadomości.

Uśmiechnęła się do sekretarki, zachodząc w głowę, czy Marisol w ogóle jest zdolna do uśmiechu. Chyba nie była.

– Oczywiście – burknęła, odwróciła się na pięcie i wymaszerowała na korytarz, mamrocząc pod nosem hiszpańskie przekleństwa, słyszalne nawet

przez drzwi, które zatrzasnęła z hukiem.

C.J. miała poważne wątpliwości, czy Marisol istotnie by ją zawiadomiła, gdyby budynek stanął w ogniu. Musiała to zaliczyć na poczet kosztów łączącej ich suchej służbowej zależności. Pozostawało mieć nadzieję, że czujniki dymu działają prawidłowo, a skacząc z okna pierwszego piętra, nie połamie sobie nóg. No i mogła zapomnieć o jakimkolwiek zrozumieniu ze strony sekretarki.

Siedziała sama w swoim gabinecie, w fotelu obitym wiśniowym skajem, i patrzyła przez okno na stojący naprzeciwko gmach sądu okręgowego, w którym mieścił się zarazem areszt okręgowy nazywany tu w skrócie DCJ, gdzie siedział obecnie jej gwałciciel pozbawiony prawa wyjścia na wolność za kaucją, będący więźniem stanu Floryda i podopiecznym wymiaru sprawiedliwości. Powoli sączyła zimną kawę, patrząc, jak jej koledzy wracają z sądu do biura, niektórzy tylko z cienkimi aktami pod pachą, inni ciągnąc za sobą całe rozchwiane wózki wyładowane papierami. Po rozmowie z doktorem Chambersem otumaniająca mgła, która zdawała się szczelnie spowijać jej umysł przez ostatnie dwie doby, zaczynała się stopniowo rozwiewać, pozwalając myślom układać się w logiczne ciągi i odsłaniając szerszą perspektywę. Powoli wracało poczucie celowości działania, nawet gdyby w przyszłości miało się okazać, że droga prowadzi w ślepy zaułek.

Teraz potrzebne jej były odpowiedzi na setki pytań, jakie w ciągu minionego roku pojawiły się w sprawie Kupidyna, ale także tych dotyczących przeżytego napadu, które zadawała sobie na okrągło przez dwanaście lat. Odczuwała przemożne pragnienie i potrzebę poznania całej prawdy, chciała dowiedzieć się wszystkiego, co tylko możliwe o tym człowieku, tym potworze, Bantlingu. Kim był? Skąd pochodził? Czy miał żonę? Dzieci? Rodzinę? Przyjaciół? Gdzie mieszkał? Jak zarabiał na życie?

Jak dobrze znał swoje ofiary? Gdzie je spotykał? Jak wybierał?

Czy wcześniej znał Chloe Larson? Dlaczego wybrał właśnie ją?

Kiedy stał się gwałcicielem? A kiedy mordercą? Czy miał na sumieniu jeszcze inne ofiary, o których nikt dotąd nie wiedział?

Czy więcej kobiet przeszło to samo, co ona?

Przede wszystkim jednak zależało jej na poznaniu motywów. Dlaczego nienawidził kobiet? Po co ciął je nożem i torturował? Dlaczego wycinał im serca, zanim zabił? Czym się kierował, wybierając właśnie te?

Dlaczego wybrał ją? I dlaczego zostawił ją przy życiu?

Dwanaście lat i tysiące kilometrów dzieliły tamtą noc, kiedy została zgwałcona, od zabójstw Kupidyna, lecz mimo to nie potrafiła rozdzielić w głowie pytań dotyczących obu tych spraw. Zdarzenia przenikały się wzajemnie, a wątpliwości splatały nierozzerwalnie, domagając się tych samych wyjaśnień.

Gdzie Bantling ukrywał się przez tych dwanaście lat? Gdzie oddawał się swoim obłąkańczym, okrutnym fantazjom? Z prokuratorskiego doświadczenia w sprawach gwałcicieli i pedofilów, jak też z niezliczonych seminariów i konferencji, w których brała udział przez te lata, wiedziała, że przejawy okrucieństwa w kontaktach seksualnych nigdy nie są dziełem przypadku, a tendencje do takich zachowań nie zanikają same z siebie. Wręcz przeciwnie, z czasem się nasilają, będąc efektem prób realizacji coraz bardziej wyuzdanych fantazji erotycznych. Niekiedy takie fantazje wykluwają się przez kilka tygodni, miesięcy, a nawet lat, zanim znajdą odzwierciedlenie w rzeczywistości, a do tego czasu przestępca będzie postrzegany przez otoczenie jako dobry sąsiad i dobry kolega, przykładowy mąż i wzorowy ojciec. Tylko w jego głowie, w tajemnicy przed wszystkimi, będą kiełkować odrażające destrukcyjne myśli, które w końcu zawładną jego

umysłem, zaleją go niczym lawa, pochłaniając wszelkie inne pragnienia do czasu wcielenia ich w życie. Często się zdarza, że niewinny podglądacz zostaje włamywaczem, potem gwałcicielem, który w końcu posuwa się do zabójstwa. To tylko kwestia urzeczywistniania poszczególnych etapów fantazji. A z każdą zbrodnią, jaka ujdzie mu na sucho, sprawca staje się coraz bardziej bezczelny, przekracza kolejne granice i każdy następny krok przychodzi mu z coraz większą łatwością. Seryjni gwałciciele nigdy nie zrywają ze swoim procederem, dopóki coś ich nie powstrzyma, czyli nie wyładują w więzieniu, nie popadną w obłąd uniemożliwiający im dalsze zbrodnie czy też nie umrą.

Bantling pasował do klasycznego profilu psychologicznego seryjnego gwałciciela. Jednocześnie był sadystą czerpiącym przyjemność z zadawania innym bólu i cierpienia. Wróciła wspomnieniami do tamtej burzowej czerwcowej nocy sprzed dwunastu lat, której każda minuta w jej świadomości ciągnęła się jak godzina. Wszystko, od początku do końca, zaplanował do perfekcji, włącznie z przygotowaniem „torby ze sztuczkami” pozwalającej mu realizować ukryte fantazje. Sam gwałt mu nie wystarczał. Potrzebne mu jeszcze były fizyczne tortury, poniżanie i zadawanie bólu na wszelkie możliwe sposoby. Jej cierpienia wprowadzały go w stan euforii i podniecały seksualnie. Mimo to najpotężniejszą bronią, jakiej użył przeciwko niej, wcale nie były przyniesione w torbie narzędzia czy nóż myśliwski o ząbkowanym ostrzu, ale bardzo szczegółowe informacje o jej życiu, jakie udało mu się wcześniej zdobyć. Wiedział niemal wszystko, łącznie z intymnymi szczegółami, o niej, najbliższej rodzinie, znajomych, karierze zawodowej – poczynając od szkolnego przezwiska, a skończywszy na ulubionej marce szamponu do włosów. Takie fakty były jak miecz rozcinający jej więzi z innymi ludźmi, kruszący zaufanie do nich i niweczący

plany na przyszłość. Chloe Larson na pewno nie była przypadkowo wybraną ofiarą na tę jedną noc. Starannie ją wyselekcjonował i osaczył jak tropione zwierzę.

Jeśli zatem Bantling był typowym seryjnym gwałcicielem, który z czasem przemienił się w seryjnego mordercę, o czym była głęboko przekonana, to gdzie w takim razie należało szukać innych jego ofiar z tych jedenastu lat, jakie dzieliły jej gwałt od ujawnienia zabójstw Kupidyna w kwietniu 1999 roku?

Osobnik przebywający teraz w areszcie po drugiej stronie ulicy, wielokrotnie zmieniał miejsce zamieszkania, przeniósł się z Nowego Jorku do Los Angeles, potem do San Diego, Chicago, Miami. Zdążyła już sprawdzić archiwa przestępstw kryminalnych ze wszystkich stanów, w których mieszkał, ale nie znalazła absolutnie niczego, nawet wystawionego na nazwisko Bantlinga mandatu za przekroczenie szybkości.

Pozornie mógł więc uchodzić za wzorowego obywatela. Czy w ogóle było możliwe, żeby przez tyle lat dusił w sobie ukryte pragnienia, dławił sadystyczne inklinacje seksualne, które dopiero niedawno pchnęły go na drogę brutalnych morderstw Kupidyna? Bardzo w to wątpiła. Starannie i szczegółowo zaplanowany napad na nią oznaczał prawdopodobnie, że nie była jego pierwszą ofiarą, a okrucieństwo towarzyszące gwałtowi dowodziło braku panowania nad sobą. Zapewne już wtedy z trudem przychodziło mu zachować kontrolę nad swoimi fantazjami erotycznymi i pragnieniem użycia przemocy. Wszystko wskazywało na to, że po paru miesiącach musiał zacząć szukać następnej ofiary. Żadną miarą nie mógł się hamować aż przez dziesięć lat. C.J. podejrzewała, że i ona miała zostać jego ofiarą, martwą, tylko przypadek sprawił, że wyszła z tego z życiem. A może jednak się myliła i

celowo nie zadał jej śmiertelnych obrażeń?

Wiedziała, że śledczy z grupy dochodzeniowej dokładnie prześwietlą życie Bantlinga, rozłożą je na części pierwsze, szukając tych samych odpowiedzi. Zapewne też sprawdzali już rejestry skazanych i zatrzymanych we wszystkich stanach, w których kiedyś mieszkał. W najbliższych dniach zostaną rozesłane po całym kraju polecenia dokonania przesłuchań byłych sąsiadów, kolegów z pracy i kochanek Bantlinga w nadziei odkrycia, że popełnił on na przykład zabójstwo w Kalifornii, zanim przekształcił się w uzbrojonego w skalpel psychopatę z South Beach. Jego dane personalne wraz ze szczegółowymi opisami zabójstw Kupidyna wprowadzono już do wszelkich baz danych FBI, Interpolu i Międzynarodowej Agencji Policyjnej w celu sprawdzenia, czy nie doszło do analogicznych niewyjaśnionych zbrodni w innych rejonach jurysdykcji oraz innych krajach. Czy jakieś młode kobiety nie zniknęły w tajemniczych okolicznościach w tych miastach, które Bantling odwiedzał służbowo? Do tej pory niczego takiego nie znaleziono, bo jak należało oczekiwać, detektywi w pierwszej kolejności poszukiwali nierozwikłanych przypadków morderstw na tle seksualnym.

Wykorzystując lokalnego operatora sieci Lexus/Nexus, z którą biuro prokuratora stanowego miało podpisaną umowę na obsługę przeszukiwania baz danych, zaczęła na własną rękę szukać odpowiedzi. Zaczęła od przejrzenia wydań lokalnych gazet z tych miast, gdzie Bantling mieszkał od roku 1988. W Los Angeles, gdzie w okresie od 1990 do 1994 roku miał dwa mieszkania w różnych częściach miasta, spędzał większość czasu. Połączyła się więc z archiwum „Los Angeles Times” i wprowadziła do wyszukiwarki słowa kluczowe mające związek z zabójstwami Kupidyna: blond, kobieta, zaginiona, zwłoki, poćwiartowane, okaleczone, zamordowana, napadnięta, nóż, torturowana. W sumie zaprogramowała wyszukiwanie dwudziestu słów

w dwudziestu różnych kombinacjach. Połączyła się nawet telefonicznie z dyżurnym operatorem sieci, żeby zapytać, jak najlepiej wprowadzać słowa kluczowe i w jakich zestawieniach, ale niczego nie znalazła poza kilkoma zamordowanymi prostytutkami, paroma brutalnymi atakami mężów na żony z użyciem noża czy też zaginionymi blond nastolatkami, które nie wróciły ze szkoły do domu. Nie miało to nic wspólnego z Kupidynem. Nie natrafiła na żadną wzmiankę o przypadłej bez wieści studentce czy początkującej modelce albo niewyjaśnionym przypadku rytualnego zabójstwa połączonego z wycięciem serca. Takie same poszukiwania wykonała w archiwach „Chicago Tribune”, „San Diego Times”, „New York Times”, „Daily News” oraz „New York Post”, lecz i to nic nie dało. Postanowiła ograniczyć zakres i wróciła jeszcze raz do archiwum „Los Angeles Times”, tym razem wprowadzając tylko pięć słów kluczowych: kobieta, gwałt, nóż, napad, maska.

Program znalazł trzy artykuły.

W styczniu 1991 roku studentka Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles obudziła się o trzeciej nad ranem w swoim pokoju na parterze akademika i ujrzała stojącego nad jej łóżkiem mężczyznę w gumowej masce klauna. Przez kilka godzin była brutalnie gwałcona, bita i torturowana. Niezidentyfikowany napastnik uciekł, wyskakując przez okno.

W lipcu 1993 roku młodą barmankę, która o pierwszej w nocy skończyła pracę, w jej mieszkaniu w Hollywood zaskoczył nieznany mężczyzna w gumowej masce klauna. I ona została brutalnie zgwałcona. Z kilkoma ciętymi ranami od noża przewieziono ją do szpitala, ale na szczęście jej życiu nic nie zagrażało. Sprawca nie został schwytany.

W grudniu 1993 roku studentka z Santa Barbara, którą znajomi znaleźli nieprzytomną w jej mieszkaniu na parterze, okazała się ofiarą przerażającego

gwałtu dokonanego przez niezidentyfikowanego napastnika, który w środku nocy włamał się przez okno. Nosił gumową maskę klauna. Także nie został schwytany, nie znaleziono nawet nikogo podejrzanego.

Trzy artykuły i we wszystkich opisywano mężczyznę w masce klauna. Schemat działania był zawsze taki sam: mieszkanie na parterze, zamaskowany napastnik, brutalny gwałt. Wszystkie trzy zbrodnie popełnił ten sam sprawca. Szybko poszerzyła zakres poszukiwań i trafiła na jeszcze jeden przypadek z San Luis Obispo leżącego na północ od Los Angeles. I tu schemat był identyczny z jedyną różnicą: gwałticiel nosił gumową maskę przedstawiającą pozaziemskiego stwora.

Zatem były cztery inne ofiary. A przecież dopiero zaczęła poszukiwania! Do napaści doszło w ciągu trzech lat, w czterech różnych okręgach, a więc zapewne i w różnych rejonach wymiaru sprawiedliwości, żeby nikt nie zdołał ich ze sobą powiązać. Jeszcze kilkakrotnie zapuszczała przeszukiwanie archiwum „Los Angeles Times”, ale niczego więcej nie znalazła, jeśli nie liczyć małej notatki nawiązującej do sprawy barmanki z Hollywood. Cztery dni po napaści kobieta, która nie chciała ujawnić dziennikarzom swojego nazwiska, została wypisana na własną prośbę, ze szpitala odebrała ją rodzina. Przy okazji podano, że choć policja wciąż prowadzi dochodzenie w tej sprawie, jak dotąd nikomu nie postawiono zarzutów, nie zidentyfikowano żadnego podejrzanego. Policja zwracała się do mieszkańców z prośbą o udzielanie wszelkich możliwych informacji. Co do losu trzech pozostałych ofiar gwałtów, „Los Angeles Times” nie zadał sobie trudu zamieszczenia nawet krótkiej wzmianki.

C.J. przeprowadziła identyczne poszukiwania w archiwach prasowych z innych miast, w których Bantling mieszkał, zanim w 1994 roku przeprowadził się do Miami. Znalazła przypadek gwałtu dokonanego według

tęgo schematu przez sprawcę noszącego maskę pozaziemskiego stwora w Chicago we wrześniu 1989 roku i jeszcze jeden, znów z udziałem napastnika w masce klauna, w San Diego na początku 1990 roku. Miała więc już sześć ofiar, i to tylko tych, które opisano w prasie. Czy za wszystkie napady odpowiadał Bantling, czy był to jedynie zbieg okoliczności? Porównała na komputerowych planach miast adresy z Chicago i San Diego wyszczególnione na wydruku rejestracji samochodów Bantlinga z miejscami dokonania obu gwałtów opisanych w gazetach. W obu wypadkach mieszkał w promieniu piętnastu kilometrów od każdej z ofiar. Wstrzymując oddech, zaprogramowała przeszukiwanie archiwów z południowej Florydy od 1994 roku, sprawdziła wydania „Miami Herald”, „Sun Sentinel”, „Key West Citizen” i „Palm Beach Post”, ale niczego nie znalazła.

Zajrzała do paszportu Bantlinga, który został zatrzymany na mocy nakazu sądowego. Brazylia, Wenezuela, Argentyna, Meksyk, Filipiny, Indie, Malezja. Podróżował po całym świecie, szukając egzotycznych mebli do salonu Tommy’ego Tana, a wcześniej dla Indo Expressions, podobnej kalifornijskiej firmy zajmującej się projektowaniem i wyposażeniem wnętrz. Jego wyjazdy służbowe trwały od dwóch tygodni do miesiąca. Zakłady produkcji mebli i sklepy z antykami, które odwiedzał, zgodnie z listą nadesłaną z biura Tommy’ego Tana mieściły się zazwyczaj w niewielkich miastach bądź na obrzeżach metropolii, gdzie łatwo było zachować anonimowość. Większość tych krajów odwiedzał wielokrotnie. Czyżby i tam zostawiał po sobie ofiary?

Pospiesznie zajrzała do spisu telefonów i odszukała numer śledczej Christine Frederick z centrali Interpolu we francuskim Lyonie. Przed kilkoma laty pracowały razem nad sprawą zabójcy, który w pokoju hotelowym w South Beach wymordował całą swoją rodzinę, strzelając z obrzynka, po czym

spokojnie wrócił do ojczystych Niemiec. Za pośrednictwem Interpolu niemiecka policja odnalazła go w Monachium, a Christine zajmowała się wówczas formalnościami związanymi z jego ekstradycją do Stanów Zjednoczonych. Zdążyły się zaprzyjaźnić w ciągu tych paru miesięcy, jakie minęły, zanim morderca wrócił w końcu do Miami. Ale od tamtej pory rzadko się ze sobą kontaktowały.

Już po pierwszym sygnale włączyła się automatyczna sekretarka. Christine nagrała swoje powitanie po francusku, niemiecku, hiszpańsku, włosku i na końcu, na szczęście, także po angielsku. Dopiero teraz C.J. spojrzała na zegarek, było wpół do jedenastej wieczorem. Całkowicie straciła poczucie czasu. Nie skojarzyła też, że we Francji zapewne wstaje już nowy dzień. Dlatego szybko powiedziała jedynie swoje nazwisko i numer telefonu, mając nadzieję, że Christine będzie ją jeszcze pamiętała.

Na dworze było całkiem ciemno, słońce zapadło za mokradłami Everglades już przed godziną i mrok w jej gabinecie rozjaśniał jedynie słaby blask starej bankierskiej lampki biurowej z włącznikiem na łańcuszek, którą dostała w prezencie od ojca. Kiedy zapaliła jarzeniówki pod sufitem, aż rozboleły ją oczy. Bardzo lubiła ciepłą, intymną atmosferę, jaką stwarzał żółtawy blask lampki. W całym gmachu światła były już pogaszone, oprócz niej w korytarzach nie było żywej duszy. Pomyślała, że będzie musiała zawiadomić telefonicznie strażnika w holu na dole, żeby otworzył jej drzwi wychodzące na parking.

Zawróciła do okna i po raz kolejny zapatrzyła się na gmach po drugiej stronie ulicy, gdzie wszystkie okna były nadal jasno oświetlone. Przed boczną bramą w wysokim siatkowym ogrodzeniu zwieńczonym drutem kolczastym stała gromadka zdesperowanych ludzi czekających na swoich życiowych partnerów, koleśków, wspólników czy też najbliższych, którzy

mieli być zwolnieni z aresztu bądź właśnie do niego zmierzali. W alejce stało kilka wozów policyjnych, pewnie przywieziono nimi nowych aresztantów mających zająć miejsca tych odzyskujących wolność albo zwalnianych za kaucją. A w tym brudnym szarym gmachu za żelaznymi drzwiami, zakratowanymi oknami i zwojami drutu kolczastego, wśród podopiecznych wymiaru sprawiedliwości znajdował się również William Rupert Bantling. Człowiek, przed którym uciekała i ukrywała się przez dwanaście lat, był teraz po sąsiedzku, nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od niej. Gdyby podszedł do okna, zapewne mógłby ją w tej chwili obserwować, spełniając daną kiedyś obietnicę. Na tę myśl przeszył ją lodowaty dreszcz, dostała gęsiej skórki.

Odwróciła się do biurka i zaczęła szybko pakować rzeczy do teczki, kiedy jej wzrok padł ponownie na rozjaśniony ekran monitora. Wciąż wyświetlał się na nim ostatni artykuł prasowy, jaki wyszukiwarka znalazła w sieci Lexus/Nexus. Pochodził z Nowego Jorku, a konkretnie z „New York Post”. Popatrzyła na nagłówek, ale nie musiała go czytać. Był to artykuł z 30 czerwca 1988 roku. Nie robiło jej też żadnej różnicy, że w gazecie nie podano nazwiska dwudziestoczteroletniej ofiary gwałtu. Znała je aż za dobrze.

Pospiesznie wyłączyła komputer, zgasiła światło i w mroku gabinetu, gdzie nikt nie mógł jej zobaczyć, zakryła dłońmi twarz i zaczęła płakać.

W piątek rano dziesięć po ósmej znów usiadła przy biurku, jak zwykle niewyspana i rozkojarzona, z głową jeszcze pełną przeraźliwych krzyków i dobrze znanych scen z nocnych koszmarów. O piątej nad ranem przestała się wreszcie tępo wpatrywać w czerwone cyfry na wyświetlaczu budzika, wstała z łóżka i pojechała na salę gimnastyczną, z której autostradą I-95 bezpośrednio przyjechała do biura.

Oprócz dwóch wiadomości, jakie Dominick zostawił jej wczoraj w skrzynce poczty głosowej w biurze, trzecią zastała wieczorem nagrany na automatycznej sekretarce w domu. Chciał wiedzieć, dlaczego nie pokazała się na spotkaniu w zakładzie medycyny sądowej i czy na pewno u niej wszystko w porządku. Ewidentnie podczas rozmowy z doktorem Neilsonem wyszły na jaw jakieś nowe szczegóły zbrodni, gdyż prosił, by zadzwoniła do niego, jak tylko wróci do domu.

Wydawało jej się to dziwne, że właśnie teraz, po tylu latach, znalazła wreszcie kogoś, kto nie był jej obojętny, z kim mogła porozmawiać, zaprzyjaźnić się, a w końcu może nawet podjąć próbę wspólnego życia. W rozmowach z Dominikiem odpowiednie słowa same cisnęły się na usta, nie było niezręcznych przerw, nie musiała szukać błahych tematów. Przy nim czuła się aż nazbyt realnie, jakby wielkiego znaczenia nabierały nawet najbardziej niezobowiązujące wypowiedzi. Może z jej strony było to głupie i naiwne, ale słuchając go, czuła się podekscytowana i zaciekawiona, jak gdyby nie mogła się doczekać tego, co zaraz usłyszy. Każde słowo, każdą uwagę traktowała bowiem jak odrębny element tej nieskończonej układanki, dzięki której poznawała człowieka, dowiadywała się, co myśli i na czym mu

w życiu zależy.

Nigdy dotąd nie zaliczała policjantów do mężczyzn atrakcyjnych, najczęściej szybko dostrzegała, że próbują przejąć nad nią kontrolę, gdyż natura ich pracy silnie rzutuje na kontakty prywatne. Tymczasem ona za żadną cenę nie chciała do tego dopuścić. Tym bardziej więc ją dziwiło, że tak odmiennie postrzega Dominicka na tle jego kolegów. Też miał silny charakter, ale nie starał się niczego jej narzucać, choć na swój sposób zawsze panował nad sytuacją. Skutecznie kierował specjalną grupą dochodzeniową, która pod innym dowództwem byłaby tylko luźną zbieraniną przekonanych o swojej wyższości egoistów. Zdołał skonsolidować ich w zgrany zespół, chociaż przez ostatni rok musieli działać w blasku jupiterów i przed obiektywami kamer. Nie uszło też jej uwagi, że Dominick nie tylko mówi, ale i słucha, co było rzadkością u gliniarzy czy nawet większości mężczyzn. W ciągu tych dwunastu miesięcy odkryła ze zdumieniem, że mają sobie nawzajem bardzo dużo do powiedzenia poza roboczymi naradami i wspólnymi przesłuchaniami świadków. Podejrzewała, że gdyby tylko mieli okazję, szybko odnaleźliby masę rzeczy, jakie ich łączą, chociażby zamiłowania do jazdy na rowerze, podróży, malarstwa.

Dotąd nie zależało jej, żeby aż tak blisko poznać jakiegoś mężczyznę, nawet Michaela. Dopiero przy Dominicku odkryła, jak bardzo pragnie wiedzieć o nim wszystko. A teraz, kiedy wyraźnie okazał jej swoje zainteresowanie, łudziła się, że może on podobnie myśli o niej. Nie była temu przeciwna, wiedziała jednak, z jakim trudem przyjdą jej zwierzenia. Z drugiej strony, nie chciała zaprzepaścić tych niezwykłych uczuć i emocji, jakie ją ogarniały, nie doświadczywszy ich w pełnym zakresie, gdyż zawsze by się zastanawiała, co mogłoby z nich wyniknąć. Ogólnie mówiąc, była gotowa otworzyć serce przed Falconettim, uważała jednak, że na razie jest to

wykluczone. Traktowała go jak kolejną ofiarę w tej okrutnej rozgrywce.

Niemniej, przez chwilę rozmyślała, czy nie zadzwonić do niego, choćby po to, by usłyszeć głos, który był w stanie zesłać jej to niezwykle ciepło, jakie poczuła w duszy przedwczoraj przy drzwiach swego mieszkania. Ale odepchnęła od siebie to pragnienie równie szybko, jak się pojawiło. Decyzja prowadzenia sprawy Kupidyna wiązała się z określonymi konsekwencjami. Musiała się z tym pogodzić.

Była świadoma, że wcześniej czy później będzie musiała z nim porozmawiać, chcąc ograniczyć ich kontakty do sfery czysto zawodowej. Rozmyślała pobieżnie, jak to załatwić, kiedy zadzwonił telefon.

– Biuro prokuratora stanowego, C.J. Townsend.

– *Bonjour, madame* prokurator.

Od razu poznała Christine Frederick.

– Christine? Jak się masz? – odpowiedziała z radością. Uświadomiła sobie nagle, że nie potrafi nawet powitać przyjaciółki po francusku. Wolała tego nie próbować, żeby nie kaleczyć jej uszu. Na szczęście nie miało to większego znaczenia, gdyż Frederick dobrze znała angielski, mówiła tylko z wyraźnym niemieckim akcentem.

– C.J. Townsend! Kopę lat! Jak ci się żyje w tej słonecznej części świata?

– Ciepło. A co u ciebie?

– Zawsze mówiłam, że gdybym miała zostać przestępcą, to tylko na Florydzie, bo tam jest nieodmiennie ciepło i słonecznie. Ale i tu nie jest najgorzej, nie mogę narzekać. Oczywiście nie mamy tyle słońca. Ostatnio pada prawie bez przerwy.

– Na pewno nie chciałabyś być przestępcą, Christine, nawet na Florydzie. Lepiej trzymaj się francuskiej Riwiery, gdzie przestępcy są przynajmniej bogaci, a jedzenie... Jak brzmi to słowo, którego uczą już na pierwszych

lekcjach francuskiego? *Magnifique?*

Christine zaśmiała się w głos.

– *Tres bien, mon amie!* Bardzo dobre! Odebrałam twoją wczorajszą wiadomość. Nie przeszkadza ci, że dzwonię o tak wczesnej porze?

– Nie, skądże. Bardzo dziękuję, że się odezwałaś. Potrzebna mi twoja pomoc w pewnej sprawie, jeśli wolno mi o nią prosić. Na razie nie chcę nadawać jej tonu formalnego i puszczać przez Waszyngton. Przynajmniej na tym etapie wolałabym załatwić to prywatnie.

– Oczywiście. O co chodzi?

– Zależy mi na przeszukaniu bazy danych Interpolu z użyciem konkretnych słów kluczowych. Zatrzymaliśmy w Miami podejrzanego o serię brutalnych gwałtów, który często podróżował służbowo poza granice Stanów Zjednoczonych, głównie do biednych krajów Ameryki Południowej, Meksyku, na Filipiny. Ciekawa jestem, czy w tych krajach zdarzały się przypadki niewyjaśnionych napadów na tle seksualnym o ściśle określonym schemacie działania.

– Podyktuj konkrety.

– To biały mężczyzna koło czterdziestki. Zawsze napada w masce na twarzy. Wygląda na to, że preferuje maskę klauna albo pozaziemskiego stwora, ale mógł używać dowolnej maski z Halloween, gumowej, zasłaniającej całą twarz. Zazwyczaj włamuje się do mieszkań na parterze. Wybiera młode kobiety, które mieszkają same. Prawdopodobnie śledzi je przez jakiś czas, zanim przystąpi do działania. Jego ulubionym narzędziem jest nóż myśliwski. Sznurem krępuje swoje ofiary tak, żeby nie mogły nawet drgnąć. – Urwała na chwilę dla zaczerpnięcia tchu i starając się mówić pewnym, spokojnym głosem, ciągnęła: – Wszystkie dowody wskazują na to, że jest sadystą. Lubi torturować swoje ofiary. Mamy kilka dziewcząt, które

poważnie okaleczył nożem, koncentrując się głównie na ich piersiach i kroczu.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, słycać było jedynie, że Christine notuje podane fakty. Wreszcie zapytała:

– To wszystko?

– Tak. Ogranicz się do ostatniego dziesięciolecia, to znaczy do lat dziewięćdziesiątych. Wcześniej nie wyjeżdżał za granicę.

– Macie wyniki analizy jego DNA?

– Nie. Nigdy nie zostawia po sobie żadnych śladów, ani odcisków palców, ani nasienia czy włosów. Najwyraźniej dokładnie sprząta miejsca zbrodni.

– Możesz mi podać nazwisko podejrzanego?

– Już je sprawdzałam na listach Interpolu, dlatego staram się podejść do sprawy od innej strony. Zrób to dla mnie i przeszukaj bazę danych bez wpisywania nazwiska. Poszukaj tylko tego konkretnego schematu działania.

– Dobra, zrobię to. Jakie kraje południowoamerykańskie wchodzi w grę?

C.J. sięgnęła po fotokopię paszportu Bantlinga i odczytała nazwy państw:

– Wenezuela, Brazylia, Argentyna.

– Dobra. Wspominałaś też o Meksyku i Filipinach. Chcesz, żebym w tych krajach także sprawdziła?

– Owszem. Dodaj jeszcze Indie i Malezję.

– Zapisałam. Zadzwoń do ciebie, jak coś znajdę.

– Dziękuję, Christine. Podyktuję ci numer mojego telefonu komórkowego na wypadek, gdybyś chciała zadzwonić w czasie weekendu. Dziewięć-pięć-cztery-trzy-cztery-sześć-siedem-sie-dem-dziewięć-trzy.

– Gotowe. Powiedz mi przy okazji, co się stało z tym facetem, który wymordował całą swoją rodzinę podczas wakacji w Miami Beach. Tym, którego potem schwytano w Niemczech.

– Dostał karę śmierci.

– Aha.

Zaledwie C.J. odłożyła słuchawkę, wróciła myślami do wiadomości zostawionej wczoraj wieczorem przez Dominicką. Musiała się dowiedzieć, jakie nowe fakty wypłynęły podczas spotkania z doktorem Neilsonem. Podniosła więc słuchawkę i wybrała numer aparatu komórkowego Alvareza, licząc na to, że Falconettiego nie ma w tej chwili razem z nim w pokoju.

– Pani mecenas! *Buenos dias!* Gdzie pani się wczoraj podziewała? Brakowało nam pani podczas wizyty w zakładzie medycyny sądowej.

– Witaj, Manny. Jesteś jeszcze w centrali grupy specjalnej?

– Żartuje pani? Wstałem z łóżka nie dalej niż dwadzieścia minut temu. Jestem w samochodzie i jadę ulicą Ósmą w Stronę Małej Hawany, szukając miejsca, gdzie mógłbym sobie strzelić jednego.

– Czyżbyś musiał leczyć kaca? Jeśli ta smoła zwana cafe Cubano nie postawiła cię na nogi, to chyba nie masz na co liczyć.

– Niech mnie pani nie zasmuca, bo doszedłem do etapu, kiedy nie umiem już pozbierać rano myśli bez jednego głębszego.

– Chcę zadzwonić do Neilsona, ale pomyślałam, że skontaktuję się najpierw z tobą, żeby zapytać, co wynikło podczas wczorajszego spotkania.

– Nie rozmawiała pani jeszcze z Dominickiem? Zdaje się, że od wczoraj pani szuka.

Ogarnęło ją poczucie winy. Wrażenie gorąca na policzkach świadczyło wyraźnie, że się zaczerwieniła. Co Dominick mu powiedział na temat tego, co ich łączy i co wydarzyło się przedwczoraj wieczorem?

– Nie, jeszcze nie. Później spróbuję go gdzieś złapać.

– No więc Neilson... który sam jest zdrowo rąbniętym świrem, jeśli wolno mi wyrazić swoje zdanie... Bez obrazy, pani mecenas... Otóż Neilson

powiedział, że Prado została naszprycowana haloperidolem. Znalazł sporą jego dawkę w próbkach jej tkanek.

– Haloperidolem?

– Tak. To lek uspokajający, sprzedawany jako haldol.

– Czy Dominick nie wspominał przypadkiem, że znalazł w domu Bantlinga receptę na ten specyfik?

– Zgadza się, pani mecenas. Ten pieprzony psychol nawet nie zadał sobie trudu, żeby pozacierać za sobą ślady, co nie?

W tle rozbrzmiała głośna latynoska muzyka i gwar głosów mówiących jak gdyby równocześnie po hiszpańsku i angielsku. Alvarez ewidentnie wysiadł z samochodu, gdyż doleciały ponadto odgłosy jego ciężkiego stąpania.

– Gdzie jesteś, Manny?

– Przecież mówiłem pani, że muszę sobie strzelić jednego. – Chyba zakrył aparat dłonią, gdyż odezwał się do kogoś stłumionym głosem: *Me puede dar dos cafecitos*. Po chwili znów rzekł do mikrofonu: – Prawdę mówiąc, zamówiłem od razu dwa głębsze. Zapowiada się długi i ciężki dzień. Muszę dobrze wyglądać.

Pomyślała, że sieć komórkowa Nextela zapewnia aż nazbyt wyraźne połączenia, gdyż dokładnie słyszała cichy bulgot, z jakim Alvarez pospiesznie opróżnił dwa kieliszki, potem szum wypuszczanego powietrza, wreszcie znów odgłos ciężkich stąpień, gdy wracał do samochodu. Chwilę później ucichła rozlegająca się w tle latynoska muzyka.

– Jak mówiłem, badania wykazały obecność haloperidolu we krwi Prado. Nie domyśla się pani, po co ją tym naszprycował? Wie pani, jak to świństwo musiało na nią podziałać? Neilson nie mówił pani o tym? W każdym razie to lek uspokajający, stosowany w napadach szału. Podaje się go chorym psychicznie, którzy cierpią na gwałtowne urojenia. Uspokaja ich i odpręża.

Nasz genialny miłośnik trupów doszedł do wniosku, że Kupidyn podawał go dziewczynom, żeby ospałe i ogłupione bez kłopotu wyprowadzić z nocnego klubu na ulicę.

– Nie zgadzasz się z nim?

– Dlaczego? To brzmi wiarygodnie. Pasuje tym bardziej, że podobno skutki działania haldom są takie same, jak „czapy” albo „płynnej eks”. Widziałem już na własne oczy, co to gównu robi z dziewczyn naćpanych przez napalonych chłopaczków. Wierzę, że po tym łatwo mu było wyprowadzać półprzytomne ofiary z klubu na oczach setek świadków. Wiele tak naszprycowanych ofiar było później rżniętych tyle razy, że nawet ich wnuczki po urodzeniu nie będą dziewicami. Budziły się w jakimś zapchlonym hoteliku niczym Śpiące Królowny, nic nie pamiętając, i pytały tego zbrojnego, który je zgwałcił: „Gdzie ja jestem?”. Więc wcale nie chodzi o to, że się z nim nie zgadzam, pani mecenas. Po prostu ciarki łożą mi po grzbiecie na samą myśl o jego zabawach z trupami. Nie mogę zapomnieć tego radosnego trzepotania powiekami...

– Pod tym względem muszę ci przyznać rację. Chyba powinien się leczyć.

– Cały czas powtarzam, że to porąbany czubek. Ale jeszcze nie doszedłem do najciekawszego. Neilson ucieszył się jak niemowlę, ponieważ we krwi ofiary znaleźli jeszcze jeden narkotyk. Wygląda na to, że została podłączona do kroplówki, bo tylko w ten sposób można go podawać. I prawdopodobnie była wciąż podłączona, a to świństwo krążyło jej w żyłach, kiedy wyzionęła ducha. Nazywa się mivacron. W każdym razie pod tą nazwą występuje w handlu. Słyszała pani o nim kiedykolwiek?

– Nie.

– Ja również. To środek rozluźniający mięśnie, ale nie powodujący utraty świadomości. Tylko paraliżuje człowieka. A co najważniejsze, nie działa też

przeciwbólowo. Nadal wszystko się po nim czuje, tylko nie można się ruszyć. Prawda, że i to pasuje do naszego wariata? Neilson uznał, że dziewczyna była unieruchomiona tym świństwem, gdy Kupidyn rozcinał jej klatkę piersiową i wycinał serce. Podobno znalazł też dowody, że miała powieki przyklejone taśmą samoprzylepną, żeby mogła wszystko dobrze widzieć, jak będzie jej to robił.

C.J. odebrało mowę. Natychmiast powróciły wspomnienia. Ją Bantling także zmuszał, żeby miała otwarte oczy i patrzyła, jak nożem rozcina jej piersi. Znów odruchowo zasłoniła je dłonią na to wspomnienie, gdy w pamięci odżył nieznośny ból paraliżujący wszystkie myśli i przeraźliwy wrzask, który z powodu knebla w ustach rozlegał się tylko w jej głowie. Zrobiło jej się niedobrze, jakby za chwilę miała zwymiotować. Z rana wypila jedynie dwie kawy, toteż czuła dokuczliwe ssanie w żołądku. Pospiesznie schyliła się nisko w fotelu.

Jeszcze przez dłuższą chwilę panowała cisza, zanim w końcu Alvarez zapytał niepewnie:

– Pani mecenas? Jest pani tam?

– Tak, jestem, Manny – odparła cicho, prawie szeptem.

Trzymała głowę między kolanami, żeby poprawić dopływ krwi do mózgu i uwolnić myśli od natrętnych wspomnień, których nie mogła dłużej znieść. Musiała wziąć się w garść, zebrać w sobie wszystkie siły, skoro zamierzała dalej prowadzić tę koszmarną sprawę.

– Już się bałem, że coś nas rozłączyło. Więc Neilson uważa, że nie tylko Prado została przed śmiercią naszprycowana tym świństwem. Zarządził powtórzenie analiz toksykologicznych w próbkach tkanek dziewięciu poprzednich ofiar, tym bardziej, że wiadomo już, czego należy szukać. Niewykluczone, że już dziś po południu będzie miał pierwsze wyniki.

Dominick umówił się, że będzie do niego dzwonił o czwartej, jeśli wcześniej nie zdoła się z panią skontaktować. Naprawdę powinna pani do niego zadzwonić.

Wyprostowała się. Nudności ustąpiły.

– Sama zadzwonię do Neilsona. Chcę obejrzeć zwłoki Prado. Być może znajdzie konieczność ekshumowania poprzednich ofiar, tych, które nie zostały poddane kremacji. Poza tym, chciałam cię prosić, żebyś sprawdził dane z recepty Bantlinga na haldol. Musimy wiedzieć, kto go leczył i na co.

– Eddie Bowman dzwonił wczoraj do tego doktora. Jeśli pamiętam, nazywa się Fineberg. A może Feinstine? Jakoś tak. Odparł Bowmanowi, że nie odpowie na żadne pytanie, dopóki nie ujrzy nakazu sądowego. Nie chciał nawet potwierdzić, czy Bantling był jego pacjentem. Powołał się na swój zasrany lekarski przywilej. „Nie, detektywie, nie powiem panu, ile kobiet mój pacjent zamordował, bo byłoby to niezgodne z prawem. Ludzie muszą mieć swobodę rozmawiania o takich sprawach ze swoimi terapeutami bez obawy, że trafią do więzienia za to, że wycięli serce pięknej dziewczynie”.

– W porządku. Przekaż mi jego dane, a zaraz wystawię nakaz.

W słuchawce znów zapadła cisza. Po szumie powietrza C.J. domyśliła się, że Manny zapalił papierosa. Przez otwarte okno wpadał do jego samochodu szum ruchu ulicznego. Wreszcie zapytał:

– Chyba przyskrzyniliśmy naprawdę porąbanego pierdolca, prawda?

– Bez dwóch zdań, Manny – odparła cicho.

– Teraz wszystko w pani rękach, pani prokurator. Niech pani doprowadzi do tego, co wszyscy uważamy za słuszne, i usmaży tego skurwiela na krześle elektrycznym.

. 36 .

Udzieliła sobie duchowego wsparcia, mówiąc do swego odbicia w lusterku puderniczki, i wyszła do sądu, by załatwić wniosek formalny w sprawie, w której proces miał się rozpocząć w przyszły piątek. Nie ulegało wątpliwości, że będzie musiała solidnie wziąć się w garść, jeśli nadal zamierza prowadzić sprawę Kupidyna. Chambers miał rację, że szczegóły, z jakimi musi się zapoznać, przywołają bolesne wspomnienia z 30 czerwca 1988 roku. Już tego doświadczyła, a każdą nową wiadomość odbierała jak silny cios w brzuch. Wróciły najgorsze senne koszmary. Co jeszcze ją czekało, jeśli nie zdoła nad sobą zapanować? Następne załamanie nerwowe? Kolejny pobyt w ośrodku zamkniętym i cykl sesji psychoterapeutycznych?

Musiała trzymać się w ryzach. Wszystko od tego zależało. Musi panować nad uczuciami, kontrolować emocje, ustawicznie mieć się na baczności i być przygotowana na wszystko. Nie pozwól i tym razem mu się pokonać. Nie pozwól mu wygrać.

Z sądu pojechała do zakładu medycyny sądowej na spotkanie z doktorem Neilsonem i ponowne oględziny zwłok Anny Prado. Widziała je już pierwszej nocy, zaraz po ich odnalezieniu, chciała jednak na własne oczy zobaczyć ukłucia po zastrzykach i miejsca, gdzie żyły zostały uszkodzone wskutek podłączenia kroplówki. W poniedziałek miał się odbyć pogrzeb, a rodzina chciała wystawić zwłoki w kościele przez sobotę i niedzielę, była to zatem ostatnia okazja na oględziny, nim pracownicy zakładu pogrzebowego zabiorą ciało z prosektorium.

Manny miał rację, Neilson z niezdrowym entuzjazmem traktował swoje obowiązki. Energicznie mrugając i marszcząc nos, nerwowo przestępował z

nogi na nogę, pokazując jej ślady po igle na pośladkach oraz powiększone żyły nad kostką nogi i na prawym przedramieniu, jak również tłumacząc z zapalem drogę mivacronu w głąb organizmu, co musiało wywołać całkowity paraliż wszystkich mięśni przed śmiercią.

Obecnie ślęczał nad zdjęciami zrobionymi podczas autopsji dziewięciu wcześniejszych ofiar, chcąc odnaleźć na nich takie same ślady po zastrzykach. Był przekonany, że co najmniej w czterech przypadkach już mu się to udało. Powtórzone wstępne badania toksykologiczne ujawniły obecność haloperidolu we krwi sześciu zabitych dziewcząt, to znaczy wszystkich, u których takie analizy można jeszcze było przeprowadzić. Wyniki badań na obecność chlorowodoru mivacurium miały nadejść dopiero za kilka dni.

Ludzie zwykle pocieszają się myślą, że gdy ktoś odchodzi z tego świata, jego dusza znajduje w końcu ukojenie. Prawdopodobnie jest to efekt działania mechanizmu obronnego, najprostszy sposób oderwania się od brutalnej rzeczywistości, w której traci się bliską osobę. Ale C.J. w to nie wierzyła. Nie była ateistką, wierzyła w Boga i zbawienie duszy, prawie w każdą niedzielę chodziła do kościoła. Jednakże co do śmierci miała własne poglądy, nie łudziła się żadnym „spokojem ducha”, zwłaszcza w wypadku ludzi, którzy zmarli przedwcześnie, zginęli w okrutny sposób, zostali brutalnie pozbawieni życia, ani trochę się tego nie spodziewając. Ich dusze po prostu nie mogły zaznać ukojenia, nie mogły się cieszyć spokojem, bo na pewno dręczyło je pytanie, dlaczego to one musiały opuścić ten świat, gdy tymczasem bandyta, który pozbawił je życia, przynajmniej w większości wypadków nadal stąpa po ziemi i czule wita się ze swoją matką czy też żoną i dziećmi. Tym razem przyszła kolej na Annę Prado, którą przedsiębiorca pogrzebowy miał zacząć szykować do pochówku. Leżała jeszcze na zimnym

żelaznym stole w prosektorium, z włosami posklejanymi zakrzepłą krwią, rzęsami powyrywanych z powiek, klatką piersiową zaszytą zygzakiem grubą czarną nicią, z trupioszarą twarzą. Łatwo można było sobie wyobrazić, jak piękna była za życia. Tyle że w jej oczach zastygł wyraz bezgranicznego smutku i przerażenia. Nie, jej dusza z pewnością nie mogła zaznać spokoju.

Zrezygnowała z lunchu, ograniczywszy się do coffee coolada z dodatkową porcją śmietanki w cukierni Dunkin Donuts oraz następnej paczki marlboro. Później znów zaszyła się w zaciszu gabinetu na całe popołudnie i otworzyła teczkę, do której włożyła sześć artykułów prasowych dotyczących gwałtów, jakie poprzedniego wieczoru znalazła w archiwach redakcyjnych i wydrukowała. Musiała koniecznie wiedzieć, jak zakończyły się dochodzenia w tamtych sprawach, gdyż notatki z gazet nic nie mówiły na ten temat. Postanowiła zacząć od najstarszej napaści. Sięgnęła po słuchawkę i zadzwoniła do komendy miejskiej policji w Chicago.

– Archiwum komendy w Chicago. Sierżant Rhonda Michaels.

– Dzień dobry. Jestem prokuratorem z biura prokuratora stanowego w Miami i mam nadzieję, że zdoła mi pani pomóc. Poszukuję informacji dotyczących gwałtu, do jakiego doszło przed laty na waszym terenie, wasza komenda prowadziła dochodzenie. Obawiam się tylko, że dysponuję zbyt małą ilością danych...

– Zna pani numer sprawy? – przerwała jej szybko Michaels lekko zachrypniętym, zmęczonym głosem. Prawdopodobnie przewalała każdego dnia setki starych teczek z dokumentami i najwyraźniej nie była w nastroju do luźnych rozmów.

– Jak już mówiłam, wiem bardzo mało. Wszelkie informacje, jakimi dysponuję, pochodzą ze starego artykułu prasowego, z roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego.

– A nazwisko podejrzanego?

– Nie znam. Z artykułu można się domyślać, że nigdy nie zidentyfikowano podejrzanego w tej sprawie. W tym właśnie największy kłopot. Muszę znać niektóre szczegóły tamtego dochodzenia, gdyż mogą one mieć związek ze sprawą, którą obecnie prowadzę.

– Hmm... Jeśli nie zna pani nazwiska podejrzanego, to może przynajmniej dane ofiary? Może uda mi się znaleźć numer akt na tej podstawie.

– Niestety, w prasie nie podano jej nazwiska.

– No cóż, w takim razie chyba nie będę mogła pani pomóc. – Na chwilę zapadła cisza. – Wie pani przynajmniej, kiedy to się dokładnie zdarzyło? Ma pani może adres, nazwisko detektywa prowadzącego śledztwo? Cokolwiek.

– Owszem, znam dokładną datę. Do gwałtu doszło szesnastego września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. Ofiara mieszkała przy ulicy Schillera tysiąc sto sześćdziesiąt dwa, numeru mieszkania nie podano. W gazecie napisali tylko, że dochodzeniem zajęła się komenda miejska policji w Chicago.

– W porządku. Może to wystarczy. Proszę poczekać. Muszę wpisać te informacje do komputera i sprawdzić dane archiwalne. To może trochę potrwać.

Ponownie odezwała się po dwunastu minutach. I nie była już tak opryskliwa.

– Już mam. Raport policyjny nosi numer F osiemdziesiąt dziewięć kreska dwadzieścia dwa dwieście trzydzieści cztery X. To zaledwie trzy kartki. Ofiara nazywała się Wilma Barrett, dwadzieścia dziewięć lat. Została napadnięta i brutalnie zgwałcona w swoim mieszkaniu na parterze, numer jeden A. O to właśnie pani chodziło?

– Tak. Wygląda na to, że tak. Może mi pani powiedzieć, jak zakończyło

się dochodzenie w tej sprawie? Znalazło swój epilog w sądzie?

– Chwileczkę, muszę zajrzeć do historii sprawy... Nie, nie została rozwiązana. Nikogo nie aresztowano. Detektyw prowadzący dochodzenie nazywał się Brena, Dean Brena. Pewnie jeszcze tu pracuje. Oczywiście sama pani rozumie, że komenda zatrudnia tysiące funkcjonariuszy, a ja przecież wszystkich nie znam. Zresztą minęło wiele lat. Ale mogę panią połączyć z wydziałem przestępstw na tle seksualnym.

– Nie, na razie dziękuję. Chciałabym najpierw zapoznać się z tym raportem i sprawdzić, czy rzeczywiście istnieje jakiś związek z prowadzoną przez mnie sprawą. Może mi pani przesłać faksem jego kopię?

– Oczywiście. Tyle że to również zajmie trochę czasu. Proszę mi podyktować swój numer.

C.J. podała numer i poszła włączyć telefaks, żeby odebrać przesłany raport. Sekretariat, w którym stały oba fakсы pozostające pod pieczęcią Marisol, przypominał istny labirynt między dziesięcioma stanowiskami wciśniętymi między niskie przepierzenia z laminowanych płyt wiórowych. Zajmował centralną część sekcji morderstw, we wszystkie strony odchodziły od niego krótkie korytarze, przy których znajdowały się gabinety prokuratorów, oraz jeden główny, prowadzący do drzwi wejściowych zabezpieczonych zamkiem cyfrowym i znajdującego się za nimi holu z windami.

W sekretariacie C.J. zawsze czuła się jak nielubiany przez nikogo tłuścioch, który zjawia się nieproszony na letnim przyjęciu nad basenem kąpielowym w brudnych dżinsach i futrzanej kurtce. Po prostu nie pasowała do atmosfery wypełniającej ten labirynt. Śmiechy i rozmowy, jakie jeszcze przed sekundą krzyżowały się w powietrzu, natychmiast umilkły, gdy tylko stanęła przy telefaksie. Wśród zaalarmowanej jej obecnością młodzieży bawiącej się nad basenem w jednej chwili zapadła pełna wyczekiwania cisza.

W biurze prokuratury stanowej, podobnie jak w innych pomieszczeniach biurowych różnych firm i przedsiębiorstw, obowiązywał rodzaj niepisanej hierarchii społecznej pracowników. Kierownicy bratali się tylko z kierownikami, prawnicy z prawnikami, a sekretarki, posłańcy i aplikanci wyłącznie z sekretarkami, posłańcami i aplikantami. Niekiedy dochodziło do łamania tych barier, ale zdarzało się to rzadko i budziło powszechną sensację. Tymczasem C.J. miała przeciwko sobie aż trzy fronty. Jako zastępca prokuratora stanowego zaliczana była do kadry kierowniczej, a jako prokurator należała do odizolowanej warstwy prawników. Ponadto była przełożoną Marisol i choć nic nie stało na przeszkodzie, by przy jakiejś butelczynie zacieśniły znajomość, to jednak Latynoska wolała trzymać się swojego klanu i w podobnych sytuacjach nieodmiennie wozy osadników otaczały ją natychmiast szczelnym kołem. Zatem ilekroć C.J. wchodziła do sekretariatu, była postrzegana jako wróg, dlatego od razu milkły wszelkie rozmowy.

Uśmiechnęła się skąpo do kobiet wlepiających w nią uważne spojrzenia i zaczęła się w duchu modlić, by kopia raportu przyszła jak najszybciej. Po oczekiwaniu trwającym niemal całą wieczność faks w końcu zapiszczał i wypluł z siebie pięć stron wydruku. Oderwała wstęgę papieru, tak samo uśmiechnęła się na pożegnanie i pospiesznie umknęła w zacisze gabinetu.

Do siódmej wieczorem zdążyła przeprowadzić telefoniczne rozmowy z sześcioma komendami policji i odebrała przesłane faksem kopie wszystkich raportów.

Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że za każdym razem czyta nieco tylko zmieniony opis tego, co jej się przydarzyło. W każdym wypadku sprawca stosował tę samą metodę włamania, zawsze wybierał mieszkanie na parterze i wchodził oknem w środku nocy, kiedy ofiara spała. Taki sam był również

schemat działania. Najpierw wiązał i kneblował ofiary, które opisywały go jako muskularnego mężczyznę w gumowej masce klauna z czerwonymi kępkami poliestrowych włosów po bokach głowy, krzaczastymi brwiami i szerokim uśmiechem jaskrawoczerwonych warg albo też w masce przedstawiającej pozaziemskiego stwora z wyłupiastymi czarnymi oczami i okrągłą jamą ust. Następnie terroryzował je i zmuszał do posłuszeństwa myśliwskim nożem o ząbkowanym ostrzu. Tylko stosowane narzędzia tortur nieco się różniły w każdym przypadku, zawsze jednak służyły do zadawania rozległych bolesnych ran na ciele. Kobiety zeznawały, że były gwałcone butelkami od piwa, jakimiś spiralnymi przedmiotami metalowymi, szczotkami do włosów. Wszystkie doznały poważnych urazów, przede wszystkim w okolicach krocza i macicy, miały też pocięte nożem piersi. Napastnik nie pozostawił po sobie żadnych śladów pozwalających na jego identyfikację. Nie udało się znaleźć śladów jego nasienia, włosów, odcisków palców, włókien z ubrania czy w ogóle jakichkolwiek dowodów gwałtu. W każdym wypadku policja zastawała dokładnie oczyszczone miejsce zbrodni.

Jednakże to wcale nie podobieństwa fizycznych obrażeń utwierdziły ją w przekonaniu, że wszystkie gwałty popełnił Bantling, ale doskonała znajomość osobistych, wręcz intymnych szczegółów życia wszystkich napadniętych kobiet. Wykorzystywał tę wiedzę jak dodatkową broń, swoiste narzędzie tortur. Znał ich ulubione restauracje, marki perfum, gatunki mydła. Wiedział, jakie noszą rozmiary i w co lubią się ubierać. Znał godziny pracy oraz imiona narzeczonych i chłopaków. Studentce z Uniwersytetu Kalifornijskiego przytoczył oceny ze świadectwa maturalnego; barmance z Hollywood podał co do centa sumy wydatków z ostatnich trzech miesięcy jej korzystania z karty Visa. Znał daty urodzin i rocznic rodzinnych, szkolne przezwiska.

Nie miała już żadnych wątpliwości, że to Bantling. Najmniejszych. Żadna z tamtych spraw nie została wyjaśniona, w żadnej nie znaleziono nawet podejrzanego. Nikogo nie aresztowano, nie odkryto żadnych tropów. Aż do dzisiaj.

Tylko czy miało to jeszcze jakiegokolwiek znaczenie? Wróciła myślami do rozmowy z Bobem Schurrem z biura prokuratora okręgu Queens, którą przeprowadziła przed dwoma dniami. Aż bała się poznać odpowiedź, której mogła się już domyślić. Nawet gdyby można było oskarżyć go o tamte przestępstwa – co z prokuratorskiego punktu widzenia było bardzo wątpliwe ze względu na brak jakichkolwiek solidnych dowodów, mogło się opierać wyłącznie na zeznaniach poszkodowanych kobiet – czy było to jeszcze możliwe od strony formalnej z powodu ograniczeń czasowych odpowiedzialności karnej w przepisach ekstradycyjnych? Do gwałtu w Chicago doszło ponad dziesięć lat temu. Szczerze wątpiła, by po takim czasie można jeszcze wnioskować o ekstradycję. Powodowana ciekawością, wyciągnęła jednak z sieci Lewus/Nexus odpowiednie przepisy ze stanu Illinois i przekonała się, że obowiązuje limit dziesięcioletni. Podobnie jak w jej wypadku, i ta sprawa podlegała już umorzeniu bez względu na wszystko.

Do ostatniego przypadku gwałtu na terenie Kalifornii doszło jednak dwudziestego trzeciego marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku, a więc niewiele ponad sześć lat temu. C.J. wiedziała, że w ostatnim okresie w wielu stanach zmieniono przepisy i znacznie przesunięto granice czasu odpowiedzialności karnej, zwłaszcza za przestępstwa na tle seksualnym. Tyle że Kalifornia pod każdym względem zaliczała się do najbardziej liberalnych stanów. Z nadzieją, że mimo wszystko nie jest jeszcze za późno na wniesienia oskarżenia, wywołała z sieci kalifornijski kodeks karny i odnalazła przepisy dotyczące ograniczeń ekstradycyjnych w

przypadku gwałtów. Omal się popłakała, kiedy poznała odpowiedź.

Takie przestępstwa ulegały w Kalifornii przedawnieniu po sześciu latach. A więc i w tym przypadku spóźniła się o pięć miesięcy.

Dominick spędził weekend na przesłuchaniach byłych szefów, kolegów z pracy, sąsiadów i przyjaciółek Williama Bantlinga. Starał się ustalić, jakim był człowiekiem i jak to się stało, że nikt nie zwrócił uwagi na jego upodobania, czyniące go nieludzkim potworem. Wydawało mu się nieprawdopodobne, aby wilk żył, pracował i bawił się wśród owieczek, co jakiś czas mordując jedną z nich, i absolutnie nikt, nawet sam pasterz, nigdy nie dostrzegł jego pazurów, kłów czy choćby wielkich uszu.

Wszyscy jego rozmówcy byli już przesłuchiwanie przez detektywów ze specjalnej grupy dochodzeniowej w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od znalezienia zwłok Anny Prado, lecz mimo to po paru dniach chciał jeszcze spotkać się z nimi osobiście. Nie wątpił, że jego podwładni sumiennie wykonali zadania, wolał jednak dać ludziom trochę czasu na oswojenie się z szokującymi nowinami i przemyślenie wszystkiego. Zazwyczaj po paru dniach przypominali sobie o czymś, co teraz wydawało im się podejrzanym, a co pominęli podczas pierwszego przesłuchania.

Teraz sobie przypominam, agencie Falconetti, że mój uprzejmy sąsiad, Bill, miał dziwny zwyczaj wynoszenia swoich zrolowanych dywanów około trzeciej w nocy. Myśli pan, że to może mieć jakieś znaczenie?

Za kilka tygodni miał zrobić jeszcze jedną rundę i powtórzyć rozmowy. Przekonał się już wielokrotnie, że gdy dostatecznie wiele razy przesiał muł z dna rzeki, w końcu znajdzie się w nim jakiś samorodek złota.

Bantling urodził się w Anglii, w Cambridge, szóstego kwietnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku. Jego matka, Alice, była gospodynią domową, a ojciec, Frank, stolarzem. W roku tysiąc dziewięćset

osiemdziesiątym drugim przeniósł się do Nowego Jorku i rozpoczął studia w FIT, Instytucie Wzornictwa Przemysłowego, które ukończył w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym, uzyskując dyplom dekoratora wnętrz. Przez parę lat po studiach zajmował podrzędne stanowiska w kilku małych firmach zajmujących się projektowaniem wnętrz, mieszczących się w Nowym Jorku i okolicach. Dość często zmieniał pracę, dopóki w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku nie przeniósł się do Chicago i nie objął posady głównego projektanta w przedsiębiorstwie produkującym stylowe meble. Jednakże po ośmiu miesiącach firma zbankrutowała i w grudniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku został terenowym przedstawicielem Indo Expressions, spółki zajmującej się projektowaniem mebli i mającej siedzibę w Los Angeles. Po przeprowadzce do Kalifornii pracował w niej jeszcze przez pięć lat, aż w czerwcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku osiadł w Miami, podpisawszy umowę z Tommy Tan Designs z SoBe.

Jego sąsiedzi z LaGorce powtarzali z grubsza to samo sprawiał wrażenie miłego i sympatycznego, ale bardzo słabo go znali. Koledzy z firmy opisywali go jako sumiennego, wprawnego handlarza, który potrafił być czarujący dla klientów, ale podczas negocjacji za zamkniętymi drzwiami groźny niczym jadowity wąż. Z nikim się jednak nie zaprzyjaźnił, ludzie określali znajomość z nim jako bardzo luźną niewiele potrafili o nim powiedzieć. To był stały problem oficerów śledczych. Świadkowie woleli się nie przyznawać do bliższej znajomości z seryjnym zabójcą, a tym bardziej do łączącej ich przyjaźni. Traktowali go jak brzydkie piętno na swoim wizerunku. Ale nie można było też wykluczyć, że wszyscy, sąsiedzi, współpracownicy i znajomi mówią prawdę i Bantling rzeczywiście wiódł życie samotnika.

Jedyny wyjątek spośród tej nagłej znieczulicy społecznej stanowił Tommy Tan, będący od sześciu lat szefem Bantlinga. Dominick rozmawiał z nim już dwukrotnie. Dla właściciela salonu wiadomość, że jego najlepszy pracownik jest podejrzany o popełnienie serii brutalnych morderstw, stała się przyczyną głębokiego szoku, a szczerze mówiąc, wręcz depresji. Załamany, po prostu zalał się łzami. Na szczęście nie szukał ukojenia w ramionach Falconettiego i za pierwszym razem wypłakał się na ramieniu jednego swojego asystenta, Hectora, za drugim zaś innego, Juana. Mimo to potrafił jedynie przyznać, że Bantling był „nieco arogancki”, ale składał to na karb jego „nadzwyczaj silnego” charakteru. Poza tym mówił o nim w samych superlatywach, swojego najskuteczniejszego agenta określał jako „szczególnie uzdolniony, potrafił odszukać prawdziwe dzieła sztuki w rupieciarniach całego świata”. I owe dzieła sztuki kupowane za grosze snobistycznym bogaczom były sprzedawane za tysiące dolarów. Tan czerpał z tego krociowe zyski. Nic dziwnego, że tak wysoko cenił Bantlinga.

Dominick zapytał o to wprost, lecz właściciel salonu zaprzeczył, jakoby łączyły ich jakiegokolwiek związki seksualne, i przyznał ze smutkiem, że Bantling był „hetero”. Powiedział, że ilekroć widywał go wieczorami w klubie, w samochodzie albo na ulicy, zwykle w jego towarzystwie była jakaś dziewczyna, zazwyczaj uderzająco ładna, za którą wszyscy się oglądali. Jego zdaniem agent preferował blondynki. Widocznie ta myśl sprawiła, że znów zalał się łzami, ukrywszy twarz na ramieniu Juana ubranego w różową marynarkę od Versacego. Dominick musiał zrezygnować z zadawania dalszych pytań.

Bantling nigdy nie miał żony i nic nie wskazywało na to, by w najbliższej przyszłości zamierzał wstąpić w stały związek. Nie natrafiono też na żadne informacje o jego dzieciach. Dziewczyny za to zmieniał jak rękawiczki,

detektywi ciągle ich poszukiwali. Kontakty te kończyły się zwykle po jednej, najwyżej dwóch randkach. Nie bez przyczyny. Tych sześć lub siedem kobiet, które do tej pory złożyły zeznania, miało sporo do powiedzenia. Według ich relacji Bantling nie był normalny. Lubował się w stosowaniu biczów, łańcuchów, kajdanek i innych rekwizytów sadomasochistycznych, filmując na wideo swoje wyczyny. Przerazał swoje partnerki, nawet te, które wcześniej miały do czynienia z innymi sadystami i niejedno już widziały w sypialniach. Wszystkie podzielały w przybliżeniu tę samą opinię: za dnia Bantling był prawdziwym dżentelmenem, szafującym forszą na lewo i prawo, ale w łóżku nie dało się z nim wytrzymać. Trzy z przesłuchiowanych dziewcząt udało się zidentyfikować jako bohaterki amatorskich filmów wideo znalezionych przez Bowmana i Mastersona w domu podejrzanego. Inne, które odważyły się wyrazić swoją dezaprobatę dla rodzajów preferowanego seksu, Bantling z wściekłością, przy wtórce ordynarnych wyzwisk, wyrzucił na ulicę, nie zadając sobie trudu, by odwieźć je do domu czy wezwać taksówkę. Jedną, całą we łzach, wyrzucił nawet całkiem nago, przez co musiała szukać pomocy u sąsiadów, prosić o coś do okrycia i możliwość skorzystania z telefonu.

Jeśli się dobrze zastanowić, agencie Falconetti, to miał pan rację! Rzeczywiście, nasz sąsiad Bill czasami zachowywał się trochę dziwnie.

Bantling nie miał w Stanach żadnej rodziny, a jego rodzice przed pięcioma laty zginęli w wypadku samochodowym w Londynie. Dziennikarze wciąż dopytywali się o jego dalszą rodzinę i dawnych przyjaciół z Anglii, ale i tam nikt nie pamiętał dobrze nastolatka opisywanego najczęściej jako małomównego ordynusa. Już w szkole podstawowej nie miał żadnych przyjaciół, nie miał też kolegów z podwórka. Absolutnie nikogo.

W sobotę wieczorem Dominick i Manny wyruszyli na objazd nocnych

klubów, gdzie po raz ostatni widziano dziewczęta ze Ściany: Crobar, Liquid, Roomy, Bar Room, Level, Amnesia. Jeszcze raz przesłuchali barmanów i bramkarzy, tym razem uzbrojeni w kolorowe zdjęcie podejrzanego. Wiedzieli już, że Bantling był częstym bywalcem tych lokali, toteż nie zdziwiło ich, że część ludzi rozpoznała na zdjęciu stałego klienta. Zawsze przychodził elegancko ubrany, w towarzystwie coraz to innej, bardzo ładnej, młodej blondynki. Jednakże nikt nie mógł sobie przypomnieć, czy widział go u boku którejś z ofiar, nikt nie potrafił też powiedzieć, czy Bantling był w klubie właśnie tego wieczoru, gdy zniknęła zamordowana później dziewczyna.

Doskonale pasował do niego portret sporządzony przez agentkę Elizabeth Ambrose, psychologa z Wydziału do Zwalczania Przeszłości, już po odnalezieniu trzeciej zabitej dziewczyny i nadaniu podejrzanemu pseudonimu Kupidyn: biały mężczyzna między dwudziestym piątym a pięćdziesiątym piątym rokiem życia, samotnik, prawdopodobnie o eleganckim wyglądzie, inteligentny, zajmujący wysokie stanowisko i pozostający pod ciągłą presją zawodową. Rzecz jasna, do tego portretu pasowało wielu innych samotnych mężczyzn, w tym także on sam. Niemniej kawałek po kawałeczku zaczynał się wyłaniać rzeczywisty obraz zabójcy, a ujawniane stopniowo fakty składały się na całość stanowiącą znakomitą fabułę powieści kryminalnej. Kobiety przedstawiały Bantlinga jako zbrodniarza seksualnego, aroganckiego i porywczego, narcystycznie zapatrzonego w siebie, nietolerującego sprzeciwu, który przejawiał skłonności do zachowań sadystycznych i gustował w blondynkach. Był stałym bywalcem nocnych klubów, z których zniknęły zamordowane dziewczęta. Przepisany mu na receptę haldol pasował do środka odurzającego znalezionego we krwi co najmniej sześciu ofiar. Jego hobby stanowiło oprawianie i wypychanie zabitych zwierząt, co miało związek ze znaną

w szopie liczną kolekcją noży i skalpeli. Ale w szopie, oprócz przypuszczalnego narzędzia zbrodni, natknięto się też na ślady ludzkiej krwi, która według Dominicka musiała się okazać krwią zabitej Anny Prado. A przede wszystkim jej okaleczone ciało odkryto w bagażniku jego auta.

Tajemnicą były wciąż przyczyny, dla których elegancki i bogaty człowiek sukcesu przeistoczył się w seryjnego zabójcę, ale na szczęście Dominick nie musiał ich dociekać w trakcie dochodzenia. Mogłyby mieć duże znaczenie tylko wtedy, gdyby stały się powodem uznania Bantlinga przez sąd za niepoczytalnego. Jego bestialskie zbrodnie były tak wstrząsające, że stawało się całkiem prawdopodobne, iż ława przysięgłych dojdzie do wniosku, że nie mógł ich popełnić człowiek pozostający przy zdrowych zmysłach. Jeśli można było udowodnić, że obwiniony od dawna cierpi i jest leczony na zaburzenia psychiczne, oskarżenie faktycznie stawało w bardzo trudnej sytuacji. Dlatego też Dominick zaczął się koncentrować nie na znalezieniu niepodważalnych dowodów winy zatrzymanego, lecz na zgromadzeniu przekonujących faktów, że w chwili popełnienia zbrodni doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co robi, świetnie rozumiał konsekwencje swoich czynów, potrafił odróżnić dobro od zła. Trzeba było wykazać, że torturowanie i zabicie jedenastu kobiet nie jest wynikiem choroby psychicznej sprawcy, lecz efektem świadomego działania.

Teraz, o dziesiątej wieczorem w niedzielę, znowu siedział samotnie w sali konferencyjnej będącej siedzibą specjalnej grupy dochodzeniowej i gapił się na zdjęcia porozwieszane na Ścianie, próbując ułożyć w myślach wszelkie fakty, jakby rzeczywiście szykował się do napisania książki. Od czwartku przesłuchali prawie siedemdziesięciu świadków, przeprowadzili trzy rewizje, zgromadzili sto siedemdziesiąt cztery pudła potencjalnych dowodów z domu i samochodu Bantlinga. Dziesiątki funkcjonariuszy miały swój udział w

prowadzonym śledztwie. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać.

Przeniósł wzrok na mapę lotniczą, na której niebieskimi pinezkami były zaznaczone miejsca znalezienia kolejnych zwłok. Dlaczego Bantling wybrał właśnie te lokalizacje? Czy miały dla niego jakieś znaczenie?

Kiedy pochylił głowę, by pomasować palcami czoło, i jego wzrok padł na telefon komórkowy, zapragnął natychmiast zadzwonić do C.J. Ale zaraz się zreflektował, że nie powinien. Nie rozmawiał z nią od środy. Nie odpowiadała, mimo że zostawiał jej nagrane wiadomości i wysyłał sygnały na przywoływacz. Nie chciał zostać uznany za natręta, dlatego wczoraj przestał się narzucać. Wyczuwał, że ona przeżywa trudny okres i dlatego nie chce się z nim widzieć. Był dorosły i pogodziłby się z tym, że został odrzucony, obawiał się jednak, że może to mieć wpływ na prowadzoną przez nich wspólnie sprawę, a łatwo mógł się domyślić, że jej także wcale na tym nie zależy. Stał zatem wobec konieczności odnalezienia drogi powrotnej do sytuacji, w której łączyły ich wyłącznie zawodowe, choć przyjacielskie stosunki.

Intuicyjnie podejrzewał jednak, że sprawa wcale nie jest taka prosta, że szósty zmysł go nie myli i rzeczywiście w zachowaniu C.J. można było wyczuć coś więcej, niż sama chciałaby po sobie okazać. Tuląc ją do siebie, nabrał przekonania, że w jej życiu wydarzyło się coś strasznego i natychmiast zapragnął naprawić wszelkie zło. Doskonale widział, jak bardzo jest przerażona i bezbronna, na krótko ujrzał tę część jej osobowości, którą chciała zachować w tajemnicy przed całym światem. Dlatego łatwo mu się było teraz domyślić powodu, dla którego odwlekała kolejne spotkanie z nim.

Co cię aż tak wystraszyło, najpierw w sali rozpraw, a potem w mieszkaniu? Bantling? Czyżby ta sprawa z jakiegoś powodu miała dla ciebie specjalne, osobiste znaczenie?

Nieraz już miał okazję obserwować, jak C.J. doskonale sobie radzi z trudnymi, skomplikowanymi sprawami. Zawsze kontrolowała swoje emocje, w pełni nad sobą panowała. Tylko teraz ogarnęło ją przerażenie.

Dlaczego właśnie tę sprawę traktowała inaczej?

I czego tak śmiertelnie się bała?

W poniedziałek rano dziesięć po dziewiątej funkcjonariusz Victor Chavez stanął w wejściu do jej gabinetu i głośno zapukał w otwarte drzwi. Miał się stawić na przesłuchanie dziesięć minut wcześniej.

– Pani prokurator Townsend?

C.J. siedziała przy biurku już od siódmej. Uniosła głowę znad papierów i obrzuciła srogim spojrzeniem młodego policjanta trzymającego w ręku przesłane pocztą wezwanie. Za jego plecami stało dwóch jego kolegów w mundurach policji miejskiej z Miami Beach. Jeden miał na pagonach odznaki sierżanta.

– Przyjechaliśmy na przesłuchanie – odezwał się szybko, przeciskając się do gabinetu obok stojącego niepewnie w przejściu Chaveza. – Jestem Lou Ribero – rzekł, wyciągając rękę na powitanie. Ruchem głowy wskazał do tyłu i dodał: – Są ze mną Sonny Lindeman i Victor Chavez. Przepraszamy za spóźnienie. Korci na ulicach.

– Myślałam, że macie się stawić na rozmowę pojedynczo, sierżancie. W każdym razie poleciłam sekretarce wyznaczyć wam odrębne godziny przesłuchania.

Ze zmarszczonymi brwiami uścisnęła sierżantowi dłoń, spoglądając do terminarza i odpychając od siebie mordercze epitety pod adresem Marisol. Miała straszną ochotę zacisnąć palce na jej szyi przy najbliższej okazji spotkania sam na sam w łazience.

– Zgadza się, ale ponieważ wszyscy razem byliśmy we wtorek na miejscu zatrzymania, dlatego i teraz postanowiliśmy zeznawać razem. To żaden problem. Robiliśmy tak już wiele razy. Idzie szybciej.

C.J. w wyobraźni rozluźniła kurczowy uścisk palców na gardle Marisol.

– Dziękuję, sierżancie, lecz wolę rozmawiać ze wszystkimi świadkami w cztery oczy. Jeśli się nie mylę, pańskie przesłuchanie zostało wyznaczone na dziesiątą trzydzieści, a funkcjonariusza Lindemana na jedenastą czterdzieści pięć. Więc może pójdziecie teraz obaj do pobliskiego baru, a ja dam wam znać telefonicznie, kiedy skończę rozmawiać z Chavezem, dobrze? W miarę możliwości postaram się załatwić to szybko.

Chłopak stojący w drzwiach w końcu odważył się wejść głębiej.

– Dzień dobry – mruknął, słuźbiście skinąwszy głową. – To ja jestem Victor Chavez, proszę pani.

C.J. od razu poczuła się dużo starsza. Chłopak wyglądał tak młodo, że nie musiała specjalnie wysilać wyobraźni, by postawić się w roli jego matki. Zresztą pewnie i wyglądała staro, cierpiąc na chroniczne niewyspanie, podczas gdy on sprawiał wrażenie najwyżej dziewiętnastolatka.

– Proszę usiąść, Chavez. A pan, sierżancie, niech zamknie drzwi i zaczeka na zewnątrz.

– W porządku – mruknął Ribero, obrzucając podejrzliwym spojrzeniem dużo młodszego kolegę. – Baw się dobrze, Victor. Niedługo się zobaczymy.

– Dzięki, sierżancie.

Chavez podszedł jeszcze bliżej i usiadł w obitym skajem fotelu. Był bardzo przystojny, odznaczał się oliwkową cerą i łagodnymi rysami twarzy. Muskuły wyłaniające się z krótkich rękawów koszuli mundurowej świadczyły wyraźnie, że dużo czasu spędza na siłowni. Nawet bardzo dużo. Kruczoczarne włosy były ostrzyżone na zapałkę, jak u rekruta wstępującego do akademii policyjnej. C.J. aż się zaciekawiła, kiedy rzeczywiście skończył szkołę. Gdy zaś strzelił z gumy do zucia i zaczął się ciekawie rozglądać, przemknęło jej przez myśl, że chłopak czuje się podejrzenie zbyt swobodnie.

– Proszę podnieść prawą rękę – zaczęła. – Czy przysięga pan mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę?

– Przysięgam – rzucił i pospiesznie opuścił rękę. Położył sobie na kolanach notes wraz z kopią formularza zatrzymania oraz raportu policyjnego, po czym założył nogę na nogę i splótł na nich dłonie. Mankiet nogawki przesunął mu się ku górze, odsłaniając kaburę z małym pistoletem. Prawdopodobnie zrobił to celowo, chcąc jej pokazać, że nosi dodatkową broń. Służbowy rewolwer był za duży, aby dało się go ukryć w nogawce spodni.

Wspaniale, kowboju.

Przysunęła sobie notatnik.

– Czy składał pan już wcześniej jakieś zeznania, Chavez? Nie czuje się pan skrepowany?

– Składałem, proszę pani, i to kilka razy.

– W porządku, pomińmy zatem wstępne formalności. I nie zwracaj się do mnie per pani, bo czuję się wtedy stara. – Uśmiechnęła się. – Od jak dawna służysz w policji?

– Od lutego.

– Którego roku?

– Tego.

– To znaczy dwutysięcznego?

– Tak jest.

– Skończyłeś już staż?

– Nie, zostały mi jeszcze cztery miesiące.

– Jesteś jeszcze pod opieką oficera szkoleniowego?

– Nie, zakończyłem szkolenie w sierpniu. Od tamtej pory prowadzę samodzielnie patrole.

– Kiedy w takim razie skończyłeś akademię policyjną? W styczniu?

– Tak, proszę pani.

Zatem jesteś nie tylko nowicjuszem, ale wręcz złotodziobem.

– Naprawdę rozmawiałoby się nam łatwiej, gdybyś przestał mnie tytułować panią, Chavez. – Uśmiechnęła się ponownie, ale już nie tak serdecznie jak poprzednio.

Odpowiedział nienaturalnie szerokim uśmiechem, odsłaniając wszystkie zęby.

– W porządku. Zaraz się poprawię.

– Dobra. Wróćmy zatem do wydarzeń z wtorku, dziewiętnastego. To ty zatrzymałeś Williama Bantlinga. Możesz mi teraz opowiedzieć, co się zdarzyło tamtego wieczoru?

– Oczywiście. Siedziałem w wozie patrolowym, gdy zobaczyłem przejeżdżającego czarnego jaguara, który leciał sześćdziesiąt, może nawet sześćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę. Dlatego go zatrzymałem.

To sugerowało, że nie pójdzie jej tak łatwo.

– Dziękuję, to bardzo ważne informacje, ale obawiam się, że potrzeba mi trochę więcej szczegółów.

Przyglądała mu się uważnie. Był podenerwowany, obracał w palcach koniec sznurówki wypolerowanego do połysku czarnego służbowego buta, i choć starał się uchodzić za spokojnego i opanowanego, wewnątrz był bardzo spięty. Bez wątplenia była to najpoważniejsza sprawa, w jakiej uczestniczył w swojej krótkiej, siedmiomiesięcznej karierze policjanta. Dlatego C.J. uważała, że ma pełne prawo do zdenerwowania. Niepokoiła ją jednak wyraźnie arogancka postawa i chytry uśmieszek błakający się na jego wargach. Wiedziała z doświadczenia, że nowicjusze w ciągu pierwszego roku służby, ogólnie rzecz biorąc, przyjmują jedną z dwóch krańcowo różnych

postaw: albo stają się całkowicie uzależnieni od innych i niepewni swoich umiejętności, nigdy nie przejmują inicjatywy, zawsze czekając na polecenia i zadając setki pytań swoim przełożonym, albo też zaczynają naśladować Rambo, podejmują się zadań ponad siły, jakby wszystko już wiedzieli i wszystko potrafili. W kontaktach z przedstawicielami tej drugiej kategorii, przekonanymi o swojej bezgranicznej władzy i zadufanymi, zachowywała daleko posuniętą ostrożność. Doskonale rozumiała, że brak doświadczenia jest główną przyczyną błędów popełnianych na służbie, tyle że policjanci Rambo, jak na ironię popełniający najwięcej błędów, bynajmniej nie byli skłonni wziąć za nie odpowiedzialności.

– Pełniłeś tamtego wieczoru służbę patrolową?

– Tak.

– Gdzie?

– Na rogu Waszyngtona i Szóstej.

– W oznakowanym wozie patrolowym?

– Tak.

– I to z niego zauważyłeś przejeżdżającego jaguara?

– Tak.

– Którędy jechał?

– Waszyngtona w kierunku mostu MacArthura.

– Czyli na południe?

– Tak.

– Zmierzyłeś jego prędkość radarem?

– Nie.

– Więc skąd wiesz, z jaką prędkością jechał?

– Ciągle zmieniał pasy, niebezpiecznie lawirował między innymi pojazdami. Na oko można było bez trudu ocenić, że znacznie przekracza

dopuszczalną tam prędkość czterdziestu kilometrów na godzinę.

Jakby cytował ustęp z broszury zatytułowanej *Jak policjant powinien prawidłowo składać zeznania przed sądem*.

–Więc jak szybko jechał?

– Według mnie jakieś sześćdziesiąt do sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę.

– Rozumiem. I co wtedy zrobiłeś?

– Ruszyłem za nim w kierunku mostu MacArthura, estakadą prowadzącą z miasta na zachód, i tam go w końcu zatrzymałem.

Wielopasmowy most MacArthura prowadzący z wybrzeża w kierunku śródmieścia miał niewiele ponad trzy kilometry długości.

– Do zatrzymania Bantlinga doszło prawie na końcu estakady. Zgadza się? Na wysokości gmachu redakcji „Miami Herald”?

– Tak.

– To dość daleko od ulicy Waszyngtona. Czy doszło zatem do pościgu za uciekinierem?

– Nie nazwałbym tego pościgiem.

To jasne. Patrole z komendy miejskiej w Miami Beach nie miały prawa prowadzić pościgów na dużych prędkościach, chyba że ścigano sprawcę poważnego przestępstwa kryminalnego. A i w takim wypadku potrzebna była zgoda dyżurnego. Mimo to stale dochodziło do łamania tego przepisu.

– Rozumiem. Więc jeśli nie był to pościg, to z jaką prędkością musiałeś jechać, żeby dogonić podejrzanego?

– Dziewięćdziesiąt do stu kilometrów na godzinę. Ale już na trasie szybkiego ruchu.

– Mam stąd wnioskować, że po wjechaniu na trasę szybkiego ruchu przyspieszyłeś do granicy dozwolonej prędkości i z włączonym migaczem

oraz syreną zaczęłaś ścigać uciekający samochód, dopóki się nie zatrzymał na poboczu?

– Zgadza się. Tyle że chyba nie włączyłem syreny, tylko same migacze.

– Czy już wtedy poprosiłeś przez radio o wsparcie?

– Nie.

– Dlaczego? Jechałeś za uciekającym od ulicy Waszyngtona i musiałeś sobie zdawać sprawę, że zbliża się do granicy Miami Beach. Mimo to nie wezwałeś posiłków?

– Nie.

Chavez z kwaśną miną spuścił głowę. Zdjął nogę i wyprostował się w fotelu.

– Jak go zmusiłeś, żeby się zatrzymał?

– Sam to zrobił. Po prostu w pewnym momencie zjechał na pobocze. Robiło się coraz ciekawiej. Aż za bardzo.

– I na pewno nie zakwalifikowałbyś tego jako pościg?

– Nie. Wydaje mi się, że on po prostu przez dłuższy czas nawet nie widział mnie w lusterku. Dlatego przypuszczam, że dopiero jak mnie zobaczył, to zjechał na pobocze. W każdym razie się zatrzymał.

– W porządku. Co się stało, gdy się w końcu zatrzymał? Co wtedy zrobiłeś?

– Wsiadłem z wozu i poprosiłem go o dokumenty, prawo jazdy i dowód rejestracyjny. Dał mi. Zapytałem, dokąd się tak spieszy, a on odpowiedział, że na lotnisko, musi złapać samolot. Wtedy zapytałem, dokąd się wybiera, ale nie odpowiedział. Zauważyłem, że na tylnym siedzeniu nie ma żadnej torby podróżnej, zapytałem więc, czy schował ją do bagażnika. Ale milczał jak grób. Wtedy poprosiłem, żeby otworzył bagażnik, bym mógł zajrzeć do środka. Odmówił. Dlatego wróciłem do swojego wozu i zacząłem wypisywać

mandat za przekroczenie szybkości. I dopiero wtedy zauważyłem, że ma stłuczone tylne światła.

– Zaczekaj. Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam. Otóż kierowca, którego ścigałeś przez kilka kilometrów... w porządku, za którym jechałeś przez kilka kilometrów, kazał ci się odczepić, kiedy poprosiłeś go o otwarcie bagażnika, a ty to spokojnie przełknąłeś i wróciłeś do radiowozu, żeby wypisać mu mandat?

– Zgadza się.

Takie rzeczy się nie zdarzały. Po prostu żaden gliniarz z Miami Beach nie mógł być na tyle uprzejmy, żeby przejść do porządku dziennego nad odmową otwarcia bagażnika. Nie miało większego znaczenia, czy to polecenie było czymkolwiek umotywowane, czy nie.

– Rozumiem. Co było dalej?

– Kiedy wysiadłem z radiowozu i szedłem z powrotem do niego, poczułem z jego bagażnika wstrętny odór. Cuchnęło zgnilizną, jakby miał tam padlinę albo rozkładające się zwłoki. Dlatego jeszcze raz poprosiłem o otwarcie bagażnika, lecz stanowczo odmówił. Kazałem mu nie ruszać się z za kierownicy i poprosiłem przez radio o przysłanie patrolu z jednostki K-dziewięć. Po pewnym czasie zjawił się Beauchamp z komendy w Miami Beach ze swoim psem, Butchem. Kiedy Butch zaczął obszczekiwać bagażnik, wyważyliśmy zamek. Resztę już pani zna. W środku leżały zwłoki z rozciętą klatką piersiową. Od razu wiedziałem, że dorwaliśmy Kupidyna. Kazałem temu Bantlingowi wysiąść z wozu i zakułem go w kajdanki. Jakies sześć minut czekaliśmy na poboczu na przybycie pierwszego patrolu. A potem nagle zwalili się tam wszyscy.

C.J. ponownie zajrzała do formularza zatrzymania. Nagle przypomniała sobie, co powiedział Manny, kiedy w tamten wtorek wieczorem zadzwonił z

prośbą o wystawienie nakazu. W jednej chwili zrozumiała, że natknęła się na poważny problem.

– Proszę mi jeszcze raz powiedzieć, Chavez, w którym dokładnie miejscu po raz pierwszy zobaczyłeś samochód Bantlinga.

– Stałem na rogu Waszyngtona i Szóstej.

– A dokładnie? Na Waszyngtona czy na Szóstej?

– Na Szóstej przed samym skrzyżowaniem. Przejechał tuż przede mną.

– Jeśli się nie mylę, na tamtym odcinku Szósta jest ulicą jednokierunkową, można nią jechać tylko na wschód. Jeśli stałeś przodem do Waszyngtona, Chavez, to znaczy, że byłeś skierowany na zachód.

Znów poruszył się nerwowo w fotelu. Nie ulegało wątpliwości, że jest coraz bardziej podenerwowany, lecz starał się robić dobrą minę do złej gry.

– Zgadza się. Stałem na samym końcu Szóstej, kiedy zobaczyłem przejeżdżającego przede mną jaguara. To nasze stałe miejsce patrolowe, świetne do łapania piratów drogowych, którzy nie widzą z daleka wozu policyjnego.

– Więc kiedy zobaczyłeś jaguara jadącego na południe, w kierunku mostu, natychmiast ruszyłeś za nim?

– Tak.

– I nawet na chwilę nie straciłeś go z oczu?

– Nie.

– Jasne. Teraz już oboje doskonale wiemy, że kłamiesz, Chavez. Może byś jednak zechciał mi powiedzieć, co się wtedy naprawdę zdarzyło?

Ulica Szósta była nie tylko jednokierunkowa, ale w dodatku ślepa. Jeśli Chavez stał zwrócony w kierunku zachodnim, a więc przeciwnie do obowiązującego kierunku jazdy, to chcąc od razu skręcić stamtąd w lewo, na południe, musiałyby staranować blokujące mu drogę betonowe słupki. Mógł co najwyżej przebić się przez chodnik na prawy pas Waszyngtona i zawrócić na najbliższym skrzyżowaniu, kilkaset metrów dalej. A zatem nie sposób, żeby choć na chwilę nie stracił jaguara z oczu, oczywiście zakładając, że ten faktycznie zwrócił na siebie jego uwagę, przekraczając dopuszczalną prędkość.

Chłopak zrozumiał, że popełnił błąd. Zaczerwienił się natychmiast.

– No więc... W porządku. Naprawdę stałem na Szóstej. Kiedy zobaczyłem jaguara, podjechałem do ulicy Collinsa, skręciłem w prawo i dalej skierowałem się Piątą prosto na estakadę. Straciłem go z oczu może na minutę, nie więcej, jeśli to aż takie ważne.

– Zaraz, chwileczkę. Ruszyłeś Szóstą do Collinsa?

– Tak.

– To znaczy, że wcale nie stałeś pod prąd i nie obserwowałeś Waszyngtona, zgadza się? – C.J. wprost nie mogła uwierzyć własnym uszom. Wstała, zaparła się dłońmi o biurko i pochyłona w jego kierunku, syknęła ze złością: – Jeśli zaraz nie usłyszę całej prawdy, zatrzymam twoją odznakę i zawieszę cię w obowiązkach, Chavez. Składasz zeznania pod przysięgą. Jasne? Chcesz, żebym od razu ściągnęła ci obrońcę z urzędu i kazała zamknąć cię w przepelnionej celi aresztu okręgowego?!

Na dłużej zapadło milczenie. Arogancja żółtodzioba zniknęła w jednej

chwili, jakby powietrze uszło z przekłutego balonika. Chavez siedział z nisko spuszczoną głową i zmarszczonymi brwiami. Po chwili spojrzał na nią przestraszonym wzrokiem.

– Matko Boska... Nie podejrzewałem, że zrobi się z tego taka... afera. Skąd mogłem wiedzieć, do cholery, że ten facet okaże się Kupidynem? – Bezradnie machnął rękami w powietrzu. C.J. miała wrażenie, że cała sprawa wymyka jej się z rąk. – Dobra, powiem prawdę. Stałem na Szóstej, tuż przed Waszyngtona, i rozmawiałem z jakimiś przyjezdnymi dzieciakami, które ostro się ze sobą kłóciły, kiedy odebrałem zgłoszenie radiowe. To był cynk. Anonimowy informator podał, że gość przewozi w bagażniku towar. Kazali mi wypatrywać nowiutkiego czarnego jaguara XJ-osiem jadącego Waszyngtona na południe z narkotykami w bagażniku.

– Anonimowy informator? – powtórzyła osłupiała C.J.

Do tej pory nie spotkała się jeszcze z przypadkiem, by centrala nakazała patrolowi interwencję po odebraniu anonimowego zgłoszenia.

– Zgadza się. Powiedział, że gość przewozi dwa kilo koki i jedzie na lotnisko. Kiedy więc zobaczyłem tego jaguara, szybko pożegnałem skłóconą młodzież, wskoczyłem do wozu i ruszyłem Szóstą do Collinsa. Na pełnym gazie skręciłem w Piątą, ale już go nie było. Pomyślałem, że skoro jedzie na lotnisko, to na pewno skieruje się na most MacArthura. Wyjechałem na estakadę i jakieś dwa kilometry dalej, na wysokości Star Island, zobaczyłem go przed sobą. Jechał spokojnie, jak gdyby nigdy nic. Wtedy zrozumiałem, że za chwilę facet minie granice miasta, nie przekraczając nawet dziewięćdziesiątki, a ja będę mógł co najwyżej powąchać smród jego spalin. Dlatego dodałem gazu, żeby go zatrzymać, zanim opuści mój rewir.

C.J. usiadła z powrotem i odchyliła się na oparcie fotela. W gardle jej zaschło, serce tłukło się w piersi jak oszalałe. Sytuacja wyglądała coraz

gorzej.

– A więc nieprawdą jest też to, że przekroczył dozwoloną prędkość? Zatrzymałeś go tylko na podstawie anonimowego zgłoszenia i nic poza tym?

Chavez nie odpowiedział, siedział ze wzrokiem utkwionym w papierach, które trzymał na kolanach.

– Co dokładnie powiedział ten informator?

– Już mówiłem. Żebym zwrócił uwagę na nowiutkiego czarnego jaguara XJ-osiem jadącego Waszyngtona na południe z dwiema kostkami kokainy w bagażniku.

– Kierującego się na lotnisko?

– Tak, na lotnisko.

– Czy informator opisał kierowcę? A może podał numer rejestracyjny jaguara? Zdradził, skąd to wszystko wie? Czy powiedział cokolwiek, co pozwoliłoby zdrowo myślącemu policjantowi zdobyć przekonanie, że nie jest wpuszczany w maliny?

Uświadomiła sobie nagle, że mówi bardzo podniesionym głosem, niemal krzyczy. Doskonale wiedziała, z jaką podejrzliwością sądy traktują anonimowe doniesienia, skoro nie było żadnego sposobu sprawdzenia wiarygodności informatora. A ponieważ Bantling nawet nie przekroczył dozwolonej prędkości, nie było podstaw do zatrzymania. Nawet tajemniczy cynk o dwóch kilogramach kokainy w bagażniku czarnego jaguara jadącego Waszyngtona na południe nie mógł zostać formalnie uznany za taką podstawę.

– Nie. Nic więcej nie powiedział, pani Townsend. Kierowca zbliżał się do granicy mojego rewiru, a ja nie chciałem go stracić, dlatego zatrzymałem.

– Szczerze mówiąc, straciłeś go już na ulicy Szóstej. Bo jak mógłbyś teraz dowieść, że czarny jaguar, którego zatrzymałeś na moście MacArthura, to ten

sam, który przejechał obok ciebie na Waszyngtona? Jak mógłbyś dowieść, że zatrzymany przez ciebie kierowca jest tym samym człowiekiem, którego dotyczyła anonimowa informacja, zakładając, rzecz jasna, że w ogóle było jakiegokolwiek zgłoszenie?

Znów zapadła cisza. Po chwili C.J. dodała:

– No właśnie. Niczego nie możesz dowieść, ponieważ anonimowe zgłoszenie jest tylko pokrętną wymówką, jak sam doskonale wiesz. I dlatego nie powiedziałeś mi o nim od razu. Dobra, zatrzymałeś go na poboczu mostu. Powiedz mi teraz, co się naprawdę stało później.

– Kazałem mu wysiąść z samochodu i poprosiłem o dokumenty, prawo jazdy i dowód rejestracyjny. Zapytałem, dokąd jedzie, i odparł, że na lotnisko. Wtedy spytałem, co wiezie w bagażniku. Gdzie ma bagaż. Na tylnym siedzeniu leżała tylko podręczna torba podróżna, a informator powiedział, że kokainę przewozi w bagażniku. Kazał mi się odpieprzyć. Od razu stało się jasne, że ma coś do ukrycia. Powiedziałem mu więc, że chyba nie zdąży na samolot, i wezwałem przez radio policjanta z psem do tropienia narkotyków.

– Co było w torbie podróżnej na tylnym siedzeniu?

– Ubrania, paszport, terminarz. Trochę papierów, nic poza tym.

– Kiedy zdążyłeś przeszukać jego bagaż?

– Gdy czekaliśmy na patrol z jednostki K-dziewięć.

– I z bagażnika nic nie cuchnęło, prawda? Nie czułeś żadnego fetoru zgnilizny?

– Ależ nie, naprawdę śmierdziało – odparł z ożywieniem. – To był taki dziwny smród, jakby rozkładających się zwłok.

– Kłamiesz jak z nut, Chavez. Nie mogłeś czuć żadnego fetoru i oboje świetnie to wiemy. Najpierw powiedziałeś Manny’emu Alvarezowi, że

podejrzewałeś obecność narkotyków w bagażniku, a kiedy się okazało, że ich tam nie ma, natychmiast zmieniłeś śpiewkę. Poza tym nie mogłeś poczuć fetoru rozkładających się zwłok, bo Anna Prado nie żyła zaledwie od kilku dni. Więc przestań mi mydlić oczy i powiedz szczerze, że chciałeś zajrzeć do bagażnika, bo byłeś wściekły, że na to nie pozwolił, a nie starczało ci odwagi, żeby samemu wyłamać zamek. Chciałeś odgrywać twardziela, któremu nikt nie ma prawa niczego odmówić. I pewnie zdajesz sobie sprawę, że nie miałeś żadnych podstaw, by zatrzymać Bantlinga. Wszystko przez to, że nie przyszło ci nawet do głowy, by sprawdzić, czy masz prawo interweniować na podstawie anonimowego zgłoszenia. Więc spróbuj sobie teraz wyobrazić, Chavez, jak poważną sprawę kryminalną właśnie dokumentnie spieprzyłeś.

Wstał z fotela i zaczął nerwowo krążyć po gabinecie.

– Chryste, skąd miałem wiedzieć, że to Kupidyn?! Myślałem, że dorwałem ulicznego handlarza prochów. Miałem nadzieję, że jak uda mi się go przyskrzynieć, powiem, że kierowałem się intuicją. Mój opiekun powtarzał, że w Miami takie rzeczy są na porządku dziennym. Jeśli ktoś nie pozwala zajrzeć do bagażnika auta, to znaczy, że ma tam coś trefnego. A on przewoził zwłoki w tym cholernym jaguarze! Miał w bagażniku trupa! I chce mi pani wmówić, że to ja pokpiłem sprawę?!

– Owszem, to właśnie chcę powiedzieć, bo skoro i zatrzymanie, i otwarcie bagażnika auta było bezpodstawne, sytuacja jest dokładnie taka sama, jakbyśmy nie znaleźli żadnych zwłok. Rozumiesz? To nie są fakty, które sąd mógłby zaliczyć do materiału dowodowego. Nie uczyli cię tego w akademii policyjnej? Czy może byłeś wtedy zbyt zajęty dobieraniem dodatkowego uzbrojenia z kaburą do ukrycia w nogawce spodni i po prostu nie słuchałeś wykładu?

Na pewien czas zapadła taka cisza, jakby oboje wsłuchiwali się w

monotonne tykanie zegara wiszącego na ścianie. Wreszcie C.J. zapytała cicho:

– Kto jeszcze jest wtajemniczony?

– Mój sierżant, Ribero, który zgłosił się przez radio, jak wyłamaliśmy zamek bagażnika. Opowiedziałem mu wszystko. Przestraszył się tak samo, jak pani, i powiedział, że istnieje ryzyko schrzanienia całej sprawy. Ale przecież nie mogliśmy tego gościa puścić wolno, prawda? Dlatego sierżant uznał, że trzeba wymyślić wiarygodną przyczynę zatrzymania, i kazał mi mówić, że interweniowałem na zgłoszenie.

– A kto stłukł tylne światła jaguara?

Chavez nie odpowiedział. Odwrócił głowę i zapatrzył się w okno.

– Tylko ty i Ribero znacie prawdę?

– Jeszcze Lindeman wie o wszystkim. Naprawdę wygląda to aż tak źle, pani Townsend? Wylecę za to ze służby?

– Twoja przyszłość mało mnie w tej chwili obchodzi, Chavez. Przede wszystkim muszę znaleźć sposób na wpakowanie tego rzeźnika za kratki, a na razie nic sensownego nie przychodzi mi do głowy.

Długo siedziała w milczeniu przy biurku, czekając, aż rozwieje się gęsta mgła przesłaniająca jej myśli. Chavez tkwił na fotelu, jakby bał się poruszyć, skulony i przygarbiony, z dłońmi splecionymi na brzuchu, chyba pogrążony w modlitwie.

Sierżant Lou Ribero, wezwany w trybie nagłym z Piekła Barrel, sztywno wyprostowany, z rękoma skrzyżowanymi na piersi, obrzucał go złowieszczym spojrzeniem. Prawdopodobnie układał w myślach listę najgorszych rejonów, do których będzie wysyłał Chaveza na patrole przez najbliższych dziesięć lat.

Wreszcie odezwała się cicho, gardłowym głosem, starannie dobierając słowa:

– Jeśli nawet niektóre fakty można różnie interpretować, to obowiązujące na Florydzie przepisy dotyczące anonimowych zgłoszeń są jednoznaczne. Z uwagi na brak możliwości przesłuchania zgłaszającego, sprawdzenia, skąd i jak zdobył ujawnione informacje, czy dokonania oceny motywów jego działania, takie zgłoszenie mogłoby się stać podstawą do zatrzymania tylko wtedy, gdyby zawierało wystarczająco dużo szczegółów, tak aby odbierający je funkcjonariusz zyskał absolutną pewność, że osoba ujawniająca fakty dysponuje o nich niezbitą i precyzyjną wiedzą. Gdyby jeszcze owe fakty zostały niezależnie potwierdzone, wtedy i tylko wtedy funkcjonariusz dysponowałby zasadnymi podstawami bądź przynajmniej umotywowanym podejrzeniem, że faktycznie ma do czynienia z działalnością przestępczą i mógłby zatrzymać wskazany pojazd w celu dalszego zbadania sprawy. Zgłoszenie pozbawione niezbędnych szczegółów, czyli zbyt ogólnikowe, nie

może być uznane za prawomocną podstawę do zatrzymania pojazdu. Kropka. A co za tym idzie, o czym wszyscy doskonale wiemy, jakiegokolwiek przeszukanie będące następstwem niezgodnego z prawem zatrzymania również musi być potraktowane jako niezgodne z prawem, jeśli nie istnieje niezależny, również uzasadniony powód do jego przeprowadzenia. Stąd też wszelkie dowody uzyskane na drodze niezgodnego z prawem przeszukania muszą zostać odrzucone.

Niemniej, każdy pojazd może być zatrzymany za jakiegokolwiek naruszenie przepisów ruchu drogowego popełnione w obecności funkcjonariusza policji, jak na przykład przekroczenie dopuszczalnej prędkości czy skręcanie w niedozwolonym miejscu, bądź też z powodu widocznych gołym okiem uszkodzeń mechanicznych, do których można zaliczyć stłuczoną osłonę świateł przednich albo tylnych lub zepsuty kierunkowskaz.

Funkcjonariusz Chavez zeznał w trakcie przesłuchania, że dziewiętnastego września około godziny dwudziestej piętnaście siedział w swoim wozie patrolowym zaparkowanym w South Beach, u wylotu ulicy Szóstej przed skrzyżowaniem z Waszyngtona. Wtedy też zauważył nowego czarnego jaguara, model XJ-osiem, o numerze rejestracyjnym TTR-L57, jadącego ulicą Waszyngtona na południe, w kierunku mostu MacArthura. Za kierownicą siedział biały mężczyzna w wieku od trzydziestu pięciu do czterdziestu pięciu lat. Samochód minął go z prędkością około sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, mimo że na tym odcinku obowiązuje ograniczenie do czterdziestu kilometrów na godzinę. Funkcjonariusz Chavez ruszył więc ze swego posterunku, skręcił z ulicy Szóstej w Collinsa i dalej pojechał Piątą na zachód, w kierunku estakady prowadzącej na most McArthura. Tam po raz drugi zauważył czarnego jaguara, model XJ-osiem, o numerze rejestracyjnym TTR-L57, z tym samym

białym mężczyzną za kierownicą. Przejechał za nim estakadą około dwóch kilometrów, W tym czasie zauważył, że jaguar ma zbitą osłonę tylnych świateł. Ponadto zwrócił uwagę, że kierowca często zmienia bez sygnalizacji pas ruchu, narażając na niebezpieczeństwo innych uczestników drogi. Dlatego też funkcjonariusz Chavez podjął decyzję o zatrzymaniu kierowcy łamiącego przepisy ruchu drogowego. Włączył migacz i uruchomił syrenę, zmuszając tym samym kierowcę jaguara do zjechania na pobocze.

Następnie poprosił kierowcę, zidentyfikowanego później jako William Rupert Bantling, o okazanie prawa jazdy i dowodu rejestracyjnego pojazdu. Zwrócił przy tym uwagę, że pan Bantling jest wyjątkowo niespokojny i roztrzęsiony. Ręce mu drżały, gdy podawał funkcjonariuszowi Chavezowi prawo jazdy, i wyraźnie unikał kontaktu wzrokowego. W drodze powrotnej do wozu patrolowego funkcjonariusz Chavez postanowił przyjrzeć się z bliska stłuczonej osłonie tylnych świateł jaguara i wtedy zauważył na zderzaku plamy o wyglądzie przypominającym ślady krwi. Natomiast wracając z wypisanym mandatem, by go wręczyć panu Bantlingowi wraz z prawem jazdy i dowodem rejestracyjnym, funkcjonariusz Chavez odniósł wrażenie, że wyczuwa dolatujący z za otwartego okna jaguara swąd marihuany. Poprosił więc zatrzymanego o zgodę na przeszukanie pojazdu, ale spotkał się z odmową. Wziąwszy pod uwagę wszystkie okoliczności, to znaczy podejrzone plamy na zderzaku, swąd marihuany oraz zachowanie pana Bantlinga, funkcjonariusz Chavez nabrał podejrzeń, że w samochodzie przewożone są narkotyki, i dlatego wezwał do pomocy patrol z jednostki K-dziewięć, z psem tropiącym narkotyki. Kiedy zjawił się Beauchamp z komendy miejskiej w Miami Beach, jego pies, Butch, zaczął od razu obszczekiwać bagażnik pojazdu. Obaj funkcjonariusze uznali to za wystarczającą podstawę do przeszukania zawartości bagażnika zatrzymanego

pojazdu, a w jej trakcie odkryli zwłoki Anny Prado.

Uniosła głowę i popatrzyła prosto w oczy najpierw jednemu, potem drugiemu. Wreszcie zapytała:

– Czy taki właśnie był przebieg wydarzeń, Chavez? Dobrze zrozumiałam pańskie zeznania?

– Tak, proszę pani. Dokładnie tak to wyglądało. Popatrzyła na Ribero.

– Czy o takim przebiegu wydarzeń zameldował pański podwładny, sierżancie?

– Dokładnie tak.

– Doskonale. Proponuję zatem, by dokończył pan teraz swoją kawę w towarzystwie funkcjonariusza Lindemana, z którym, jeśli dobrze pamiętam, mam się spotkać na przesłuchaniu wyznaczonym na godzinę dwunastą.

Ribero wstał z krzesła.

– Bardzo dziękuję za pomoc w tej sprawie, pani Townsend. Jak się domyślam, będziemy jeszcze o tym rozmawiać w sądzie. – Z posępną miną skinął jej głową i obejrzał się na chłopaka wciąż siedzącego bez ruchu w fotelu. – Idziemy, Chavez.

Obaj wyszli i zamknęli za sobą drzwi. Stało się. Klamka zapadła. Doszli do niepisanej umowy, jakby zawarli pakt z samym diabłem, z którego pod żadnym pozorem nie można się było wycofać.

. 41 .

Po raz pierwszy w swojej karierze C.J. musiała naginać fakty. Wmawiała sobie, że czyni to dla wyższych celów, przymyka oko na zasady etyki zawodowej dla ogólnego dobra. W końcu najważniejsze było to, by zwalczać potwory, odcinać łby smokom, nawet jeśli w tym celu rycerze słusznej sprawy musieli stosować nieczyste chwytty.

Nie zmieniało to faktu, że Bantling został zatrzymany bezpodstawnie. Z czysto formalnego punktu widzenia nie było żadnego powodu, by go zatrzymywać, a tym bardziej przeszukiwać samochód. Teraz mogła tylko żałować, że Chavez okazał się tak kiepskim łgarzem, bo inaczej wcale nie musiałyby wydusić z niego zeznania, jak naprawdę było, a tym samym odgrywać w tym spisku czynnej roli, którą dobrowolnie wzięła na siebie.

Bez przeszukania jaguara nie byłoby zwłok, a bez zwłok nie byłoby sprawy o zabójstwo. Gdyby Chavez nie skorygował swoich zeznań, Bantling zostałaby uniewinniony. Ten wniosek był równie oczywisty, co przerażający. Bez względu na dowody odkryte w jego domu, pozwalające wiązać go z całą serią zabójstw, sprawa w ogóle nie ujrzałaby światła dziennego przed sądem, bo z powodu niezgodnego z prawem zatrzymania i przeszukania auta policja formalnie nawet nie mogłaby wiedzieć o istnieniu Williama Ruperta Bantlinga. Nie doszłoby zatem do rewizji w jego domu, nie ujawniono by fiolki z haldolem, śladów krwi w szopie, przypuszczalnego narzędzia zbrodni, kaset z amatorskimi sadystycznymi filmami porno. Tak to wyglądało z punktu widzenia przepisów prawa.

Dzwonek telefonu wyrwał ją z zamyślenia.

– Prokurator Townsend. Słucham.

– C.J.? Mówi Christine Frederick z Interpolu. Przepraszam, że tak długo się nie odzywałam, ale musiałam skorelować podane przez ciebie informacje z kilkoma różnymi bazami danych.

– Udało ci się coś znaleźć?

– Czy się udało? Mam wrażenie, że jest tego nawet sporo. Moim zdaniem wasz podejrzany byłby chętnie widziany w sądach paru krajów, gdybyście chcieli go wypuścić na wolność. Trafiłam na zgodność schematu działania we wszystkich trzech południowoamerykańskich państwach, doniesienia o gwałtach w Rio, Caracas i Buenos Aires, w Argentynie. Biały mężczyzna w gumowej masce, lubujący się w maltretowaniu i nacinaniu kobiet nożem. Używał jednak różnych masek. Mam w meldunkach maskę pozaziemskiego stwora, klauna, fantastycznego monstrum i jeszcze parę innych, których ofiary nie potrafiły rozpoznać. Natknęłam się też na analogiczne przypadki na Filipinach, gdzie zgłoszono aż cztery gwałty dokonane według tego samego schematu w okresie od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego do dziewięćdziesiątego czwartego roku. Później już się nie powtórzyły. Starsze bazy danych, z lat osiemdziesiątych, są fragmentaryczne i przestarzałe. Niczego w nich nie znalazłam. Nie było też podobnego przypadku gwałtu w Malezji. W sumie natrafiłam aż na dziesięć spraw w czterech krajach. A przecież sprawdzałam tylko te zgłoszenia, które napłynęły do Interpolu. Nie dzwoniłam do konsulatów i policyjnych komend, żeby na miejscu przeszukano archiwa. Doszłam do wniosku, że pewnie będziesz chciała to zrobić sama, jeśli tylko się potwierdzi, że wasz zatrzymany może być sprawcą tych wszystkich gwałtów. A wygląda na to, że tak. Zaraz ci prześlę faksem te zgłoszenia, byś sama mogła się z nimi zapoznać.

Dziesięć innych ofiar! Nawet nie musiała czytać policyjnych raportów odnalezionych przez Christine, by zdobyć przeświadczenie, że za wszystkie

gwałty odpowiada Bantling. Był więc seryjnym gwałcicielem i seryjnym zabójcą, prawdziwym seksualnym potworem. Zgwałcił i torturował co najmniej siedemnaście kobiet, zabił dziesięć innych, prawdopodobnie jedenaście, może nawet więcej.

Tymczasem niewiele brakowało, żeby przez Chaveza w ogóle nie było sprawy i Bantling odzyskałby wolność, uwolniony od zarzutu zamordowania Anny Prado. Gwałty popełnione przez niego na terenie Stanów Zjednoczonych uległy przedawnieniu, nie można go było postawić za nie przed sądem. C.J. zdawała sobie sprawę, że za gwałty, których dopuścił się za granicą, też nie będzie musiał odpowiadać. Zapewne wszystkie miejsca zbrodni wyglądały tak samo, nigdzie nie zostawił po sobie żadnych dowodów, a ponadto wymiar sprawiedliwości w biednych państwach Ameryki Południowej był mało wiarygodny, najogólniej rzecz biorąc. Mając dobrego adwokata, bez trudu uwolniłby się i od tych zarzutów. I w tym zakresie William Rupert Bantling mógł się nie lękać o swoją wolność. Mógłby dalej polować na kobiety, porywać je, gwałcić, torturować i zabijać, co też zapewne by czynił. Z pewnością była to tylko kwestia czasu.

Trzeba było poświęcić pewne zasady dla wyższych celów.

W tej sytuacji za nic w świecie nie mogła zrezygnować z dalszego prowadzenia sprawy. Pozostawało tylko jedno pytanie, które wciąż ją nurtowało i na które zapewne nigdy nie znajdzie odpowiedzi:

Kto dał policji cynk na Bantlinga?

. 42 .

– Dlaczego mnie unikasz?

W drzwiach gabinetu stał agent specjalny Dominick Falconetti z czarną skórzaną teczką w jednym ręku i dużą papierową torbą z ciastkarni w drugim. Ociekał wodą.

Spojrzała na niego z udawanym osłupieniem i otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale po krótkim namyśle zamknęła je i odchyliła się na oparcie fotela.

Przyznaję się do winy, panie władzo.

– Nawet nie próbuj zaprzeczać. To oczywiste, że mnie unikasz. W tym tygodniu najpierw wybrałaś się sama do zakładu medycyny sądowej, a potem zlekceważyłaś co najmniej sześć moich wiadomości telefonicznych. Do Manny’ego oddzwoniłaś, ale nie do mnie. Poza tym wyznaczyłaś mi termin przesłuchania na samym końcu.

– Masz rację. Chyba rzeczywiście cię unikałam.

– Więc chciałbym wiedzieć dlaczego. Czyżbyś lubiła Manny’ego bardziej ode mnie? Jest zdecydowanie bardziej irytujący. Ponadto pali w twoim gabinecie pod twoją nieobecność.

Oderwał się od framugi i podszedł bliżej.

– Czy oprócz glocków nie przydzielają wam służbowych parasoli?

– Jesteśmy uzbrojeni w beretty, nie glocki, a parasoli nam nie dają. Nikogo nie obchodzi, czy przemokniemy i złapiemy katar, dopóki będziemy zdolni strzelać do bandytów w razie konieczności. Nie zmieniaj tematu.

– Posłuchaj, Dominicku. Nasze... kontakty powinny zostać czysto zawodowe. Nic poza tym. Jesteś moją główną podporą w tej sprawie i byłoby

źle, gdybyśmy... bardziej się zaangażowali w tę znajomość. Po prostu nie wiedziałam, jak ci to powiedzieć.

– Nie kłam. Jestem pewien, że przez cały tydzień dobierałaś w myślach odpowiednie słowa.

Pochylił się w jej stronę, oparty dłońmi o kant biurka. Kosmyki mokrych czarnych włosów oblepiły czoło, spływająca z nich woda ściekała strużkami za kołnierz. Znowu przyjemnie pachniał dobrym mydłem. C.J. popatrzyła na kołnierzyk jego błękitnej koszuli mundurowej, szczelnie przywierający do mokrej od deszczu szyi.

– Może to zabrzmiało arogancko – rzekł ciszej – ale ci nie wierzę. Sądziłem, że... – Zawahał się na chwilę i bezgłośnie poruszył ustami, próbując szybko znaleźć właściwe określenie. – ...że łączy nas coś więcej, że może z tego coś wyniknie. I po tamtym pocałunku wydawało mi się, że ty również coś do mnie czujesz.

Poczuła, że się czerwieni. Błagała w duchu o patrzność, by nikt nie zjawił się teraz przed gabinetem, którego drzwi były nadal szeroko otwarte. Szybko spuściła głowę, chcąc uniknąć przenikliwego spojrzenia jego piwnych oczu.

– Dominicku, ja... – wybąkała, usiłując pospiesznie zebrać myśli. – Naprawdę powinniśmy się ograniczyć do kontaktów czysto zawodowych. Mój szef... media miałyby niezłe używanie, gdyby wyszło to na jaw...

Wyprostował się i usiadł w fotelu naprzeciwko.

– Media wcale nie zwróciłyby na to uwagi. Zresztą nawet gdyby było inaczej, kogo to obchodzi? – Sięgnął do papierowej torby i wyjął dwa plastikowe kubeczki z kawą. Postawił jeden z nich na biurku. – Z kostką cukru i śmietanką. Zgadza się?

Uśmiechnęła się blado i skinęła głową.

– Tak, zgadza się. Dziękuję. Nie musiałeś...

Na parę minut zapadło niezręczne milczenie, oboje w zamyśleniu mieszały kawę plastikowymi łyżkami. Deszcz zaciekle bębnił o parapet, padało bez przerwy już od trzech dni. Przez strugi ulewy ledwie było widać zarysy budynków po drugiej stronie ulicy, a parking przypominał sadzawkę. Ludzie wbiegający do gmachu sądu musieli przeskakiwać wielkie kałuże na chodniku. Komuś wypadły dokumenty i teraz na całej szerokości ulicy Trzydziestej białe mokre kartki przygwożdżone deszczem do asfaltu.

Postanowiła w końcu przerwać ciszę i odezwała się gardłowo:

– Mam nadzieję, że rozumiesz moje stanowisko. Westchnął ciężko i pochylił się w jej kierunku.

– Nie, nie rozumiem. Posłuchaj, C.J. Przestańmy owijać sprawy w bawełnę. Naprawdę cię lubię i podobasz mi się. Byłem przekonany, że z wzajemnością. Miałem nadzieję, że coś z tego wyniknie, że spróbujemy zacieśnić tę znajomość. Ale wygląda na to, że przynajmniej na razie jest to wykluczone. Tyle potrafiłem sam wykombinować. Coś się z tobą stało po aresztowaniu Bantlinga. Nie wiem co, ale nie sądzę, żeby chodziło o media czy twojego szefa. Więc jeśli chcesz, bym się pogodził z tym, co powiedziałaś, w porządku, nie ma sprawy. Ale nie licz na to, że cię zrozumie. – Przeciągnął dłonią po mokrych włosach, odgarniając je z czoła, i dodał z rezygnacją w głosie: – Zostawmy to na „razie. Przyszedłem na przesłuchanie. Jest piątek, czternasta. Zjawiłem się punktualnie. – Postawił teczkę na krześle przy fotelu i otworzył ją. – Aha, byłbym zapomniał... – Jeszcze raz sięgnął do papierowej torby. – Kupiłem ci paczkę z kremem śmietankowym. Niosłem torbę pod marynarką, żeby nie przemokła.

Tylko pierwsze pół godziny przesłuchania upłynęło w napiętej atmosferze. Później poszło zdecydowanie lepiej, rozmowa stała się swobodniejsza, wręcz miła i przyjacielska. C.J. zdawała sobie sprawę, że jest na nią zły, miał prawo

poczuć się urażony. Jak na ironię, gdy obiecał, że jej nie skrzywdzi, sam został przez nią skrzywdzony. Ale przecież nie zrobiła tego celowo. Chciała mu powiedzieć, co naprawdę do niego czuje, jak bardzo jej samej zależy, by stało się to, czego pragnął. Milczała jednak. Zaprzysięgła go i zaczęła przepytować.

Tę znajomość również zmuszona była potraktować jak poświęcenie dla wyższych celów.

Zastępca prokuratora stanowego, Martin Yars, musiał dysponować kompletem materiałów, by przedstawić sprawę komisji sędziowskiej w najbliższą środę, dwudziestego siódmego września, a więc na kilka dni przed upływającym w poniedziałek, drugiego października, terminem postawienia Bantlinga w stan oskarżenia. Dominick miał zeznawać przed komisją, by zaprezentować przebieg śledztwa w sprawie śmierci Anny Prado w nadziei, że jego ustalenia zostaną przyjęte jako wystarczające do postawienia Bantlingowi zarzutu popełnienia morderstwa z premedytacją. W powszechnym mniemaniu sprawa nie budziła większych kontrowersji. Policja znalazła okaleczone zwłoki i chociaż nie było jeszcze wyników analizy DNA, ślady krwi odkryte w szopie za domem Bantlinga odpowiadały grupie krwi Anny Prado, to znaczy 0 minus. Ponadto wszystko wskazywało, że znaleziono narzędzie zbrodni. Na jednym ze skalpeli wyjętych przez Jimmy'ego Fultona z szafki w szopie widniały ślady krwi tej samej grupy, a haloperidol, silny środek uspokajający wykryty w organizmie zabitej dziewczyny, odpowiadał leкови z recepty znalezionej w domu Bantlinga. To wszystko sprawiało, że sprawa powinna być oczywista, gdyby nie Chavez i ujawnione przez niego w poniedziałek szczegóły zatrzymania. Niemniej C.J. liczyła na to, że akt oskarżenia nie tylko zostanie przyjęty, ale komisja zaakceptuje także zarzut morderstwa z premedytacją. Na tym etapie procesu

obrona w ogóle nie mogła przedstawiać swoich argumentów, głos miało wyłącznie oskarżenie, a prezentowane dowody nie podlegały dyskusji. Jak mawiał jej były wykładowca prawa karnego na Uniwersytecie St. John's, prokuratura mogła wysunąć oskarżenie choćby przeciwko kanapce z szynką, gdyby tylko chciała.

Nie powiedziała Dominickowi o nieprawidłowościach w chwili zatrzymania. Wołała go nie stawiać w niezręcznej sytuacji i na razie zachować dla siebie dręczące wątpliwości co do źródła anonimowego zgłoszenia. Po głębokim namyśle doszła do wniosku, że był to zapewne zbieg okoliczności. Model XJ8 czarnego jaguara nie należał w SoBe do rzadkości, można więc było przypuszczać, że Chavez zatrzymał inny samochód, nie ten, o którym mówił informator. Ale nie dało się też wykluczyć, że Bantling załazł komuś za skórę, wkurzył jakiegoś kretyna, który wykombinował, że się zemści, donosząc na niego policji. Uważała, że dalsze łamanie sobie głowy tą zagadką będzie jak zostawienie otwartych drzwi do pokoju, do którego nikogo nie chce się wpuszczać.

Wciąż tak samo lało, gdy po trzech godzinach zakończyli przesłuchanie i Dominick zaczął się zbierać do wyjścia. Coraz silniejszy wiatr ciskał strugami deszczu w okno, toteż C.J. sięgnęła do dolnej szuflady biurka po swoją parasolkę.

– Nie mogę pozwolić, żebyś teraz przemókł i się przeziębził. Strażnik i tak odprowadzi mnie do samochodu, więc skorzystam z jego parasola.

– Strażnik? Przecież jest piątek, minęła siedemnasta. Strażnicy już dawno poszli do domu razem z całym personelem biura. Dzięki, ale nie wezmę parasolki. Nie jestem z cukru. Woda spływa po mnie jak po gęsi.

– Jak wolisz. Tylko się nie przezięb. W środę musisz stanąć przed komisją sędziowską. Och, całkiem zapomniałam. Właśnie dostałam kopię wniosku

Bantlinga o przesłuchanie Arthura. Za wszelką cenę chce wyjść za kaucją. Posiedzenie w tej sprawie zostało wyznaczone na przyszły piątek, dwudziestego dziewiątego, po południu. Będziesz mógł się stawić?

To, co powszechnie nazywano przesłuchaniem Arthura, było rozwiniętą formą pierwszego wstępnego przesłuchania zatrzymanego, podczas którego sędzia tylko zapoznawał się z okolicznościami zatrzymania, aby ocenić, czy było ono uzasadnione. Jeśli nawet akt oskarżenia zostałby wcześniej przyjęty przez komisję, w trakcie przesłuchania Arthura C.J. była zobligowana udowodnić, że dysponuje „niezbitymi dowodami i ma uzasadnione podejrzenia co do winy zatrzymanego”, to zaś oznaczało, że będzie musiała powołać co najmniej jednego świadka, a więc prowadzącego dochodzenie. Oczywiście nie było jeszcze potrzeby prezentowania materiału dowodowego, jednakże obrona miało prawo zadawać świadkowi pytania. Adwokaci często korzystali z tej okazji, żeby wy badać, jak mocne dowody zdołało zebrać oskarżenie i jak główny świadek zamierza zeznawać przed ławą przysięgłych, nawet jeśli świetnie zdawali sobie sprawę, że nie mają szans na uzyskanie zwolnienia za kaucją. C.J. podejrzewała więc, że taki właśnie cel przyświeca również Lourdes Rubio.

– Ty je poprowadzisz?

– Tak. Yars rezerwuje dla siebie tylko prezentację aktu oskarżenia przed komisją. Od chwili jego przyjęcia ja odpowiadam za całą resztę.

– Więc jak mógłbym odmówić? Oczywiście, nadal musimy pozostać na gruncie czysto zawodowym, toteż lepiej przyślij mi oficjalne wezwanie do stawienia się w sądzie.

Znów poczuła, że się czerwieni.

– Bardzo zabawne. W każdym razie dzięki za... zrozumienie mojego stanowiska co do... utrzymania naszej znajomości na gruncie czysto

zawodowym.

– Nie powiedziałem, że je rozumiem, tylko że się z nim godzę, a to kolosalna różnica.

Odprowadziła go przez wyludniony sekretariat do windy w głównym holu budynku. Przed drzwiami odwrócił się i rzekł jeszcze:

– Jestem umówiony z Mannym na drinka w Alibi, żeby przedyskutować parę spraw. Dołącz do nas, jeśli masz ochotę. We trójkę przy piwie na pewno zdołamy utrzymać naszą znajomość na gruncie czysto zawodowym.

– Dzięki, ale nie skorzystam. Mam jeszcze mnóstwo rzeczy na głowie.

– Jak wolisz. W takim razie życzę miłego weekendu, pani prokurator. Jak sądzę, spotkamy się dopiero w środę, przed komisją sędziowską.

– Nie przezięb się – powtórzyła jeszcze, gdy zamykały się już za nim drzwi windy.

Po raz kolejny została sama w ciemnym, opustoszałym biurze.

. 43 .

Niespełna godzinę zajęło komisji sędziowskiej oskarżenie Williama Ruperta Bantlinga o zamordowanie z premedytacją Anny Prado. Zresztą trwało to aż tyle, bo członkowie komisji zamówili sobie lunch do sali narad, a jego kosztami mogli obciążyć budżet stanowy tylko wtedy, gdy nie udało się uzgodnić stanowiska przed przerwą obiadową.

Już kilka minut po jego ogłoszeniu wysłannicy mediów rzucili się na tę nowinę niczym wygłodniała horda i nie zdążywszy jej nawet przetrawić, natychmiast przystąpili do karmienia nią wiernych odbiorców z całego świata, z szerokimi uśmiechami tłumacząc do obiektywów kamer na marmurowych schodach sądu okręgowego, co ta decyzja naprawdę oznacza.

C.J. nawet się nie spodziewała, że zapadnie ona aż tak szybko. Gorączkowo naradzała się jeszcze z samym prokuratorem stanowym, Jerryem Tiglerem, gdy któraś z sekretarek wpadła jak bomba do sali konferencyjnej z nowiną i pospiesznie włączyła telewizor. Wszyscy uczestniczący w naprędce zwołanej naradzie, to znaczy C.J., Tigler, prokurator federalny dystryktu południowego oraz szef rejonowego biura FBI z Miami, zapatrzyli się na ekran, gdzie poczerwieniały z podniecenia Martin Yars, zastępca Tiglera, na schodach przed gmachem sądu rzucał pojedyncze słowa w odpowiedzi na dziesiątki pytań, którymi był zasypywany, usiłując zarazem przepchnąć się przez tłum dziennikarzy do samochodu. Wyglądało to żałośnie. A brzmiało jeszcze gorzej.

Owo spotkanie w biurze prokuratora stanowego zostało zwołane na wspólne żądanie Federalnego Biura Śledczego i oddziału prokuratury federalnej. Nie ulegało wątpliwości, że agenci federalni chcieliby przejąć

sprawę Kupidyna i z nikim się nią nie dzielić. Diskusja została jednak przerwana i wszyscy wlepili spojrzenia w Yarsa, który tego dnia wyjątkowo się jąkał, jakby nagle zapomniał języka w gębie. Po kilku trudnych dla niego chwilach nawet Kanał Siódmy okazał litość i przełączył się na blok reklamowy. Tom de la Flors, prokurator federalny dystryktu południowego, pierwszy odważył się przerwać kłopotliwą ciszę.

– Widzisz, Jeny? Właśnie dokładnie o czymś takim mówiłem. Nasze biuro dysponuje środkami i odpowiednio przygotowanym personelem, by poradzić sobie z całym tym medialnym cyrkiem. – Pokręcił głową i spoglądając w oczy Tiglerowi, który poruszył się nerwowo na obitym skajem krześle z wysokim oparciem, ciągnął znacznie ciszej, niemalże poufałym szeptem: – Chyba możemy być ze sobą całkiem szczerzy, prawda, Jeny? Ta sprawa to prawdziwa polityczna bomba z opóźnionym zapłonem, jak wszyscy dobrze wiemy. Jeden nieostrożny ruch, jedna pomyłka, a wybuchnie nam prosto w twarz. Do tego tuż przed nadchodzącymi wyborami. Nie jest żadną tajemnicą, jak trudno zdobyć przychylność wyborców i utrzymać liczebność swojego elektoratu. Byłem kiedyś sędzią sądu federalnego i wiem, jak to działa. Sondáže nie kłamią, Jeny. Ludzie nie są szczęśliwi ze sposobu prowadzenia tej sprawy w twoim biurze od samego początku. Osiemnaście miesięcy musieli czekać na aresztowanie podejrzanego, który w dodatku będzie teraz sądzony tylko za jedno zabójstwo. Rodziny pozostałych ofiar głośno mówią o swoim niezadowoleniu, a dziennikarze chętnie nadstawiają ucha. I wszyscy tego słuchają, Jeny. Absolutnie wszyscy.

Natychmiast włączył się też szef lokalnego oddziału FBI, Mark Gracker:

– Moje biuro jest gotowe od razu przejąć całość dochodzenia. Oczywiście będzie nam potrzebny materiał dowodowy w sprawie Kupidyna zebrany do tej pory przez specjalną grupę dochodzeniową, żeby w laboratorium

kryminalistyki FBI można jeszcze raz przeprowadzić wszystkie badania.

De la Flors milczał jeszcze przez chwilę, chcąc dać gospodarzom czas na oswojenie się z sytuacją, wreszcie pochylił się na krzesło i głosem pełnym rezygnacji, przypominającym ton ojca strofującego po raz setny nieposłuszne dziecko, rzekł:

– Biuro prokuratora federalnego także jest gotowe na przejęcie sprawy i rozciągnięcie jej na wszystkie zabójstwa, Jeny, a nie tylko zabójstwo Marilyn Siban. Myślę, że byłoby dużo prościej, gdybyśmy uzgodnili to między sobą i zaoszczędzili sobie nawzajem niepotrzebnych sporów przed sądem.

C.J. gotowała się z wściekłości, słuchając tych słabo zamaskowanych, ubranych w okrągłe słówka gróźb padających z ust uśmiechającego się złośliwie i szczerzącego idealnie białe i równiutkie zęby de la Florsa. Miała nadzieję, że jej szef w końcu poderwie się z miejsca i zdzieli go po pysku, wiedziała jednak, że musiałyby sobie najpierw wyhodować solidne jaja, a na to trzeba by wielu lat.

Tigler tylko wodził spojrzeniem po twarzach ludzi zebranych przy stole konferencyjnym, i skrzywiony, jakby go zęby bolały, niespokojnie wiercił się na krzesle. Po dłuższym zastanowieniu odchrząknął i zdobył się na odwagę.

– No cóż, Tom, doceniam waszą troskę, uważam jednak, że na tym etapie sprawujemy jeszcze pełną kontrolę. Obecna tu C.J. Townsend to nasz najlepszy prokurator i jestem głęboko przekonany, że poradzi sobie z tą sprawą.

Sprawiał takie wrażenie, jakby znalazł się w obcym dla siebie otoczeniu. Brązowy garnitur był wymięty i powycierany, a tupecik przesunął się na czubku głowy zapewne z powodu nadmiernej ilości potu wydzielanego z wrażenia. Pod żadnym względem nie mógł się równać z wiecznie uśmiechniętym, ubranym w garnitur od Calvina Kleina byłym sędzią, chyba

wręcz fizycznie wyższym o parę centymetrów po osobistym spotkaniu z prezydentem Tomem de la Florse.

– Nie jestem pewien, czy dobrze rozumie pan sytuację, panie Tigler – znowu włączył się Gracker. C.J. zapatrzyła się na jego tłusty paluch rytmicznie postukujący w stół w celu zwrócenia na siebie uwagi. – Biuro prowadziło już setki spraw seryjnych zabójców. Dysponujemy odpowiednim zapleczem, aby powiązać ze sobą śmierć wszystkich jedenastu ofiar.

To wyczerpało jej limit cierpliwości.

– Chyba chciał pan powiedzieć: dziesięciu ofiar, agencie Gracker. Bo jak dotąd odnaleziono tylko dziesięć ciał. Więc dopóki FBI nie ujawni, gdzie zostały ukryte zwłoki Morgan Weber, możemy mówić jedynie o dziesięciu zabójstwach. Może przy okazji wyjaśnię też, dlaczego dotąd nie aresztowaliśmy przedwcześnie i nie postawiliśmy w stan oskarżenia sprawcy dziewięciu wcześniejszych morderstw. Otóż jak dotąd nie ma żadnych dowodów łączących Bantlinga z tymi dziewięcioma zabitymi dziewczętami, dlatego nasze biuro uznało, że będzie rozważnie, jeśli przedstawimy w sądzie tylko jedną sprawę, w której już teraz możemy dowieść winy.

– Nikt nie zamierzał pani krytykować, panno Townsend – zaczął de la Flors, ale mu przerwała:

– Nieprawda. Wszystkie pańskie argumenty to jawna krytyka mnie, mojego prokuratorskiego doświadczenia, jak też całego naszego biura, panie de la Flors. Bo zakładając nawet, że sprawy wszystkich dziesięciu morderstw dałoby się połączyć pod nadzorem prokuratury federalnej, pod jakim pozorem chcielibyście dowodzić, że podlegają waszej jurysdykcji? Tylko zwłoki Marilyn Sibon zostały znalezione na terenie należącym do władz federalnych.

De la Flors zrobił osłupiałą minę. Najwyraźniej nie spodziewał się

rzeczowej argumentacji ze strony szeregowego pracownika biura, najwyżej lekkiego utyskiwania samego Tiglera. Upłynęło kilka długich sekund, nim się otrząsnął ze zdumienia.

– Jeśli się nie mylę, panno Townsend, w ciałach wszystkich ofiar wykryto dawki środka uspokajającego, haloperidolu. Prawdopodobnie środek ten został im podany przed śmiercią przez sprawcę mordów, a konkretnie przez Williama Bantlinga. Stąd też można uznać, że w świetle federalnego prawa karnego Bantling zaangażował się w trwały spisek o charakterze przestępczym.

Tom de la Flors wybrał zły dzień i niewłaściwą osobę na próbę przeforsowania własnej interpretacji przepisów.

– Informacja o środku uspokajającym jest prawdziwa. Jednakże... i proszę mnie sprostować, jeśli się mylę, według federalnego kodeksu karnego potrzebnych byłoby co najmniej pięciu podejrzanych do uznania tego za spisek. Jeśli FBI wie coś o innych podejrzanych w tej sprawie, chętnie wysłuchamy wszelkich rewelacji, lecz według mojej wiedzy, Bantling działał sam. Zatem na razie brakuje jeszcze czterech podejrzanych, by oskarżyć ich o stworzenie spisku. Oczywiście, w świetle federalnego prawa karnego.

Przyszło jej do głowy, że może już się pożegnać z jakimikolwiek marzeniami o karierze w instytucjach federalnych, zwłaszcza na stanowisku prokuratora. De la Flors obrzucił ją karcącym spojrzeniem.

– No cóż, będę musiał dokładniej zapoznać się z tą sprawą, panno Townsend, ale to przecież tylko jedna z wielu możliwych teorii. Można przecież wnieść oskarżenie na podstawie ustawy Hobbsa. – Odwrócił się do Tiglera. – Dotąd z powodzeniem korzystaliśmy z tej możliwości w sprawach przeciwko rabusiom okradającym turystów, i to właśnie tu, w okręgu Dade.

– To prawda, ale ustawa ma zastosowanie tylko w przypadkach kradzieży

– odparła szybko C.J. – To nadal nie pozwala zaliczyć morderstw do zakresu waszej jurysdykcji.

De la Flors okazywał coraz większe rozdrażnienie, jakby musiał się opędząć od natrętnej muchy. Był jednak politykiem, a nie prokuratorem. Prawdopodobnie od czterech lat, to znaczy od objęcia stanowiska w prokuraturze federalnej, ani nie widział na oczu sali sądowej, ani nie zaglądał do kodeksu karnego, nie był więc przygotowany do dyskusji na temat subtelnych niuansów w przepisach. Pewnie dlatego znów podniósł głos i przybrał ton nieznoszący sprzeciwu, jakim na początku rozmawiał z Tiglerem.

– Owszem, pozwala, jeśli uznamy je za wynik napadu rabunkowego. W każdym razie mogę panią zapewnić, że byłaby solidną podstawą do wytoczenia procesu przed sądem federalnym. Lecz jeśli wasze biuro chce na tej podstawie toczyć spór co do zakresu naszej jurysdykcji, zawsze możemy oskarżyć zatrzymanego o sam rabunek.

– Wolno mi zapytać, jaki rabunek ma pan konkretnie na myśli? – odezwał się w końcu Tigler lekko roztrzęsionym głosem.

– Oczywiście, Jerry. W końcu każda z ofiar została znaleziona nago, z wyciętym sercem, prawda? Włączając w to ostatnią, pannę Prado. Zatem każda została obrabowana. I w tym zakresie przepisy prawa karnego są jednoznaczne, panno Townsend. Możemy zatem włączyć tę sprawę pod jurysdykcję federalną i postawić Bantlinga przed sądem, żeby wymierzyć mu po parę lat kary za każdy z popełnionych rabunków. To znacznie lepsza perspektywa od tego, co wasze biuro zdołało zrobić do tej pory. A gdy już zostanie skazany, zawsze będzie można go przywieźć z więzienia w Leavenworth, by odpowiadał przed sądem stanowym za takie winy, o jakie w końcu zdołacie go oskarżyć. Oczywiście zakładając, Jerry, że nadal będziecie

jeszcze prokuratorem stanowym i będziesz mógł podejmować takie decyzje. Więc lepiej przemyśl to sobie dobrze i zawiadom mnie, czy możemy liczyć na współpracę, nim we własnym zakresie sporządzimy akt oskarżenia. Tymczasem mam dla was nakaz federalny, podpisany przez sędzię pokoju Carol Kingsley, upoważniający nas do żądania dostępu do domu i samochodów Bantlinga, jak również do całości materiału dowodowego zebranego na podstawie wydanych wcześniej nakazów sądu stanowego.

Wyjął z teczki i rzucił na stół gruby plik papierów. C.J. nawet na chwilę nie spuszczała z niego wzroku.

– Przygotuję kopie wszelkich dokumentów, panie de la Flors. Osobiście zapoznam pańskich ludzi z materiałem dowodowym zebrany przez specjalną grupę dochodzeniową i omówię wyniki wszystkich wykonanych do tej pory badań laboratoryjnych. Co więcej, zaproszę ich, by towarzyszyli mi w spotkaniach z sędzią Kingsley, bo choć jestem gotowa do pełnej współpracy, to jednak w pierwszej kolejności muszę się skupić na prowadzonej sprawie dotyczącej zabójstwa z premedytacją bo sądząc po tonie gróźb, jakie padły w tej sali, będę musiała się pospieszyć, zanim stanę wobec konieczności formułowania kuriozalnego wniosku o wydanie mordercy odsiadującego w więzieniu federalnym wyrok za rabunek. – Wstała i zgarnęła ze stołu plik papierów. – A teraz, jeśli panowie wybaczą, zajmę się od razu kopiowaniem dokumentów objętych tymże nakazem federalnym.

Jeny Tigler obrzucił ją tęsknym spojrzeniem, jakby nie mógł odżalować, że to nie on sprzeciwił się żądaniom gości, przytaczając konkretne argumenty. Na pociechę zostało mu to, że w swoim wymiętym brązowym garniturze siedział dobre pięć centymetrów wyżej, mógł zatem z góry popatrzeć, jak kipiący z wściekłości Mark Gracker i Tom de la Flors wypadają jak oparzeni z jego sali konferencyjnej.

Czuła dokuczliwe ssanie w żołądku, wjeżdżając windą na czwarte piętro, gdzie w sali 4-8 sędzia Nelson Hilfaro miał o wpół do drugiej rozpocząć przesłuchanie Arthura. Z każdym mijanym piętrem serce biło jej coraz szybciej, a ssanie przybierało na sile, jakby miała w brzuchu chmarę much schwytych w pułapkę i tłukących się na oślep, dających jej niemal stuprocentową pewność, że zaraz znowu zwymiotuje.

I choć w dodatku ciężka wypchana teczka wyslizgiwała się ze spoczonej dłoni, zachowywała kamienną twarz. Nie mogła dopuścić, by ktoś dostrzegł w niej przerażenie powodujące nudności i ściskające za gardło. Dla całego zewnętrznego świata musiała być silną, pewną siebie prokurator. Tylko w głębi własnej świadomości mogła walczyć z obawą, że lada chwila się załamie.

W dotychczasowej karierze uczestniczyła już co najmniej w dwustu podobnych przesłuchaniach. Pewnie było ich aż trzysta, a może nawet więcej. Stanowiły rutynowy element procedury karnej. Każdy oskarżony o przestępstwo zagrożone karą śmierci bądź dożywotniego więzienia, niemający szansy na wyjście za kaucją, miał prawo do przesłuchania Arthura, które z punktu widzenia doświadczonego prokuratora dysponującego dowodami zebranymi przez kompetentnego śledczego było zwykłą stratą czasu. Tym razem jednak chodziło o nietuzinkową sprawę.

Minęły już prawie trzy tygodnie od czasu, gdy zobaczyła Williama Bantlinga w sali rozpraw sędziego Katza i gdy uświadomiła sobie straszliwą prawdę, która od tamtej pory zaczęła nękać ją w koszmarach sennych. I choć minął pierwszy szok, a jej umysł musiał się pogodzić z faktami, jakimi przez

ten czas go karmiła, to jednak wciąż nie wyobrażała sobie, że oto znowu spotka go na sali sądowej i poczuje na sobie spojrzenie jego błękitnych oczu. Z trudem godziła się z myślą, że przez pewien czas musi oddychać tym samym powietrzem, co on, czuć jego zapach, jego bliską obecność, lecz żadnej możliwości ucieczki, nie mówiąc o wybiegnięciu z sali na oczach osłupiałych dziennikarzy, ze ścigającymi ją gniewnymi okrzykami sędziego. Nie wiedziała nawet, jak odruchowo zareaguje, ujrawszy ponownie swego kata zaledwie parę metrów od jej stanowiska. Czy znów sparaliżuje ją strach ściskający za gardło i niepozwalający zaczerpnąć oddechu, jak podczas wstępnego przesłuchania? Czy może załamie się i zacznie płakać, jak to czyniła każdej nocy od tamtej pory? Czy może wstanie i zacznie wykrzykiwać oskarżenia, wskazując go palcem, jakby miała przed sobą ohydne monstrum wyjęte żywcem z horroru? A może po prostu wyciągnie z teczki swój stalowy nóż do listów i z uśmiechem satysfakcji wbije mu go w serce, zanim strażnicy zdążą przed tym powstrzymać? Ta niepewność własnych reakcji jedynie nasilała strach i sprawiała, że ssanie w dołku stawało się coraz bardziej dokuczliwe. Nie miała pojęcia, jak zareaguje. Co gorsza, nie wiedziała nawet, czy próba zapanowania nad sobą cokolwiek da.

Wziąwszy głęboki oddech, otworzyła ciężkie mahoniowe drzwi i wkroczyła do szczelnie już wypełnionej sali. Na wokandzie znajdowało się aż siedem podobnych przesłuchań, ale żadnego z oskarżonych dotychczas nie doprowadzono na miejsce. Ława przysięgłych, na której tym razem mieli zasiąść, świeciła jeszcze pustkami. C.J. poczuła ogromną ulgę, z pewnym zdumieniem uświadomiła sobie, że nadal może normalnie oddychać. Przynajmniej na razie. W pierwszym rzędzie widowni, tuż za stanowiskiem oskarżenia, dostrzegła łysą głowę Manny'ego Alvareza. Wyróżniał się wzrostem i górował nawet nad prokuratorami i śledczymi kręcącymi się

nerwowo wokół stołu oskarżenia i po raz setny sprawdzającymi kolejność przesłuchań, byle tylko uniknąć wymierzonych w nich kilkunastu obiektywów kamer rozmieszczonych na całej szerokości sali rozpraw. Szybkim spojrzeniem obrzuciła ten niewielki tłumek, wypatrując w nim znajomej sylwetki Dominicka, jego kasztanowych włosów i szpakowatej brody, ale nigdzie go nie było. Chwilę później czyjaś masywna dłoń spoczęła na jej ramieniu.

– Szukałaś mnie?

To był on, ubrany w śnieżnobiałą koszulę, granatowy garnitur i ciemnoniebieski krawat w srebrzyste prążki. Włosy miał gładko zaczesane do tyłu, ale jak zwykle jeden niesforny kosmyk opadał na czoło. Wyglądał na porządnego, sumiennego oficera śledczego.

– Prawdę mówiąc, tak, szukałam. Widzę, że Manny także przyszedł.

Przyjemność sprawiało jej ciepło promieniujące z jego dłoni wciąż spoczywającej na ramieniu, gdy ostrożnie poprowadził ją między ludźmi zgromadzonymi w głównym przejściu między rzędami ławek.

– Trudno go nie zauważyć. Na wszelki wypadek włożył nawet garnitur i krawat, gdybyś i jego chciała powołać na świadka. Ale zanim znajdziesz się pod wrażeniem, muszę cię uprzedzić, że marynarka śmierdzi naftaliną i ma na łokciach naszyte duże skórzane łaty. Krawata jeszcze nie widziałem. Będzie chyba lepiej, jeśli wezwiesz go tylko w ostateczności.

– Dzięki za ostrzeżenie. I tak zacznę od ciebie. Zresztą wyglądasz bez zarzutu. Muszą wam chyba nieźle płacić za udział w specjalnej grupie dochodzeniowej. Garnitur jest naprawdę elegancki.

– Dla ciebie wszystko, co najlepsze. Który mamy numer?

– Na wokandzie szósty, ale nie jestem pewna, czy sędzia Hilfaro będzie prowadził przesłuchania według tej kolejności.

Podeszli do Manny'ego, który, przechylony przez barierkę, oczywiście flirtował z młodą panią prokurator. Na widok C.J. uśmiechnął się szeroko i pospiesznie uścisnął jej dłoń, która niemal w całości zniknęła pod jego wielkimi paluchami.

– Pani mecenas! *Hola!* Dawno się nie widzieliśmy. Co u pani słyhać? Żadnych kłopotów?

– Cześć, Manny. Dziękuję, że się tak wystroiłeś. Wyglądasz bardzo dobrze.

– To prawda, Miśku – wtrącił Dominick. – Przystojniak z ciebie w garniturze. Tylko staraj się nie podnosić rąk, jak już zostaniesz zaprzysiężony, dobrze?

– Do diabła. Kpisz sobie ze mnie? – Alvarez podniósł wysoko rękę i popatrzył na ciemne plamy potu pod pachą. – Żadnym sposobem nie da się wywabić tych zacieków.

– Bo powinieneś poszukać dobrej pralni chemicznej – odparł Dominick.

– Raczej dobrej żony. Nie zna pani przypadkiem jakiejś odpowiedniej kandydatki, pani prokurator?

– Na pewno żadnej odpowiedniej dla ciebie.

– A pani sekretarka?

– Nie wracajmy do tego, dobrze. Wolałabym jeszcze zachować cały szacunek dla ciebie pod koniec dnia. A marynarką się nie przejmuj, Manny. Zamierzam powołać na świadka tylko Dominicka.

Otworzyły się boczne drzwi za ławą przysięgłych i na salę wkroczyli trzej strażnicy więzienni w ciemnozielonych mundurach. Za nimi wyłonił się sznur oskarżonych skutych kajdankami i skrępowanych łańcuchami nad kostkami nóg. Z głośnym brzękiem żelaza zaczęli zajmować wskazywane im miejsca na dwóch ławach. Większość była w zwykłych sportowych

ubraniach, w które mieli prawo się przebrać na czas wystąpienia przed sądem. Najczęściej były to te same ubrania, w których zostali aresztowani, gdyż adwokaci z wypożyczeniem porządnych garniturów zazwyczaj zwlekali aż do właściwej rozprawy. Ale w tej grupie, odseparowany od reszty w tylnym rzędzie, znalazł się jeden oskarżony w jaskrawoczerwonym uniwersalnym kombinezonie, co oznaczało, że służba więzienna traktuje go jak specjalnego podopiecznego, oskarżonego o najcięższą zbrodnię. Na jego widok C.J. od razu zakręciło się w głowie, toteż pospiesznie odwróciła wzrok.

– Jest i nasz chłopiec – mruknął Dominick, przyglądając się bacznie więźniom zasiadającym w ławach.

– Aha... Najwyraźniej naczelnik więzienia także postanowił go traktować bez pobłażliwości, Dom. Wygląda na zbolełego. Może nie służy mu jedzenie, a może poziom rozrywek. – Manny zaśmiał się cicho.

Falconetti obejrzał się i obrzucił C.J. uważnym spojrzeniem, ale ona pochylała się nad otwartą teczką i nie dostrzegł wyrazu jej twarzy.

– Skoro już o nim mowa – rzekł – komisja sędziowska wyjątkowo szybko postawiła go w stan oskarżenia, prawda? Podejrzywałem, że zajmie jej to co najmniej godzinę, a przecież jestem niepoprawnym optymistą.

– Masz rację. Yars mówił mi, że znakomicie się spisałeś podczas przesłuchania. Zresztą ani przez chwilę nie wątpiłam, że będziesz sumiennym, wiarygodnym świadkiem. – Wzięła głęboki oddech i dopiero wypuściwszy powietrze, odważyła się podnieść głowę znad teczki. Wolała jednak nie patrzeć po raz drugi w kierunku ławy przysięgłych, toteż utkwiała wzrok w twarzy Dominicka. Za wszelką cenę usiłowała opanować śmiertelny strach, który na wszystkie strony promieniował z żołądka i coraz wyraźniej ścisnął za gardło, wdzierał się do spanikowanego umysłu i nakazywał jej

odwrócić głowę, żeby spojrzeć prosto w oczy szaleństwu. Nie, jeszcze nie teraz. Nie była na to gotowa. Zdawała sobie sprawę, że Falconetti uważnie obserwuje jej reakcję, toteż wolała nie robić tego przy nim. – To mi przypomniało, Dom, że muszę z tobą porozmawiać o czymś, co wydarzyło się w środę, a o czym może już słyszałeś.

– Nie. O co chodzi?

– O wizytę, jaką mnie i Jerry’ego Tiglera zaszczylicili nasi przyjaciele ze śródmieścia.

– Niemożliwe. Przyjaciele ze śródmieścia? Masz na myśli federalnych?

– Kogóż by innego?

– Z FBI?

– Oczywiście. Zjawił się sam szef oddziału, niski i pękaty lizus o kiepskich manierach, nazwiskiem Gracker. Mark Gracker, jeśli dobrze pamiętam. A towarzyszył mu nie kto inny, jak jego wysokość we własnej osobie, najjaśniejszy prokurator federalny.

– Tom de la Flors?

– Dokładnie tak.

– Chyba żartujesz? I czego chcieli?

– Oczywiście Kupidyna.

– Proszę wstać!

W sali zapadła nagle cisza. Otworzyły się masywne dwuskrzydłowe drzwi z tyłu sali i szacowny sędzia Nelson Hilfaro z wysiłkiem wdrapał się na wyżyny miejsca prezydialnego, ciągnąc za sobą po podłodze przydługą czarną togę.

– Później opowiem ci całą tę żalną historię – dodała szeptem.

– Już nie mogę się doczekać – odparł równie cicho.

– Proszę siadać! – nakazał woźny i ludzie jak na komendę zajęli miejsca.

– Witam wszystkich zebranych – zaczął sędzia, odchrząknąwszy głośno. – Wziąwszy pod uwagę... hm... niezwykłą sprawę, którą mamy dzisiaj omawiać i dla której, jak sądzę, większość z państwa zjawiała się na tej sali... – ruchem głowy wskazał wydzielone na widowni miejsca dla dziennikarzy stłoczonych w dziesięciu rzędach – ...postanowiłem rozpatrzyć sprawę stanu Floryda przeciwko Williamowi Rupertowi Bantlingowi poza kolejnością, jako pierwszą, byśmy następnie mogli w znacznie swobodniejszej atmosferze omówić pozostałe sprawy umieszczone na wokandzie. Czy oskarżenie jest gotowe?

C.J., choć spodziewała się tego, była lekko oszołomiona. Mimo wszystko miała nadzieję, że wcześniej omówione zostaną inne sprawy, ona zaś będzie miała trochę czasu, by przygotować się emocjonalnie do wystąpienia. Zaraz jednak przyszło jej do głowy, że może to i lepiej, bo nie zostanie skazana na bicie się z własnymi myślami. Wyszła zza stołu i stanęła na miejscu przeznaczonym dla oskarżycieli.

– Tak, Wysoki Sądzie. Prokurator C.J. Townsend w imieniu stanu Floryda. Jesteśmy gotowi do przedstawienia sprawy.

– Obrona?

Lourdes Rubio, ubrana w czarną garsonkę o klasycznym kroju, z włosami zebranymi z tyłu głowy w ciasny kok, przycisnęła się gdzieś z dalszych rzędów widowni i stanęła na miejscu dla obrony.

– Lourdes Rubio w imieniu oskarżonego Billa Bantlinga. My również jesteśmy gotowi, Wysoki Sądzie.

– Doskonale. Ilu świadków oskarżenie zamierza powołać?

– Tylko jednego, Wysoki Sądzie.

– Świetnie. Zaczynamy więc. Oskarżenie ma głos.

Sędzia Hilfaro znany był z tego, że nie lubi tracić czasu.

Ale też nie zależało mu, żeby znaleźć się w centrum uwagi, toteż lekceważył zainteresowanie mediów. Właśnie z tego powodu został przydzielony do prowadzenia przesłuchań Arthura. Nie oznaczało to jednak, że był niekompetentny. Wręcz przeciwnie. Tyle że takie przesłuchania zwykle przechodziły bez echa, stanowiły nudną sądową rutynę. Najczęściej tylko podczas wstępnego wystąpienia przed sądem zatrzymany budził zainteresowanie dziennikarzy. Może jeszcze w przypadkach szczególnie bulwersujących opinię społeczną takim samym zainteresowaniem cieszyła się właściwa rozprawa. Niemniej do wyjątków należały sytuacje, kiedy na cichej i spokojnej sali rozpraw sędziego Hilfaro stawał seryjny zabójca, o którym rozpisywała się cała prasa w kraju i za granicą.

– Oskarżenie wzywa na świadka agenta specjalnego Dominicka Falconettiego.

Dominick zajął miejsce dla świadków, skupiając na sobie uwagę widowni. Szybko został zaprzysiężony.

Po kilku krótkich pytaniach dotyczących zawodowego doświadczenia C.J. przeszła do wydarzeń z dziewiętnastego września, kiedy to został wezwany do zatrzymanego na autostradzie. Był wręcz idealnym świadkiem, doskonale wiedział, które elementy są najbardziej istotne dla sprawy, i umiejętnie podkreślał szczegóły przemawiające na rzecz oskarżenia. Na dobrą sprawę wystarczyły pytania w rodzaju: „Co było potem?” Płynnie zrelacjonował okoliczności zatrzymania Bantlinga, odkrycie zwłok Anny Prado oraz przeszukanie domu oskarżonego, gdzie na posadzce i ścianach szopy znaleziono ślady krwi tej samej grupy, co zabitej dziewczyny, a w szafce przypuszczalne narzędzie zbrodni, także noszący ślady krwi skalpel.

Nie wspomniał ani słowem o narkotyku wykrytym w ciele zamordowanej ani o kasetach pornograficznych znalezionych w sypialni Bantlinga. Na tym

etapie chodziło wyłącznie o przekonanie sędziego, że zatrzymany nie zasługuje na wypuszczenie za kaucją, starczyło zatem wykazać, że dowody winy Bantlinga są przekonujące, a oskarżenie jak najbardziej zasadne. Wszelkie pozostałe, mniej czy bardziej istotne szczegóły, miały zostać omówione dopiero podczas właściwej rozprawy, kiedy to dwunastu sędziom przysięgłym należało wskazać motyw oraz podłoże zbrodni, wcześniej zaś rozwiać wszelkie wątpliwości co do wagi dowodów, skoro stawką była kara śmierci.

Dziennikarze z uwagą łowili każde słowo Dominicka, w napiętej ciszy słychać było wyraźnie szelest kilkudziesięciu długopisów oraz szmer odwracanych kartek notatników. Większość ujawnianych tu faktów nie była jeszcze znana prasie, toteż całkowicie zrozumiałe wydawało się podniecenie panujące wśród przedstawicieli mediów.

Przez cały czas C.J. czuła na sobie taksujące spojrzenie Bantlinga, przesuujące się powoli, metodycznie to w górę, to w dół, jakby rozbierał ją w myślach nawet tu, na sali sądowej. Podczas przesłuchań Arthura oskarżeni nie zajmowali miejsca obok adwokata przy stole obrony, toteż z podwyższenia ławy przysięgłych miał doskonały widok na całą salę, mógł obserwować każdy jej ruch podczas przepytywania Dominicka. Dostrzegała kątem oka, jak uważnie na nią patrzy. Zastanawiała się krótko, czy przypadkiem jej nie rozpoznał, i co powinna zrobić, gdyby tak się stało, ale szybko odepchnęła od siebie podobne myśli. Wyglądała teraz zupełnie inaczej niż przed laty i była przekonana, że jego obecne zainteresowanie jest wyłącznie przejawem chorobliwego zaciekawienia każdą kobietą obecną na sali. Chwilami miała wrażenie, że słyszy jego przyspieszony oddech, ten sam głośny, urywany szelest, który dobiegał zza gumowej maski klauna, niosący ze sobą delikatny kokosowy zapach. Ale i od tych rozważań zdołała się

oderwać, koncentrując się jedynie na odpowiedziach Dominicka zasiadającego na miejscu dla świadków.

Lepiej nie patrz w jego kierunku, żebyś naprawdę nie zwariowała.

– Dziękuję, agencie Falconetti – odezwał się sędzia, kiedy przesłuchanie dobiegło końca. – Czy obrona ma jakieś pytania do świadka?

Lourdes Rubio wstała i popatrzyła na Dominicka.

– Tylko parę, agencie Falconetti. To nie pan dokonał zatrzymania, prawda?

– Nie.

– Ściśle biorąc, zatrzymania auta pana Bantlinga oraz przeszukania bagażnika, w którym znaleziono zwłoki Anny Prado, dokonali funkcjonariusze z komendy miejskiej policji w Miami Beach, jeszcze zanim zjawił się pan na miejscu zdarzenia. Mam rację?

– Tak.

– To znaczy, że zatrzymanie samochodu pana Bantlinga i odkrycie zwłok w bagażniku było wyłącznie dziełem przypadku, zgadza się?

– Nie. Oskarżony został zatrzymany za przekroczenie dopuszczalnej prędkości oraz z powodu defektu auta zauważonego przez policyjny patrol z komendy miejskiej w Miami Beach.

– Chodzi mi o to, że przed dziewiętnastym września tego roku kierowany przez pana specjalny zespół dochodzeniowy nie miał nazwiska pana Bantlinga na liście podejrzanych w sprawie Kupidyna, prawda?

– Tak.

– Czyli do tego dnia żaden z oficerów śledczych zespołu nawet nie znał nazwiska Williama Bantlinga?

– Zgadza się.

– Tak więc zatrzymanie auta pana Bantlinga na moście MacArthura mimo

wszystko było przypadkowe? Wynikło z rutynowej i wyrywkowej kontroli drogowej prowadzonej przez ogólnie szanowanych i niedocenianych funkcjonariuszy z komendy miejskiej w Miami Beach?

Ten komentarz wywołał drobne poruszenie na sali. Wszyscy dobrze znali reputację policjantów z Miami Beach, którą trudno było nazwać chwalebną.

– Tak.

– Oczywiście, należy rozumieć, że funkcjonariusze nigdy nie zatrzymaliby nikogo bez przyczyny i nie dokonali przeszukania bagażnika auta bez konkretnych powodów?

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Te pytania nie mają związku ze sprawą – przerwała C.J., coraz bardziej zaniepokojona kierunkiem, w jakim zmierzają pytania i uwagi Lourdes.

Czyżby wcześniej przesłuchiwała Chaveza albo Ribero? Wiedziała o anonimowym zgłoszeniu? A może tylko blefowała?

– Podtrzymuję. Proszę trzymać się faktów, pani mecenas. Rozumiem, do czego pani zmierza. Jeśli chce pani wnioskować o oddalenie zarzutów, proszę sporządzić wniosek formalny i przedstawić go sędziemu wyznaczonemu do prowadzenia sprawy. Ja nie zamierzam wysłuchiwać dyskusji na ten temat. Ma pani jeszcze jakieś pytania, panno Rubio?

– Nie, Wysoki Sądzie, nie mam już pytań. Chciałabym jednak zaprezentować argumenty obrony przemawiające za zwolnieniem mojego klienta za kaucją.

– To zbyteczne, panno Rubio. Usłyszałem już wszystko, co chciałem usłyszeć. Opierając się na wysłuchanych zeznaniach, stwierdzam, że dowody winy są przekonujące, a zarzuty dają podstawę do oskarżenia pani klienta o morderstwo z premedytacją. Tym samym sąd uznaje oskarżonego za realne zagrożenie dla ładu społecznego i ze względu na niebezpieczeństwo jego

ucieczki orzeka zatrzymanie w areszcie do czasu rozprawy, bez możliwości wyjścia za kaucją.

– Wysoki Sądzie – odezwała się Lourdes nieco podniesionym głosem. – W moim przekonaniu zatrzymanie auta pana Bantlinga było bezprawne, podobnie jak przeszukanie bagażnika. Chciałabym przedstawić argumenty świadczące za taką interpretacją wydarzeń.

– Doskonale. Jak już powiedziałem, proszę złożyć wniosek formalny na ręce sędziego Chaskela. Ja nie zamierzam ich wysłuchiwać, skoro nie mogą być poparte zeznaniami innych świadków. Ogłosiłem już swoją decyzję.

– Czy mogę przynajmniej zostać wysłuchana w kwestii alternatywnych form zwolnienia oskarżonego?

– Oczywiście. Proszę bardzo. Chętnie zapoznam się z proponowanymi alternatywnymi formami, które pozwolą uchronić społeczeństwo przed człowiekiem obwinianym o dziesięć morderstw.

– Mój klient jest oskarżony tylko o jedno morderstwo, Wysoki Sądzie, i właśnie w tej sprawie chciałam zabrać głos. W oczach zarówno Wysokiego Sądu, jak i opinii publicznej, jawi się on jako seryjny morderca, który ma odpowiadać za zabójstwa dziesięciu kobiet, podczas gdy akt oskarżenia dotyczy śmierci tylko jednej domniemanej jego ofiary.

– Mnie to i tak wystarczy, panno Rubio. – Sędzia popatrzył na Dominicka.
– Czy pan Bantling jest również podejrzany o dokonanie dziewięciu pozostałych zabójstw w sprawie Kupidyna, agencie Falconetti?

– Tak, Wysoki Sądzie.

Hilfaro z kwaśną miną spojrział na obrończynię, lecz pozwolił jej przez dobre dziesięć minut perorować o alternatywnych formach zwolnienia oskarżonego. Kiedy poprosiła wprost o wyznaczenie aresztu domowego, tylko zaśmiał się krótko.

C.J., siedząca przy stole oskarżenia u boku Dominicka, aż westchnęła z ulgą. Bantling definitywnie miał pozostać w celi do czasu rozprawy. Jej pierwszy cel został osiągnięty.

Kolejnym było zaprowadzenie go do komory śmierci.

Bill Bantling wiedział, że nie wyjdzie za kaucją. Domyślał się, że Lourdes Rubio jest za słabym obrońcą, by to dla niego wywalczyć, ale nie zmieniało to faktu, że musiał spróbować. Zamierzał się twardo bronić. Musiał nakłonić tę sukę, by w taki czy inny sposób zapracowała na swoje trzysta dolarów za godzinę.

W duchu musiał jednak przyznać, że nie był specjalnie zaskoczony, kiedy sędzia Nelson Hilfaro odmówił mu możliwości wyjścia za kaucją. Nie był wcale zdziwiony, tylko rozwścieczony. Zarówno na tego niedouczonego sędziego, który spoglądał na niego takim wzrokiem, jakby był trędowaty, jak i na tę wyniosłą, wyszczekaną prokuratorkę, która wałęsała się po sali z dumnie zadartą brodą, jakby jej gównu pachniało fiołkami, zadając pokrętnie pytania agentowi siedzącemu na miejscu dla świadków. Tylko wobec niego żywił odrobinę szacunku, choć i tak niewielką. Był też wściekły, że broniąca go suka nie pozwoliła mu powiedzieć choćby jednego słowa na swoją obronę. To mu się bardzo nie podobało. Jak i to, że mu rozkazywała, a on jeszcze musiał jej za to płacić. Do diabła, jeśli już musiał ulec jakiejś babie, wolał, żeby stało się to w łóżku.

Przysięgał sobie w duchu, że już nigdy, przenigdy nie zaufa żadnej kobiecie, nie zgodzi się, by występowała w jego imieniu nawet w sklepowej kolejce, a co dopiero w sądzie, zwłaszcza w tak delikatnej sprawie, mającej rozstrzygnąć o jego życiu lub śmierci. Przecież nie był głupcem. O nie. Dobrze wiedział, co wypisują o nim w gazetach. Zdawał sobie sprawę, że ludzie uważają go za potwora, wcielonego diabła. Już został osądzony i skazany przez miliony prostaczków zasiadających przed telewizorami na

całym świecie. A wiedząc o tym, mógł się tylko pocieszać, że doskonale wybrał na swego obrońcę właśnie Lourdes Rubio, bardzo zasadniczą i rzeczową, odznaczającą się charakterem starej nauczycielki, wiecznie noszącą garsonki klasycznego kroju, może tylko z trochę za krótkimi spódniczkami. Zebrał o niej wszelkie dostępne informacje na długo przedtem, zanim musiał skorzystać z jej usług. Dość pociągająca, ale nie zachwycająca, wystarczająco, by zwrócić na siebie uwagę przysięgłych, cieszyła się sporym respektem zarówno społeczności latynoskiej, jak i środowiska prawniczego. W końcu przysięgli musieli się zastanowić, dlaczego taka urocza, miła, dobrze wykształcona i konserwatywna kubańska panienka z Hialeah zgodziła się bronić odrażającego potwora. Jak mogła w ogóle z nim rozmawiać, szeptać mu na ucho, siedzieć przy jednym stole, pić wodę z tego samego dzbanka i jeszcze z całym przekonaniem mówić o jego niewinności, jeżeli cały świat był oburzony zbrodniami, o które go oskarżano? Skoro ta miła kubańska panienka nie uważała go za winnego gwałtów, tortur i morderstw, to może jednak należało przyznać jej rację? Ostatecznie żadna kobieta by nie dopuściła, żeby socjopatyczny seryjny gwałciciel wyszedł na wolność, prawda?

W głębi ducha był całkowicie przekonany, że w tym zakresie się nie pomylił i dokonał właściwego wyboru obrońcy, zanim jeszcze nadeszła pora skorzystania z jego usług. Po prostu perspektywa powrotu do cuchnącej moczem i zarobaczonyj nory w sąsiednim budynku choćby tylko na jeden dzień przyprawiała go o wściekłość i siłą woli musiał się powstrzymywać, by nie zacząć wrzeszczeć na spasionego wieprza za tandetnym mahoniowym stołem prezydialnym, na wyniosłą i gderliwą prokuratorkę albo na swoją miłą adwokatkę o urzekającym wyglądzie. Zdołał się jednak opanować, jak zalecała mu to urocza adwokatka, i splótnął przed sobą skute kajdankami

dłonie, niczym do modlitwy, ukradkiem zagryzał wewnętrzną stronę policzka, aby pod żadnym pozorem na jego ustach nie pojawił się grymas bezgranicznej pogardy i nie zmaćił jego wystudiowanej, niewzruszonej miny pokerzysty.

Obserwował te mierne zmagania o jego wolność. Obojętnie słuchał, jak jego reprezentantka domaga się elektronicznego monitoringu, aresztu domowego, przepustki na weekend, stałego nadzoru policyjnego, a mysioszara blond jej wysokość prokurator wnioskuje o zamknięcie w izolatce, zawieszenie przywileju korzystania z telefonu, uniemożliwienie rozmów z dziennikarzami. Ta C.J. Townsend była bez wątpienia paskudną jędzą. Poznał jej nazwisko z gazet, teraz zaś miał okazję dobrze jej się przyjrzeć. Jednakże gdy pod koniec przesłuchania patrzył, jak przy stole oskarżenia raz za razem pochyła się w stronę agenta Falconettiego i wymienia z nim jakieś uwagi, tknęło go dziwnie niepokojące przeczucie, którego nawet nie potrafił skonkretyzować.

Odniósł wrażenie, że spostrzega w niej coś znajomego.

. 46 .

– Więc o co chodzi z tym przejęciem sprawy Kupidyna przez federalnych? – zapytał Dominick, gdy po wyjściu z sali przystanęli w bocznym korytarzu prowadzącym do gabinetu sędziego, żeby poczekać, aż dziennikarze wyniosą się z głównego holu.

Po zakończeniu przesłuchania Hilfaro szybko opróżnił salę, aby w spokoju zapoznać się z pozostałymi sprawami umieszczonymi na wokandzie, i choć wysłannicy większości redakcji i agencji informacyjnych opuścili korytarze sądu, niektórzy mniej dystyngowani przedstawiciele dziennikarskiej profesji wciąż jeszcze węszyli dookoła w poszukiwaniu resztek padliny.

– De la Flors wręczył mi nakaz podpisany przez Carol Kingsley, sędzię z sądu federalnego – odparła C.J. – Żądają wszystkiego, wyników badań laboratoryjnych, dowodów, całej dokumentacji. Absolutnie wszystkiego.

– Chyba żartujesz?! – Dominick ze złością uderzył otwartą dłoń w ścianę, aż gromkie echo rozeszło się po wąskim korytarzu. – Chyba nie masz zamiaru udostępniać im wszystkiego? – Po jej minie domyślił się prawdy, toteż mruknął: – Jasna cholera. Nie da się tego obejść?

– To jeszcze nic. Prokuratura federalna chciałaby oskarżyć Kupidyna o wszystkie morderstwa, ale poza Marilyn Siban, której zwłoki znaleziono na terenie należącym do władz federalnych, pozostałe zabójstwa wykraczają poza jej zakres jurysdykcji. To oznacza, że możemy się przeciwstawić. I możesz być pewien, że de la Flors nie będzie szczęśliwy, gdy mu to zakomunikuję.

– Jasne. Więc jeśli z powodów formalnych nie mogą się zająć pozostałymi dziewięcioma morderstwami, to dlaczego mielibyśmy im udostępniać cały

materiał dowodowy? Tylko z powodu sprawy Siban?

– I tak, i nie. Chcą wiedzieć o wszystkim, co mamy na Bantlinga w sprawie Siban, ale w pozostałych przypadkach zamierzają go oskarżyć o... uważaj!... rabunek!

– Rabunek? Co to ma być, do cholery? Jaki znów rabunek?

– De la Flors dąży do sławy i chwały, zależy mu wyłącznie na tym, by jego nazwisko pojawiło się w prasie. Dlatego chce Kupidyna. Za wszelką cenę. Jeśli nie będzie mógł go postawić przed sądem za morderstwa, gotów jest oskarżyć go o kradzież ubrań i serc zabitych dziewcząt. Trudno mi tylko zgadnąć, który z tych zarzutów uzna za główny. Zamierza skorzystać z przepisów ustawy Hobbsa, żeby włączyć sprawę po sądach federalnych przez kilka lat, choćby tylko po to, by Tigler wyszedł na głupka, co w końcu nie jest takie trudne.

– I gdy wreszcie Tigler przegra w wyborach, a de la Flors zostanie sędzią federalnym, pewnie kiedyś wypuści Bantlinga na przepustkę do domu, żebyśmy wtedy mogli go przyskrzynieć.

– Ustawa Hobbsa? Naprawdę sądzi, że sprawę Kupidyna da się podciągnąć pod utrudnianie wymiany handlowej między stanami?

– W każdym razie ewidentnie do tego zmierza.

– A jaką rolę ma odegrać ten spasiony nadęty wieprz, Gracker?

– De la Flors pewnie traktuje go jak cheerleaderkę. Siedział cały czas w kąciku i niemalże nucił pod nosem: „Poprowadziłbym to śledztwo znacznie lepiej od was”. Ale gdy przyjdzie co do czego, będzie to przedstawienie jednego aktora, de la Florsa.

– I jak zareagował Tigler?

– A jak myślisz? Zaprosił te hieny na kawę i pączki, przy czym ośmielił się bąknąć: „Nie zgadzam się”. Nic poza tym.

– Więc będziemy musieli dać im to, czego żądają?

– Nie wszystko. Dostaną kopie dokumentów i wyników badań laboratoryjnych. Chcę ich zawalić toną papieru, żeby musieli sobie kupić lupy, jak skończą czytać, bo tak im się wzrok pogorszy. Powiedziałam de la Florsowi prosto w oczy, żeby przygotował się na batalię sądową, jeśli zechce przejąć faktyczne dowody zbrodni. Po tym postanowili wreszcie pójść do domu.

Dominick z uśmiechem pochylił się w jej kierunku, oparty jedną ręką o ścianę nad jej głową.

– Za to cię lubię. Nie tylko jesteś ładna, ale i twarda. C.J. poczuła, że się czerwieni.

– Dzięki. Potraktuję to jak komplement.

– Bo to miał być komplement.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i z sali rozpraw wyszedł Manny z kwaśną miną. Dominick wyprostował się błyskawicznie i opuścił rękę. C.J. poczuła, że jej puls szybko wraca do normy.

– Gdzieś ty był, Miśku? Tylko mi nie mów, że udzielałeś wywiadu dla Kanału Siódmego – zapytał Dominick.

– Znów mnie podpuszczasz? To zabawna telewizja, ale zdecydowanie wolę Cartoon Network, gdzie postaci są bardziej wyraziste. A co wy tu robicie? Kryjcie się przed dziennikarzami?

Z jakiegoś powodu C.J. znów poczuła, że się czerwieni. Na szczęście Dominick odpowiedział szybko:

– C.J. opowiadała mi o wizycie, jaką federalni złożyli w środę w prokuraturze. Wygląda na to, że Gracker znalazł sobie poplecznika w osobie Toma de la Florsa. Prokurator federalny chce przejąć sprawę Kupidyna. Wręczyli C.J. federalny nakaz sądowy.

– Jakbym mało usłyszał dzisiaj złych nowin. Pieprzyć ich. Proszę wybaczyć słownictwo, pani prokurator.

– Nie masz za co przepraszać, bo C.J. uszy od tego nie zwiędną. Sama powiedziała coś w tym stylu de la Florsowi i jego parobkowi. Miejmy tylko nadzieję, że to wystarczy.

– Coś mi mówi, że nie, Dom. Zwłaszcza teraz.

– Dlaczego? Co się stało?

– Właśnie znaleziono najnowsze dzieło sztuki Kupidyna, prawdopodobnie zwłoki Morgan Weber, a w każdym razie to, co z nich zostało. Zgłoszenie przyszło jakąś godzinę temu. Obowiązki wzywają, przyjacielu.

– Gdzie ją znaleźli? – spytał Dominick.

– W szopie rybackiej w głębi Everglades, Jakiś pijany wędkarz włamał się do niej, żeby w spokoju odespać kaca, i zobaczył zwłoki zwisające spod sufitu. Podobno są w kiepskim stanie. Technicy z zakładu medycyny sądowej już tam pojechali. Chłopcy z komendy miejskiej i strażnicy parku narodowego zabezpieczyli miejsce zbrodni. Ale sępy już zwietrzyły padlinę i nad szopą kręcą się helikoptery.

– W porządku, jedziemy – oznajmił Falconetti.

Miał ochotę kląć na cały głos. W głębi duszy łudził się, że Morgan Weber zostanie odnaleziona żywa.

– Mogę się z wami zabrać? Chciałabym zobaczyć miejsce zbrodni – wtrąciła pospiesznie C.J.

– Zapraszam. Jeśli sam nie będę mógł cię odwiedzić, poproszę o to któregoś z mundurowych.

– Dobrze.

– Bardzo dobrze się pani dziś spisała – rzekł Alvarez, kiedy w trójkę ruszyli do bocznego wyjścia prowadzącego do wind w głównym korytarzu.

– Dzięki, ale to raczej Dominick był gwiazdą wieczoru. Nawet nie byłam mu potrzebna.

– Zbyteczna skromność. Może mi pani wierzyć, że również pani ma swoich wiernych fanów.

– Niby jakich?

Manny otworzył drzwi. W korytarzu, zarówno przed salą numer 48, jak i przed windami, kłębiły się tłumy dziennikarzy. Najwyraźniej dotarli już do nich wieści o odnalezieniu zwłok Morgan Weber. Natychmiast rzucili się w ich stronę. Zapaliły się jupitery, błysnęły flesze. Sępy zwietrzyły padlinę.

– Odniosłem wrażenie, że wpadła pani w oko naszemu psychologowi – odparł Manny pod nosem, uśmiechając się szeroko do obiektywów. – Prawdę powiedziawszy, nie mógł od pani oderwać oczu przez całe przesłuchanie.

Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni przespała w nocy osiem godzin. Spędziwszy cały piątkowy wieczór na odpychających mokradłach Everglades, w miejscu znalezienia zwłok Morgan Weber, nazajutrz rano pojechała jeszcze razem z Dominickiem i Mannym do zakładu medycyny sądowej, by uczestniczyć we wstępnych oględzinach ciała przez doktora Joego Neilsona. Popołudnie spędziła w biurze, próbując ustalić, czy barak na mokradłach jest własnością rządu federalnego, czy też stoi na terenach podległych władzom okręgu Miami-Dade. Drobną satysfakcją z faktu, że podlega jej jurysdykcji, całkowicie zniweczył wieczorny telefon od de la Florsa. Ledwie uzyskała wiążącą odpowiedź z urzędu geodezji, musiała wysłuchiwać dzikich wrzasków prokuratora federalnego i jego równie rozwścieczonych koleśków z Departamentu Sprawiedliwości. Przedstawienie urwało się dopiero wtedy, gdy zagroziła wprost wystosowaniem skargi o nieuprawnioną ingerencję i utrudnianie śledztwa, jeśli prokuratura federalna nie odwoła natychmiast agentów FBI z miejsca zbrodni, choć doskonale zdawała sobie sprawę, że w ten sposób ściąga zemstę na siebie i swoje biuro aż po kres wieczności. Mogła się tylko pocieszać, że zyska odrobinę szacunku w oczach śledczych ze specjalnej grupy dochodzeniowej. Niemniej była tak wycieńczona, zarówno fizycznie, jak i psychicznie, że po powrocie do domu padła do łóżka i nie zbudziły jej nawet senne koszmary.

Morgan Weber, dziewiętnastoletnia, oszałamiająco piękna blondynka, także zginęła. Idąc w poniedziałek rano do sądu z aktem oskarżenia przeciwko Bantlingowi, C.J. nie mogła się uwolnić od myśli o straszliwym losie, jaki spotkał niedoszłą modelkę z Kentucky. Widok, jaki zastali w

wędkarskiej szopie, był tak przerażający, że po prostu nie dało się go zapomnieć. Drobne ciało dziewczyny zawieszona na grubej żyłce pod byle jak ociosaną belką stropową obskurnej budy było tak szerniałe, że przypominało zrywającego się do lotu nietoperza lub cyrkowego akrobatę w ciemnym kostiumie, z rękoma i nogami uwiązany szeroko na boki i głową odrzuconą do tyłu, przytwierdzoną drutem, a szyją wygiętą jak u łabędzia. Musiało tak wisieć od dawna, gdyż ciało znajdowało się w stanie daleko posuniętego rozkładu – w zasadzie był to sam szkielet ze zwisającymi tu i ówdzie resztkami przegniłego ciała. Od razu można było ustalić tożsamość, ponieważ na deskach podłogi leżało zakrwawione prawo jazdy. Następnego dnia tożsamość potwierdzono przez porównanie stanu uzębienia z kartą stomatologiczną zabitej.

Nikt nie miał wątpliwości, że to robota Kupidyna. Ilość zaschniętej krwi na deskach oraz plam na ścianach szopy świadczyła wyraźnie, że Morgan zginęła właśnie tutaj, zawieszona już pod sufitem. Okrucieństwo, jakie towarzyszyło mordowi, jak również staranny wybór miejsca zbrodni z dala od ludzkich siedzib, doskonale pasowały do wcześniejszych zabójstw. Jak na ironię, w tym wypadku precyzja działania, niezwykła poza, w jakiej sprawca zostawił zwłoki, mogła stanowić istotny dowód winy Bantlinga. Ciało Morgan Weber zawieszona pod sufitem przypominało myśliwskie trofeum, wypchane ptaki, na które policja natknęła się w szopie za domem podejrzanego.

Coraz pewniejsze stawało się uzyskanie wyroku skazującego za morderstwo z premedytacją. Nawet najbardziej zagorzali przeciwnicy kary śmierci nie powinni zabierać głosu w obronie Williama Ruperta Bantlinga.

Ściskając w garści kopię aktu oskarżenia, wkroczyła na zatłoczoną salę rozpraw, gdzie w ten poniedziałkowy ranek miały być rozpatrywane wnioski

formalne oraz ustalano terminy posiedzeń. Ale dziennikarze, rzecz jasna, czekali przede wszystkim na oficjalne przedstawienie zarzutów w głośnej sprawie. Odniosła wrażenie, że na jej widok w tłumie rozległy się głośniejsze szmery podniecenia. Skierowała się wprost do pierwszych rzędów po lewej stronie, gdzie gromadka prokuratorów czekała na wywołanie prowadzonych przez nich spraw.

Oskarżonych doprowadzono już na salę rozpraw. Kątem oka dostrzegła mężczyznę w jaskrawoczerwonym kombinezonie, jak poprzednio siedzącego w tylnym rzędzie ławy przysięgłych, z dala od pozostałych aresztantów, pod eskortą dwóch strażników więziennych. Chcąc uniknąć kontaktu wzrokowego, pochyliła głowę, udając, że przegląda akt oskarżenia wyslizgujący się jej ze spoconych dłoni.

Sędzia Leopold Chaskel III pospiesznie zajrzał do terminarza, pragnąc ustalić przyczynę nagłego poruszenia na widowni, i po chwili, nie czekając nawet, aż przemawiający właśnie obrońca skończy przytaczać argumenty świadczące na korzyść jego klienta oskarżonego o handel narkotykami, zwrócił się do niej:

– Dzień dobry, panno Townsend. Zdaje się, że ma pani dzisiaj na tej sali przedstawić swoją sprawę.

– Tak, panie sędzio. Zgadza się – odparła, ruszając od razu w stronę miejsca dla oskarżycieli.

– Chyba mogę się uznać za szczęściarza, którego wyznaczono do prowadzenia procesu w sprawie „stan Floryda przeciwko Williamowi Bantlingowi”, prawda?

– Owszem, panie sędzio. Od tej chwili oskarżony jest w pańskich rękach.

– Doskonale. Czy jest już na sali reprezentant oskarżonego w tej sprawie?

– Tak, panie sędzio. Lourdes Rubio, broniąca oskarżonego, który także

jest obecny na sali – odezwała się adwokatka, wstając z miejsca w pierwszym rzędzie na wysokości ławy przysięgłych.

– Świetnie. W takim razie przejdźmy od razu do tej sprawy. – Sędzia Chaskel popatrzył na występującego obrońcę, który z kwaśną miną stał na środku sali, czekając, aż będzie mógł skończyć swoje wystąpienie. – Później oddam panu głos, gdy będziemy mogli wrócić do sprawy pańskiego klienta, panie Madonna. I proszę nie kręcić nosem. W końcu mamy dopiero poniedziałek, a według mojego terminarza spotkamy się jeszcze trzy razy w tym tygodniu. Hank, podaj mi akta sprawy Bantlinga.

Leopold Chaskel III był uważany za prawdziwy ideał sędziego prowadzącego rozprawę w sprawach kryminalnych. Wcześniej był prokuratorem stanowym i pewnie dlatego koncentrował się na kwestiach zasadniczych i nie pozwalał sobie wchodzić na głowę, bo nie musiał się przejmować opiniami miejscowej palestry. Rzetelnie wysłuchiwał argumentów obu stron, ucinając w zarodku zarówno wszelkie skamlania, jak i zapędy oratorskie. Szczycił się najmniejszą liczbą apelacji, w których zapadały inne wyroki od ogłoszonych na jego sali.

– W porządku. Proszę, aby dla formalności przedstawili się reprezentanci obu stron.

– C.J. Townsend w imieniu stanu Floryda.

– Lourdes Rubio w imieniu oskarżonego – powiedziała adwokatka, zajmując miejsce przy stole obrony.

– Zebraliśmy się, aby wysłuchać sprawy „stan Floryda przeciwko Williamowi Rupertowi Bantlingowi. Dziś mija dokładnie dwadzieścia jeden dni od postawienia oskarżonemu zarzutów. Czy reprezentantka stanu dysponuje prawomocnym aktem oskarżenia?

– Tak, Wysoki Sądzie. Komisja sędziowska zatwierdziła ten akt

oskarżenia przeciwko Williamowi Rupertowi Bantlingowi, oznaczony numerem F dwa tysiące jeden łamane przez siedemdziesiąt cztery dwadzieścia dziewięć, dotyczący zamordowania z premedytacją Anny Prado.

– C.J. przekazała papiery woźnemu.

– Doskonale – odparł sędzia, przejmując je z rąk woźnego. – Panie Bantling, stan Floryda oskarża pana o dokonanie morderstwa z premedytacją. Czy przyznaje się pan do winy?

– Mój klient jest niewinny, Wysoki Sądzie – odparła Lourdes. Bantling siedział milcząco i skupiony na swoim miejscu. – Zgłaszam wniosek o rezygnację z odczytywania całego aktu oskarżenia i zaprotokołowanie, że oskarżony nieprzyznaje się do winy i domaga się rozprawy przed ławą przysięgłych.

– Przyjmuję wniosek i zobowiązuję oskarżenie do ujawnienia materiału dowodowego w ciągu dziesięciu dni.

– To zbyt wiele, Wysoki Sądzie. Podczas ostatniej rozmowy mój klient zdecydował, abym złożyła również wniosek o rezygnację ze szczegółowego omawiania na tym etapie materiału dowodowego i ograniczenia rozprawy do przesłuchania świadków.

Sędzia Chaskel popatrzył na adwokatkę ze zmarszczonymi brwiami.

– Czuję się w obowiązku przypomnieć, panno Rubio, że to sprawa o morderstwo z premedytacją, więc pani klient podejmuje spore ryzyko. Jak mam rozumieć to, że chce zrezygnować ze szczegółowego rozpatrywania materiału dowodowego?

– Dosłownie, Wysoki Sądzie. Wyjaśniałam klientowi, jakie prawa przysługują mu w tym zakresie, lecz mimo to postanowił zrezygnować z tego etapu.

Sędzia spojrzął ponad jej ramieniem na oskarżonego.

– Panie Bantling, został pan właśnie oficjalnie oskarżony o morderstwo z premedytacją. Ma pan prawo zapoznać się dokładnie z dowodami zgromadzonymi przez reprezentantów stanu przeciwko panu oraz wysłuchać zeznań świadków oskarżenia i umożliwić pańskiemu obrońcy ich przepytanie. Cały ten proces jest nazywany ujawnieniem materiału dowodowego i w myśl przepisów kodeksu karnego stanu Floryda ma pan do tego pełne prawo.

– Tak, rozumiem – odparł Bantling, śmiało patrząc sędziemu prosto w oczy.

– Jeśli postanowi pan zrezygnować z tego etapu, później w wypadku uzyskania wyroku skazującego nie będzie się pan mógł skarżyć, że o czymś pan nie wiedział. Czy to dla pana jasne? Równocześnie odetnie pan sobie możliwość odwołania się od wyroku na podstawie kwestionowania wiarygodności tego materiału.

– Doskonale to rozumiem, panie sędzio.

– I mając to wszystko na uwadze, nadal chce pan zrezygnować ze szczegółowego omawiania materiału dowodowego i przepytывania świadków oskarżenia?

– Zgadza się, panie sędzio. Długo dyskutowałem ze swoim obrońcą i jestem w pełni świadom przysługujących mi praw. Jeszcze raz potwierdzam, że pragnę zrezygnować z tego etapu rozprawy.

Chaskel pokręcił głową.

– Jak pan sobie życzy. W takim razie ustalmy datę procesu. Co możemy zaproponować, Janinę?

Jego sekretarka podniosła głowę znad papierów.

– Dwunasty lutego dwa tysiące pierwszego roku. Termin składania wniosków upłynąłby w środę, siódmego lutego.

Lourdes odchrząknęła.

– Wysoki Sądzie, pan Bantling pragnie, by jego sprawa została rozpatrzona najszybciej, jak to tylko możliwe. Chcielibyśmy bardzo prosić o wyznaczenie wcześniejszego terminu.

– Na pewno zdaje pani sobie sprawę, że chodzi o morderstwo z premedytacją, panno Rubio?

– Tak, Wysoki Sądzie. Przedstawiam tylko decyzję mojego klienta.

Chaskel ponownie ze zdumieniem pokręcił głową.

– W porządku. Przyjmuję ten wniosek. Janinę, bądź uprzejma znaleźć wcześniejszy termin, najlepiej jeszcze w grudniu.

– Osiemnasty grudnia dwutysięcznego roku. Termin składania wniosków: środa, trzynastego grudnia.

– Doskonale. Jesteśmy zatem umówieni na grudzień, rozpatrzymy tę sprawę przed złożeniem sobie świątecznych życzeń. Mam tylko nadzieję, panno Rubio, że za dwa miesiące nie przyjdzie pani do mnie z płaczem, że nie jest jeszcze gotowa. Sama pani wniosowała o jak najszybszy termin.

– Nie sądzę, bym potrzebowała więcej czasu, Wysoki Sądzie.

– Świetnie. W takim razie do zobaczenia w grudniu. Wnioski formalne będę przyjmował przez najbliższy miesiąc. I proszę bez żadnych niespodzianek. Nienawidzę ich.

– Wysoki Sądzie – odezwała się C.J. – Muszę zgłosić jeszcze jedną rzecz podczas dzisiejszego spotkania.

– To oczywiste, panno Townsend. Odchrząknęła i podała woźnemu pojedynczą kartkę.

– Zgodnie z przepisami kodeksu karnego stanu Floryda oskarżenie będzie się domagało dla oskarżonego, Williama Ruperta Bantlinga, kary śmierci.

Dopiął swego. Stał się gwiazdą przedstawienia, które wszyscy chętnie dla niego organizowali. Odrażający sędzia aż przerwał w pół słowa przemawiającemu jełopowi, żeby natychmiast samemu zabrać głos i wystawić własną gębę do kamery. I znów na scenę wyszła ta suka, zołzo wata jaśnie pani prokurator w okularkach i obcisłej garsonce, poruszająca się tanecznym krokiem po sali i rzucająca górnolotne słowa, jakby to ona była w centrum zainteresowania. Gówno prawda! To jego wszyscy chcieli oglądać, ona była tylko dodatkiem, lukrową różyczką na torcie. Och, mów dalej, panno cipeńko! Powal mnie na kolana. Z przyjemnością rozluźnię twoje zaciśnięte kurczowo pośladki. Daj mi tylko pięć minut, a błyskawicznie się z tobą załatwię!

Jak można było oczekiwać w takim gronie sprawiedliwego procesu? Wszyscy wdzięczyli się do obiektywów, zapominając, że tylko dzięki niemu zyskali taką sposobność. Wszyscy mieli w dupie prawdę i sprawiedliwość. Nie chcieli nawet słuchać tego, co im wykrzykiwał prosto w twarz.

Siedział wygodnie rozparty w sądowej ławie, z lekkim rozbawieniem obserwując przebieg farsy rozgrywającej się przed jego oczyma. Miał straszną ochotę wstać, żeby przyciągnąć uwagę pieprzonych kamerzystów i fotoreporterów, po czym uśmiechnąć się do nich szeroko. Może któryś by to wychwytał. Może jakaś zgrabna dziennikarska blondyneczka przysłałaby mu do celi list miłosny albo nawet zjawiała się osobiście, żeby przeprowadzić wywiad. Podejź do mikrofonu, mój drogi. O, właśnie tak. Otwórz szeroko usta i... To byłoby miłe. A jeszcze lepiej, gdyby przyniosła również aparat fotograficzny. Powędrował wyobraźnią w stronę żarliwego wywiadu, coraz

bardziej podniecając się własnymi myślami.

I wtedy jaśnie zołza oświadczyła podniosłym tonem:

Zgodnie z przepisami kodeksu karnego... ble, ble, ble... oskarżenie będzie się domagało kary śmierci.

Nie chodziło nawet o to, że nie spodziewał się takiego oświadczenia, jak szumnie nazywano tę zapowiedź w sądzie. Zaskoczyło go, że usłyszał ją już dzisiaj, w tym cyrku. Bo przecież miał to być dzień jedynie formalnych ustaleń. Miał siedzieć spokojnie, nie odzywać się i słuchać, jak adwokatka informuje o jego niewinności. Nic więcej. W każdym razie tak mu tłumaczyła. A skoro już teraz chcieli jego śmierci, to musieli zacząć szykować jakąś solidną linię holowniczą, żeby go zawlec na szafot. O nie, w żadnym wypadku nie zamierzał się poddać bez walki. Mogli liczyć na to, że będzie wierzgał, kopał i darł się wniebogłoso.

Doleciał go szmer pracujących kamer i pstrykanie aparatów fotograficznych, gdy odprowadzał spojrzeniem drobną jędrną dupcię jej wysokości do bocznego wyjścia z sali. Przeszła tak blisko, że mógł jej napluć w twarz. Tak blisko, że aż owionął go zapach jej perfum. Chanel No. 5. Uniósł wzrok na jej lekko zadarty nosek, gładkie policzki i pełne, nieco wydęte wargi.

I wtedy przyszedł mu do głowy pomysł. Cudowny i zdumiewający.

Z teatralnie tajemniczym uśmiezkiem odwrócił się do najbliższej kamery. Wreszcie wiedział, dlaczego madame prokurator od początku wydawała mu się znajoma.

. 49 .

– Trochę to trwało, ale w końcu mamy wyniki analizy laboratoryjnej. Żyłka, na której powieszono Morgan Weber, jest identyczna ze znalezioną w szopie Bantlinga – powiedział Dominick.

Był poniedziałek, szesnastego października. Mijały dokładnie dwa tygodnie od przyjęcia aktu oskarżenia i wyznaczenia terminu rozprawy. Manny, Eddie Bowman, Chris Masterson, Jimmy Fulton i trzech innych śledczych ze specjalnej grupy dochodzeniowej zebrało się przy wiśniowym stole konferencyjnym w gmachu Wydziału do Zwalczenia Przeszłości. C.J. siedziała u szczytu stołu, obok Falconettiego. To ona zwołała to spotkanie w celu omówienia strategii procesowej. Urządziła naradę wojenną.

– To wspaniale. Chcielibyśmy jednak poznać też złe wieści. Na przykład, ile szpilek takiej samej żyłki wyprodukowano w ciągu ostatnich dziesięciu lat i sprzedano na terenie Florydy? – odezwał się Manny.

– Bardzo dużo. Jeszcze zbieramy dane – odparł Dominick. – Inną dobrą nowiną jest to, że Jimmy i Chris skończyli się przekopywać przez dokumentację firmy Tommy’ego Tana. I wiemy już, że choć nasz wychwalany pod niebiosa sprzedawca średnio każdego roku przebywał sześć miesięcy za granicą, okazał się na tyle miły, by nie ruszać się z południowej Florydy za każdym razem, gdy znikła któraś z dziewcząt.

– Czy mamy cokolwiek, co pozwoliłoby go łączyć z wcześniejszymi zabójstwami? – zapytała C.J.

– Nie. Na razie tylko same poszlaki, lecz nadal nic konkretnego.

– Szczerze mówiąc, trochę mnie niepokoi to, że nie przedstawił dotąd żadnego alibi i zrezygnował z omawiania materiału dowodowego. Po prostu

nie mam bladego pojęcia, co chce przedstawić na swoją obronę. Obawiam się, żeby podczas rozprawy nie zaskoczył nas czymś niezwykłym.

– Jak choćby tym, że ma niepoczytalnego, groźnego dla otoczenia brata bliźniaka? – wtrącił Chris.

– Lepiej milcz, geniuszu, bo jeszcze zrobisz sobie krzywdę – mruknął Manny.

Wszyscy zaśmiali się krótko.

– Więc kiedy będziemy mogli go oskarżyć o pozostałe morderstwa? – zapytał Eddie Bowman, gdy tylko znów zapadła cisza. Siedział z podniesionymi rękoma i nerwowo czochrał się po tyle głowy. – Niedobrze mi się robi, jak pomyślę, że ten zboczeniec z jakichś powodów mógłby zostać uniewinniony w sprawie Prado, a my wciąż nie mielibyśmy nic, żeby go oskarżyć o pozostałe zabójstwa i uchronić się przed następnymi.

– Nie wywinie się od odpowiedzialności za śmierć Prado – zapewniła C.J.

– Sprawa jest raczej jasna i klarowna, prawda? – spytał Chris.

– Nie ma żadnych wątpliwości. Wyniki badań DNA potwierdzają, że ślady na ścianie w szopie to krew Anny Prado. Jej zwłoki zostały znalezione w bagażniku jego auta. W szopie było ponadto narzędzie zbrodni. Okaleczenie ciała i wycięcie jej serca powinno się okazać na tyle odrażające, żeby przekonać przysięgłych, nie wspominając już o podanym dożylnie narkotyku, który sparaliżował jej mięśnie, nie odbierając świadomości, by obserwowała na własne oczy swoją okrutną śmierć. Ekspertyza z zakładu medycyny sądowej jednoznacznie wskazuje na morderstwo z premedytacją i powinna być zasadniczą podstawą do orzeczenia wyroku śmierci. Oczywiście do skompletowania dowodów bardzo by się przydało to wycięte serce, ale nawet bez niego materiał jest wystarczająco mocny, żeby Bantling nie miał co marzyć o uniewinnieniu.

– Więc dlaczego nie oskarżyć go od razu o wszystkie zbrodnie? – odezwał się ponownie Bowman.

Był poirytowany. Od dwunastu lat pracował w wydziale zabójstw i nadal nie mógł pojąć, jak to się dzieje, że czasem jasna i oczywista sprawa przekazana w ręce prawników grzęźnie w meandrach wymiaru sprawiedliwości. Zdarzało się, że zbir z bogatą przeszłością kryminalną podczas dwugodzinnego, rejestrowanego na magnetofonie przesłuchania przyznawał się do popełnienia zbrodni, a i tak można było postawić niezłe pieniądze, że z takich czy innych przyczyn formalnych jego sprawa nigdy nie znajdzie epilogu przed ławą przysięgłych. Cały system zdawał się stawać na przeszkodzie do wymierzenia sprawiedliwości i z roku na rok wkurzało go to coraz bardziej. Nawet jeśli zbierał pochwały za ujęcie sprawcy i wzorowo przeprowadzone dochodzenie, później na sali sądowej musiał z osłupieniem dowiadywać się o powodach, dla których oskarżony jest niewinny. Dlatego i tym razem nie wierzył w zapewnienia o klarowności sprawy Bantlinga, nie łudził się, że morderca na pewno dostanie wyrok śmierci.

– Bantlingowi najwyraźniej się spieszy, chce jak najszybszego procesu o zamordowanie Anny Prado. Wolę więc nie działać w pośpiechu, żeby niczego nie przeoczyć i nie zawalić sprawy tylko dlatego, że nie wszystko było dopięte na ostatni guzik. Jeśli uzyskam wyrok skazujący w sprawie Prado, na podstawie zasady Williamsa będę mogła wystąpić o najwyższy wymiar kary, wskazując elementy łączące zabójstwo Prado z innymi zbrodniami i wnioskując o ich wspólne rozpatrzenie. Tylko w ten sposób, nawet wobec braku dowodów pozwalających wiązać Bantlinga z pozostałymi ofiarami, przysięgli będą mogli się zapoznać z tamtymi zabójstwami i osądzić go przynajmniej za jedno z Nich. Oczywiście byłby to wyłącznie proces poszlakowy, co nawet przy surowości przysięgłych z Miami nie

przesądza o jego wyniku. Dlatego tak bardzo mi zależy na dowodach rzeczowych. Identyfikacja tej żyłki wędkarskiej to już coś, pozwala przynajmniej powiązać Bantlinga ze śmiercią jeszcze jednej ofiary. Wolałabym jednak mieć ciepły i dymiący ciągle pistolet, Eddie, czyli trofea, jakie gromadził po kolejnych zamordowanych dziewczętach. Odszukajcie mi ich serca.

– No cóż, wciąż szukamy, ale nie da się wykluczyć, że je spalił, zjadł czy choćby gdzieś zakopał. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego miałyby to być aż tak ważne – Bowman znowu poskrobał się po głowie.

– Co ci jest? Masz pchły? – warknął Misiek. – Może lęgną ci się w uszach, bo najwyraźniej są zatkane i nic do nich nie trafia. Proces i tak się odbędzie, czy znajdziemy wycięte serca, czy nie. Wyluzuj trochę.

Widocznie pesymizm Bowmana nie udzielał się całemu zespołowi.

– Nie wierzę, żeby się ich pozbył, Eddie – odparła C.J. – Moim zdaniem tylko gdzieś ukrył, żeby czasami oglądać je i wspominać. Rozmawiałam z Gregiem Chambersem, psychiatrą sądowym, który występował jako biegły w procesie Dusiciela z Tamiami. Wszyscy seryjni mordercy gromadzą trofea po swoich ofiarach. Zdjęcia, biżuterię, kosmyki włosów, bieliznę, jakieś osobiste drobiazgi. Według niego Bantling kolekcjonował właśnie wycięte serca. To pasuje do portretu psychologicznego zabójcy. Na pewno nie pozbyłby się czegoś, co zdobył z takim trudem i co ma dla niego olbrzymią wartość. Z pewnością są ukryte w jakimś miejscu, gdzie ma do nich swobodny dostęp i w dogodnych chwilach może napawać nimi oczy, dotykać i wspominać. Dlatego tak nalegam na ich odnalezienie, Eddie. Musicie tylko się dowiedzieć, gdzie szukać. Tymczasem wystąpiłam o ujawnienie kart chorobowych Bantlinga z Nowego Jorku. Co prawda, nie wystąpił dotąd z wnioskiem o uznanie za niepoczytalnego, podejrzewam więc, że sędzia

Chaskel nie zaakceptuje ich ujawnienia, dopóki nie zostanie poruszona kwestia zdrowia psychicznego oskarżonego. Ale ogólna ocena jego stanu zdrowia i spis leków, jakie mu przepisywano, powinny być udostępnione bez nakazu sądowego, mam więc nadzieję, że coś dostaniemy. A to z kolei powinno dać mocny dowód na jego związek z zamordowanymi dziewczętami, w których organizmach wykryto haloperidol.

Wyprostowała się, zsunęła włosy za uszy i zaczęła chować papiery do teczki. Po chwili dodała:

– Zresztą nie jestem nawet pewna, czy będziemy tego potrzebowali. Niewykluczone, że Bantling sam ułatwi nam zadanie.

– Jak? – zaciekawiał się Dominick.

– Wczoraj zadzwoniła do mnie Lourdes Rubio z prośbą o rozmowę. Prawdopodobnie szuka sposobu, jak mógłby się wymigać od kary śmierci.

– Już to widzę – mruknął podenerwowany Bowman. – Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś po zaszlachtowaniu jedenastu kobiet dobrowolnie zgodził się spędzić resztę życia w więzieniu, gdzie będzie miał ciepło i wygodnie, z trzema posiłkami dziennie na koszt podatników.

– Zachowujesz się jak marudna smarkuła – zganił go znowu Misiek. – Nie możesz uwierzyć, że pani mecenas nie wypuści go na wolność? Nieraz widziałem, jak daje sobie radę na sali sądowej. Możesz mi wierzyć, że ma więcej jaj od ciebie, Bowman.

– Łagodniejszy wyrok niż kara śmierci w ogóle nie wchodzi w grę – zapewniła C.J. – Lecz jeśli będzie chciał oszczędzić nam czasu i kłopotów z osądzeniem go za jedenaście morderstw, na pewno mu w tym nie przeszkodzi. W końcowej fazie procesu, przed rozpatrzeniem wysokości kary, może nawet sobie tłumaczyć, że w areszcie pojednał się z Chrystusem i zrozumiał, że przyznanie się do winy pomoże mu oczyścić duszę, a owo

pojednanie jest na tyle istotne, by pozostał przy życiu. Ten argument nie pomógł Danny'emu Rollingowi z Gainsville i wątpię, by poskutkował w wypadku Bantlinga.

Podniosła teczkę i ruszyła do wyjścia. Przed drzwiami obejrzała się jeszcze.

– Powiadomię was o wyniku tej rozmowy. A federalnych zarzuciłam taką ilością papieru, że starczyłoby na konfetti na cały Manhattan podczas świątecznej parady. Jeśli skończą wszystko czytać do piątku, wtedy będą mogła ich zapoznać ze zgromadzonym materiałem dowodowym. Rwą się do tego jak muchy do miodu. Dlatego już dziś uprzedzam, że chciałabym mieć kogoś do pomocy, kto by otworzył salę i pomógł w prezentacji dowodów. Jest ktoś chętny?

– Tak. Bowman. Uwielbia taką robotę. Prawda, pchlarzu? Może przy okazji uda ci się zapchlić tego nadętego dupka z FBI.

Manny zarechotał głośno.

– Zapominasz, Miśku, że on ma za mało włosów, żeby jakieś zwierzę utrzymało się przy życiu na tym jego wiecznie spoconym czerepie – odezwał się z końca sali Jimmy Fulton.

– Lepiej nie żartuj sobie z łysych facetów. Ja i Bowman jesteśmy bardzo wrażliwi na tym punkcie – ostrzegł go Alvarez.

– Odchrzań się, Miśku. Mnie jeszcze nic nie wypada – zaprotestował Eddie Bowman.

– No pewnie, skoro sam sobie wydrapujesz włosy ze łba – burknął Manny.

– Powiedzmy, że cierpisz na zapalenie cebulek włosowych, Eddie – wtrącił Chris Masterson. – A Miśkowi lepiej niczego nie wytykać, bo jest dużo większy od każdego z nas.

– Odprowadzę cię – rzekł Dominick do C.J. – A wy bądźcie lepiej

grzeczne, dzieci, i nie rzucajcie w siebie kulkami papieru.

Wyszli razem z sali konferencyjnej i ruszyli korytarzem. Po szklanych drzwiach prowadzących na parking spływały strugi deszczu. Doleciał zza nich huk grzmotu.

C.J. zatrzymała się przed wyjściem.

– Do diabła. Nie zabrałam parasolki.

– Odprowadzę cię do samochodu.

Dominick cofnął się i wziął służbowy parasol ze stojaka przy dyżurce. Kuląc się pod nim, podeszli wśród zacinającej ulewy do auta.

– Spałaś dzisiaj choć trochę? – zapytał nieoczekiwanie. Popatrzyła na niego ze zdziwieniem, jakby nabrała podejrzeń, że poznał jej tajemnicę.

– Słucham?

– Mówiłaś, że w czasie ostatniego weekendu, po naszej wyprawie na miejsce zabójstwa Morgan Weber, prawie nie zmrużyłaś oka. Dlatego pytam, czy doszłaś już do siebie.

– Tak, dzięki. Nic mi nie jest.

Szybko wsiadła za kierownicę dżipa. Dominick stał jeszcze w otwartych drzwiach, trzymając parasol nad głową. Nogawki miał już całkiem przemoczone, woda ściekała po nich strumieniami. Palmy ocieniające parking chwiały się mocno pod uderzeniami deszczu i wiatru. O tej porze roku, w samym środku sezonu huraganów, burze nad Florydą zazwyczaj były gwałtowne. Pochylił się nagle i wsunął głowę do środka, przybliżając twarz zaledwie na centymetry od jej twarzy. Owionął ją delikatny zapach jego wody kolońskiej i słodkawego aromatu miętowej gumy do żucia. Kiedy spojrzała mu w oczy, przyszło jej na myśl, że drobne białe cętki na jego piwnych źrenicach przypominają delikatne spękania na powierzchni porcelany. Wróciło wspomnienie tego, co czuła, gdy tydzień temu pocałował ją żarliwie,

i natychmiast powróciło dotkliwe ssanie w dołku.

– Czy przyjmiesz zaproszenie na kolację, kiedy uporamy się wreszcie z tą sprawą? – zapytał.

Zawahała się, całkowicie zaskoczona jego nieoczekiwaną reakcją. Kiedy w końcu, po kilku boleśnie kłopotliwych sekundach, odzyskała głos, nie mniej zaskoczyła ją własna odpowiedź:

– Tak. Po procesie chętnie przyjmę twoje zaproszenie.

– To dobrze. – Uśmiechnął się szeroko, aż w kącikach ust powstały głębokie zmarszczki. Miał bardzo ujmujący uśmiech. – Kiedy masz się spotkać z Bantlingiem i jego adwokatką?

– Pojutrze w więzieniu okręgowym. Zadzwoń i powiadomię cię, jak poszła rozmowa.

Mimowolnie odpowiedziała takim samym szerokim, przyjaznym uśmiechem. Ale ściskanie w dołku nie minęło.

Dominick zatrzasnął drzwi i wciąż stojąc pod parasolem, przyglądał się, jak w strugach deszczu ostrożnie wyjeżdża z parkingu i skręca w kierunku autostrady.

Wymalowane na jasnozielono pomieszczenia więzienia okręgowego śmierdziały kwaśnym potem, uryną i odchodami, tak intensywnie, że aż trudno było swobodnie oddychać. C.J. nie znosiła wizyt w tym budynku. Kiedy tylko było to możliwe, na podobne spotkania czy też przesłuchania nakazywała doprowadzić aresztantów bądź do swojego gabinetu, bądź do któregoś pokoju w gmachu sądu. Ale ze względu na ścisły nadzór, jakim otoczono Bantlinga, tym razem nie wchodziło to w rachubę. Musiała więc sama stawić się za tymi samymi kratami, za którymi trzymano przestępców, i przejść smrodliwymi, ohydnie zielonymi korytarzami zalewanymi jaskrawym blaskiem jarzeniówek, usiłując ignorować donośne gwizdy i wulgarne okrzyki więźniów zgromadzonych na podestach przed swoimi celami. Modliła się tylko w duchu, żeby nic obrzydliwego nie kapnęło jej na głowę.

Po prostu idź stale przed siebie. Trudno jest trafić w ruchomy cel.

Na siódmym poziomie, gdzie znajdowały się cele więźniów pozostających pod specjalnym nadzorem, strażnik w kuloodpornej pleksiglasowej budce na szczycie schodów wskazał jej masywne żelazne drzwi z małym, również kuloodpornym okienkiem z grubego szkła, znajdujące się na końcu krótkiego bocznego korytarza. Kiedy się do nich zbliżyła, zaterkotał elektryczny zamek i drzwi się otworzyły. Ledwie przez nie przeszła, zatrzasnęły się tuż za nią z głośnym hukiem. Dalej wiódł taki sam krótki korytarz o ścianach obłazących z brudnozielonej farby, kończący się drzwiami z masywnej stalowej kraty. Nawet tak niewielka przestrzeń była monitorowana przez trzy kamery umieszczone wysoko pod sufitem. W celi za kratą stał metalowy stolik, przy którym siedziały dwie osoby. Już z daleka dostrzegła jaskrawoczerwony

więzienny kombinezon Billa Bantlinga. Kupidyna. Zaledwie parę metrów dzieliło ją od niej. Zaczepnęła głęboko powietrza i wypuściła je powoli. Pora na przedstawienie. Podeszła do drzwi i te również otworzyły się przed nią samoczynnie. Wyprostowała się i weszła do środka. Krata zatrzasnęła się za nią z donośnym brzękiem, zamykając ją w jednym pomieszczeniu z mordercą.

Bantling szybko podniósł głowę na dźwięk otwierających się drzwi, lecz C.J. wpatrywała się usilnie w Lourdes Rubio siedzącą po prawej stronie. Czując na sobie jego badawcze spojrzenie, podeszła bliżej. W celi nie było nic oprócz stolika i trzech krzeseł. W dodatku było tu zimno, aż nieprzyjemny dreszcz przeszedł jej po plecach.

– Witaj, Lourdes – powiedziała, siadając naprzeciwko tamtych dwojga. Otworzyła teczkę i wyjęła z niej notatniki.

– Dzień dobry – odparła adwokatką wbijając wzrok w leżący przed nią stos dokumentów. – Dziękuję, że zgodziła się pani spotkać z nami dzisiejszego ranka.

– Chcieliście rozmawiać o jakimś wniosku formalnym. Słucham, o co chodzi? – Wciąż spoglądała tylko na Lourdes.

– Najpierw musimy poruszyć pewną kwestię, którą bez wątpienia może rzutować na jakiegokolwiek przyszłe wnioski formalne. – Rubio westchnęła ciężko, wzięła jakiś gruby dokument i położyła przed nią na stole.

– Co to jest? – C.J. zmarszczyła brwi.

– Mój wniosek o unieważnienie zatrzymania.

Zaczęła pospiesznie przebiegać wzrokiem tekst maszynopisu, gdy po chwili Lourdes dodała cicho, jak gdyby z rezygnacją w głosie:

– Mamy podstawy sądzić, że w tej sprawie nie jest pani obiektywna, panno Townsend. Jutro zamierzam oficjalnie wystąpić do sędziego Chaskela

o odsunięciu pani od tej sprawy. Chcę także spotkać się z prokuratorem stanowym i osobiście przedstawić mu powody takiego wystąpienia.

C.J. z trudem przełknęła ślinę. Ogarnęła ją nagle fala paniki, podobna chyba do tej, jaką musi odczuwać dzikie zwierzę schwyte w potrzask. Miała wrażenie, jakby ktoś wymierzył jej silny cios w tył głowy. Zdołała z siebie tylko wykrztusić:

– Słucham? Co skłania panią do podejrzeń, że nie jestem obiektywna w tej sprawie?

– Mamy podstawy przypuszczać... a właściwie natknęliśmy się na pewne fakty...

Zająknąwszy się drugi raz, zamrugła szybko i na dobre umilkła, pochylona nad notatkami. C.J. niemal odliczała upływające sekundy kłopotliwej ciszy, czując utkwione w sobie przenikliwe spojrzenie Bantlinga. Czuła bijącą od niego woń, bardzo wyraźną w chłodnym powietrzu. Lekko wodził koniuszkami palców po brzegu blatu również pomalowanego na zielono stolika, do którego był przykuty kajdankami, strącając okruchy łuszczącej się farby na podłogę. Kąciki ust miał nieco wygięte ku górze w pogardliwym uśmiešku, jakby doskonale się bawił jej zakłopotaniem. Sprawiał wrażenie przebiegłego gówniarza, który jako jedyny w klasie zna tajemnicę. C.J. wciąż z uporem wpatrywała się w Lourdes, lecz mimo woli kolana zaczynały jej dygotać ze zdenerwowania.

Wreszcie, nie podnosząc głowy znad zapisków, Rubio powiedziała cicho:

– Wiem, że oficjalnie zmieniła pani nazwisko i naprawdę nazywa się Chloe Larson. Wiem także, iż dwanaście lat temu stała się pani ofiarą brutalnego gwałtu w swoim nowojorskim mieszkaniu. Przeglądałam raporty policyjne. – Urwała na krótko i w końcu odważyła się spojrzeć jej w oczy. – Chciałabym powiedzieć, że jest mi bardzo przykro z powodu tego, co panią

spotkało. – Odchrząknęła, poprawiła okulary na nosie i ciągnęła dalej: – Mój klient utrzymuje, że to on panią wtedy zgwałcił, a pani rozpoznała w nim sprawcę. Z powodu przedawnienia nie może być już sądzony za tamto przestępstwo w Nowym Jorku. Jego zdaniem, jest pani w pełni świadoma tego faktu i dlatego kieruje się teraz żądzą zemsty. Chce się pani na nim odegrać. Podejrzewamy zatem, że zataja pani pewne szczegóły morderstwa mogące świadczyć o jego niewinności.

Lourdes odetchnęła z wyraźną ulgą, widocznie zadowolona, że ma to już za sobą.

Dobór jej słów był bardzo interesujący. Bantling nie mógł powstrzymać szerokiego uśmiechu satysfakcji. Przez cały czas rytmicznie kiwał głową, jakby w duchu odmawiał szczególnie podniosłą modlitwę. Ale zarazem celowo wodził wzrokiem po sylwetce C.J., która dobrze wiedziała, co on myśli. Poczuli się nagle zbrukana, naga i wystawiona na ciekawskie spojrzenia podglądaczy. Tkwiała bez ruchu, kompletnie zaskoczona tym, co usłyszała. Jak miała odpowiedzieć? Jak zareagować? W myślach gorączkowo szukała wyjścia. Policzki coraz bardziej ją paliły w miarę przeciągania się martwej ciszy zapadłej w celi.

Niespodziewanie to on ją przerwał. Ten sam głos, który nie dawał jej spokoju w sennych koszmarach, nagle rozbrzmiał nie dalej niż metr od niej:

– Do dzisiaj wspominam twój smak. – Wciąż szeroko uśmiechnięty, pochylił się bliżej, rozwarł usta i lubieżnie przeciągnął czubkiem języka po wargach. Następnie zamknął oczy, jakby pogrążając się w błogich wspomnieniach, i mruknął: – Mmm... Cudowna Chloe... A może powinienem nazywać cię Żelką?

Lourdes wyprostowała się gwałtownie i syknęła mu prosto w twarz:

– Panie Bantling! Takie zachowanie w niczym panu nie pomoże! Proszę

natychmiast przestać!

Kolana Chloe dygotały już w oszalałym rytmie, uniosła więc nieco nogi, żeby nie dało się słyszeć stukania obcasów o podłogę. Czuła się tak, jakby miała za chwilę zwymiotować. Zimny pot spływał jej po ciele, a wszystkie myśli przyćmiewała niepokonana chęć ucieczki. Dokądkolwiek, byle jak najdalej stąd. Poczowała się zapędzona w ślepią uliczkę.

Ale nie mogła nawet podnieść się z krzesła. Jakże miała rzucić się do ucieczki, skoro wreszcie nadeszła ta chwila, na którą tak czekała i o której marzyła?

Odezwij się w końcu albo na zawsze zapomnij o spokoju ducha.

Zdobyła się na to, żeby podnieść głowę i przez kilka straszliwie długich sekund patrzeć w jego nikczemne ślepie. Na wargach wciąż błąkał mu się pogardliwy uśmiezek, a oczka przeskakiwały po niej z tak bezgranicznym podnieceniem, że z wielkim trudem zdołała dobyć z siebie głos. Lecz kiedy wreszcie się rozległ, niski i matowy, ją samą zaskoczyło jego pewne, stanowcze brzmienie.

– Nie wiem, panie Bantling, skąd się pan dowiedział o zbrodni, której padłam ofiarą. Naprawdę nie mam pojęcia. Zapewne z policyjnych raportów, choć minęło już tyle lat. Niemniej pańskie oskarżenie jest po prostu niesmaczne, wręcz obrzydliwe, zwłaszcza jeśli w pańskim pokrętnym umyśle wynika jedynie z chęci zyskania nade mną choćby minimalnej przewagi.

Wreszcie nadeszła jej kolej! Czując wzbierającą w sobie wściekłość, błyskawicznie odsunęła na bok tę słabą i bezbronną Chloe, która chciała tylko uciekać i szukać kryjówki. Teraz to ona pochyliła się nad stolikiem, śmiało wbijając spojrzenie w jego lodowato zimne niebieskie oczy. Od razu dostrzegła w nich błysk zdumienia, cień zmieszania. Jeszcze bardziej zniżywszy głos, ciągnęła prawie szeptem:

– Mogę pana jednak zapewnić, że nic, ale to nic nie sprawi mi większej przyjemności niż widok pana przypiętego pasami do leżanki w celi straceń i wbitej w pańskie przedramię strzykawki z trucizną. Przerazonym wzrokiem będzie pan wodził po twarzach zgromadzonych widzów w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby wybawić pana od niechybnej śmierci, powstrzymać strumień trucizny wsączającej się w pańskie żyły i na zawsze odcinającej pana od życia. Ale wśród obserwatorów nie znajdzie pan żadnej litościwej duszy. Absolutnie nikogo. Za to będę tam ja. I może być pan pewien, panie Bantling, że z uwagą będę się przyglądała pańskiej śmierci. W gruncie rzeczy, to ja zaprowadzę pana do tej sali straceń. I mogę jedynie wyrazić żal, że nie stosuje się już krzesła elektrycznego, gdyż znacznie większą przyjemność sprawiłaby mi możliwość przyglądania się, jak pańska wykrzywiona wściekłością twarz rozpływa się od żaru.

Z ironicznym uśmiechem na wargach wstała i zwróciła się do Lourdes, która gapiła się na nią z rozdziawionymi ustami.

– A co do pani, panno Rubio, był to pokaz najbardziej nieetycznego prawniczego zachowania, z jakim się dotąd zetknęłam. Będę musiała powiadomić o tym sędziego Chaskela zaraz po powrocie do swego biura. Niewykluczone, że o całej sprawie dowie się również kolegium tutejszej palestry.

Adwokatka otworzyła już usta, żeby odpowiedzieć, lecz C.J. powstrzymała ją ruchem ręki i dodała głosem roztrzęsionym ze złości i urazy:

– Od tej pory proszę nawet nie próbować porozumiewać się ze mną inaczej jak poprzez oficjalne pisemne wnioski składane w sądzie. Nie chcę od pani słyszeć absolutnie niczego, co nie mogłoby zostać powiedziane na sali rozpraw. Jest pani równie żałosna jak pani klient.

Chwyciła teczkę, podeszła do kraty i wcisnęła dzwonek przywołujący

strażnika.

Tymczasem Bantling zbladł jak ściana, na czoło wystąpiły mu grube krople potu, które zaczynały ściekać strumykami po policzkach. Nagle wydał z siebie donośny nieludzki skrzek, przypominający wrzask kota obdzieranego żywcem ze skóry.

– Na miłość boską! Bill! Przestań! – krzyknęła Lourdes.

C.J. nawet się nie obejrzała, spokojnie czekając na otwarcie drzwi. Wściekłość w jego głosie budziła w niej coraz przykrzejsze wspomnienia, modliła się więc w duchu, żeby wypuszczono ją stąd jak najszybciej.

– Nikogo nie zabiłem! – ryknął Bantling. – Dobrze wiesz, że jestem niewinny! Nie możesz skazać niewinnego człowieka na śmierć!

Krata zaczęła się w końcu rozsuwać. C.J. wyszła na korytarz, siłą się powstrzymując, żeby nie rzucić się biegiem.

Bantling poderwał się z miejsca tak gwałtownie, że krzesło z łomotem upadło na betonową posadzkę. Szarpnął się raz i drugi, ale tylko zadzwoniły kajdanki, którymi był przykuty do nogi stolika. Wrzasnął dziko:

– Ty cholerna pieprzona suko! Nie uciekniesz ode mnie, Chloe! Zapamiętaj to sobie, ty nadęta dziwko!

Krata zatrasnęła się z hukiem i C.J. wcisnęła dzwonek przy ciężkich żelaznych drzwiach prowadzących na główny korytarz. Popatrzyła przez okienko na strażnika w kuloodpornej budce, który leniwie podniósł głowę znad gazety. No, rusz się! Otwieraj! Kolana się pod nią ugiwały, ledwie mogła oddychać. Musiała natychmiast wyjść na świeże powietrze. Wreszcie zaterkotał elektryczny zamek.

Bantling wrzeszczał jak opętany, wciąż próbując się oswobodzić z kajdanek. Naszły ją obawy, że mógłby wyrwać metalowy stolik przytwierdzony do podłogi. Czy zdążyłby ją jeszcze dopaść, zanim strażnik

odłożyłby gazetę i wybiegł z budki?

– Minęło dwanaście lat, a ty wciąż przede mną uciekasz, Chloe! Ale cię odnalazłem! I odnajdę cię znowu, Żelko! Przecież obiecywałem, że wrócę! Znow przyjdę po ciebie...!

Ciężkie drzwi zamknęły się z głuchym hukiem, odcinając ten potok dzikich wrzasków. C.J. zdołała jakoś dojść do windy i roztrzęsioną ręką wcisnęła guzik. Miała wrażenie, że musi czekać całą wieczność na jej przyjazd. Wreszcie drzwi się rozsunęły i wsiadła do środka. Z ulgą przyjęła to, że nareszcie jest sama, ale szybko uprzytomniła sobie, że i tu kamera wideo rejestruje każdy jej ruch. Nogi miała jak z waty, toteż dla niepoznaki oparła się ramieniem o ścianę. Kiedy wysiadła na parterze, energicznym krokiem podeszła do okienka dyżurki, żeby się podpisać w książce gości, ale ręka tak jej się trzęsała, że musiała przytrzymać długopis lewą dłonią.

– Wszystko w porządku, panno Townsend?

Służbę pełnił Sal Tisker, którego znała nieco bliżej, gdyż często konwojował aresztantów w drodze do sali sądowej.

– Tak, Sal. Nic mi nie jest. Po prostu miałam nieprzyjemną rozmowę, to wszystko.

Nawet głos jej drżał. Odchrząknęła i wzięła torebkę, którą strażnik podał przez okienko. Wyjęła z niej ciemne okulary i włożyła je szybko.

– Miłego dnia, panno Townsend.

Sal wcisnął guzik, uruchamiając elektryczny zamek ostatnich drzwi. C.J. wyszła na skąpany w słońcu placyk.

Pospiesznie ruszyła przez ulicę do swego biura, wyminawszy te same trzy ulicznice, które kręciły się przy wejściu do aresztu już wtedy, gdy wchodziła. Pewnie czekały na swego opiekuna, który miał wyjść za kaucją. Prawdopodobnie czekała je awantura, że marnują tu czas, zamiast dalej

zarabiać na ulicach Biscayne. W jaskrawym blasku słońca wszystko wydało jej się nagle surrealistyczne. Znow musiała siłą się powstrzymać, żeby nie ruszyć pędem przez jezdnię.

Postaraj się jeszcze trochę zachowywać normalnie. Już prawie jesteś u siebie. Tam będziesz mogła się wreszcie rozkleić.

– Panno Townsend! – doleciał ją z tyłu głośny okrzyk. – Na Boga! Panno Townsend! – Rozpoznała po głosie Lourdes Rubio, w której nawoływaniach pobrzmiwała nuta hysterii. – C.J.! Zaczekaj! Proszę!

. 51 .

– Nie mam pani nic więcej do powiedzenia.

– Proszę, wysłuchaj mnie przez chwilę. Bardzo przepraszam. Nie wiedziałam, że tak się to skończy, że on zacznie wygadywać takie rzeczy. – Lourdes zrównała się z nią i drobiąc szybkie kroki, usiłowała zajrzeć jej w twarz. – C.J., proszę, wysłuchaj mnie.

– Domyślam się, że to ty ściągnęłaś kopie raportów policyjnych z Nowego Jorku. Sama dałaś szaleńcowi do ręki naładowaną broń, a teraz udajesz zaskoczoną, że z niej strzelił? Daj mi spokój, Lourdes. – Jeszcze przyspieszyła kroku.

– Wcześniej znał szczegóły opisane w raportach. Pokazałam mu je dopiero wtedy, gdy mi o wszystkim opowiedział.

– Zostałam napadnięta dwanaście lat temu. Miał więc aż dwanaście lat na to, by się zapoznać z tymi raportami, zanim okazałaś się na tyle uprzejma, że dostarczyłaś mu nowe kopie. Bardzo łatwo dałaś się wyprowadzić w pole.

– C.J., tak czy inaczej jest mi strasznie przykro, że tak się to skończyło. Wiem, jakie to musiało być dla ciebie bolesne...

C.J. zatrzymała się nagle, odwróciła i zmierzyła Rubio lodowatym spojrzeniem, po czym syknęła roztrzęsionym głosem:

– Nie masz o tym najmniejszego pojęcia. Nawet nie umiałabyś sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy się budzisz w środku nocy z rękoma i nogami przywiązanymi do poręczy łóżka, z siedzącym na tobie szaleńcem w gumowej masce, który nożem o ząbkowanym ostrzu zaczyna ci rozcinać skórę na pasy.

Adwokatką skrzywiła się, zamknęła oczy i odwróciła głowę.

– Czy na sam ten opis nie dostajesz dreszczy, Lourdes? – zapytała cicho, niemal szeptem, sycząc jej prosto w twarz. – Bo słowo gwałt brzmi obojętnie, wręcz niewinnie. Zostałaś zgwałcona, i co z tego? W tym kraju spotyka to co czwartą studentkę mieszkającą w akademiku. Trzeba się otrząsnąć i żyć dalej. Tyle że w moim wypadku nie był to zwykły gwałt, bardziej przypominał cztery godziny tortur połączonych z wielokrotnym gwałceniem, czym popadnie, butelką od piwa i wieszakiem na ubrania; cztery godziny bezsilnego skręcania się pod ciężarem człowieka, który czerpał szczególną satysfakcję z nacinania cię nożem i przyglądania się, jak krwawisz; cztery godziny bezgłośnego wrzasku rozsadzającego ci głowę do tego stopnia, że masz wrażenie, iż za chwilę się rozpęknie, także od bólu i śmiertelnego przerażenia. Chyba nawet nie zajrzałaś do tych raportów, które ściągnęłaś na życzenie swojego klienta, bo gdybyś to zrobiła, wiedziałabyś, że gwałciciel nie tylko doprowadził mnie do załamania nerwowego, ale w dodatku uczynił bezpłodną. Dał upust swoim zboczonym pragnieniom i pozostawił na łaskę losu, żebym skonała w kałuży własnej krwi. Czy nadal jeszcze sądzisz, że twoje zarzuty mogłam odebrać bezboleśnie, że nie były dla mnie szokujące, nie stały się przyczyną skrajnego przygnębienia? Naprawdę uważasz, że powinnam ich wysłuchać w spokoju? Kto ci dał do tego prawo?

– On jest moim klientem, C.J., nad którym zawisła groźba kary śmierci – zaoponowała nieśmiało Lourdes błagalnym tonem. Ale nie miała co liczyć na wyrozumiałość.

– A który w dodatku ci wyznał, że jest prawdziwym potworem, że przed dwunastu laty dopuścił się brutalnego gwałtu na kobiecie, teraz zaś ją rozpoznał w osobie prokuratora domagającego się dla niego kary śmierci za gwałty i brutalne mordy jedenastu innych kobiet. Cóż za wspianiały zbieg okoliczności. A ty, nawet się nie zastanawiając nad konsekwencjami, po

prostu rzucasz to oskarżenie prosto w twarz kobiecie, która rzeczywiście została kiedyś zgwałcona. Naprawdę nie wiem, skąd twój klient dowiedział się, że byłam kiedyś ofiarą napadu, ale mogę ci śmiało powiedzieć jedno: Mam czyste sumienie. I gdyby jakimś cudem twój klient kiedyś wyszedł na wolność, gdyby znów zaczął gwałcić, torturować i mordować niewinne kobiety, co uczyniłby z pewnością przy najbliższej okazji, ja nadal mogłabym śmiało spojrzeć w twarz matce zabitej dziewczyny i powiedzieć: „Bardzo mi przykro z powodu pani straty”. Ja mogłabym żyć z własnym sumieniem. A ty, Lourdes?

Rubio nie odpowiedziała. Po jej policzkach stoczyły się łzy.

– Więc dalej rób to, co uważasz za stosowne dla swojego klienta. A ja będę robiła to, co sprawiedliwe. Teraz przepraszam, ale spieszę się na spotkanie.

C.J. odwróciła się na pięcie i ruszyła przez ulicę, nie obejrząwszy się nawet na Lourdes Rubio, która jeszcze przez jakiś czas stała zapłakana na chodniku przed gmachem więzienia okręgowego.

– C.J. Townsend z prokuratury stanowej – powiedziała, pokazując legitymację służbową oficerowi dyżurnemu.

– Do kogo mam tym razem panią zapisać?

– Do agenta specjalnego Chrisa Mastersona.

– Dobrze. Proszę zaczekać, zaraz do pani zejdzie.

Zaczęła nerwowo krążyć po holu, stukając obcasami po białych płytkach terakoty. Na jednej ścianie, wokół ogromnego emblematu przedstawiającego złotą odznakę agenta specjalnego Wydziału do Zwalczania Przeszłości, wisiały dziesiątki proporczyków i dyplomów. Na drugiej, prawie do samego sufitu, wisiały zdjęcia osób zaginionych. Zatrzymała się przed nią. W większości fotografie przedstawiały nastolatków, którzy uciekli z domów, bądź dzieci porzucone przez rodziców, na kilku widniały jednak twarze osób zaginionych w podejrzanych okolicznościach. Te były dodatkowo oznakowane nalepkami z napisem „zagrożony”. Zdjęcia usuwano z tej ściany dopiero wtedy, gdy odnajdywano człowieka bądź rozwiązywano tajemnicę jego zniknięcia. Nowe natomiast naklejano na wcześniejszych, toteż łatwo było rozpoznać, które z nich są najstarsze. C.J. dość szybko wyszukała wśród nich czarno-białe zdjęcie Morgan Weber, do połowy schowane już pod ulotką dotyczącą zaginionego nastolatka. Widocznie nikt jeszcze nie pomyślał o zdjęciu go ze ściany, choć jej zwłoki zostały zidentyfikowane.

Otworzyły się drzwi i do holu wkroczył Chris Masterson.

– C.J.! Jak się masz? Przepraszam, że musiałaś tak długo czekać. Dominick nie uprzedził mnie, że będziesz chciała zajrzeć dzisiaj do dowodów, musiałem więc poświęcić parę minut, żeby wszystko

przygotować.

– Planowałam zajrzeć do nich w czwartek, Chris, lecz nieoczekiwanie wypadło mi ważne przesłuchanie w tamtym terminie, a w piątek jesteśmy umówieni na prezentację dowodów agentom FBI. Dlatego postanowiłam zajrzeć do was dzisiaj. Dzięki, że zechciałeś poświęcić swój czas i naszykować dla mnie salę.

– Nie ma za co.

Poprowadził ją krętą drogą korytarzami do drzwi sali konferencyjnej, będącej tymczasową siedzibą specjalnej grupy dochodzeniowej. Przekręcił klucz w zamku i przepuścił ją do środka. Długi stół konferencyjny był zastawiony kartonowymi pudłami oznakowanymi kryptonimem „KUPIDYN” oraz numerem sprawy.

– Zostawiłem ci na stole wykazy inwentarzowe spisane podczas przeszukania. Po numerach powinnaś bez kłopotu odnaleźć poszczególne rzeczy w pudłach. Jak skończysz, wpisz się tylko do książki i powiadom Becky, żeby zamknęła salę. Chętnie bym ci pomógł, ale mam za godzinę przesłuchanie. Prawdę mówiąc, dziś po południu wszyscy są w terenie.

– Dzięki, ale nie potrzebuję pomocy. Chcę tylko rzucić okiem na wasze znaleziska. To nie potrwa długo.

– Dom chyba krąży gdzieś po Palm Beach i rozmawia z ludźmi. Nie sądzę, żeby jeszcze dziś się tu pokazał. A może chcesz, bym go wezwał przez radio?

– Nie, naprawdę dam sobie radę. Dzięki.

– Jak wolisz. W takim razie powodzenia. Muszę wracać do swojej roboty.

Zamknął drzwi, zostawiając ją samą w słabo oświetlonej sali. Dochodziła piąta po południu i za oknami zapadał zmrok. Starając się unikać spojrzeń dziewcząt z fotografii rozpiętych na Ścianie, roztrzęsionymi rękoma

przypaliła papierosa i podniosła do oczu spisy inwentarzowe. Nie wiedziała nawet dokładnie, czego szuka, tylko intuicja podpowiadała jej, że jeśli jakiś dowód nadal istnieje, to musi się znajdować właśnie tutaj.

Lourdes albo wyjechała z miasta, albo doszła do wniosku, że jej wniosek o odsunięcie C.J. od sprawy wymaga jeszcze jakichś poprawek. Poprzedniego dnia przysłała jej kopię pisma, jakie zamierzała jutro złożyć na ręce sędziego, ale wniosek dotyczył jedynie unieważnienia zatrzymania Bantlinga.

Przeczytała go wnikliwie kilka razy, lecz nawet między wierszami nie znalazła odnośnika do anonimowego zgłoszenia. Wniosek opierał się wyłącznie na zapewnieniach jej klienta, że ani nie przekroczył dozwolonej prędkości, ani osłona świateł w jego wozie nie była stłuczona, toteż zarówno zatrzymanie, jak i przeszukanie bagażnika, były bezpodstawne. Chcąc mieć pewność, że ani Lourdes, ani żaden z jej współpracowników nie rozmawiał z Chavezem, Lindemanem czy Ribero, zaraz po otrzymaniu pisma zadzwoniła do sierżanta z komendy miejskiej w Miami Beach, przy czym omal nie przyprawiła go o atak serca, mówiąc, że Bantling zgłosił w sądzie formalny wniosek o unieważnienie aresztowania, tłumacząc, że jego zatrzymanie było bezprawne. W każdym razie Ribero zapewnił ją solennie, że dotąd nikt z nimi nie rozmawiał w tej sprawie. A zatem wystąpienie Rubio nie było poparte żadnymi dowodami. Łatwo było przewidzieć efekt konfrontacji zeznań oskarżonego ze słowami szanowanego funkcjonariusza policji.

I choć w tym zakresie mogła odetchnąć z ulgą, nie dawała jej spokoju myśl, że mimo wszystko Lourdes wystąpi z drugim wnioskiem, opartym na oskarżeniach sformułowanych w więzieniu – że Bantling przed laty dopuścił się na niej gwałtu, a teraz C.J. postanowiła wziąć odwet i zataiła prawdę o tamtych wydarzeniach. Zdawała sobie sprawę, że Bantling może dysponować czymś na potwierdzenie tych oskarżeń, przez co dyskusja nad wnioskiem nie

byłaby już tylko sporem czysto słownym.

W listach inwentarzowych spisano wszystkie dowody rzeczowe zabrane z domu i samochodu Bantlinga, nadając im kolejne numery. Nawet nie zajrzała do pudeł zawierających skrawki dywanów, pościeli i obić meblowych, sprzęty kuchenne czy rzeczy do higieny osobistej. Zatrzymała się dopiero przy kartonach oznaczonych „Dowody 161 A, B i C”. Spis leżący na pierwszym z nich był zatytułowany „Rzeczy osobiste” i zawierał takie pozycje jak „zdjęcia, różne”, „albumy fotograficzne, ponumerowane od 1 do 12”, „kasety wideo bez naklejek, ponumerowane od 1 do 98”, „książki (44)”, „czasopisma (15)”, „płyty kompaktowe, ponumerowane od 1 do 64”, „ubrania, różne”, „buty, różne (7 par)”, „przebrania, różne”, „biżuteria, różna”. Właśnie tego szukała.

Przejrzała dokładnie albumy fotograficzne oraz zdjęcia luzem, ale niczego w nich nie znalazła. Niczego nie rozpoznała również w niewielkiej stercie ubrań Bantlinga. Wśród książek przeważały kieszonkowe wydania współczesnych powieści, ale było też kilka pozycji markiza de Sade oraz Edgara Allana Poe. Czasopisma bez wyjątku pochodziły z pogranicza pornografii: „Playboy”, „Hustler”, „Shaved”. Płyty kompaktowe zawierały tylko muzykę popularną, a już wcześniej dostarczono jej kopie wszystkich kaset wideo, z których kilka w posępnym nastroju obejrzała pewnego weekendu w domowym zaciszu. Na nich także niczego nie było.

W ostatnim kartonie natknęła się na niebieskie plastikowe pudełko z naklejoną kartką, opisaną odręcznie: „Dowody 161C, poz. 11: różne przebrania”. Jego zawartość nie była wyszczególniona ani wypunktowana w spisie inwentarzowym. Ledwie zdjęła pokrywkę, zaparło jej dech w piersi.

Na wierzchu leżała złowieszcza maska klauna z krwistoczerwonymi wargami wygiętymi w szerokim uśmiechu i krzaczastymi kępkami

poliestrowych brwi. Rozpoznała ją od razu. Serce podeszło jej do gardła, a całym ciałem wstrząsnął silny dreszcz, gdy wspomnienia wypłynęły niczym gromada upiorów ze strychu starego zamczyska. Doskonale pamiętała tę maskę pochylającą się nad łóżkiem, oświetlaną wpadającym przez okno blaskiem błyskawic. Wciąż miała w uszach świszczący oddech wydostający się przez otwory w grubym lateksie. Czuła dotyk gumowych rękawiczek na ciele, łaskotanie tych kępek purpurowego poliestru na swoich udach i brzuchu. Smród lateksu mieszał się z wonią kawy w oddechu napastnika i smakiem jedwabiu prowizorycznego knebla wypełniającego jej usta. Aż zebrało jej się na wymioty pod wpływem tych wspomnień. Przełknąwszy ślinę i zaczerpnąwszy kilka głębszych oddechów, ostrożnie wyjęła maskę z pudełka, uchwyciwszy ją za kępkę syntetycznych włosów, i uniosła do oczu, trzymając na długość wyciągniętych rąk, jakby to było cuchnące truchło padłego zwierzęcia. Musiała to zrobić, żeby się przełamać. Po chwili wsunęła ją do przygotowanego foliowego worka na śmieci i zamknęła z powrotem niebieskie pudełko.

Na samym dnie kartonu leżała przezroczysta plastikowa torebka z naklejoną kartką z napisem: „Dowody 161C, poz. 12: biżuteria, różna – poch.: lewa górna szuflada komody w sypialni”. Położyła ją na stole konferencyjnym, rozsunęła palcem znajdujące się w środku przedmioty i popatrzyła uważnie. Był tam zegarek marki TAG Heuer, gruba złota bransoletka, kilka wisiorków na łańcuszkach, spinki do mankietów, męski sygnet z oczkiem z czarnego onyksu, parę kolczyków bez pary.

Nagle dostrzegła wisiorek w kształcie splecionych złotych serduszek z brylantem, który przed dwunastu laty dostała od Michaela na rocznicę ich znajomości. Łzy pociekły jej po policzkach, lecz szybko otarła je wierzchem dłoni. Ostrożnie odkleiła brzeg czerwonej taśmy samoprzylepnej, jaką

torebka była zaklejona, uważając, by nie rozmazać wypisanych na niej inicjałów C.M., agenta, który pakował dowody, zapewne Chrisa Mastersona. Delikatnie wyciągnęła ze środka wisiołek, wspominając, kiedy widziała go po raz ostatni na swojej szyi. Z jej pamięci wypłynęły słowa Michaela z tamtego pamiętnego wieczoru:

Staralem się wybrać coś wyjątkowego. Podoba ci się?

To był namacalny dowód pozwalający wiązać ją z Bantlingiem. Znów dopadły ją stare demony, mroząc krew w żyłach i tamując oddech w piersi. Przypomniała sobie myśliwski nóż, którego ostrze rozcięło na niej łańcuszek tego wisiora. W jej uszach odżył coraz szybszy, przyspieszony szmer śmierdzącego kawał oddechu dolatujący zza gumowej maski.

Opanuj się! Nie wolno ci po raz drugi zwariować! Za dużo musiałaś poświęcić, żeby wrócić do normalnego życia!

Kolczyki, bransoletki i wisiora zapewne należały do innych ofiar Bantlinga, może barmanki z Hollywood, studentki z Los Angeles albo pielęgniarki z Chicago. To były jego trofea pochodzące z kolejnych podbojów. Ile razy spoglądał na te splecione złote serduszka i myślał o niej? Wspominał bezbronną Chloe wyrwaną ze swego życia? Ile razy podniecał się myślą o jej nagim ciele skąpanym w kałuży krwi? Pospiesznie wrzuciła wisiołek do worka na śmieci, złożyła go i wsunęła do kieszeni. Zakleiła torebkę z dowodami i włożyła na swoje miejsce w kartonowym pudle. Znalazła to, po co przyszła. Wyrównała szanse. Teraz dyskusja nad wnioskiem musiała się ograniczyć do słownej potyczki. A w tej nietrudno było wytypować zwycięzcę.

Co prawda, dopuściła się kradzieży, popełniła przestępstwo. Wcale nie miała czystego sumienia.

Ale i to mogła poświęcić dla wyższych celów.

. 53 .

Spakowała już swoją teczkę i zbierała się do wyjścia, kiedy nagle otworzyły się drzwi. Aż podskoczyła w miejscu. Dominick ze zmarszczonym czołem obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem.

– Hej, a co ty tu robisz? – zapytał. – Wróciłem po swojego laptopa i z parkingu zauważyłem włączone światła. Myślałem, że to Manny.

– Przestraszyłeś mnie. Nie słyszałam, jak wszedłeś – odparła, przyciskając dłoń do piersi.

– Przepraszam, nie chciałem cię wystraszyć. Nie najlepiej wyglądasz.

– Chris mnie wpuścił. Wolałam się zapoznać z rozmieszczeniem dowodów przed piątkową wizytą Grackera i agentów FBI. Nie chcę, by mnie czymś zaskoczyli – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

– Uważaj na nich. Mogą zgarnąć parę rzeczy, jak tylko odwrócisz głowę.

– Rozejrzył się po sali. – A gdzie jest Chris?

– Musiał iść na jakieś przesłuchanie.

– Gdzie? Na górze?

– Nie wiem. Chyba na mieście. Zrobił kwaśną minę.

– Nie powinien cię tu zostawiać samej. Ma obowiązek osobiście wpisywać do książki gości każdego, kto przebywa w sali dowodów rzeczowych. Powinien tu być.

– Poprosił, żebym sama wpisała się do książki u Becky.

– Becky wyszła o piątej razem z całym personelem biura. Nikogo już nie ma. Teraz sam będę musiał poprzestawiać pudła na swoje miejsce, zrobić dodatkowy wpis w książce i zamknąć pokój.

– Przykro mi.

– To nie twoja wina. Jutro rano Chris usłyszy ode mnie parę cierpkich słów. Znalazłaś wszystko, czego szukałaś?

– Tak. Obejrzałam sobie wszystko.

Pomogła mu przenosić pudła do pokoju dowodów rzeczowych. Ze spoconymi dłońmi i mocniej bijącym sercem patrzyła, jak sprawdza zawartość ostatniego kartonu, a w szczególności niebieskie pudełko z gumowymi maskami oraz plastikową torebkę z biżuterią. Odetchnęła z ulgą dopiero wtedy, gdy wyszli na korytarz i Dominick zamknął drzwi na klucz, włączył alarm i podpisał się w książce gości.

– Jak poszło dzisiejsze spotkanie z Bantlingiem i jego adwokatką? Bo miałaś się z nimi spotkać dziś po południu, prawda? – zagadnął, gdy znaleźli się znowu w sali konferencyjnej.

C.J. na chwilę przygryzła dolną wargę. Poza Chrisem Mastersonem i sierżantem Lou Ribero Falconetti był jedyną osobą, z którą rozmawiała od czasu burzliwego spotkania w więzieniu okręgowym. Wciąż nie była pewna, czy zdoła powiedzieć mu prawdę, nie rozklejając się przy tym. Już teraz czuła łzy cisnące się do oczu. Szybko spuściła głowę i utkwiała wzrok w swojej torebce stojącej na stole.

– W porządku. Nie ma o czym mówić.

– Czyżby jednak postanowił przyznać się do winy, żeby uzyskać łagodniejszy wyrok?

– Nie. Składają wniosek o unieważnienie aresztowania.

– Unieważnienie? Na jakiej podstawie?

– Bantling twierdzi, że Victor Chavez, ten gliniarz z Miami Beach, kłamie, bo on wcale nie przekroczył dozwolonej prędkości, zatem został zatrzymany bezprawnie. Utrzymuje, że nadmierna prędkość jest tylko wymówką mającą po fakcie wyjaśnić powód zatrzymania. Twierdzi też, że

osłona świateł w jego wozie nie była stłuczona, więc i to jest tylko wymówka policjanta. Ogólnie mówiąc, według niego Chavez to młody nadgorliwiec, który postanowił wykorzystać sprawę Kupidyna do zrobienia szybkiej kariery.

Wolała nie wspominać o przyczynach drugiego podobnego wniosku, które były tematem dzisiejszego spotkania w więzieniu.

Dominick od razu przypomniał sobie odłamek plastikowej osłony świateł, który znalazł na jezdni i schował do kieszeni tamtego wieczoru podczas aresztowania. Nie był to pierwszy tego typu wypadek, kiedy gliniarz przejmował sprawy w swoje ręce i ustalał przyczynę zatrzymania jednym uderzeniem latarki czy choćby kopniakiem. Wystarczyło sprokurować fakty, żeby znaleźć winnego.

– No to wspaniale – mruknął, kręcąc głową i próbując odegnąć z wyobraźni widok Chaveza rozbijającego osłonę świateł jaguara na moście Mac Arthura, dokładnie na wprost siedziby redakcji „Miami Herald”. – Przesłuchiwałaś tego gliniarza. Jak będzie zeznawał na ten temat?

– To żółtodziób, nie ma żadnego doświadczenia, sądzę jednak, że jakoś sobie poradzi. – I ją ogarniał coraz większy niepokój. Nie umiała kłamać. Mogła przemilczeć niektóre rzeczy, ale kłamstwo nie leżało w jej naturze. – Gdybym mogła podstawić jakiegoś innego funkcjonariusza odpowiedzialnego za zatrzymanie Bantlinga, zrobiłabym to bez wahania. Ale teraz to wykluczone, będę musiała zostać z tym, co mam. Jakoś przygotuję Chaveza.

– Jednego nie rozumiem. Rubio poprosiła cię o spotkanie w więzieniu, żeby wręczyć kopię wniosku o unieważnienie aresztowania? Przecież to bez sensu. Mogła to zrobić w sądzie. Nie musiała cię ściągać do tej parszywej nory. Bantling był przy tym?

– Tak.

Poczuła, że znów zaczynają jej się trząść kolana.

– I ktoś jeszcze?

– Nie.

– Tylko ty, Rubio i Bantling? W jednej celi?

Przyglądał jej się coraz uważniej. Coś go nurtowało. Wiedziała, że obserwuje jej reakcje, i nie potrafiła w pełni nad sobą zapanować. Zakłopotana sięgnęła po torebkę i zarzuciła ją na ramię.

– Daj spokój, Dominicku. Miałam bardzo ciężki dzień. To szalenie. Nie chcę wracać do tego spotkania.

– Co on ma na ciebie, C.J.? Dlaczego ta sprawa aż tak bardzo wytrąca cię z równowagi? O co chodzi? Przecież mnie możesz powiedzieć prawdę. Może razem znajdziemy jakieś wyjście...

Bardzo chciała wyznać mu szczerze całą prawdę. Miała nadzieję, że to by ją uwolniło od sennych koszmarów, a ilekroć brakowałoby jej poczucia bezpieczeństwa, mogłaby się wtulić w jego ramiona, jak tamtego wieczoru w jej mieszkaniu przed czterema tygodniami. Pragnęła czuć się przy nim spokojna i bezpieczna. Teraz nawet bardziej niż kiedykolwiek zależało jej na tym uczuciu, ponieważ miała wrażenie, że całe życie coraz gwałtowniej wymyka się jej pod kontroli, a ona zupełnie sama musi na siłę składać je z powrotem z kawałków i sklejać w całość.

– Nic nie ma – odparła. – Powiedziałam przecież, że to szalenie, nic poza tym. Muszę już iść. Zrobiło się późno i jestem wykończona.

Wciąż tak samo uważnie przyglądał się, jak sięga po teczkę.

– Czy ten wniosek ma solidne podstawy?

– Nie, to desperacki krok. Nie powinien nam przysporzyć większych problemów.

– Mógłbym go zobaczyć?

– Zostawiłam w biurze – skłamała.

Była w pełni świadoma, że gdy tylko Rubio złoży w sądzie drugi wniosek, prasa natychmiast podchwyci zawarte w nim oskarżenia. Każdy pismak zrobi wszystko, by dołożyć swoje trzy grosze do sprawy gwałtu na niej, byle tylko usłyszeć własne nazwisko w telewizyjnych wiadomościach. Zapowiadało się więc, że będzie zmuszona na nowo przeżywać wydarzenia sprzed lat, dopóki opinia publiczna się nimi nie znudzi. I choć była przekonana, że nawet wtedy nie będzie formalnych podstaw do odsunięcia jej od sprawy, domyślała się, że sędzia Chaskel wyrazi niezadowolenie, że nie ujawniła tego zawczasu. I obawiała się, żeby gorliwy Tigler nie odsunął jej i nie wyznaczył na jej miejsce innego prokuratora – takiego, któremu nie da się niczego zarzucić i który nie będzie wchodził na salę sądową z takim ciężkim brzemieniem na barkach. W tym kontekście powinna wyznać wszystko Dominickowi, zanim oskarżenia zostaną wywleczone na światło dzienne, choćby tylko po to, by przećwiczyć zaprzeczenie wcześniejszej znajomości z Bantlingiem bez zalewania się łzami najdalej po dwóch sekundach. Ale dzisiaj nie miała do tego głowy. Musiała to odłożyć na kiedy indziej.

– W porządku. Odprowadzę cię.

Na szczęście zanadto nie nalegał, obawiając się chyba, że mógłby ją do siebie zniechęcić. Po chwili zmienił temat:

– Zamierzam wyciągnąć Manny’ego na wspólną kolację. Przez całe popołudnie kręciłem się po Miami Beach, a to nie należy do przyjemności.

Zamknął salę konferencyjną i poszli do wyjścia. W holu głównym ruchem ręki pożegnał oficera dyżurnego.

W milczeniu podeszli do jej dżipa. C.J. wsiadła do auta.

– Dzięki, Dominicku – powiedziała.

– Dobranoc. Zadzwoń, gdybyś mnie potrzebowała. O dowolnej porze.
Skinęła głową i uruchomiła silnik.

Odwrócił się i ruszył do swojego samochodu. Usiadł za kierownicą i w półmroku zalegającym opustoszały parking trwał tak dłuższą chwilę, wspominając kolejną gwałtowną reakcję C.J., tym razem chyba na samo brzmienie nazwiska Bantlinga. Zostawił wiadomość w poczcie głosowej pod numerem telefonu komórkowego Alvareza i po krótkim zastanowieniu wybrał numer własnej poczty, żeby sprawdzić, czy nie ma żadnych wiadomości do niego. Aż się wzdrygnął, gdy nagle usłyszał delikatne pukanie w szybę. To była C.J. Pospiesznie otworzył okno.

– Jezu, nie powinnaś się tak podkradać do nikogo, zwłaszcza do uzbrojonych agentów na pustym i ciemnym parkingu. Coś się stało?

Pochylił się i spojrzał w bok, podejrzewając, że zobaczy jej dżipa zepsutego, z podniesioną maską.

– Czy to zaproszenie na kolację sprzed kilku dni jest nadal aktualne? – zapytała z lekkim uśmiechem. – Właśnie uświadomiłam sobie, że konam z głodu.

Była już ósma wieczorem, lecz Lourdes Rubio wciąż siedziała przy wielkim dębowym biurku w swoim gabinecie, gapiła się na oprawiony dyplom wydziału prawa Uniwersytetu w Miami i nadal zachodziła w głowę, jak to się mogło stać, że dzisiejsze spotkanie zakończyło się w tak burzliwy sposób. Obok jej dyplomu na kremowej ścianie wisiały różne inne dyplomy i pisma dziękczynne, jakie przez lata prowadzenia kancelarii otrzymała z różnych instytucji państwowych i organizacji charytatywnych.

Wciąż pamiętała jeszcze tekst przysięgi, którą jako świeżo upieczona prawniczka składała przed przewodniczącym prezydium, sędzią Fifierem, oraz koszmary liliowy żakiet z wywatowanymi ramionami, jaki miała na sobie podczas tej uroczystości. Sędzia Fifler już nie żył, liliowy żakiet poszedł z dymem w spalarni śmieci, a i lata praktyki przeleciały dziwnie szybko.

Ku rozczarowaniu matki, Lourdes od początku chciała występować jak obrońca w sprawach kryminalnych. Pragnęła za wszelką cenę bronić swobód obywatelskich i ochraniać niewinnych ludzi przed wszechobecnymi oczami i uszami złego Wielkiego Brata. Kierowała się w życiu szczytnymi zasadami, które wbiła sobie do głowy podczas studiów i uznała za własną ewangelię. Dopiero później, w konfrontacji z brutalną rzeczywistością, w roli obrońcy z urzędu musiała przyznać, że była naiwna.

Bezdomni nadal nie mieli dachu nad głową i wciąż tak samo nie można było pomóc chorym psychicznie. Prawnicy myśleli tylko o ugodach, które przynosiły im krociowe zyski, a sędziowie pragnęli jak najszybciej pozbyć się uciążliwych spraw. Natomiast prokuratorzy mieli na uwadze głównie

własne kariery polityczne. Dla wielu pospolitych zjadaczy chleba wymiar sprawiedliwości przypominał tylko wirujące szybko obrotowe drzwi, które wyrzucały ich z powrotem na ulicę. Mimo to ona nadal chciała być obrońcą w sprawach kryminalnych.

Aż do dzisiaj.

Porzuciła nędzną wegetację w zbiurokratyzowanym Biurze Obrońców z Urzędu i otworzyła własną praktykę. Będąc samotną kobietą, Kubanką z pochodzenia, przez lata musiała ciężko walczyć o to, by wypracować sobie reputację w środowisku silnie zdominowanym przez mężczyzn. Dopiero po ośmiu latach ciągłych zmagani jej kancelaria zyskała renomę, ona zaś została zaliczona do najlepiej zarabiających i najbardziej szanowanych obrońców kryminalnych w południowej Florydzie, a tym samym do prawniczej śmietanki Miami. Teraz jednak spoglądała na swój dyplom bardziej z obrzydzeniem niż z dumą, a o swoim kliencie częściej myślała z pogardą niż współczuciem.

Jak mogła dopuścić do tego, że została zakładnikiem obrzydliwej maszyny wymiaru sprawiedliwości, którą przez lata otwarcie pogardzała, głosząc wszem i wobec konieczność wprowadzenia gruntownych zmian? Jak mogła pozwolić gwałcicielowi na konfrontację z jego ofiarą, zgodzić się, by wykorzystał swoją dawną zbrodnię jako środek prawny do uniknięcia kary śmierci? Dała się zwieść ułudzie, że w skostniałym systemie trzeba walczyć ostro, nie przebierając w środkach, jeśli chce się wygrać. A to oskarżenie o brak obiektywizmu prokuratora właśnie stwarzało perspektywę na szybkie zwycięstwo.

Zaczęła w zamyśleniu chować papiery do teczki, żeby pójść wreszcie do domu, przygotować jakiś obiad dla siebie i niedołącznej matki, a potem może obejrzeć film w telewizji. Szybko jednak przerwała pakowanie i ukryła twarz

w dłoniach.

Dzisiaj całkiem pomyliła adwokackie zwycięstwo z triumfem sprawiedliwości i głównie z tego powodu było jej piekielnie przykro.

Chloe Larson, drobna urocza studentka prawa z Queens, była już całkiem dorosła i bawiła się w prokuratora. Ojciec czas nie był dla niej łaskawy. Ledwie ją rozpoznał w tych mysioszarych włosach i staroświeckiej babcinej garsonce skutecznie zakrywającej zgrabne jędrne pośladki i zadarte cycuszki. Zdradziła ją twarz. Na dobrą sprawę nigdy jej nie zapomniał. Doskonale pamiętał Chloe. Właśnie ze względu na jej twarz wybrał ją przed laty na swą ofiarę. Dla niego była nie tylko piękna, ale wręcz wyjątkowa.

Wreszcie ponownie ją odnalazł. Po dwunastu latach los znowu ich zetknął ze sobą. I wyraz tej wyjątkowej twarzy, gdy jego bezużyteczna adwokatka przedstawiała nowiny, był dla niego bezcenny. Po prostu bezcenny. Najpierw szok. Potem strach. Wreszcie przerażenie. Została przyłapana. Przygwożdżona przez swego zdobywcę. Zmuszona do tego, by zwrócić ku niemu śliczne zielone oczęta i przyznać otwarcie, że nie nadaje się do tej rozgrywki. Po raz kolejny została pokonana.

Siedząc na zatechłej pryczy, cuchnącej szczynami jak gnijąca ryba, starannie czyścił zęby kawałkiem kartonowej okładki od zeszytu.

Siedź i bądź cicho! Dokładnie tak wrzeszczała na niego ta bezwartościowa papuga. Siedź i bądź cicho! Za kogo ona się uważała, do cholery? Musiał jeszcze raz gruntownie przemyśleć jej rolę w całej tej hecy. Na początku uważał, że powinna dobrze się spisać w roli obrońcy, ale teraz... W końcu ściągnęła jednak dla niego stare policyjne raporty z Nowego Jorku, dostarczając mu wspaniałej lektury do poduszki. Z przyjemnością czytał o swoich wyczynach widzianych oczyma innych ludzi, zwłaszcza tych tępych nowojorskich krawężników, którzy nie potrafili odróżnić własnego tyłka od

głowy. Naprawdę, setnie się ubawił. A poza tym bezużyteczna papuga pomogła mu napędzić strachu wyniosłej jaśnie pani prokurator, sypiąc jak z rękawa swoimi „dotychczas”, „aczkolwiek” i innymi prawniczymi słownymi wytrychami. Później jednak oznajmiła, że na razie nie może wystąpić z tym wnioskiem, że musi jeszcze zebrać jakieś materiały. Właśnie dlatego zaczął się zastanawiać, czy dalej potrafi grać twardo z Wielkimi Ważniakami podczas Wielkiej Gali.

Pozwól, że podsumuję. Przyznajesz wprost, że jesteś brutalnym gwałcicielem i nożownikiem. Jakbyś chciał powiedzieć: „Wtedy to zrobiłem, ale teraz jestem niewinny”. Dlatego oskarżasz prokurator, swoją dawną ofiarę, o brak obiektywizmu. Musisz jednak zrozumieć jedno, Bill. Wszyscy będą jeszcze bardziej tobą gardzili, jej natomiast serdecznie współczuli. To bardzo delikatna sytuacja, dlatego wolałabym unikać głośłownych oskarżeń. Ona wszystkiemu zaprzecza, więc szczerze mówiąc, twoje słowa wobec jej będą przed sędzią niewiele warte. Potrzebujemy mocnego dowodu.

W porządku, dostarczę ci dowodu, chociaż przeraża mnie myśl, że będę się musiał nim z tobą podzielić.

Takie wybuchy jak dzisiejszy na pewno w niczym ci nie pomogą. Dopasowujesz się do psychologicznego portretu seryjnego zabójcy. Musisz mi pozwolić prowadzić swoją sprawę w taki sposób, jaki uznam za najlepszy. A ty w ogóle się nie odzywaj. Siedź i bądź cicho!

Lourdes Rubio także była przestraszona. Teraz wiedziała już, z kim ma do czynienia, kto zasiada obok niej na sali sądowej i kto przekazuje jej szeptem informacje w więziennej celi. On zaś utracił pewność, że potrafi nadal tak przekonująco występować przed ławą przysięgłych jak wcześniej, kiedy jeszcze wierzyła w jego niewinność. A zaufanie to przecież podstawa sukcesu.

Bantling krążył nerwowo po swojej klatce niczym dzikie zwierzę, osamotniony, pod ścisłym nadzorem, oddzielony od innych ludzi ze względów bezpieczeństwa. Bzdura. Wreszcie wiedział, dlaczego jest tak traktowany – z powodu Chloe, czyli Żelki, będącej obecnie jaśnie panią prokurator. Doskonale zdawała sobie sprawę, kim jest naprawdę, i tylko dla własnej ochrony nakazała umieścić go pod ścisłym nadzorem. Dla zachowania własnego zdrowia psychicznego. Im więcej krat oddzielało go od niej, tym lepiej mogła sypiać po nocach. Ale on już rozszyfrował jej gierki i gotów był je pokrzyżować. Cieszył się na myśl, z jaką rozkoszą będzie obserwować jej załamanie.

Mogę jedynie wyrazić żal, że nie stosuje się już krzesła elektrycznego, gdyż znacznie większą przyjemność sprawiłaby mi możliwość przyglądania się, jak pańska wykrzywiona wściekłością twarz rozpływa się od żaru.

Och, w gębie to ona jest mocna. Ale mogła sobie na to pozwolić tylko dlatego, że był przykuty kajdankami i łańcuchami do tego pieprzonego stolika. Tylko w takiej sytuacji mogła mu powiedzieć podobne rzeczy prosto w twarz.

W rzeczywistości strasznie się go bała, była śmiertelnie przerażona. I miała ku temu powody.

Bo po wyjściu na wolność zamierzał ją zabić.

– Związałam się z Dominikiem Falconettim.

– Kiedy to się stało?

Greg Chambers znów wziął na siebie rolę jej terapeuty. Słuchał w milczeniu, siedząc w fotelu wysuniętym przed biurko. Promienie popołudniowego słońca przesączały się między drewnianymi listewkami żaluzji, zatapiając pokój w ciepłym bursztynowym blasku.

– Mam wrażenie, że od pewnego czasu wszystko ku temu zmierzało. Próbowałam to powstrzymać, zwłaszcza po aresztowaniu Bantlinga, ale sprawy... potoczyły się własnym torem.

Patrzył, jak C.J. gasi niedopałek w popielniczce, by od razu przypalić następnego papierosa. Powietrze było już gęste od dymu, szare smugi snuły się w ukośnych promieniach słońca. C.J. zaciągnęła się głęboko, po czym odgarnęła włosy z czoła i zsunęła je za uszy.

– I jak to odbierasz? Właśnie tego pragnęłaś? – zapytał łagodnym tonem, daleki od wygłaszania własnych sądów i opinii. Gdyby się do tego posunął, natychmiast by umilkła, tłumiąc w sobie wszelką chęć do zwierzeń.

– Jak to odbieram? Jestem przestraszona, podenerwowana, szczęśliwa, podniecona, ale zarazem czuję się winna. Właśnie tak. Wszystko jednocześnie. Wiem, że nie powinnam dopuścić, aby sprawy zaszły tak daleko, ale... Na Boga, dzięki temu mogę się oderwać od dręczących myśli, odizolować od wszystkiego. I to jest dobre. Kiedy jestem z nim, mogę być tylko z nim, jakbym znalazła bezpieczne schronienie. Nie potrafię tego lepiej opisać. Przy nim ten wysoki parkan, którym się otaczam, i mój wiecznie włączony radar... Mogę się wreszcie bez nich obejść. Twarz tego psychola

wreszcie znika z moich myśli, przynajmniej na kilka godzin dziennie, i mogę się przenieść w inne miejsce, gdzie nie czuję tego nieznośnego ciężaru w sercu... nigdy nie odczuwałam czegoś takiego przy innym mężczyźnie. I pewnie dlatego nie chcę z tego zrezygnować.

Podniosła się z obitego granatową skórą fotela i zaczęła chodzić nerwowo z kąta w kąt.

– Ale zarazem jestem przestraszona. Prawdę mówiąc, wręcz sparaliżowana strachem. Nie chcę go dopuścić zbyt blisko siebie. Są rzeczy, o których nie powinien się nigdy dowiedzieć.

– Mówisz o sobie? Nie chcesz, żeby się dowiedział, co naprawdę przeżyłaś, gdyż boisz się, że to mogłoby mu się nie spodobać?

– Nie. Tak. Może pod względem emocjonalnym będę kiedyś zdolna odsłonić się do końca, podzielić się własnymi uczuciami, jak zazwyczaj mawiasz. Chodzi mi o pewne fakty z mego życia, których nigdy nie będę w stanie przed nim wyjawić, bo ich nie zaakceptuje. A nie sądzę, żeby poważny związek dało się zbudować na półprawdach.

– Masz na myśli tamten napad i gwałt? To są te rzeczy, do których nie miałabyś odwagi się przed nim przyznać? A może gdybyś mu wszystko powiedziała, byłby to element cementujący wasz związek?

– Nie. Poza samym gwałtem jest jeszcze coś, lecz wolałabym o tym dzisiaj nie mówić. Nie teraz.

Uświadomiła sobie, że nie wszystkie zwierzenia są objęte tajemnicą lekarską. Wyklucza się z niej wszystkie elementy dotyczące planowanej zbrodni, które można było uznać za ukrywanie dowodów przestępstwa, wywieranie nacisku na świadków czy krzywoprzysięstwo. Takie czyny były ścigane przez prawo. Musiała więc bardzo uważać, żeby nie powiedzieć za dużo.

– Doszło między wami do zbliżenia?

To pytanie ją zakłopotало. Zapewne kiedyś bez wahania udzieliłaby odpowiedzi, ale teraz doktor Chambers był zawodowo powiązany ze wszystkimi osobami, które mogły odegrać jakąś rolę w jej sprawie. Podświadomie stanęła za fotelem, zanim odparła:

– Tak.

– I co?

– To było... – zawahała się, jakby próbowała sobie coś przypomnieć, po czym dokończyła: – ...przyjemne. Ale nie doszło do tego od razu. Najpierw poszliśmy razem na kolację tamtego wieczoru... po tym, co się wydarzyło w więzieniu okręgowym.

– To znaczy po twoim spotkaniu z Bantlingiem i jego adwokatką?

– Tak. Właśnie tamtego wieczoru. – Już wcześniej powiedziała mu o tym, że Bantling oświadczył, iż to on zgwałcił ją przed laty. Zataiła jednak, że Lourdes zarzuciła jej przy tym, iż zamierza wystąpić o jej odwołanie pod zarzutem braku obiektywizmu. – Jakoś nie chciało mi się wtedy wracać do domu. Pragnęłam jego towarzystwa. Bałam się, że oszaleję. Koszmarne wspomnienia powracały falami, miałam wrażenie, jakby wszystko wydarzyło się wczoraj. Wiem, że takie uczucia jak strach nie powinny być podstawą do zacieśniania znajomości, ale wtedy jeszcze nie spaliśmy ze sobą. Chodziło mi tylko o wspólną kolację, o jego towarzystwo. Już wcześniej coś zaczęło między nami iskrzyć i pewnie z tego powodu odczułam nagle potrzebę pozostania z nim. Zresztą, nie umiem tego dokładnie wyjaśnić.

Podeszła do okna i wyjrzała na ruchliwą arterię Coral Gables. Była godzina popołudniowego szczytu. Wiecznie zabiegani ludzie spieszyli się do swoich spraw.

– W każdym razie do tego doszło. Nie od razu. Konkretnie ubiegłej nocy.

Nie byłam z żadnym mężczyzną od czasu przelotnego romansu z tym maklerem giełdowym przed kilku laty i szczerze mówiąc, nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek będzie tak przyjemnie. Jednak było. Spędziłam bardzo miły, romantyczny wieczór. Ale nawet w zupełnych ciemnościach w sypialni panicznie się bałam, że on dostrzeże moje blizny. I co powie, gdy je wyczuje pod palcami, co sobie pomyśli...

Przypomniała sobie czuły dotyk ciepłych dłoni Dominicka, którymi wodził po jej plecach, gdy całował ją namiętnie, przesuwając językiem po jej języku, i potem, gdy ostrożnie rozpinał guziki jej bluzki, zanim przywarł nagim torsem do jej piersi. Przypomniała sobie też falę przerażającego strachu, jaki ją wtedy ogarnął, gdyż wiedziała dobrze, że musi wyczuć blizny pod palcami. Może nawet je zobaczył, gdy jego wzrok przywykł już do ciemności. Trudno było nie zauważyć tych potwornych, lekko zgrubiających linii przecinających jej piersi i brzuch.

Wcześniej, spoglądając z balkonu na jachty pływające w dole po zatoce, opróżnili dwie butelki wina – zdecydowanie za dużo. Ale przy winie świetnie im się rozmawiało. Była wreszcie całkiem odprężona i szczęśliwa, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów. Więc gdy w blasku księżyca zalewającym korony pobliskich palm Dominick wychylił się z krzesła i pocałował ją, ani trochę się nie opierała. Nawet przysunęła się bliżej. Nic dziwnego, że przenieśli się do ciemnej sypialni, gdzie jego elektryzujący dotyk pobudził wszystkie zmysły, a jednocześnie napełnił ją paralizującym strachem. Gdy oswobodził ją z bluzki, a potem ze stanika, i przytulił się do niej, nie powiedział ani słowa, ale też nie zawahał się ani na chwilę. Dalej całował ją namiętnie i tulił się do niej niczym w upojnym tańcu, jakby cały świat nagle przestał dla niego istnieć. Kiedy obudziła się rano, wciąż był przy niej i bawił się kosmykami jej włosów rozsypanych na poduszce.

– Ale nic nie powiedział – dodała. – Nie wspomniał nawet słowem. Dobrze wiedziałam, że musiał je wyczuć pod palcami, i wyjaśniłam, że zostały mi po wypadku samochodowym. Tak mi się samo wyrwało...

– I jak na to zareagował?

– Zapytał, czy jeszcze mnie boją, czy coś czuję, kiedy ich dotyka. Odpowiedziałam, że nie, ale od bardzo dawna nikt ich nie dotykał. I wtedy zaczął się ze mną kochać. Był bardzo delikatny, czuły... – Zawiesiła głos, a po chwili ciągnęła dalej: – Nie powinnam o tym mówić. To sprawy bardzo osobiste. Poza tym, znasz wszystkie osoby zaangażowane w prowadzoną przeze mnie sprawę. Ale z drugiej strony, jesteś jedynym człowiekiem, który zna całą moją historię, Greg... Przepraszam, doktorze Chambers. Przypuszczam, że się zakochałam, że coraz bardziej pochłania mnie ten związek. I chciałabym wiedzieć, czy to głupie, że widzę swoją przyszłość u jego boku.

– Tylko ty możesz sobie na to odpowiedzieć, C.J.

– Nie potrafię nawet zdobyć się na to, żeby powiedzieć mu o gwałcie. A już na pewno nie może się dowiedzieć o Kupidynie. Dlatego tak mi ciężko z utrzymaniem tajemnicy, z tyloma kłamstwami...

– A co z wnioskiem o unieważnienie aresztowania? Nie wspominałaś, że będzie w nim mowa o gwałcie na tobie? Nie boisz się, że i tak pozna prawdę, gdy ten wniosek wpłynie do sądu?

– Owszem, we wstępnym projekcie wniosku, jaki dostałam od Lourdes, jest mowa o gwałcie. Ale wygląda na to, że po naszej rozmowie postanowiła jeszcze przemyśleć to wystąpienie. Przynajmniej jeszcze się z nim wstrzymała. W tym wniosku, który tydzień po naszym spotkaniu złożyła w sądzie, w ogóle nie wspomina o gwałcie. Sędzia Chaskel rozpatrzy go w najbliższy wtorek rano, a więc już po Halloween. Oczywiście Rubio może z

zaskoczenia wezwać Bantlinga na świadka. Jeśli do tego dojdzie, prawdopodobnie Dominick dowie się o tym razem ze wszystkimi.

– Jak odbierasz tę perspektywę? Nie denerwuje cię, że nie masz żadnego wpływu na to, co się wydarzy?

– Chyba już wszystko wymknęło mi się spod kontroli. Ale nie mogę zrezygnować z tej sprawy. Za nic w świecie. A jeśli tak się zdarzy, że rozkleję się na oczach ludzi, mam nadzieję, że... no cóż, może po raz kolejny znajdę wsparcie w tobie. Bo nie mogę wykluczyć, że gdy Bantling zacznie zeznawać, rozsypię się na sali sądowej jak domek z kart.

– Jeśli chcesz, żebym wtedy był przy tobie, na pewno będę.

C.J. odetchnęła z ulgą. Mogła się przynajmniej pocieszać świadomością, że gdyby rozkleiła się publicznie, na pewno znajdzie w nim oparcie.

– Lepiej przyjdź dużo wcześniej, żeby zająć miejsce na widowni. Nie będzie o to łatwo. Słyszałam, że ekipa CBS zamierza na noc rozstawić namiot przed gmachem sądu. Zaśmiał się krótko.

– Może jednak Lourdes pójdzie po rozum do tej swojej pięknej główki – ciągnęła – i dojdzie do wniosku, że jej klient kłamał w sprawie tamtego gwałtu, a może po prostu uzna, że nie warto poruszać tej sprawy, bo nic to nie da. W każdym razie przekonamy się we wtorek.

Chambers oparł łokcie na kolanach i ułożył brodę na splecionych dłoniach.

– Cieszę się, że postanowiłaś kontynuować terapię, C.J. Naprawdę się cieszę. Chciałbym znowu spotykać się z tobą raz w tygodniu, w środowe wieczory, przynajmniej do zakończenia procesu. Obawiam się, że będzie on dla ciebie dużo bardziej stresujący, niż podejrzewasz.

Uśmiechnęła się.

– Już widać, że popadam w obłąd? Zaczynam przewracać oczyma?

Gadam od rzeczy?

– Lepiej się zabezpieczyć, żeby do tego nie doszło. Na razie nie masz nikogo innego, komu mogłabyś się zwierzyć, a to przemawia za wznowieniem cotygodniowych spotkań terapeutycznych. Co nie znaczy, oczywiście, że popadasz w obłąd, jak sama się wyraziłaś.

Nerwowo skinęła głową. Nie była pewna, czy sama zdoła rozpoznać u siebie pierwsze objawy zaczynającej się znów metamorfozy, czy też będzie zdana wyłącznie na jego ocenę sytuacji.

– Przepraszam, że na wiosnę przerwałam terapię tak nagle, bez konsultacji z tobą – mruknęła cicho. – Chciałam sprawdzić, czy już potrafię sama brnąć dalej przez życie...

– Nie musisz przepraszać, w pełni to pojmuję. Najważniejsze, że teraz sama zrozumiałaś, iż potrzebujesz pomocy, bo w trudnych chwilach nie poradysz sobie bez niej. – Chcąc odejść od drażliwego tematu i rozproszyć posępną atmosferę, zapytał swobodniejszym tonem: – A swoją drogą, jakie są postępy w sprawie?

– Wszystko powoli się prostuje. Federalni nieco pohamowali swoje zapędy. Wygląda na to, że de la Flors postanowił zaczekać i zobaczyć, jak nam pójdzie. Nie wątpię, że jeśli przegram, powiesi mnie na suchej gałęzi i jak bohater narodowy rzuci się do boju z własnym aktem oskarżenia. Niewykluczone jednak, że zrobi to samo nawet wtedy, gdy wygram. Wszystko zależy od tego, jak oceni swoją pozycję na arenie politycznej. Właśnie dostałam z Nowego Jorku wypis z karty chorobowej Bantlinga, a w każdym razie ogólną diagnozę psychiatryczną. Sędzia Chaskel ledwie rzucił na nią okiem i orzekł, że na razie nie będzie miała większego znaczenia, gdyż Bantling w ogóle nie poruszył kwestii swojej niepoczytalności. Niemniej jest to kolejny dowód przeciwko niemu, ponieważ wyszczególnia leki, jakie mu

zapisywano, a to dodatkowo pozwala go łączyć ze śmiercią Anny Prado, jak również sześciu innych dziewcząt, w których tkankach wykryto haloperidol. Jego lekarz zalecał mu brać po dwadzieścia miligramów haldolu dziennie.

– To bardzo wysoka dawka. Przez cały czas był pod opieką tego lekarza?

– Doktora Fineburga. Nie, ostatnio kontaktował się z nim raczej sporadycznie. Ale raz na trzy miesiące regularnie odbierał recepty.

– Co mówi ta diagnoza?

C.J. zgasiła papierosa, westchnęła głośno i zaczęła się zbierać do wyjścia.

– Cierpi na bardzo poważne zaburzenia osobowości z wyraźnie zaznaczonymi tendencjami do skrajnych zachowań antyspołecznych. Krótko mówiąc, to typowy socjopata. Zresztą, mogłam to samo powiedzieć i bez specjalistycznej opinii lekarskiej.

Ranek w święto Halloween był parny jak diabli. Ciepły front, który na dwa dni usadowił się nad Miami, sprawił, że temperatura skoczyła powyżej 30 stopni, a wilgotność do 95 procent. W dodatku każdego popołudnia przechodziły gwałtowne burze. Kiedy Dominick zjawił się przed gmachem Grahama, koszula pod marynarką lepiła mu się do ciała. Była za kwadrans dziesiąta. Ledwie zdążył.

Specjalnie skrócił naradę z inspektorem Blackiem oraz komendantem głównym Wydziału do Zwalczenia Przeszłości, gdyż nie mógł się opanować, by tu nie przyjść. C.J. wcale go o to nie prosiła i zapewne nie zrobiłaby tego za nic w świecie, on jednak musiał przyjść. Za dobrze znał już jej reakcję na samo brzmienie nazwiska Bantlinga, nieraz widział, jak bardzo jest spięta i przerażona, kiedy musi przebywać z nim z jednym pomieszczeniu. Łzy napływały jej do oczu, całym ciałem wstrząsały niepoahamowane dreszcze. W ciągu kilku ostatnich dni, kiedy przygotowywała się do dzisiejszej debaty przed sądem na temat wniosku o unieważnienie aresztowania, chodziła zdenerwowana, pogrążona w myślach, zamknięta w sobie. W ogóle nie chciała z nim rozmawiać, zasłaniając się coraz silniejszym stresem przed zbliżającą się bardzo ważną rozprawą, w której przegrana zaciążyłaby na jej karierze, i to bardzo poważnie. Nadal nie wiedział, co ją tak przeraża, ale był przekonany, że to nie stres napęła jej oczy śmiertelnym strachem. Dlatego musiał tu przyjść, nawet wbrew niej samej, żeby odprowadzić ją na salę sądową, pomóc się przecisnąć przez tłum wścibskich, nachalnych, czasami bardzo nieprzyjemnych dziennikarzy oraz zwykłych gapiów, wśród których byli i tacy, co w skrytości ducha życzyli jej

jak najgorzej; żeby chociaż posiedzieć przy niej, swoją obecnością dodać jej sił do walki z tym niewidocznym, nienazwanym, trapiącym ją demonem.

Kiedy wreszcie przeszklone drzwi się otworzyły i C.J. wyszła na ulicę, nawet poprzez ciemne okulary dostrzegł w jej oczach wyraz zaskoczenia. Miała na sobie elegancką prostą czarną garsonkę, a ciemno-blond włosy zebrała z tyłu głowy w luźny kok. Niosła na ramieniu wyładowaną teczkę i pchała przed sobą wózek z trzema kartonowymi pudłami pełnymi akt.

– Pomyślałem, że przydałaby ci się pomoc w taszczeniu tych papierzyśk do sądu – rzekł swobodnym tonem.

– Sądziłam, że masz ważne spotkanie z Blackiem.

– Miałem, ale to zadanie uznałem za ważniejsze.

Ich związek, który zacieśnił się dosyć niespodziewanie, był jeszcze bardzo świeży. I mimo że spędzili razem ostatnią noc, Dominick czuł się trochę niezręcznie u boku C.J. Nie był pewien, w co ten związek się rozwinie, nie był nawet pewien, czego po nim oczekiwać, nie miał natomiast żadnych wątpliwości, że ona wyraźnie się niepokoi jego zaangażowaniem. Nie chciała, żeby pokazywali się razem. Dlatego w milczeniu szedł obok niej w stosownej odległości przez ulicę do gmachu sądu, pchając ciężki wózek wypakowany wielkimi kartonami pełnymi akt.

Victor Chavez był zdenerwowany. Pocił się jak mysz kościelna, zdeprimowany natłokiem dziennikarzy kręcących się jak wygłodniałe sępy, wypatrujących każdego ochłapu, jaki da się oderwać od padliny i zanieść do gniazda, żeby tam zachłannie pożreć. Wszyscy z utęsknieniem czekali na pierwszą osobę, której w tej sprawie powinie się noga, żeby natychmiast poinformować o tym opinię publiczną. Dlatego wiercił się na ławce przed salą 2-8 w oczekiwaniu, aż woźny wywoła jego nazwisko. Miał wrażenie, że wszyscy go obserwują. Zresztą nie tylko jego, ale także sierżanta, porucznika i pozostałych chłopców z jego komendy.

Nie po raz pierwszy miał zeznawać przed sądem. Już trzeci raz udało mu się aresztować przestępcę i później relacjonować to sędziemu. Wydawało mu się, że dotąd całkiem nieźle radził sobie w krzyżowym ogniu pytań. Ale, rzecz jasna, tamtych wcześniejszych przypadków nie można było porównywać ze sprawą Kupidyna. No i wcześniej nie dał aż takiej plamy podczas zatrzymania. Dlatego teraz obrona wzywała go na świadka, chcąc przeforsować ten idiotyczny wniosek o unieważnienie aresztowania. Unieważnienie tego, czego dokonał. Jego sukcesu. Facet jeździł po mieście z trupem dziewczyny w bagażniku, a on zatrzymał go bezprawnie? O co tu naprawdę chodziło, do cholery?

Sierżant Ribero od tamtego czasu w zasadzie nie spuszczał go z oka. Co więcej, musiał zameldować komendantowi, że zatrzymanie było oparte na anonimowym zgłoszeniu, i tamten widocznie kazał mu niańczyć złotodzioba, co Chaveza strasznie wkurzało. Zdawał sobie jednak sprawę, że będzie znacznie gorzej, jeśli i teraz spieprzy sprawę w sądzie, bo tylko od jego

zeznań zależało przyjęcie tego cholernego wniosku. A na dodatek wszystko miało się odbyć przed telewizyjnymi kamerami. Groziło mu nie tylko to, że wyleci z roboty, mógł nawet zostać oskarżony o popełnienie przestępstwa. A ten walnięty zboczeniec wyszedłby na wolność. Dlatego musiał się trzymać ustalonej wersji co do jednego słowa.

Nie była to łatwa rola. Musiał pamiętać każdy zasrany szczegół, dokładnie tak, jak sformułowała to pani prokurator, a nawet dokładnie w tej samej kolejności. Gdy się opowiada jakąś historię, mawiała jego matka, często trudno zapamiętać wszystkie drobne elementy tej historii. Zwłaszcza że już wiele razy musiał relacjonować ze szczegółami, co się wydarzyło tamtego wieczoru, kiedy zatrzymał Kupidyna na autostradzie. Za to mało kogo interesowało, co się stało w śródmieściu. Był zasypywany pytaniami niemal przez każdego i w każdej sytuacji – przez sąsiadów z bloku, w którym mieszkał, kolegów ze szkoły średniej, nieznanomych na ulicy, dziewczęta z plaży, dziewczęta nad basenem, dziewczęta w barze, dziewczęta na ulicy. Stał się niemal bohaterem, był „Gliniarzem, który złapał Kupidyna”. I chociaż sierżant powtarzał mu na okrągło, żeby się zamknął do czasu złożenia zeznań przed sądem, to przecież nie sierżanta ciągle zaczepiały dziewczyny, pragnące usłyszeć tę opowieść z pierwszej ręki. Jak to możliwe, żeby właśnie on, Victor Chavez, wciąż jeszcze odbywający staż w policji, na dobrą sprawę w pojedynkę, kierując się tylko intuicją, zatrzymał najszynniejszego obecnie seryjnego mordercę w Stanach Zjednoczonych?

Teraz jednak nadeszła jego czarna godzina. Musiał zrobić wszystko, aby nie pokręcić żadnych szczegółów. Ani jednego. Dlatego raz za razem odtwarzał je w pamięci, jakby wciąż puszczał od nowa zgraną taśmę.

Ubrany w galowy mundur policyjny siedział na ławce, zacierając spocone dłonie, i czekał na wezwanie, kiedy nagle otworzyły się ciężkie mahoniowe

drzwi, woźny wyszedł na korytarz i tubalnym głosem wywołał jego nazwisko.

Bantling siedział już w swoim jaskrawoczerwonym kombinezonie przy stole obrony obok Lourdes, kiedy C.J. weszła na salę rozpraw. Od razu poczuła na sobie jego wzrok, gdy szła głównym przejściem między rzędami widowni w kierunku stanowiska oskarżenia przed stołem prezydyjnym, ale i później, gdy z pomocą Dominicka wypakowywała akta z pudeł. Nawet nie patrząc w tamtą stronę, domyślała się szerokiego uśmiechu na jego ustach. Wyczuwała go szóstym zmysłem.

Skup się. To taka sama sprawa, jak wszystkie inne.

Dominick zajął miejsce tuż za nią, w pierwszym rzędzie, obok Manny'ego Alvareza i Jimmy'ego Fultona. Dla Chrisa Mastersona i Eddie Bowmana, którzy przyszli nieco później, zabrakło już miejsca przy barierce i musieli usiąść w głębi sali, obok Grega Chambersa. Po drugiej stronie sali, jak gdyby skamieniali w czarnych garniturach, z ciemnymi okularami wetkniętymi do butonierek, siedzieli w pierwszym rzędzie obaj „Blues Brothers”, to znaczy Carmedy i Stevens, tym razem w asyście swojego dyrygenta, Grackera. Nigdzie nie dostrzegła de la Florsa, była jednak pewna, że i on tu jest, a co najmniej przysłał w zastępstwie obu swoich podwładnych, wiceprokuratorów federalnych, zapewne uzbrojonych w kopie aktu oskarżenia przygotowanego zawczasu na wypadek jej porażki. Jak zwykle zjawiły się też wszystkie ekipy telewizyjne z kamerami wycelowanymi na środek sali. W dalszych rzędach tłoczyli się reporterzy wszelkich liczących się gazet z całego kraju. Na sali panował spory ścisk.

Tylko Lourdes nawet na nią nie spojrzała. Siedziała pochylona, ze wzrokiem utkwionym w papierach. C.J. wciąż nie była pewna, czego się

dzisiaj spodziewać, dlatego serce podchodziło jej do gardła. Wreszcie otworzyły się drzwi prowadzące do gabinetu sędziego i woźny głośno zawołał:

– Sąd rozpoczyna obrady. Przewodniczy sędzia Leopold Chaskel Trzeci. Proszę usiąść i zachować spokój. Zabrania się korzystania z telefonów komórkowych.

Sędzia Chaskel zajął swoje miejsce i od razu przystąpił do rzeczy, nie tracąc czasu na żadne powitania czy oświadczenia skierowane do żadnego sensacji tłumu, jakby dla niego w ogóle nie istniał. Przez dziesięć lat pracy sędziowskiej, a wcześniej dwadzieścia na stanowisku prokuratora, doświadczył już wszystkiego i widok własnego nazwiska w gazetach nie budził w nim żadnych emocji. Traktował to jak uciążliwy, irytujący element obowiązków. Popatrzył na Lourdes i zaczął stanowczym tonem:

– A zatem, panno Rubio, zebraliśmy się tu dzisiaj, by zapoznać się z pani wnioskiem formalnym o unieważnienie zatrzymania oraz późniejszego przeszukania bagażnika auta w sprawie stan Floryda przeciwko Williamowi Bantlingowi. Zapoznałem się z tym pismem i teraz oddaję pani głos, by przekonała nas pani o słuszności swoich argumentów. Proszę wezwać pierwszego świadka.

To obrona wystąpiła z wnioskiem formalnym, więc i do obrony należało udowodnienie stawianych zarzutów, czyli wykazanie, że aresztowanie było bezprawne. Oskarżenie nie musiało niczego udowadniać. A jedynym sposobem przekonania o swoich racjach było przesłuchanie świadków, mających oczywiście potwierdzić bezpodstawność działań policji. Oczywiście, w pierwszej kolejności Lourdes musiała powołać na świadka tegoż policjanta z Miami Beach, który dokonał aresztowania, czyli Victora Chaveza.

Chłopak wkroczył na salę, przeszedł przez widownię i sztywno skinął głową sędziemu Chaskelowi, nim zasiadł na miejscu dla świadków obok stołu prezydialnego. Poprawił krawat, wygładził mundur i odchrząknął, wodząc spojrzeniem po sali, na której nastąpiło lekkie poruszenie.

Lourdes jeszcze przez chwilę przekładała dokumenty i porządkowała notatki, wreszcie wyszła zza stołu i zbliżyła się do świadka. Dokładnie wtedy Chavez poczuł w żołądku lodowate ukłucie strachu. W gardle nagle mu zaschło, a w głowie zaświtała tylko ta jedna myśl, że już jest po nim.

Kilka tygodni wcześniej wybrał się z bratem do SoBe, a konkretnie do baru Clevelander, tego samego, z którego zniknęła Morgan Weber, odnaleziona ostatnio ofiara Kupidyna. Jak zwykle, gdy tylko rozeszła się wieść, że przyjechał „Gliniarz, który złapał Kupidyna”, natychmiast otoczyły go dziewczęta pragnące się dowiedzieć, jak tego dokonał, czy nadal pełni służbę i gdzie, czy chciałby im pokazać swój wóz patrolowy. To było coś niesamowitego. Zazwyczaj przy takich okazjach również jego brat mógł którąś z nich poderwać. Tamtego wieczoru nie było inaczej.

Zaledwie usiedli przy stoliku, natychmiast pojawiła się ta ruda cizia w obcisłej różowej bluzeczce ze swoją czarnowłosą przyjaciółką, zajęła miejsce naprzeciwko niego i spytała szybko, czy to prawda, że to on złapał Kupidyna. Wcześniej wypili po kilka głębszych, zanim dotarli do Clevelandera, a i tutaj się nie oszczędzali, toteż atmosfera błyskawicznie się rozluźniła. Tylko jego brat trochę przesadził, bo jeśli dobrze pamiętał, ledwie mógł się utrzymać na nogach. Tymczasem ta ruda stała się strasznie napalona, słuchała go z taką uwagą, jakby głosił największe życiowe mądrości.

Szybko zyskał przeświadczenie, że stanie się jego kolejnym łatwym łupem.

I oto teraz siedział na niewygodnym drewnianym krześle, oczy wszystkich na zatłoczonej sali oraz obiektywy kamer były skierowane na niego, i miał niemal całkowitą pewność, że przepadł z kretesem. Czuł, jak krople potu spływają mu po skroniach, ściekają strumykami po plecach. Nerwowo oblizał wyschnięte wargi.

Ledwie ujrzał obrończynię Bantlinga, która stała teraz przed nim, ubrana w szarą garsonkę klasycznego kroju, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, od razu rozpoznał w niej czarnowłosą przyjaciółkę rudej cizi z Clevelandera.

Słyszała wszystko, co wtedy opowiadał.

. 61 .

Co on wtedy mówił? O czym gadał? Setki tych samych wyświechtanych słów przelewały się przez jego myśli bez ładu i składu. Mógł z nich ułożyć dziesiątki relacji, tylko która była właściwa? Którą ona wcześniej słyszała? Zdecydowanie za dużo wypił tamtego wieczoru, kiedy wrócili do domu, ledwie mógł sobie przypomnieć, jak się nazywa.

– Proszę dla formalności podać swoje nazwisko – zaczęła.

– Victor Chavez, funkcjonariusz z komendy miejskiej policji w Miami Beach – huknął.

Tylko spokojnie. Spokojnie. Bez paniki.

– Od jak dawna służy pan w komendzie miejskiej policji w Miami Beach?

– Och... od stycznia... stycznia dwutysięcznego roku.

– Przejdźmy teraz do rzeczy. Dziewiętnastego września dwutysięcznego roku, czyli tego dnia, kiedy został aresztowany mój klient, William Bantling, pełnił pan służbę na drugiej zmianie, od piętnastej do dwudziestej trzeciej. Zgadza się?

– Tak. Rzeczywiście pełniłem.

– Ściślej mówiąc, to pan zatrzymał mojego klienta jadącego swoim samochodem, prawda?

– Tak.

– Jakie wydarzenia skłoniły pana do zatrzymania pojazdu Williama Bantlinga?

Chavez bezradnie rozejrzał się na boki, jakby miał nadzieję, że z kątów sali nadciągną jacyś niewidzialni pomocnicy, którzy mu szepną do ucha właściwą odpowiedź.

– Innymi słowy, proszę opowiedzieć, co się stało tamtego wieczoru.

Spojrzał na swój raport, który trzymał na kolanach, lecz Lourdes szybko dodała:

– Proszę opowiedzieć to własnymi słowami, z pamięci, jeśli łaska.

C.J. podniosła się z krzesła.

– Sprzeciw. Świadek ma prawo do posiłkowania się dokumentami mogącymi mu pomóc w odświeżeniu pamięci.

Sędzia Chaskel pochylił się w bok i obrzucił Chaveza podejrzliwym spojrzeniem.

– Jak dotąd świadek nie zgłosił sądowi, że potrzebuje odświeżenia pamięci, panno Townsend. Poza tym, jak przypuszczam, był to najbardziej spektakularny wieczór w pańskiej krótkiej policyjnej karierze i powinien pan doskonale pamiętać każdą chwilę. Może jednak poradzi pan sobie bez raportu. Zobaczymy, jak panu pójdzie.

C.J. westchnęła głośno, celowo unikając kontaktu wzrokowego z wyraźnie podenerwowanym policjantem.

– No więc... byłem na patrolu, na Waszyngtona... gdy zobaczyłem tego jaguara... czarnego jaguara o numerze rejestracyjnym TTR-L pięćdziesiąt siedem, jadącego szybko w kierunku południowym, w stronę autostrady. To znaczy mostu Mac Arthura. No więc ruszyłem za nim. Przez jakiś czas jechałem za nim autostradą, obserwując go. I wtedy nagle wykonał niebezpieczny manewr, zmienił pas... bez sygnalizacji... i zauważyłem też, że jedno tylne światło się nie świeci. Dlatego go zatrzymałem. Podeszedłem do samochodu... na wprost gmachu redakcji „Miami Herald”, i poprosiłem kierowcę o okazanie prawa jazdy i dowodu rejestracyjnego, które mi podał. Wyglądał na zdenerwowanego... no, wie pan, był spocony, roztrzęsiony. Wracając z jego dokumentami do wozu patrolowego, przystanąłem z tyłu

wozu, żeby obejrzeć to stłuczone tylne światło. I wtedy zauważyłem coś, co wyglądało jak krew. Ciemne plamy na zderzaku. A potem, kiedy oddawałem kierowcy prawo jazdy, wydało mi się, że poczułem dolatujący ze środka auta smród marihuany. Dlatego napisałem go... to znaczy pana Bantlinga, czy mógłbym zajrzeć do bagażnika, a on odparł, że bym spadał. No więc wezwałem przez radio psa tropiącego z jednostki K-dziewięć i wsparcie. Niedługo zjawił się Beauchamp ze swoim psem, Butchem, i Butch przy bagażniku auta dostał szału... Przepraszam, chciałem powiedzieć, że okazał podniecenie. Dlatego razem wyłamaliśmy zamek bagażnika i zobaczyliśmy zwłoki zabitej dziewczyny.

– Pełnił pan służbę sam, czy z kimś jeszcze?

– Tamtego wieczoru patrolowałem sam.

– Z jaką prędkością jechał pan Bantling, kiedy po raz pierwszy zobaczył pan jego samochód?

– No... około sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę w terenie, gdzie obowiązuje ograniczenie do czterdziestu kilometrów na godzinę.

– Zmierzył pan prędkość samochodu, posługując się urządzeniem radarowym?

– Nie.

– Rozumiem. Zatem ruszył pan za nim i jadąc w stałej odległości, odczytał na swoim prędkościomierzu szybkość sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę?

– Nie. – Chavez nerwowo poruszył się na krześle.

– Gdzie pan dokładnie był w chwili, kiedy zauważył pan to poważne wykroczenie, tego „Mistrza kierownicy”, drugiego „Bandziora”, pędzącego czarnym jaguarem ulicą Waszyngtona o dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę powyżej dopuszczalnej prędkości?

– Na ulicy Szóstej. Przy skrzyżowaniu z Waszyngtona.

– W jakim kierunku stał pański wóz?

– W kierunku wschodnim. Stałem wtedy przed samochodem.

– Nie siedział pan w wozie? Więc jeśli dobrze wszystko zrozumiałam, panie policjancie, nie skorzystał pan z radarowego prędkościomierza, nie pojechał od razu za moim klientem, nie siedział pan nawet za kierownicą swojego wozu patrolowego, tylko stał pan na chodniku przy skrzyżowaniu, kiedy zauważył, że przejeżdżający samochód porusza się nieco szybciej, niż dopuszcza ograniczenie prędkości?

– Tak.

– I wyłącznie na oko, zaledwie dziewięć miesięcy po ukończeniu akademii policyjnej, był pan w stanie oszacować, że czarny samochód jedzie o dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę za szybko?

– Tak, oczywiście. Gwałtownie zmieniał pasy, lawirując między innymi pojazdami. Jechał w sposób zagrażający bezpieczeństwu ruchu drogowego.

Dokładnie tak, jak pisano w podręcznikach.

– A co pan robił w tym czasie poza swoim wozem patrolowym?

– Próbowałem pogodzić dwóch nastolatków, którzy ostro się kłócili.

– I zostawił ich pan w sytuacji, która groziła bijatyką, wskoczył do swojego auta stojącego przodem w kierunku przeciwnym, niż pojechał jaguar, i co było dalej?

– Pojechałem za pani klientem do wjazdu na autostradę.

– Jak zdołał pan wyjechać na Waszyngtona i ruszyć za moim klientem do wjazdu na autostradę?

– Ruszyłem Szóstą do ulicy Collinsa, potem do Piątej i z niej skręciłem na Waszyngtona w kierunku autostrady.

– Zatem najpierw musiał się pan oddalić ulicą Szóstą, tracąc z oczu

mojego klienta w pędzącym samochodzie, jak się domyślam?

Chavez pokiwał głową.

– Proszę mówić do mikrofonu, ponieważ protokolantka nie jest w stanie usłyszeć pańskiego kiwania głową, panie Chavez.

– Tak, zgadza się. Straciłem go z oczu. Ale szybko dogoniłem, zaraz po wjeździe na autostradę. Rozpoznałem tego samego czarnego jaguara o numerze rejestracyjnym TTR-L pięćdziesiąt siedem.

Chłopak nie tylko był coraz bardziej zdenerwowany kolejnymi pytaniami, ale w dodatku z rosnącą pogardą spoglądał na Lourdes Rubio. Odpowiadał spiętym głosem, urywanymi, krótkimi zdaniami.

– Czy wtedy nadal jechał za szybko?

– No... tak. Tak, oczywiście. Pędził jakieś sto, może nawet sto pięć kilometrów na godzinę w obszarze, gdzie dopuszcza się dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę, jeśli dobrze pamiętam.

– I mimo to nie zatrzymał go pan od razu, prawda?

– Nie.

– Jaki odcinek pokonał pan w przybliżeniu, zanim doszedł do wniosku, że śledzony samochód stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa mieszkańców Miami i należy go zatrzymać?

– Około trzech kilometrów. Zatrzymałem go na wysokości budynku redakcji „Miami Herald”, tuż przed granicą mojego rejonu patrolowego.

– Rozumiem. Czy kierowca od razu zjechał na bok?

– Tak.

– Nie próbował uciekać?

– Nie.

– I twierdzi pan, że był roztrzęsiony, spocony i zdenerwowany, kiedy podszedł pan do niego?

– Tak.

– Mniej więcej tak, jak pan teraz, panie Chavez? Na widowni rozległy się chichoty.

– Sprzeciw. – C.J. znów wstała z krzesła.

– Proszę się trzymać konkretów, panno Rubio – rzekł sędzia Chaskel. – Słuchamy dalej.

– A potem przystanął pan z tyłu wozu, żeby przyjrzeć się stłuczonemu światłu, które zauważył pan nagle po trzech kilometrach pościgu?

– Tak. Zwróciłem uwagę na stłuczoną osłonę świateł, jak tylko dogoniłem jaguara na autostradzie.

– I wtedy właśnie dostrzegł pan krew na zderzaku?

– W każdym razie plamy wyglądające jak krew, z jakiejś ciemnej substancji. Dopiero później się okazało, że to krew. Tej zabitej dziewczyny.

– Która była wtedy godzina?

– Mniej więcej dwadzieścia pięć po ósmej wieczorem.

– Czy miał pan przy sobie latarkę?

– Nie, przy sobie nie miałem. Została w samochodzie.

– I o godzinie dwudziestej dwadzieścia pięć, a więc po ciemku, na ruchliwej autostradzie, dostrzegł pan plamy jakiejś ciemnej substancji na zderzaku, które od razu nasunęły panu podejrzenia, że to może być krew?

– Tak. W tym miejscu było wystarczająco jasno, świeciły latarnie i padał blask z okien pobliskich budynków. Dobrze je było widać. Ciemne i lepkie. Wyglądały dokładnie jak krew.

– Następnie podszedł pan do kierowcy, żeby mu oddać dokumenty?

– Tak.

– Czy wyciągnął pan broń?

– Nie.

– Przecież dostrzegł pan plamy krwi, a wcześniej zwrócił uwagę, że mój klient jest zdenerwowany i roztrzęsiony. Musiał pan coś podejrzewać i mimo wszystko nie wyciągnął broni?

– Nie, wtedy jeszcze nie. Zrobiłem to dopiero, gdy zobaczyliśmy w bagażniku zwłoki zamordowanej dziewczyny.

– Już wystarczająco często przypominał pan sądowi, że w bagażniku auta znajdowały się zwłoki, panie Chavez. Wspominał pan o tym kilkakrotnie, chociaż ani razu o to nie pytałam.

Chłopak gorliwie podjął nieco łagodniejszym tonem:

– Kiedy po raz drugi podszedłem do pana Bantlinga, poczułem woń marihuany dolatującą z wnętrza jego auta.

– Później tego samego wieczoru samochód został dokładnie przeszukany, prawda?

– Tak.

– I nie znaleziono w nim ani śladu marihuany. Zgadza się?

– Najwyraźniej kierowca ją palił, proszę pani. O ile zdążyłem się zorientować, połknął niedopałek, zanim wróciłem, żeby mu oddać dokumenty.

Zaczynał fantazjować. W ogniu podchwytliwych pytań wychodził na kompletnego kretyna.

Lourdes Rubio przez parę sekund spoglądała na niego z ukosa, po czym odwróciła się i popatrzyła na C.J., nim zadała kolejne pytanie:

– Czego właściwie się pan spodziewał w bagażniku auta, panie Chavez?

– Narkotyków, broni... Trudno powiedzieć. W każdym razie Butch musiał coś wyczuć, bo o mało nie rozszarpał pazurami zderzaka.

– Na pewno nie spodziewał się pan tam znaleźć niczego konkretnego? Na przykład narkotyków?

C.J. poczuła, że ręce zaczynają jej się delikatnie trząść.

– Nie. Zatrzymałem go za nadmierną prędkość, typowe wykroczenie drogowe. Jak się dopiero później okazało, dodatkowe spostrzeżenia utwierdziły mnie w przekonaniu, że przewozi w bagażniku coś nielegalnego. Zachowanie psa tropiącego potwierdziło te podejrzenia.

– Przysięgał pan mówić tylko prawdę, panie Chavez. Czyż nie było tak, że już od chwili, gdy ujrzał pan jaguara na ulicy Waszyngtona, sądził pan, że w bagażniku znajdują się narkotyki?

– Sprzeciw – wtrąciła C.J. – To pytanie już padło i świadek odpowiedział.

– Oddalam. Świadek może odpowiedzieć – zawyrokował sędzia Chaskel.

Chavez pamiętał, co opowiadał rudej cizi w barze, ale teraz nie mógł się już wycofać. Został przyparty do muru. Cała jego kariera w policji zależała od tej jednej odpowiedzi.

– Nie. Zatrzymałem go za nadmierną prędkość.

– Cóż takiego sprawiło, że nagle przestał pan godzić skłóconych nastolatków, wskoczył do wozu i ruszył w pościg za kierowcą jadącym za szybko? Czyżby instynkt podpowiedział panu, że w bagażniku jaguara może być coś ciekawego? A może ktoś inny panu powiedział, co może się tam znajdować?

Ona wiedziała o anonimowym zgłoszeniu! C.J. poderwała się z miejsca.

– Sprzeciw. Świadek już odpowiedział na to pytanie!

– Oddalam. Proszę kontynuować, panno Rubio.

– Jechał za szybko. To wszystko. Nie było innego powodu. – Chavez twardo obstawał przy swoim, nie zamierzał się poddać bez walki. Obawiał się jednak, że ona ma jakieś dowody przeciwko niemu. – Tak się złożyło, proszę pani, że gdy zajrzałem do bagażnika pani klienta, znalazłem zwłoki zamordowanej dziewczyny.

– Pieprzony kłamca – odezwał się niespodziewanie Bantling pewnym, stanowczym głosem.

Lourdes Rubio błyskawicznie odwróciła się w jego stronę.

– Nie ma pan prawa się wtrącać w przesłuchanie świadka, panie Bantling – odparł surowo sędzia Chaskel. – Poza tym takie słownictwo nie będzie tolerowane na tej sali.

Słyszał o wybuchu Bantlinga podczas wstępnego przesłuchania i był nastawiony, żeby nie dopuścić do czegoś podobnego podczas swojej rozprawy.

Bantling podniósł się z miejsca, podzwaniając łańcuchami, którymi miał skute nogi.

– Bardzo przepraszam, panie sędzio, ale to kłamstwa. Stek wierutnych bzdur. Wystarczy tylko na niego popatrzeć.

– Dość tego, panie Bantling. Proszę siadać.

– Chciałbym coś powiedzieć, Wysoki Sądzie. – Bantling popatrzył na C.J. i uśmiechnął się chytrze. – Jest jeszcze jedna ważna sprawa, o której sąd musi wiedzieć.

C.J. zakreśliło się w głowie, kurczowo zacisnęła palce na trzymanym długopisie. Pospiesznie przeniosła wzrok z Bantlinga na sędziego, podejrzewając, że w końcu nadeszła ta chwila, gdy nie zdoła dłużej nad sobą zapanować.

Co poczujesz, gdy wobec tylu świadków padną oskarżenia pod twoim adresem?

Wstrzymała oddech, oczekując kolejnych słów Bantlinga.

– Wszystko, czego sąd będzie się chciał dowiedzieć, powie pańska reprezentantka. Proszę siadać albo każę usunąć pana z sali. Czy ma pani jeszcze jakieś pytania do świadka, panno Rubio?

Lourdes przyglądała się z posępną miną, jak dwóch rosnących strażników więziennych sadza jej klienta z powrotem na krzesło. Nie uszło jej uwagi, że gdy patrzył na prokuratora, jego przystojne rysy wykrzywił grymas bezgranicznej pogardy i nienawiści. Najwyraźniej czerpał olbrzymią satysfakcję z tej podstępnej gry, zabawy w kotka i myszkę, jaką próbował z nią toczyć. Na twarzy miał niemal wypisane: „Ja wiem coś” o czym nie wie nikt więcej na tej sali”. Ona jednak nie mogła dopuścić, żeby ciągnął tę zabawę. Na pewno nie dziś. Nie w jej obecności.

– Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie – odparła szybko, wracając na swoje miejsce.

Po zakończeniu posiedzenia C.J. jeszcze przez dłuższy czas siedziała przy stole oskarżenia, czekając, aż sala opustoszeje. Pochwyciła przelotne spojrzenie Lourdes pakującej dokumenty do teczki przy sąsiednim stole, nie czuła jednak, by nawet w takiej chwili cokolwiek je łączyło. Rubio pospiesznie wyszła z sali, gdy tylko strażnicy powlekli jej najwyraźniej nieszczęśliwego klienta z powrotem do pilnie strzeżonej więziennej celi.

Ten nadęty bufon, Chavez, zachował się jak idiota. Kłamał w żywe oczy. Lourdes mogła go jeszcze bardziej ośmieszyć. Ale niespodziewanie się wycofała. Dlaczego? Na pewno wiedziała o anonimowym zgłoszeniu. Skąd? I wiedziała też o gwałcie. Mimo to przed sądem nawet jednym słowem nie nawiązała do oskarżeń Bantlinga, chociaż ten wyraźnie otworzył jej furtkę, zachęcając, by poszła w tamtym kierunku. Obrąła jakąś zagadkową taktykę, czy może kryło się za tym coś innego?

C.J. ogarnęło nieznośnie dokuczliwe poczucie winy. Przed sprawą Kupidyna nawet dosyć lubiła Rubio. W ciągu dziesięciu lat spotykały się dwukrotnie w sprawach o zabójstwo i za każdym razem Lourdes grała od początku do końca fair. Nie była pozbawiona skrupułów i nie próbowała odwoływać się do litości sędziów, jak czynili to niekiedy inni obrońcy. Teraz jednak wyraźnie się skompromitowała. I to właśnie nie dawało jej spokoju. Od czasu tamtego burzliwego spotkania w więzieniu okręgowym zaczęła się obawiać, że Rubio nie tylko chce wykorzystać tę wyjątkową okazję, żeby ją odsunąć od sprawy, ale w dodatku planuje ujawnić piorunującą wiadomość w jakiejś szczególnej, starannie dobranej chwili, na przykład już po zaprzysiężeniu składu przysięgłych, gdy zacznie obowiązywać reguła

niemożności powtórnego sądzenia za to samo przestępstwo. Gdyby wystąpiła z oskarżeniami już po oficjalnym rozpoczęciu rozprawy, a sędzia znalazł powody, by orzec prokuratorskie odstępstwo od norm postępowania, proces musiałby zostać unieważniony i Bantlinga nie można by oskarżyć po raz drugi. Nigdy. Wyszedłby na wolność. Dlatego C.J. wracała myślami do tamtego dnia w więzieniu, kiedy zadowolony i uśmiechnięty Bill Bantling siedział u boku swej niegdyś bardzo rzetelnej obrończyni, która mierzyła ze śmiercionośnej broni wprost w jego ofiarę. Przecież Lourdes musiała już wcześniej wiedzieć, że jej klient jest szaleńcem. Wiele opowiedział jej o sobie, a potwierdzenie jego słów z pewnością znalazła w policyjnych raportach. Mimo to zgodziła się pełnić rolę wykonawcy jego woli, przystała na zorganizowanie spotkania w zamkniętej więziennej celi, gdzie ofiara musiała stanąć oko w oko ze swoim oprawcą. Chyba tylko dla efektu. Żeby przeforsować swój wniosek formalny. Na tę myśl C.J. błyskawicznie uwolniła się od poczucia winy.

Kiedy wyprowadzono Bantlinga, a uwaga tłumu dziennikarzy skupiła się w korytarzu na funkcjonariuszach specjalnej grupy dochodzeniowej i agentach FBI, poczuła, że znowu może swobodnie oddychać, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas. Nie wiedziała nawet, ile czasu upłynęło od zamknięcia posiedzenia, gdy w pustej już sali Dominick usiadł obok niej przy stole.

– Dobra robota – powiedział cicho.

– Właściwie nic nie zrobiłam – odparła.

– Wygrałeś, wniosek został oddalony, a to już coś. W dodatku ten nadęty palant z Miami Beach ani trochę ci nie pomógł. Ktoś powinien nad nim popracować, zanim stanie przed ławą przysięgłych.

– Trudno się z nim rozmawia. Próbowалам i ja, i jego sierżant.

– Może warto by go przekazać pod opiekę Manny’ego. Jest dobry w takich sprawach. – Urwał na chwilę, próbując zajrzeć jej w oczy, ale z uporem wpatrywała się w papiery leżące na stole. – Wiem, że się niepokoisz, ale ta sprawa jest raczej pewna, nawet jeśli Chavez bardzo się postara ją sknocić.

– Mam nadzieję.

– A i Bantling zdaje się nieźle ci pomagać. Wygląda na to, że Chaskel jest gotów dać mu szansę śledzenia własnego procesu w sąsiednim budynku za pośrednictwem telewizji przemysłowej, jeśli dalej będzie się tak zachowywał.

C.J. nie odpowiedziała.

– Podobało mi się twoje końcowe wystąpienie.

– Dzięki. Strasznie jestem zmęczona.

– Wcale się nie dziwię. Ale do końca dnia powinnaś mieć już spokój. Swoją drogą, wszystkiego najlepszego z okazji Halloween. Mogę ci pomóc w przewożeniu z powrotem akt przez ulicę?

– Wszyscy już sobie poszli?

– Tak, prawie wszyscy. Chyba tylko Manny i reszta chłopców zostali przed salą w towarzystwie twojej sekretarki.

– Marisol tu jest?

– Zdaje się, że przyszła ci pogratulować.

– Bardzo wątpię.

– Siedziała na widowni przez całe posiedzenie, a teraz w korytarzu rozmawia z Mannym. Ma na sobie interesujące wdzianko.

– Jak zwykle. No, dobra. Chętnie skorzystam z twojej pomocy.

Dominick szybko powkładał akta do kartonowych pudeł i ustawił je na wózku w wysoką kolumnę. W lewą rękę wziął jej wypchaną teczkę, a prawą popchnął wózek do wyjścia. Ruszyli do głównych drzwi prowadzących na

korytarz.

– Co powiesz na kolację dziś wieczorem? – zapytał cicho.

– Z przyjemnością.

Tym razem nie zawahała się ani na chwilę.

Lourdes Rubio wysunęła dolną szufladę biurka i wyjęła z niej bursztynową butelkę chivas regal, markowego trunku trzymanego na specjalne okazje, na świętowanie sądowych zwycięstw i wyroków uniewinniających jej klientów. Dzisiaj postanowiła z niego skorzystać z zupełnie innych powodów. Chciała poprawić sobie nastrój i choć trochę ukoić zszargane nerwy.

Nalała pół szklaneczki, spoglądając na blat biurka założony ponurymi zdjęciami z miejsc zbrodni Kupidyna. Była wśród nich fotografia rozciętych i zakrwawionych zwłok Anny Prado, której szeroko rozwarte oczy patrzyły z przerażeniem z głębi bagażnika nowiutkiego jaguara Bantlinga.

Czuła do siebie odrazę. Nienawidziła się za to, co powiedziała w sądzie. A jeszcze bardziej za to, czego omal nie powiedziała. Posiedzenie zakończyło się jej przegraną. Nie miała powodów, by świętować dzisiaj kolejny sukces.

Wiedziała, że jej klient jest zбочonym, sadystycznym, brutalnym gwałcicielem. Wiedziała, że jedną z jego ofiar była C.J., a on ani trochę nie żałował tego, że zrujnował jej życie. Podejrzewała, że tak samo zgwałcił wiele innych kobiet, chociaż nie przyznał się do tego otwarcie. Przynajmniej na razie. Jak dotąd ujawnił przed nią jedynie te fakty, które koniecznie musiała znać. Nie zaskoczył jej tym, gdyż większość klientów mówiła tylko to, co uważała za stosowne.

Ale czy był zabójcą?

Na samym początku, gdy zapoznała się ze sprawą, odpowiedziałaby stanowczo, że nie. Wszystko wskazywało na to, że został wrobiony, aresztowany przez pomyłkę. W jej opinii nie mógł być gwałcicielem i

mordercą. Nie mógł być Kupidynem. Całkowicie wyprowadził ją w pole, a to nie zdarzało się często. W końcu występowała w sprawach kryminalnych i miała pełną świadomość, że jej klienci kłamią bądź zatajają fakty, nawet przed nią, osobą, którą zaangażowali do obrony. Ale Bill Bantling różnił się od innych klientów. Był bogatym biznesmenem, przystojnym, kulturalnym, godnym zaufania. Znali się na długo przedtem, nim został aresztowany. Wielokrotnie w sobotnie poranki uprawiali razem jogging w SoBe, kilka razy w czasie weekendu spotykali się przy cappuccino w księgarni. Bez obiekcji uwierzyła w jego opowieść, a teraz dotarło do niej, że wykorzystał ją do własnych celów. Dała się otumanić wygadaniem psychopacie. I to ją najbardziej bolało.

Do tego dochodziła sprawa C.J. Townsend, prokuratorce, którą dotychczas podziwiała i szanowała za to, że nie prowadzi mętnych rozgrywek politycznych i nigdy nie idzie na podejrzone ugody tylko po to, by nie przynieść wstydu swojej instytucji. Teraz miała jednak pewność, że C.J. kłamie, i choć jej motywy można było usprawiedliwić, to przecież dopuściła się uchybienia zasadom etyki zawodowej. Lourdes dokładnie przejrzała spisy inwentarzowe rzeczy zabranych przez policję z domu i samochodu jej klienta, sprawdziła nawet rzeczy zgromadzone w kartonowych pudłach, ale nie znalazła tego, co według Bantlinga powinno się tam znajdować. Trafiała w kolejny ślepy zaułek. I wreszcie musiała przyznać, że nie może dłużej ufać swojej ocenie ludzi.

Pociągnęła pierwszy łyk whisky, wciąż spoglądając na odrażające zdjęcia.

Gdzie należało szukać sprawiedliwości za śmierć Anny Prado? I gdzie była sprawiedliwość dla jej klienta, którego przysięgła bronić przed sądem? Co w tej cholernej sprawie w ogóle znaczyła sprawiedliwość?

Dzisiaj i ona złamała złożoną przysięgę. Dobierała się do tego gliniarza,

gotowa przyprzeć go do muru, i nagle zrezygnowała. Przerwała przesłuchanie tylko dlatego, że miała pewność, iż jej klient jest gwałcicielem. Przez tę krótką chwilę na sali sądowej, gdy spostrzegła, jakim wzrokiem patrzył na swoją dawną ofiarę, bez cienia skruchy czy żalu, z bezgranicznym obrzydzeniem i nienawiścią, uświadomiła sobie, że jeśli wyjdzie na wolność, nadal będzie gwałcił kobiety. I doszła do wniosku, że ona nie może być tą osobą, która mu to umożliwi. Od dawna walczyła o równouprawnienie kobiet w miejscowej społeczności kubańskiej, z którą czuła się bardzo związana. Była nawet przewodniczącą stowarzyszenia La Lucha, pomagającego latynoskim emigrantkom będącym ofiarami przemocy w rodzinie znaleźć bezpieczne schronienie przed ich prześladowcami. Jak mogłaby się dalej mienić orędowniczką praw kobiet, gdyby wykorzystała swoje adwokackie umiejętności do utorowania drogi na wolność brutalnemu gwałcicielowi? Doskonale widziała, jakie spustoszenie zostawił po sobie w psychice swej dawnej ofiary. Łatwo mogła przewidzieć, jak potraktuje następną.

Pociągnęła drugi łyk chivas regal. Dużo łagodniej przeszedł jej przez gardło. Nie palił tak bardzo, jak pierwszy. Zapewne było to prostą analogią do jej roli w tej piekielnej szaradzie. Każdy kolejny krok musiał być dużo łatwiejszy od poprzedniego na drodze prowadzącej Bantlinga do celi śmierci. Może i ona byłaby zdolna przyglądać się obojętnie, jak igła strzykawki z trucizną zagłębia się w jego żyłę, i nie czułaby się winna współudziału w morderstwie popełnianym na jej kliencie.

Ale nadal nie wierzyła, że jest seryjnym zabójcą. I była przekonana, że mogłaby wywalczyć jego uniewinnienie. Mogła to osiągnąć już dzisiaj. Wiedziała o tajemniczym anonimowym zgłoszeniu, które dziewiętnastego września zostało odebrane w centrali komendy miejskiej w Miami Beach. Już miesiąc wcześniej ten głupi szczeniak, wstawiony i napalony, wygadał

wszystko w obecności jej przyjaciółki w barze Cleavelander, stąd знаła prawdziwe powody zatrzymania jaguara Bantlinga na autostradzie, chociaż na sali sądowej z uporem powtarzał całkiem inną śpiewkę. Myślał chyba, że wystarczy zaprzeczyć temu, co mówił wcześniej, a wszystko będzie w porządku. Ale podczas rozprawy przed sądem nic nie było aż tak proste.

Podniosła i zaczęła obracać w palcach kasetę magnetofonową, której zażądała od komendanta policji miejskiej z Miami Beach. Na pudełku znajdowała się nalepka z podpisem: *Zgłoszenie z 19.09.2000, godz. 20.12.*

Taśmy z zarejestrowanymi rozmowami na numer 911 zgodnie z przepisami przechowywano przez trzydzieści dni. Na szczęście zdążyła wystąpić z wnioskiem o dostarczenie kopii dwudziestego dziewiątego dnia.

Whisky skutecznie spełniała swoją magiczną funkcję. Lourdes zaczynało lekko szumieć w głowie, dzięki czemu łatwiej było jej zapomnieć o tym wszystkim, co boleśnie kłuło w sercu. Spoglądając na fotografię Anny Prado, po raz kolejny napełniła sobie szklaneczkę.

Ta porcja już całkiem gładko spłynęła przez zaciśnięte gardło.

Z radością obserwował przebieg wydarzeń na zatłoczonej sali sądowej. A widowisko okazało się nawet dużo ciekawsze, niż się spodziewał, bowiem poszczególni aktorzy dramatu byli tak czy inaczej ze sobą powiązani. Emocje sięgały zenitu, napięcie chwilami osiągało taki poziom, że niemal można je było kroić nożem. Publiczność śledziła przesłuchanie z zapartym tchem, nieomal obgryzając paznokcie, i robiła zdjęcia jak na wycieczce krajoznawczej. Wtopił się w tłum, wcielił w rolę pospolitego gapia. Tymczasem ta rozgrywka, którą sam zainicjował, zaczynała żyć własnym życiem, obejmując coraz to inne poboczne intrygi, aż i jego zżerała ciekawość, jak się to wszystko zakończy.

Chciał jednak czegoś więcej. Już od wielu miesięcy pohamowywał swoje pragnienia i nie mógł dłużej wytrzymać. W głębi duszy czuł się jak wędrowiec brnący przez pustynię i coraz bardziej spragniony. Potrzebował tego jak łyku wody niezbędnej do życia. I do śmierci.

Nie mógł jednak podjąć ryzyka zaprzepaszczenia tego dramatu sterującego niechybnie w stronę rozstrzygnięcia o winie czy niewinności. Musiał się wyrwać z okowów tego, co w policyjnym żargonie nazywano *modus operandi*, czyli metodą działania. Wzbudziłby niepotrzebne podejrzania, gdyby upatrył sobie następną blond piękność, niezależnie od tego, gdzie i kiedy by się to stało. I rzecz jasna, w przeciwieństwie do poprzednich, nigdy nie powinna zostać odnaleziona. Dlatego nie miało większego znaczenia, co robi z jej ciałem. Jednocześnie mógł z jej umysłem zrobić przed śmiercią wszystko, o czym tylko zamarzył. Gdyby aktorzy dramatu tylko podejrzewali, jakie rzeczy chodzą mu po głowie, musieliby

uznać Williama Bantlinga za tchórzliwe niewiniątko.

Tak, musiał sobie poszukać tym razem ciemnowłosej laleczki. Najlepiej z włosami czarnymi jak heban, skórą białą jak śnieg i ustami czerwonymi jak świeżo rozkwitła róża.

Jego własnej Królowy Śnieżki, z którą mógłby się zabawić. Ale najpierw musiał zdobyć jej serce.

Kiedy posiedzenie sądu dobiegło końca, morderca znany policji pod pseudonimem Kupidyn wstał z resztą widzów, w ich tłumie wyszedł na korytarz, zjechał windą na parter i wyszedł na skąpane w jaskrawym słońcu ulice Miami, by wyruszyć na poszukiwanie swojej kolejnej prawdziwej miłości.

CZEŚĆ III



C.J. zastała Manny'ego i Dominicka w głównej sali Piekle Barrel nad kubeczkami kawy ze śmietanką. Wzięła sobie porcję takiej samej kawy z gabloty samoobsługowej i usiadła między nimi przy stoliku.

– Jak przebiegło spotkanie przed procesowe? – zapytał Dominick.

Był trzynasty grudnia, ostatni dzień przyjmowania przez sędziego Chaskela wniosków formalnych w sprawie Bantlinga. Jak to było w zwyczaju, reprezentanci obu stron spotkali się w gabinecie sędziego, żeby omówić stan przygotowań, przedstawić ewentualne wnioski i wreszcie potwierdzić gotowość do rozpoczęcia procesu w przyszłym tygodniu.

– Obrona nie wystąpiła o przesunięcie terminu rozprawy. Wszystko wskazuje na to, że w poniedziałek przystąpimy do wyboru ławy przysięgłych.

– Bez żadnych haczyków? – zdziwił się Manny. – Mógłbym przysiąc, że ten czubek zacznie wyszukiwać setki powodów, dla których nie można by usmażyć jego dupska jeszcze przed świętami. Ale to dobrze. Warto by jak najszybciej zamknąć sprawę.

– Muszę przyznać, że i ja jestem zaskoczony – rzekł w zamyśleniu Dominick. – Tylko dwa miesiące przygotowań do procesu o morderstwo, i to tutaj, w Miami, kolebce niekończących się odroczeń i niezbyt pewnych siebie sędziów? Bez żadnych nowych dowodów i nowych świadków? Bez najmniejszej próby zmiany sędziego czy przeniesienia procesu do innego miasta? Czy to nie oznacza, że już na samym początku pozornie łatwej drogi mogą wyniknąć poważne problemy?

– Na przykład takie, które dawałyby podstawę do wniesienia apelacji? Nie

sądę. Przecież to Bantling dążył do jak najszybszego procesu, a nie Rubio. I moim zdaniem to Bantling chce rozprawy właśnie w Miami, dobrze wiedząc, że na północy stanu średnia wieku przysięgłego to sześćdziesiąt pięć lat, a każde słowo policjanta jest traktowane jak wyrocznia. Na pewno nie wchodzi też w rachubę adwokacka nieudolność. Sędzia Chaskel specjalnie nalegał, aby zostało zapisane w protokole, że Bantling doskonale wie o swoim prawie do szczegółowego omówienia materiału dowodowego i ma świadomość, że rezygnacja z tego etapu nie będzie mogła służyć za podstawę do apelacji w razie wyroku skazującego. I nie będzie mógł się tłumaczyć, że nikt go o tym nie poinformował. Ode mnie Chaskel zażądał przedstawienia całego materiału z dużym wyprzedzeniem, tłumacząc, że nie życzy sobie, by ta sprawa do niego wróciła. Od czasu podpisania kontraktu z Bantlingiem, Lourdes nie ma żadnego innego klienta. Jest doświadczoną adwokatką, ma na koncie sześć procesów o morderstwo z premedytacją, więc na pewno wie, jak należy postępować, a ponadto nie działała pod presją czasu. Wcześniej prowadziła już sprawy, w których rezygnowała z omawiania materiału dowodowego, więc to może być po prostu jej taktyka. Skoro nie chce oglądać tego, co mamy przeciwko jej klientowi, to i sama nie musi prezentować dowodów. Mam tylko nadzieję, że w ten sposób niczym nas nie zaskoczy.

– Co skłoniło Bantlinga do takiego pośpiechu? Czyżby naprawdę podejrzewał, że zdąży wyjść na wolność w porę, by zrobić świąteczne zakupy? – mruknął Alvarez.

– To chyba lepiej dla nas, że tak mu się spieszy. Nie znoszę, gdy sprawy czekają miesiącami na finał. Świadkowie zapominają o faktach, dowody gdzieś giną, piętrzą się rozmaite przeszkody – rzekł Falconetti.

– Zgadzam się – przyznała C.J. – ale odwlekanie procesu ma jedną olbrzymią zaletę: daje nam więcej czasu. – Urwała na chwilę, po czym

ciągnęła: – Dziś rano wezwał mnie do siebie Tigler. W przyszłym tygodniu de la Flors prezentuje przed komisją sędziowską sprawę zabójstwa Sibana i obrabowania pozostałych dziewcząt. Jeśli przegramy proces w sprawie Prado, zgarnie Bantlinga zaraz po wyjściu z sądu i zamknie go w śródmiejskim areszcie federalnym, nim zdążymy powiedzieć choć słowo. Będziemy musieli grzecznie ustawić się w kolejce i czekać na wynik jego procesu przed sądem federalnym.

– A to pozwoli mu ściągnąć na siebie wystarczająco dużo uwagi, żeby uzyskać nominację na sędziego federalnego – uzupełnił Dominick.

– Otóż właśnie.

– Więc dlaczego nie spróbować zostawić go już na starcie i nie wnieść oskarżenia o pozostałe morderstwa, pani mecenas? – zapytał Manny. – Zyskamy mnóstwo czasu, nie trzeba się będzie z niczym spieszyć. Zwłaszcza jeśli w przyszłym tygodniu proces rozpocznie się bez przeszkód.

– Na razie to wykluczone, ponieważ nie mamy żadnych konkretnych dowodów łączących go z pozostałymi zabójstwami, oprócz tej żyłki wędkarskiej, na której wisiały zwłoki Morgan Weber, a to trochę za mało. Nie mam nawet kluczowego dowodu w sprawie Prado. – Popatrzyła na Dominickę. – Bardzo mi potrzebne te wycięte serca. Musicie odnaleźć jego trofea.

– Zdaje się, że mówiłaś, iż nie są ci niezbędne do uzyskania wyroku skazującego – odparł Alvarez.

– Tak mi się wydawało, ale sami widzieliście, jak zeznawał dzisiaj Chavez. Był arogancki, kręcił i udawał chojraka.

– Bo to skończony kretyń – podsumował Manny.

– Zgadza się, jest kiepskim świadkiem, ale będę musiała go przesłuchać. Boję się tylko, żeby nie zniechęcił przysięgłych do tego stopnia, iż bez

zastrzeżeń uwierzą w bajeczkę, że Bantling został wrobiony. A gdyby uniewinnili go w sprawie Prado, nie będę miała żadnych mocnych argumentów, by na podstawie zasady Williamsa oskarżyć go o pozostałe zabójstwa. Niewykluczone też, że gdyby doszło do następnego procesu, sędzia nie zgodziłby się nawet na włączenie jakichkolwiek elementów ze sprawy Prado. Zatem nie mielibyśmy nic.

– Sprawdzaliśmy wszędzie, C.J. – odparł Dominick. Przesłuchaliśmy trzystu świadków, przeanalizowaliśmy tysiące potencjalnych dowodów. Nawet nie mam pojęcia, gdzie jeszcze szukać.

– Może jego psychiatra z Nowego Jorku wie, co zrobił z tymi sercami? Rozmawiała pani z tym doktorem Fineburgiem? – zapytał Manny.

– Nie. Bantling nie próbował się zasłaniać niepoczytalnością i nie robi tego, jeśli wierzyć Lourdes. Zatem nie mam pełnego wglądu do jego akt chorobowych. Nie mogę nakazać przesłuchania u psychiatry. Mam związane ręce, bo jeśli Bantling cokolwiek powiedział podczas seansów terapeutycznych, nadal pozostaje to objęte tajemnicą lekarską. Fineburg sam z siebie nie piśnie ani słówka, nawet gdyby Bantling zakopał te serca na podwórku za jego domem.

– A jeśli Bowman ma rację i ten świr poszedł w ślady Jeffrey Dahmera, czyli je zjadł? – wtrącił Alvarez. – Wtedy nigdy nie poznamy prawdy.

– To mało prawdopodobne, Miśku. Chyba C.J. ma rację. Miałem już do czynienia z seryjnymi zabójcami. Zawsze gromadzą jakieś pamiątki. Serca bardzo by pasowały jako trofea. Trzymał je gdzieś, żeby od czasu do czasu na nie popatrzeć. Bantling po prostu się z nami drażni, chce nas ośmieszyć, że nie potrafiliśmy ich odnaleźć. Skoro zadał sobie tyle trudu, żeby przerazić wszystkich faktem wycinania serc ofiarom, z pewnością pomyślał, by przerażenie sięgnęło zenitu, kiedy je w końcu odnajdziemy.

– Sprawdźcie jeszcze raz wszystkie dowody, przejrzyjcie kasety wideo. Może coś przeoczyliśmy, jakiś zmięty kwit z przechowalni bagażu albo klucz od skrytki na dworcu.

Sama nie wiem. W każdym razie próbujcie dalej. Przed nami co najmniej trzy tygodnie procesu. Jeśli uda się w trakcie wnieść akt oskarżenia o pozostałe morderstwa, żaden sędzia nie zgodzi się na przekazanie Bantlinga władzom federalnym, dopóki nie odpowie za wszystkie zbrodnie.

– Trzy tygodnie procesu? – Manny westchnął ciężko. – W takim razie żegnaj beztroska Gwiazdka i cholernie szczęśliwy Nowy Roku. Nie zdążymy się wybrać do bieguna północnego na spotkanie ze świętym Mikołajem. Nawet gdybyśmy stanęli na głowie.

Alvarez odprowadził wzrokiem C.J., która musiała wracać do biura, po czym mruknął:

– Bardzo lubię panią prokurator, ale chyba ma nie po kolei w głowie, skoro myśli, że na tym etapie uda nam się jeszcze odnaleźć te serca. Jeśli Bantling nie schował ich gdzieś w zamrażarce, na pewno dawno uległy rozkładowi.

– Masz rację. W takim razie musimy szukać zamrażarki.

– Wieczny optymista. Od jak dawna jesteście parą? – zapytał nieoczekiwanie między kęsami pastelito, zerkając z krzywym uśmiechem na Dominicką.

Ten westchnął głośno.

– Nie sędzę, by można nazwać nas parą. To aż takie oczywiste?

– Dla mnie tak. Poza tym, zwykłem uważać, że znam się na kobietach, Dom. Dlatego od razu zauważyłem, że nie jesteś jej obojętny.

– Czyżby?

– Bez dwóch zdań. Zresztą widzę, że i ciebie do niej ciągnie. Więc od jak dawna?

– Od paru miesięcy.

– I co?

– Nic. To wszystko. Sam jeszcze nie wiem. Lubimy się nawzajem, ale ona nie jest jeszcze gotowa dopuścić mnie bliżej siebie. Na razie te sprawy są w zawieszaniu.

– Ech, te kobiety. Niby zależy im wyłącznie na trwałych związkach, ale gdy jesteś gotów się zaangażować, wychodzi na jaw, że chcą czegoś innego.

Właśnie z tego powodu byłem trzy razy żonaty, Dom. I wciąż biorę wszystkie trzy pod uwagę. Bo żebym nie wiem ile razy obiecywał sobie, że to definitywny koniec, zawsze wracam na coś ciepłego i pieprznego. A potem, jak po chwili, mam niestrawności i zachodzę w głowę, czemu znów się na to skusiłem.

– W każdym razie C.J. nie chce, żeby coś się wydało, więc zachowaj to dla siebie. I lepiej przytemperuj trochę swoje instynkty, bo ona świetnie wyczuwa, że ludzie coś podejrzewają. Martwi się o Tiglera i złą prasę.

– Będę trzymał gębę na kłódkę. Tylko nie podkradaj jej całusów w wozie patrolowym.

– Swoją drogą, naprawdę myślę, że ona ma rację, Manny – mruknął Dominick, zastanawiając się, czy w ogóle powinien mówić o swoich podejrzaniach, może lepiej byłoby zachować je dla siebie. Rozejrzał się na boki, żeby mieć pewność, że nikt ich nie podsłuchuje, ale Piekło Barrel o tej porze świeci pustkami, prawie nikogo oprócz nich nie było na sali. Dlatego podjął zniżonym głosem: – Wiele się nad tym zastanawiałem, przeglądając raporty z miejsca zbrodni i patrząc na zdjęcia. Szukałem czegoś, co nam umykało od samego początku. Na przykład, czemu nie mogliśmy znaleźć żadnych śladów na miejscach zbrodni. Dlatego że Kupidyn nie chciał, żebyśmy je znaleźli? Nie, bo gdyby mu na tym zależało, to przecież nikt nigdy nie odnalazłby również ciał pomordowanych dziewcząt. Nie zostawiał śladów, bo był za sprytny, Miśku. Podejmował wielkie ryzyko. Wyprowadzał ofiary z klubów i nocnych lokali na oczach ich znajomych i bramkarzy. A potem, gdy się już nimi nabawił, musiał poświęcić mnóstwo czasu na to, żeby przygotować miejsce zbrodni, ułożyć dziewczęta w odpowiednich pozach, zaaranżować ostatnie chwile ich życia. To wszystko wydawało mi się aż nadto skalkulowane. On chciał, żebyśmy podziwiali jego dzieło, Manny.

Zależało mu, byśmy się dowiedzieli, co z nimi robił, zanim naszprycował je tym świństwem, mivacronem, i w końcu zabił. Chciał wywołać w nas przerażenie, osłupienie i podziw dla swego sprytu. Mógł sobie pozwolić na taką demonstrację, a my wciąż nie byliśmy w stanie go schwytać. Każde miejsce zbrodni, z wyjątkiem przypadku Anny Prado, starannie zorganizował. Zaplanował wszystko, nie tylko to, gdzie i kiedy zabije ofiarę, ale także gdzie i kiedy my ją odnajdziemy. Zaplanował każdy szczegół, włącznie z ułożeniem palców ich dłoni.

– Zgoda, był bardzo sprytny. Rzekłbym, że zaplanował nawet to, w jakich okolicznościach zwłoki zostaną odnalezione. Tylko co z tego wynika? Znalazłeś jakiś element wspólny?

– Przypomnij sobie Marilyn Sibon w tej opuszczonej bazie wojskowej. Musiał dobrze wiedzieć, że chłopcy z akademii jeżdżą tam na ćwiczenia, więc pewnie chciał, żeby to oni ją odnaleźli, a wygląd zwłok sprawił, by nawet najodporniejsi zastanowili się dobrze, czy warto podejmować służbę w policji. Nicolette Torrence została znaleziona przez dzieci w starej melinie, która dziwnym zbiegiem okoliczności była wcześniej obiektem licznych nalotów brygady antyterrorystycznej i ludzi z wydziału antynarkotykowego komendy w Coral Gables. Hannah Cordova została porzucona w starej cukrowni, jakiś miesiąc wcześniej przyciągającej uwagę celników śledzących przerzuty heroiny. Krystal Pierce odnaleziono w opuszczonym supermarkecie, który niespełna pół roku wcześniej był miejscem potrójnego zabójstwa. To śledztwo prowadził zresztą nasz wydział. Niemal każde miejsce zbrodni jest w jakiś sposób powiązane z działalnością policji czy też innych służb porządku publicznego.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Dom? Że Bantling jest tylko naśladowcą? Czyżbyś i ty dał się nabrać na tę jego bajeczkę, że został

wrobiony? Związek z działalnością policji może być czysto przypadkowy. Do diabła, jeśli wierzyć tym mądralom z uniwersytetu, prawie każdy dom w Miami był przy takiej czy innej okazji przeszukiwany przez policję. A sam dobrze wiesz, że federalni szukający narkotyków zachowują się jak szarańcza. To fakt, że Kupidyn nie porzucał zwłok w najbardziej atrakcyjnych wnętrzach, ale przecież nikt tego nie robi.

– Nie sądzę, żeby Bantling był naśladowcą. Według mnie to on jest Kupidynem. We wszystkich wypadkach rozcięcia klatki piersiowej były robione dokładnie tak samo, w tym samym kierunku i w tej samej kolejności. W ciele Anny Prado wykryto ten sam narkotyk, co u pozostałych. Naśladowca nie znałby tak wielu szczegółów. Na pewno nie wiedziałby o zastosowaniu środków uspokajających. Uważam jednak, że nie powinniśmy lekceważyć związku miejsc zbrodni z działaniami policji.

– Myślisz, że Bantling od dziecka chciał zostać policjantem, a my to przeoczyliśmy? Albo jego kot został przejechany przez radiowóz? Jest mnóstwo powodów, dla których ludzie nie lubią gliniarzy, bracie. Dla wszystkich jesteśmy kozłami ofiarnymi.

Dominick w zamyśleniu pokiwał głową i pociągnął łyk kawy, zanim wreszcie odparł:

– Może i masz rację. A co do Anny Prado, moim zdaniem Bantling miał wobec niej inne plany, tyle że nie zdążył ich zrealizować, bo został aresztowany. Gdybyśmy zdołali wymyślić, co planował, może udałoby się też odnaleźć jego trofea.

Manny pokręcił głową.

– Wciąż nie jestem przekonany, Dom, o istnieniu tych powiązań z działaniami policji. Gdybyś miał rację, Bantling musiałby wiedzieć o miejscach i terminach nalotów, przeszukań albo ćwiczeń. A skąd miałby to

wiedzieć?

Dominick milczał.

Alvarez w końcu pochwycił zamysł przyjaciela. Uniósł wysoko brwi i cicho gwizdnął pod nosem.

– Jasna cholera, Dom. Myślisz, że jest jeszcze jeden zabójca? Sądysz, że Bantling nie działał sam i teraz jego wspólnik śmieje się z nas w kułak? I naprawdę podejrzewasz, że mógłby to być któryś z naszych chłopaków?

Pięć dni. Zostało jej tylko pięć dni do rozpoczęcia najważniejszego procesu w karierze. C.J. żyła i oddychała tą sprawą, niemalże spała z nią przez ponad rok i z czysto zawodowego punktu widzenia była do niej przygotowana pod każdym względem. Znała świadków i materiał dowodowy, wiedziała wszystko, co musiała wiedzieć o ofiarach. Zarys mowy końcowej układała sobie w myślach prawie każdego dnia od chwili powołania specjalnej grupy dochodzeniowej, uzupełniając ją o każdy nowy odkrywany fakt, każde odnajdywane zwłoki, aż wreszcie od września także o nazwisko domniemanego zabójcy. Miała kogo wskazywać palcem w zatłoczonej sali sądowej i przeciwko komu kierować wściekłość żądnych zemsty sędziów przysięgłych.

Okazało się jednak, że oskarżony może być również oskarżycielem. Minęło już sześć tygodni od tamtego dnia, gdy zrozumiała, że Bantling jedynie czeka na okazję, żeby to ją wskazać palcem, pogrążyć w oczach wymiaru sprawiedliwości i opinii publicznej. Wtedy sędzia Chaskel nieświadomie powstrzymał go przed tym, a obrończyni przywołała do porządku, ale zagrożenie wciąż istniało. Przez tych sześć tygodni milczał, lecz C.J. każdego dnia oczekiwała wezwania do gabinetu sędziego, nadejścia pocztą kopii następnego wniosku formalnego czy też krzykliwych nagłówek w gazetach: „Prokurator ofiarą gwałtu Kupidyna! Plan odwetu zdemaskowany!”. Kiedy wreszcie Bantling zamierzał ujawnić tajemnicę? Podczas przesłuchania kandydatów na przysięgłych? Wstępnych wystąpień? Przesłuchania Chaveza? Albo Dominicka? Czy dopiero w trakcie mowy końcowej? A może chciał jednak zająć miejsce dla świadków i przemówić w

obronie własnej? Nie po to, by obalić stawiane mu zarzuty, lecz rzucić oskarżenie na nią. Dlatego wiedziała, że każdy dzień rozprawy będzie się dla niej ciągnął w nieskończoność, wiązał z gigantyczną presją wywołaną każdym jego ironicznym spojrzeniem i każdym oblizaniem warg, tak silną, że aż w końcu pęknie jej serce.

I wiedziała też, że właśnie na tym mu zależy. Z uśmiechem na ustach celowo spychał ich wspólną tajemnicę ku krawędzi bezdennej mrocznej otchłani, przyglądając się z satysfakcją, jak ona próbuje ją utrzymać na dotychczasowym miejscu. W tym zakresie wciąż miał nad nią pełną kontrolę i bezgranicznie się nią rozkoszował. Ten niezwykły pojedynek siły charakterów mógł prowadzić nawet z celi, zza krat i żelaznych drzwi, mimo że nie mogła go tam ani zobaczyć, ani usłyszeć.

Musiała wygrać tę sprawę, w przeciwnym razie mogło się zdarzyć, że on wyjdzie na wolność. Może nie od razu, gdyby federalni go aresztowali na podstawie aktu Hobbsa i oskarżyli o rabunek, ale równie mało dowodów świadczyło o popełnieniu przez niego rabunku, jak i pozostałych zabójstw. Zatem w końcu i tak by wyszedł na wolność, a ona znów musiałaby żyć w ciągłym strachu, bo dopóki nie pokazałby się gdzieś w sąsiedztwie jej mieszkania, w windzie gmachu sądu albo w restauracji, gdzie jadłaby lunch, nie miałyby pojęcia, gdzie przebywa. Tak jak to było w Nowym Jorku. Teraz różnica byłaby taka, że nawet gdyby go zauważyła, nie mogłaby nic zrobić, najwyżej krzyczeć wniebogłosy na ruchliwej ulicy, jeśli przechodziłby obok niej, albo w autobusie, gdzie zająłby sąsiednie miejsce, w wejściu do baru, gdyby choć przytrzymał drzwi, żeby ją przepuścić. Nikt nie mógłby jej pomóc, dopóki Bantling znowu by jej nie dotknął. A wtedy byłoby już z pewnością za późno.

Srebrzysta poświata ekranu komputera kazała jej skupić się ponownie na

tekście wystąpienia przed kandydatami na przysięgłych i pytaniach, jakie chciała im zadać. Zawsze zamykała żaluzje, ilekroć zostawała sama w biurze wieczorami, by się ustrzec przed ciekawskimi spojrzeniami ludzi zamkniętych w więzieniu po drugiej stronie ulicy. Na biurku leżały wydrukowane trzy wersje jej wstępnego oświadczenia. Różniły się między sobą, gdyż wszystko zależało od tego, kiedy uśpiony wulkan wybuchnie i zaleje ją potokami lawy. Jak również od tego, czy Dominickowi i jego podwładnym uda się znaleźć dodatkowe dowody przestępstwa, na których tak jej zależało. Wiedziała, że gdzieś musi się znajdować ostateczne wyjaśnienie zagadki, i nie zamierzała wstrzymać poszukiwań aż do ostatniej chwili. A jeśli Bantling nie był mordercą?

Bardzo w to wątpiła, lecz musiała się liczyć z każdą ewentualnością. Bo przecież trudno było wykluczyć, że wyciętych serc nigdy nie uda się odnaleźć. To zaś sugerowało, że Bantling może nie mieć nic wspólnego z zabójstwami. Czy zatem był ktoś inny, kto obserwował jej walkę o utrzymanie szatana za kratami po drugiej stronie ulicy, ostrząc nóż i czekając na kolejną sposobność do tego, by wyrzeć na światło dzienne z mroków jakiegoś zaułka? A jeśli już zabił następną ofiarę, tylko oni nic o tym nie wiedzieli, gdyż zaprzestali poszukiwań? Uporczywie odpychała od siebie takie myśli, bojąc się rozpocząć zdradziecką grę. Przekonywała sama siebie, że wszystkie zebrane dotychczas dowody wskazywały na winę Bantlinga. Z jednym wyjątkiem.

W zamyśleniu obróciła w palcach kasetę magnetofonową i po chwili wsunęła ją do kieszeni mini wieży stojącej na regale i włączyła odtwarzanie.

– Słucham. Dziewięćset jedenaście.

– Chodzi mi o samochód. To najnowszy model czarnego jaguara XJ-osiem, który w tej chwili skręcił z Lincoln Road w Waszyngtona, w kierunku

południowym. W bagażniku wiezie dwa kilo kokainy i zmierza na lotnisko. Będzie jechał do Miami mostem MacArthura, gdybyście nie zdążyli go zatrzymać na Waszyngtona.

– Proszę podać imię i nazwisko. Skąd pan dzwoni?

Na linii rozległ się jednak sygnał przerwane połączenia. Przesłuchała to nagranie co najmniej trzydzieści razy od chwili otrzymania kopii z komendy miejskiej w Miami Beach. Mężczyzna mówił niezbyt wyraźnie, stłumionym głosem, jak gdyby zakrył mikrofon aparatu chusteczką. Bez wątplenia był to jednak głęboki, basowy głos mężczyzny, który powoli cedził słowa, mówił bez pośpiechu. W tle rozlegały się dźwięki muzyki symfonicznej.

Czemu ktoś miałby składać fałszywy donos, jakoby w bagażniku jaguara znajdowały się narkotyki? Komu zależało na zatrzymaniu i przeszukaniu auta? Raczej nie zrobił tego rozwścieczony motocyklista, któremu Bantling wcześniej zajechał drogę. W głosie mężczyzny nie dało się wyczuć ani złości, ani zdenerwowania. Nic nie wskazywało na to, żeby dzwonił z aparatu komórkowego, siedząc przy kierownicy. A przecież nie znaleziono żadnych dowodów, żeby Bantling miał cokolwiek wspólnego z przemytem albo handlem narkotykami.

Komu zależało na przeszukaniu bagażnika jaguara? Jedyna możliwa odpowiedź mroziła jej krew w żyłach. Na policję musiał zadzwonić człowiek, który dobrze wiedział, co się znajduje w bagażniku.

Intensywne zapachy kurczaka pieczonego z papryką i cytryną oraz maślanych herbatników doleciały ją, ledwie otworzyła drzwi. Lucy musiała wyczuć je pierwsza, gdyż natychmiast skoczyła w kierunku ich źródła, ale C.J. zdążyła nogą zatarasować jej drogę. Tibby równie szybko namierzył dostawcę tych wspaniałości i głośno mrużąc, zaczął się kokieteryjnie ocierać o nogę Dominicka, jakby nic nie jadł od tygodnia.

– Czuję, że przyniosłeś gotową kolację – powiedziała.

– No cóż, czasami trzeba coś zjeść – odparł, wchodząc do środka. – Ale nie licz na żadne rarytasy. Byłem tylko w barze Publix i po drodze wpadłem jeszcze do cukierni po kruche ciasteczka. – Gestem sztukmistrza wyciągnął zza pleców i podał jej wysoką butelkę zapakowaną w szarą papierową torbę. – Ale żadna kolacja nie mogłaby się obejść bez dobrego chardonnay. – Schylił się i poklepał suczkę po łebku. – Cześć, Lucy, staruszko! Ta wasza niedobra pani jeszcze was nie nakarmiła? Nie szkodzi. I dla was mam niespodziankę. – Kot miauknął żałośnie, jakby chciał zacytować: „I ty Brutusie...?” – Dla ciebie też, Tibby, ma się rozumieć. – Wyciągnął zza pleców jeszcze jedną papierową torbę, w której, jak się okazało, przyniósł pojemnik z duszonymi kurzymi wątróbkami. Lucy aż zapiszczała z podniecenia, a Tibby omal nie wskoczył mu na głowę. – No, już, zmiatajcie do swoich misek.

C.J. przyglądała się temu z kuchni, gdzie wykładała na talerze porcje pieczonego kurczaka i herbatniki oraz szykowała kieliszki do wina.

– Teraz będzie skamlała do ciebie przez pół godziny. A poza tym, trzeba będzie jeszcze raz wyjść z nią na spacer.

– Nie ma sprawy. Sam ją wyprowadzę. – Wszedł do kuchni, stanął obok niej i sięgnął po butelkę wina, którą właśnie stawiała na stole. Gdy odwróciła się do niego, przywarł do niej całym ciałem, lekko przyciskając ją do krawędzi stołu, i pocałował żarliwie. Odnalazł jej palce spoczywające na szyjce butelki i delikatnie otoczył je dłonią. Po chwili odsunął się i mruknął:
– No więc jak? Jest ktoś głodny w tym domu?

– W porządku, casanowo. Pokaż, jaki jesteś silny, i otwórz wino.

– Wielkie mi rzeczy.

Nie ruszył się jednak. Wciąż tuląc się do niej i przyciskając jej pośladki do krawędzi stołu, wymacał korkociąg i znów ją namiętnie pocałował. Przeciągnęła dłońmi po jego koszulce polo, wyczuwając dotykiem prężne mięśnie pod spodem, potem po muskułach i zarzuciła mu ręce na szyję. Przez cienką jedwabną bluzkę poczuła na plecach dotyk zimnej, oszronionej butelki, z której para musiała natychmiast przemoczyć ubranie, gdyż bluzka przylepiła się do ciała. Nawet cichy strzał korka wyskakującego z szyjki nie przerwał ich pocałunku. Dominick odstawił butelkę na stół, wyciągnął jej bluzkę ze spodni i wsunął pod nią ręce. Ciepłe dłonie szybko zastąpiły zimny dotyk wilgotnego jedwabiu na plecach. Z wolna powędrowały ku górze, wywołując rozkoszny dreszcz podniecenia, aż zatrzymały się na ramionach. Po chwili zsunęły się z powrotem, błyskawicznie rozpięły stanik, prześliznęły się szybko po żebrach i odnalazły piersi, które zaczął delikatnie pieścić, rozkoszując się twardniejącymi sutkami i wyczuwalnym coraz szybszym biciem serca.

Wkrótce jedna dłoń przesunęła się w dół brzucha, nie zważając na zgrubiałe poziome blizny, i odnalazła zapięcie spodni. C.J. jak zauroczona nie była w stanie przerwać coraz bardziej żarliwego pocałunku, choć świetnie czuła, jak Dominick rozpina guzik, potem zamek błyskawiczny, ściąga jej

spodnie z pośladków, wkłada dłoń między uda, zsuwa na bok majtki i odnajduje palcami jej zwilgotniałe łono gotowe na jego przyjęcie. Nie przeszkodziło jej, że spodnie zsunęły się do kostek nóg, uniemożliwiając każdy ruch. Zaniepokoiła się dopiero wtedy, gdy wsunął jej drugą rękę pod pośladki, uniósł nieco i posadził na krawędzi stołu, tuląc się do niej coraz mocniej, aż bez trudu wyczuła przez jego spodnie stwardniały członek.

Wiedziała, jak to musi się skończyć, toteż zmusiła się, by oderwać usta od jego warg. Kiedy po chwili otworzyła oczy, oślepiły ją lampki umocowane szeregiem pod dolną krawędzią szafek wiszących na przeciwległej ścianie.

– Chodźmy do sypialni – szepnęła.

Jego palce wciąż przesuwają się po jej sromie, wywołując coraz intensywniejsze doznania, elektryzujące dreszcze przenikające niemal wszystkie nerwy.

– Zróbmy to tutaj. Pozwól mi na siebie popatrzeć, C.J. Jesteś taka piękna – odpowiedział szeptem, po czym musnął językiem koniuszek jej ucha. Wsunął drugą rękę spod bielizny i zaczął rozpinąć bluzkę.

– Nie, chodźmy do sypialni. Proszę, Dominicku. Ekscytujące dreszcze wywoływane przez dotyk jego palców błyskawicznie przybierały na sile. Była coraz bliższa orgazmu.

– Pozwól mi na siebie popatrzeć. Uwielbiam twoje ciało. Chcę widzieć, jak na mnie reaguje.

Ściągnął jej majtki, które także zsunęły się na podłogę. Pozostała tylko w rozpiętej już do końca cienkiej bluzce i rozpiętym staniku.

– Nie. – Pokręciła głową. – Proszę.

Odsunął się i zajrzał jej w oczy, po czym bez słowa podniósł ją ze stołu i tuląc w ramionach, poniósł do tonącej w ciemnościach sypialni, z dala od zdradziecko jaskrawych lampek w kuchni.

Potem leżeli jeszcze długo w ciemności, przytuleni do siebie, dopasowani ułożeniem ciała niczym dwie łyżeczki z tego samego kompletu. Kiedy C.J. przysnęła, w słabym czerwonym blasku wyświetlacza elektronicznego budzika patrzył na jej włosy z tyłu głowy, gdzie odrosty przy samej skórze były jasnoblond. Miała na sobie cienki bawełniany T-shirt, bo jak zwykle zaraz po stosunku wyskoczyła z łóżka, żeby go włożyć, a dopiero potem znów przytulić się do niego. Nie protestowała jednak, gdy pospiesznie wsuwał dłonie pod tę koszulkę, żeby czuć pod palcami ciepło jej ciała, wodzić po jej drobnych ramionach i kruchych żebrach albo w bezruchu przyglądać się, jak przez sen jej piersi unoszą się i opadają przy każdym oddechu.

Jak to często się zdarzało, w takich chwilach wracał myślami do Natalie, w wyobraźni widział jej długie czarne włosy rozsypane na poduszce albo spadające na ramiona. Wieloletnia narzeczona była jedyną kobietą w jego życiu, którą kochał i której tak samo pragnął, jak teraz C.J. Mógł tak przy niej leżeć godzinami, przyglądając się, jak śpi. Wciąż dotkliwie odczuwał ból. Skonała w jego ramionach i utracił ją na zawsze.

Pogrążył się w bezdennej rozpacz. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jakaś jego część odeszła razem z nią, jakby ktoś naprawdę wybił mu dziurę w piersi i wyrwał serce. Ale przez to lepiej rozumiał, co odczuwają rodziny ofiar, z którymi rozmawiał zaraz po stracie ukochanej osoby. Był to ból tak dotkliwy i tak wszechogarniający, że rzutował absolutnie na wszystko, na wszelkie pozostałe znajomości, przenikając jednocześnie w głąb jego duszy. W końcu dotarła również do niego brutalna prawda, znana jedynie członkom

tego ekskluzywnego makabrycznego klubu – że czas niekoniecznie leczy wszystkie rany.

Bał się, że kiedyś jeszcze raz będzie musiał przeżyć takie cierpienie. Za dobrze pamiętał mękę, jaką było wstawanie każdego ranka i rozglądanie się po pustym mieszkaniu, w którym wszystko budziło świeże wspomnienia – chwila wspólnego szczęścia uchwycona na fotografii, blat stołu, który razem kupowali, jej ulubiony kubek do kawy. Te codzienne męki ciągnęły się tak długo, aż człowiek w końcu stawał się odrętwiały i zaczynał przysięgać sobie w duchu, że już nigdy aż tak bardzo nie pokocha żadnej kobiety. Jeśli nawet odpychał od siebie natrętne wspomnienia, wracały jeszcze szybciej, pobudzone pierwszym lepszym skojarzeniem, cisnęły się na myśl, wymuszając, by przeżywał je po raz kolejny. Wiedział, że do końca życia będzie miał w pamięci pogodną twarz Natalie i jej czarujący uśmiech, zanim śmierć wypełniła jej oczy lodowatą pustką.

Kiedy teraz leżał obok C.J., przywierając do niej całym ciałem, nawet zapach jej włosów doprowadzał go do szaleństwa. Wbrew nakazom zdrowego rozsądku z dnia na dzień pragnął jej coraz bardziej, chciał wiedzieć absolutnie wszystko o tej pięknej, tajemniczej, ale i mocno strapionej kobiecie.

Pod wpływem nagłego impulsu pocałował ją w kark. Poruszyła się i zapytała cicho sennym głosem:

- Która godzina?
- Dwunasta. Spałaś niewiele ponad godzinę.
- Mam nadzieję, że nie chrapałam.
- Dzisiaj nie.

Obróciła się i wtuliła twarz w jego pierś.

- Umieram z głodu – mruknęła, zerkając na zamknięte drzwi sypialni. Z

kuchni przesączała się pod nimi wąska smużka światła. W mieszkaniu panowała cisza. – Myślisz, że zostało jeszcze choć trochę pieczonego kurczaka?

– Zapomniałem dać zwierzakom wątróbki, więc wątpię, czy zostawiły nam coś z kolacji.

– To dobry temat na tani horror. – Uśmiechnęła się lekko. – Napalona dziewczyna zaciąga chłopaka do łóżka, potem oboje raczą się piwem i zasypiają, tymczasem w kuchni zaczyna grasować banda wygłodniałych zwierzaków, zostawiając po sobie straszne pobojuwisko.

– Dobrze, że zaniknąłem drzwi sypialni, bo jeszcze mógłby się tu zjawić twój spasiony kocur z moim pistoletem w łapie, domagając się więcej żarcia. Bo chyba wiesz, że to on jest hersztem bandy?

– Zdaje się, że mam jakąś pizzę w zamrażalniku. I chyba zostało trochę wczorajszej zupy. To wszystko.

Leżeli jeszcze przez chwilę w ciemnościach, gdy wreszcie Dominick zapytał niespodziewanie:

– Co znaczą twoje inicjały? Nigdy cię jeszcze o to nie pytałem.

Spięła się nagle. Zaskoczył ją pytaniem, toteż odpowiedziała szeptem, z ociąganiem, jakby wbrew sobie:

– Chloe Joanna.

– Chloe... Podoba mi się. To bardzo ładne imię. Czemu go nie używasz?

– Nie mów tak do mnie, proszę.

– Nie będę, jeśli ci na tym zależy. Chciałbym tylko znać powody.

– Wolałabym o nich nie mówić. To sprawy bardzo osobiste. Ponownie odwróciła się tyłem do niego.

Odczekał chwilę, po czym westchnął głośno:

– Dlaczego masz przede mną aż tyle tajemnic? Czemu nie chcesz mnie do

nich dopuścić?

– To imię należy do mojej przeszłości, o której wolałabym nie rozmawiać.

– Ale twoja przeszłość jest częścią ciebie. – Urwał na moment, po czym dodał ciszej: – Ja również chciałbym być częścią twojego życia, C.J.

– Przeszłość oznacza tylko, kim byłam kiedyś, a nie kim jestem teraz. To wszystko, co mogę ci dać, Dominicku. – Pospiesznie usiadła na łóżku.

On także się podniósł i wkładając spodnie, mruknął z rezygnacją:

– W porządku. Zaczekam, aż będziesz na to gotowa. Co powiesz na omlet? Masz w domu jajka?

Nie odpowiedziała. Siedząc tyłem do niego na brzegu tapczanu, odezwała się po chwili:

– Musimy porozmawiać, ale boję się, żebyś nie odebrał źle tego, co chcę ci powiedzieć. Za kilka dni zaczyna się proces i chciałabym, żebyśmy podczas jego trwania... nie byli razem, żebyśmy się nie spotykali. Mam obawy, że znajdziemy się oboje pod ostrzałem prasy, nasi szefowie będą nam się bacznie przyglądać, a zdaje mi się, że uczucie do ciebie mam wypisane na twarzy, kiedy jesteśmy razem. Dlatego wolałabym, byśmy trzymali się bardziej na dystans.

Te słowa dotknęły go do żywego. Poczł się tak, jakby wymierzyła mu policzek.

– Jakie to ma znaczenie, czy ktoś domyśli się naszych wzajemnych uczuć do siebie, czy nie?

– Dla mnie ma. Nie mogę zawalić tej sprawy, Dominicku. Po prostu nie mogę. Bantling musi odpowiedzieć za to, co zrobił.

– Masz rację. I na pewno odpowie. Tyle mogę ci obiecać. – Okrążył róg tapczanu i usiadł przy niej. – Robimy wszystko, co w naszej mocy. Sprawa jest raczej ewidentna, a ty jesteś doskonałym prokuratorem. Na pewno nie

ujdzie mu to płazem. – Delikatnie wziął ją pod brodę, odwrócił twarzą do siebie i spojrzał w oczy. – Czym aż tak bardzo zalał ci za skórę? Co jeszcze zrobił? Proszę, powiedz mi prawdę.

Wydawało mu się, że wreszcie zacznie mówić. Wargi jej zadrżały, a po policzkach stoczyły się łzy. Szybko się jednak opanowała.

– Nie mogę. – Szybkim ruchem otarła dłonią łzy z twarzy. – Naprawdę zależy mi na tobie, Dominicku. Nawet bardziej, niż myślisz. Ale musimy się trzymać na dystans w czasie rozprawy. Potrzebna mi jest szersza perspektywa i bardzo cię proszę, byś to zrozumiał.

Sięgnął po swoją koszulkę i szybko wciągnął ją przez głowę. W milczeniu skończył się ubierać, zerkając tylko od czasu do czasu na jej zgarbione plecy. Kiedy wreszcie otworzył drzwi sypialni i do środka wpadło światło z kuchni, burknął lodowatym tonem:

– Wykluczone. Nie prosz mnie więcej, bym zrozumiał, bo to po prostu niewykonalne.

Ze stolika w dużym pokoju zabrał swój pas z kaburą oraz kluczyki od samochodu i wyszedł.

Boczne drzwi otworzyły się gwałtownie i sędzia Chaskel energicznym krokiem wkroczył na salę, aż toga uniosła się za nim jak długi welon, gdy wchodził na podwyższenie za stołem prezydialnym.

– Proszę wstać! Sąd zaczyna obrady! Przewodniczy sędzia Leopold Chaskel Trzeci – huknął nieco przestraszony woźny.

Na widowni zapadła cisza. Sędzia włożył okulary i ze zmarszczonymi brwiami powiódł wzrokiem po liście kandydatów na przysięgłych, którą Janinę, jego sekretarka, zawczasu położyła na stole. Ława przysięgłych świeciła pustkami, podobnie jak rzędy ław po prawej stronie sali odgradzonych linką od głównego przejścia. Były zarezerwowane dla potencjalnych przysięgłych, z których miał się dokonać wybór dwunastu sędziów. Gapie i dziennikarze tłoczyli się w rzędach po lewej. Było dziesięć po dziewiątej w poniedziałek, osiemnastego grudnia.

– Witam wszystkich zebranych i przepraszam za spóźnienie. Uczestniczyłem w świątecznym śniadaniu kolegium sędziowskiego. Taka to pora roku. – Rozejrzał się po sali, po czym znad okularów obrzucił krytycznym spojrzeniem sekretarkę siedzącą przy biurku dokładnie na wprost niego, przed stołem prezydialnym. – Skoro już mowa o porze roku, na sali rozpraw nie wypada siedzieć w nakryciu głowy, Janinę. – Sekretarka błyskawicznie ściągnęła długą biało-czerwoną czapkę Świętego Mikołaja i upchnęła ją gdzieś pod biurkiem. Chaskel odchrząknął i zaczął dalej: – Zebraliśmy się tu dziś w sprawie stan Floryda kontra... – Urwał nagle i znów rozejrzał się po sali, po czym zapytał z marsową miną: – A gdzie jest oskarżony?

– Jeszcze nie dotarł z więzienia. Ale już go prowadzą – odparł woźny.

– Dlaczego nie zrobiono tego wcześniej? Posiedzenie miało się rozpocząć punktualnie o dziewiątej, Hank, a nie kwadrans później. Tylko sędzia ma prawo się spóźnić.

– Rozumiem, panie sędzio, ale wygląda na to, że po drugiej stronie ulicy mieli z nim jakieś poważnie problemy – wyjaśnił woźny. – Podobno stawiał opór.

Poirytowany sędzia Chaskel pokręcił głową.

– Nie chciałbym, aby oskarżonego doprowadzano siłą na salę rozpraw przed oczyma przysięgłych. Mogłoby to ich źle do niego nastawić. Dlatego nie wpuszczaj ich na razie, dopóki nie zjawi się tu oskarżony. Ilu potencjalnych przysięgłych stawilo się na wezwanie, Hank?

– Dwustu.

– Wszyscy? Mimo zbliżających się świąt? To bardzo dobrze. Zaczniemy od pierwszej pięćdziesiątki i zobaczymy, jak nam pójdzie. I chciałbym jeszcze zamienić parę słów z panem Bantlingiem, nim zaczniemy przesłuchiwać kandydatów w tej sprawie. – Tak samo krytycznym wzrokiem spojrzął znad okularów na Lourdes. – Panno Rubio, pani klient zyskuje reputację kłopotliwego podsądnego, i to zarówno na tej sali, jak i poza nią.

Lourdes była wyraźnie zmieszana, jakby poczuwała się do winy za naganne zachowanie swojego klienta. W ubiegłym tygodniu, podczas ostatniego zebrania w sprawie wniosków formalnych, C.J. widziała ją po raz pierwszy od Halloween i jak w trakcie wcześniejszego spotkania przed gabinetem sędziego zwróciła uwagę, że prawniczka unika jej wzroku.

– Bardzo mi przykro, panie sędzio... – zaczęła Rubio, lecz przerwał jej donośny huk, z jakim otworzyły się drzwi za ławą przysięgłych.

Trzech barczystych strażników więziennych wprowadziło na salę

William Bantlinga skutego kajdankami i łańcuchami w kostkach nóg. Miał na sobie elegancki grafitowy garnitur włoskiego kroju, białą koszulę i jasnoszary jedwabny krawat, także pochodzący z salonu mody. Na oko w trakcie pobytu w więzieniu schudł z dziesięć kilogramów, ale poza tym wyglądał zdrowo i krzepko. Tylko lewą stronę twarzy miał zaczerwienioną, pod okiem zaczynał się tworzyć duży siniak. Kiedy strażnicy dość gwałtownie posadzili go na krześle za stołem obrony, Lourdes dość wyraźnie odsunęła się od niego.

– Proszę jeszcze nie zdejmować oskarżonemu kajdanek. Wcześniej chciałem zamienić z nim parę słów – oznajmił Chaskel. – Dlaczego tak późno został doprowadzony na salę rozpraw?

– Wywołał bójkę, panie sędzio – odparł jeden ze strażników. – Zaczął przeklinać i wrzeszczeć na nas, że nie pójdzie do sądu bez swojej biżuterii. Nazwał nas bandą złodziei. Musieliśmy go skrepować i siłą wywlec z celi.

– A dlaczego nie pozwoliliście mu założyć biżuterii?

– Ze względów bezpieczeństwa.

– Czyżby jego zegarek albo sygnet stwarzał jakieś zagrożenie? Nie dajmy się zwariować. Zezwalam, aby na czas rozprawy sądowej oskarżony mógł wkładać swoją biżuterię. – Sędzia Chaskel spod zmrużonych powiek obrzucił go surowym spojrzeniem. – Proszę mnie posłuchać, panie Bantling. Byłem świadkiem pańskich wybuchów na tej sali i słyszałem o problemach, jakie stwarza pan poza nią. Dlatego chcę pana kategorycznie ostrzec, że nie jestem ani tolerancyjny, ani zbyt cierpliwy. Po trzech wyskokach zostanie panu odebrane prawo do uczestniczenia we własnym procesie, a dwóch już zdążył się pan dopuścić. Jeśli zajdzie potrzeba, każę pana całkowicie skrepować i zakneblować. Będzie pan każdego dnia doprowadzany na tę salę w czerwonym więziennym kaftanie, jeśli nie zacznie się pan zachowywać

poprawnie. Czy wyrażam się jasno?

Bantling skinął głową i śmiało patrząc sędziemu prosto w oczy, rzekł:

– Tak, Wysoki Sądzie.

– Są jeszcze jakieś inne sprawy czy możemy wreszcie przystąpić do wyboru przysięgłych?

Bantling obejrzał się na C.J., jakby chciał jej dać do zrozumienia, że ich wspólna tajemnica wciąż spoczywa na samej krawędzi otchłani.

Chaskel odczekał jeszcze chwilę i ciągnął dalej:

– W porządku. Jeśli nie ma innych spraw, przejdźmy do rzeczy. Proszę zdjąć oskarżonemu kajdanki i łańcuchy, a ty, Hank, wezwij na salę pierwszą pięćdziesiątkę szczęściarzy. Chciałbym zakończyć wybór przysięgłych w tym tygodniu, żebyśmy po przerwie świątecznej mogli od razu przystąpić do procesu.

Nie zważając na to, że świat zaczyna jej wirować przed oczyma, a strach ściska za gardło, C.J. odważnie wytrzymała przenikliwe spojrzenie Bantlinga. Dostrzegła więc, jak ledwie zauważalnie w kąciku ust wysunął czubek języka, lubieżnie przeciągnął nim po górnej wardze, po czym uśmiechnął się lekko. Oczy silnie mu błyszczały w jaskrawym świetle jarzeniówek.

Domyśliła się od razu, że nie nastąpi to jeszcze dzisiaj, że na razie zachowa tajemnicę w sekrecie przed całym światem. Najwyraźniej jej niepewność i wyczekiwanie sprawiały mu satysfakcję. Traktował tę tajemnicę jak śmiercionośną broń, której zamierzał dobyć wtedy, gdy będzie najbardziej potrzebna, i zaatakować nią błyskawicznie, ostro, mierząc w jej czułe miejsce.

Wiedziała też, że atak nastąpi niespodziewanie.

Skład sędziowski złożony z pięciu kobiet i siedmiu mężczyzn został zaprzysiężony w piątek, dokładnie o 2.42 po południu, a więc osiemnaście minut przed wcześniejszym zamknięciem sesji ze względu na przerwę świąteczną. Na Florydzie nie stosowano sekwestracji, zatem przysięgli mogli wrócić do swoich domów. O werdykcie co do winy Bantlinga miało zdecydować czworo Latynosów, dwóch czarnych i sześcioro białych. Najmłodszym przysięgłym został dwudziestoczteroletni instruktor nurkowania, najstarszym siedemdziesięciosześcioletni emerytowany księgowy. Wszyscy mieszkali w Miami i choć gremialnie przyznali, że albo słyszeli, albo czytali w prasie o sprawie Kupidyna, to jednak nie mieli wciąż wyrobionego zdania co do winy oskarżonego. Wszyscy przysięgli na Biblię, że uchwałą sprawiedliwy werdykt, zachowując bezstronność.

Sala całkowicie opustoszała, nim C.J. spakowała dokumenty do teczek, pozbierała akta i ruszyła z powrotem do swojego gabinetu. Nawet dziennikarze wyjątkowo wyszli w pośpiechu, uznawszy widocznie, że wybór ławy przysięgłych był nudny i nieciekawym.

Biuro prokuratora stanowego także świeciło pustkami. Tigler zarządził jego zamknięcie o piętnastej, ale wszyscy poszli do domu już koło południa. C.J. noga za nogą przeszła przez wyludniony sekretariat, udekorowany gwiazdkowymi ozdobami, z koszami pełnymi porwanych opakowań z błyszczącego czerwonego, białego i zielonego papieru. Wielki wózek, używany na co dzień do przewożenia akt z mieszczącego się w piwnicach archiwum, stał porzucony przy kserokopiarce, piętrzyły się na nim plastikowe kubeczki z pozostałościami napojów gazowanych i papierowe

talerzyki z resztkami potraw po świątecznym przyjęciu, które ją ominęło. Wielu prokuratorów wydziału zabójstw już w poniedziałek wyjechało na dwutygodniowe wakacje, chcąc przed końcem roku wykorzystać zaległe urlopy, zanim bezpowrotnie przepadną, toteż gabinety wzdłuż korytarza również były ciemne i puste.

Odłożyła te akta, które były jej potrzebne do przygotowania szkicu mowy końcowej, a pozostałe zamknęła na klucz w regale. Wzięła z oparcia krzesła płaszcz i torebkę, dźwignęła wypchaną teczkę i popychając przed sobą wózek, ruszyła do windy. Wielokrotnie słyszała, że najwięcej samobójstw ludzie popełniają właśnie w okolicach Święta Dziękczynienia, świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Nie dla wszystkich były to najbardziej radosne okresy w roku. Niektórzy właśnie wtedy czuli się najbardziej osamotnieni.

Przeszła przez hol i wyszła na pusty, tonący już w mroku parking. Zatrzymała się tuż za drzwiami i pospiesznie zapięła płaszcz. Nawet tu, na dalekim południu, od strony rzeki Miami po zmroku potrafił wiać lodowato zimny wiatr, gdy jak teraz nadciągał nad Florydę paskudny zimowy niż.

Wszyscy mieli jakieś plany na święta, które zamierzali spędzić z przyjaciółmi albo rodziną, tylko nie ona. Wciąż nie miała nikogo bliskiego, już od lat przymusowa przerwa w pracy miała jej minąć bez „Chwały na Wysokościach”, „Pokoju na Ziemi”, „Ludzi Dobrej Woli” czy innych utartych zwrotów drukowanych na tanich świątecznych kartkach z supermarketów. Oczywiście, zawsze mogła się wybrać na te dwa dni do Kalifornii i odwiedzić rodziców, lecz ich spotkania nieodmiennie przyćmiewały ponure wspomnienia, uniemożliwiające nawet normalną rozmowę, nie mówiąc o jakiegokolwiek radości. Matka ostentacyjnie unikała wszelkich smutnych tematów, mówiąc na okrągło wyłącznie o pogodzie albo najnowszych musicalach. A ojciec tylko patrzył na nią ze smutkiem w

oczach, jakby wciąż oczekiwał, że znów stanie się beztroskim, roześmianym podlotkiem. Jedna tygodniowa wizyta w ciągu roku, podczas letnich wakacji, była dla niej wystarczająco trudna, nie umiała sobie nawet wyobrazić świątecznego obiadu z rodzicami. Bantling pozbawił ją także tego. Jak co roku, święta zamierzała spędzić w towarzystwie Lucy i Tibby'ego, przy pieczonym indyku. Postanowiła jednak tym razem zrezygnować z ulubionej piosenki Jimmy'ego Stewarta *It's a Wonderful Life*, żeby przy kuchennym stole w spokoju poprawiać mowę początkową, szykować pytania dla świadków czy wreszcie szkicować mowę końcową, mającą się przyczynić do zadania mordercy śmiertelnego ciosu.

Od początku tygodnia nie spotykała się i nie rozmawiała z Dominikiem. Ciekawa była, jak on spędzi święta. U rodziny? Z przyjaciółmi? W samotności? Nagle uświadomiła sobie, jak mało o nim wie. Miała jednak nadzieję, że już niedługo to się zmieni. Pocieszała się myślą, że gdy proces dobiegnie końca, może uda im się zacząć na nowo od tego etapu, na jakim przerwali znajomość, chociaż w głębi serca żywiła obawy, że będzie to niemożliwe. Dał to wyraźnie do zrozumienia, gdy przed tygodniem wychodził z jej mieszkania, a ona bez słowa pozwoliła mu wyjść.

Niech to będzie kolejne poświęcenie dla wyższych celów.

Ale to poświęcenie wcale nie było takie łatwe.

Dotarła do swojego dżipa, wrzuciła do środka teczkę i akta, uniesieniem ręki dała znać stojącemu w drzwiach strażnikowi, że wszystko w porządku, po czym usiadła za kierownicą. Uruchomiła silnik i powoli wyjechała z parkingu w kierunku Fort Lauderdale oraz czekającego w lodówce na upieczenie mrożonego indyka, nie zauważywszy kryjącego się w zaroślach człowieka, który odprowadził ją uważnym wzrokiem.

Obserwował ją i czekał na dogodny moment.

– Gdybym tylko siedziała na tej sali i w ogóle się nie odzywała, uznaliby państwo oskarżonego za winnego, chociaż przepisy prawa mówią inaczej – zaczęła swoją mowę Lourdes.

Wciąż siedziała przy stole obrony i patrzyła przy tym na sędziego, choć zwracała się do przysięgłych, można więc było odnieść wrażenie, że tylko głośno myśli. C.J. ledwie zdążyła usiąść po zakończeniu swojego wystąpienia, jej zdaniem dobrego, rzetelnego i konkretnego, niezostawiającego miejsca na spekulacje, podczas którego przemawiała głównie do widowni i ustawionych przed nią kamer telewizyjnych. Teraz przyszła kolej na mowę wstępną obrony.

Lourdes zawiesiła na krótko głos, po czym odwróciła się wreszcie na krześle w stronę ławy przysięgłych, obrzucając ich wzrokiem pełnym niedowierzania i udawanej konsternacji.

– Wszyscy państwo widzą teraz w moim kliencie rzeźnika. Są państwo przerażeni i zdegowani nadzwyczaj sugestywną i krwawą wizją, jaką pani prokurator kreśliła przed wami przez ostatnią godzinę. Bez wątpienia Anna Prado była piękną młodą kobietą, którą szalony sprawca brutalnie zamordował. Uważają państwo mojego klienta za winnego, jakby same słowa pani prokurator upoważniały do takiej konkluzji. Państwo wręcz chcą być przerażeni i zdegowani widokiem Williama Bantlinga, mimo że zdrowy rozsądek podpowiada, iż ten elegancko ubrany, dobrze wykształcony, bogaty biznesmen z pewnością nie zasługuje na taką reakcję.

Położyła dłoń na ramieniu Bantlinga jakby na dowód swojego wsparcia dla niego, trzymała ją przez chwilę, wreszcie energicznie pokręciła głową.

– Ale to, co pani prokurator zawarła w swojej mowie wstępnej, szanowni państwo, to nie są dowody. Ani fakty. To wyłącznie przypuszczenia. Domysły. Spekulacje. To także nadzieja, że przedstawione przez nią dowody i fakty, a raczej dowody i fakty, które ma nadzieję przedstawić w trakcie tego procesu, zestawione ze sobą ułożą się w coś, co w jej przekonaniu tworzy logiczny ciąg. Pani prokurator chce państwa przekonać do tej konkluzji, którą już państwu przedstawiła: że mój klient jest winny morderstwa z premedytacją. Muszę was jednak ostrzec, szanowni państwo, że fakty nie zawsze wyglądają tak, jak można by z pozoru sądzić; czasami, niezależnie od tego, jak sugestywnie i krwawo się je przedstawia, zestawione ze sobą wcale nie układają się w logiczną całość.

Dopiero teraz wstała z miejsca, podeszła do barierki i powiodła wzrokiem po twarzach przysięgłych. Niektórzy pospiesznie odwrócili głowy, jakby wstydziła się, że słusznie oskarżyła ich o przedwczesne wyciąganie wniosków i złamanie przysięgi złożonej zaledwie w ubiegły piątek.

– Wszyscy producenci filmowi działają tak samo i stawiają przed sobą takie same cele. Dążą mianowicie do tego, byście państwo obejrżeli wyprodukowany przez nich film. Film o wielomilionowym budżecie, którego produkcja zajęła wiele miesięcy. I w swoich staraniach będą próbowali przekonać państwa, jak wspaniały jest to film, jeszcze zanim postanowicie wybrać się do kina. Zapragną wywołać w was podziw dwuminutową reklamówką, nakłonić do tego, żebyście zaczęli przekonywać swoje rodziny i znajomych, że to faktycznie wspaniały film, choć przecież jeszcze go nie obejrżeliście; namawiać, byście kupowali plakaty, koszulki z nadrukami i inne towary reklamowe, po czym oddawali swoje głosy na najlepszych aktorów, także jeszcze przed zajęciem miejsca w kinie. I wielu z państwa to zrobi, nadal nie obejrzwawszy filmu. A wszystko tylko z powodu ekscytującej

dwuminutowej reklamówki, której celem jest wyrobienie w was przekonania, że naprawdę warto iść na ten film. Bo rzeczywiście musi być wspaniały. To przecież murowany kandydat do Oscara. Równie doskonale wywiązała się dziś ze swego zadania panna Townsend, szanowni państwo. Przygotowała reklamówkę pełną gwałtownych zwrotów akcji, krwawych i przerażających szczegółów oraz masy efektów specjalnych. Zaprezentowała ją wspaniale. Ja jednak muszę ostrzec, byście nie kupowali państwo jeszcze biletów na ten film. Bo tak jak krótki ciąg zmontowanych chwytliwych scen, tworzących wspaniałą reklamówkę utalentowanego reżysera... – tu obróciła się i popatrzyła na C.J., zawiesiwszy na krótko głos dla zwiększenia efektu – ...wcale nie oznacza jeszcze, że i film jest wspaniały, tak samo szereg zestawionych luźno krwawych i odrażających faktów nie przesądza jeszcze o winie oskarżonego. Niezależnie od tego, jak dużo zastosuje się efektów specjalnych, by oszołomić widzów, kiepski film pozostanie kiepskim filmem.

Mój klient jest niewinny. Nie jest zabójcą. Nie jest seryjnym mordercą. To zdolny, cieszący się poważaniem biznesmen, którego największym wykroczeniem przeciwko prawu był dotąd mandat za nadmierną szybkość.

Alibi? Pana Bantlinga nawet nie było w domu o tej porze, kiedy według specjalisty z zakresu medycyny sądowej Anna Prado została jakoby zamordowana w szopie na jego podwórzu. Mój klient udowodni to państwu, chociaż zgodnie z przepisami prawa nie musi niczego udowadniać.

Narzędzie zbrodni? Pan Bantling jest znanym preparatorem zwierząt, jego prace można obejrzeć w wielu tutejszych muzeach i różnych instytucjach. Skalpel znaleziony w jego szopie stanowi narzędzie pracy przy wypychaniu zwierząt, a nie narzędzie zbrodni. Wykryte na jego ostrzu mikroskopijne ślady krwi są pochodzenia zwierzęcego, a nie ludzkiego. Mój klient i to państwu udowodni, chociaż w rzeczywistości nie musi niczego udowadniać.

Krew? Te krwawe smugi, które w sugestywnej mowie panny Townsend zostały jakoby wykryte „w całej szopie”, są również pochodzenia zwierzęcego. To nie jest ludzka krew. Pozwolę sobie zaznaczyć, że jedynie w trzech... – Uniosła w górę dłoń z trzema wyprostowanymi palcami i przedefilowała przed barierką, uważnie zaglądając w twarze przysięgłych. – ...dokładnie w trzech mikroskopijnych plamkach krwi analiza wykazała obecność DNA Anny Prado, chociaż oskarżenie utrzymuje, że cała szopa została spryskana krwią zamordowanej w chwili rozcięcia jej aorty. A jednak znaleziono tylko trzy mikroskopijne krople jej krwi. W dodatku, szanowni państwo, odnalazł je zdesperowany agent specjalnej grupy dochodzeniowej, któremu szczególnie zależało na przypisaniu jakiejś twarzy i jakiegoś nazwiska seryjnemu zabójcy, Kupidynowi, ściganemu od ponad roku. Agent, którego dalsza kariera jest uzależniona od rezultatów jego polowania na Kupidyna.

Bagażnik? Jaguar mojego klienta stał przez dwa dni w warsztacie samochodowym, zanim pan Bantling odebrał go dziewiętnastego września. Wóz znajdował się poza jego zasięgiem i kontrolą. A po jego odebraniu, mój klient nawet nie zajrzał do bagażnika, tylko wrzucił torbę podróżną na tylne siedzenie i pojechał na lotnisko, ponieważ tamtego wieczoru wyruszał w kolejną podróż służbową. I to państwu udowodni, chociaż, jak powtarzam, nie ma obowiązku niczego udowadniać.

Proszę zwrócić uwagę, że na zwłokach Anny Prado nie znaleziono ani jednego odcisku palca, włosa, włókna, zadrapania, plamy czy jakiegokolwiek substancji pozwalającej łączyć jej śmierć z osobą pana Bantlinga. I chociaż w trakcie tej rozprawy nie będzie on odpowiadał za śmierć pozostałych ofiar Kupidyna, gdyż nie został oskarżony o żadne inne zbrodnie, pozwolę sobie zauważyć, że nie ma też absolutnie żadnych dowodów łączących pana

Bantlinga choćby zjedna z pozostałych dziesięciu zamordowanych kobiet. Żadnego odcisku palca, włosa, włókna, plamy czy zadrapania. Ani śladu jego DNA. Ani jednego namacalnego dowodu pozwalającego obwiniać go za śmierć tamtych kobiet.

– Sprzeciw – powiedziała C.J., wstając z krzesła. – Fakty dotyczące innych dochodzeń nie mają związku z tą sprawą i są nieistotne.

– Podtrzymuję.

Niemniej wyłom został zrobiony. Adwokatka musiała zapewnić przysięgłych, że nic nie łączy Bantlinga z pozostałymi ofiarami Kupidyna. Absolutnie nic.

Lourdes pochwyciła wzrok kobiety, która na samym początku odwróciła głowę, jak gdyby bała się spojrzeć jej w oczy. Teraz patrzyła na nią z uwagą i kiwała głową ze zrozumieniem, od czasu do czasu zerkając ciekawie na Bantlinga. C.J. była niemal pewna, że powtarza w myślach: „On rzeczywiście nie wygląda na seryjnego mordercę”. Pochwyciwszy przyjazny uśmiech oskarżonego, przysięgła uśmiechnęła się wstydliwie i pospiesznie odwróciła głowę.

– A zatem ów przerażający ciąg wydarzeń, szanowni państwo, w rzeczywistości wcale nie wygląda tak przerażająco. Film nie jest tak wspaniały, jak można by sądzić po reklamówce. Dlatego proszę nie dać się zwieść ani efektom specjalnym, ani krwawym dowodom zbrodni, ani krzykliwym tytułom artykułów o seryjnym mordercy drukowanych na pierwszej stronie „Miami Herald”. Proszę pamiętać o złożonej przysiędze bezstronności i... nie kupować jeszcze biletów do kina.

Lourdes szybko zakończyła mowę i nie spojrzawszy nawet na osłupiałą widownię, usiadła przy stole obrony. Jej klient na dowód uznania delikatnie położył rękę na jej dłoni, a chwilę później po jego policzku stoczyła się

teatralnie samotna krokodyla łąza.

C. J. uświadomiła sobie nagle, że znalazła się w poważnych kłopotach.

. 73 .

– Na miłość boską! Jak mogłaś to przeoczyć?! – Tigler nerwowo chodził z kąta w kąt i raz za razem przeciągał dłonią po czubku głowy. – Wyglądamy teraz jak banda zasmarkanych nowicjuszy, szykujących się przed fikcyjnym trybunałem do pierwszej w życiu rozprawy!

– Skąd mogłam to wiedzieć, Jeny? Bantling zrezygnował z rozpatrywania materiału dowodowego. Sądziłam, że w śledztwie wszystko jest dopięte na ostatni guzik. Ale jak widać, bardzo się pomyliłam.

– Wóz tego faceta przed aresztowaniem stał przez dwa dni w warsztacie samochodowym, a śledczy ze specjalnej grupy dochodzeniowej, czyli teoretycznie najlepsi i najbardziej doświadczeni, nawet na to nie wpadli, bo nikt im nie powiedział, żeby sprawdzić taką ewentualność?

Tigler robił się czerwony jak burak. C.J. jeszcze nigdy nie widziała go tak rozwścieczonego.

– Sam fakt, że wcześniej samochód stał przez dwa dni w warsztacie, nie świadczy jeszcze o niewinności Bantlinga. W końcu to on nim jechał ze zwłokami Prado w bagażniku.

– To prawda, ale i tak wyszliśmy na bandę żądnych krwi prokuratorów, którzy zaniedbali swoje obowiązki, chcąc jak najszybciej dopaść seryjnego mordercę, i przedstawili opinii publicznej kozła ofiarnego. Wyszliśmy na amatorów, a ja nie życzę sobie oskarżeń o amatorszczyznę, zwłaszcza wobec przyszłorocznych wyborów.

– Zajmę się tym, Jeny. Za dziesięć minut spotykam się ze śledczym Alvarezem i agentem Falconettim. Naprawimy to przeoczenie.

– Mam nadzieję, C.J., bo teraz nawet federalni nie będą chcieli tknąć tej

sprawy. Tom de la Flors natychmiast wycofał swój akt oskarżenia, jak tylko usłyszał nowiny. Jest zdania, że trzeba dalej prowadzić śledztwo, by uniknąć skazania niewinnego człowieka na podstawie samych poszlak. – Zatrzymał się wreszcie i otarł spocone dłonie o spodnie. – Do diabła. Wyszliśmy na idiotów.

– Naprawię to, Jeny.

– W pełni ci zaufałem w tej sprawie, C.J. Więc lepiej się przyłóż do roboty. To wszystko, co ci mogę powiedzieć. – Szybkim ruchem przygładził tupecik na łysinie i położył rękę na klamce. – I naprawdę zrób wszystko, co w twojej mocy, byśmy mieli pewność, że w komorze śmierci nie wstrzykniemy trucizny niewinnemu człowiekowi.

Drzwi zamknęły się za nim z głośnym hukiem. Chwilę później rozległo się delikatne pukanie i Manny ostrożnie zajrzał do środka.

– Pani szef wyglądał okropnie. Boją się, żeby nie dostał apopleksji.

– Wtedy mielibyście nas oboje na sumieniu.

Alvarez wszedł do gabinetu, a tuż za nim wkroczył Dominick. Przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu.

– Jak to się stało, do diabła? – zapytała w końcu zdesperowanym głosem, opierając się dłońmi o brzeg biurka. – Jak mogliśmy nie wiedzieć, że wóz stał w warsztacie? Co się z nim działo przez ostatnie dwa tygodnie, zanim w bagażniku odkryto zwłoki Anny Prado?

– Przecież wiesz, C.J., że Bantling w ogóle nie chciał z nami rozmawiać. Wrzaskiem domagał się wezwania swojego adwokata, jeszcze zanim go zabrali z mostu. A później zrezygnował z omawiania materiału dowodowego – wyjaśnił półgłosem Dominick, z widocznym trudem zachowując panowanie nad sobą. – Przesłuchaliśmy trzysta osób i nie mieliśmy żadnych podstaw, aby przypuszczać, że jaguar był w warsztacie samochodowym. To

całkiem nowy wóz.

– Musiał to zaplanować od początku do końca. Specjalnie dopiero teraz ujawnił ten fakt, żeby nas ośmieszyć przed przysięgłymi. Powinnam była to przewidzieć, bo przecież Lourdes już wielokrotnie stosowała podobną taktykę, wciągała prokuratorów w zastawioną pułapkę. Po prostu nie sądziłam, że i teraz zastosuje podobny chwyt, bo gra toczy się o najwyższą stawkę, a materiał dowodowy jest tak mocny...

– Niemalże oskarżyła mnie publicznie o sfabrykowanie dowodów, żeby jak najszybciej dokonać aresztowania. Wyobrażasz sobie, C.J., jak mogę się teraz czuć? – rzucił Dominick z wściekłością, podnosząc głos. – Przecież świetnie wiesz, że nie tylko ty robisz w tej sprawie wszystko, aby winny znalazł się za kratkami.

– Pani prokurator – odezwał się Manny miękkim łagodnym basem, chcąc trochę ostudzić atmosferę. – Już rozesłaliśmy naszych ludzi, sprawdzamy każdy warsztat w promieniu dziesięciu kilometrów.

– Rozszerzcie go do dwudziestu. Trzeba koniecznie odszukać ten warsztat i sprawdzić, czy nikt nie zauważył niczego podejrzanego.

– Dobrze, uwzględnimy dwadzieścia kilometrów. Poza tym chcemy jeszcze raz porozmawiać ze świadkami, głównie z jego współpracownikami i znajomymi, o których nam dotąd wiadomo...

– Tylko się pospieszcie, bo sędzia Chaskel nie zamierza przeciągać procesu. Już zapowiedział, że będzie zaczynał posiedzenia z samego rana i kontynuował je do późnego wieczoru. Nie mamy za dużo czasu.

– I tak będziemy musieli w spokoju poczekać, żeby się przekonać, co Bantling ma na swoją obronę – wtrącił Dominick.

– Ale wtedy może już być zdecydowanie za późno. Jeśli przysięgli nabiorą przekonania, że nie mamy wystarczających dowodów, a w dodatku

zaczynamy przeciągać sprawę, na pewno go uniewinnią. Nie możemy do tego dopuścić. Nie pozwolę, żeby Bantling wyszedł na wolność!

Jak poprzednio odniosła wrażenie, że jej fasada, mozolnie składana i sklejana przez lata psychoterapii, zaczyna się kruszyć i rozpadać niemalże na wszystkie strony. Nerwowo przeciągnęła dłońmi po włosach, desperacko usiłując zachować jasność myśli. Dominick obserwował ją bacznie.

Patrzył, jak się rozkleja, rozsypuje się w proch na jego oczach.

–Chcę jeszcze raz przejrzeć wszelkie zapisy i notatki. Absolutnie wszystkie. Spróbuję ustalić, jakie jeszcze kłody zamierza nam rzucić pod nogi. I muszę to wiedzieć, zanim całkowicie przejmie kontrolę nad biegiem wydarzeń – oznajmiła stanowczym głosem, zwracając się głównie do samej siebie.

Kiedy podniosła głowę, obaj przyglądali się jej z uwagą. W gabinecie zapadło kłopotliwe milczenie.

– Nie rozumiecie? On to wszystko zaplanował – dodała w końcu wyraźnie roztrzęsionym, chrapliwym szeptem. – Daliśmy się schwytać w pułapkę, której nawet przez chwilę się nie spodziewałam...

Przenikliwy świergot telefonu komórkowego wyrwał Dominicka ze snu. Popatrzył na telewizor, ale zamiast Jay Leno i jego rozmówcy ujrzał reklamówką środka do skutecznej depilacji. Wyprostował się na kanapie, spojrzął na aparat i zamrugał szybko, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że to jawa, a nie sen.

– Falconetti – rzucił do mikrofonu.

– Kto to jest DR? – rozległo się pytanie zadane stanowczym głosem.

– Słucham? To ty, C.J.? – Potarł palcami oczy i rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem po pokoju, wypatrując budzika. – Która godzina?

– Pierwsza w nocy. Kto to jest DR? Albo co to jest DR?

– O co ci chodzi? Skąd dzwonisz?

– Z biura. Od czterech godzin przeglądam stare terminarze i kalendarzyki Bantlinga, które zabraliście z jego domu. Inicjały DR pojawiają się w nich sporadycznie od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku aż do dzisiaj. Nie ma przy nich żadnych dodatkowych informacji. Konkretnie są zapisane w terminarzu na dzień przed zniknięciem Anny Prado, a następnie w przeddzień aresztowania Bantlinga. Zwróciliście na to uwagę?

– Tak, oczywiście. Szukaliśmy kogoś o tych inicjałach, pytaliśmy o to świadków, ale bez rezultatu. Nie wiemy, kogo albo czego mogą dotyczyć te wpisy.

– Takie same zbieżności znalazłam w przypadku trzech wcześniejszych ofiar. Wpisy DR w terminarzu pojawiają się na kilka dni, a ściślej od dwóch do tygodnia przed zniknięciem każdej z dziewcząt. O co tu może chodzić, do diabła?

– Nie mam pojęcia. To może być równie dobrze coś ważnego, jak i drobiazg bez znaczenia. Nie wiem. Co się stało? Nie zastałaś Manny’ego w domu?

– O co ci chodzi?

– Nie odzywasz się do mnie prawie od dwóch tygodni.

Wiem, że dzwonisz do niego, gdy czegoś potrzebujesz. Dlatego zakładam, że skoro dzwonisz do mnie, to widocznie jego nie zastałaś w domu.

Wyraźna ironia w jego głosie spotkała się z milczeniem na drugim końcu linii.

– Tak... W każdym razie sądziłam, że te inicjały także przeoczyliśmy – powiedziała w końcu, ignorując jego złośliwą uwagę. – Może chodzi o jakieś miejsce, którego jeszcze nie sprawdziliśmy? Może lubił je odwiedzać i właśnie tam...

– Sprawdzaliśmy ten trop – przerwał jej ostro. – Mam wrażenie, że usiłujesz chwytać się brzytwy. Jest bardzo późno.

Znów zapadła cisza. Przemknęło mu przez myśl, że to dla niej znakomita okazja, by odłożyć słuchawkę, ale zaskoczyła go i nie skorzystała z niej. Po chwili odezwała się ciszej, łagodniejszym tonem:

– Przepraszam za wczorajsze zachowanie w moim gabinecie. Niepotrzebnie tak ostro na ciebie wyskoczyłam. Bardzo martwię się taktyką Lourdes, bo nie mam pojęcia, jaką jeszcze niespodziankę dla nas szykuje.

– Nie zapominaj, że mamy do czynienia z czubkiem. Zabawa z nami w kotka i myszkę sprawia mu wielką satysfakcję. Nawet nie wiesz, jak wielką. Tylko dlatego zrezygnował z rozpatrywania materiału dowodowego. Bardzo mu zależało, żebyśmy wypadli kiepsko. Chciał udowodnić, że potrafi nas przechytrzyć. Gdyby rzeczywiście był niewinny, zeznawałby otwarcie od samego początku, dostarczając wszelkich informacji mogących świadczyć o

jego niewinności. Ale zamiast tego przystąpił do tej przedziwnej gry. Nie zapominaj o tym, C.J. Nie pozwól, żeby ci zalazł za skórę, bo jemu tylko na tym zależy.

– Bardzo dobrze dziś odpowiadałeś, zarówno na moje pytania, jak i obrony. Chciałam ci to powiedzieć w sądzie, ale szybko wyszedłeś. W każdym razie Lourdes nie zdołała cię podejść.

– A przecież próbowała. Niemniej, chyba udało jej się zrobić ze mnie zdesperowanego gliniarza, któremu grożą poważne konsekwencje, jeśli nie rozwiąże tej sprawy. Powiedz szczerze, czy według ciebie naprawdę wyglądam na zdesperowanego?

– Nie. Gdyby tak było, nie powołałabym cię na świadka. Zaśmiał się krótko.

– Myślisz, że przysięgli to kupili?

– Nie. Naprawdę uważam, że spisałeś się doskonale.

– A jak poszło Chavezowi?

Najważniejsi świadkowie nie mieli prawa przebywać na sali rozpraw w trakcie zeznań innych świadków, których odpowiedzi mogły wpłynąć na ich punkt widzenia.

– Niewiele lepiej niż w czasie posiedzenia nad wnioskiem formalnym obrony. Przynajmniej wyciągnął wnioski z tamtej nauczki i dzisiaj nie był już taki arogancki i pewny siebie. Ale choć odpowiadał zdecydowanie płynniej, to jednak ogólnie jego zeznania sprawiały wrażenie wykutej na pamięć lekcji, więc w sumie nic na nich nie zyskaliśmy.

– A jak odebrali je przysięgli?

– Pewnie uznali go za głupiego krętacza. W każdym razie wysłuchali w napięciu, ponieważ Lourdes od samego początku była wyjątkowo napastliwa.

C.J. wołała nie wspominać, że i tym razem Rubio wpuściła żółtodzioba w

tę samą ślepą uliczkę, co poprzednio, sterując niebezpiecznie w stronę prawdziwych powodów zatrzymania przez niego czarnego jaguara. Nie chciała mówić, że zimny pot wystąpił jej na czoło i z mocno bijącym sercem czekała na każde następne pytanie, spodziewając się w każdej chwili, że Lourdes nawiąże otwarcie do istoty rzeczy, czyli anonimowego zgłoszenia telefonicznego.

Wciąż zachodziła w głowę, czy Rubio naprawdę o nim wiedziała, czy tylko uciekała się do blefu. A jeśli wiedziała, czy zamierzała to wykorzystać? Czy dysponowała kopią oryginalnego nagrania z centrali zgłoszeniowej? A może nawet wiedziała, kto wtedy zadzwonił na policję? Podejrzewała nawet, że usłyszy ten sam lekko chrapliwy głos u jednego ze świadków obrony, którego pojawienie się na sali przypominałoby złowieszczą scenę ze *Świadka Matlocka*, a jego zaskakujące zeznania niechybnie położyłyby całą jej sprawę.

Jednakże i tym razem Lourdes nie do końca przyparła Chaveza do muru. Wycofała się w ostatniej chwili, zostawiając przysięgłych z sugestią, że za pokrętną opowieścią młodego gliniarza kryje się coś więcej. C.J. znów poczuła ogromną ulgę, jakby zdjęto jej nagle z barków nieznośny ciężar.

– He ci jeszcze zostało?

– Przesłuchanie specjalisty medycyny sądowej, opis miejsca zbrodni i zeznania Mastersona na temat pornograficznych kaset wideo. W sumie dwa, najwyżej trzy dni. Prawdopodobnie obrona dostanie głos już po Nowym Roku, ale z tym sędzią trudno czegokolwiek być pewnym, równie dobrze może się to stać jutro.

– A więc nie żartowałaś, że Chaskel będzie chciał jak najszybciej zakończyć proces. W ciągu tygodnia robi więcej niż niektórzy sędziowie przez miesiąc, zwłaszcza w tak trudnych sprawach. O której jutro zaczyna się

posiedzenie?

– O ósmej. Wczoraj i dzisiaj skończyliśmy po dziewiątej wieczorem. Przysięgli są wściekli, bo szlag trafił ich całą przerwę między świętami a sylwestrem. Mam obawy, że zemści się to na mnie, chociaż nie miałam nic do powiedzenia w kwestii ustalenia terminu rozprawy w tak wspaniałym i radosnym okresie roku.

– Jak ci minęły święta?

Z radością przyjął to, że rozmowa zeszła na luźne tematy i upływała w znacznie swobodniejszej, przyjemnej atmosferze. Wręcz nie umiał wyrazić, jak bardzo się za nią stęsknił.

– W porządku – odparła. – Od Tibby’ego dostałam kłębek puszystej sierści. Naprawdę spory. A tobie?

– Dobrze – skłamał. – Manny zapomniał o prezencie dla mnie, za to sobie załatwił okazałą malinkę na szyi. Coś mi się zdaje, że w prawdziwie świątecznym nastroju sam zrobił co najmniej dwie.

– Poważnie? Mam nadzieję, że nie tobie.

– Nie. Ale nie zdziw się, jak twoja sekretarka nagle zacznie chodzić w golfie.

– Mój Boże. Mężczyźni są strasznie zaślepieni.

– O tak. Święta racja.

Nie odpowiedziała, lecz miał wrażenie, że słyszy stłumiony chichot.

– Tigler ciągle się wścieka? – zapytał, chcąc przerwać kłopotliwe milczenie, gdyż miał drobne wyrzuty sumienia po tej ostatniej uwadze.

– Nie. I mam nadzieję, że nie będzie musiał aż do pomyślnego zakończenia procesu, które z dnia na dzień wydaje mi się coraz mniej pewne.

Znowu usłyszał lekkie drżenie jej głosu, ten sam wyraz podenerwowania, na który zwrócił uwagę podczas rozmowy w gabinecie, gdy wezwała go

razem z Alvarezem na dywanik.

– Wszystko w porządku? – zapytał miękko. – Może chcesz, żebym przyszedł i...

– Będzie lepiej, jak wrócisz do łóżka – przerwała mu szybko, jakby obawiała się usłyszeć to, czego z pewnością się domyślała. Ale jej łamiący się głos świadczył wyraźnie, że zaczęła szlochać. – Przepraszam, że cię obudziłam. Dobranoc.

Przerwała połączenie i prawdopodobnie wybuchnęła płaczem. Oczyma wyobraźni widział, jak siedzi przy biurku i w półmroku szlocha w samotności. Wstał z kanapy i całkiem rozbudzony zaczął niespokojnie krążyć po pokoju.

Była niebezpiecznie blisko granicy załamania nerwowego. Rozpoznawał to po jej głosie i po przerażeniu w oczach, które w ciągu ostatnich dni znów się pojawiło po miesięcznej przerwie. Wystarczył jeden drobny impuls, jedna pomyłka...

Stanął przy oknie i popatrzył w kierunku śródmieścia, gdzie C.J. siedziała w biurze prokuratora, osamotniona i przerażona.

Miał tylko nadzieję, że znajdzie się przy niej i da radę uchronić ją przed upadkiem, gdy przekroczy tę granicę i runie w otchłań.

DR. Nie dawały jej spokoju te inicjały, które pojawiały się nieregularnie w terminarzach Bantlinga. Występowały w różne dni tygodnia i o różnych porach, w ciągu dnia i późnym wieczorem. Ostatni wpis pochodził z dnia poprzedzającego odkrycie zwłok Anny Prado w bagażniku jego auta. Cóż te dwie litery mogły oznaczać? Jakies miejsce? Osobę? Rzecz? Pomysł? A może nic konkretnego?

Aż rozbolała ją głowa. Pociągnęła łyk zimnej kawy, nie zamierzając się jeszcze poddać i wracać do domu. Zresztą, powrót nie miał już większego sensu, posiedzenie rozpoczynało się o ósmej rano, a dochodziło wpół do trzeciej. Popatrzyła na biurko zavalone papierami. Porozkładała na nim notatki zrobione podczas przeglądania służbowych pism i dzienników, terminarzy i kalendarzyków z adresami, wyciągów bankowych i rachunków zabranych z domu Bantlinga oraz przekazanych śledczym przez Tommy'ego Tana. Jak na dłoni miała przed sobą wszystko, co było im wiadomo na temat oskarżonego. Uważnie przeczytała wszelkie służbowe pisma i dzienniki, przekartkowała terminarze spotkań handlowych, przerzuciła wyciągi i rachunki. Zdawała sobie sprawę, że zaczyna to przypominać obsesję, a ona zmierza w stronę trywialnych faktów z życia codziennego, gdzie raczej trudno było oczekiwać dowodów zbrodni. Zwłaszcza że wcześniej przez te same materiały przegryzali się doświadczeni specjaliści o wyczulonym zmyśle detektywistycznym. Czuła się jednak w obowiązku sprawdzić wszystko osobiście i przekonać się, jak wyglądało z pozoru normalne, codzienne życie Bantlinga. Łudziła się nadzieją, że jakimś cudownym zrządzeniem losu natrafi na coś, co śledczy wcześniej przeoczyli...

Odnalazła pod notatkami pękaty aktualny terminarz z książką adresową, który policja znalazła w torbie podróźnej na tylnym siedzeniu jaguara, i zaczęła go przerzucać po raz kolejny. Wyświechtany czarny wizytownik aż pękał w szwach od wizytówek, kartek z adresami, opakowań od zapalek i skrawków barowych serwetek z zanotowanymi w pośpiechu adresami i numerami telefonów. Odczytywała kolejne wpisy, z trudem odcyfrowując gryzmoły Bantlinga. Szukała czegokolwiek, nie potrafiła skonkretyzować swoich podejrzeń. Przypomniała sobie zdanie znajomego grafologa, który powiedział jej kiedyś, że po charakterze pisma byłby w stanie odróżnić człowieka zdrowego psychicznie od szaleńca już na pierwszy rzut oka. Zaciekawilo ją, co miałyby do powiedzenia o Bantlingu, gdyby ujrzal te bazgroły w terminarzu.

Były tu dziesiątki nazwisk, czasami widniało samo imię oraz numer telefonu, w większości chodziło o kobiety. Najwyraźniej musiał zapisywać imiona chyba wszystkich kobiet, jakie poznawał, tak wiele ich było. Niektóre nazwiska powtarzały się w sprawozdaniach z prowadzonych przesłuchań i wywiadów, inne nic jej nie mówiły. Patrząc na imiona setek kobiet, poczuła nagle lodowaty dreszcz na plecach i szybko zajrzała do książki adresowej pod literę L, żeby się upewnić, że nie ma tam jej poprzedniego nazwiska. Pospiesznie przebiegła wzrokiem wszystkie wpisy, ale nie znalazła nikogo o nazwisku Larson. Po krótkim namyśle cofnęła się do litery C i w jeszcze większym napięciu zaczęła sprawdzać kolejne strony, obawiając się w głębi ducha, że lada chwila dojrzy coś w rodzaju: „Jak chcesz się dobrze zabawić, dzwoń do Chloe! 20218 Rocky Hill Road, mieszkanie IB, Bayside, Nowy Jork”. Z mocno bijącym sercem wczytywała się we wszystkie wpisy, jednak nie znalazła niczego podobnego. Głośno odetchnęła z ulgą.

Zaraz jednak zmarszczyła brwi i wróciła na poprzednią stronę,

skojarzywszy znane sobie nazwisko. Odnalazła ten wpis i wyężając wzrok, odcyfrowała drobne i niedbałe, miejscami wręcz nieczytelne pismo Bantlinga, jakby nie mogła uwierzyć własnym oczom. Istnienie wspólnego znajomego bardzo ją zaskoczyło, nigdy by się czegoś takiego nie spodziewać. Natychmiast zaczęła żałować, że natknęła się na ten wpis. Odczytała jeszcze raz:

Chambers, G. 22 Almeria Street Coral Gables, FL

Greg Chambers. Skąd wzięło się jego nazwisko w terminarzu Bantlinga? Jak się poznali? A może wcale się nie znali, tylko Bantling zdobył skądś adres psychoterapeuty i zapisał go sobie na wszelki wypadek, licząc się z możliwością skorzystania kiedyś z jego usług?

C.J. wstała i zaczęła chodzić z kąta w kąt, próbując zebrać myśli. Jeśli się znali, to dlaczego Greg jej o tym nie powiedział? Powinien był to zrobić. Skoro nie zrobił, to zapewne nie miał pojęcia, że jego nazwisko i adres znajdują się w notesie Bantlinga. Zresztą, część adresowa terminarza była zdecydowanie starsza, wpisy mogły pochodzić sprzed wielu lat. Niewykluczone, że kiedyś spotkali się tylko raz na gruncie zawodowym, albo był to ślad po dawnej przelotnej znajomości. Greg, ujrawszy swoje nazwisko w notesie, byłby zapewne równie zdumiony, jak ona. Tak właśnie musiało być.

Ale im dłużej krążyła po gabinecie, gorączkowo poszukując logicznego wyjaśnienia rzeczy niedających jej spokoju, tym bardziej czuła się zagubiona, co powodowało jeszcze większy zamęt w głowie. Tak jakby wszystkie „jeżeli” i „gdyby” zaczęły się nagle dobijać do drzwi jej umysłu.

A jeśli faktycznie się znają? Jeśli są dobrymi przyjaciółmi? Jeśli łączy ich coś więcej? Znowu poczuła paraliżujące ukłucie strachu. Przerazała ją myśl, że nawet w więziennej celi Bantling szczegółowo planował tę rozgrywkę. A także jego słowa, które zapadły jej w pamięć przed laty, mogą się okazać prawdziwe.

Zawsze będę cię obserwował i pilnował, Chloe. Zawsze. Nie uwolnisz się ode mnie, bo zawsze cię odnajdę.

Strach towarzyszył jej na każdym kroku i podsuwał nawet najbardziej irracjonalne myśli.

Obejrzała się na zawalone papierami biurko i kubek z zimną kawą, popatrzyła na zamknięte żaluzje w oknie, tonący w półmroku gabinet, rozświetlony tylko kręgiem światła nocnej lampki i szarawą poświatą monitora komputerowego. Była trzecia w nocy, a o ósmej rano miała się stawić w sądzie na kolejne posiedzenie. Od września nie było nocy, by spała dłużej niż cztery godziny.

Wyciągasz pochopne wnioski. Nie myślisz racjonalnie. Ta sprawa cię wykańcza. Bantling cię wykańcza. Pożera cię żywcem. A ty mu na to pozwalasz.

Stres to jeden z podstawowych czynników w każdej chorobie, zarówno fizycznej, jak i psychicznej. Doskonale wiedziała, jak wielką rolę odegrał w jej załamaniu nerwowym. Musiała nad nim zapanować, nim całkowicie przejmie nad nią kontrolę i po raz kolejny wyrwie ją z życia. Wszelkie jej znajomości, kariera zawodowa – wszystko znów zaczynało wirować w oszalałym tempie. Znów popadała w obłąd, jak wtedy. Analogie były przerażające.

Zdusiła niedopałek w popielniczce i szybko spakowała teczkę, wrzucając do niej również terminarz Bantlinga. Zadzwoiła do recepcji, obudziła strażnika i ruszyła do windy.

Musiała stąd wyjść. Wyrwać się choćby na krótko. Musiała trzeźwo pomyśleć. Musiała odpocząć.

Zanim wirujące wokół niej życie wyrwie się spod kontroli.

Tak samo jak poprzednio.

Estelle właśnie pakowała rzeczy do dużej modnej torby z prasowanej słomy, kiedy C.J. zapukała w okienko nad jej głową. Było już po siódmej w czwartkowy wieczór, zaledwie trzy dni przed Nowym Rokiem.

– Och, panna Townsend – mruknęła zdumiona, przyciskając do piersi dłoń z pomalowanymi na krwistoczerwono długimi paznokciami. – Ale mnie pani przestraszyła. Nie zauważyłam, jak pani weszła.

– Przepraszam, Estelle. Czy jest jeszcze doktor Chambers?

– Oczywiście – odparła sekretarka, sięgając po książkę umówionych wizyt. – Ale... ma teraz pacjenta. – Zerknęła na nią podejrzliwie, marszcząc brwi. – Przepraszam, lecz nie mam na dzisiaj zapisanej pani wizyty.

C.J. doskonale wyczuła, że Estelle chciałyby jej zadać podstawowe pytanie: Wszystko w porządku? Bo nie wygląda pani najlepiej. Nawet sędzia Chaskel przywołał ją dzisiaj do siebie w trakcie posiedzenia, by zapytać, czy na pewno nic jej nie jest. Krem rozjaśniający nie był już w stanie zamaskować ciemnych worków pod oczami. Tylko w ciągu ostatniego tygodnia straciła na wadze prawie trzy kilo i coraz wyraźniejsze stawały się głębokie zmarszczki na bladym czole. Tłumaczyła wszystkim, że to efekt przemęczenia, bo kto by zrozumiał, gdyby powiedziała prawdę – że to prawdopodobnie pierwsze objawy popadania w obłąd. Tylko parę dni rozprawy dzielił mnie już od domu wariatów, więc lepiej się pospieszcie i kupujcie bilety na to przedstawienie. Jednakże Estelle miała na co dzień do czynienia z ludźmi nienormalnymi i doskonale wiedziała, że nie należy zadawać żadnych pytań.

– Nie byłam zapisana na wizytę. Po prostu chciałabym porozmawiać z

doktorem, gdy będzie miał wolną chwilę. To bardzo ważne. Na pewno mnie przyjmie.

– Tak, oczywiście. Tyle że... bardzo nie lubi, gdy mu się przeszkadza w czasie sesji. – Ostentacyjnie spojrzała na zegar w poczekalni. – A ja muszę już iść. Umówiłam się z mężem na obiad.

– Nie szkodzi, Estelle. Poczekam, aż pacjent wyjdzie. Koniecznie muszę porozmawiać z doktorem jeszcze dzisiaj.

– Rozumiem. – Sekretarka pochyliła się w stronę okienka i zapytała szeptem: – Chodzi o pani sprawę? Codziennie wieczorem oglądam relacje w telewizji. W dzienniku o jedenastej to teraz główny temat.

– Muszę porozmawiać z doktorem, to wszystko. Sekretarka zamyśliła się na chwilę.

– No cóż, w końcu jesteście przyjaciółmi. Podejrzewam, że nie będzie miał nic przeciwko temu. Proszę w takim razie usiąść. To już na dzisiaj ostatni pacjent, sesja powinna się skończyć koło wpół do ósmej. Na pewno złapie pani doktora, zanim wyjdzie.

– Świetnie. Bardzo dziękuję, Estelle.

Kobieta wzięła torebkę, zdjęła żakiet z wieszaka i wyszła do poczekalni.

– Normalnie w takiej sytuacji zostałabym dłużej, ale mamy się spotkać z szefem Franka i jego żoną. Wie pani, jak to jest. Nie chciałabym się spóźnić na takie spotkanie.

– Nie ma sprawy.

Estelle obejrzała się jeszcze przed wyjściem i po raz drugi zapytała szeptem:

– Naprawdę pani sądzi, że on to zrobił, panno Townsend? Zamordował te wszystkie kobiety?

– Nie oskarżałabym go, gdybym nie była przekonana o jego winie.

Nawet więcej, Estelle. Świetnie wiem, że jest winny. Tylko nie jestem już tak pewna, jak na początku, czy zamordował te kobiety.

– Z ludźmi nigdy nic nie wiadomo, prawda? – odparła sekretarka i pokręciła głową. – Dobranoc, panno Townsend.

– To prawda. Nic nie wiadomo – mruknęła, kiedy Estelle już wyszła.

Przez kilka minut siedziała w pustej poczekalni, zbierając myśli, ale tego wieczoru kiepsko jej to szło. Wykorzystała pierwszą nadarzącą się sposobność do rozmowy z Gregiem Chambersem od czasu wczorajszego odkrycia. Zastanawiała się przez cały dzień, co i jak powinna powiedzieć. Nie chciała zrobić z siebie sfrustrowanej paranoiczki, a zdawała sobie sprawę, że ma to wypisane na twarzy.

Drzwi do stanowiska recepcyjnego pozostały lekko uchylone. Estelle zapomniała je zamknąć za sobą. C.J. wstała z fotela i zaczęła nerwowo krążyć po poczekalni, obracając w spoconych dłoniach stare wydanie magazynu „Entertainment Weekly”. Wreszcie zatrzymała się przy okienku i spojrzała w głąb korytarza, na zamknięte drzwi gabinetu psychoterapeuty. Zawsze zamykał je na czas sesji, gdy pacjenci dzielili się z nim swoimi sekretami. Jeszcze raz zerknęła na biurko Estelle i leżącą na nim książkę wizyt, którą sekretarka zostawiła w tym miejscu. Znowu do głowy napłynęły jej natrętne pytania, domagające się szybkiego znalezienia odpowiedzi.

Ostrożnie zbliżyła się do uchylonych drzwi i zastygła przy nich na chwilę. Z gabinetu nie dolatywał żaden dźwięk. Uchyliła je szerzej, nie spuszczać wzroku z gabinetu Chambersa. Wreszcie obejrzała się i zerknęła na zegar wiszący w poczekalni. Była 19.22.

Bez namysłu otworzyła drzwi jeszcze szerzej, wkroczyła do świata ludzi normalnych i stanęła nad biurkiem Estelle. Książka wizyt była otwarta na bieżącym tygodniu, od poniedziałku 25 grudnia do piątku 29 grudnia. Była to

ostatnia strona przeznaczona na rok 2000. C.J. ostrożnie zbliżyła do niej rękę, ale zaraz błyskawicznie przerzuciła kartki wypełnione zrobionymi ołówkiem wpisami z listopada oraz października i odnalazła tydzień od poniedziałku 18 września do piątku 22 września.

Pospiesznie przebiegła wzrokiem nazwiska pacjentów zapisanych na poniedziałek. Odnalazła ten wpis jako ostatni z owego dnia poprzedzającego odnalezienie zwłok Anny Prado.

Aż zaparło jej dech w piersi na widok potwierdzenia najgorszych przeczuć.

18 września na wizytę o godzinie 19.00 wpisany był ołówkiem B. Bantling.

W pośpiechu sprawdziła wstecz siedem innych terminów, które poprzedniej nocy spisała z terminarza Bantlinga. Wszystkie się zgadzały. Nie tylko daty, ale i godziny. W książce wizyt wszędzie znajdował się ten sam wpis: B. Bantling.

To nie był zbieg okoliczności. Wreszcie wiedziała, co znaczą owe tajemnicze litery DR. Chodziło o doktora. Chambers był jego psychoterapeutą. Przyjmował u siebie Bantlinga.

C.J. pospiesznie cofnęła się od biurka, od książki wizyt, od brutalnej prawdy, którą przez cały czas widziała jak na dłoni. Poczekalnia zawirowała jej przed oczyma. Zrobiło jej się niedobrze. Co to miało znaczyć? Jak to było możliwe? Ten sam terapeuta przyjmował ich oboje. Pomagał jej gwałcicielowi. Od jak dawna? Od tylu lat? Wspomnienia cisnęły się jej do głowy jak śmieci niesione huraganem. Czy to możliwe, żeby spotkała kiedyś Bantlinga w tej poczekalni? Nie mogła wykluczyć, że nigdy nie usiadła obok niego, nie odpowiedziała uśmiechem na uśmiech i nie wymieniła paru zdawkowych uwag o pogodzie, czekając na spotkanie z dobrotliwym doktorkiem. Jak wiele Chambers wiedział? Jakimi tajemnicami Bantling się z nim podzielił? Czego sam się dowiedział? Co Chambers był uprzejmy przed nim zdradzić? Myśli, które z uporem odpychała od siebie ubiegłej nocy, uznawszy je za irracjonalne i paranoiczne, teraz powróciły ze zdwojoną siłą, znów stwarzając groźbę zepchnięcia jej za krawędź otchłani. Coś ścisnęło ją za gardło, oddychała z trudem, jakby powietrze wokół niej nagłe zgęstniało.

Nie mogła do tego znów dopuścić. Pod żadnym pozorem. Proszę, Boże, uchroni mnie przed tym. Człowiek nie jest w stanie wytrzymać aż tyle. A już

na pewno nie ja. Nie w tym stanie. Musiała natychmiast się stąd wydostać. Odzyskać jasność myśli. Zrobiła jeszcze jeden krok do tyłu i wpadła na krzesło Estelle, które przechyliło się i z głośnym stukiem oparło o cienką ściankę. Wiszący na gwoździu obrazek spadł na podłogę, ramka roztrzaskała się na kawałki. C.J. wypadła z recepcji i popędziła do wyjścia, po drodze chwytając swoją torebkę z fotela w poczekalni. Z głębi korytarza doleciał stłumiony okrzyk:

– Co tu się dzieje, do diabła? Estelle!

Najwyraźniej Chambers wyjrzał z gabinetu na korytarz, ale dla niej nie miało to już żadnego znaczenia. Natarła ramieniem na ciężkie dębowe drzwi, w paru susach pokonała wyłożony kostką chodnik biegnący wśród wypielegnowanych grządek z roślinami kwitącymi na biało, żółto i czerwono, po czym skręciła na ulicę. Chciała znaleźć się jak najdalej od tego pięknego domu w hiszpańskim stylu, eleganckiej ulicy Almeria i bezpiecznego Coral Gables; jak najdalej od uprzejmego i wyrozumiałego psychiatry, do którego przez ostatnich dziesięć lat zwracała się o pomoc, dzieląc się z nim okruciami rzeczywistości będącymi jej życiem. Korzystała z jego rad i wskazówek, chcąc pokonać strach paraliżujący jej umysł. Ale teraz myślała tylko o tym, żeby jak najszybciej się od niego oddalić. Wskoczyła do dżipa i z piskiem opon wyjechała z zatoczki, nie zważając na ciąg głośnych przekleństw rowerzysty, który nie wiadomo skąd pojawił się nagle przed maską jej auta.

Zniknęła już wśród innych pojazdów na ulicy Almeria, kierując się w stronę wjazdu na autostradę, gdy zdumiony doktor Gregory Chambers wszedł do pustej poczekalni, szukając źródła niezwykłych hałasów.

– Pierwsze nacięcie przez klatkę piersiową zostało wykonane, poczynając od mostka pionowo w dół aż do pępka. Było równe i gładkie, bez szarpania i rozrywania skóry.

Twarz Joego Neilsona raz po raz marszczyła się w nerwowych tikach, gdy na plastikowym manekinie kobiety ustawionym tuż przed barierką demonstrował przysięgłym działania zabójcy. Nawet wskazówka podrygiwała mu w dłoniach.

– Drugie nacięcie zostało wykonane poziomo tuż pod piersiami, przez całą klatkę piersiową od jednego boku do drugiego. Też było równe i gładkie, bez szarpania i rozrywania skóry.

– Czy może pan powiedzieć, jakiego rodzaju narzędzia użyto do wykonania tych nacięć? – zapytała C.J.

W sali panowała martwa cisza. Wszyscy z uwagą łowili każde słowo biegłego.

– Oczywiście. To musiał być skalpel. Nacięcia były głębokie, sięgały aż do żeber. Ostrze gładko przeszło przez wszystkie warstwy skóry, tkankę tłuszczową oraz mięśniową. Sądząc po równych brzegach nacięć, narzędzie to nie miało żadnych szczerb ani korbów. Z ranami na klatce piersiowej zabitej panny Prado porównałem ostrze skalpela numer pięć znalezionego w domu oskarżonego. Głębokość i szerokość nacięć dokładnie się ze sobą zgadzały. Były absolutnie identyczne.

Obok manekina stała korkowa tablica na statywie, przypięto do niej dwie fotografie dużego formatu. Pierwsza przedstawiała skalpel zabrany z domu Bantlinga w pięćdziesięciokrotnym powiększeniu. Druga zbliżenie rozcięcia

klatki piersiowej Anny Prado w takiej samej skali.

– Po wykonaniu nacięć obie części mostka, czyli kości łączącej z przodu żebra i osłaniającej serce oraz płuca, zostały silnie rozgięte na boki.

– Może pan powiedzieć, jakiego narzędzia użyto do otwarcia klatki piersiowej ofiary?

– Nie. Mogły to być dowolne duże szczypce, na przykład do przenoszenia prętów zbrojeniowych.

– Czy ofiara wtedy jeszcze żyła?

– Tak. Śmierć następuje w chwili zatrzymania akcji serca, które pociąga za sobą ustanie wielu procesów fizjologicznych, między innymi oddychania, i wszystko pozostaje dokładnie w takim stanie, w jakim znajdowało się właśnie w tym momencie. Dzięki temu można określić, co i kiedy zmarły ostatnio jadł, jakie toksyny znajdowały się w jego krwi czy wątrobie, i tak dalej. W chwili otwarcia klatki piersiowej panny Prado jej płuca zostały wystawione na zewnętrzne ciśnienie atmosferyczne, pod wpływem którego się zapadły i zostały pozbawione powietrza. W wyniku tego procesu ustaje dopływ tlenu do serca i mózgu, co w ciągu następnych dwóch do pięciu minut musi spowodować śmierć przez uduszenie. Jednakże podczas sekcji zwłok w lewym płucu panny Prado wykryłem jeszcze dość znaczną ilość powietrza, co skłoniło mnie do wniosku, że jej śmierć nie nastąpiła z powodu braku tlenu. Na tej podstawie mogę stanowczo stwierdzić, że wciąż żyła, kiedy...

Na widowni rozległ się histeryczny pisk. Wszyscy popatrzyli na matkę Anny, która spazmatycznie szlochała. Siedzący obok niej krewni próbowali ją uspokoić, ale ona krzyknęła na cały głos:

– Potwór! Potwór!

– Spokój! – zagrzemiał poczerwieniały na twarzy sędzia Chaskel. – Hank,

proszę wyprowadzić panią Prado na korytarz do czasu zakończenia tego przesłuchania. Bardzo mi przykro, pani Prado, ale takie wybuchy są niedopuszczalne na sali rozpraw.

– On zabił moje dziecko! – krzyknęła przez ramię kobieta, którą krewni pod czujnymi spojrzeniami przysięgłych prowadzili do wyjścia. – Ten łajdak porwał moją córeczkę i ją pociął, a teraz siedzi tu, uśmiechnięty...

Ciężkie drzwi odcięły dalsze okrzyki.

– Muszę pouczyć przysięgłych, żeby nie brali pod uwagę tego rodzaju uwag – orzekł sędzia, ujrawszy, że Lourdes już wstaje, żeby zaprotestować.

Dwanaście osób zasiadających na ławie jak na komendę popatrzyło w kierunku wyraźnie zmieszanego Williama Bantlinga, który wolno pokręcił głową i ukrył twarz w dłoniach.

Przez kilka sekund na sali trwała kłopotliwa cisza, przerywana dobiegającymi z korytarza histerycznymi krzykami matki ofiary, stopniowo cichnącymi, w miarę jak krewni odprowadzali ją do windy.

– W porządku, panno Townsend. Proszę kontynuować przesłuchanie świadka – oznajmił w końcu Chaskel.

– Co było przyczyną zatrzymania akcji serca, doktorze?

– Rozcięcie aorty, głównej tętnicy wyprowadzającej krew z serca. Aorta została przerwana, a cały mięsień sercowy wycięty zaraz po rozplątaniu i rozchyleniu mostka, zanim jeszcze ciśnienie zewnętrzne do końca wypchnęło powietrze z płuc. To spowodowało natychmiastową śmierć ofiary.

Neilson podszedł do drugiej tablicy, na której wielkie zdjęcie przedstawiało sinoszare nagie zwłoki Anny Prado leżące na metalowym stole sekcyjnym, i wskazał w klatce piersiowej poczerńiałą jamę po wyciętym sercu.

– Czy nadal była przytomna w tym momencie?

– To trudno określić, chociaż, jak już wcześniej wspominałem, chlorowoderek mivacurium wykryty w jej organizmie nie powodował utraty świadomości. To środek wywołujący tylko paraliż mięśni. Jednakże jego działanie rozluźniające mięśnie szkieletowe zapewne osłabiło bądź całkowicie powstrzymało szok będący elementem naturalnej samoobrony organizmu. Powiedziałbym zatem, że owszem, istnieje pewne prawdopodobieństwo, iż ofiara wciąż była przytomna w chwili wycinania serca.

Po sali rozszedł się głośny pomruk przypominający gromadną reakcję widzów na stadionie po jakimś nieudanym zagranii.

– Bardzo dziękuję, doktorze Neilson. Nie mam więcej pytań.

– Doskonale. Panno Rubio? Chce pani zapytać o coś świadka?

– Mam tylko parę pytań. Zeznał pan, doktorze, że rodzaj i wielkość nacięć na ciele panny Prado idealnie pasuje do rozmiarów ostrza skalpela numer pięć. Zgadza się?

– Tak.

– Ale mógł do tego posłużyć dowolny skalpel numer pięć, prawda? Nie chodziło panu konkretnie o ten skalpel, który jakoby został znaleziony w domu pana Bantlinga?

– Oczywiście. Miałem na myśli każdy skalpel numer pięć.

– Ale tego typu skalpele nie są narzędziem szczególnie rzadko spotykanym, prawda? Zwłaszcza u osób zajmujących się chirurgią albo preparowaniem zwierząt. Mam rację?

– Nie mogę się wypowiadać na temat preparatyki zwierząt, ale w medycynie rzeczywiście jest to często używane narzędzie. Można je kupić w każdym sklepie ze sprzętem chirurgicznym.

– Dziękuję, doktorze. – Lourdes ruszyła już w kierunku stołu obrony, lecz

nagle przystanęła i jakby tknięta nagłą myślą, odwróciła się i zapytała: – A kto przyniósł panu do badań porównawczych ten skalpel będący domniemanym narzędziem zbrodni? Który śledczy go panu dostarczył?

– Agent specjalny Dominick Falconetti.

– Aha – mruknęła w zamyśleniu. Usiadła na swoim miejscu i powiedziała:

– Nie mam więcej pytań.

– Czy oskarżenie chce wezwać jeszcze jakiegoś świadka? – zapytał sędzia Chaskel.

Było dziesięć po szóstej wieczorem w piątek 29 grudnia, ostatniego roboczego dnia 2000 roku. Kiedy tego ranka C.J. szła do sądu, miała pełną świadomość, że jej świat kruszy się, grożąc coraz poważniej rozsypaniem się w proch. Kolejna bezsenna noc malowała się na jej twarzy wielkimi sinymi workami pod oczami oraz głębokimi zmarszczkami na czole. Szła jak na ścięcie i tylko dlatego, że na tym etapie nie mogła już zrobić nic więcej, a poddanie walkowerem sprawy na rzecz przeciwnej strony nie wchodziło w rachubę.

Pytania zadawane przez Lourdes obnażały prawdę, że wszystkie dowody są jedynie domysłami, a każdy wydaje się równie podejrzany. Padające na nie odpowiedzi rodziły tylko następne pytania. Racje rozkładały się równomiernie. Nic już nie było pewne, wszystko zdawało się nierealne. W najmniejszym stopniu nie panowała już nad biegiem wydarzeń, zarówno na gruncie osobistym, jak i zawodowym. Świadców, którzy mieli zeznawać na jej korzyść, zaczęli nagle odpowiadać na korzyść przeciwnej strony. Biegli mający wspierać oskarżenie w równej mierze wspomagali obronę. Powiernicy działali jak szpiedzy. I dlatego pęknięcia w jej fasadzie stawały się coraz szersze, a tysiące okruchów sypało się na wszystkie strony.

– Nie, Wysoki Sądzie. Nie mam więcej świadków – odparła, wstając z

miejsca. Joe Neilson specjalnie odpowiadał jako ostatni, by w pamięci przysięgłych dobrze utrwalił się bolesny i sugestywny opis ostatnich pełnych cierpienia chwil życia Anny Prado. – Oskarżenie zakończyło prezentację materiału dowodowego.

– Doskonale. To najlepszy etap, żeby przerwać rozprawę na czas dni wolnych od pracy – przyznał sędzia Chaskel i odwrócił się, by udzielić przysięgłym rutynowych pouczeń przed zwolnieniem ich do domu.

C.J. popatrzyła na Bantlinga siedzącego obok Lourdes. Nadal zasłaniał dłońmi twarz i ledwie zauważalnie kiwał głową w przód i w tył. Ale dopiero teraz spostrzegła dlaczego.

Po prostu śmiał się bezgłośnie.

– Nie próbowałeś do niej dzwonić, Dom? – zapytał Alvarez w mocno przekrzywionej na bok, obsypanej złotym brokatem stożkowej czapeczce sylwestrowej. Miał już nieźle w czubie, podobnie jak wszyscy dookoła.

– Próbowałem, ale włącza się tylko automatyczna sekretarka. Trochę się o nią martwię, Manny.

– Tak, wiem, *amigo*. Napij się jeszcze piwa. Mari! – krzyknął przez zatłoczony salon Eddiego Bowmana, pełen gliniarzy, policyjnych analityków, agentów i detektywów, bez wyjątku przystrojonych w podobne błyszczące papierowe czapeczki i trzymających w rękach jednorazowe plastikowe lampki do szampana. – Przynieś Dommy’emu następne piwo!

Siedząca w otoczeniu pięciu innych kobiet Marisol spojrzała na niego. Od stóp po czubek głowy była okryta niezwykłym strojem naszywanym purpurowymi cekinami, który wyzywająco odsłaniał niemal cały jej brzuch. Obrzuciła Manny’ego karcącym spojrzeniem i głośno syknęła.

– Dobra, dobra! Proszę, przynieś Dominickowi następne piwo. – Alvarez odwrócił się do niego i mruknął: – Matko Boska, wystarczy jeden numer, a ona już sądzi, że ma prawo uczyć mnie dobrych manier. Zaczynam już tęsknić za kawalerskim życiem, Dom. Zastanów się, czy i ty nie powinieneś się go trzymać.

– W każdym razie mam dość piwa na dzisiaj, Manny. Muszę wcześniej wracać do domu.

– Daj spokój, dopiero dochodzi północ. Chyba nie zamierzasz wyjść przed noworocznym toastem? Skąd wiesz, czy ona jest w domu? Może wyjechała gdzieś na weekend?

– Możliwe, ale jej samochód wciąż stoi przed budynkiem.

– Nie rób mi takich numerów, przyjacielu. Przecież nie pojedziesz teraz do niej.

– Bardzo się o nią martwię, Miśku. Wygląda okropnie. Traci na wadze. Pewnie w ogóle nic nie je, a na pewno nie sypia po nocach. I uparcie nie odpowiada na telefony. Nawet do ciebie przestała dzwonić. Ten Bantling dokumentnie namieszał jej w głowie. I coraz bardziej jest góra. Podejrzewam, że coś na nią ma. Przecież znasz ją nie od dziś. Widziałeś ją kiedyś wcześniej w takim stanie?

– Nie. To prawda. Ja również się martwię. Widocznie przez tę sprawę wypala za dużo świec, i to z obu końców naraz. Ale miejmy nadzieję, że wypocznie przez weekend. – Alvarez pociągnął duży łyk piwa, po czym dodał tajemniczym tonem: – A może ma kogoś innego, Dom?

– Gdyby tylko o to chodziło, natychmiast bym się wycofał. Ale moim zdaniem, nie ma nikogo. Przypuszczam, że gryzie się czymś w samotności, czymś zdecydowanie za poważnym, by poradziła sobie sama, a z uporem nie chce się z nikim dzielić swoimi zmartwieniami. To ją wykańcza. Widzę to w jej oczach, kiedy tylko zdobywa się na odwagę, żeby na mnie spojrzeć.

– W każdym razie skończyła prezentację sprawy. Więc co teraz zostało? Proces powinien się skończyć najdalej za kilka dni.

– Jeszcze zeznania świadków obrony.

– To może być kłopot. Nikt nie ma pojęcia, co ten psychol powie. Nie wiadomo nawet, czy będzie zeznawał we własnej obronie. Wciąż nie udało się odszukać tego warsztatu samochodowego?

– Nie. Sprawdziliśmy chyba wszystkie. Eddie jeszcze dziś rano grzebał się w papierach. Bez rezultatu. Musimy spokojnie poczekać i przekonać się, co powie Bantling. Może jego zeznania podesuną jakiś trop.

– Ta jego adwokatka to sprytna bestia. – Naśladowując Rubio, Manny rzucił cienkim, piskliwym głosem: – „Mój klient udowodni, że to krew zwierzęca. Udowodni, że wcale nie wiedział, co znajduje się w pieprzonym bagażniku jego samochodu. Chociaż nie musi niczego udowadniać”. Stek bzdur. Wszyscy wiedzą, że luminol nie pozwala określić rodzaju krwi, którą była zabryzgana cała jego szopa, pozwala tylko dostrzec jej ślady. A ona z pewnością to wykorzysta, żeby odwrócić kota ogonem. To samo dotyczy naciąganej historyjki Bantlinga, że to ptasia krew. Nie dadzą rady tego udowodnić. Znasz jakieś cholerne ptaki, z których po rozcięciu krew tryskałaby fontannami aż na sufit? Ale dla Rubio to nie ma żadnego znaczenia. Za nos poprowadzi ogłupiałych przysięgłych prosto w to bagno kłamstw.

– Za nos albo za co innego. Alvarez z kwaśną miną pokręcił głową.

– Słyszałeś, jak woźny Chaskela mówił, że ta lalunia z pierwszego rzędu wciąż robi słodkie oczy do Bantlinga? Nawet po tym, jak Neilson ze szczegółami opisał działania tego szaleńca? Co za kobieta może być aż tak zdesperowana?

Jak na zawołanie pojawiła się przy nich Marisol, która przyniosła z kuchni dwie puszki piwa.

– Trzymaj, Miśku – pisnęła przymilnie. – Przyniosłam je tylko dlatego, że powiedziałeś „proszę”.

– No, dobra, Manny. Będę spływał. Mam jeszcze kilka spraw, które muszę jutro załatwić. Chcę porozmawiać z paroma osobami. Może uda mi się jeszcze coś ustalić, zanim Bantling w przyszłym tygodniu stanie się gwiazdą tego przedstawienia.

– Chcesz pracować w Nowy Rok?

– Nie ma odpoczynku dla wytrwałych wojowników. Przynajmniej nie

będę się gryzł własnymi myślami.

– Zadzwoisz jutro, chłopie. Zostań jeszcze z nami. Patrz, już prawie północ.

– Do kogo chcecie dzwonić? – zapytała szeptem Marisol, ciągnąc Manny’ego za rękę.

Dominick pożegnał się jednak z gospodarzem i zaczął przeciskać się przez tłum do wyjścia, gdy nagle za jego plecami rozległo się donośne odliczanie Dicka Clarka z włączonego telewizora:

– Pięć! Cztery! Trzy! Dwa! Jeden!... Szczęśliwego Nowego Roku!

W salonie Mastersona odpowiedziały mu głośnie wiwaty, gwizdy i radosne okrzyki.

– Prawda, że ten nowy wspaniały rok dwa tysiące pierwszy zapowiada się wprost cudownie?!

– Chyba jednak nie, Dick – mruknął pod nosem Dominick, zamykając za sobą drzwi i ruszając chodnikiem prowadzącym na ulicę. – Niestety, chyba nie.

Lourdes Rubio zaczęła przesłuchiwać swoich świadków we wtorek o dziewiątej rano. Pierwszy był właściciel warsztatu samochodowego Louie's House of Tinting z North Miami Beach, potem przewodniczący Amerykańskiego Stowarzyszenia Preparatorów, wreszcie kierownik katedry patologii sądowej Akademii Medycznej imienia Alberta Einsteina. Tylko w ciągu jednego dnia C.J. miała okazję się przekonać, jak mocne dowody w jej sprawie zmieniają się w garść mocno wątpliwych spostrzeżeń.

Jaguar Bantlinga, świeżo polakierowany na czarno w poniedziałek 18 września, sechł jeszcze przez wtorek 19 września i został odebrany przez właściciela około 19.15 wieczorem. Louie zeznał, że przez całą noc wóz stał na niestrzeżonym parkingu, a w ciągu dnia dostęp do niego miało co najmniej dziesięciu pracowników warsztatu. Zeznał też, że nikt nie zaglądał do bagażnika przez cały wtorek, do chwili, gdy właściciel odebrał polakierowane auto. Po prostu nie było takiej potrzeby.

William Bantling był znanym i cenionym preparatorem zwierząt, wielokrotnie odznaczanym za swoje dokonania przez zarząd oddziału południowo-wschodniego Amerykańskiego Stowarzyszenia Preparatorów. Skalpel numer pięć okazał się narzędziem powszechnie stosowanym w tej profesji. W normalnych okolicznościach do wypychania przystępowano, kiedy zwierzę już było martwe, ale w szczególnych wypadkach rozpoczynano pracę z żywymi okazami, żeby uzyskać bardziej „realistyczny wygląd” po ich wypchaniu, zwłaszcza wygląd ich oczu. To, rzecz jasna, miało wyjaśnić obecność w szopie Bantlinga licznych zamazanych śladów krwi, które ujawniły się pod wpływem luminolu.

Mikroskopijne ślady krwi odkryte na ostrzu skalpela numer pięć znalezione w szopie oskarżonego były niewystarczające, by na ich podstawie przeprowadzić analizę DNA. Niemniej, inne badania potwierdziły, że są to ślady krwi zwierzęcej, najprawdopodobniej ptasiej. Zatem wynik wstępnych analiz, potwierdzający, że jest to krew tej samej grupy, co zamordowanej Anny Prado, należało uznać za „naciągany”, podobnie jak w wypadku trzech plamek odkrytych na ścianie tuż nad podłogą szopy. Tak przynajmniej orzekł kierownik katedry patologii sądowej Akademii Medycznej imienia Alberta Einsteina.

C.J. doskonale wiedziała, że zawsze można znaleźć biegłego gotowego zeznać niemal wszystko i podać w wątpliwość nawet najbardziej przekonujące dowody, jeśli wystarczająco dobrze mu się zapłaci. Miała już do czynienia z psychologiem, który dopatrywał się „nieszczęśliwego wypadku” podczas „siłowania się” w sprawie morderstwa popełnionego z zimną krwią przez nastolatka, albo lekarzem uznającym za przyczynę zgonu atak serca u człowieka potrąconego na ulicy przez pijanego kierowcę. Za odpowiednią cenę można było mieć świadka w dowolnej sprawie, głoszącego dowolną adwokacką teorię. Niekiedy przynosiło to oczekiwany skutek. Ale gdy teraz obserwowała bezsilnie, jak jej sprawa rozsypuje się w gruzy... jak Bantling coraz szerzej i coraz pewniej uśmiecha się na widok odruchowo potakujących głowami przysięgłych, jak kobieta z piątego miejsca w pierwszym rzędzie ławy coraz częściej posyła mu zalotne spojrzenia, a w miejsce strachu początkowo obecnego w jej oczach pojawia się zainteresowanie pełne pożądania... Nie, tego było za wiele. Wiedziała, że jej pytania do świadków obrony są za mało natarczywe, i z minuty na minutę w jej głosie coraz wyraźniej pobrzmiwa ton desperacji. Było oczywiste, że nie przygotowała się zawnazasu do tego przesłuchania, że każdy świadek jest dla niej coraz

większym zaskoczeniem. Znalazła się w potrzasku i świetnie wyczuwała, jak szybko traci zaufanie przysięgłych.

Nawet nie zmrużyła oka przez cały weekend. Nocne koszmary związane z gwałtem na niej zastąpiły równie przerażające koszmary dotyczące uniewinnienia Bantlinga. Oczywiście wyobraźni widziała, jak na sali sądowej zwraca ku niej twarz skrytą za wykrzywioną w ironicznym grymasie maską klauna i zaczyna się gromko śmiać; tak samo się śmieje, gdy później Hank zdejmuje mu kajdanki oraz łańcuchy krępujące w kostkach nóg; wreszcie rusza powoli w jej kierunku, a wszyscy przyglądają się temu ciekawie – Dominick, Manny, Lourdes, jej rodzice, Michael, sędzia Chaskel, Greg Chambers, Jerry Tigler, Tom de la Flors. Przyglądają się beczynnemu, jak on rzuca ją na stół oskarżenia, jedwabnymi majtkami knebluje usta, wyciąga błyszczący nóż myśliwski o ząbkowanym ostrzu i zaczyna kolejno odcinać guziki jej bluzki.

Wiedziała, że wygląda odstrasząco. Żadne kosmetyki nie były już w stanie zamaskować sinych worków pod oczami, odcinających się na bladej twarzy o zapadniętych policzkach. Poobgryzane paznokcie miała tak zniekształcone, że nawet tipsy nie chciały się na nich trzymać. Garsonka wisiała na niej jak na manekinie w sklepie z tandetnymi ciuchami.

Dotrwaj jakoś do końca dnia, jutro na pewno będzie lepiej – powtarzała sobie z uporem wbrew zdrowemu rozsądkowi, gdyż wiedziała z doświadczenia, że spirala wokół niej może wirować tylko w jednym kierunku. Jeśli Bantling wyjdzie na wolność, będzie skończona. Definitywnie. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że jest to jedynie kwestia czasu.

Za kwadrans szósta sędzia Chaskel zwolnił przysięgłych do domu.

– Panno Rubio, ilu jeszcze świadków zamierza pani powołać? Chciałbym

rozplanować dalej tę rozprawę.

– Najwyżej dwóch albo trzech, panie sędzio.

– Czy pani klient również będzie zeznawał?

– Nie jestem gotowa, aby udzielić odpowiedzi na to pytanie. Po prostu nie wiem, panie sędzio.

– Czy gdyby nawet zechciał zeznawać, obrona zdołałaby zakończyć do jutrzejszego wieczora?

– Tak, panie sędzio. Oczywiście będzie to jeszcze zależało od pytań zadawanych przez oskarżenie. – Lourdes zerknęła w jej stronę.

– Proponuję na razie przyjąć ten wstępny harmonogram, panie sędzio – odparła C.J. – Trudno mi ocenić, ile potrwa moje przesłuchiwanie świadków obrony. Nie wykluczam, że poproszę o czas na przygotowanie, jeśli oskarżony zdecyduje się zeznawać – dodała ostrożnie.

A jeśli się zdecyduje, pewnie natychmiast zostaną wydalona z palestry, panie sędzio, i zaraz potem będzie pan musiał wezwać sanitariuszy w białych strojach, z kaftanem bezpieczeństwa.

– Rozumiem. Przyznaję, że cieszą mnie szybkie postępy w procesie. W takiej sytuacji chciałbym prosić o przygotowanie wystąpień końcowych na czwartek, jeśli oczywiście nie będzie pani potrzebowała dodatkowego czasu na przygotowanie, panno Townsend. W piątek rano mógłbym zaś udzielić przysięgłym ostatecznych instrukcji i już na popołudnie przekazać im sprawę do rozpatrzenia. Jeśli szybko ustalą werdykt, skończymy jeszcze przed weekendem.

Skończymy jeszcze przed weekendem. Wreszcie wszystko dobiegnie końca. Tak po prostu. Jeszcze przed weekendem. W samą porę, żeby w spokoju obejrzeć barażowy mecz Dolphinsów albo wziąć udział w festiwalu Coconut Grove Art.

Do końca tego tygodnia jej los miał się ostatecznie rozstrzygnąć.

Siedziała w swoim gabinecie, za zamkniętymi żaluzjami, przed ściszoną do minimum telewizorem ustawionym na wiadomości Kanału Siódmego, przy biurku zawałonym bezużytecznymi papierzyskami, nad miseczką wystygłej już zupy i chyba piątym tego dnia kubeczkem kawy. Jak można się było spodziewać, relacja z procesu Kupidyna zajmowała główne miejsce w wieczornych wiadomościach. Zaraz po niej nadano dwie krótkie migawki, pierwszą o fikcyjnej spółce inwestycyjnej, która pozbawiła oszczędności wielu emerytów z południowej Florydy, i drugą o zaginionej studentce z Fort Lauderdale, cierpiącej na padaczkę. C.J. wzdragała się na samą myśl o powrocie do domu. Ale tak samo niechętnie przyjmowała perspektywę dalszego siedzenia w biurze. Problem polegał na tym, że nie widziała dla siebie żadnej możliwości ucieczki. Przynajmniej do końca tygodnia. Bo potem...

Skończymy jeszcze przed weekendem.

Rozległo się krótkie pukanie i drzwi uchyliły się, zanim zdążyła coś powiedzieć. Spodziewała się ujrzeć rozwścieczonego Jerry'ego Tiglera, może nawet zatroskanego Dominicka Falconettiego albo Manny'ego Alvareza, na którego telefony uparcie nie odpowiadała przez cały tydzień. W najmniejszym stopniu nie spodziewała się zobaczyć uśmiechniętego szeroko Grega Chambersa.

– Można? – zapytał i wszedł do środka, nie czekając na jej reakcję. Rozejrzał się ciekawie po gabinecie.

Ciarki przeszły jej po grzbiecie. Anemicznie pokręciła głową, jakimś sposobem nie mogąc dobyć z siebie głosu. Patrzyła osłupiała, jak siada przed

jej biurkiem.

– Co u ciebie? – zapytał, ze zmarszczonym czołem obrzucając ją przenikliwym spojrzeniem. – Właśnie wyszedłem z seminarium dotyczącego napadów na tle seksualnym, które odbywało się na dole, i pomyślałem, żeby do ciebie zajrzeć. Opuściłaś dwie ostatnie sesje i zacząłem się trochę niepokoić. Przy tak wielkim stresie, w jakim ostatnio się znajdujesz...

– Wszystko w porządku. Nic mi nie jest – odparła szybko, wciąż delikatnie kręcąc głową. – Będzie chyba lepiej, jak sobie pójdziesz – wydusiła po chwili.

– Kiepsko wyglądasz, C.J., jakbyś była chora. Widziałem cię w telewizyjnych reportażach i naprawdę zacząłem się o ciebie niepokoić.

– Dlaczego o mnie? Czemu miałbyś się niepokoić właśnie o mnie? – wybuchnęła ze złością, nie panując dłużej nad sobą. Czowała się zraniona i ponizona; – Potrzebowałam twojej pomocy, Greg... doktorze Chambers... Zaufałam ci, potraktowałam jak przyjaciela, a ty przez cały czas mnie oszukiwałeś!

Na jego twarzy odmalował się wyraz bezgranicznego zdumienia.

– O czym ty mówisz, C.J.?

– Byłam tam. Przyjechałam specjalnie do ciebie! – krzyknęła.

– Owszem, Estelle wspominała, że zjawiałaś się w ubiegłym tygodniu – zaczął niepewnym głosem, wciąż patrząc na nią podejrzliwie. – Ale kiedy wyszedłem do poczekalni, ciebie już nie było. Właśnie to zachowanie, no i twój wygląd są powodem mojego niepokoju...

– I dobrze widziałam! – przerwała mu łamiącym się głosem, czując, jak łzy napływają jej do oczu. – Widziałam czarno na białym, w twojej recepcji. W książce wizyt.

– Zaglądałaś do mojej książki wizyt? Jak mogłaś...?

– Jego też przyjmowałeś! Bantlinga, tego sukinsyna! Spotykałeś się z nim przez cały czas i nic nie powiedziałaś. Wiedziałaś od początku, że to on mnie zgwałcił, i robiłaś ze mnie idiotkę.

Chambers nachmurzył się i zmarszczył brwi, słysząc te oskarżenia.

– O niczym nie miałem pojęcia! Posłuchaj mnie, C.J. To prawda, że przyjmowałem także Billa Bantlinga, ale...

– I nic mi nie powiedziałaś! Jak mogłeś? Dlaczego trzymałeś to w tajemnicy?

– Nie jestem ci winien ani przeprosin, ani żadnych wyjaśnień, ale zrobię to ze względu na naszą długoletnią znajomość, na naszą przyjaźń – odparł ze złością, bezskutecznie próbując ją poskromić. Jego ostry ton sprawił, że nagle poczuła się niepewnie, jak słaba i bezbronna dziewczynka. – Jako prokurator powinnaś doskonale wiedzieć, że nie wolno mi mówić, komu udzielam fachowych porad. Nawet nazwiska moich pacjentów są objęte ścisłą tajemnicą zawodową. W żadnych okolicznościach bym ich nie ujawnił. Nigdy. Przysięgałem dochować tajemnicy. Mógłbym to zrobić wyłącznie za wiedzą i zgodą pacjenta albo w sytuacji, gdyby zaistniał poważny konflikt, o którym w tym wypadku nie może być mowy. Nie wiedziałem, że coś was ze sobą łączy, dopóki po aresztowaniu podejrzanego w sprawie Kupidyna nie powiedziałaś mi sama, że właśnie ten człowiek kiedyś cię zgwałcił. A przecież w tym czasie moje kontakty z Billem Bantlingiem urwały się całkowicie ze względu na jego aresztowanie. Oczywiście, nadal nie mogę ci ujawnić, co mówił podczas naszych sesji terapeutycznych, więc nawet o to nie proś. Musisz pamiętać, że nigdy nie zdradzę tajemnic moich pacjentów. I choć może to cię dotknie, C.J., twój atak na moje zasady etyki zawodowej oraz niesłychane wnioski, jakie wyciągnęłaś bez konsultacji ze mną, muszę uznać za obraźliwe i nieprzyzwoite. Znalazłem się w kłopotliwej sytuacji, ale

postąpiłem tak, jak nakazywała mi etyka. Zajrzałem do ciebie, żeby spytać, jak się miewasz, czy nie potrzebujesz pomocy. Ale teraz skłonny jestem sądzić, że to był zły pomysł. Niemniej jako twój terapeuta muszę zasugerować, byś poszukała pomocy u innego specjalisty, gdyż twoje zachowania nosi wszelkie oznaki zbliżającego się załamania nerwowego. Wstał i ruszył do wyjścia.

Poczuła się nagle zawstydzona. W głowie miała mętlik, który dezorientacja jeszcze dodatkowo nasilała.

– Sama nie wiem, co mam robić – szepnęła. – Nie wiem, komu ufać i w co wierzyć. Wszystko mi przecieka przez palce, tracę kontrolę nad wszystkim. Jakbym się znalazła w nierealnym świecie. Naprawdę już nie wiem, co jest rzeczywiste, a co nie, doktorze.

Łzy znowu pociekły jej po twarzy, chociaż myślała, że całkiem wypłakała oczy.

Było jednak za późno. Rozwścieczyła Chambersa. Nie mogła już cofnąć słów, które padły.

– Ostrzegalem, żebyś zrezygnowała z tej sprawy, C.J., bo jesteś w nią osobiście zaangażowana. Prawdopodobnie ten brak dystansu wpłynął na twój punkt widzenia różnych rzeczy i kontakty międzyludzkie. Może zawarłaś niewłaściwe znajomości, skoro teraz wątpisz, czy możesz dalej ufać tym ludziom. Decyzje podejmowane pod wpływem silnego stresu i w stanie dezorientacji są zazwyczaj złymi decyzjami.

– Masz na myśli Dominicka?

– Po prostu powtarzam tę samą radę, jakiej udzieliłem ci parę miesięcy temu. Dystans pozwala zyskać szerszą perspektywę, której tobie najwyraźniej bardzo potrzeba. Kontynuuj terapię, a sama się o tym przekonasz. Dobranoc.

Wyszedł, głośno trzasnąwszy drzwiami. Znów została sama w mrocznym

gabinecie.

Ze szlochem ukryła twarz w dłoniach, pełna obaw, że stres stwarza groźbę, iż znów rozsypie się wszystko, co z taki mozołem odbudowywała i sklejała przez ostatnich dziesięć lat.

Nie zwróciła uwagi na zdjęcie dwudziestoletniej studentki Uniwersytetu Atlantyckiego, niejkiej Julie LaTrianca, jakie na krótko wypełniło ekran włączonego ciągle telewizora. Nie usłyszała też komentarza butnej wielkookiej komentatorki, która zniknięcie ciemnowłosej piękności z sylwestrowego przyjęcia w barze w Fort Lauderdale określiła mianem zagadkowego.

Dwadzieścia minut po wyjściu Grega Chambersa na jej biurku zadzwonił telefon podłączony do bezpośredniej linii miejskiej. Początkowo to zlekceważyła, ale dzwonił i dzwonił jak najęty. W końcu, chyba po dziesiątym sygnale, sięgnęła po słuchawkę, wierzchem dłoni pospiesznie wycierając łzy z twarzy.

– Townsend. Biuro prokuratora stanowego.

– C.J.? To ja, Dominick.

W tle usłyszała nakładające się na siebie wycie licznych syren policyjnych i krzyżujące się podniecone okrzyki wielu ludzi.

– Dominicku, dzwonisz w najgorszym dla mnie okresie. Czy mogłabym oddzwonić...

– Nie, wykluczone. I możesz mi wierzyć, że to wcale nie jest dla ciebie najgorszy okres. Znaleźliśmy je. Powinnaś tu przyjechać i sama to zobaczyć.

– Co? O czym ty mówisz?

– Dzwonię z przyczepy mieszkalnej w Key Largo, niedaleko autostrady międzystanowej numer jeden. Należała do zmarłej ciotki Bantlinga, Violi Traun. Znaleźliśmy tu wycięte serca. Wszystkie. Leżały w zamrażalniku lodówki w kuchni. Znaleźliśmy też zdjęcia, C.J., całe pudła. Przedstawiają na jakimś ciemnym tle dziewczęta torturowane na żelaznym stole chirurgicznym. Niektóre ukazują je dosłownie w chwili śmierci. To pamiątkowe zdjęcia mordercy. Trudno powiedzieć, czy były robione w szopie Bantlinga. W każdym razie wszystko tu jest.

– Jak to znaleźliście?

Serce tłukło jej w piersi jak oszalałe. Czowała dziwną mieszankę ulgi,

podniecenia, strachu i paniki.

– Dotarło do nas pismo adresowane do Bantlinga, wysłane z sądu okręgu Monroe. Pochodzi sprzed paru tygodni, dlatego nie trafiło do nas od razu. To upomnienie dotyczące lekceważenia sądowego wyroku. Bantling był prawnym kuratorem majątku ciotki i nie dopełnił obowiązku dostarczenia jakichś kretyńskich formularzy w ciągu dwóch miesięcy po jej śmierci, dlatego sędzia pokoju wysłał ponaglenie, nie zdając sobie prawdopodobnie sprawy, że ów Bill Bantling to ten sam William Bantling, który w Miami jest sądzony za morderstwo. Dopiero z niego dowiedzieliśmy się z Mannym o istnieniu tej przyczepy mieszkalnej i natychmiast tu przyjechaliśmy, a właściciel parkingu wpuścił nas do środka. No i dokonaliśmy odkrycia. Zdjęcia były w lodówce razem z sercami. O nic się nie martw, ponieważ przyczepa została zapieczętowana z powodu zaległości w opłatach czynszowych. Właściciel parkingu ma dokumenty potwierdzające prawo własności do terenu, na którym stoi przyczepa. Sam to sprawdziłem. Mimo to potrzebny jest nam sądowy nakaz, żebyśmy mogli zająć materiał dowodowy. Tym razem wolałbym niczego nie sknocić.

O mój Boże – jęknęła, z trudem łapiąc oddech. – Dobra, Zaraz do was jadę.

– W każdym razie mamy go, C.J. – dodał Dominick głosem drżącym z podniecenia. – Już nam się nie wymknie.

Zarówno przysięgła z piątego miejsca w pierwszym rzędzie, jak i Bill Bantling natychmiast przestali się uśmiechać, gdy w środę rano ogłosiła, że oskarżenie musi wrócić do prezentacji materiału dowodowego. Kiedy koło południa agent specjalny Dominick Falconetti ponownie na dwie godziny zajął miejsce dla świadków, już nikt z przysięgłych nie miał odwagi zerknąć w kierunku oskarżonego, a na widowni zapanowała wręcz lodowata atmosfera. Pod koniec jego zeznań dwaj mężczyźni zasiadający na ławie otwarcie płakali, a trzy kobiety zwymiotowały na widok serca Anny Prado okazanego im w przezroczystej, hermetycznie zamkniętej torebce plastikowej oraz przerażających zdjęć znalezionych w lodówce Violi Traun. Była wśród nich przysięgła z piątego miejsca, która zapewne miała szansę w niedługim czasie sama stać się obiektem pamiątkowych fotografii oraz dawcą trofeum do kolekcji Bantlinga. Zapłakaną i krzyczącą histerycznie matkę Anny Prado znów trzeba było wyprowadzić pod eskortą z sali rozpraw, tyle że tym razem natychmiast po burzliwym incydencie sędzia Chaskel grobowym głosem ogłosił przerwę na lunch. Rozprawa osiągnęła punkt zwrotny.

W czasie przerwy Dominick formalnie oskarżył Williama Ruperta Bantlinga o dziesięć dalszych morderstw z premedytacją i już po paru minutach złożył na ręce naczelnika więzienia okręgowego dziesięć bliźniaczo podobnych różowych formularzy aresztowania podejrzanego, stanowiących podstawę do zatrzymania go w celi, choć chyba nikt już nie wątpił, że przysięgli uchwalą werdykt skazujący. Lourdes w imieniu swojego klienta zrezygnowała z prawa do wstępnego przesłuchania w każdej z tych spraw, a późnym popołudniem przekazała sędziemu Chaskelowi, że nie będzie on

jednak zeznawał w swojej obronie. W miejsce chytrego uśmieszku Bantlinga pojawił się nerwowy grymas rezygnacji, znacznie bardziej pasujący do jego pobladłej twarzy i zmarszczonego czoła. Pośród prowadzonych szeptem gorączkowych i burzliwych narad przy stole obrony coraz częściej dochodziło do ostrzejszych spięć między nim a Lourdes.

Mowy końcowe zostały ogłoszone w piątek po południu, ale Rubio mówiła już bez tego żarliwego przekonania o niewinności Bantlinga, jakie charakteryzowało jej mowę wstępną. Kiedy po końcowych ustaleniach formalnych sędzia zwolnił z obowiązku dwóch przysięgłych rezerwowych, już w korytarzu musieli przedstawić swoje opinie żadnym sensacji reporterom MSNBC, CNN oraz Fox News. Tymczasem pozostała dwunastka przysięgłych wysłuchała końcowego pouczenia i dokładnie o godzinie 16.27 udała się do sali narad, by w jej zaciszu rozstrzygnąć o losie oskarżonego.

Niespełna godzinę później, o 17.19, Hank zapukał do gabinetu sędziego i doręczył od nich notatkę.

Werdykt został ustalony.

– Czy to wasz wspólny, jednogłosny werdykt? – zapytał sędzia Chaskel, spoglądając znad okularów na przewodniczącego składu, kiedy na widowni ludzie w pośpiechu zajmowali jeszcze swoje miejsca.

Nikt się nie spodziewał, że tak szybko zapadnie werdykt w sprawie o morderstwo z premedytacją. Zwłaszcza C.J., która ledwie zdążyła odstać w kolejce i w automacie samoobsługowym w głównym holu kupić kubek gorącej kawy, żeby, jak zamierzała, wrócić z nim do swego gabinetu i tam poczekać na rozstrzygnięcie. Na szczęście nie wyszła jeszcze z budynku, gdy na szczycie ruchomych schodów pojawił się Eddie Bowman i krzyknął na całe gardło, że przysięgli skończyli obrady.

Sędzia z kamienną twarzą i zmarszczonym czołem przebiegł wzrokiem formularz uchwalonego werdyktu. Z tyłu sali, za rzędami widowni, stłoczyli się prokuratorzy, obrońcy, przedstawiciele prasy, gapie i członkowie rodzin pomordowanych dziewcząt. Panowała atmosfera niezwykłego podniecenia.

– Tak, Wysoki Sądzie. To nasz wspólny werdykt – odparł przewodniczący, czterdziestoletni śmieciarz z Miami Beach. Ze wszystkich sił próbował nie zwracać uwagi na wycelowane w niego obiektywy kamer i wyciągnięte mikrofony, które zdawały się rejestrować każdy jego oddech i nerwowy gest. Pod nosem perliły mu się krople potu, pospiesznie otarł je wierzchem dłoni.

– Doskonale. Przysięgli mogą usiąść. Oskarżony, proszę wstać. – Sędzia złożył z powrotem formularz i przekazał go Janinę. Przewodniczący składu, wyraźnie zadowolony, że przestał być obiektem zainteresowania mediów, usiadł razem z resztą przysięgłych. Wszyscy z posępnymi minami zapatrzyli

się na stół prezydialny, unikając spojrzeń w kierunku Billa Bantlinga. – Proszę panią protokolantkę o odczytanie werdyktu. – Sędzia Chaskel pochylił się w swoim wielkim, obitym skórą fotelu, i położył dłoń na trzonku ciężkiego drewnianego młotka.

– My, przysięgli sądu okręgu Miami-Dade na Florydzie, po naradzie w dniu piątego stycznia dwa tysiące pierwszego roku, uznajemy oskarżonego Williama Ruperta Bantlinga za winnego morderstwa z premedytacją.

Winny! Winny morderstwa z premedytacją! Na widowni rozległ się krótki, stłumiony jęk, który zdaniem C.J. wyrwał się z gardła pani Prado.

– Proszę o ciszę. Niech wszyscy zostaną na swoich miejscach – odezwał się groźnie sędzia, chcąc przyciągnąć uwagę podenerwowanego, podekscytowanego i rozgorączkowanego tłumu. – Panno Rubio, czy obrona chce się dowiedzieć, jak głosowali poszczególni przysięgli?

– Tak, Wysoki Sądzie – odparła Lourdes nieswoim głosem po krótkim namyśle, kurczowo zaciskając palce na krawędzi stołu. Bantling tylko gapił się z niedowierzaniem na sędziego, jakby w ogóle nie słyszał werdyktu.

– Szanowni państwo, sędziowie przysięgli, zapytam was teraz indywidualnie o decyzję, żeby sprawdzić, czy werdykt został ustalony zgodnie z prawem. Przysięgła numer jeden, jaki był pani werdykt?

– Winny – odpowiedziała zapłakana emerytowana sekretarka z Kendall.

– Przysięgły numer dwa?

– Winny.

Wszyscy odpowiadali tak samo. Niektórzy przysięgli mieli oczy zaczerwienione od płaczu, inni mówili z wyraźną ulgą w głosie, jeszcze inni krzywili się z obrzydzeniem i wściekłością, gdy przychodziła na nich kolej.

Kiedy przysięgły numer dwanaście ogłosił winę oskarżonego, w sali zapanował kompletny chaos. Pani Prado zaczęła histerycznie piszczeć, wśród

rodzin pozostałych ofiar Kupidyna rozległy się wivaty i radosne okrzyki, reporterzy tłumnie ruszyli do wyjścia, żeby natychmiast przekazać nowinę do swoich agencji. C.J. zwiesiła nisko głowę i w głębi ducha zaczęła dziękować Bogu, w którego istnienie poważnie już zwątpiła.

Było po wszystkim. Proces nareszcie dobiegł końca.

I wtedy William Rupert Bantling zaczął krzyczeć.

Z jego ust wydobył się taki sam mrozący krew w żyłach skrzekliwy charkot, jaki słyszała w więzieniu podczas spotkania z nim i Lourdes. Gwar podnieconych głosów na widowni umilkł jak nożem uciął. Oczy wszystkich i obiektywy kamer zwróciły się w stronę stołu obrony.

Siedział z rękoma na głowie i palcami wplecionymi we włosy, z furią potrząsając głową na boki. Krew napłynęła mu do twarzy, szeroko rozwarte oczy miały wściekłe błyski, a z gardła płynął ten przerażający dźwięk. Po chwili obejrzał się na C.J. i wymierzył w nią palec.

– Ty pieprzona ruro! – syknął. – Powinienem był cię wtedy zabić, mała suko! Powinienem był cię zarznąć, do cholery! Nie uda ci się tak łatwo od tego wykręcić!

– Spokój! Nakazuję zachować spokój na sali! W tej chwili! – huknął sędzia Chaskel, nie mniej poczerwieniały na twarzy od oskarżonego. – Panie Bantling! Czy pan mnie słyszy?! Nakazuję panu natychmiast zamilknąć!

Lourdes położyła dłoń na ramieniu Bantlinga, chcąc go uciszyć, ale strząsnął ją z wściekłością i odepchnął z taką siłą, że omal nie walnęła nią o barierkę oddzielającą widownię.

– Nie waż się mnie dotykać, ty zdradliwa dziwko! Jesteś z nią w zмовie! Dobrze to wiem!

– Panie Bantling! Nie będę dłużej tolerował takiego zachowania! Każę pana zakneblować, jeżeli pan natychmiast nie zamilknie! – Sędzia popatrzył na woźnego. – Proszę wyprowadzić przysięgłych. I to już, Hank!

Woźny zaczął w pośpiechu popychać do wyjścia przysięgłych, którzy z

rozdziawionymi ustami patrzyli na Bantlinga.

Ten zaś odwrócił się i rzekł do sędziego:

– Wysoki Sądzie, domagam się innego obrońcy. Domagam się natychmiastowej zmiany adwokata.

– Panie Bantling, przed chwilą został pan skazany za morderstwo z premedytacją. Może pan sobie wybrać dowolnego adwokata, który będzie pana reprezentował podczas procesu apelacyjnego, jeśli tylko będzie pana na to stać. W przeciwnym razie sąd apelacyjny wyznaczy panu obrońcę z urzędu. Ale teraz nie może się pan domagać zmiany adwokata”

– Pan nic nie rozumie, panie sędzio! Ja nie zrobiłem nic złego! I one obie świetnie o tym wiedzą!

– Proszę się uspokoić i zapanować nad sobą.

– Przed laty przeleciałem tę prokurator. Zdrowo ją zerznąłem w jej nowojorskim mieszkaniu. I teraz ona mnie wrabia w te wszystkie morderstwa! Żądam nowego procesu! Chcę innego adwokata!

Sędzia Chaskel znowu zmarszczył brwi.

– Panie Bantling, to nie jest czas ani miejsce na tego typu oskarżenia, które dla mnie brzmią raczej groteskowo. Ma pan prawo wystąpić ze stosowną skargą za pośrednictwem swojego obrońcy, ale w późniejszym terminie.

– Proszę ją tylko zapytać! Ona panu powie! Na pewno przyzna, że została zgwałcona! I doskonale wie, że to ja ją zgwałciłem! Moja adwokatka również to wie, tylko jest jej żal panny Townsend. Jest jej żal biednej Chloe. Dlatego nie broniła mnie tak, jak powinna. Mogła przecież doprowadzić do unieważnienia sprawy!

– Panno Townsend? Panno Rubio? Czy wiedzą panie, o co chodzi? – spytał wyraźnie zakłopotany sędzia.

No i stało się. Nadszedł ten moment, którego tak się obawiała. Była pewna, że wcześniej czy później musi to nastąpić, ale po dzisiejszym zakończeniu procesu łudziła się, że jednak ją to ominie. Jak to jest, kiedy wszystko dokoła wali się w gruzy?

Z trudem przełknęła ślinę, wstała i zwróciła się do sędziego, powoli cedząc słowa:

– Wysoki Sądzie, rzeczywiście przed laty, jeszcze w trakcie studiów w Nowym Jorku, padłam ofiarą brutalnego gwałtu.

Z widowni doleciał ją szmer gwałtownie wciąganego powietrza do płuc. Ktoś mruknął: „O mój Boże!”. Ktoś inny: „Jasna cholera!”. Jeszcze inny: „Słyszałeś?!”. Zapraszamy na przegląd najświeższych wiadomości CNN. Najpierw relacja na żywo z Miami: Szokujące oświadczenie prokurator skarżącej w procesie mordercy, Kupidyna!

Odchrząknęła i mówiła dalej na tyle pewnym głosem, na ile było ją stać:

– Najwyraźniej, Wysoki Sądzie, oskarżony wszedł w posiadanie informacji na ten temat ze starych policyjnych raportów oraz doniesień prasowych, z których musiał się też dowiedzieć, że mojego gwałticiela nigdy nie schwytano. Dążąc za wszelką cenę do wyprowadzenia Wysokiego Sądu w pole i skomplikowania procesu poprzez oskarżenie mnie o stronniczość i brak obiektywizmu, pan Bantling wyznał, że to on dopuścił się gwałtu na mnie. Mogę jednakże zapewnić Wysoki Sąd, że to nieprawda. Pan Bantling nie jest tym mężczyzną, który mnie napadł i zgwałcił, co też zakomunikowałam broniącej go pannie Rubio w trakcie wcześniejszego spotkania. Jestem przekonana, że ona również nie znajduje uzasadnienia do wysuwania takich oskarżeń właśnie dzisiaj.

Sędzia Chaskel w osłupieniu spoglądał na nią zza stołu prezydyjnego. Nie podobało mu się, że został postawiony w kłopotliwej sytuacji. Zwłaszcza już

po zakończeniu rozprawy, którą z pewnością oceniał jako idealną, niezagrożoną zmianą wyroku przez sąd apelacyjny.

– Więc dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz? – Popatrzył na Lourdes. – Panno Rubio, czy ma pani coś do powiedzenia w tej sprawie?

Lourdes wpatrywała się w niego z uporem, jakby nie miała odwagi spojrzeć na C.J.

– Rzeczywiście, rozmawiałam z moim klientem, Wysoki Sądzie, i czytałam raporty policyjne dotyczące brutalnego napadu na pannę Townsend. Później zaś rozmawiałam na ten temat z panną Townsend. – Zawiesiła na chwilę głos, po czym dokończyła: – Jestem przekonana, że oskarżenia mojego klienta pod adresem panny Townsend są bezpodstawne i dlatego ich nie popieram.

Sędzia Chaskel zamyślił się głęboko, jakby nie wiedział, co ma zdecydować w takiej sytuacji. Kiedy wreszcie się odezwał, w jego głosie pobrzmiwała troska, chociaż musiał starannie dobierać słowa ze względu na obecność dziennikarzy na sali.

– Panno Townsend, jest mi bardzo przykro, że musiała pani dziś przed sądem ujawnić tak bardzo osobiste sprawy. Mogę jedynie wyrazić nadzieję, że media obecne na tej sali potraktują tę informację z takim uszanowaniem prywatności i taktem, na jaki ona zasługuje.

– To jakaś pieprzona bzdura! – Bantling z całej siły natarł oburącz na stół obrony i przewrócił go na podłogę, aż akta Lourdes rozsypały się na wszystkie strony. – Od początku do końca! Wszyscy chcecie mojej śmierci tylko dlatego, że wam żal tej kłamliwej suki?!

Dwaj strażnicy złapali go od tyłu pod ramiona, a trzeci za nogi. Zaczął się szamotać i wierzgać. Kiedy w końcu zakuli go z powrotem w kajdanki i skrupowali łańcuchem w kostkach nóg, obrócił wykrzywioną z wściekłości

twarz w kierunku C.J. Miał pianę na ustach, a z oczu ziała bezgraniczna nienawiść.

Wzburzony sędzia Chaskel rzekł podniesionym głosem, niemal krzycząc:

– Za pośrednictwem nowego adwokata w sprawie apelacyjnej będzie pan mógł złożyć dowolną skargę, ale w tym procesie werdykt już zapadł. Hank, zakneblujcie go.

– Ty kłamliwa suko, Chloe! – wrzasnął Bantling. – To jeszcze nie koniec! To jeszcze nie koniec!

Wrzaski nagle umilkły, gdy jeden ze strażników zasłonił mu usta.

Nie mogła wracać do domu. Reporterzy jakimś sposobem zdobyli jej adres, chociaż był zastrzeżony, i niemalże rozłożyli się obozem na parkingu w Port Royale, czekając na jej powrót. Najwyraźniej przekupili ochroniarza, żeby patrzył w innym kierunku, kiedy przez otwartą bramę będzie przejeżdżała błękitna furgonetka ekipy reporterskiej wiadomości Kanału Siódmego. Dlatego o wpół do jedenastej wieczorem C.J. wciąż siedziała w swoim biurze i wydzwaniała do hoteli, usiłując znaleźć wolny pokój, w którym mogłaby się ukryć na parę dni, do czasu, aż dziennikarze się znudzą, zabiorą swoją furgonetkę z zarezerwowanego dla niej miejsca na parkingu i usuną mikrofony sprzed drzwi jej mieszkania. Nawet nie zauważyła ciemnej sylwetki człowieka stojącego w otwartych drzwiach, dopóki nie odezwał się półgłosem:

– C.J.?

Szybko podniosła głowę, mając nadzieję, że to prokurator stanowy. Ujrzała jednak Dominicka.

– Cześć – bąknęła. Wiedziała, że był na sali sądowej podczas odczytywania werdyktu.

– Co robisz?

– Prawdę powiedziawszy, szukam jakiegoś spokojnego kąta, żeby się zaszyć na kilka dni. Pani Crowsby, moja starsza sąsiadka z mieszkania tysiąc szesnaście, piętro niżej, która opiekuje się Tibbym i Lucy, kiedy jestem w pracy, uprzedziła mnie przez telefon, żebym gdzieś zniknęła na jakiś czas. Podobno dziennikarze urządzili tam istny cyrk – powiedziała, nie patrząc na niego.

Wszedł głębiej, powoli okrążył biurko i przysiadł na rogu. Czuła na sobie jego badawczy wzrok, patrzył na nią, jakby była jakimś dziwadłem. Miała ochotę, żeby sobie poszedł i zostawił ją samą.

– Mówiłaś, że masz te blizny po wypadku samochodowym. Ale to nie był wypadek, prawda?

Poczuła, że wargi zaczynają jej drżeć. Przygryzła je szybko.

– Nie. To nie był wypadek.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi prawdy?

– Bo nie chciałam, żebyś wiedział. Pragnęłam zachować to w tajemnicy. A teraz, jak na ironię, historia mojego gwałtu stała się główną sensacją w serwisach na całym świecie. Pewnie w tej chwili tłumaczona jest na dwadzieścia cztery języki. – Przeciągnęła dłońmi po włosach i oparła czoło na splecionych dłoniach. – Po prostu nie chciałam, żebyś znał prawdę. To wszystko.

– Myślałaś, że to wpłynie na naszą znajomość? Tego się obawiałaś?

– Nie potrzebuję twojej litości, Dominicku. To zbyteczne.

– To nie jest kwestia litości, C.J. Sądziłem, że między nami może być coś więcej. Myślisz, że tylko na tyle mnie stać?

– To nie ma z tobą nic wspólnego. Chodzi o przeszłość. Moją przeszłość. Do dziś usiłuję się z tym pogodzić, codziennie staram się o to ze wszystkich sił. Dzisiaj po prostu mam jeden ze swoich gorszych dni.

– Więc nie odwracaj się ode mnie.

– Zrozum, nie mogę mieć dzieci. Wreszcie zdołałam to wydusić. Nie wiem, czy dla ciebie ma to znaczenie, czy nie, ale jestem bezpłodna. Teraz już wiesz wszystko.

W pokoju zapadło pełne napięcia milczenie. Ścienny zegar tykaniem odmierzał sekundy i minuty, a cisza wciąż się przedłużała. Wreszcie

Dominick odezwał się półgłosem:

– Czy to był on? Bantling ci to zrobił?

W ciągu godziny dziennikarze dokopali się do starych raportów, żeby wzbogacić doniesienia z sali sądowej o sugestywne szczegóły napadu i gwałtu na pani prokurator. Od razu przypomniał sobie, jak Manny mówił mu przez telefon komórkowy o gumowej masce klauna znalezionej w szafie Bantlinga. A potem niespodziewanie natknął się na C.J. przeglądając dowody rzeczowe w sali konferencyjnej, mimo że wcześniej nie zgłosiła takiej konieczności.

Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać.

Przez kilka długich chwil zastanawiała się, co odpowiedzieć. Łzy napłynęły jej do oczu, pociekły strumieniami po policzkach, ale żadnym sposobem nie mogła ich powstrzymać. Wreszcie podniosła głowę, przez łzy spojrzała w jego miękkie i łagodne oczy wpatrujące się w nią uporczywie, po czym odparła cicho, niemal szeptem, z wyraźną rezygnacją w głosie:

– Nie. To nie był on.

Przyglądał się jej uważnie. Wodził spojrzeniem po pięknej twarzy okolonej jasnokasztanowymi włosami, znacznie jaśniejszymi przy skórze, jak u małego dziecka. W błyszczących, mocno podkrążonych szmaragdowych oczach jak zawsze czaił się niepokój. Przez chwilę próbował sobie wyobrazić, co Bantling mógł jej zrobić, skoro zostawił na ciele tak liczne blizny. I w wyobraźni ujrzał twarz tej kobiety, którą pokochał, zapłakaną, wykrzywioną z bólu i przerażenia wobec sadystycznych uciech owego barbarzyńskiego potwora. Wiedział, że go okłamała. Ale nie miało to dla niego znaczenia.

– Zamknij książkę.

– Słucham?

– Zamknij książkę telefoniczną i odłóż słuchawkę.

– Dlaczego?

– Bo zabieram cię do domu. Będiesz miała bezpieczną kryjówkę.

Wziął ją za rękę, delikatnie podniósł z krzesła, otoczył ramionami i czule pocałował w czubek głowy. Tulił ją do siebie i gładził po włosach, zasłuchany w jej szloch. Nie zamierzał już nigdy wypuścić jej z objęć.

Po kilku dniach historia Kupidyna zeszła z pierwszych stron gazet, a po tygodniu przestano do niej wracać w wiadomościach telewizyjnych. Dziennikarze zajęli się poszukiwaniem kolejnej tragicznej zbrodni, pożaru lub powodzi. Bolesne szczegóły dokonanego na niej gwałtu oraz spekulacje na temat motywów jej działania i ewentualnej chęci odwetu, które początkowo także trafiły na czołówki prasy, wywołały liczne protesty opinii publicznej i kazały redaktorom prowadzącym zająć się kwestią prawa do prywatności ofiar gwałtu, a to błyskawicznie wyciszyło zainteresowanie jej osobą.

C.J. wzięła zaległy urlop, nie tylko po to, by przeczekać szum w prasie, ale też żeby odpocząć i przemyśleć parę spraw. Werdykty skazujące Bantlinga za dziesięć kolejnych morderstw z premedytacją zapadły już w spokoju, bez zbędnej sensacji, a co dziwniejsze, w notatkach prasowych na ten temat tylko raz czy dwa razy pojawiła się wzmianka o jego oskarżeniach dotyczących dawnego gwałtu. Nikt już nie przywiązywał do nich wagi. Po stronie oskarżenia na sali sądowej występowała teraz Rose Harris. C.J. musiała tylko raz wystąpić w roli świadka, a więc jeszcze raz stanąć oko w oko ze swoim oprawcą, potem zmierzyć się z żądnymi sensacji dziennikarzami, i wreszcie jej rola dobiegła końca.

Kilka dni spędziła w Key West z Dominickiem, kiedy w Miami wrzało jeszcze wokół jej osoby. Odnalazła tu ciszę i spokój, pośród którego mogli przebywać ze sobą godzinami, rozmawiając bez końca przy butelce wina lub w trakcie długich spacerów o zachodzie słońca. Ją samą zaskakiwało, jak błogie może być poczucie ulgi, wywołanej głównie tym, że może się

wreszcie z kimś podzielić tą wiecznie osamotnioną, ściśle odizolowaną od reszty cząstką swojej duszy, którą od dwunastu lat pilnie ukrywała przed całym światem. Mimo że w gruncie rzeczy wcale nie rozmawiała z Dominickiem na temat gwałtu, sama świadomość, że on zna prawdę i wcale się tym nie przejmuje, bo ją kocha, poruszała ją do głębi. Podbudowana nią, z tym większą swobodą dała się ponieść coraz silniejszej miłości do niego.

Etap ustalania wysokości kary zaczął się półtora miesiąca później. Na polecenie Chaskela oskarżonego doprowadzono nie tylko skutego, ale i zakneblowanego. Sędzia, chcąc prowadzić normalne posiedzenie, musiał naturalnie sprawdzić, czy oskarżony potrafi zachowywać się poprawnie, ale już w ciągu czterech pierwszych sekund po usunięciu knebla usłyszał, że „ma się odpiardolić do spółki z panią prokurator”. Nakazał więc pozostawić Bantlinga skutego i zakneblowanego. Chciał uniknąć sytuacji, w której uprzedzeni już przysięgli będą musieli wysłuchiwać kolejnych zjadliwych i gołosłownych oskarżeń, zwłaszcza teraz, gdy właściwy proces już zakończono. Ostatecznie dał bezpodstawnie obwinionej możliwość przemówienia w swojej sprawie, bo nawet obrończyni skazanego nie poparła jego niesłychanych zarzutów. Dlatego wołał, by to okręgowy sąd apelacyjny wysłuchiwał wrzasków Bantlinga, usiłując wyłowić z nich jakiś sens. Bo po ustaleniu przez przysięgłych wysokości kary on mógł się raz na zawsze uwolnić od tego problemu.

W sprawach o najcięższe zbrodnie etap ustalania kary przypomina odrębną minirozprawę, w której obie strony mogą powoływać i przesłuchiwać świadków. Tym razem nie chodzi jednak o ustalenie winy bądź niewinności oskarżonego, lecz o to, czy ma on zginąć za swoje zbrodnie, czy żyć dalej w więzieniu. Na poparcie wniosku oskarżenia o wymierzenie kary śmierci C.J. jeszcze przez trzy dni prezentowała materiał

dowodowy. Przysięgli dowiedzieli się o pozostałych odkryciach dokonanych w trakcie przeszukania przyczepy mieszkalnej Violi Traun. Obejrzelili zdjęcia ze wszystkich miejsc zbrodni oraz pozostałych dziesięć serc wyciętych pomordowanym dziewczętom wraz z całą fotograficzną kolekcją ponurych trofeów odkrytą w lodówce. Z zeznań świadków dowiedzieli się o szczegółach dziesięciu wcześniejszych morderstw, poznali inne ofiary, również odnalezione z rozciętymi na krzyż i otwartymi klatkami piersiowymi, w których pozostały puste miejsca po sercu. Cały ten materiał nie mógł być wykorzystany do uzyskania werdyktu skazującego, teraz jednak miał posłużyć jako podstawa do uchwalenia najwyższego wymiaru kary. A przez cały ten czas Bantling siedział obok Lourdes Rubio z buntowniczą miną i zakneblowanymi ustami.

Czwartego dnia, kiedy oskarżenie zakończyło prezentację i przyszła kolej na obronę, po wyjściu przysięgłych z sali sędziego Chaskel zapytał:

– Panno Rubio, czy chce pani powołać jeszcze jakiegoś świadka na rzecz swojego klienta?

– Tylko jednego, Wysoki Sądzie. Pan Bantling poprosił mnie o powołanie jednego świadka. Chce sam zeznawać w swojej obronie.

Chaskel głośno westchnął.

– Proszę bardzo, ma do tego prawo. Chciałbym się tylko wcześniej upewnić, czy będzie się zachowywał stosownie. Hank, proszę usunąć skazanemu knebel.

C.J. zaczęło mocniej bić serce. Tylko spokojnie. Już nikt nie zwraca uwagi na słowa tego szaleńca. Nie ma żadnych dowodów. Przecież sama się o to postarałaś. Spojrzała w lewo i dostrzegła, że z tylnych rzędów widowni Dominick patrzy na nią badawczo. Ledwie zauważalnie skinął głową, chcąc ją utwierdzić, że wszystko będzie w porządku.

Sędzia zerknął na Bantlinga znad okularów, groźnie mrużąc oczy i oznajmił surowo:

– Panie Bantling, pański adwokat zakomunikował mi przed chwilą, że chce pan zeznawać w swojej obronie, do czego ma pan prawo. Jednakże nie ma pan prawa działać destrukcyjnie na sąd, toteż nie dopuszczę pana do głosu, jeśli nie zdoła pan nad sobą zapanować. Czy wobec tego może pan zapewnić sąd, że powstrzyma się od tak niestosownych wybuchów, do jakiego dopuścił się podczas odczytywania werdyktu? Jeśli szczerze pan to obieca, oczywiście pozwolę panu zeznawać. Powtarzam jednak, że nie będę tolerował niewłaściwego zachowania na tej sali. Jeśli nie obieca mi pan, że nie będzie więcej niestosownych wybuchów, nie zgodzę się na pańskie przesłuchanie, a tym samym nie zostawi mi pan wyboru i każę pana z powrotem zakneblować. Więc jak będzie, panie Bantling?

– Niestosowne wybuchy?! – wrzasnął skazany. – Mam pana w dupie razem z tym marionetkowym sądem! Zostałem wrobiony! Ta pieprzona suka wrobiła mnie w morderstwo!

Knebel wrócił na swoje miejsce.

Niespełna dwadzieścia pięć minut zajęło przysięgłym uchwalenie jednogłównego wyroku. Kara śmierci.

Nie było sensu przeciągać tego procesu choćby o jeden dzień dłużej. Chaskel od razu przychylił się do opinii przysięgłych i skazał Bantlinga na śmierć przez wstrzyknięcie trucizny. Następnie polecił wyprowadzić skazanego i opróżnić salę, po czym szybko zamknął posiedzenie. Aż trzech strażników musiało wywlekać Bantlinga, który mimo knebla próbował głośno protestować. Dziennikarze znów rzucili się tłumnie na korytarz, by telefonicznie przekazać nowiny do swoich redakcji i zdybać przysięgłych w drodze do wyjścia. Dominick, Manny, Chris Masterson i Eddie Bowman

zostali odciągnięci na bok, żeby przed kamerami podzielili się swoimi spostrzeżeniami. Wreszcie na sali został tylko woźny, C.J. oraz Lourdes, które bez pośpiechu pakowały opasłe akta sprawy „Stan Floryda kontra William Rupert Bantling”.

W drodze do wyjścia Rubio podeszła do stołu oskarżenia, pchając przed sobą wózek wyładowany dwoma wielkimi kartonami dokumentów, i po raz pierwszy od burzliwego spotkania w więzieniu okręgowym stanęła twarzą w twarz z C.J., która pojednawczo wyciągnęła do niej rękę i powiedziała:

– Miło mi było występować przeciwko tobie, Lourdes.

Adwokatka zignorowała jednak zarówno wyciągniętą rękę, jak i tę uwagę.

– Będziesz uczestniczyła w następnych rozprawach o zamordowanie tych wszystkich kobiet? – zapytała.

– Nie. Raczej nie.

– To chyba dobry pomysł.

C.J. puściła to mimo uszu i odwróciła się do niej tyłem, żeby dokończyć pakowanie teczki.

– Wiele aspektów tej sprawy bardzo mnie niepokoi, C.J. Niektóre wynikają tylko z mojego postępowania i biorę za nie pełną odpowiedzialność. Czy na pewno cel uświęca środki? Nie wiem. Po prostu nie wiem. – Rozejrzała się po pustej widowni, jakby chciała utrwalić w pamięci widok miejsca przegranej bitwy. – Ale jest jedna rzecz, która wciąż nie daje mi spokoju. Podejrzewam, że ciebie niepokoi tak samo.

C.J. znieruchomiała ze wzrokiem utkwionym w trzymanyh aktach. Pragnęła, by Rubio nie zadrezczała jej swoimi wyrzutami sumienia.

– W środku nocy, krótko przed mowami końcowymi w procesie, agent Falconetti nieoczekiwanie odnajduje przyczepę mieszkalną zmarłej ciotki Billa Bantlinga, człowieka, przez którego przeszłość ponoć wcześniej się

przegryzał niczym płyn do mycia przez brudną brytfankę. Cóż to za szczęśliwy zbieg okoliczności, C.J., że natrafił na informacje o tej krewnej zaledwie na parę godzin przed zakończeniem procesu, gdy dotąd przez wiele miesięcy nic o niej nie wiedział. I jak sprytnie mógł przedstawić całą okropność zbrodni Bantlinga jeszcze przed zamknięciem rozprawy. Błyskotliwa robota policji czy zdumiewający zbieg okoliczności? Nie sądzisz, że i tę wiadomość mógł poznać od jakiegoś małego anonimowego ptaszka? Podejrzewam jednak, że nigdy się tego nie dowiemy.

C.J. podniosła głowę i śmiało popatrzyła jej w oczy. Zatem obie znamy prawdę. I znałyśmy ją dużo wcześniej.

Bez słowa odwróciła się i ruszyła powoli w stronę przejścia między rzędami widowni, tylko przelotnie zerknąwszy na pustą ławę przysięgłych. Kiedy była już przy drzwiach, z tyłu doleciała ją jeszcze jedna, głośniejsza uwaga:

– Mówi się, że sprawiedliwość jest ślepa, C.J., ale moim zdaniem w niektórych wypadkach dzieje się tak dlatego, że świadomie odwraca głowę, aby nie widzieć. Warto, żebyś o tym pamiętała.

– Winna ci jestem przeprosiny – powiedziała C.J. – Szczerze mówiąc, chyba nie tylko tobie, ale właśnie z tobą chciałam porozmawiać w pierwszej kolejności.

Stała w pomalowanej na niebiesko i żółto poczekalni, w części dla osób potrzebujących pomocy, podczas gdy Greg Chambers znajdował się po drugiej stronie, w recepcji. Rozdzielało ich niewielkie kwadratowe kuloodporne okienko. Czując się przez to trochę niezręcznie, pochyliła się do mikrofonu i odparła z wymuszonym uśmiechem:

– Poza tym, jeśli mnie pamięć nie myli, jestem zapisana na cotygodniowe wizyty w środę wieczorem.

Popatrzył na nią zdziwiony. Zaskoczyła go, ale tylko trochę. Skinął głową i wcisnął guzik elektrycznego zamka. Czekał u wylotu korytarza, aż przejdzie do drugiej części jego królestwa.

– Doktorze Chambers – zaczęła. – Rzeczywiście wyciągnęłam pochopne wnioski. Dopiero teraz zrozumiałam, że całkiem niepotrzebnie. Przez dziesięć lat był pan nie tylko moim terapeutą, ale i przyjacielem...

– Daj spokój, C.J. Nie musisz za nic przeproszać, choć przyznam, że bardzo sobie cenię twoje przeprosiny. Proszę, wejdź. Po prostu nie spodziewałem się ciebie. – Wprowadził ją do gabinetu i zapalił światło. – Siadaj, proszę. I ja przepraszam, że nie widzieliśmy się od czasu tamtej krótkiej rozmowy w twoim gabinecie. Zaskoczyłaś mnie dzisiaj. Obawiam się, że terminy twoich sesji oddaliśmy pewnej znerwicowanej gospodyni domowej ze Star Island. Przed chwilą odjechała swoim mercedesem na obiad do Forge – wyjaśnił z uśmiechem swobodnym tonem.

– Cieszę się, że nadal służy pan pomocą społeczeństwu – odparła z takim samym uśmiechem. – Dzień za dniem, godzina za godziną.

Atmosfera tego spotkania wcale nie była tak napięta, jak się obawiała.

– Słyszałem o dzisiejszym wyroku. A więc ostatecznie się z tym uporałaś. Czy może będziesz jeszcze prowadziła pozostałe sprawy?

– Nie, to koniec. Dziesięcioma wcześniejszymi morderstwami zajmie się Rose Harris. Nie chcę już dłużej być królową balu. Obejdę się bez tego.

– Zatem powinienem ci chyba pogratulować wytrwałości. Prawdę mówiąc, mam w lodówce butelkę szampana na specjalną okazję. Pacjenci, którzy się przełamują i kończą terapię, dostają sezonowe bilety na mecze Dolphinsów albo coś w tym rodzaju. Trzymam też jeden dla ciebie w nadziei, że i ty pewnego dnia się przełamiesz. Ale już teraz możemy uczcić twój sukces. W pełni na to zasługujesz. Zakończyłaś proces. – Popatrzył na nią wzrokiem, który kiedyś uważała za łagodny i pobłażliwy, po czym dodał nadzwyczaj poważnym tonem: – Dlatego pozwól, że na razie będę występował tylko jako twój przyjaciel, a nie psychoterapeuta.

Z uśmiechem skinęła głową. Wiedziała, dlaczego mu na tym zależy. Po tym, co powiedziała podczas ostatniego spotkania, żadnym sposobem nie chciał dłużej być jej terapeutą.

– Dobrze, ale tylko pod warunkiem, że pozwolisz mi zapalić. Nie mogę rzucać dwóch nałogów naraz, a rezygnacja z sesji psychoterapeutycznej jest dla mnie wystarczająco dużym wyrzeczeniem jak na jeden dzień.

Zaśmiał się.

– Mam też trochę sera i krakersy, więc chyba najpierw cię nakarmię, a dopiero potem upiję.

– Nie rób sobie kłopotu.

– To żaden kłopot. – Wstał i podszedł do lodówki stojącej za barkiem. –

Jak sobie poradziłaś z zainteresowaniem dziennikarzy?

– Jeśli mam być szczerą, związałam i ukryłam się. U Dominicka. Dopiero gdy szum przycichł, wróciłam do domu. Na szczęście nie trwało to długo. Mam tylko nadzieję, że opinia publiczna jest po mojej stronie. Bantling to stuknięty szubrawiec, który upatrzył mnie na kozła ofiarnego. – Dreszcz przeszedł jej po plecach, gdy musiała przy nim wymienić nazwisko Bantlinga, dlatego zanotowała sobie w pamięci, by zachować ostrożność. Co prawda, występował chwilowo w roli jej przyjaciela, a nie terapeuty, ale przecież nie mógł już odmienić swoich wcześniejszych stosunków ze skazanym, nawet gdyby bardzo mu na tym zależało. – Tigler dał mi podwyżkę i trzy tygodnie wolnego. Wspaniale, że na razie nie muszę chodzić do biura.

Donośny strzał obwieścił otwarcie butelki szampana.

– A więc nadal spotykasz się z agentem Falconettim?

– Tak. Podczas rozprawy trzymaliśmy się na dystans, ale teraz już nie musimy. Jest mi z nim dobrze.

– Przepraszam, że przyjmuję cię tak skromnie – rzekł, stawiając na stoliku rozdzielającym dwa wielkie fotele tacę z butelką szampana, dwoma szklaneczkami oraz talerzykiem małych kanapeczek na krakersach. – Mam tylko resztki z urodzinowego przyjęcia Estelle, które zorganizowała w ten weekend. – Usiadł naprzeciwko niej. – To on rozgryzł sprawę, prawda? Doprowadził do przełomu, jak to się mówi?

– Tak. Jest doskonałym śledczym. Odnalazł wszystkie trofea Kupidyna, w tym masę fotografii. Były odrażające. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś równie okropnego.

– Nie wątpię.

– Do dziś jeszcze ciarki chodzą mi po plecach, gdy pomyślę, jak mógłby

się zakończyć proces, gdyby nie odnalazł tych trofeów.

– Albo nie wiedział, gdzie ich szukać. Cieszę się, że wpadłem na niego, wychodząc wtedy z konferencji. W przeciwnym razie nadal brakowałoby mu wskazówki, co dalej robić.

– Wskazówki? Jakiej? – zapytała, czując lodowate ukłucie niewytłumaczalnego lęku.

– Gdzie szukać. To ja mu powiedziałem, żeby szukał analogii z innymi głośnymi sprawami kryminalnymi, bo nigdy nie wiadomo, na co się w ten sposób trafi. Szampana?

W głowie zawirowały jej pytania, na które raczej wolała nie znać odpowiedzi. Przypomniały jej się ostatnie słowa Lourdes z sali sądowej.

– Przepraszam za to, co powiedziałam wtedy wieczorem w swoim gabinecie – rzekła powoli, zmieniając temat, żeby zyskać na czasie i uporządkować chaotyczne myśli. – Byłam w szoku. Sprawa wymykała mi się z rąk. Powiedziałam wtedy zdecydowanie za dużo.

– Byłaś pod wpływem silnego stresu.

– To prawda.

Wskazał jej butelkę, zachęcając, by się sama obsłużyła. Wciąż nie mogła się uwolnić od dziwnego niepokoju. Szósty zmysł podpowiadał jej, że coś tu jest nie tak.

– Mam nadzieję, że rozumiesz, C.J., w jak trudnej sytuacji mnie wówczas postawiłaś, skoro Bill także był moim pacjentem – odparł. – Ale teraz stawiasz mnie chyba w jeszcze trudniejszej.

Wolno pokręciła głową i sięgnęła po oszronioną butelkę moët rose, stojącą w pięknym zabytkowym wiaderku z grubo rżniętego kryształu. Pod kostkami lodu na jego dnie leżało coś ciemnopurpurowego.

– Naprawdę trudnej, biorąc pod uwagę, jak bardzo chciałbym cię

przelecieć i w ogóle...

Ciszę gabinetu rozdarł przenikliwy krzyk, który niemal wstrząsnął ścianami budynku. Chambers siedział wygodnie rozparty w fotelu naprzeciwko, z nogą założoną na nogę, i spoglądał na nią z zaciekawieniem, stopniowo uśmiechając się coraz szerzej.

Upłynęło kilka chwil, zanim dotarła do niej potworność odkrycia, zanim jej umysł ogarnął to, co zdawało się niepojęte, i zaczął szukać drogi ucieczki w całkowitym odcięciu się od rzeczywistości; zanim uświadomiła sobie, że ciemnopur-purowy obiekt na dnie kryształowego wiaderka to ludzkie serce, a histeryczny wrzask porażający uszy wydobywa się z jej własnego gardła.

Z palcami wciąż zaciśniętymi na butelce szampana poderwała się z fotela, odpychając go do tyłu, aż z głośnym hukiem przewrócił się na podłogę. Do drzwi! Uciekaj! Skoczyła do wyjścia i wyciągnęła rękę do klamki, lecz w tej samej chwili poczuła, jak Chambers łapie ją za żakiet na karku i ciągnie z powrotem. Odwróciła się błyskawicznie i z całej siły zamachnęła się ciężką butelką w jego głowę.

Był szybszy. Prawą ręką zasłonił się przed ciosem i tylko jęknął gardłowo, gdy butelka trafiła go w przedramię. Roztrzaskała się, a spieniony szampan prysnął na wszystkie strony, pociekł jej po włosach i twarzy. Ponownie rzuciła się do wyjścia, ale on nie puszczał, przyciągał ją do siebie. Odskoczyła w drugą stronę i jednym ruchem wyszarpnęła ręce z rękawów, zostawiając mu w ręku sam żakiet. Złapała za klamkę, otworzyła drzwi, wypadła na korytarz i w paru susach przemknęła przez pustą, tonącą w ciemnościach recepcję.

Jeszcze moment, a byłaby w poczekalni, ale dopędził ją, złapał od tyłu i ciężko dysząc tuż nad uchem, w silnym uścisku przygwoździł jej ręce do boków. Nie zdołała się przytrzymać klamki. Poleciała do tyłu i ciężko grzmotnęła na podłogę.

Jeszcze zanim uderzyła tyłem głowy o terakotę, poczuła w nodze ostry przeszywający ból, aż na chwilę pociemniało jej w oczach. W nodze wygiętej do tyłu pod ostrym kątem rozeszło się nieprzyjemne mrowienie. Przemknęło jej przez myśl, że musiała ją skrócić albo nawet złamać podczas upadku.

Chambers wyciągnął spod niej rękę i odtoczył się w bok. Znieruchomiał, z trudem chrapliwie łapiąc powietrze. Kątem oka złowiła szeroki uśmiech na

jego twarzy.

Dlaczego się uśmiecha?

Szybko spojrzała na swoją nogę, pełna obaw, że ugodził ją nożem, że zobaczy na podłodze własną krew rozlewającą się coraz większą kałużą. Ale miała tylko wbitą w udo strzykawkę z opróżnionym zbiorniczkiem. Pokój zaczął jej falować przed oczami, a myśli w głowie zlewać się w bezsensowny szum. Chciała wyszarpnąć strzykawkę, ale nie była już w stanie podnieść ręki. Leżała na wznak na zimnej terakocie, ogarnięta coraz silniejszym bezwładem. Chambers usiadł wreszcie i oparty plecami o ścianę patrzył na nią uważnie z coraz szerszym uśmiechem, który rozpływał się jej przed oczyma. Miała wrażenie, że jarzeniówki pod sufitem z wolna przygasają i jeszcze wolniej się zapalają z każdym mrugnięciem powiekami. Usiłowała coś powiedzieć, ale słowa nie chciały przejść przez gardło. Język miała jak z waty. W ostatnim przebłysku świadomości dotarły do niej dźwięki muzyki organowej Bacha dolatujące z wieży stojącej w rogu stanowiska recepcyjnego Estelli. Muzyka klasyczna miała na celu łagodzenie nastroju szaleńców.

C.J. zapadła się w bezkresną ciemność.

Powoli otworzyła oczy, spodziewając się jaskrawego światła jarzeniówek, ale zamiast nich ujrzała swoje odbicie. Leżąca na metalowym chirurgicznym stole kobieta w oliwkowozielonej garsonce miała ręce wyciągnięte wzdłuż boków i przytwierdzone do stołu, a nogi ugięte w kolanach zwisały poza jego krawędź. Zamrugła szybko, uświadamiając sobie, że patrzy w lustro. Leżała wyciągnięta na wznak i miała nad sobą duże lustro sufitowe. Po jego bokach były jarzeniówki, których się spodziewała, ale ich blask tonął w pomieszczeniu pomalowanym na czarno. Nie była w stanie dojrzeć, co znajduje się za nią, lecz jak dalece mogła się zorientować, pokój nie był duży, jakieś cztery na pięć metrów. I nigdzie nie zauważyła okna. Na wprost metalowego stołu stał aparat fotograficzny umocowany na statywie. Z niewidocznych głośników płynęło Mozartowskie *Alleluja*.

Czuła się strasznie ociężała, jakby nogi i ręce nie były połączone z resztą ciała. Kiedy nakazała w myślach, żeby poruszyć palcem wskazującym, nie była nawet pewna, czy drgnął choć o milimetr. Zawodziły ją wszystkie zmysły. Powieki unosiły się i opadały w zwolnionym tempie, a za każdym razem ostrość widzenia rozmywała się na ułamek sekundy. Czuła jednak bijący od jej włosów zapach szampana. Otworzyła usta, próbując coś powiedzieć, lecz językiem również ledwie mogła poruszyć, a z gardła wydobył się tylko nieartykułowany jęk, jakby nagle utraciła też zdolność mowy.

Zmusiła się, żeby obrócić głowę w prawo, i dostrzegła go stojącego w kącie, odwróconego do niej tyłem. Nucił pod nosem. Doleciał ją plusk wody płynącej z kranu i podzwanianie jakichś metalowych przedmiotów. Nawet

ciche dźwięki to dudniły jej w uszach, to znów całkiem ginęły, jak gdyby w rytm dotkliwego pulsowania w obolałej głowie.

Odwrócił się do niej, przekrzywił głowę i zmarszczył brwi.

– Musisz mieć bardzo wysoką tolerancję. Nie spodziewałem się, że otworzysz oczy wcześniej niż za kilka godzin.

Próbowała odpowiedzieć, ale znów z jej gardła popłynął tylko nieartykułowany jęk. Dostrzegła obok niego chirurgiczny stół narzędziowy na kółkach. Był przykryty białą tkaniną, na której leżały połyskujące w blasku jarzeńców srebrzyste narzędzia. Po chwili zauważyła także wielkie żelazne kleszcze.

– Może okres popularności mam już za sobą, ale to bez znaczenia. Jesteś ze mną i tylko to się liczy. Jak się czujesz, C.J.? – Poświecił jej ołówkową latarką w źrenice, chociaż odruchowo próbowała zamknąć powieki. – Podejrzewam, że nie za dobrze. Ale nie próbuj odpowiadać. I tak bym cię nie zrozumiał. – Rozpiął pas mocujący jej prawą rękę do stołu i przyłożył palce do przegubu, sprawdzając tętno. – No, no. Powinnaś głęboko spać, być na granicy śpiączki, a tymczasem masz przyspieszony puls. Twój organizm silnie się broni, prawda?

Puścił jej rękę i popatrzył, jak bezwładnie opada z powrotem na stół. Spostrzegła, że prawe przedramię ma grubo zabandażowane. Przypomniała sobie o butelce szampana.

– Nie walcz z tym. Szkoda wysiłku. Niepotrzebnie zwiększasz tętno i przyspieszasz krążenie, a przez to narobisz tylko większego bałaganu. Chętnie skąpałbym się cały w twojej krwi, lecz muszę mieć na uwadze późniejsze sprzątanie.

Z wielkim trudem odwróciła z powrotem głowę.

– Chyba wreszcie wszystko rozumiesz, prawda? – Spojrzał na nią z

uśmiechem, wyraźnie czerpiąc satysfakcję z jej przerażenia. Bo nawet mimo otumanienia narkotykami docierała do niej zgroza tej sytuacji. – Tylko nie myśl, że od razu zdradzę ci utrzymywany w ścisłej tajemnicy stary rodzinny przepis, opowiem wszystko ze szczegółami i sprawa będzie jasna. Do tego się nie posunę. Nad niektórymi rzeczami będziesz sobie łamała głowę aż do ostatniej chwili. – Westchnął i musnął palcami jej włosy. – Niech ci wystarczy, że jestem dżentelmenem, a dżentelmeni wolą blondynki. Od samego początku chciałem cię mieć, C.J., od chwili, kiedy poznaliśmy się przed dziesięciu laty. Bez przerwy o tobie myślałem.

Piękna C.J. Townsend, nadzwyczajna pani prokurator, która tak bardzo się starała, żeby zamaskować swoją urodę, nie rzucać się w oczy i z takim trudem przeżywała każdy kolejny dzień. I do tego dźwigała swój mroczny, smutny sekret, którym odważyła się podzielić tylko z jedną osobą. Swoim psychoterapeutą. Wiodła smutne samotne życie, prześladowana przez wspomnienia i koszmary niedające jej spać po nocach, uniemożliwiające znalezienie kogoś, przy kim nie będzie się czuła taka smutna i samotna. Trafnie zdiagnozowano u niej silny stres pourazowy. Ale w szczególnych okresach roku, takich jak Boże Narodzenie albo walentynki popadała także w klasyczną depresję. Czy to brzmi znajomo, C.J.? Układa się w logiczną całość? Podsumujmy jeszcze: siedemdziesiąt pięć dolarów za godzinę, uwzględniając policyjną zniżkę, pomnożone przez ile miesięcy terapii? Przez ile lat? Jak widzisz, wystarczy mi kilka słów, żeby znaleźć do ciebie dojdzie.

Wciąż gładził ją po włosach, odgarniał posklejane szampanem kosmyki ze spoczonego czoła. Wreszcie pochylił się i zajrzał jej w oczy. Ujrzała tuż przed sobą jego niebieskie źrenice, które jeszcze niedawno uważała za ciepłe i pogodne, patrzące na nią z głębokim zrozumieniem, którego teraz chyba doszukiwał się u niej.

– Zamierzam sprawić, że wreszcie poczujesz się naprawdę wspaniale, C.J.
– szepnął jej na ucho. – W rzeczywistości nigdy nie byłaś naprawdę chora, w każdym razie nie bardziej niż przeciętny człowiek w twojej sytuacji, jak choćby ta gospodyni domowa ze Star Island, która tylko znudziła się dostatkiem. Ty po prostu miałaś czas zauważyć, że w twoim życiu zapanował chaos, i na swoje nieszczęście wybrałaś mnie, bym ci pomógł je uporządkować.

Wyprostował się i wyjął z kieszeni strzykawkę oraz małą fiolkę.

– Obiecałem jednak, że nie będę cię zanudzał zwierzeniami o wszystkich moich paskudnych postępkach. Muszę ci jednak powiedzieć, że ty i Bill byliście wprost idealną parą do przeprowadzenia eksperymentu na potwierdzenie czysto hipotetycznej teorii. Gwałciciel i jego ofiara. Co się stanie, jeśli role się odwrócą i prześladowana stanie się prześladowcą? Jaką drogą podąży, kiedy zyska tę wyjątkową sposobność? Wybierze etykę czy sprawiedliwość? Jak daleko się posunie, kierowana żądzą odwetu? I do czego to doprowadzi? Jak słono biedny Billy będzie musiał zapłacić za swoje zbrodnie namiętności? Czy będzie musiał oddać życie, by spłacić dług? Muszę przyznać, C.J., że obserwacja twoich poczynań była fascynująca. Podobnie jak obserwacja biednego Billy’ego, którego jedyny problem polegał na tym, że nie potrafił zbyt długo wytrzymać z zapiętym rozporkiem. No i nie umiał pohamować wybuchów wściekłości.

Zaczął napełniać strzykawkę przezroczystym płynem z fiolki. Wskazał na jej brzuch i dodał:

– Obejrzałem sobie jego dzieło, kiedy spałaś. Masz rację, to barbarzyństwo – orzekł, wydymając wargi w grymasie obrzydzenia. – Do końca był pewny siebie, sądził, że się wywinie. Nie docenił ciebie. Na pewnym etapie aż chciałem doprowadzić do jego uwolnienia. Mógłbym

wtedy zachować wszystkie swoje trofea. A jednocześnie zobaczyć twoją reakcję, gdy otworzą przed nim drzwi celi i dadzą mu pięć dolarów na autobus, żeby miał jak wrócić do domu. Byłabyś gotowa zaciąć się na niego w ciemnym zaułku, uzbrojona w starą gwintówkę tatusia, żeby go naszprycować ołowiem? Zdecydowałem jednak, że cała ta sprawa musi się skończyć happy endem. Teraz ty oto wyruszysz na spotkanie ze Stwórcą, mając świadomość, że przez ciebie inni ludzie zabiją w celi śmierci niewinnego człowieka. Ciekawe, jak to wytłumaczysz Bogu. A może jednak tego nie zrobią? Hmm... Może jakimś cudem Bill wygra apelację? I wyjdzie na wolność? To by dopiero była ironia losu. Żyłby nadal, w przeciwieństwie do ciebie, i dalej gwałcił kobiety, szlachtując je swoim wielkim paskudnym nożem.

Próbowała odpowiedzieć, lecz nadal z jej gardła wydobywały się tylko bełkotliwe, nieartykułowane dźwięki.

– Och, nie masz się czego bać, C.J. Zostawię cię na krótko. Niedługo wrócę. Chciałem, żebyś miała o czym myśleć do naszej następnej sesji. Na razie muszę się zająć zarabianiem na życie. Na dziewiątą jestem umówiony z pacjentem, który nie może się doczekać rozmowy ze mną. Cierpi na zespół obsesyjno-kompulsywny. A Estelle jak zwykle ugrzęzła w korkach. Dlatego muszę wracać do gabinetu.

Wbił jej igłę w ramię.

– To powinno cię uszczęśliwić. Ten środek na pewno nie jest ci obcy. To haloperidol. Miłych snów. Wkrótce znów się zobaczymy. Zrobimy sobie trochę zdjęć, podowcipkujemy.

Usłyszała brzęk kluczy i po chwili drzwi otworzyły się z cichym skrzypieniem.

Czarny pokój znów zafalował jej przed oczyma, sprzęty zatraciły swoje

kształty. Powieki zaczynały ciążyć. Poczowała, że mimowolnie otwiera zaciśnięte kurczowo pięści. Miała wrażenie, jakby spadała w przepaść. Spadała i spadała, bez końca.

– Do zobaczenia – doleciało ją w ostatnim przebłysku świadomości.

Dominickowi aż zaparło dech w piersi, kiedy na drugim końcu linii ktoś w końcu podniósł słuchawkę. Usłyszał jej znajomy głos. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że znów włączyła się tylko automatyczna sekretarka. Ścisnęło go w dołku.

Gdzie ona jest? Gdzie się podziała, do diabła?

Poprzedniego wieczoru nie pojawiła się na umówionym obiedzie, a rano nie przyszła do pracy. Nie było jej w mieszkaniu i od czasu ogłoszenia wyroku nikt jej nie widział.

Czyżby znów postanowiła trzymać go na dystans? A może nic mu nie mówiąc, dokądś wyjechała, żeby mieć trochę czasu tylko dla siebie?

Nie potrafił się jednak uwolnić od złych przeczuć, które mąciły mu w głowie. Trapiły go złowieszcze, ponure myśli, że stało się coś strasznego. Przez całą noc nie zmrużył oka, zamartwiając się o nią. Wiedział już, że nie doszło do żadnego wypadku, bo obdzwonił szpitale i sprawdził we wszystkich komendach policji.

Nie minęły jeszcze nawet dwadzieścia cztery godziny od jej zniknięcia, a on już nie mógł usiedzieć na miejscu. Z telefonu komórkowego połączył się z dyżurką Wydziału do Zwalczania Przystępczości i polecił rozpocząć poszukiwania jej samochodu, przypisując sprawie kod ósmy – osoba zaginęła w podejrzanych okolicznościach.

Kiedy ponownie otworzyła oczy, otaczały ją nieprzeniknione ciemności. Już nie żyła? Stało się?

Jakby wbrew sobie obróciła głowę najpierw w jedną stronę, potem w drugą, ale wszędzie było tak samo ciemno. Może naprawdę umarła? Dotknęła jednak policzkiem zimnego metalowego stołu i przypomniała sobie, że pokój nie ma okna i jest w całości pomalowany na czarno. Było tak ciemno, ponieważ on, wychodząc, zgasił światło.

Ile godzin minęło? Ile dni? Czy on nadal tu był? Czał się gdzieś w kącie pokoju i obserwował ją? Spróbowała poruszyć palcami ręki, lecz wciąż były za ciężkie. Podobnie zmusiła do wysiłku palce stóp, ale nie umiała nawet powiedzieć, z jakim efektem. W gardle jej zaschło, język miała sztywny od narkotyku. Jaką dawkę jej zaaplikował?

Greg Chambers. Kupidyn. Błyskotliwy psychiatra. Zaufany przyjaciel. Groźny seryjny morderca. Dlaczego? Jak? To przecież bez sensu. Cała jej wieloletnia terapia była dla niego tylko grą. Zabawną i wciągającą. Tylko się przyglądał, jak ona walczy z przytłaczającymi skutkami gwałtu. A później poznał stukniętego Billa Bantlinga i zaczął manipulować nimi oboje, traktując ich jak pionki na planszy. W grze, której stawką była śmierć.

W pokoju było przeraźliwie zimno, jak na szpitalnej sali operacyjnej. Czuła, jak jej ciałem wstrząsają dreszcze. Wiedziała już, kim on naprawdę jest i co zrobił. Z jej pamięci wypłynęły skierowane do niej słowa:

Nie walcz z tym... narobisz przez to większego bałaganu.

Czyje serce widziała w wiaderku z lodem? Przecież serca wszystkich jedenastu ofiar Kupidyna zostały odnalezione i zidentyfikowane na

podstawie analizy DNA. Najpewniej były dalsze ofiary. Jej śmierć jeszcze powiększy ich liczbę, tyle że prawdopodobnie miało to na zawsze pozostać tajemnicą. Bo nikt już ich nie szukał. Wygasły obawy przed seryjnym mordercą. Przynajmniej na jakiś czas.

Zamierzał ją zabić. Wiedziała nawet, jak chce to zrobić. Potrafiła opisać jego poczynania w ścisłych terminach medycznych, bo przecież już jedenaście razy miała okazję oglądać jego dzieła, słuchać wyjaśnień specjalisty medycyny sądowej, czytać raporty z sekcji zwłok, przeglądać makabryczne pamiątkowe zdjęcia.

Wiedziała, że teraz będzie musiała oglądać to na własne oczy. Przypomniała sobie o resztkach kleju z taśmy samoprzylepnej wykrytych na powiekach Anny Prado. Na pewno zamierzał i jej przykleić powieki, żeby w wielkim lustrze na suficie obserwowała swoje ostatnie chwile, jak w komorze śmierci, z której na zewnątrz nie mógł się wydostać jej histeryczny krzyk.

Strach ścisnął ją za gardło. Próbowwała zawołać, lecz było to niemożliwe. Łzy bezsilności pociekły po twarzy i zaczęły się gromadzić na stole w niewielką kałużę pod karkiem.

Przypomniała sobie o stojącym w rogu chirurgicznym stoliku na kółkach i porozkładanych błyszczących instrumentach. Z pamięci wypłynęła twarz doktora Joego Neilsona, a w uszach rozbrzmiały jego słowa, kiedy tłumaczył na sali sądowej, wodząc końcem rozedrganej wskazówki po piersi manekina przedstawiającego kobietę:

To musiał być skalpel. Nacięcia były głębokie, sięgały aż do żeber. Ostrze gładko przeszło przez wszystkie trzy warstwy skóry, tkankę tłuszczową oraz mięśniową.

Dobrze wiedziała, jak to się skończy. Domyślała się nawet, co będzie wtedy czuła.

Kiedy śmierć miała po nią przyjść? A może już tu była i obserwowała ją w milczeniu z ciemnego kąta? Przyglądała się, jak ona płacze i pojękuje? Jak jeszcze walczy w nadziei, że serce samo pęknie pod wpływem tak silnego stresu?

Bo mogła tylko czekać w ciemności. Czekać i obserwować.

. 94 .

– Przepraszam, że przeszkadzam, doktorze Chambers, ale ktoś chce się z panem zobaczyć – powiedziała Estelle. Zaskoczony psychiatra popatrzył na głośniczek interkomu, z którego doleciał jej skrzekliwy, zniekształcony głos.

– Przyszedł agent specjalny Falconetti.

– Rozumiem. Poproś, żeby usiadł na kilka minut w poczekalni, zaraz skończę.

Bez pośpiechu wrócił do przeglądania notatek dotyczących ostatniego pacjenta, na których podstawie swoje obserwacje i wnioski nagrywał na dyktafon.

Estelle podniosła głowę znad biurka i spojrzała na Dominicka. Widziała go w telewizyjnych reportażach z procesu, ale wtedy zawsze sprawiał wrażenie bardzo pewnego siebie i opanowanego. Teraz zaś wyglądał wręcz na przerażonego. To pewnie przez te złe wieści, przemknęło jej przez myśl.

– Doktor przyjmie pana za kilka minut. Zachce pan na razie usiąść. – Ruchem głowy wskazała obite skórą fotele w poczekalni.

– Dziękuję – odparł.

Nie usiadł jednak. Odprowadziła go wzrokiem, gdy odchodził od okienka recepcyjnego, a potem stanął przy fotelach i zaczął się nerwowo rozglądać na boki, co chwila spoglądając na zegarek.

Wreszcie otworzyły się wewnętrzne drzwi i doktor Chambers wszedł do recepcji. Minął jej biurko, otworzył okienko i rzekł:

– Agencie Falconetti. Proszą wejść.

Dominick ruszył za nim przez recepcję i dalej krótkim, wyłożonym terakotą korytarzykiem do pomalowanego na żółto-niebiesko gabinetu.

– Czym mogę panu służyć, Dom? – zapytał psychiatr, zamykając drzwi.

– Na pewno już pan słyszał...

– O C.J. Townsend? Tak, oczywiście. Od dwóch dni mówią o niej w wiadomościach. Są jakieś postępy w śledztwie?

– Nie, żadnych. Dlatego do pana przyszedłem. – Dominick zawahał się na chwilę, po czym wyjaśnił: – Być może wie pan, że coś nas ze sobą łączyło. Mówiła mi, że spotyka się z panem na sesjach terapeutycznych. Mając to na uwadze, chciałem zadać panu kilka pytań.

– Proszę, Dom. Oczywiście pomogę w każdy możliwy sposób, tylko nie pytaj mnie, o czym w trakcie sesji mówiła mi C.J. Nie mogę ujawnić takich informacji i na pewno tego nie zrobię.

– Rozumiem. Proszę mi powiedzieć, kiedy ją pan widział po raz ostatni?

Greg Chambers przez chwilę patrzył na niego w milczeniu. Od pewnego czasu przygotowywał się na to spotkanie. Doszedł jednak do wniosku, że gdyby słynny agent specjalny domyślał się prawdy, stanąłby w progu jego gabinetu już dwa dni temu. Nie ulegało też wątpliwości, że Falconetti nie miał pojęcia o pozostałych kobietach figurujących w jego spisie specjalnych pacjentów. Najwyraźniej C.J. zachowała swoje wnioski dla siebie.

– Nie widzieliśmy się od czasu procesu, to znaczy od paru tygodni.

– I nawet nie rozmawiał pan z nią?

– Nie, od tamtej pory nie. Ostatnio w ogóle nie pojawiała się już na sesjach terapeutycznych. Zatem obawiam się, że nie będę mógł wam pomóc.

– Wzruszył ramionami.

– Rozumiem. I nie przypomina pan sobie niczego, co by pomogło ją odnaleźć? Dokąd mogła się udać? Z kim spotkać? Może kogoś się bała?

Było jasne, że o niczym nie mają pojęcia. Najmniejszego. Nie wiedzą nawet, czy rzeczywiście zaginęła, czy po prostu wyjechała, nikomu o niczym

nie mówiąc. Aż przykro było patrzeć, jak sławny detektyw boryka się ze świadomością, że jego kochanka po prostu mogła go rzucić, znaleźć sobie kogoś innego i wyjechać bez pożegnania, zostawiając go z poczuciem, że nawet nie zdążył jej lepiej poznać.

– Nie, Dom. Bardzo żałuję, ale nie mogę w niczym pomóc. Co najwyżej powiedzieć... – zawiesił głos, dobierając właściwe słowa, i wycedził powoli, jak gdyby w zamyśleniu: – ...że C.J. przypomina mi kota, który zawsze chadza własnymi ścieżkami. Jeśli rozpatrujesz różne ewentualności, to chyba powinieneś brać także pod uwagę, że mogła się gdzieś zaszyć, jeśli doszła do wniosku, że potrzebuje spokoju na przemyślenie pewnych spraw. – Śmiało spoglądał Falconettiemu prosto w oczy, oględnie podsuwając mu rozwiązanie, którego ten najwyraźniej nie chciał przyjąć do wiadomości.

Dominick powoli skinął głową i rzekł:

– W porządku. Dziękuję. Proszę zadzwonić bezpośrednio do mnie, gdyby się z panem skontaktowała. Na odwrocie wizytówki zapisałem mój numer domowy, chociaż przez okrągłą dobę może mnie pan złapać pod telefonem komórkowym. Na wszelki wypadek, gdyby z jakichś powodów miał pan trudności...

– Na pewno to zrobię, Dom. Jeszcze raz powtarzam, że jest mi przykro, iż nie mogłem wam pomóc.

Dominick odwrócił się i wyszedł z gabinetu. Ruszył z powrotem korytarzem przygarbiony, z nisko spuszczoną głową. Łatwo było odczytać tę subtelną, choć typową i bardzo sugestywną mowę jego ciała. Chambers spoglądał za nim, ledwie zauważalnie kiwając głową. Patrzył, jak mija biurko Estelle i wychodzi do poczekalni, układając w głowie to, co dobroduszny psychiatra mu powiedział i czego nie powiedział, a co jednoznacznie wynikało z jego słów.

Wciąż bez ruchu przyglądał się, jak agent specjalny Falconetti otwiera ciężkie mahoniowe drzwi, wychodzi na ulicę, wsiada do samochodu i odjeżdża.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wdarło się jaskrawe światło. Znowu usłyszała brzęk kluczy.

Podszedł do zlewu w kącie i zaczął myć ręce, zwrócony do niej tyłem. Tuż przy zlewie stał chirurgiczny stolik z przygotowanymi narzędziami. Leżały na nim różne skalpele, nożyczki, szczypce, igły, taśma samoprzylepna, zestaw wężyków i plastikowy woreczek do kroplówki, a nawet maszynka do golenia. Poświęcił co najmniej pięć minut, żeby starannie wyszorować ręce, jak chirurg przed operacją, po czym wytarł je w papierowy ręcznik. Z szafki pod zlewem wyjął opakowanie sterylnych gumowych rękawiczek i ostrożnie wciągnął je na dłonie.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział głośno. – Sesja mi się przeciągnęła. Jeśli uważasz, że masz poważne problemy, to powinnaś posłuchać tego, co ja usłyszałem w moim gabinecie. Siedemnastoletni schizofrenik pociął nożem kuchennym własną matkę. Wyobrażasz to sobie? Rodzoną matkę!

Podszedł do statywu i spoglądając w wizjer aparatu, wycelował obiektyw w jej twarz, nieruchomą, obróconą ku górze, z szeroko rozwartymi oczami. Pstryknęła migawka.

– Mogę się założyć, że jesteś fotogeniczna. Masz wspaniałe rysy.

Zrobił drugie zdjęcie i pokręcił obiektywem, żeby objąć cały stół chirurgiczny.

Podszedł do stolika narzędziowego i przez chwilę w zamyśleniu spoglądał na rozłożone instrumenty. Potem znów otworzył szafkę pod zlewem i wyjął zielony strój chirurgiczny. W kącie pokoju stało krzesło. Zdjął marynarkę i

starannie powiesił ją na oparciu, po czym rozwiązał krawat, ściągnął koszulę i spodnie, bez pośpiechu składając poszczególne rzeczy i układając je na krześle. Bez przerwy nucąc pod nosem, przebrał się w zielony strój.

– Dziś rano odwiedził mnie twój przyjaciel – powiedział głośno, wciągając również jasnozielone ochraniacze na buty. – Dominick. Pytał, czy mógłbym mu pomóc w odszukaniu ciebie, czy nie wiem, dokąd mogłaś pojechać albo z kim. Bardzo posmutniał, kiedy przedstawiłem mu swoje zdanie. Naprawdę był bardzo smutny.

Podtoczył stolik i ustawił go z prawej strony stołu, na którym leżała. Wziął z niego chirurgiczny czepek i włożył na głowę.

– Pewnie nie wiesz, że początkowo specjalizowałem się w chirurgii.

Spojrzał na jej prawą rękę i zmarszczył brwi. Nie była przypięta pasem do stołu. Widocznie zapomniał ją przypiąć po ostatnim zastrzyku. Szybko podniósł ją wysoko i puścił, patrząc, jak bezwładnie opada z powrotem na stół.

Mruknęła coś niezrozumiałego. Nie było jej stać na nic więcej poza tym nieartykułowanym bełkotem. Łzy spływały jej po twarzy i skapywały na włosy.

To był smutny widok. Taki piękny obiekt do jego wspaniałej, fantastycznej pracy. Początkowo sądził, że gdy wszystko dobiegnie końca, ogarnie go radość i poczucie spełnienia, bo jego hipotezy się potwierdziły. Ale kiedy Bill ostatecznie został skazany na śmierć, kiedy rozgrywka dobiegła końca, nieoczekiwanie ogarnął go smutek. Zaaranżował ten eksperyment od chwili, gdy przed trzema laty zjawił się w jego gabinecie Bill z bagażem swoich problemów. Wysłuchał z uwagą jego bełkotliwych, gwałtownych wynurzeń. Słuchał ze spokojem o wszystkich odrażających rzeczach, jakie od lat robił kobietom, które spotykał na swojej drodze.

Niemalże chłonał te informacje jak gąbka, powtarzając sobie w myślach, że choć szczęśliwe zbiegi okoliczności są bardzo mało prawdopodobne, to jednak się zdarzają. A potem doktor medycyny Gregory Chambers, szanowany i uznany psychiatra, odkrył niespodziewanie, że znalazł wprost wymarzony obiekt do przeprowadzenia najbardziej zadziwiającego eksperymentu w historii nowoczesnej psychiatrii. I choć zajmował się fenomenem śmierci jeszcze na długo przed rozpoczęciem sesji z cierpiącą na klasyczną depresję C.J. oraz narcystycznym socjopatą Billem, wcześniejsze dokonania wydały mu się nagle bez znaczenia. Nikt się nawet nie zainteresował zniknięciem tamtych obiektów, ich śmierć była nieistotna, pozbawiona konsekwencji. Dopiero ten eksperyment stanowił prawdziwe dzieło sztuki. Wciąż miał w pamięci dreszcz podniecenia, jaki go ogarnął, gdy postanowił wcielić swój plan w życie. Tak samo jak wyraz twarzy biednej, smutnej Nicolette, kiedy otwierał jej klatkę piersiową. Nie zdawała sobie sprawy, jak istotną rolę przyszło jej odegrać w jego pracy. Była pierwsza. Dopiero później przez jego sekretną pracownię przewinęły się inne obiekty.

I oto teraz, gdy wszystko dobiegło końca, odczuwał smutek. Głównie dlatego, że nie mógł się z nikim podzielić wynikami swojej pracy, nie mógł udostępnić ludzkości jej efektów. Koledzy po fachu mieli nigdy ich nie poznać, jego obserwacje i wnioski musiały na zawsze pozostać tajemnicą. Dla całego świata nadal pozostanie nieznanym prowincjonalnym psychoterapeutą.

– Daj spokój. Szkoda łez – powiedział uspokajającym tonem. – Rad bym ci powiedzieć, że to wcale nie będzie bolało, ale obawiam się, że byłoby to kłamstwo. Jak się zapewne orientujesz, musimy zacząć od podłączenia ci kroplówki.

Wziął ze stolika strzykawkę oraz grubą gumową rurkę do uściśnięcia ręki nad łokciem.

Nagle gwałtownym ruchem złapał ją za przegub i kilka razy silnie uderzył jej zaciśniętą pięścią o metalowy stół. Następnie pochylił się i zajrzał w szkliste oczy wpatrujące się bezsilnie w sufit nad głową.

– Ale najpierw... – uśmiechnął się przymilnie – ...może byłabyś tak dobra i oddała mi mój skalpel?

Okazała się nadzwyczaj sprytna. Oczywiście już w pierwszej chwili spostrzegł brak skalpela na stoliku, zaledwie się do niego zbliżył. Czyżby sądziła, że jest aż tak głupi i tego nie zauważy? Popęniła typowy błąd, który zdarzał się wielu innym, nawet znacznie sprytniejszym od niej. Nie doceniła go. Z pośpiechu zapomniała, że i on nie jest w ciemną bity.

Zwycięstwo w partii szachów uzyskuje się poprzez zapędzenie przeciwnika w pułapkę bez wyjścia, przy wykonaniu wcześniej serii skomplikowanych, lecz w gruncie rzeczy nieistotnych posunięć. Nic nie może się równać satysfakcji, jaka towarzyszy słowu „mat” rzucanemu szeptem osłupiałemu głupcowi, który aż do ostatniej chwili niczego nie przeczuwa i obmyśla kolejne ruchy wymierzone przeciwko królowej przeciwnika.

W tej grze było dokładnie tak samo, tym większą odczuwało się satysfakcję, im bardziej wartościowy był przeciwnik. Specjalnie wszystko naszykował, porozkładał instrumenty na stoliku, zastawił pułapkę, rozkoszując się perspektywą osłupienia malującego się na jej pięknej twarzy.

W samą porę zauważył rozpięty pas mocujący oraz jej rękę trzęsącą się z podniecenia i uprzedził desperacką próbę ratowania siebie i targnięcia się na jego życie. Patrzył w oczy rozszerzone z przerażenia, jeszcze przez jakiś czas pozwalając kobiecie myśleć, że zdąży mu jednak zadać decydujący cios. Ale gdy w końcu chwycił jej rękę, uniemożliwiając jakikolwiek ruch, poczuł się tak, jakby rzucał przeciwnikowi w twarz słowo „mat”.

Tak kurczowo zaciskała pięść, że po uderzeniu nią w stół dość obfity strumyk krwi przesączył się między palcami, pociekł w kierunku nadgarstka i

spłynął na stół. Musiał pomóc sobie drugą ręką, żeby rozewrzeć palce. Tylko jęknęła w proteście. Popatrzył na swój skalpel numer pięć i świeżą głęboką ranę w jej dłoni zaciśniętej spazmatycznie na ostrzu. Wyjął go ostrożnie niczym rodzic zabierający ulubioną zabawkę upartemu brzdącowi.

Wolno pokręciła głową na boki w wyrazie rezygnacji. Znowu łzy popłynęły jej z oczu. Ostatnia desperacka próba ratowania życia spełzła na niczym. Zdziwiło go jednak, że zachowała aż tyle sił. Bez wątpienia była wartościowym przeciwnikiem, może nawet lepszym od wszystkich poprzednich. Ale cóż, i tak za słabym dla niego.

Nagle jego uszy poraził przenikliwy wrzask, potem doleciały go wyraźne, w pełni zrozumiałe słowa. W tej samej chwili uświadomił sobie, że haldol przedwcześnie przestał działać. O wiele wcześniej, niż można by podejrzewać. A chwilę później poczuł ostry ból w szyi i ciepło rozchodzące się szybko po skórze wraz ze strumieniem krwi spływającej po jego stroju chirurgicznym, plamiącej go na czerwono.

Poczucie głębokiej satysfakcji ustąpiło miejsca zaskoczeniu. Przyglądał się, jak C.J. wykrzykuje wściekle na niego ze zmarszczonym czołem i twarzą wykrzywioną złością. Uniósł dłonie do szyi, chcąc odruchowo zacisnąć palcami niezbyt duże rozcięcie skóry, ale krew obfitym strumieniem trysnęła między nimi. Czuł, że błyskawicznie traci siły. Jak z oddali dotarło do niego własne rżenie, gdy próbował coś powiedzieć. Spoglądał bezsilnie, jak razem ze strumieniem krwi wycieka z niego życie, spływa po ubraniu na buty i szybko tworzy na podłodze rozszerzającą się kałużę.

W ostatnim odruchu wyciągnął ręce, chcąc zacisnąć palce na jej gardle, ale była już poza jego zasięgiem. Zachwiał się do tyłu i oparł plecami o ścianę. Kiedy z wysiłkiem usiadła na stole, dostrzegł w jej oczach bezgraniczną nienawiść. W lewym ręku ścisnęła drugi skalpel, z którego

ostrza krew skapywała na metalowy blat. To była jego krew.

I dopiero wtedy obleciał go strach, gdyż uświadomił sobie, że to on popełnił ten najczęściej spotykany błąd. To on jej nie docenił.

Wiedziała, że ma tylko jedną szansę. Tylko jedną, żeby go zmusić, by pochylił się nad nią, umożliwiając w ten sposób zadanie skutecznego ciosu w oko albo w szyję. Wiedziała, że brakuje jej sił, że nie może jeszcze w pełni panować nad swymi rękami.

Zerkała ukradkiem, gdy nucąc pod nosem, przebierał się w strój chirurgiczny, a potem krążył po sali. Kiedy wreszcie stanął nad nią i zmarszczył brwi, obleciał ją strach. Coś podejrzewał. Mocniej zacisnęła pięść, przytrzymując kciukiem skalpel skierowany ostrzem do wnętrza dłoni. Czyżby nie przetoczyła stołu w to samo miejsce? A może niechcący przesunęła stolik narzędziowy? W kompletnych ciemnościach trudno jej było ocenić, czy wszystko wygląda dokładnie tak, jak w chwili jego wyjścia.

Był blisko, ale jeszcze nie dość blisko. Bez wątpienia podejrzewał, że coś jest nie tak. Pas! Musiał zauważyć, że jest rozpięty! Kropelki potu wystąpiły jej na czoło, chociaż w pokoju było przeraźliwie zimno. Podniósł jej rękę i puścił. Bezwładnie opadła na stół. C.J. postarała się, żeby wyglądało to naturalnie, ale nie wypuściła bezcennego narzędzia.

Nie poddawaj się. Cokolwiek robisz, nigdy się nie poddawaj.

Uśmiechnął się z satysfakcją i obrócił w stronę stolika narzędziowego. Niewiele brakowało, żeby głośno odetchnęła z ulgą.

Podejdz bliżej. Jeszcze trochę. I pochył się, jak będziesz szykował kroplówkę. Choćby o parę centymetrów.

Złapał ją nagle za rękę i zaczął uderzać nią o blat, chcąc najwyraźniej rozewrzeć zaciśniętą pięść. Nie! Za nic! Nie poddawaj się! Jeszcze silniej zwarła palce i poczuła, jak ostrze wbija się w dłoń. Mimo to nie chciała go

wypuścić. Dopiero gdy na siłę rozprostował jej palce, znów poczuła się okradziona. A on uśmiechał się triumfalnie, pewny, że ją przechytrył. Zniweczył plan. Łzy pociekły jej po twarzy.

Boże. Nie! To się nie może tak skończyć!

No, podejdz bliżej, jeszcze trochę bliżej, łajdaku. Nie podejrzewasz, że mam jeszcze jednego asa w rękawie. Jeszcze nie jestem gotowa na to, żebyś mnie ułożył do wiecznego snu. Przy odrobinie szczęścia uda mi się już za pierwszym razem. Musi się udać. Bo już nie będę miała następnej szansy.

Wreszcie pochylił się nad nią, ściskając w ręku strzykawkę i gumowy wężyk zaciskowy.

– Idź do diabła! – wrzasnęła, krzyknęła mu prosto do ucha.

Skalpel numer trzy leżał zakryty jej lewą ręką, pod pasem mocującym ułożonym tak, żeby wyglądał na zapięty. Zebrawszy w sobie wszystkie siły, zacisnęła palce na uchwycie, uniosła skalpel i wbiła mu go w szyję. Krew trysnęła szerokim strumieniem. Jego oczy, które spoglądały na nią z triumfalnym wyrazem bezgranicznej satysfakcji, rozszerzyły się nagle z przerażenia.

Odskoczył do tyłu i unióśł obie ręce do szyi, potrącając przy tym stolik narzędziowy, który odbił się od ściany, a porozkładane na nim instrumenty z brzękiem posypały się na czarne kafelki podłogi. Nie zdejmując lewej ręki z szyi, drugą jeszcze wyciągnął w jej kierunku, ale zachwiał się i oparł plecami o ścianę. W rozszerzonych oczach dostrzegła coraz większe przerażenie.

Cały był we krwi. Musiała mu rozciąć tętnicę szyjną, gdyż błyskawicznie się wykrwawiał. Wpatrzony w nią, wykrzywił twarz w grymasie złości i chyba próbował coś powiedzieć, ale rozległo się tylko rżenie, jakby nie mógł złapać oddechu.

Stoczyła się ze stołu i grzmotnęła o podłogę. Poczuła przenikliwy ból w

boku i usłyszała stłumiony trzask pękającej kości. Wciąż nie mogła stanąć na nogach, haloperidol sprawił, że odmawiały jej posłuszeństwa. Były jak koła, z których uszło powietrze. Odpychając się rękoma, dopęzła po podłodze do pomalowanych na czarno drzwi, którymi tu wchodził, po czym nie spuszczać go z oka, sięgnęła w górę i namacała klamkę. Coraz bardziej dotkliwy ból rozlewał się po całym ciele i tak mocno ścisnął w piersi, że ledwie mogła oddychać.

Krew spływająca z rany na jego szyi tworzyła poszerzającą się, połyskliwą kałużę na czarnej terakocie. Osunął się po ścianie i usiadł w niej. Chciała zawołać pomocy, ale jej słaby, zachrypnięty głos był ledwie słyszalny. Chambers znowu zacharczał i wyciągnął rękę w bok, jakby chciał po coś sięgnąć.

Musiła uciekać, znaleźć pomoc. Nacisnęła klamkę, ale drzwi się nie otworzyły. Dopiero teraz przypomniała sobie brzęk kluczy.

Zamknął ich oboje w środku.

Klucze! Gdzie mógł schować te przeklęte klucze?! Na pewno były w kieszeni marynarki wiszącej na krześle. A on siedział przy nim, oparty plecami o ścianę, wciąż wodząc rozcapierzoną dłonią po podłodze. Oczy miał szeroko otwarte, ale nawet nie mrugał powiekami. Gdyby nie ruszał ręką, można by sądzić, że już nie żyje. Był prawdopodobnie w stanie szoku, jego organy wewnętrzne jeden po drugim przestawały funkcjonować. Zaczęła się czołgać przez kałużę krwi w stronę krzesła. Ból w piersi stawał się nie do wytrzymania. Z każdym ruchem coraz trudniej było jej zaczerpnąć powietrza.

Sięgnęła po marynarkę wiszącą na oparciu, ściągnęła ją na podłogę i zaczęła gorączkowo przetrząsać kieszenie ze wzrokiem utkwionym w Chambersie. Jego krew, jeszcze ciepła, pokrywała już niemal całą podłogę. Butonierka. Nic. Kieszonka wewnętrzna. Nic. Lewa kieszeń. Są! Wyszarpnęła je z brzękiem i zaczęła się czołgać z powrotem do wyjścia. W nogach czuła już mrowienie, lecz wciąż nie miała nad nimi władzy.

Nagle jego palce zacisnęły się na jej kostce. Przyciągał ją do siebie. Krzyknęła i próbowała wierzgnąć nogą, ale nie miała siły. Obejrzała się szybko. Opuścił lewą rękę, którą dotąd przyciskał do rozciętej szyi. Trzymał w niej strzykawkę.

– Nie! Nie! – wrzasnęła. – Boże! Nie!

Gorączkowo przebierała rękami po podłodze, usiłując się od niego oddalić, lecz palce ślizgały się po zalanych krwią płytkach terakoty. Stopniowo przyciągał ją coraz bliżej. Jeszcze raz obejrzała się na strzykawkę wypełnioną przezroczystym płynem, krople trucizny skapywały ze skierowanej w dół igły. Trzymał już palec na tłoczku i celował w udo, musiał

jeszcze tylko trochę ją przyciągnąć. Ta ilość mivacronu wstrzyknięta bezpośrednio do krwiobiegu, nierozcieńczona w kroplówce, musiała ją zabić. Desperacko rozrzuciła ręce na boki, usiłując znaleźć jakiś punkt podparcia, cokolwiek, co pozwoliłoby jej utrzymać się na dystans, ale nie było tu żadnych sprzętów. Tymczasem zaczął powoli opuszczać rękę, igła była już tylko parę centymetrów od jej ciała. Nawet w takiej chwili, doskonale wiedząc, że nic już nie zdoła go uratować, uśmiechał się triumfująco, przekonany, że umrą razem.

Niespodziewanie poczuła pod palcami jakiś metalowy przedmiot. Nożyczki. Błyskawicznie zacisnęła je w garści i zgięła się wzdłuż, wyciągając rękę daleko przed siebie. Trafiała go w pierś. Natychmiast rozluźnił palce zaciśnięte na kostce. Strzykawka wylądowała w kałuży krwi i poturlała się pod ścianę. Jego oczy pozostały szeroko rozwarte, triumfalny uśmieszek nie zniknął z ust.

C.J. pospiesznie odczołgała się do drzwi i znów wymacała nad sobą klamkę. Chwyciła się i podciągnęła ku górze, lecz palce śliskie od krwi i obolałe od głębokiego rozcięcia dłoni ześliznęły się i huknęła brodą o podłogę. Aż zadzwoniło jej w uszach i pociemniało w oczach.

Nie! Wstawaj! Nie wolno ci tu mdleć! Na pewno nie tutaj i nie teraz!

Potrząsnęła głową, żeby rozproszyć mgłę sprzed oczu, ponownie sięgnęła w górę, złapała się klamki, podciągnęła z trudem i uniosła drugą rękę do zamka znajdującego się wyżej. Klucze podzwaniały w jej roztrzęsionych palcach, gdy gorączkowo usiłowała dopasować ten właściwy. Ból w rozciętej dłoni prawie uniemożliwiał trzymanie klamki. Wreszcie trzeci z kolei klucz wszedł w szczelinę i dał się obrócić. Cicho szcęknął rygiel. Nacisnęła klamkę i ostrożnie pchnęła drzwi, żeby znowu nie upaść. Uchyliły się nieco. Osunęła się z powrotem, pchnęła je mocniej i popatrzyła na wyłożony

dywanem, pogrążony w mroku korytarz. Gdzieś z oddali dobiegało głośnie tykanie staroświeckiego zegara.

Gdzie była? Gdzie ją trzymał, do diabła?! Jakże jeszcze niespodzianki trzymał w zanadrzu?!

Obejrzała się przez ramię: siedział nieruchomo pod ścianą z tak samo szeroko rozwartymi, szklistymi oczyma. Poczłgała się w głąb korytarza, wypatrując telefonu. Dokoła było niemal równie ciemno, jak w tym przeklętym czarnym pokoju, z którego ledwie zdołała się wydostać. I tu nie było okien, nie paliło się światło.

Musisz znaleźć telefon. Policja zidentyfikuje numer, spod którego dzwonisz. Będą wiedzieli, gdzie jesteś. Prawdopodobnie w jego domu.

Ledwie już mogła oddychać, łapała powietrze krótkimi haustami, krzywiąc się z bólu.

Nie tutaj! Nie mdlej tutaj, Chloe!

Pokonawszy jakieś trzy metry, dotarła do szczytu schodów i przytrzymując się poręczy, zjechała po nich na dół. Wylądowała w ciemnościach na zimnych płytkach podłogowych. Tu, na dole, było trochę jaśniej, słaba poświata wlewała się do środka przez okna. Ale za nimi także panowały ciemności, była noc. Tylko blask ulicznych latarni przesączał się między drewnianymi listewkami żaluzji, lecz to wystarczyło, by natychmiast rozpoznała pomalowany na żółto-niebiesko korytarz oraz wielkie stare biurko zastawione zdjęciami Estelle i jej rodziny, na którym znajdował się również telefon.

Wiedziała dokładnie, gdzie się znajduje, gdzie była przez cały ten czas – w pięknym zabytkowym domu w hiszpańskim stylu przy Almeria Road. W błogiej ciszy wypełniającej gabinet psychoterapeuty, leżąc na zimnych płytkach meksykańskiej terakoty i czekając na przyjazd policji, zalała się

łzami.

– Miała pani cholerne szczęście, pani prokurator. Tamten pokój wyglądał jak sceneria do kiepskiego horroru. Wszędzie było pełno krwi – oznajmił Manny od progu, spoglądając na nią ze zmarszczonym czołem. Garnitur miał wymięty. W jednym ręku trzymał duży kosz pełen egzotycznych tropikalnych kwiatów, a w drugim papierowy talerzyk z pastelitos. – Kwiaty są od wszystkich chłopaków. Dorzucił się nawet Bowman, ten sknerus. Ale pastelitos są tylko ode mnie. Doktor uprzedził, że na razie nie może pani pić kawy, więc przyniosłem mleko.

– Szczęście? – mruknęła leżąca w łóżku C.J. – Raczej sam kupuj losy na loterię, Miśku. Ja nie zamierzam ryzykować. – Skrzywiła się, gdyż przy każdym oddechu nadal odczuwała dotkliwy ból. Popatrzyła na kosz kwiatów i dodała: – Bardzo dziękuję. Są prześliczne.

– No cóż, pani za to wygląda fatalnie, ale przynajmniej żyje, czego nie można powiedzieć o milusińskim doktorku. Właśnie wracam z jego biura. Ładną dziurę zrobiła mu pani w piersi, pani prokurator. Nawet ładniejszą niż na szyi. Proszę mi przypominać, żebym nigdy pani nie denerwował. Co mówią lekarze? Wraca pani szybko do pracy, czy mam już teraz szukać sobie nowego szefa, który będzie mi pozwalał składać meldunki przez telefon?

– Trzy złamane żebra, przecięte ścięgno w prawej dłoni, wstrząs mózgu, zapadnięte płuco. Ale wyjdzie z tego – odparł Dominick, który siedział w fotelu przy jej łóżku. Spędził w nim całą noc, zajął to miejsce, zanim jeszcze przywieziono ją do sali z izby przyjęć.

– Postawię kwiaty tutaj, obok tego miliona róż, które ktoś pani przysłał. Ciekawe kto? – Alvarez zachichotał, zerkając z ukosa na Falconettiego. – Ty

też kiepsko wyglądasz, Dom. Tylko ciebie nic nie tłumaczy. – Odwrócił się znowu do C.J. i obrzucił ją zatroskanym wzrokiem. Głębokie zmarszczki dziwnie nie pasowały do jego pogodnej twarzy. – Cieszę się, że pani z tego wyjdzie, bo już się stęskniłem, pani prokurator. Wszyscy bardzo się martwiliśmy.

– Co znaleźliście... – zająknęła się i przełknęła ślinę, chcąc dokończyć.

– Proszę nic nie mówić, bo i mnie zaczyna boleć, gdy pani słucham – wtrącił typowym dla siebie, szorstkim tonem. – Prawdę mówiąc, niewiele mogliśmy znaleźć. Komora śmierci milusińskiego doktora pod względem narzędzi i płynów do kroplówek była wyposażona niczym sala zabiegowa na ostrym dyżurze, ale to wszystko. Nie znaleźliśmy tego serca, o którym pani mówiła. Kryształowe wiaderko było czyste. Nie natknęliśmy się też na żadne zwłoki ani w jego gabinecie, ani w domu, który jeszcze przetrząsamy. Wszędzie panuje idealny ład i porządek. Żadnych odcisków palców czy krwi, nie mówiąc, rzecz jasna, o jego własnej, która jest dosłownie wszędzie i na wszystkim. Chyba uszła z niego co do kropli, zanim go znaleźliśmy. Jeśli w tym pokoju pozostały wcześniej jakieś ślady krwi, teraz nie ma ich co szukać. Policjanci z Fort Lauderdale urządzili najazd na klub w Las Olas, z którego zniknęła ta studentka, ale o tej porze roku odwiedzają go głównie turyści i jak dotąd nikt nie rozpoznał doktora na zdjęciu.

– Nie wierzę, że uda się jeszcze cokolwiek odkryć, C.J. – wtrącił półgłosem Dominick.

– Dlaczego? Myślisz, że wymyśliłam to sobie?

W końcu wszystko do siebie pasowało. Aż za dobrze. Chambers miał rozległe znajomości w policji, z którą współpracował jako konsultant. Miał więc dostęp do informacji. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać. Oczywiście, każda akcja wywołuje reakcję. Trzeba tylko uważać, bo reakcja może

przynieść jeszcze bardziej wstrząsające efekty niż sama akcja. Musiał zatem postarać się, żeby tym razem nie przedobrzyć.

– Nie. Sądzę, że mógł sprawić, byś myślała, iż widziałaś to naprawdę. Moim zdaniem, miał obsesję na twoim punkcie i wymyślił sobie, że pójdzie tropem Bantlinga. Przynajmniej na razie opieramy się na tej teorii.

Manny pokiwał głową.

– Właściwego czubka mamy już za kratkami. Ten dopiero się wprawiał w tym rzemiośle. No, muszę lecieć, żeby obudzić Bowmana w domu Chambersa. Był na wieczorze kawalerskim, kiedy przyszło wezwanie. Wyciągnąłem go, gdy się szykował, żeby na stole odtańczyć taniec brzucha. I teraz mi płacze, że jest wykończony. Zadzwoń później, żeby przekazać, czy coś znaleźliśmy. – Już z ręką na klamce dodał: – Cieszę się, że pani wciąż jest z nami, pani mecenas. Naprawdę bardzo się cieszę.

Kiedy drzwi się zamknęły i zostali sami, Dominick wziął ją za rękę i lekko uścisnął.

– Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

Powiedział to jednak nie tylko z ulgą, ale i lekkim strachem w głosie.

– Zrobił to? – wyrzuciła z siebie jednym tchem i głośno chlipnęła.

Nawet nie potrafiła mu spojrzeć w oczy, z uporem gapiała się w sufit.

– Nic na to nie wskazuje.

Od razu się domyślił, o co jej chodzi. Ale badanie ginekologiczne nie potwierdziło śladów gwałtu.

Pokiwała głową, czując znowu łzy spływające jej po policzkach. Mimowolnie zacisnęła palce na jego dłoni.

Był w tym domu wtedy, gdy ona leżała piętro wyżej, bezpośrednio nad nim, schwytana w sieć odrażającego potwora. Nie miał szans, by ją tam odnaleźć. Wszedł i o mało nie doszło do tego, o czym wołała nawet nie

myśleć. Po raz kolejny.

– Teraz już wszystko będzie dobrze, C.J. Przekonasz się. Obiecuję ci to. –
Podniósł ostrożnie jej dłoń i ucałował, drugą ręką gładząc pieśczołliwie po
twarzy. I jemu głos się łamał, więc nie zabrzmiało to zbyt pewnie, gdy dodał:
– A ja nigdy nie łamię obietnic.

EPILOG

Listopad 2001

W korytarzu przed drzwiami sali 5-3 kłębił się tłum zatroskanych i zdenerwowanych członków rodzin zarówno ofiar, jak i oskarżonych, którzy czekali niecierpliwie na rozpoczęcie konkretnej sprawy. Sędzia Katz, będący w wyjątkowo złym nastroju z powodu tak zapchanej wokandy ostatniego dnia przed Świętem Dziękczynienia, komenderował na sali niczym generał nieudolnym wojskiem, jedno po drugim przepychał błyskawicznie wstępne przesłuchania i wymierzał sprawiedliwość, albo wyznaczając kaucję, albo odmawiając do niej prawa.

C.J. wyszła już na korytarz, lecz zza domykających się drzwi doleciał ją jeszcze kolejny gniewny okrzyk sędziego:

– Nie może być mowy o kaucji! Ani teraz, ani w przyszłości! Jeśli go pani tak bardzo kocha, to proszę go odwiedzać w więzieniu. Tylko wcześniej proszę się udać do okulisty, żeby już nigdy nie nadepnęła pani przypadkiem na ten kij baseballowy!

Ciężkie drzwi sali rozpraw zatrzasnęły się z hukiem, odcinając dalszą część tyrady. Trwał kolejny dzień w raju.

W holu, oparty ramieniem o ścianę, z plikiem dokumentów pod pachą, czekał na nią Paul Meyers, szef wydziału prawnego w biurze prokuratora stanowego. Miał poważną, zasepioną minę.

– C.J.! – zawołał, dostrzegłszy ją w tłumie na korytarzu. Przecisnął się w jej stronę i rzekł pospiesznie: – Dowiedziałem się, że masz dziś rano przesłuchanie, dlatego przyszedłem. Musimy porozmawiać, zanim wieści się

rozejdą i telefony zaczną urywać.

Coś ją ścisnęło w dołku. Koniec marzeń o radosnym czterodniowym weekendzie, pomyślała. Skoro sam szef wydziału prawnego pofatygował się do sądu, żeby z nią porozmawiać, sprawa musiała być poważna.

– Oczywiście, Paul. O co chodzi?

– O apelację Bantlinga. Dostaliśmy to dzisiaj rano faksem z biura prokuratora generalnego, gdzie dotarło bezpośrednio z sekretariatu sądu apelacyjnego trzeciego okręgu. Chciałem ci to pokazać osobiście, bo jestem pewien, że dziennikarze nie dadzą ci spokoju.

Cholera! Stało się! Lepiej od razu zacznij sobie szukać nowej fascynującej pracy, bo Bantling został uniewinniony.

Koszmar, który niemal rok temu na dobre już zaliczyła do przeszłości, miał się teraz zacząć od nowa. Poczowała gwałtowny skurcz żołądka, zaschło jej w gardle. Wolno pokiwała głową, po czym wydusiła z siebie:

– I co?

– Jak to co? Wygraliśmy. W każdym aspekcie. – Dopiero teraz się uśmiechnął. – Sąd jednogłośnie podtrzymał ustalony werdykt. Mam tu szczegółowe uzasadnienie. – Uniósł trzymany plik dokumentów. – Później dostarczę ci jego kopię. Ogólnie biorąc, sędziowie orzekli, że nie weszłaś w konflikt, skarżąc Bantlinga. Uznali, że jego argumenty, jakoby to właśnie on był tym mężczyzną, który przed laty cię... napadł, są, cytuję, „oportunistyczne i konfrontacyjne oraz nie zostały poparte żadnymi dowodami”. Doszli do wniosku, że gdyby uwzględnili jego oskarżenia, wówczas, znów cytuję, „zapoczątkowałyby to lawinę prób oczerniania prokuratorów i sędziów przez innych oskarżonych, mających nadzieję przechylić w ten sposób szalę sprawiedliwości na swoją korzyść. Samo uznanie takich zarzutów niepopartych dowodami, przytaczanych w celu

unieważnienia procesu bądź oddalenia aktu oskarżenia, w dodatku już na etapie obowiązywania zasady przedawnienia w danej sprawie, dałoby oskarżonym wpływ nie tylko na dobór sędziego, ale również i prokuratora, bez potrzeby uzasadniania krzywdzących zarzutów”.

Odwrócił w jej stronę kartkę z podkreślonym fragmentem tekstu, żeby sama mogła przeczytać.

– Nie dali się także nabrać na teorię konspiracji i sugestie o nieudolności jego obrońcy. Orzekli, iż postępowanie Rubio było co najmniej poprawne, a decyzja o rezygnacji ze składania zeznań na swoją obronę została podjęta wyłącznie przez niego, co jasno wynika z protokołu. Wreszcie w kwestii najważniejszej sędziowie nie znaleźli powodów, dla których należałoby uwzględnić ostatnio wykryte dowody. Odpowiednie fragmenty tekstu również ci podkreśliłem. Poparli decyzję sędziego Chaskela, który po zapoznaniu się na wiosnę z wnioskiem Bantlinga o wznowienie procesu, odrzucił go jako bezzasadny. Uznali, że napaść Chambersa na ciebie sama w sobie nie stanowi nowego dowodu w sprawie. Zwrócili uwagę, że skład przysięgłych, który zeszłego lata skazał Bantlinga na karę śmierci, również nie znalazł podstaw do wznowienia procesu i uznał go za winnego dziesięciu wcześniejszych morderstw z premedytacją. Koniec, kropka. Wreszcie jest po wszystkim, wreszcie możesz odetchnąć z ulgą, C.J.

– Co dalej? – zapytała z mocno bijącym sercem.

– Został mu Sąd Najwyższy Florydy, ale tym bym się już nie martwił. Moim zdaniem, uzasadnienie okręgowego sądu apelacyjnego jest wystarczająco jednoznaczne. Później, rzecz jasna, będzie mógł jeszcze szukać szczęścia w federalnym wymiarze sprawiedliwości, na Sądzie Najwyższym Stanów Zjednoczonych skończywszy.

W zamyśleniu pokiwała głową, starając się jednocześnie ułożyć w

myślach to, co usłyszała, i to, co z jego słów wynikało. Była wręcz zaskoczona, że w ogóle nie poczuwa się do winy, nie ma wyrzutów sumienia. Odczuwała jedynie ogromną ulgę.

– Oczywiście, minie jeszcze z osiem czy dziesięć lat, zanim wyrok śmierci zostanie wykonany, jeśli nic się nie zmieni w trybie pracy sądownictwa na Florydzie. Może nawet jeszcze dłużej. Niewykluczone, że my już nie doczekamy tej chwili.

– Ja doczekam – odparła stanowczo.

– W takim razie życzę powodzenia. Ja na pewno będę się już cieszył ze skromnej państwowej emerytury, pływając na swojej łodzi wokół Keys. Zostało mi niecałe sześć lat. Wreszcie będę sam na sam z rybami. Nawet swojej żony nie zabiorę na pokład. No, muszę lecieć. Jeszcze dzisiaj podrzucę ci do gabinetu kopię tego pisma. Wyjeżdżasz dokądś na Święto Dziękczynienia?

– Owszem. Wylatuję dzisiaj po południu. Wybieram się na kilka dni z wizytą do rodziców w Kalifornii.

Miała nadzieję, że w końcu zdoła poprawić z nimi stosunki. Zależało jej na tym.

– Chciałbym, żeby te wiadomości poprawiły ci nastrój podczas urlopu. Życzę miłej podróży.

Zawrócił do holu i zaczął się przeciskać przez tłum w stronę windy, zapewne wciąż mając przed oczyma wizję swojej emerytury na motorowej łodzi rybackiej.

Ja na pewno doczekam, Paul. Niezależnie od tego, gdzie i kiedy się to wydarzy. Obiecałam mu to. Będę się uważnie przyglądała zza oszklonej ściany celi śmierci, bo chcę mieć pewność, że sprawiedliwości stało się zadość.

Patrzyła za nim, a kiedy wsiadł do windy i odwrócił się do niej, pomachała mu ręką. Potem spojrzała na zegarek. Dochodziło południe, a ona nie zaczęła się jeszcze pakować. Zjechała na dół i przeszła obok Piekła Barrel. Ze względu na święto w barze było znacznie mniej gości niż zazwyczaj, obrońcy, prokuratorzy i sędziowie w pośpiechu wyjeżdżali na długi weekend.

Pchnęła szklane drzwi tylnego wyjścia z gmachu i znalazła się na ulicy Trzynastej, na wprost bramy więzienia okręgowego. Ze względów bezpieczeństwa ulica była zamknięta dla ruchu, wjazd miały jedynie samochody policyjne. Od razu rozpoznała stojący tuż przy schodach wóz stanowego Wydziału do Zwalczania Przeszłości.

Dominick siedział za kierownicą, czekając na nią. Na jej widok szybko opuścił szybę i zawołał:

– Hej, ślicznotko! Chcesz się przejechać?

– Mama powtarzała mi, żebym nie rozmawiała z nieznajomymi, którzy zaczepiają dziewczęta z samochodów – odparła z uśmiechem. – Co ty tu robisz? Mieliśmy się przecież spotkać u mnie.

– To prawda, ale chciałem zabrać cię jak najprędzej z tego ponurego zaułka. Pomyślałem, że zanim damy się zapuszkować w samolocie, warto by dodać sobie odwagi na przykład „krwawą Maryską”.

Otworzyła drzwi z prawej strony i wsiadła do auta. Pochylił się, objął ją ramieniem, delikatnie przyciągnął do siebie i pocałował namiętnie.

– Muszę przyznać – mruknęła, gdy wreszcie się odsunął – że to bardzo miłe powitanie. Cieszę się, że przyjechałeś. Nawiasem mówiąc bardziej odpowiadałby mi jakiś dobrze schłodzony tropikalny drink, co by mi przypomniało, że wreszcie mam wolne. Spakowałeś się już?

– Aha. Mam wszystko w bagażniku. A ty?

– Nawet nie zaczęłam. Liczę, że mi pomożesz. To nie potrwa długo.

– Więc bierzmy się do roboty. Biegnij i zostaw te cholerne papierzyska, pojedę za tobą. A potem już będziemy tylko we dwoje, skarbie.

– Z moimi rodzicami. Nie zapominaj, że mam cię im przedstawić.

– Nie mogę się doczekać – mruknął, ale bez ironii.

Przyjęła to z uśmiechem. Cmoknęła go jeszcze raz, wyskoczyła z samochodu i ruszyła do biura, żeby zostawić te „cholerne papierzyska” i skupić się wyłącznie na urlopie. Samolot do San Francisco startował o w pół do szóstej wieczorem, za nic nie mogła się na niego spóźnić.

Najgłośniejszy debiut roku w zakresie literatury kryminalnej.

Kiedy pani prokurator spotyka najgroźniejszego przeciwnika, z jakim dotąd miała do czynienia, wszystko sprowadza się do wyboru między sprawiedliwością a... odwetem.

Chloe Garson, zdolna i piękna studentka prawa, zostaje w swoim nowojorskim mieszkaniu napadnięta przez zamaskowanego mężczyznę i brutalnie zgwałcona. Dwanaście lat później pracuje w biurze prokuratora stanowego w Miami. Jest już inną kobietą. G.J.Townsend, błyskotliwa prokurator stanowa z Miami, słynie z tego, że zachowuje zimną krew nawet podczas procesów najniebezpieczniejszych przestępców. Teraz prowadzi z pozoru oczywistą sprawę seryjnego mordercy, którego ofiarami padają piękne, młode kobiety. I nagle w sądzie staje oko w oko ze swoją przeszłością...

Jilliane Hoffman była zastępcą Prokuratora Stanowego w Miami na Florydzie. Zanim zrezygnowała z pracy i skoncentrowała się na pisarstwie, pracowała jako doradca prawny w wydziale zwalczania przestępczości, gdzie brała udział w trudnych dochodzeniach kryminalnych. W przygotowaniu jest druga powieść autorki *Ostatni świadek*.